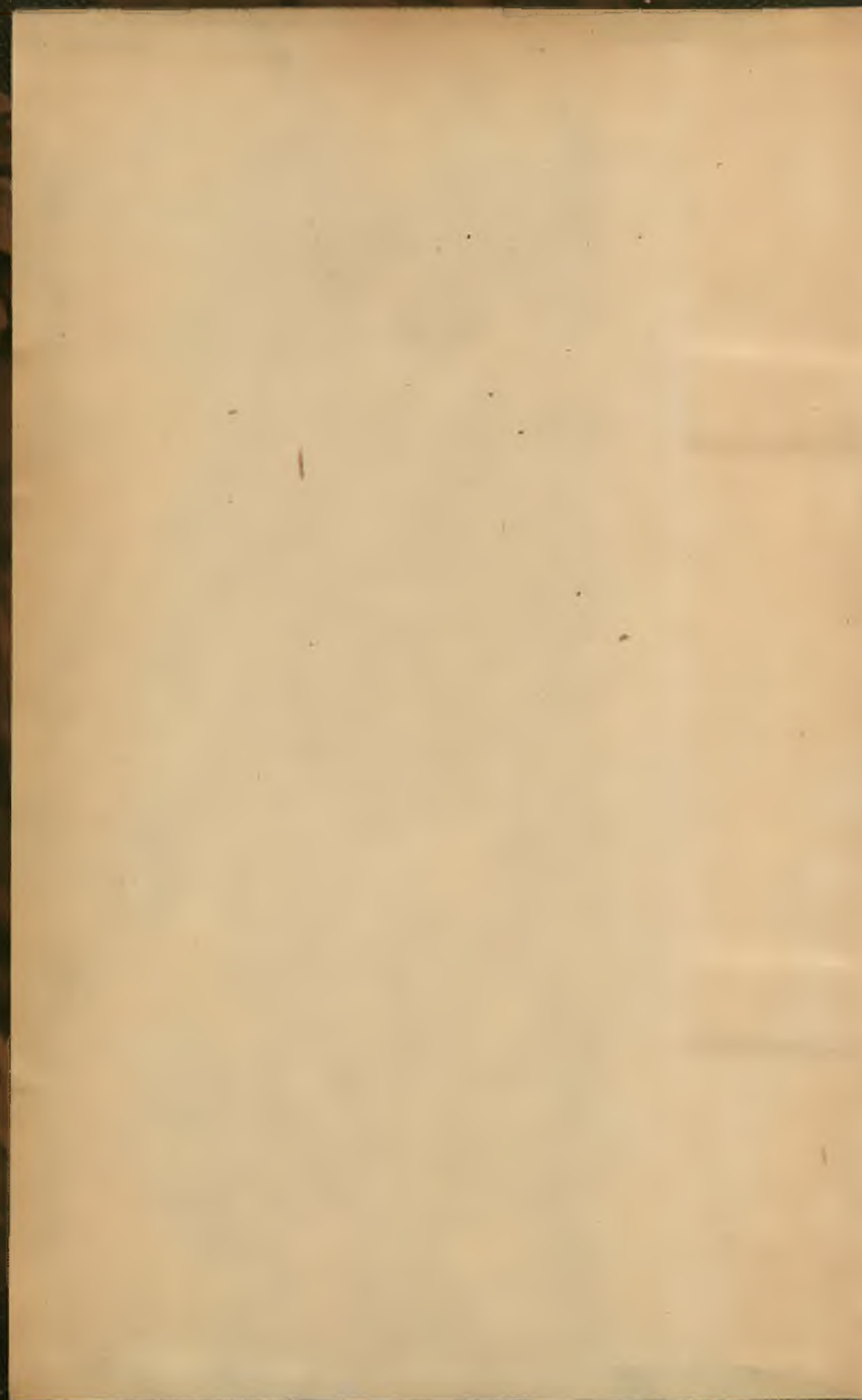


Biblioteka Sejmu Śląskiego

4501

1885. 19. 4





PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK XIX.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 76.

(Zeszyty od 226 do 228).

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ PR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1885.

4501.1885.19.4

II.

X-11158	
4501	II

4.ks.
19/1885



30.000 /

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV rocznika XIX.

	str.
Konkurs na pomnik Mickiewicza, przez Maryana Sokołowskiego	1
Szujskiego lata szkolne, przez Stanisława Tarnowskiego	19, 267
Generał Dezydery Chłapowski, napisał X. Kalinka C. R.	43, 197
Obce głosy o Matejce, przez Zygmunta Cieszkowskiego	82
Doniosłe zdarzenie w świecie muzyki polskiej: „Konrad Wallenrod“, opera Władysława Żeleńskiego, przez Stanisława Tomkowieza	119
Arkadiana. Z papierów ostatniej wojewodźiny wileńskiej Heleny z Przeddzieckich księżnej Radziwiłłowej. (Przyczynki do historii obyczajów i życia towarzyskiego w Polsce). Pisał M. R.	225, 469
O zastępstwie mniejszości w reprezentacjach ludowych, napisał prof. Dr. Kasperek	246
W sprawach szkół i nauczycieli ludowych, list Nauczyciela	306
Jeszcze o „Nowej Doktrynie“, przez M. Bobrzyńskiego	317
Słowo i natchnienie w rzymskiej poezji, przez Kazimierza Morawskiego	385
Z Dziennika podróży. Adryatyk, Archipelag i wyspa Rhodos, przez Maryana Sokołowskiego	418

O dramatach Schillera. IV. Kabale und Liebe, przez St. Tarnowskiego	449
Studia nad pozytywizmem: 2. Emil Littré i jego szkoła, przez Dra Stefana Pawlickiego	503
Kronika literacka:	

X. W. Knapiński: Ś. Norbert i jego zakon. — X. St. Załęski: Żywot Czeigodnej Matki M. Z. Barat. — J. Łepkowski: Napisy z zabytków krakowskich średniowieczne. Zeszyt 1. — A. Mazanowski: Mickiewicz od r. 1829—1832. — S. Chłędowska: Nowelle i Szkice literackie. — J. Bliżiński: Nowe humoreski. — J. Lam: Dzieła t. I: Wielki świat Capowic. Koroniarz w Galicyi. — Księga jubileuszowa prof. H. Hoyer'a. — X. J. Krukowski: Godzinki o Niepokal. Poczęciu N. P. Maryi.

O. G. Palmieri: Indeks Watykańskiego archiwum. — T. Mommsen: Römische Geschichte, t. V. — P. Allard: Histoire des Persécutions. — S. Pawlicki: Der Ursprung des Christenthums. — Herzog: Geschichte und System der römischen Staatverfassung, t. I. — Karłowa: Römische Rechtsgeschichte, t. I, 1. — F. Delitzsch: Nowa sekta żydowska w Kiszieniewie. — G. Curtius: Zur Kritik der neuesten Sprachforschung. — F. Techmer: Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft, Rocznik I 137

Ph. Dupont: Mémoires pour servir à l'histoire de la vie et des actions de Jean Sobieski. — T. Żychliński: Złota Księga Szlachty Polskiej, t. VII. — X. Biskup A. S. Krasinski: Słownik Synonimów polskich, t. II. — Listy Narcezy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół, 2. t. — W. Wszelaczyński: O życiu i utworach Fryderyka Chopina. — E. Krzymuski: Wykład prawa karnego, t. I. — Referat prof. T. Pilata: o przesileniu rolniczem.

W. Geiger: Vaterland und Zeitalter des Awesta und seiner Kultur. — A. Babeau: Les voyageurs en France depuis la Renaissance jusqu' à la Révolu-

- tion. — R. Bonghi: Dialoghi di Platone, t. V. — *Bulletino di Archeologia Cristiana*, serya IV. — Ostatnie *Roczniki* rozpraw *Towarzystwa Naukowego w Lipsku*. — H. Schuchardt: Slawo-deutsches und Slawo-italienisches. — Schäffle: Die Aussichtslosigkeit der Socialdemokratie. — D. Rauter: Oesterreichisches Staats-Lexicon. — P. Resch: Das moderne Kriegsrecht der civilisirten Staatenwelt. 324
- A. Racinet: *Le costume historique* (17 zeszytów).
- L. Zarewicz: Lanckorona. — M. Bobowski: Polska poezya kościelna od najdawniejszych czasów aż do wieku XVI. — „Rozmyślenia“ Kartezyusza w polskiem tłumaczeniu. — *Prace filologiczne*; zeszyt I.
- Monumenta Vaticana Hungarica*, t. I, serya 2. — W. Fráknoi: Węgry przed bitwą pod Mohaczem. — M. Guyan: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*. — E. Deschanel: *Le romantisme des classiques*; 4 tomy. — *Real-Encyklopaedie der christlichen Alterthümer* zeszyt XI. — J. Bernays: *Gesammelte Abhandlungen*; 2 tomy. — G. Meyer: *Essays und Studien zur Sprachgeschichte und Volkskunde*. — *The American Journal of Philology*. — M. O. Rell: *John Bull's Womankind* 524
- Przegląd polityczny, przez M. Chylińskiego i *B. E.* 186, 352, 540
- Dr. Władysław Niegolewski. (Wspomnienie pośmiertne), przez *J. S.* 193
- Rudolf Eitelberger von Edelberg. (Wspomnienie pośmiertne), przez M. Sokołowskiego 372
- Mowa na pogrzebie Stanisława Koźmiana, prezesa *Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu*, powiedziana w Brodnicy (w W. Ks. Pozn.) 28 kwietnia 1885 r. przez Stanisława Tarnowskiego 377

KONKURS NA POMNIK MICKIEWICZA.

Po sprawozdaniu z projektów konkursowych, które *Przegląd* pomieścił w zeszycie z przeszłego miesiąca, spada na nas ciężar zastanowienia się z kolei nad samym konkursem, nad jego rezultatem i wrażeniem, jakie wywarł. Skoro półtora roku temu, drukowaliśmy na tem miejscu artykuł „w sprawie pomnika Mickiewicza“¹⁾, z powodu hałasu i sporów, wywołanych wyborem odpowiedniego na ten pomnik placu, rozpoczynaliśmy go od słów, które obecnie czujemy się w prawie dosłownie powtórzyć: „Wszędzie i zawsze, mówiliśmy wówczas, tak w najświetniejszych epokach historii, jak w naszych czasach, rozstrzygnięcie kwestyj do monumentalnej budowy odnośnych, oddawane było i jest pod wyłączny sąd znawców, krytyków sztuki i artystów ze swej twórczości i zasług znanych, jednym słowem, ludzi fachowych, którzy na własną odpowiedzialność i nie oglądając się na nikogo, rozwiązują ją według sumienia, w mniej lub więcej szczęśliwy sposób, odpowiednio do okoliczności. Dzieło rośnie i powstaje w cichości. Skoro dojrzeje, wtedy dopiero społeczeństwo wypowiada swe o niem zdanie. Z pomnikiem Mickiewicza stało się inaczej. Od początku wszystkie warunki, od postanowienia których wzniesienie pomnika zależec musiało, stały się przedmiotem namiętnych roztrząsań i polemik. Wyrok komisji, dotyczący przedwstępного konkursu, został przygłuszony chaotycznym wrzaskiem głosów

¹⁾ Zob. *Przegląd Polski* tom 69, 1883, wrzesień, str. 454.

niepowołanych. Opinia publiczna, niejasna i nienjęta, ze swoim „*quos ego*“ wystąpiła na pierwszy plan. Myśl sama pomnika, rzucona na pastwę zmiennych wyobrażeń, zaczęła się kołatać wśród tych fal burzliwych i rozbujających fluktów, jak łódka na morzu nie znajdująca przystani. Obrót, jaki rzeczy wzięły, obawiać się pozwala, że i na przyszłość ten stan rzeczy niewiele się zmieni i że w każdym następnym stadium przedsięwzięcia tezsame siły w grę wejdą.“ Nie spodziewaliśmy się, pisząc to wtedy, aby ta przepowiednia tak się prędko ziściła i aby rzeczywistość jaskrawością swych manifestacyj przeszła o wiele nasze pod tym względem oczekiwania. Po wyborze placu nadszedł konkurs i stan rzeczy jeśli się zmienił, to jedynie na gorsze, gdyż tezsame siły w grę weszły z wielo większem natężeniem. Groźna burza powstała po wyroku sądu konkursowego, nietylko zrobiła piorunujący hałas, ale wyrzuciła wszystkie męty społeczne, wszystkie ukryte nienawiści i urażone miłości własne, pieniaące się na wierzch. Insynuacyom i podejrzeniom nie było końca. Posypały się protesty jedne za drugimi i jedne silniejsze od drugich i wszystko to padło jakby na grunt przygotowany. Pierwszy lepszy telegram w uczuciu osobistej zawiści wysłany, pierwszy lepszy list prywatny, drukowany w dziennikach, pierwsza lepsza w treści swej najniewinniejsza elukubracya estetyczna, wystylizowana przez ludzi, którzy szkół nie skończyli, lub opuścili je zaledwie wczoraj, zaczęły ważyć na szalach „królowej opinii“ i wpływać na tych nawet, których się szanować zwykło. Powiedziałbyś, że stare grzechy Rzeczypospolitej, zatęchłe gdzieś na dnie, drzemiące i w części zapomniane, obudziły się nagle i z martwych powstały do nowego życia. Straszne upiory *liberum veto* i *liberum conspiro* stanęły przed oczyma. Co więcej, konfederacye zaczęły się tworzyć, dla uratowania zagrożonej sprawy publicznej, tak jak za dawnych, dobrych czasów, a Warszawa stała na czele! Mogłoby to być i smutne i przestraszające dla kogoś, co nas nie zna, gdyby w gruncie rzeczy nie było i tak płytkie i tak śmieszne. Spokojnie możemy przeto zatkać uszy na wrzask uliczny i nie zważając na to wszystko, zastanowić się z zimną krwią nad rzeczywistym stanem kwestyi.

Wszyscy, co mają wyobrażenie o rzeźbie monumentalnej i o jej warunkach, co zdawali sobie sprawę przytem ze stanu jej w naszym kraju i mieli w pamięci konkurs przygotowawczy, wszyscy ci nie ufali zbyt konkursowi rzeczywistemu, i zważywszy zwłaszcza, że był pierwszym konkursem tego rodzaju u nas, nie spodziewali się po nim zbyt obfitych owoców. Konkurs ten nareszcie został otwarty i przyznać należy, że przeszedł oczekiwania najbardziej sangwinicznych optymistów, a wątpięcym sprawił przyjemną niespodziankę. Nietylko że wszyscy rzeźbiarze polsey z poczuciem godnem uznania wzięli w nim skwapliwie udział, nietylko że złożyli w modelach swoich i w ich wykonaniu świadectwo najlepszych ze swej strony chęci i ponieśli przy niezbyt świetnych swych materyalnych środkach, dość znaczne stosunkowo dla ich skutecznienia ofiary, ale w dodatku, co najważniejsza, pokazali, że im niebrak talentów, zaznaczyli w sposób znaczący i mogący przekonać każdego, że jeśli malarstwo nasze dobiło się jakiegoś stanowiska na polu europejskiej sztuki i przypomina nasze istnienie i nasz byt świata, to i rzeźba nasza, z natury swej wymagająca bardziej skomplikowanych i wiele pomyślniejszych warunków rozwoju, przy szczęśliwszych okolicznościach, mogłaby się dźwignąć wysoko i stanąć obok niego bez wstydu. Znać było w ich pracach artystów, nie żyjących szerszem i podnioslejszem życiem, nieprzyzwyczajonych do prawdziwie monumentalnych zadań i nie umiejących skoncentrować i skupić swej twórczości w jednym wielkim uczuciu i w jednej wielkiej myśli. Czuć było w samej fakturze i szczegółowych formach ich projektów rzemiosło codziennego ich zajęcia i materyal, do którego się przyzwyczaili, a który obciążał ich rękę i nie pozwalał z całą swobodą spełnić większego i panującego nad nim dzieła. Wprawne oko mogło między niemi rozpoznać po rozejrzeniu się bliższem tutaj utalentowanego, pełnego werwy i znajomości rzeczy dekoratora gmachów publicznych i kamienie, tu ornamentystę mającego do czynienia z wypaloną gliną, tam rzeźbiarza, który zawsze prawie kuł tylko z kamienia i miał jedynie do czynienia z potrzebami parków i zamkniętych przestrzeni, lub takiego, który z konieczności był złotnikiem czy też snycerzem drzewa. Ale na za-

dnym widzieć się nie dało, jakto przy wszystkich podobnych właściwościach na dziełach wielkich rzeźbiarzy przeszłości lub nieraz zagranicznych się widzi, żeby mieli w życiu większe przedsięwzięcia do spełnienia? Że to nie ich wina, ale stosunków, w których żyjemy, to faktu w niczem nie zmienia. W szczegółach i pojedynczych motywach modelów dużo piękności i uczucia, ale nieledwie wszędzie brak ogółu i całości. W pomysłach nawet, w ruchu pierwszym i instynktowym, wiele oryginalności i świeżości, ale w zestawieniu ze sobą form, które im dały wyraz, niedojrzałość. Z jednej strony *dissecta membra* pojedynczych i bardzo nawet pięknych figur, złożonych przypadkowo ze sobą i nie łączących się w jeden plastyczny i jedną myślą natchniony utwór, a z drugiej nowe i szczęśliwe myśli drzemiące w chaosie, niedopowiedziane i popsute pojęciem i wyrażeniem. Wyraźniej to jeszcze widać było na tych nielicznych popiersiach i głowach dołączonych na większą skalę do modelów, a stosunkowo od nich o wiele gorszych i świadczących o braku technicznej wprawy, któreby w kłopot wprowadzić musiały znawcę, mającego na swoją odpowiedzialność dać ich twórcom pomnik do wykonania. Wszystko to jednak nie przeszkadzało, że konkurs, jak na nasze stosunki, był świetny i że w dzisiejszych czasach z niejednym nawet zagranicznym konkursem mógłby iść w zawody. Jednem słowem, narodziła się na nim nasza rzeźba i jak ów geniusz poezji w jednym z projektów wystawy wydobyła się ze skały, ale nie rozwinęła skrzydeł jeszcze do lotu.

Wytłómaczmy się bliżej. Jednym z najpierwszych warunków monumentalności jest jedność. Jedność treści i jedność formy, składających się na jedność całości. Jedność treści odnosi się do przedmiotu monumentu, jedność formy do jego budowy, a obie razem łączyć się powinny nierozdzielnie, jeśli ma pomnik wywierać monumentalne wrażenie. Otóż sądzimy, że przedewszystkiem musiało uderzać na konkursowej wystawie wszystkich to, że poeta, ten, który jest przedmiotem i treścią pomnika, na którego cześć ma być tenże wzniesiony, że Mickiewicz, nigdzie i w żadnym projekcie, z nielicznymi i w każdym razie nie zupełnymi wyjątkami, nie odpowiadał temu wyobrażeniu, jakie o nim mamy,

i temu ideałowi, jaki się z nim wiąże. Raz był to profesor przemawiający *ex cathedra* do słuchaczy, drugi raz mąż stanu, trzeci raz słaby i chory marzyciel, to znowu aktor, muzyk, powstaniec lub nawet generał w cywilnym stroju, ale nie poeta, nie wieszcz natebniiony i podniesiony do narodowej apoteozy. Ta część i ta strona pomnika, w której powinna się była koncentrować myśl twórcza i z której naturalnie powinny były inne wypływać, była we wszystkich nieledwie wypadkach najslabsza. Prawie zawsze można było go zastąpić inną postacią, a pomnik nieby na tem nie stracił. Nie brakło wprawdzie w modelach dodatkowych figur wyjętych z poematów, lecz ci, co się je starali realistycznie wydatnić, zapominali po większej części, że pojedyncze kreacje zewnętrznemi swemi i powierzchownemi wyrażone cechami, w najlepszym razie mogą być niezłą ilustracją książki, którą się czyta i w której się je widzi i rozumie w akcji, ale że same przez się nie mogą wystarczyć do uwydatnienia tego, co w duchu poetyckiego natebniienia leży, że nie dodatki, nie stroje, nie akcesorye i emblematy, ale istota ducha niemym swym językiem do patrzącego najwymowniej i najsilniej przemawia. Jakiej siły twórczej potrzeba, żeby z Robaka lub Jankła, zamiast zwyczajnego kwestarza lub żydamuzykanta, zrobić plastyczny i monumentalny typ?—siły Houdona w ś. Brunonie kościoła S. Maria degli Angeli w Rzymie, lub siły większego jeszcze i genialniejszego Donatella!—i to jeszcze pytanie, czy oba razem potrafiliby z nich zrobić to, czemu by w pomniku być powinni. Jeżeli zatem największa część modeli pozbawiona była najpierwszego warunku monumentalności czyli jedności w treści, to powiedzieć można, że jeszcze większa nie posiadała dobrej architektury, od której związku z figurami jedność formy zależy. Żaden z projektów nie budził wskutek tego, tak dla jednej, jak dla drugiej przyczyny, tego uczucia i tego wykrzyku: „takim, a nie innym pragnąłbym go widzieć!“ Żaden artysta nie znalazł w zasobach sił swoich środków dla wypowiedzenia tego, co wszyscy czują. Jest to tak niezaprzeczoną prawdą, że nawet ci, co dzisiaj obrzucają błotem sąd konkursowy i szukają argumentów na jego potępienie, a którym zaiste na śmiałości nie zbywa, nie mają odwagi i bezczelności dosyć do wyra-

żnego powiedzenia: „ten powinien być wynagrodzony, a nie inny,“ gdyż czują dobrze, żeby ich zdrowy instynkt publiczny nie poparł. Prawda, że od szkicu niepodobna tego wymagać, co od skończonego pomnika; ale szkic modelu powinien, jeśli ma wartość, zapowiadać tę myśl i tę jedność, którą pomnik wyrazi i osiągnie. Jedność treści koncentruje wrażenie, a zatem ją potęguje i wzmacnia; jedność formy daje prostotę i spokój i pozwala skupić uwagę w głównym przedmiocie.

Przy takim stanie rzeczy, każdy Polak i człowiek interesujący się sztuką, mógł się cieszyć z rezultatów konkursu i z pobieżnego wrażenia, jakie ten wywierał; ale sąd konkursowy był w innem położeniu, nie mógł poprzestać na artystycznym dylletantyzmie, nie miał za zadanie porównywania i używania, ale musiał wybierać. Musiał, zdawszy sobie sprawę z wystawy, z dobrych i złych, dodatnich i ujemnych stron każdego pojedynczo uważanego modelu, wskazać na ten, który posiada warunki wykonania, odpowiada warunkom konkursu i który w najgorszym razie nie robiłby wstydu społeczeństwu, jakie go wzniosło. Nie mógł się rządzić innymi względami, jak tylko tym jednym, szlachetności pojęcia, jasności myśli i jedności utworu.

Stal przytem zupełnie w innym stosunku do pomnika, jak komitet pomnikowy, o czem wszyscy zapominają. Ten ostatni, złożony z obywateli i mężów zaufania, wybrany został przez społeczeństwo i przez naród, i on jedynie przed tem społeczeństwem za dokonane dzieło odpowiadał. Wybrał zaś i delegował znawców krajowych i zagranicznych, najlepszych jakich mógł znaleźć, aby mu przyszliz w pomoc i oceniając modele w wytkniętym warunkami konkursowemi kierunku ze stanowiska artystycznego, ułatwili spełnienie zadania. Sąd konkursowy przeto był i jest legalnie jedynie przed komitetem odpowiedzialny, i tak odpowiedzialny przed nim, jak tenże przed narodem, który mu powierzył przedsięwzięcie do przeprowadzenia. Jeżeli intencye i uczucia narodowe powinny więc były kierować postępowaniem i postanowieniami komitetu, to dla postanowień sądu konkursowego żadnych innych względów nie było i być nie mogło, jak tylko te nieśmiertelne i ogólnie ludzkie, które każde dzieło sztuki obowiązuja. Między obu temi względami w istocie rzeczy niema

i być nie może żadnej wewnętrznej kontrydykeyi, gdyż to, co by odpowiadało uczuciom narodu, co by zaspakajało jego aspiracye i dało wyraz jego idealom, musiało być zarówno piękne i podniosłe dla wszystkich, i uderzyć wyższością swą tych nawet, którychby z tem społeczeństwem i z narodowemi jego aspiracyami żadne bliższe sympaty nie wiązały. Tak samo jak każdy poeta narodowy jest wtedy dopiero prawdziwie wielki, skoro duchem swym, jeśli nie językiem, nie tylko dla narodu, który go wydał, ale dla ludzkości całej będzie zrozumiały, taksamo dzieło, które ma apoteozę jego wyrazić, powinno mieć wymowę przystępną nie tylko dla narodu, który je wznosi, ale i dla tych wszystkich, bezwzględnie na narodowość, którzy na nie patrzą. Mickiewicz sam jest najlepszym tej prawdy przykładem; a czyż Matejko, którego twórczość rdzenia naszych rodzimych właściwości sięga i w sferze narodowych tradycyj i wspomnień się nieledwie wyłącznie obraca, traci wskutek tego na uznaniu obcych i na europejskiej sławie? Czyż nie wynika to z samych praw natury, że im dąb głębiej w ziemię korzenie zapuszcza, tem ma zawsze szersze i większą przestrzeń oceniające konary? Żeby wśród modelów, składających wystawę konkursową, był jeden odpowiadający tym właśnie warunkom, to nie ulega i ulgac nie może żadnej wątpliwości, że ten byłby uznany za godny pierwszej nagrody przez wszystkich członków sądu składających, bez względu na ich narodowość. Pp. Guillaume i Zumbusch byliby go podnieśli i wartość jego odezuli z pewnością silniej i lepiej od tych wszystkich, co dzisiaj przeciw ich wyrokowi protestują.

Pomnika takiego jednakże nie było, i zaledwie niektóre zbliżały się pod stosunkowo drugorzędnemi względami do tego ideału, a mimo tego konkurs był, jak na nasze stosunki, świetny, co więcej, nie powstydzilby się w dzisiejszych czasach żadnej może europejskiej stolicy, wszędzie nie byłby przeszedł bez pewnego uznania. Dla nas był on niespodziewaną nadzwyczajnością i oczywistym wysiłkiem, połączonym z osobistemi ofiarami rzeźbiarzy; experimentem, że tak powiemy, którego powtarzać było trudno, nie będąc zdecydowanym na pokrycie tych ofiar i na ich wynagrodzenie. Wyrok sądu konkursowego, nie przyznający nikomu pierwszej

nagrody, byłby w takich warunkach demoralizująco działać musiał tak na rzeźbiarzy, jak na publiczność, co więcej, sąd wydając go, przekroczyłby swe atrybucye, albowiem wzięłby na swoją odpowiedzialność to, co tylko komitetowi przysługiwało — prawo odroczenia sprawy pomnika. Czegóż oni chcą? powiedzianoby wówczas; tyle było projektów i o wiele przeciętnie lepszych jak te, które się często na innych europejskich konkursach widuje, które oglądał na swoje oczy tak znawca jak Paweł lub Gawel, i nie mogli z tej liczby i z tej tak bogatej różnaitości wybrać jednego! Jest-to oczywista niechęć i zła wola, prowadzące pośrednio do powszechnego europejskiego konkursu. Zażartowali sobie z naszych rzeźbiarzy, którzy tyle złożyli dowodów swych dobrych chęci i odnosili już zresztą na zagranicznych konkursach nagrody; pokazywali im jak dzieciom bańkę mydlaną i sposobność związania swego nazwiska z pomnikiem największego wieszca narodu, a teraz odprawili ich z kwitkiem. Czyż to nie oburzające, czy nie rozdrażniające jeszcze bardziej niż obecny wyrok, rozstrojonych uraganami wypadków, jak stary instrument nerwów społeczeństwa? Słyszymy już głosy, coraz głośniejsze i chrapliwsze w zasychających od wrzasku gardłach: wszystkiemu winni Stańcycy, — oni wpłynęli na sąd konkursowy, oni uprzedzili go do naszych własnych sił, oni, ci strażacy „straży pożarnej“, gasili ogień ducha narodowego przez dziesiątki lat, i teraz iskrę nadziei wzniesienia pomnika rodzimemi siłami poecie gaszą, aby sprawę jego rzucić na pastwę, hańbę nam czyniącego, europejskiego konkursu, aby to, co najbliżej nas dotyczy i najgłębiej z życiem się naszym wiąże — co jedynem jest żywotności naszej przed światem dowodem, od nas odepełnić, i z tyłu ofiarami połączone, krwawą nieraz pracą zarobione i na ołtarzu narodowej idei złożone fundusze, oddać obcemu rzeźbiarzowi, który nas nie zna i nas nie czuje. Czyby te podejrzenia były słuszne, czy należałoby się obawiać zagranicznego konkursu, czy nie, to wszystko jedno. Nie ulega wątpliwości, że takie głosy byłyby powszechne i że taka decyzja pozostawiłaby niesmak i obudzila niezadowolenie w najmniej uprzedzonych. Nie bardziej nie demoralizuje i nie zniechęca jak negacya, i niechy też moralnie, że użyjemy tego wyrażenia, po smutnych owocach

przedwstępного konkursu, bardziej sprawy pomnika nie zachwiało, gdyż zrodziłoby w rzeźbiarzach nieufność do wszelkiego konkursu nowego, a w intelligentniejszej publiczności niewiarę w możebność wzniesienia pomnika naszymi własnymi siłami.

Że tak być mogło, najlepiej tego dowodzą podobne wypadki w szczęśliwszych od naszego krajach. W czasach, w których żyjemy, doświadczenie całego szeregu lat nauczyło, że, aby wywołać monumentalne dzieło sztuki, potrzeba koniecznie poruszyć masy, obudzić ruch między artystami, podnieść poziom codziennej ich twórczości do wielkich zadań. Niema na to lepszego i odpowiedniejszego środka, jak konkurs. Nastraja on umysły i usiłowania na wyższy diapazon i wyprowadza cały świat artystyczny, biorący w nim udział, na jakiś czas, z ciasnej i dusznej atmosfery, na szersze pole i pełniejsze powietrze. Powtarzając się raz i drugi, daje artystom samym możność porównania swych prac z drugimi, i lepiej jak najwymowniejsza krytyka, otwiera im oczy na własne błędy, braki i słabości. Na tem polega jego strona praktyczna, ale zarazem podniosła i wysoka. Możliwy powiedzieć bez najmniejszej przesady, że w warunkach naszego nowożytnego rozwoju i życia, mowy-by o monumentalnych dziełach sztuki nie było, gdyby nie powszechne, i mimo wszystkich niechęci i uprzedzeń, coraz konieczniejsze konkursy. W wiekach przeszłych artyści żyli tradycją i tym ogólnym nastrojem, który przesiąkał atmosferę, otaczał ich ze wszystkich stron i udzielał się bezwiednie każdemu, kto brał dłuto do ręki, stawiał pomnik, lub monumentalny budynek. W naszych czasach ten nastrój i to otoczenie utworzyć i zastąpić mogą na pewien przeciąg czasu jedynie konkursy. Jeden z nich nieraz po drugim budzi powoli tę siłę uszpanowaną, która zaspakaja nasze wyższe i idealniejsze potrzeby. Żeby jednakże konkursy takie mogły się udawać i cel swój osiągnąć, jak to również dobrze doświadczenie uczy, żeby raz postanowione i rozstrzygnięte, nie zamykały innym drogi na przyszłość, to żaden z nich nie powinien się nigdy kończyć ujemnie, bez rezultatu i bez przyznania, jeśli to tylko jest podobieństwem, zapowiedzianej programem nagrody. Nie dosyć jest konkurs ogłosić, trzeba dać koniecznie artystom ostrogę

i zachętę nęcącą, jasno określoną, a przedewszystkiem o ile możliwości niezłudną i pewną, aby w odpowiedniej liczbie i z odpowiedniemi skutkami tego natężeniem i wysiłkiem chcieli do niego za każdym razem przystąpić. To jest tak niezbitą prawdą, że dla tych przyczyn i dla uniknięcia związanych z niemi zawodów niema prawie obecnie monumentalnego przedsięwzięcia na zachodzie, dla urzeczywistnienia którego nie otwierałyby się dwa rzeczywiste konkursy, i z tych pierwszy nie był zarówno wynagradzany, jak drugi, prowadzący dopiero do ostatecznego wyniku. W r. 1872 ogłoszono pierwszy konkurs na parlament berliński, w którym przyznano pierwszą nagrodę Ludwikowi Bohnstedt. Nie oddano mu wszakże wykonania, ale w dziesięć lat później w r. 1882 zapowiedziano konkurs drugi, i aby zachęcić i ściągnąć jak najwięcej artystów, postanowiono 18 nagród, z których dwie pierwsze wynosiły każde po 15,000 marek, trzy drugie po 10,000, trzy trzecie po 5000, a dziesięć ostatnich po 2000. Z tych nagrody pierwsze otrzymali Thiersch i Wallot, który rozpoczął budowę. W tym samym mniej więcej czasie otwarto, nie tak architektoniczny, ale więcej jak nasz rzeźbiarski konkurs w Rzymie na pomnik Wiktora Emanuela. Pierwsza w nim nagroda dostała się Francuzowi Henrykowi Nenot, w ilości 50,000 fr., druga dwom artystom włoskim, Ferrari i Piacentini w ilości 30,000 fr., a trzecia rzeźbiarzowi Gallotti w kwocie 20,000 fr. Komitet zaś podając do wiadomości publicznej wypłatę tych tak znacznych sum, oświadczył wyraźnie, że spełnia to dla uczynienia jedynie zadość programowi, lecz, że wykonanie pomnika zależnem czyni od nowego konkursu. Takiesame dwa konkursy rozstrzygnęły się na polu architektonicznem przy budowie Opery paryzkiej, a na polu rzeźbiarskiem przy pomniku wzniesionym na cześć obrony Paryża. U nas nakoniec tensam mniej więcej wypadek miał miejsce przy restauracji krakowskich Sukiennic i przy budowie Sejmu Lwowskiego. W każdym z tych wypadków konkurs pierwszy opłacał się przygotowaniem drogi konkursowi drugiemu, lub planowi, przyjętemu za ostateczną podstawę wykonania, i w każdym z nich pierwsza nagroda bezwzględnie na wykonanie udzieloną została. Kto pamięta nasz konkurs przedwstępny, i porównywa go z powyżej

wzmiankowanemi europejskimi konkursami, to go w żaden sposób, ani pod względem nagród, ani liczby artystów biorących w nim udział, ani też pod względem wartości modeli nie może brać zbyt wiele. A jednak, mimo tego wszystkiego, każdy zastanawiający się nad okolicznościami, w których większe dzieła sztuki powstają, i znający stan rzeźby w naszym kraju, przyznać musi, że nigdy konkurs ostatni, ten, który się obecnie zamknął, nie wydałby i wydałby nie mógł tak pocieszających rezultatów, gdyby nie był poprzedzony tym konkursem przedwstępnym, tak samym w sobie mizernym, i którego postanowienie wywołało tyle zarzutów i narzekań. Pytamy się więc, czy te powody nie były dosyć przekonujące i silne, aby skłonić członków sądu zapatrujących się nieco szerzej na rzeczy, i mających przed sobą pierwszy konkurs rzeczywisty, jakiśmy mieli, do uwiecznienia go zgodnie z programem bezwzględna i najszerzej pojętą nagrodą?

Ale to nie wszystko. Nie dać pierwszej nagrody, przyznać, że między trzydziesto-kilkoma modelami, niema żadnego, któryby mógł być wykonany, i wypowiedzieć to z naciskiem, byłoby to w najlepszym wypadku, i przypuściwszy, że wszystkie powyżej wyluszczone obawy i względy były płonne i bezpodstawne, — odwlec całą sprawę na niepewne i w nieskończoność. Kto wie, czem jest konkursowy model, i jaki jest jego stosunek do pomnika rzeczywistego, któremu ma za wzór służyć, ten wiedzieć powinien, że żadnej on jeszcze przy skali swej gwarancyi dawać nie może, że rzeźbiarz, który go pomyślał i zrobił, będzie podług niego w stanie monumentalnej wielkości dzieła dokonać; że na wielkich europejskich konkursach, skoro pomnik przekracza wielkością i doniosłością swej monumentalności, zwykle przeciętne granice, nawet ci premiiowani rzeźbiarze, którzy już poprzednio złożyli dowody wysokiego uzdolnienia, obowiązani są zawsze przedstawić części pojedyncze swego modelu, w $\frac{3}{4}$ co najmniej rzeczywistej wielkości, zanim się im stanowczo pomnik odda do wykonania. Tak było z Zumbusem, który miał za sobą nie tylko liczne nagrody, na rozlicznych konkursach, ale pomniki króla Maksymiliana w Monachium i Bethowena w Wiedniu, skoro chodziło o powierzenie mu pomnika Maryi

Teresy. Tożsamo miało miejsce z Kundmanem, który wznosił pomnik Schuberta, zanim mu oddano pomnik Tegethoffa. Któż mógł zaręczyć zatem, że wobec nowego, w razie nieprzyznania pierwszej nagrody i przypuszczalnego konkursu, komitet nie znajdzie się w tym wypadku, że będzie po odbytych próbach musiał go uważać za niebyły, i że sprawa tak wszystkich obchodząca, tak całemu społeczeństwu leżąca na sercu, pójdzie w odwłokę, i odroczoną zostanie przebiegiem naturalnym i nieprzewidzianym rzeczy, w nieokreślonej, i mniej zaiste od nas, niż od zewnętrznych koniunktur zależną przyszłość? Czyż sąd konkursowy nie powinien był tego przewidzieć, mając do czynienia z rzeźbiarzami po większej części młodymi, którzy nie mieli sposobności próbowania swych skrzydeł, i po raz pierwszy występowali na szerszą arenę, i czy w takim wypadku miał prawo, żamykania komitetowi drogi do przyspieszenia tej próby, odraczając ją na lata, aż do przyszłego konkursu? Czy mu obowiązek nie nakazywał, widząc jak się całe przedsięwzięcie wlecze, i jak niem burzliwe fale opinii chwiewają i kołocą, ułatwić o ile możności jego porodu, i przyznając, że żaden z wystawionych modeli nie odpowiada wymaganiom, wybrać z pomiędzy nich taki, który po przeprowadzeniu zmian i poprawek wskazanych, najbardziej się by do tych wymagań mógł zbliżać? To były względy sumienia, które silniej na członków sądu działać musiały, jak obawa przed kułakami nowożytnych Torrigianich, lub spazmami tych Warszawianek, co mają gołębią słodycz Eumenid. Te to powody przy wszystkich powyżej wyluszczonych. pchały sędziów do postanowienia, aby z konkursu, tak ostatecznie pomyślnego, i w którym wszystkie siły rzeźbiarskie polskie bez wyjątku wzięły udział, wyszedł jakiś rezultat bardziej dodatni, i aby co zatem idzie, jednemu z modeli przyznać pierwszą nagrodę. Zrobili ze swej strony wszystko, co mogli, nie byli w stanie stworzyć tego, czego nie było, nie polecali też żadnego projektu do wykonania, ale otworzyli drogę do konkursu nowego, i wskazali na model, który wedle ich zdania mógł stać się podstawą pomnika, w razie gdyby ten konkurs nie przyszedł do skutku. Mierzyli i ważyli sumiennie swój wyrok na to, aby im powiedziano *vaka*, i aby ich obrzucano gradem kamieni.

Lecz idźmy dalej. Warunki konkursu stanowiły, że pierwszą nagrodę ma otrzymać model bezwzględnie dobry, „który odpowiada warunkom wykonania.“ Czyż miał sobie to postanowienie sąd tak tłumaczyć, jak je najhałaśliwsze glosy w dzisiejszych protestach na swój użytek tłumacza? Czy miał przyznać, trzymając się dosłownie tego brzmienia tekstu, pierwszą nagrodę jedynie temu modelowi nieistniejącemu, który był rzeczywiście *bezwzględnie*, t. j. absolutnie dobry, a zatem w całym tych słów znaczeniu *doskonaly*, czyli inaczej mówiąc, którego autor stworzył odpowiadające wszystkim wymaganiom arcydzieła sztuki? Ależ każdy obeznany z wynikami europejskich konkursów wie, że z nich takie arcydzieła nie wychodzą, i że niema wypadku, aby model premiowany, bez zmian i we wszystkich pierwotnych swoich szczegółach oddawany był do wykonania, co więcej, wiedzieć powinien, że w najświetniejszych epokach historii, związanych z najgłośniejszymi tryumfami sztuki wypadki takie były wyjątkami. Jeżeli między pierwszą formą myśli, a ostatecznem jej ukształtowaniem w każdej twórczości jest wielka różnica, to tem bardziej jeszcze większa nieraz być ona musi między modelem, a pomnikiem, na wzór jego wznoszonym, i którego wykonanie nie od artysty samego zależy. Komitet formułując w ten sposób pierwszy i główny punkt warunków konkursowych, nie mógł go zatem tak rozumieć, i sąd nie był w stanie nadawać mu takiego znaczenia. Redakcyja ta była jasna i dokładna. Ci co ją pisali i komitet, który ją przyjął, wiedzieli dobrze, czego chcieli. Przewidywali i powinni byli przewidywać, mając przed sobą niefortunne doświadczenie przedwstępnego konkursu, że ten konkurs ostateczny, że go tak nazwiemy, może wypaść niemniej słabo, jak tamten, i obawiając się w takim razie wynagrodzenia najlepszego z pomiędzy mizerynych i słabych, i tylko względnie do nich dobrego modelu, położyli na to nacisk, że pierwszą nagrodę ma otrzymać jedynie ten, który będzie dobry bezwzględnie na inne, a zatem dobry sam w sobie, czyli taki, jak dodawali, dla uniknięcia nieporozumień, który odpowie warunkom wykonania, co wcale nie pociągało za sobą, aby miał być koniecznie wykonany. Jakiż więc model po tem wszystkim, cośmy wyżej powiedzieli, odpowiadać

mógł, przed sądem, na którego barki komitet odpowiedzialność rozstrzygnięcia kwestyi złożył, tym właśnie warunkom? Oczywiście tylko taki, w którym przy kosztach nie przenoszających preliminowanej summy i właściwościach zgodnych z naturą wskazanego z góry placu, ten sąd mógł wskazać i jasno określić możliwe w nim do przeprowadzenia zmiany, chociażby najważniejsze i najtrudniejsze, w artystycznym znaczeniu, ale nie naruszające pomysłu całości, myśli jego głównej, i który po przeprowadzeniu tych zmian, jeśliby nie został arecydziełem sztuki, to mógł stać się pięknym i poważnym pomnikiem, odpowiadającym swemu przeznaczeniu a zatem godnym wykonania. Inaczej z dobrą wiarą tłumażyć warunków konkursowych było niepodobna. Sąd nie miał za zadanie wynagradzania talentów, ani też był w stanie za, stanawiania się nad większemi lub mniejszemi technicznemi kwalifikacyami, jakie ten lub ów artysta posiadał, do wprowadzenia przedsięwzięcia w życie, gdyż do tego nie miał dostatecznych danych. Obowiązkiem jego było nagrodzić najlepszy model, czyniący zadość warunkom konkursu, wskazać, co wypadło w nim zmienić lub dodać, jeśliby miał być wykonany, i na tem się jego rola kończyła.

Jeżeli projekt pod godłem „Świteż“ zyskał pierwszą nagrodę tak znaczną, bo jednomyślną prawie liczbą głosów, to dla tej prostej przyczyny, że wszyscy sędziowie czuli to i jasno widzieli, jakie zmiany w nim przeprowadzić należy, aby mu nadać tę monumentalność i uwydatnić w nim ten charakter, na jakim mu zbywało. W pomysłe i w budowie swej posiadał on przy wielkiej prostocie, główne warunki tej jedności, treści i jedności formy, o których mówiliśmy na początku, a przynajmniej najwięcej się do nich zbliżał, i wszystkie jego braki i strony ujemne mogły stracić w odpowiednim wykonaniu na wielką skalę, całą swą, tak dzisiaj *ad usum delphini* nadużywaną doniosłość. W modelu p. Celińskiego silnie i wymownie wypowiedzianie uczucia, koncentrowały się dobrze w panującej nad nimi i imponującej postaci poety, ale figury służące do ich wyrażenia były luźne i nie wiązały się zupełnie z wadliwą pod każdym względem architekturą, która przypominała lykejskie grobowce, a powinna była im dawać artystyczną racyę bytu, i sama przez

się wpływać na jedność formy. Model p. Barącza, po wyrzuceniu barokowych i zdawkowych orłów na rogach podstawy, mógł zyskać jedność formalną i nie pozbawioną szlachetniejszego porywu, ale figury otaczające jego postument potrzebowały mimo swej piękności w szczegółach komentarza, były niejasne, nie dość zrozumiałe i w skutek tego rozstrajały w nim jedność treści, nie mówiąc już o tem, że dołączone doń na wielką skalę popiersie Mickiewicza robiło wrażenie banalne i pospolite, a biust młodzieńca z podniesioną głową, technicznie pozostawiał za nadto do życzenia. Ani w jednym z tych modeli, ani w drugim całość nie dochodziła do wyraźnej i zaspakajającej wrażenie pod każdym względem jedności. Chcąc każdy pojedynczo wzięty zastosować do pomnikowych i obowiązujących na doczesną wieczność wymagań, należałoby go zmienić w organicznym pomysle.

Zmiana architektury pierwszego musiała ze sobą pociągnąć odpowiednie zmiany w figurach, w ich ustawieniu i umieszczeniu, a zatem w ich kształcie; zmiana figur drugiego, prowadząca do nadania im zrozumiałej dla wszystkich jasności, powodowała do ich zastąpienia w znacznej części innymi. Któż więc od sędziów mógł wymagać, aby wchodzili w sferę i w istotę rzeźbiarskiej twórczości i wskazywali zmiany, nie zależne od lepszego lub gorszego, żywszego czy szlachetniejszego wykonania, ale od zasadniczej i przewodniej, przedmiotowej czy formalnej artystycznej myśli, aby brali na siebie to, co od artystów samych zależeć było powinno? Nie przeczymy, że model pierwszy posiadał więcej ciepła, uczucia i podniosłości, a drugi więcej werwy, żywości i oryginalnej siły, że niejeden z pochwalonych czy nie pochwalonych, zdradzał większą wprawę, pewność siebie i talent w szczegółach, co więcej, że niektóre z tamtych, miały więcej przymiotów i zalet dodatnich, ale sądzymy, że mimo tego wszystkiego, żaden z nich nie był tak spokojny, skończony i harmonijny jako całość i żaden nie miał tak mało stron ujemnych i wadliwych, jak ten, który otrzymał pierwszą nagrodę. Sędziowie wiedzieli o tem, jak wiedzieć byli powinni, że jeżeli zalety zapominają nieraz każą o wadach dzieła sztuki, które się tylko w związku z tłem i otoczeniem ocenia i sędzi, to wady zato zacierać i głużyć muszą doniosłość najwy-

mowniejszych zalet, skoro to dzieło stanowi niezależny, wystawiony na krytykę wszystkich i samemu sobie wystarczający utwór, zwłaszcza jeśli się do jego całości odnosi.

Sąd mieścił w swoim gronie pierwszorzędnych europejskich znawców i śmiało powiedzieć można, że żaden inny na jego miejscu, byle niezależny i mający poczucie swoich obowiązków, nie wydałby i wydaćby nie mógł innego wyroku. Widząc, że wartość premijowanego modelu zawisła być musi od podnioślejszego i staranniejszego opracowania szczegółów, od wiania w nie większego życia i nadania mu wybitniejszego stylistycznego charakteru na wielką skalę, co zależeć mogło jedynie od uzdolnienia i talentu artysty, — postanowił przedstawić komitetowi propozycję komisji, mającej za zadanie tego wykonania dopilnować i o tem uzdolnieniu się przekonać. Miał przed oczyma przedsięwzięcie samo i komitet, przed którym był odpowiedzialny, obrady prowadził nie dla ulicy, ale *pro foro interno*; komitetowi były z nich spokojnie i rozważnie zdał sprawę i jeśli w pierwszej chwili sformułował w ogólnych zarysach swoje dezyderaty, to tylko dla tego, że jeden z członków go składających, najwięcej używający przez świat całej uznanej powagi, opuszczając Kraków i wracając do Paryża, nie mógł przyjąć w tej komisji udziału i że chodziło o spisanie jego osobistych uwag, dla uwzględnienia ich z namysłem w przyszłości. Uczynił on jednak więcej jak to wszystko. Przewidział, jak był powinien, że komitet dla wzniesienia pomnika z modelu tego skorzystać nie zechce, lub że artysta nie będzie w możności uczynić żądanym wymaganiom zadość i na ten wypadek, podniósł w osobnej uchwale zdolności rzeźbiarzy i zalety tych modeli, które uwiecznione nie zostały, aby otworzyć drogę do nowego i w warunkach skuteczniej prowadzących do celu, ogłoszonego konkursu.

W każdym innym społeczeństwie, jak nasze, już ten fakt, że uwiecznionym na pierwszym miejscu był tensam rzeźbiarz, który pod godłem „Spłoszonej kraski“ otrzymał podobną nagrodę w konkursie przygotowawczym, musiałby wzbudzić w najbardziej uprzedzonych i najmniej znających się na rzeczy, uczucie i przekonanie, że ostatni model jego musiał być lepszy i wyższy, w tejsamej proporcji i stosun-

ku od modelu pierwszego, jak obecny konkurs od poprzedniego, i że w tym talencie musiało być coś mającego istotną wartość, skoro dwa różne i z różnych ludzi i znawców złożone sądy, mu w obu wypadkach pierwszą nagrodę przyznały. U nas stało się inaczej. To właśnie stało się głównym kamieniem obrażenia. Jeżeli się obejmie okiem wszystkie momenty, jakie ta sprawa przechodziła, to się przyjsię musi do przekonania, że tam, gdzie telegraficzne protesty nadchodziły już wówczas, kiedy jeszcze sąd żadnego wyroku nie wydał, i gdzie najgłośniej przeciwko temu wyrokowi protestowali ci, którzy wystawy konkursowej nie mieli sposobności widzieć, że przy takim usposobieniu opinii i przy takiej anarchii, każdy raz zapadły wyrok musiałby wywołać burzę, — ale może nie tak piorunującą, nie tak namiętą, jak ta, którą ten wywołał! To przede wszystkim, że nagroda przypadła tejsamej „Spłoszonej krasce,“ którą z taką zaciekłością i z taką rozkoszą skubano przedtem, oburzyła wszystkich najwięcej. I czyż nie słusznie? Gdyby sąd konkursowy był złożony z uczniów szkoły Sztuk pięknych, z członków Koła artystyczno-literackiego lub z protestujących konfederatów krakowskich i warszawskich, nigdyby do tego nie przyszło; ale składał się z ludzi, mających własne zdanie, nie oglądających się na ulicę i słuchających jej wrzasku, jak ów potępieniec Danta *in gran dispetto*. Czyż potrzeba było więcej, aby zaczęto plwać na nich?

Taki jest istotny, wypowiedziany szczerze i otwarcie stan rzeczy. Czy mamy rzucić całą sprawę i nie chcieć słyszeć o niej więcej? Czy mimo tego obowiązek nie nakazuje zapytać się, co będzie dalej i jak ma sobie postąpić komitet wobec wyroku sądu i takiego stanu społeczeństwa? Ma on przed sobą dwie alternatywy wyraźne i jasne, które mu sąd do wyboru pozostawił: albo korzystać ze wskazanej sposobności i przekonać się, czy rzeźbiarz wynagrodzonego modelu będzie go w stanie doprowadzić na większą skalę do pożądanego nastroju, albo otworzyć między wynagrodzonymi i pochwalonymi konkurs nowy, zachęcający jak najsilniej artystów do wzięcia w nim udziału i wynagradzający im z góry położone ofiary, czego sąd uczynić nie był w stanie, ale żądający zato dowodów technicznego uzdolnienia, w szczegółach wy-

konanych na większą skalę, aby przedsięwzięcie mogło rzeczywiście przyjść do skutku. W jednym czy w drugim wypadku powinien nie zważać na krzyki i chorobliwe manifestacye ulicy, nie grać roli młynarza bajki, — jakieśmy to mówili w artykule przytoczonym na wstępie — który jadąc na jarmark z synem i z osłem, słuchał rady każdego i nie wiedział co z sobą, co z dzieckiem, a co ze zwierzęciem zrobić; nie dać się ludzi i upajać deklamacją i frazesem, ale pamiętać, że panuje nad wszystkim zdrowe uczucie narodu i tych wszystkich, co nie krzyczą i nie protestują, a „które się z pomnikiem wiąże, mieć go odpowiednim pragnie i wzniesienia się jego domaga.“

Maryan Sokolowski.

SZUJSKIEGO LATA SZKOLNE.

II.

W Krakowie

siódma klasa (1852—1853).

Na jesień roku 1852 wracaliśmy z wakacyj do szkoły, wchodziliśmy do siódmej klasy. Zastaliśmy ją znacznie różną od przeszłorocznej szóstej. Gimnazya w Rzeszowie, Bochni, Sączu, nie były zupełne, miały tylko po sześć klas, zatem kto chciał kończyć nauki, musiał przenosić się do innego miasta; wielu ściągało do Krakowa. Pomiędzy tymi przybyszami był chłopiec dość wysoki na swoje lat 17 (niewiele już od tego czasu podrośł), szczupły, blady na twarzy; włosy miał jasne i długie (za długie), oczy niebieskie, nos prawie zanadto cienki; wierzchnia warga niezwykle krótka i broda cokolwiek naprzód wysunięta (co później pod zarostem znikło), nadawały tej twarzy wyraz hardy, prawie pogardliwy. Klasa przypatrywała mu się ciekawie, zdaleka; miejscowi krakowscy połączeni dawnem koleżeństwem, czuli się bliższymi sobie i solidarnymi wobec nowych, którzy się jeszcze nie wcielili w organizm klasy. Takie stanowisko wyczekujące, dyplomatyczne, zachowują zawsze studenci względem kolegów nowych, dopóki się z nimi nie oswoją; któż może wiedzieć co to za jedni? może panieze, może profesorskie *fagasy*? w tym razie ostrożność i niepokój były tem większe, że o zdolności i nauce niektórych nowych chodziły wieści

dość straszne: niejeden był *pierwszym* w swojej klasie, niejeden był otoczony sławą wielkiego greka, albo wielkiego matematyka; a nuż zaćmią naszą klasę tak, że wszyscy w kąć pójdziemy? Ale żaden nie budził takiej ciekawości i takiego respektu, jak ten, o którym szeptano w ławkach pokazując go sobie zdaleka: „to *pierwszy* z Tarnowa, nazywa się Szujski.“ Co spowodowało jego przesiedlenie się do Krakowa? własne życzenie, czy interesa matki? Mógłby był kończyć gimnazjum w Tarnowie, bo było zupełne, ośmioklasowe. Może ściągnęła ich bliskość Kurdwanowa, wsi pani Szujskiej pod Krakowem (o granicę od Swoszowic) położonej; może nauczyciele niektórzy z Tarnowa znani, do krakowskiego gimnazjum przeniesieni i (jak Sawczyński, Oskard, Klemensiewicz) podnoszący jego sławę? Wtedy nikt o powód nie pytał, dziś już się go nikt nie dowie.

W klasie nie odrazu i nie bardzo zbliżał się do nowych kolegów. Robił pierwszy krok, zawiązywał znajomość, ale zażyłości nie szukał, podobać się nie zadawał sobie pracy. Trzymał się w nierozłącznej parze ze swoim z Tarnowa przyjacielem Müllerem. Z tego może wynikało, że nie poznaliśmy rychło (co zresztą dziś dopiero w zupełności widzieć i rozumieć się daje), że był istotnie dużo bardziej od nas w wykształceniu posunięty. U nas w klasie jeżeli byli tacy których oko lubiło wybiegać za klasy granicę, to nigdy na dalekie i rozległe przestwory. Czytać ciekawie w domu co wpadnie pod rękę, a głównie naturalnie poezye, czytać ukradkiem romanse, dyskutować bez końca a zawzięcie kto lepszy, czy Schiller czy Göthe, wreszcie pożerać Rottecka chciwie i z nadzieją że dowiemy się z niego raz na zawsze, co mamy myśleć o wszystkich rzeczach i niektórych innych, oto zakres którego nie przekraczały najtęższe głowy siódmej klasy. Ten lub ów śmielszej natury uczył się trochę po angielsku, rwał się do Szekspira i wmawiał w siebie i w drugich, że mu się bardzo podoba to czego nie rozumiał wcale; rwał się do Byrona, nad którym jako łatwiejszym szczerze się czasem unosił i rozczulał; naprawdę i gorąco podziwiał się Schillera z obcych, ze swoich Mickiewicza. O Krasińskim nie każdy wiedział; kto wiedział ten wierzył, że w *Przedświcie* i w *Psalmach* jest nieledwie objawienie woli bożej i przy-

szłości świata, ale czując że nie rozumie, czytał to więcej jak czytał, a do *Irydiona* i *Nieboskiej* jeżeli zajrzał, jeżeli się rozciekawiał znęcony malowniczą okazałością stylu i obrazów, to niebawem zniechęcony odkładał na bok książkę, której nie mógł rozumieć. O Słowackim nie wiedzieliśmy nie zgoła, ledwo znaleźliśmy nazwisko. Pierwsze o nim pojęcie dała nam *Balladyna*, którą Szujski właśnie do szkoły przyniósł i pożył. Zachwalał z całego poematu tylko komiczną figurę grubego prozaicznego Grabca; reszty nie lubił, jak w ogóle przez całe swoje życie nie miał do Słowackiego takiego jak późniejsze pokolenie pociągu.

Szujski nie tylko daleko więcej od nas wszystkich czytał i wiedział, ale czytał inaczej: więcej myślał. Nie było ciekawość ani cieżkość nowego wrażenia, dwie zwykłe w tym wieku pobudki czytania, była gorąca chęć wiedzy i zdolność refleksyi. Kiedy do którego z nas przyszedł, odbywał rewizyę książek jakie były w pokoju, a te które nęciły jego ciekawość, bez ceremonii do czytania zabierał. Ten jego zwyczaj, rychło poznany przez kolegów, stał się przywilejem Szujskiego przez wszystkich szanowanym, a razem naturalnie powodem wielu z niego śmiechów i żartów. Czytał zapewne zawiele; z tego co czytał nie wszystko może mógł zgłębić, ale nad wszystkim zastanawiał się głęboko, poważnie, chciał koniecznie zbadać i spożytkować: wyciągnąć esencję z tego co czytał i poznawał, i stosować ją w życiu dla siebie, dla drugich. W tem znowu różnica i przeciwieństwo między nim a rówieśnikami. Trzeźwy rozsądek studentki widząc go ciągle zajęтым wieloma rzeczami naraz, pochłaniającym książki historyczne, filozoficzne, estetyczne, uczącym się języków, a zatopionym prócz tego w poezyi, uznał w mądrości swojej że to zawiele, że kto tak zaczyna, ten się na wszystkie strony rozproszy i zmarnuje. My drudzy, spokojniejsi a mniej silni od niego, mówiliśmy sobie — i jemu — że obraca w głowie kwestye, na których ilość i jakość głowa jeszcze za młoda; że chce mieć zdanie i przekonanie o rzeczach, o których nie możemy nawet mieć wyobrażenia; że mówi o przebytych doświadczeniach i walkach z sobą samym, które muszą być chyba jego przywidzeniem, bo nie było na nie dość czasu ani w jego życiu wypadków,

któreby im dostarczały materiału. Kiedy naprzykład mówił nam (frazesem cokolwiek szumnym): „poezja była tym anio-
„łem stróżem, który mnie obronił od racjonalizmu,“ rusza-
liśmy ramionami pytając, co to może być za straszny racyo-
nalizm w piątej klasie, a dodawali złośliwie, że w każdym
razie nie musiał być bardzo niebezpiecznym, „jeżeli twoje
wiersze mogły go zwyciężyć.“

I ten trzeźwy zdrowy rozsądek miał słuszość w teo-
ryi; miałby ją w praktyce, gdyby chodziło o każdego inne-
go. To czytanie bez końca, a bez planu i ładu, to namiętne
poznawanie a czasem śmiało rozstrzyganie kwestyj przecho-
dzących zakres wieku i umysłu, są istotnie niebezpieczne i
każdego innego wiodłyby przez rozstrzelanie do powierzchow-
ności i zmarnowania. On sam od tego rozstrzelenia uchronić
się nie zdołał: jak w późniejszym życiu gorąca chęć służe-
nia i działania kazała mu brać na siebie więcej niż jego
siły fizyczne znieść mogły, tak w tych latach rozkwitającej
młodości namiętność poznawania kazała mu pragnąć i obej-
mować jaknajwięcej, więcej niż mógł odrazu ułożyć i upo-
rządkować. Ale nasz zdrowy rozsądek tego w siódmej kla-
sie nie wiedział, że jego horyzont był rzeczywiście szerszym
jak nasz, że więc co dla każdego z nas byłoby istotną praw-
dą, to o nim było mylnem przypuszczeniem. Głębszy był i
dojrzałszy, nietylko chciwszy wiedzy od drugich; te książki
które pochłaniał, te myśli które w głowie obracał, on się w nie
zagłębiał może zawcześnie, może czasem dziecinnie, ale na-
prawdę, i ze wszystkich zostawało coś w jego umyśle, poję-
ciu lub przekonaniu, każda składała swój żyzny osad i przy-
kładała się do formacyi tego rozumu i charakteru. A że był
w tym wieku błogosławionym, kiedy się dusza w człowieku
jak kielich kwiatu rozwija i otwiera, kiedy każdy, od niego
nierównie mniejszy, z każdym dniem znajduje w sobie coś
nowego, myśl, uczucie, wrażenie, i tem odkryciem czy na-
bytkiem cieszy się niezupełnie świadomie ale rozkosznie, cóż
dziwnego, że u niego te odkrycia były liczniejsze i piękniej-
sze niż u innych, i że więcej od innych sam na nich używał.
Był wtedy w jego głowie nawał myśli, rodzących się szybko,
rozrastających się silnie, a tak spiesznie, że się w należyтым
widocznym porządku ułożyć i wyrazić nie mogły, jedna drugą

pędziła i wypychała. Żeby je mieścić i łączyć, zatrzymywał z każdej to co było naistotniejsze, opuszczał to co podrzędne: uzasadnienie, poparcie, argumenta. Związek dla niego samego był jasny: w jego myśli i pamięci były te wszystkie ogniwa, a były, zdawało mu się tak jasne, zrozumiałe i konieczne, że rozwijać je byłoby stratą czasu; każdy się domyśli i dopełni. Tymczasem co dla niego jasnym, nie było takim dla wszystkich; gdzie dla niego był związek logiczny i konieczny, tam drudzy czuli przeskok, zamieszanie myśli tłoczących się gwałtownie a bez ładu. To przeskakiwanie, to pomijanie mniejszych ogniw łączących między myślami jako jasnych i domyślnych, zostało na zawsze właściwością jego umysłu. Ile razy aż do lat ostatnich zwracało się jego uwagę, że to co napisał, wiersz czy proza, w pewnym miejscu potrzebuje rozwinięcia, wytłumaczenia: odpowiadał zawsze, że on nie może pisać inaczej jak myśli, a myśli tak, że to co podrzędne, zaznaczy sobie tylko jednym słowem w pamięci i idzie dalej czemprowadzając za tem co główne i istotne. Ten natłok myśli odbił się i na jego sposobie pisania: te okresy nieraz zbyt długie, zawile, pełne nawiasów odpowiadających pobocznym incydentalnym myślom, to jest skutek i podobieństwo myślenia niezmiernie szybkiego i obfitego, któremu słowa i zdania nie mogą nastarczyć. Pęd jest za silny, obfitość za wielka, ztąd pewien w stylu nerwowy niepokój, pośpiech, instynktowa a gorączkowa chęć powiedzenia wszystkiego, wyrzucenia z siebie tych wszystkich myśli jak z wulkanu. Ta właściwość, która została w nim do końca, za młodu była daleko jeszcze widoczniejszą, co sam wiek i brak wprawy tłumaczy, a stawała niekiedy na przeszkodzie jego szkolnym powodzeniom. W zadaniach wytykano mu często zawilność, czasem napuszystość. Istotnie ten nadmiar myśli i zarazem niepokój w myśli, z dodatkiem jeszcze nerwowej chęci wypowiedzenia wszystkiego co w tej myśli było, sprawiały, że wypowiedzenie przychodziło mu trudno, a wtedy młody, niewprawny, i ze smakiem jeszcze niewyroblonym budował szumne frazesy i okresy, używał wyrażań sztucznych, w złudzeniu, że myśl jego łatwiej się w takich zmieści, przez takie da zrozumieć. Sawczyński lajał w takich razach, a nawet w świadectwie raz wytknął „*Haschen nach Gran-*

diositüt“ — ale kiedy miał wymienić lub w klasie przeczytać — (ogromny honor!) — najlepsze z wypracowań, czytał zawsze wypracowanie Szujskiego, a inni śmiejąc się z górno-lotnych okresów lub wyrażań, czuli przecież instynktem, że w tych okresach są jakieś myśli, na które w ich głowie nie świta. Było jedno wypracowanie, na wiosnę r. 1853, o Antigonie Sofoklesa, którąśmy świeżo w zimowym półroczu czytali; podniosło ono wiele reputacyę Szujskiego, a kto dotąd w skrytości serca nie wątpił o swojej nad nim wyższości, zaczął wtedy może po raz pierwszy pytać sam siebie, czy tamten nie jest mu równym, czy przypadkiem nie mądrzejszym?

To rozstrzelenie się na różne przedmioty i mnóstwo czytania i pisania po za szkołą, nie przeszkadzało mu w szkolnej nauce. Przygotowany był zawsze doskonale. Że dobrze odpowiadał z historii albo z polskiego, to nie dziwnego; lubił te przedmioty, a miał bardzo wysokie wyobrażenie o ich nauczycielu, Sawczyńskim; źle odpowiedzieć z niemieckiego albo z matematyki, to było tylko praktycznie źle — źle odpowiedzieć przed Sawczyńskim było przykro, i był wstyd. Ale on umiał, a co dziwniejsza rozumiał wszystko. W łacinie, zwłaszcza w greckim bardzo tęgi i pewien siebie, z literatury niemieckiej wiedział o rzeczach, o których my słuchaliśmy jak o żelaznym wilku; dla X. Staroniewicza zawsze miał gotowe w pamięci tekstą z Pisma św. i z Ojców na poparcie tej lub owej dogmatycznej tezy; pamiętał i rozróżniał podziały i cechy botanicznych gromad i rodzajów i lubił je znać; umiał nawet matematykę i fizykę! Najmniej ze wszystkiego, bez upodobania, ale przecież i to pojmował i umiał.

Uczyliśmy się po niemiecku, w Galicyi od czasów niepamiętnych, w Krakowie od niedawna Po przyłączeniu Wolnego Miasta do Austrii jeszcze przez lat kilka w gimnazjum św. Anny został język polski nietkniętym. Byliśmy w szóstej klasie, kiedy pewnego dnia przyszedł dyrektor z jakimś re-skryptem czy *Erlaszem* i z niego nam zapowiedział, że od jutra mamy się po niemiecku uczyć wszystkiego, z wyjątkiem religii, języka polskiego i matematyki — tej ostatniej przez wzgląd szczególny podobno dla profesora Gralewskiego,

który sam wychowaniec szkół krakowskich, nie władał dość pewnie językiem niemieckim. W skutku czego mineralogia i botanika także podciągnięte zostały pod ten szczęśliwy wyjątek, nie pomnę.

Jaka nastąpiła po tem rozporządzeniu desperacya i jaka dla uczniów i nauczycieli trudność, niemożna sobie wyobrazić. Po niemiecku umieliśmy wszyscy, czytaliśmy, tłómaczyli, pisali zadania, mogli się trochę rozmówić; ale w tym języku się uczyć, myśleć, odpowiadać, nie potrafił żaden, i poprostu uczyliśmy się z książek całej lekcyi na pamięć, żeby mózgi jako tako odpowiedzieć. O tem co w tej lekcyi było, o tem żeby ją rozumieć i umieć naprawdę, nie było prawie mowy, nie było na to czasu, bo cały trzeba było na to poświęcić, żeby tę nieszczęśliwą lekcję wybębnić po niemiecku. W siódmej klasie było nam zawsze równie przykro, niechęć do narzuconego języka nie ustawała tylko rosła, ale było już cokolwiek łżej; nabrało się tyle przynajmniej wprawy, że tylko niektóre frazesy z książki zatrzymywało się dosłownie w pamięci, a między te wstawiało się już własne, jakie Pan Bóg dał a chwilowa inspiracya podsunęła. Profesorowie rozumieli oczywiście nasze położenie prawdziwie rozpaczliwe, i byli względni, ale profesor języka niemieckiego nigdy nas przebłagać i ująć nie potrafił.

Prawda, że nie miał ani daru ani natury po temu. Był nim X. Eugeniusz Janota, Szlązak, zmarły przed kilkoma laty jako wybrany przez Radę miejską krakowską członek Rady szkolnej krajowej. Dziwny człowiek, a w każdym razie nie na to stworzony, żeby z młodzieżą mieć do czynienia. Serec miał z pewnością dobre, a młodość zasłużoną i sympatyczną. Szlązak urodzeniem, a Polak uczuciem, jako student jeszcze krzewił jak mógł to uczucie na Szlązku. Przez to dostał się do więzienia; z niego wyszedłszy, nie mógł już kończyć nauk i jeden miał zawód otwarty, jeden sposób do dalszego kształcenia się i do życia..... pójść do seminarjum a potem na księdza. To zapewne musiało skrzywić jego naturę i jego życie, może nawet i jego zdolności. Zdolność była niezawodnie, ale głowa była jakaś niejasna, zaprzątnięta różnemi rzeczami, filozofią, lingwistyką, naukami przyrodniczymi, szukająca zapewne w tych wszystkich kwe-

styach istoty rzeczy i samej rdzeni prawdy, niezdolna w niczem i z niczem, ani z sobą zwłaszcza dojść do zgody i jedności. Do tego rozstroju, któryśmy instynktem czuli w jego osobie i w jego nauce, przyczyniać się musiała wiele, może głównie, sprzeczność między stanem a przekonaniem, między tem do czego stan obowiązywał, a do czego ciągnął umysł i natura. Książdz bez powołania i wiary, musiał być bardzo nieszczęśliwym, gryść się wewnątrz, szarpać i targać w położeniu bez wyjścia. Na pierwsze wejrzenie zadziwił nas i zgorszył książdz bez obojczyka, bez tonzury, za to z długimi włosami i długimi spodniami. Nie wiedzieliśmy, że w jego kraju rzecz to zwyczajna, i z tego wnieśliśmy, że to książdz jakiś nie taki jak wszyscy. Lepsza znajomość potwierdziła to wrażenie. Mówiliśmy o nim, że taki jak on musiał być Luter przed rokiem 1517. Raz miał dla nas niedzielną exortę, szliśmy na nią z niemalą ciekawością, wyszli zbudowani. Takie szlachetne prawidła, taka czysta i wzniosła moralność! Tak zdziwionych i podziwiających złał nas Szujski: „czyż nie widzicie, że takąsamą naukę mógł powiedzieć „ksiądz luterski, kalwiński, szymatycki, albo nawet aryański?” Oprócz dwóch protestantów i jednego żyda, byliśmy wszyscy w klasie katolicy i wszyscy poprostu, nie myśląc ani chcąc szukać w niedowiarstwie czy chluby czy prawdy. Ale żaden nie pomiarkował, żaden się nie przelał tego neutralnego gruntu, na którym wszelkie wyznania mogły się spotkać i pogodzić w powszechnej obojętności, tylko jeden Szujski.

X. Janota, o ile go dziś sądzić mogę, miał rozumu dużo ale rozum niejasny, nauki zapewne więcej niż rozumu; miał serce dobre, które przy klasyfikacjach i examinach okazywało się nawet bardzo litościwem; dobrego wychowania i taktu bardzo mało, najmniej daru uczenia. Kiedy pierwszy raz do nas na lekcję przyszedł, kazał nam nie nie powiedziawszy wziąć papier i pióra i pisać, i zaczął nam dyktować coś o jakimś gotyckiem *E*, które miało różne brzmienia i znaczenia, a w języku późniejszym nabrało jeszcze innych; dla chłopeów, którzy o lingwistyce naturalnie nie mieli najmniejszego wyobrażenia, którzy pierwszy raz w życiu usłyszeli słowo *mittelhochdeutsch* i nie wiedzieli co ono znaczy,

byłoto nie do zrozumienia i nie do pojęcia. Bez żadnego wstępu, bez żadnego objaśnienia, porwać ich *in medias res* i dyktować jakieś najnowsze wiadomości o gotyckiem *E*, byłto osobliwszy początek nauki. Gdyby przynajmniej po *E* było nastąpiło *A*, *U* i inne gotyckie litery aż do *Z*, może w ciągu i związku bylibyśmy poznali, że w tem jest jakaś treść i jakaś nauka. Ale niebawem porzucił nauczyciel *E*, a zaczął nam dyktować co innego: „Nehmt's euch ein Stück Papier und schreibts: *Einige Bemerkungen über das All.*“ Czy ten tytuł był, jak Szujski do końca utrzymywał, rzeczywiście podyktowany, czy też rzeczywiście przez niego złośliwie wymyślony a przez klasę z zapalem przyjęty, przypomnieć sobie nie mogę; to pewna, że długo uczyliśmy się *Einige Bemerkungen*, w których były jakieś dla nas niezrozumiałe dySSERTACE *über das Wahre, Schöne, und Gute*. *E* zapomniane w jesieni roku 1852, zabłysło znowu na krótko z wiosną 1853; *Bemerkungen* także paroksyzмово wracały, a przerwy między nimi wypełniońe były opowiadaniem obszernem wszystkich średniowiecznych poematów: *Nibelungen*, *Gudrun*, *der kleine Rosengarten*, *der grosse Rosengarten*, i tak dalej. Przynajmniej to łatwo było spamiętać i nauczyć się. Dziś wspominając tę naukę miarkuje się, że *E* miało być początkiem systematycznej nauki języka, *Bemerkungen* prowadzić do estetyki, a opowiadania służyć za naukę średniowiecznej literatury niemieckiej. Ale podówczas żaden z nas tego celu się nie dorozumiewał i naprawdę dorozumieć się nie mógł. A że prócz tego ksiądz Janota zawsze ponury nierzadko był niegrzeczny, i nieraz używał do nas wyrazów, które naszą godność wielce obrażały, więc nie miał u nas lask żadnych. Z głębokiej nienawiści spuściliśmy dopiero, kiedy przy examinie dojrzałości pokazało się, że był łagodny i względny, ale wtedy już było zapóźno. Ze wszystkich ówczesnych uczniów Szujski choć się śmiał z *E*, a wymyślił złośliwy tytuł *Einige Bemerkungen über das All*, jeden może lubił go dla jego przymiotów, może dla jego smutków, i jeden z nas zachował z nim stosunki: odwiedzał go niekiedy po skończeniu gimnazjum.

Ksiądz Staroniewicz (Jan), katecheta, młody, wesół, z figlarnemi śmiejącemi oczyma, nudził nas prawdę mówiąc

niemalo. Jego dogmatyka zwłaszcza była zawila, trudna do zrozumienia, i sucha. Do tego udawał zlego i czasem nas straszyl; my naturalnie udawalismy nieustraszonych, z czego wynikaly niekiedy stosunki naprezone. Ksiadz pilnowal swego obowiazku i nas, zebyśmy lekye umieli a mszy i exort nie opuszczali; raz (byloto juz w osmej klasie) zwrócił uwage na to, ze do kościoła chodzimy bez ksiazek. Naprawde, nie miał racyi; w niedziele przynosiliśmy je prawie wszyscy, w dzien powszedni (msze w lecie bywały codzienne) — obladowani ksiazkami szkolnemi nie bralismy juz ksiazek do nabozenstwa, tembardziej, zesmy wtedy jeszcze podczas mszy wszyscy spiewali, osobny chór zaprowadzono dopiero kiedyśmy mieli wychodzic z gimnazyum. Ksiadz grozil, ze nas będzie skarzył, jezeli zobaczy w kościele bez ksiazek: wtedy na zlosc zostawialismy je w domu. Oskarzył wreszcie, i dyrektor nakazal chodzic z ksiazkami. Wtedy wielka demonstracya. Na nastepną niedziele zmówilismy się przyjsc z ksiazkami, ale nakaz i księdza obrócić w śmieszność. Dane bylo haslo, zeby przynieśc ksiazki jak największe; kto nie miał bardzo wielkiej, przynosil kilka, całą bibliotekę mniejszych (tak zrobil Szujski), i sztukował się koronkami i różańcami. Tak uzbrojeni poszliśmy do kościoła parami, dając tem uczuc, ze się z nami obehodzą jak z żakami niższego gimnazyum; każdy niósł przed sobą w dwóch rękach swoje *quarto* czy *folio* (były tam biblie, żywoty Świętych, były i słowniki) — rozkładalo się to na ławkach i z wielkiem nabozenstwem całowało się kartki, obrazki albo medaliki. Demonstracya skutkowala, bo po tygodniu chodziliśmy jak nam się podobalo, z ksiazkami lub bez nich, a ksiadz patrzal przez szpary.

Poczeiwy ksiadz! sierdzil się i srozył, a w biedzie ratował. Ile razy zdarzyło się, ze przy wizycie inspektora — straszego pana Czerkawskiego — ba, przy samej maturze ksiadz mrugał, szeptał, podpowiadal, a tak zgrabnie jak zeby sam był studentem. Przy maturze naprzyklad pytał ostro o datę jakiego Soboru lub czego innego, a kiedy inspektor wlepił oczy w studenta jak ryś w kozłatko, ksiadz za jego plecami pokazywał na palcach tę datę, którą się czytalo gładko jak z ksiazki. Trzeba bylo widzieć minę jaką wtedy

robił, sprytną, drwiącą, i oczy, które razem śmiały się do studenta z inspektora i mówiły mu niecierpliwie: „śpiesz się ośle, żeby się nie spostrzegł.“ Umarł młodo, niedługo jakoś po naszym wyjściu z gimnazjum, a na wielkim examinie pewno znalazł miłosierdzie, jak je miał dla nas przy małych.

Profesorem języka łacińskiego i greckiego był Oskard (Andrzej). Niezgrabny w ruchach, twarz jak gruszka wąska od góry, szeroka u dołu, wielkie obwisłe wąsy, głos jakiś twardy i trochę belkoczący; z tego wszystkiego śmialiśmy się trochę, bo jakże nie śmiać się z profesora! Aleśmy go lubili, bo ponury napozór, naprawdę był grzeczny i łagodny: i mieliśmy dla niego respekt, bośmy czuli, że i sam umie i uczy doskonale. Nie puścił człowieka, dopóki mu w najciaśniejszy kąt głowy nie zapchał wszystkich aoristów regularnych i nieregularnych, wszystkich wyjątków, wszystkich reguł tak, że musiały utkwic nadługo. W rzeczach stylu i estetyki mieliśmy się za mądrzejszych od niego; drwiliśmy naprzykład, kiedy czytając z nami Horacyusza i robiąc analizę, pytał nieodmiennie: „*wo liegt hier das poëtische*,“ a rozumiał przez to jakąkolwiek *figurę*, kiedy my romantycy wiedzieliśmy, że *das poëtische* to jest coś co się określić i wskazać nie da natchnieniem, święty ogień, iskra gieniuszu i tak dalej. Śmialiśmy się, kiedy swoim tubalnym głosem deklamował zakończenie jakiejś strofy Sofoklesowego chóru *Teon te tan hypertatan Gan!* Ale co który do dzisiaj po łacinie umie i pamięta, co który ma wyobrażenia o Grekach, choć i po grecku zapomniał, to Oskardowi jest winien. I jemu Szujski, że jeden naprawdę umiał i że nie zapomniał; jemu my wszyscy, że Szujski mógł tłómaczyć Aristofanesa i Eschyła.

I ten nie żyje; skończył smutno, w ciężkiej chorobie, w przystąpie obłąkania, jako inspektor szkół we Lwowie. Wdzięczne i pełne uszanowania wspomnienie słusznie mu się od dawnego ucznia należy.

Gołębiej, anielskiej dobroci i cierpliwości był pan Gralowski (Ignacy), w potocznym studenckim języku Gralon, profesor matematyki i fizyki. Tyle tęgi i zamilowany w swoim przedmiocie, ile w obejściu cichy i nieśmiały, tłómaczył jasno, doskonale, kładł swój przedmiot jak łopatą w nasze głowy, a było ich twardych i opornych wiele. Jak on się

biedny bał, jak drzał, żeby któremu z nas nie zadać pytania, któregooby ten nie umiał! jak ostrożnie macał i badał nim je zadał, jak pomagał i naprowadzał na dobrą drogę, kiedy kto z niej zбочył w dowodzeniu! jak zręcznie zastaniał nasze pomyłki przed inspektorem, który na szczęście matematyki i fizyki nie umiał (przynajmniej tego jednego!). Ten nie miał w klasie jednego nieprzyjaciela. Kto najbardziej niecierpiał i najbardziej nie umiał matematyki, ten jej przebaczał dla miłości nieocenionego matematyka, a przy maturze żegnając się rozkosznie z kredą i tablicą na resztę życia, żałował ich przecie, bo się przez to i z nim rozstawał.

Dyrektor Klemensiewicz (Ludwik), uczył się w szkołach galicyjskich, potem w Wiedniu, z Wiedenką się ożenił; to wszystko sprawiło, że sobie popsuł język. Mówił słowami polskimi, ale niemieckimi zwrotami. Kiedy naprzykład krzyknął: „wy nie musicie robić tego a tego,“ echo tego błędu rozlegało się po wszystkich klasach na wielką naszą uciechę. Popularny między nami nie był, wydawał nam się zbyt uległym i rządowym; doskonały był i jako profesor i jako dyrektor. Nas uczył mineralogii, później botaniki, a przez jakiś czas dla choroby p. Gralewskiego, czy też z jakiego innego powodu, matematyki. Niemożna uczyć lepiej; miał taki dar ujęcia tego co w przedmiocie najistotniejsze, i wyłożenia tego jasno, krótko, organicznie, że to co mówił, rozumiało się odrazu i samo szło do głowy. Nie nudził przytem, lekye były zajmujące. Ścisły bardzo, przestrzegający porządku i przepisów, a według naszego ówczesnego pojęcia straszny rygorysta i *pedant*, nie był bynajmniej zbyt surowym, a tem mniej niesprawiedliwym. Miny czasem robił groźne i straszyl nas swoją powagą, nie bez skutku trzeba wyznać, bośmy się go porządnie bali. Ale jak tę szkołę trzymał, jak prowadził, jak umiał być naprawdę zwierzchnikiem i nad nami i nad profesorami. Zdarzały się naturalnie za jego rządów silne opozycye, czasem nawet gwałtowne rewolucye, ale nie zdarzyło się nigdy nic zdroźnego, nie brzydkiego, nie coby honorowi uczniów przyniosło ujme, a żadnemu nie przeszło przez głowę być czem innem jak uczniem, i czuć się powołanym czy uprawnionym do czego innego, jak do dobrego stopnia przy końcu półroczu. Tyrania była sroga, i ciężka obraza naszej

godności, kiedy raz dyrektor przeczytał nam nieludzki, niezgodny z duchem wieku ukaz, z którego dowiedzieliśmy się, że „nie musimy“ chodzić z laskami, palić cygar, chodzić do cukierni i kawiarni, ani do teatru bez pozwolenia i dozoru. Czytaliśmy wiele Schillera i porównywaliśmy siebie do nieszczęśliwych Szwajcerów, dyrektora do Gesslerera. Czyśmy go zupełnie słuchali? Oczywiście nie: bo nie mógł kontrolować, czy który był w cukierni albo nawet w teatrze; a co do cygar, tych naprzód jeszcześmy palić nie zaczęli, a potem na złość, w odległych kątach i zaułkach, gdzie byli pewni, że ich nikt nie zobaczy, ale zawsze *na ulicy*, najśmielsi chodzili czasem z cygarami, i z heroicznem postanowieniem, że jak się gdzie jaki *belfer* pokaże, to cygara z ust nie wyjmą — jeżeli to będzie belfer z niższego tylko gimnazjum.

Tym z profesorów, który na nas działał najsilniej i piętno swego wpływu wycisnął na naszych umysłach na całe życie, był Zygmunt Sawczyński. Byliśmy w piątej klasie, kiedy przyjechał z Tarnowa (jako *supplent*) do naszego gimnazjum. Pewnego dnia popołudniu, zamiast starego profesora Kulawskiego, długiego, chudego, kaszłającego, w długim surducie i wysokim halsztuku, przyszedł na lekcję historii dyrektor — podówczas p. Małecki — prowadząc za sobą młodego człowieka w paltoście cynamonowego koloru (bardzo wtedy modnym), z czarnymi oczyma i czarną brodą, szlachetnych regularnych rysów i pięknej postawy, i przedstawił go jako następcę p. Kulawskiego. Sam widok zadziwił nas niemało. Przywykli do najszanowniejszych, ale z pozoru trochę śmiesznych zabytków dawnego liceum, ubranych jak się ubierano w pierwszych latach wolnego miasta Krakowa, zaniebanych, nie bez tabaki, czasem rubasznych, nie mogliśmy pojąć, że profesor może być podobny do ludzi, ba, wyglądać ładniej od najświetniejszych elegantów z ósmej klasy, na których patrzaliśmy z taką cześcią i zazdrością. Zamiast czytać katalog albo nam dać jaką *reprimendę a conto*, młody profesor zaczął mówić. Mówił o Grecyi (braliśmy historię grecką), o Maratonie i Milejadesie, o Periklesie i Platonie, o rzeźbiarzach i o poetach, o bajecznych i prawdziwych bohaterach; a my słuchali wpatrzeni jak w tęczę, wstrzymując

dech żeby nie przerwać, oczarowani tak, żeśmy nie wiedzieli co to jest, z kąd taki człowiek, dlaczego cały świat o nim nie wie i nie mówi. Pierwszy raz w życiu słyszeliśmy człowieka pięknie mówiącego: sam głos (do dzisiaj przepyszny) brzmiał jak muzyka, a słowa i okresy płynęły tak szybko, tak się składały w jakieś obrazy malownicze, tak co chwila zdumiewały nas myślami i wiadomościami dla nas nowemi, że kiedy się skończył ten wstęp do historii greckiej a z nim godzina, byliśmy nie w zapale ale prawie w delirium. I to nas głaskało po sercu, podnosiło we własnej opinii, że mówił do nas nie jak do żaków, ale jak do młodzieży dorosłej — (to było jego wadą, że wykłady były uniwersyteckie, na gimnazjum za wysokie) — ale nie miłość własna, tylko urok jego słów i urok treści, Maraton, Termopile, Temistokles i Aristides, to sprawiło żeśmy byli podbici, i na tego nowego profesora patrzali, jak żeby sam był jakim herosem albo półbogiem.

Że w nas bardzo obudził ciekawość do historii i do literatury, cześć dla tego co w jednej czy drugiej piękne: a nadewszystko myślenie, którego bardzo stanowczo żądał, które cenił w nas i chwalił gdy dostrzegł, to pewna. W uczuciach, zwłaszcza patryotycznych, nie mówiąc o nich, rozumieliśmy się doskonale i ufali mu zupełnie. O przekonaniach u takiej dziatwy mowy być nie może, ale wyobrażenia jego udzielały nam się, i naszym własnym instynktom odpowiadały doskonale. Przy każdej leceyi historii czuć było doskonale, kto miał dobrą a kto złą sprawę; czuć było różnicę między naprzykład Henrykiem IV a Ludwikiem XIV; nie brakło nigdy wyraźnej wskazówki, kogo można zupełnie szanować, a kogo nie. Ze szkół austryackich, zatem na niemieckich książkach głównie kształcony, i jako historyk obowiązany znać je, dziwnie jednak mało, zwłaszcza jak na człowieka młodego, niemi przesiąkł. Czy w siódmej klasie sprawa Inwestytury czy w ósmej historia Reformacyi, nie była wcale niemieckim duchem dotknięta; ani Lutra nie nauczyliśmy się uważać za bohatera, ani świeckiej władzy przeciwko kościelnej zawsze słuszość przyznawać. Jakich książek trzymał się najwięcej? Miał ich bardzo wiele, wszystko co najslawniejsze i najnowsze w starożytnej czy nowszej historii;

w jego ręku wszakże najczęściej może widziało się Rankego i Leo, a co do rozmiarów swego wykładu, choć z przepisany-m Pützem na katedrze, trzymał się najwięcej Webera. Historii polskiej nie było wcale; podług Pütza ani nauczyciel uczyć, ani uczniowie uczyć się nie byliby checieli; inaczej uczyć nie było wolno. Trzymano się w gimnazyach sławnych podówczas słów Mausa profesora uniwersytetu lwowskiego, który doszedłszy w wykładach do historii polskiej, powiedział słuchaczom: „*Jetzt sollte ich polnische Geschichte vor-tragen, aber wie ich wollte darf ich nicht, wie ich müsste will ich nicht, so will ich lieber nichts sagen.*“ W literaturze polskiej opierało się wszystko na ustnym wykładzie. Dla przypomnienia mieliśmy (niektórzy) Majorkiewicza i tym sobie w przygotowaniu pomagali, ale profesor nie trzymał się go wcale.

Co w nas Sawczyński rozwijał bardzo, bez osobnego zamiaru. samym wpływem swego słowa i sposobem przedstawienia rzeczy, to zmysł estetyczny i krytyczny. Ten ostatni niechęący może aż zanadto. Z wzrokiem bardzo bystrym na piękności jak na błędy, łączył wielki dar wykazania i określenia jednych jak drugich, a że miał wiele humoru i attykiewej soli, więc biada zlej książce albo głupiemu pisarzowi, o którym mówić mu przyszło. My, zachwyceni tym humorem naśladowaliśmy (nie Szujski jednak) jakieśmy umieli, a żeśmy nie bardzo dobrze umieli, więc humor stawał się zwyczajem uszczypliwości i wyśmiewania. Humor ten szkodził poniekąd Sawczyńskiemu i sprawiał, że na fanatyków wielu (Szujski do nich należał) miał w klasie i nieprzyjaciół. Bardzo wymowny, nieraz porywający, kiedy mówił poważnie, lubił i umiał bardzo ładnie czy w rozmowie czy na lekcji, mówić tonem poufałym, żartobliwym. Często mówił rzeczy bardzo poważne, nawet smutne, przez taką *oratio obliqua*, pod taką maską humoru i lekkiej ironii. Pod tą maską łatwo było rozpoznać głębokie, szczere, czasem aż rzewne uczucie, które tem więcej może robiło wrażenia, że było cokolwiek przy-słonięte. Kto się na tem poznał, ten najczęściej próbował naśladować; kto nie, a pedanci zdarzają się i między studentami—tego gniewał ten ton albo gorszył; a kiedy się zdarzyło, że na którego z nich spadł jaki żarcik, krzyczeli jak żeby ich

ze skóry obdzierano, że profesor proteguje jednych a prześladowuje drugich. Byłoby bardzo niesprawiedliwie. Każdy profesor w każdej klasie musi mieć uczniów których więcej i takich których mniej lubi, ale ten ani dla jednych zbyt względny ani dla drugich zbyt ostrym nie był, a jego humor i dowcip spadał na wszystkich, z tą różnicą, że jedni się obrażali, drudzy nie.

Szujski, więcej od nas wszystkich samodzielny i wyrobiony, przepadał za Sawczyńskim jak inni i wpływ jego chętnie przyjmował, ale mu nie ulegał tak ślepo. Pozwalał sobie myśleć inaczej, sądzić inaczej, mieć swoje zdanie czasem wbrew zdaniu tamtego. Śmielszy był z nim i poufalszy może i skutkiem dawniejszej z Tarnowa znajomości; wierszy mu jednak swoich nie pokazywał; może się bał nie krytyki, ale jakiego żartu, a żart w tę stronę jego serca wymierzony byłby mu bolesnym.

Po klasie rozeszło się to niebawem, że on pisze wiersze. Müller powiedział to pod sekretem tyłu, że się dowiedzieli wszyscy. Wtedy ciekawość niepołamowana i nieskończone przemyśliwania nad pytaniem, coby zrobić, żeby te wiersze od niego dostać. Sposób najprostszy był poprosić go, ale ten był za prosty. Wstyd się przyznawać nawet po tylu latach do głupstw dziecinnych, nie dlatego że były głupie, ale dlatego że nieładne, podstępne, i w złym zamiarze podejścia i wyśmiania robione. Miałem się — w siódmej klasie, później już nie — za bardzo przebiegłego dyplomatę (*as boy I thought myself a clever fellow*) i z tryumfem wpadłem na pomysł, żeby Szujskiego złapać na fałszywe zwierzenie, wywieść go w pole, a jego wiersze dostać do czytania. Czytając właśnie na lekcjach angielskich Manfreda, napisałem dramat fantastyczny, tytułu nie pamiętam, wierszem, w którym nie było ani rymu ani miary, ale było pełno widm, duchów, nimf wodnych i lądowych, rycerzy, zamków, cmentarzów i djabłów, i wiedząc doskonale, że to wszystko za grosz sensu nie ma, śmiejąc się naprzód z mojej ofiary, nieśmiało, ze spuszczeniem oczyma, wyjąkałem Szujskiemu konfidencję, że piszę wiersze i chciałbym mu je pokazać, ale w zamian proszę żeby mi pokazał swoje. On, ze swoją gołębią prostotą, ani się domyślał zdrady (której ja do końca podobno wyznać

mu nie miałem odwagi); przeczytał, nie pochwalił, i zaraz bez najmniejszej trudności przyniósł swoje. Były, trzeba powiedzieć, bardzo złe. Dramat fantastyczny także, tylko historyzoficzny jak *Irydion* (ale wierszem), — w prologu i w epilogu występowała Roma jako duch, i miewała czułe schadzki ze swoim kochankiem szatanem, który się nazywał Anonymos, a między tym prologiem i epilogiem odgrywał się dramat, którego treścią była śmierć Cezara. Cezar był wciele niem wszystkich złych sił człowieka i ludzkości, narzędziem w ręku owego Anonymosa, a bohaterem był naturalnie Brutus, dla większej tragiczności czuły i kochający mąż córki Cezara Julii. Dlaczego to dał czytać, kiedy miał pełno rzeczy lepszych, a niektóre nawet bardzo ładne? Dlatego, domyślam się, że był wtedy bardzo opanowany, opętany dramatem fantastycznym i filozoficznym, przejęty nawskróś Faustem, Manfredem, Irydionem. Ten Cezar nie był jedynym w swoim rodzaju; był drugi, *Mysław*, bez ogródki już o polskich i dzisiejszych rzeczach, którego wyjątki tylko znałem, a w którym, sądzę, że Szujski myślał i o sobie samym, bo zdarzyło się nieraz, że w tem co wtedy pisał, dawał sobie to imię Mysława. Tadeusz Wojciechowski, dziś profesor historii polskiej w uniwersytecie lwowskim, czytał prócz tych z tego samego czasu jakiegoś *Nerona* i jakąś balladę o *Herostracie*, których ja nigdy nie znałem.

Te wiersze i rozmowy o nich zbliżyły nas do siebie. Zaczęliśmy się wzajemnie szukać, chodzić do siebie: to jest my inni do niego, bo jemu matka bardzo mało wychodzić pozwalała. Mieszkał z nią (naprzód na ulicy św. Józefa, w domu narożnym od Grodzkiej, świeżo po pożarze r. 1850 odbudowanym, naprzeciw kamienicy dziś Stadnickich, a wtedy naszego kolegi Jagielskiego — mieszkanie zmieniali bardzo często) samotnie, a te odwiedziny kolegów musiały mu wychodzić na dobre, wnosły trochę wesołości do mieszkania. Matkę kochał nietylko jak każdy dobry syn, ale najgorętszą miłością swojego serca większego od innych, uwielbiał fanatycznie, utrzymywał do śmierci, że wszystko co w nim było dobrego, to miał od niej, wziął z jej serca i jej rozumu. Syn z rysów był do niej podobny, tylko jego rysy jako męskie były drobniejsze niż jej rysy na kobietę, a wyraz był taki

zadumany, znękaný i smutny, że aż nam się twardym wydawał. Wyglądała bardzo staro, na babkę raczej niż na matkę tego młodego chłopca; może nam się tylko tak wydawała, bośmy byli bardzo młodzi; w każdym razie musiała tego syna mieć w wieku już dość późnym, bo sama opowiadała, że była w Wiedniu podczas kongresu na jakimś balu, a więc nie była już w r. 1815 dzieckiem ale panną, choć zapewne bardzo młodzieńką. Znajomi, którzy ją pamiętali młodą, mówili o niej jako o osobie bardzo ładnej, przyjemnej, starannie wykształconej. My znaleźmy tylko osobę złamaną i przybitą. Smutków i nieszczęść miała w życiu wiele, zdrowie (w tych przynajmniej latach) ciągle bardzo złe, dochody szczupłe, a konieczność wystarczenia niemi na wychowanie syna, które prowadziła sama. Ta odpowiedzialność, te częste majątkowe kłopoty, dręczyły ją i trawiły. Odmawiała sobie wygod najprostszych, byle synowi zostawić wieś oczyszczoną z długów. Nie skarżyła się i nie mówiła o swoich smutkach nigdy; musiała mieć dużo siły, a może trochę dumy w charakterze; ale to wszystko otaczało ją taką ponurą atmosferą smutku, że jej osoba i dom robiły takie wrażenie zawsze, jak inne świeżo po wielkim nieszczęściu. Nie przypominam sobie, żebym był kiedy widział uśmiech na jej twarzy. Jedyńaką swego kochała całą duszą, a duszą niewątpliwie głęboką i silną, ale zanadto przy sobie trzymała, zamało dawała mu wolności. W tej samotności i w tej atmosferze smutku rósł chłopiec; matka znajomości nie miała i nie szukała. Czasem odwiedzały ją siostry, jedna wdowa pani Książka, druga panna, niemłode także i nie wesołe, znękane; prócz nich nie pomnę żebym tam kogo spotkał. Wszystkie godziny wolne od szkoły, wszystkie przez całe życie wieczory, spędzał syn przy niej, a choć przy niej, wiele samotny, wiele odbiegający daleko myślą i wyobraźnią, wiele zwłaszcza zagłębiający się w siebie. Nic dziwnego, że rósł smutno i na swoje lata za poważnie, a jego wykształcenie nad wiek, zwłaszcza nad wiek szerokie myślenie i ustalone przekonanie, musiały być owocem tych długich samotnych rozmyślań, przerywanych tylko rozmową, kiedy trzeba było matkę zabawić albo pocieszyć. Rozmowy te były oczywiście i częste i długie,

a matka ze wspomnień i doświadczeń swego życia dobywała co mogła, żeby syna zająć, nauczyć albo zabawić. Chłopiec prawie nie znający ludzi z jej opowiadań poznawał świat, a ona widząc że słucha ciekawie, nie szczędziła opowiadań. Pamiętała mnóstwo drobnych zdarzeń, poważnych lub komicznych, z dawniejszego wiejskiego życia, mnóstwo charakterystycznych rysów obyczajowych, a syn słuchał ich nie z ciekawością ale z namiętnością, i w tych rozmowach tkwił niewątpliwie początek tej głębokiej psychologicznej znajomości dzisiejszej szlachty polskiej, a zarazem tego poetycznego jej pojmowania, które w dalszych latach rozwinęły się tak świetnie. Ani śmiem ani chcę przeczyć temu co on sam mówił, że wpływ matki na jego duszę był ogromny i zbawienny; jej z pewnością trzeba przypisać zasługę, że uczuciom syna starała się nadać kierunek szlachetny i wysoki; jej ten grunt bardzo silny uczuć religijnych w jego duszy, które, jak się pokazuje, były już w tych latach przekonaniem; miłość Ojczyzny i godność, honor, musiała także pielęgnować pilnie, bo te uczucia obok miłości syna poznać w niej mógł nawet obcy człowiek. Być może że i rozum syna kształciła, ale sądziłbyin raczej, że dawać mu mogła rady i uwagi dobre, jakie matka zawsze znajduje w swoim sercu a ma z łaski Bożej, a w jego głowie dopiero ta myśl kształciła się i rozwijała do niezwyklej wzniosłości i mądrości, którą on nie sobie tylko jej przypisywał. Że swoją naukę, że to mnóstwo czytania, że swoją pasyę pisania i tworzenia winien był sam sobie, to pewna, bo ona raczej patrzyła na to niechętnie, czasem wzywała pomocy kolegów, żeby *Józia* zwracali do rzeczy praktycznych.

Koledzy uznali w swojej mądrości, że *Józio* zanadto jest przyszyty do spódnicy i krótko trzymany, że więdnie jak roślina bez słońca i powietrza, że trzeba go koniecznie z tej piwnicznej grobowej atmosfery wyrwać. Zawiązał się w klasie formalny spisek przeciw biednej matce. Ci z nas, którzy mieli u niej większe łaski — (*Piliński*, *Jagielski*, ja, *Müllera* najbliższego przyjaciela syna nie lubiła weale) — szli prosić, żeby go puściła z nami na spacer. Nie często się to udawało, ale jednak czasem. Tylko zawsze z wyraźnem oznaczeniem godziny. „*Józiu*, wrócisz za trzy kwadransy“

(jeżeli za godzinę, to już była wielka łaska) „na pańską odpowiedzialność.“ — Naturalnie, proszę Pani, wróćmy na czas, Józio się nie spóźni i nie mu się złego nie stanie — „na moją odpowiedzialność.“ A tymczasem spisek właśnie to miał za cel, żeby się Józio spóźnił i przyzwyczaił trochę buntować. Zagadać go i zabalamucić było łatwo, a radość wielka, kiedy pozwolone trzy kwadransy przeciągnęły się do czterech lub pięciu. Oczywiście biedny chłopiec musiał potem za tę naszą konspirację i uciechę płacić, znosić bury i przepraszać. Na dłuższe całodzienne, a cóż dopiero parodniowe ekskursje, które dla nas były największym szczęściem, passyą, i szczytem wolności o jakiej marzyć było można, ani razu Szujski pozwolenia nie dostał.

Te spacery w pogodny zachód słońca, albo w południowych godzinach we mgle takiej, jak w szóstej księdze *Pana Tadeusza* — Szujski lubił przez Błonia pójść na Zwierzyniec, siaść pod okrągłą drewnianą kapliczką koło ś. Salvatora i patrzeć ztamtąd na Wisłę i na góry — ile się w nich głupich rzeczy mówiło, a ile się dobrych znalazło lub obudzilo, ile na zawsze zostało! Raz wybraliśmy się na taki spacer z wyraźnym umówionym zamiarem, żeby sobie powiedzieć wszystko co jedni o drugich myśleli. Czuliśmy jedni i drudzy, że nam nawzajem niejedno nie dogadza lub się nie podoba, a chcieliśmy się zbliżyć; czuliśmy, żeśmy powinni. Wystąpiły tedy różne zdania, sądy, krytyki czy rady. Jedna strona, Piliński i ja, mówiła Szujskiemu, że nie może zupełnie do niego przylgnąć, bo go widzi na fałszywej drodze i źle siebie samego sądzącym: „jesteś cały zajęty „wierszami i tylko o poezji marzysz, a tymczasem twoje „wiersze są złe. Koniec będzie taki, że się zmarnujesz „w mniemanej poezji i wyjdiesz na Antoniego Kamieńskiego „go“ (Antoni Kamieński to był profesor języka polskiego w piątej i szóstej klasie, najpoczeiwszy człowiek na świecie, ale sentymentalny jak stara panna, płaczliwy, i nie bardzo mądry). Po takim początku nastąpiła cała litania uwag i zarzutów, o zarozumiałości i rwaniu się do rzeczy przechodzących nasze pojęcie, o rozproszeniu się na wiele rzeczy i trzymaniu wielu srok naraz za ogon, z czego wyniknie, że wszyst-

kie sroki poleca; wreszcie o pretensyi w mówieniu i pisaniu o górnolotności i nadętości.

On nam znowu zarzucał zbytchny spokój przechodzący w chłód, brak uczucia i zapału, zbytchną wyłączność w przyjaźni a lekceważenie tych, których mamy za głupszych od siebie, wreszcie sposób obejścia się z drugimi „wasz nieznośny *takt*: jesteście grzeczni, zimni i ślizcy, jak starzy dyplomaści.“ Dyskusya ciągnęła się długo, każdy się bronił jak mógł, chwilami była i gorąca choć w szczerze dobrych uczuciach i w dobrej wierze, zesła wkońcu naturalnie na politykę i na przyszłość naszą i Polski. Szujski się dziwił, że my o niej nie mówimy. „Czemu wy nigdy nie mówicie o Polsce? Kto was wie, czy o niej tyle i tak myślicie jak ja?“ — Takiego pytania nie spodziewał się żaden, nie przypuszczał, żeby jemu, żeby komukolwiek bez słusznego powodu zrobionem być mogło. Była chwila przykra: mały przedsmak wielu przyjemności późniejszego życia. Ale Piliński odpowiedział odrazu i doskonale: „A ty czemu każdej chwili nie mówisz: ja oddycham! doprawdy ja oddycham! Patrzcie ludzie jak ja oddycham, pomacajcie jak mi pulsa biją! Jeżeli nie mówisz o swoim oddechu i krążeniu krwi, nie dziw się, że nie mówimy o tamtem. Jedno jest takie przyrodzone i konieczne jak drugie; mówić o tem potrzebują chyba tacy, dla których to jest albo nowe, albo nie ciągle, tylko przemijające jak paroksyzm.“ Teraz Szujski się zmieszal i nie wiedział co odpowiedzieć. Skończyło się wszystko dobrze, i ten spacer zbliżył nas do siebie naprawdę. Różniliśmy się i później nieraz i nie w jednym, ale przestaliśmy wtedy sądzić się lekko a zaczęli sobie wierzyć.

Wkrótce jakoś potem nasze uczucia, właśnie te, postawiły nas w położeniu cokolwiek trudnem. Dowiedzieliśmy się, że dyrektor sprawił portret cesarza, i że ten portret ma być zawieszonym w amfiteatrze, i uroczyste w obecności całej szkoły odsłoniętym. Dziś, kiedy portrety Franciszka Józefa widzi każdy w tym kraju z prawdziwie dobrymi i miłymi uczuciami, można szczerze powiedzieć, że wtedy było inaczej. Błędem było ze strony i dyrekeji i władz rządowych zrobić coś co niedługo po roku 1846, a tak świeżo po przekształceniu gimnazyum na niemieckie, nie mogło być ani

przyjemnem ani rzetelnem. Błędem było i nierozumem narzucać chłopcom ceremonię, której oprzeć się ani mogli ani myśleli, ale która drażniła ich uczucie i wywołać mogła wrażenie właśnie przeciwne temu, którego chciano. Nie potrzebowaliśmy naradzać się i porozumiewać co do zachowania się w tym obchodzie. Instynkt nam wskazywał a parę słów wystarczyło, żeby wiedzieć co mamy robić. Być, skoro musimy, i być wszyscy żeby nieobecni nie byli karani, a zresztą zachować się biernie i nie zrobić nic nad to, co będzie wyraźnie formalnie nakazanem. Przyszedł oznaczony dzień, przyjechał inspektor Czerkawski, o zapowiedzianej godzinie otworzyły się drzwi amfiteatru, wszystkie klasy porządkiem zaczęły wchodzić i stawać na gradusach, cztery niższe po jednej stronie sali, wyższe po drugiej. Portret wisiał na samym środku, naprost drzwi, zasłonięty zieloną firanką, stało pod nim dwóch żaczków z trzeciej klasy: Jan Stadnicki i Ferdynand Wilkosz (dziś adwokat w Krakowie), i trzymali sznury za które mieli na dany znak pociągnąć i obraz odsłonić. Zaczęło się naturalnie od mów. Inspektor Czerkawski miał mowę, w której bardzo mu za złe wzięto frazes: „*der Geist der Lüge erfand das Schibolet der Freiheit und der Nationalität*“¹⁾. Tej mowy zakończenie retorycznym zwrotem dochodziło do okrzyku *Hoch!* I zawołał *Hoch!* I znowu dziś, kiedy tyle razy ze szczerego serca wołało się i woła Cesarzowi: „Niech żyje,“ można opowiedzieć, że oprócz jednego jakiegoś dziecinnego głosiku z pierwszej czy drugiej klasy, nikt z naszych szeregów okrzyku nie powtórzył. Odpowiadał potem hr. Mercandin, ówczesny *Landespräsident*, i znowu przemówienie swoje kończył tym samym okrzykiem, w tem samem gluchem milczeniu. Głosy starsze obecnych urzędowych figur i szastanie nogami i krzesłami, hasło do wyjścia, zamaskowały cokolwiek tę ciszę dla przedsiębiorców obchodu zapewne nieprzyjemną. My byliśmy kontenci z siebie; jeden tylko biedny mały Stadnicki tak wziął do serca czynną rolę,

¹⁾ Jahresbericht des k. k. vollständigen Gymnasiums in Krakau für das Schuljahr 1853. Krakau, in der Universitätsbuchdruckerei 1853. Str. 23.

jaką mimowolnie w tej uroczystości odegrać musiał, że się ze zmartwienia rozchorował na febrę.

Był to ostatni wielki historyczny fakt w siódmej klasie, która w tych szkolnych wspomnieniach ma jakiś kolor osobny, a dziwnie pogodny i miły. Czuło się, że się żyje i że się rozwija; po raz pierwszy może czuło się, że się czuje i myśli, a wszystko, każda rozmowa z przyjacielem, każda przeczytana książka, każda lekcya Sawczyńskiego, każdy dzień letni, i odkrycie, że ten widok dawno znany, że to drzewo, że to światło padające na Zamek albo na wzgórze za Błoniami, że to wszystko ładne; każde słowo, każdy człowiek, każde drobne zdarzenie, każda chwila dnia, rozwijały i dawały człowiekowi czuć że się rozwija. Czytało się też trochę: pierwszy raz Ryszarda III, pierwszy raz Egmonta i Götza, pierwszy raz Antigone, innych nie licząc, i już z pewnym zrozumieniem, już z podziwieniem prawdziwym. Nie raz na lekcjach popołudniowych, kiedy Janota prawił przez nos o *E* albo opowiadał przygody Dietricha von Bern, przez okno otwarte wybiegał wzrok, a za nim myśl na świat; patrzyło się na liście drzew najbliższych a chciało się być za nimi, pod Zamkiem albo na Błoniach, z których dochodził odgłos bębna i trąbki od żołnierskiej musztry. Roilo się o wojsku, o Zamku, o Kościuszcze, o wszystkim co przeszło i o tem co przyjdzie. A ileż więcej roić, marzyć, tęsknić, o ile więcej tego młodego życia czuć w sobie musiał ten, który miał duszy najwięcej! Czy o dawnych czasach, o historii polskiej, dużo myślał lub marzył? Nie mówił o niej, a swego historycznego powołania z pewnością nie przeczuwał. Ale że o tej przeszłości myślał poetycznie, że ją znał, że niejedną jej postać rozumiał i odgadł i myślał poetycznie wskrzesić, na to, choć myśmy o tem nie wiedzieli, są dowody. Rozjechaliśmy się na wakacje: on z matką jak zwykle do Zbyszyc, do stryja p. Piotra Szujskiego. Naddunajeckie te widoki, z czarnymi lasami i zwałiskami zamków, nie lubił, ale się w nich kochał (pokazywał nam niejednego przez siebie rysowanego, niewprawnie, twarzo, choć ludzie mówią, że gdyby się był uczył, byłby miał talent do rysunku), a kiedy się w nie wpatrywał, z pewnością widział w tych lasach świętą Kingę, na tych drogach Jadwigę ciągnącą z Węgier po

swoją cierniową koronę. Ale nie ona stała wtedy w jego wyobraźni. Żółkiewski ze swoją śmiercią świętą a tragiczną, Żółkiewski pojony goryczą a od wszystkich lepszy, jego cierpienia, jego krzywdy, jego poświęcenie, oto co ta dusza chłopięca wyobrazić sobie i odczuć chciała. Myśmy nie wie dzieli bo o tem nie mówił, i dużo później dopiero przekonaliśmy się, że już wtedy układał w głowie *Tajemnicę Śmierci Hetmańskiej*, że wtedy napisał jeżeli nie całą, to przynajmniej ostatni jej ustęp. Jeszcze nie umiemy historii, jeszcze tych osób nie zna (Hetmanowę Żółkiewską naprzykład Anną nazywa), ale już odgaduje ich dusze, już uczucie, z jakim stary Hetman szedł pod Cecorę i ginął — i już (to najdziwniejsza może w tym wieku) poemat swój kończy myślą ekspiacyjną. Samuel Korecki, przez całe życie Żółkiewskiego wróg, jako Trynitarz poszedł wykupić głowę jego w Carogrodzie i odnosi ją wdowie, a ten synowiec Łukasz, który go od śmierci nie ocalił, zrzeka się ręki jego córki jako niegodny, i jak tamten w habicie i kapturze służy już tylko Bogu.

(Dokończenie nastąpi).

St. Tarnowski.

JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI

napisał

X. KALINKA f. R.

IV.

Wyprawa na Litwę.

(1831).

§ 12.

Z jednym pułkiem ulanów, z oddziałem stu instruktorów, oficerów i podoficerów, tyluż strzelców pieszych i dwoma działami, szedł Chłapowski na Litwę. Żołnierz był wyborowy, ale garstka nieliczna, mało co więcej nad 700 ludzi licząca. Zapytać się godzi, co chciano zrobić z taką drobną siłą; jaki cel miała ta wyprawa, w kraju od głównych działań oddalonym, a gęsto obsadzonym nieprzyjacielskimi korpusami? „Innych instrukcyj ci nie daję, rzekł do niego Skrzynecki przy rozstaniu, jak tylko — zaprowadź Litwinom instruktorów i formuj z nich wojsko regularne.“ W kwaterze głównej miano wiadomość, że w okolicach Lidy znajdowały się znaczne masy powstańców; że w powiecie trockim, wileńskim i na Żmudzi, liczba ich wynosi 30 do 40 tysięcy. Byle więc dostać się do Lidy, a pierwsze trudności będą złamane! — Zapytał Chłapowski, czy ma objąć nad powstań-

cami dowództwo, bo tam są starsi generałowie, np. Tyszkiewicz? Odrzekł Prądyński: „Zapewne poszemy tam za generałem dywizją; więc będzie i starszy generał.“

Chłapowski nie był człowiekiem, któryby się cofał przed trudnościami. Powiedziano o nim, że w przedsięwzięciach był śmiałym aż do zuchwalstwa, jakby żadnych niebezpieczeństw nie widział, a w wykonaniu ostrożnym, jakby wszystko mógł przewidzieć i nie przypadkowi zostawić nie chciał; dwa przymioty napozór sprzeczne, a jednak doskonale się uzupełniają i dostrzedz ich można niemal we wszystkich znakomitszych wodzach. By korpus swój uczynić lotniejszym, wszystkich instruktorów i strzelców powsadzał na konie, i przemknąwszy się niespostrzeżony między gwardyami rosyjskimi i armią Dybicza, wszedł do Litwy pod Mieniem, 21 maja. Świadek naoczny tej wyprawy, tak pierwsze jej dni na ziemi litewskiej opowiada. „Bohatyrski nasz żołnierz szedł ze zwykłą sobie, niedbałą na nic uwagą, większa część oficerów nie mierzyła swego poświęcenia żadną rachubą; ale znaleźli się i tacy, co nie wierząc w całą sprawę, bardziej niż kiedykolwiek widzieli powód do utyskiwania; nad sobą; szczupłość sił nareszcie w nikim nie mogła wzbudzić otuchy. Wszystkich oczy zwracały się na Generała, który wziął na siebie ster hazardownego przedsięwzięcia. W nim była teraz cała nadzieja; on też potrafił pozyskać ufność, a miał do tego wiele rzeczywistych przymiotów. Czynny i przezorny wódz, dawny i surowy żołnierz, wprawną ręką objął nową władzę, zaprowadził porządek; z siebie dawał przykład czujności i wytrwania: ostatni szukał spoczynku, pierwszy prawie opuszczał twarde posłanie ze słomy; w niebezpieczniejszych razach widziano go u każdej placówki, u każdej widety. Przechodząc tuż po za ustępującym nieprzyjacielem, niełatwo było o żywność i o pewną drogę; on jeden troszczył się o to, wyprawiał furazerów, zbierał wiadomości, wybadywał miejscowych, obmyślał kierunek każdodziennych marszów; nie radził się nikogo, dawał tylko rozkazy; chciał, aby wszystko było narzędziem posłusznem jego woli; trzymał podwładnych w ostrym rygorze. Uśmicheła mu się

zrazu fortuna, stał się duszą, bożyszczem swego korpusu; władał nim absolutnie ¹⁾“.

Tego samego dnia, kiedy przekroczył granicę, doniesiono mu, że w Bielsku stoi tysiąc żołnierzy, rekonwalescentów, z różnych pułków piechoty, którzy złączeni w batalion marszowy, dniówkę tam odbywają. Deszcz padał ulewny, grzmiały pioruny. Jenerał z całym swym korpusem, z trębaczami na przedzie, wpadł do miasteczka. Wszystko osłupiało na tak niespodziane zjawisko, poddało się bez wystrzału. Kilku oficerów przyłączyło się do swoich z radością; resztę żołnierzy wypadało rozpuścić, kazano im tylko złożyć przyrzeczenie, że w tej wojnie służyć nie będą. Broń i prochy złożono na wozy i puszczono się dalej. W tym samym czasie patrol, wysłany do Brańska, schwytał oddział stojący na straży magazynów rosyjskich. „Uśmiełem się, mówi Jenerał, na widok magazyniera, który w pełnym uniformie przyszedł mi zdać raport, jakby swemu dowódcy, o stanie magazynu.“ Były tam znaczne zapasy ziarna i sukna. Brać z sobą nie było podobna, a szkoda niszczyć, bo była nadzieja, że korpus Łubieńskiego, stojący nieopodal granicy, będzie mógł z nich korzystać; dał tedy rozkaz magazynierowi, aby pilnował tych zapasów dla armii polskiej, która nadchodzi. — Nazajutrz, w Berezowie, dowiedział się, że o milę ztąd, w Hajnowszczyźnie, na samym wstępie do puszczy białowieskiej, stoi obozem batalion rosyjski, ze szwadronem ułanów i dwoma działami, którzy pod dowództwem jenerała Lindena czatowali na powstańców w puszczy. Nieprzyjaciel był silniejszy, i tylko napadając niespodzianie, można było go schwycić. Dońcy zoczyli Polaków, dali znak. Uformowali się Rosyanie w czworobok; Chłapowski wysławszy bokiem swoich strzelców, jednemu szwadronowi kazał z frontu na piechotę szarżować. Przywitany rzęsistemi wystrzałami szwadron cofnął się; zatrzymuje go Jenerał i rzece: „Żołnierze, jeśli nie rozbijecie tej piechoty, to zsiadajcie z koni i podajcie się, bo Moskale przed nami, ale i za nami. Niemasz ratunku, tylko naprzód: marsz, marsz.“ Trafiło to do ich przekonania, poszli i rozbili, a właśnie w tej chwili uderzali

¹⁾ Wrotnowski. Pamiętniki o powstaniu Litwy. Paryż, 1833.

już strzeley. Batalion rosyjski w las, zatrzymywany powózkami, które naprzód co tchu umykały. Chłapowski każe rzucić kilka granatów między powózki, aby w nich zrobić zamieszanie i utrudnić ucieczkę. Rozproszyli się Rosyanie, rzucali broń, poddawali się, a tymczasem, na czele drugiego szwadronu, Mielżyński Maciej rozbija ułanów. Zabrano kilkaset niewolnika, jedynastu oficerów, wielką ilość broni. Żołnierzom zdjęto mundury, dano po rublu i puszczono wolno; oficerów zatrzymano. Karabiny wpakowano na wozy i wraz ze zdobytym działem oddano pod straż Karolowi Kaczanowskiemu oficerowi artylerji.

Zwycięstwo było świetne, otworzyło drogę do puszczy i do połączenia się z powstańcami, którzy tam się chronili. Ale było ich niewiele, mały oddział Ronkego i nieco większy Szröttera, z 200 strzelców złożony. Połowę z nich wcielił do nowych formacyj, które już rozpoczął, Szröttera ze stoma ludźmi zostawił w lesie, a sam trzeciego dnia, wyszedł z puszczy pod Hrynkami. Trzeba było się spieszyć; nieprzyjaciel ostrzeżony dwoma potyczkami, mógł zamknąć mu drogę. W Białymstoku stały gwardye w. ks. Michała, w Mereczu Kuruta z 7-tysięczną dywizją, w Słonimie z takążę siłą w. ks. Konstanty. Była obawa, że jeżeli ten ostatni posunie się na zachód, Chłapowski, mimo całego pośpiechu, nie będzie mógł przerznąć się do Lidy. Traf posłużył mu szczęśliwie. Patrol schwycił kuryera jadącego do w. księcia; przyprowadzono go w chwili, gdy adjutanci zdawali jenerałowi raporta; wszedł i Czwetwertyński, komendant artylerji, odziany szarą adjutanta naczelnego wodza; wszystko to zrobiło na oficerze rosyjskim wrażenie, że jest wpośród znacznej armii. Chłapowski napisał do księżnej Łowickiej, że ma rozkaz atakować w. księcia, że byłoby mu przykro spotkać się z nim, że wołałby, aby w. książę się oddalił; z tym listem puścił wolno kuryera, wysławszy za nim mocne patrole, jakby już w tym kierunku armia ruszyła. List ten przyniósł skutek pożądaný; w. książę z przestachem odczytał list. Zżymali się oficerowie rosyjsey, że jenerał buntowników śmie tak odzywać się do brata cesarskiego, ale w. książę nie zważając na to, nakazał spieszny odwrót do Mińska, Chłapowski

tymczasem przechodzi Niemen pod Zelwianami i dąży do Lidy.

Powstańców nie było; zgłaszali się pojedynczo lub drobnemi oddziałami, ale wielkich mass, które zapowiadano, nigdzie nie zastał. Bylić oni tu wprawdzie, przed miesiącem w początkach kwietnia; zebrani w mocne oddziały myśleli o pochwyceniu Wilna, ale pobici w kilku utarczkaach rozproszyli się prędko; część przedarła się na Żmudź, reszta chroniła się jak mogła. Kraj był zgnębiony, wystawiony na srogą zemstę nieprzyjaciela, który nietylko broń, ale wszelkie żelazo z miast i wiosek odbierał. Widocznem było, że pomoc przychodziła zapóźno; wyprawa przedsięwzięta o sześć tygodni wcześniej, byłaby tłumy porwała za sobą. — Obecnie, mieszkańcy nawet wierzyć nie chcieli, że to Polacy przychodzą, i dopiero gdy się przekonali, że to w istocie wojsko polskie mieli przed oczyma, okazywali radość niewysłowioną. Żywności i furazu dostarczali obficie i nie chcieli brać pieniędzy; musiał ich zmuszać do tego Chłapowski, tłómacząc się, że ma rozkaz płacić za wszystko. „W pewnej wiosce, opowiada on, gdzieśmy stanęli dla popasu koni, pani domu wraz z córkami nie dała się przekonać, żeśmy Polacy; mówiły one, że wiedzą dowodnie, iż w. książę kazał narobić mundurów polskich i w nie ubrać żołnierzy rosyjskich, aby zwieść i wylapać powstańców; boć i obu jej synów ujęto i zawieziono do Moskwy.“ Oficerów polskich z korpusu litewskiego odesłano do batalionów rezerwowych w odległych guberniach. Nadto, skoro Dybiez przybył do głównej armii, ogłoszono, że wszyscy oficerowie polscy, którzy nie chcą być z rodakami, mogą się zgłosić i będą puszczeni wolno do domów. Zgłosiło się ich 1,100; zaraz ich aresztowano i pod eskortą odprowadzono o tysiąc przeszło wiorst. „Gdyby Bóg, dodaje generał, nie był pomógł w głowie Chłopickiemu, ci wszyscy byliby z nami, bobyśmy przed Dybiezem stanęli na Litwie.“

Z jeńców polskich wziętych w Bielsku i pod Hajnowszczyzną, a także z ochotników, którzy przybywali, Chłapowski począł tworzyć pułk piechoty, pod dowództwem Maciewicza, pułk strzelców konnych pod komendą Grabowskiego, i nareszcie nowy pułk ułanów pod Gedrojciem; a gdy przy-

jechał Sołtan, dawny pułkownik armii napoleońskiej, oddał mu tę brygadę nowej jazdy. Broni i prochu było podostatkiem, wieziono je na stu powózkach za oddziałem. Ćwiczono w mustrze i obrotach nowych żołnierzy, o ile tylko czas pozwalał przy tak szybkim pochodzie.

Dnia 30 maja Chłapowski stanął w Orlande, o dwie mile od Lidy i dowiedział się, że w tem mieście stoi batalion rosyjski. Atakować go w murach, mając tylko stu strzelców i piechotę jeszcze niewyrobioną, nie było bezpiecznie; wysłał więc pod miasto z boku 300 ludzi nad ranem, na postrach, a sam z jazdą podsunął się bliżej. Komendant rosyjski nie chcąc zapewne być odcięty od Wilna, opuścił Lidę. Tego też pragnął Chłapowski; kłusem przebiega przez miasto i dogania nieprzyjaciela o 1500 kroków. Rosyanie na widok ułanów formują czworobok i wałą z dział; odpowiada im celnie Czetwertyński, a tymczasem dwa szwadrony, jeden pod Krajewskim, drugi pod Mielżyńskim, uderzają w czworobok. Obaj dowódcy dostali się w środek, za nimi ułany. Rosyanie rzucają broń, major ucieka w las; schwytny, inni oficerowie poddają się. Nie było między nimi Polaka, ale żołnierzy polskich znajdowało się wielu i ci zaraz przystali do naszych; kapelan x. Loga odbiera od nich przysięgę. Zdobyto dwa działa z jaszczykami i zapasem amunicji, kilkakaset broni, chorągiew i mundury. Czetwertyński zajął się natychmiast organizacją baterji i tegoż samego dnia miał już 5 dział z jaszczykami i potrzebną liczbą kanonierów.

Natarcie było tak gwałtowne i wszystko tak doskonale obmyślane, że z całego batalionu umknął tylko jeden porucznik artylerji i dostał się do Wilna. Ten zdał raport gubernatorowi Wilna, że silny korpus polski napadł na Lidę i że całą załogę wziął w niewolę. Gubernator miał do obrony stolicy 3000 piechoty, prócz wielkiej ilości dział, ale usłyszawszy tak groźny raport, w przestachu już się zabierał do opuszczenia miasta, kiedy nadeszło tajemne doniesienie z Lidy, donoszące szczegółowo o siłach nieprzyjaciela. „Przekonałiśmy się, mówi relacya rosyjska, że to nie był żaden znaczny korpus, ale tylko śmiały aż do zuchwalstwa oddział partyzancki, złożony z jednego pułku ułanów, 200 strzelców

i jednej baterii ¹⁾." Nie było powodu obawiać się i gubernator pozostał w mieście.

O uderzeniu na Wilno, którego bronił nieprzyjaciel trzykroć silniejszy, generał myśleć nie mógł. Dążył w Trockie, a że droga na wprost była zamknięta, puścił się na Orany i Kitowinki. Tu, dnia 5 czerwca, spotkał ks. Gabryela Ogińskiego, który mu przyprowadził 250 chłopców i 150 akademików wileńskich, pod dowództwem prof. Gronostajskiego; nazajutrz w Gabryelowie przyłączył się Matuszewicz z 250 strzelcami. Od wejścia na Litwę, Chłapowski wysyłał był ludzi na zwiady i z rozkazem do powstańców, aby się z nim łączyli, lecz tu dopiero po raz pierwszy znaczniejsza znalazła się siła. Z obu stron wielka była radość. Bracia z Korony i z Litwy, po czterdziestu latach niewoli, schodzili się znów z sobą. Chroniąc się przed ciągłą pogonią, młodzież wileńska, upadała już na duchu; pokrzepił ich generał krótkim, jędrnym słowem; odpowiedzieli mu okrzykami najwyższego zapalu. „Chwili tej opowiadać nie chcę, aby jej piórem nieudolnem nie popsuć," mówi Mielżyński zwykle tak spokojny i w słowach tak oszczędny; a Chłapowski dodaje: „tej nocy nikt z nas nie spał; cieszyliśmy się jedni drugimi, rzewnie i serdecznie; niejeden zapłakał ze szczęścia." Natychmiast zajął się generał uorganizowaniem nowej siły. Akademików oddał pod komendę dzielnego oficera, Stryjeńskiego, chłopów wcielił do pułku Maciewicza, któremu dał za adjutanta głośnego później na obu półkulach świata Domejkę; nadto począł formować nowy pułk piechoty pod dowództwem Radziszewskiego; wzmocnił oba nowe pułki jazdy, a widząc, że Matuszewicz doskonale się do partyzantki nadaje, zostawił mu jego strzelców i rozkazał działać osobno.

Rzucmy okiem na ten krótki peryod, który upłynął od początku tej wyprawy. W ciągu dwu tygodni uszedł on blisko sto mil, spotkał się trzy razy z nieprzyjacielem i za każdą razą go pobił; zdobył trzy działa, chorągiew, 2000

¹⁾ Relacya oficera rosyjskiego ogłoszona u Mielżyńskiego: „*Bemerkungen zu den Werken des Hrn O. Spazier: Dembiński's Feldzug und Geschichte des Aufstandes etc.*“ Strassburg 1837, s. 59.

karabinów, wziął w niewolę 2000 żołnierzy i 20 oficerów, to jest trzy razy więcej niż miał ludzi pod sobą. Powodzenie było świetne. Ułatwiała mu je, to prawda, wielka życzliwość mieszkańców, którzy mu o każdym poruszeniu nieprzyjaciela skwapliwie donosili i wszystkie potrzeby jego ochoczo zaoopatrywali, podczas gdy Rosyanie w tym samym czasie, musieli z Prus sprowadzać chleb dla swego wojska. Niemniej jednak, coraz bardziej stawało się widoczne, że powstanie już stłumione, ludność zastraszona okrutną represją, wiele bowiem wsi, gdzie się znaleźli powstańcy, Rosyanie puścili z dymem, a w Oszmianie kobiety i dzieci wyróżnęli. Dźwignienia się większych mass chyba w takim wypadku możnaby się było spodziewać, gdyby kraj przez czas dłuższy silnym korpusem mógł być zasłonięty. Jeżeli hufiec Chłapowskiego nie został dotąd otoczony lub rozproszony, należało to przypisać niepospolitej czujności wodza i niezwyklej szybkości, z jaką swe marsze odbywał; Rosyanie słysząc o nim to tu, to owdzie, nie wiedzieli gdzie go ścigać. Wprawdzie, po złączeniu się z Ogińskim i z Matuszewicem, korpusik podniósł się do 3000, ale większą połowę składała w nim teraz niewycwiczona piechota. Z takim oddziałem nie było już podobna równie szybko jak dotąd maszerować, ale i stać na miejscu nie było bezpiecznie, tem bardziej też narażać się na spotkanie ze znaczniejszą siłą. Nastęczało się tedy pytanie, co dalej?

„Wiedziałem, pisze Chłapowski, że znaczne siły rosyjskie nadchodziły z okolic Witebska pod Tolstojem, że podobnie zbierał Pahlen w Inflanciech. Wiedziałem także, że tak zwana gwardya litewska pod Kurutą szła od Merecza i że wszystkie te korpusy staną w pobliżu siebie, mniej-więcej za dziesięć dni. Zrobiłem przeto projekt ściągnąć co jeszcze zostało powstańców na Żmudzi, sformować z nich osobne oddziały, każdemu dodać instruktorów i trochę jazdy i rozlokować je w różnych stronach kraju, aby nieprzyjaciela zarywały; sam zaś, wzięwszy z sobą uformowaną jazdę, chciałem obejść Wilno, dostać się do Mozyra i do Mińska, i stosownie do okoliczności i do stanowisk nieprzyjaciela, z jednej lub z drugiej strony Prypeci, zbliżyć się do Bugu.“ Jednym słowem, chciał on odżywić powstanie, wzmocnić je i utwalić w całym kraju aż do chwili, w którejby armia zwycięska

z nad Bugu przeniosła się na Litwę. W tej myśli posunął się naprzód i stanął 8 czerwca pod Zoźłami, kiedy go doszedł rozkaz Giełguda, aby natychmiast przybywał do Kiejdan. Ten rozkaz zmienił całą postać rzeczy; musimy przenieść się do głównej kwatery nowego dowódcy na Litwie.

§ 13.

Będąc jeszcze w Oranach, dowiedział się Chłapowski od obywatela, który z Augustowskiego wracał do siebie, że wojsko polskie maszeruje z Łomży do Kowna. „Na zapytanie moje, ile tego wojska i kto niem dowodzi, nie umiał mi odpowiedzieć. Uprosiłem go, aby natychmiast tą samą drogą pojechał najspieszniej, przeprzęgając konie u obywateli. Podjął się chętnie, rozumiejąc, jak wiele nam zależy na tem skomunikowaniu się. Myślałem, że to była owa dywizya, o której mi mówił Prądyński na pożegnaniu. Napisałem do jenerała dowodzącego, nie wiedząc kto nim był, że w Wilnie stoi tylko 3000 piechoty i że tam jest złożonych 60,000 karabinów i 80 dział, które tam Moskale odprowadzili, bo im konie padły; że za mną idzie Kuruta z dywizją gwardyjską w 7000 ludzi, a Tolstoj od Dynaburga, obaj na obronę Wilna; ale że jeżeli jenerał z szosy kowieńskiej zwróci się w prawo, przeprawi się przez Niemen i w prostym kierunku maszerować będzie na Wilno, dokąd i ja jako przednia straż się zwrócę, to jeszcze na czas ich ubiegniemy i Wilno weźmiemy. Obywatel ów, którego nazwiska nie wymieniam, bo może mieszka dotąd na Litwie, prędko i gorliwie się sprawił i przywiózł mi odpowiedź od jenerała. Był nim Dębiński; odpisał mi, że nie on dowodzi ale Giełgud; że plan mój pochwała, ale go wykonać nie może, bo ma rozkaz od Giełguda, który ruszył do Giełgudyszek, aby tam również podążył.“ Zkądże się wziął ten nowy komendant na Litwie?

Giełgud, było żołnierz w boju odważny, Polak szczerze do Ojczyzny przywiązany, w pożyciu towarzyskiem bardzo miły, o wojskowości umiejący rozprawiać obszernie i wymownie, ale do komendy najzupełniej niezdolny, na nie zdecydować się nie umiał, zdanie drugiego z łatwością przyj-

mował i jeszcze łatwiej je porzucał, nie w tem złego nie widząc. Niezmiernie próżny, o zewnętrzne atrybucye władzy wielce dbający wygodniś i ociężały, w ruchach swoich bardzo powolny, wszystko bez końca odkładał. W wyprawie na gwardye, swoją opieszalnością Sackena z rąk wypuścił, czem tak Dembińskiego oburzył, że tenże do kwatery wodza naczelnego przyjechał, prosząc na żywy Bóg, aby go wyjęto z pod tak niezdarnej komendy. Skrzynecki miał do Gielguda słabość, Prądyński również go oszczędzał; i tak kiedy dywizya jego odciętą została od głównej armii po bitwie ostrołęckiej, nietylko nie pozbawiono go komendy, pomimo tylu ciężkich błędów, ale i owszem, przeznaczono go na Litwę, a Dembińskiego uproszono, aby dla miłości Ojczyzny z nim się pogodził i nadal pod jego rozkazami służył.

Chłapowski, otrzymawszy odpowiedź od Dembińskiego, napisał do Gielguda, że skoro dopełni rozkazów naczelnego wodza, by powstańców w Trockiem zaopatrzyć w instruktorów, odda się pod jego rozkazy; że jednak już teraz radzi, aby generał ze wszystkimi siłami ruszył bezzwłocznie na Wilno, którego nieprzyjaciel w tej chwili obronić nie może. Na tento list, jak wyżej wspomnieliśmy, odebrał rozkaz od Gielguda, aby zostawiwszy swój oddział na północ Wili, pod Znajmami, natychmiast do Kejdan przybywał dla obmyślenia dalszego planu działania. Chłapowski wzięwszy z sobą Mielżyńskiego, przybył do Kejdan 9 czerwca. Był tam i Dembiński; razem tedy we trzech odbyli naradę. Dembiński chciał na Żmudzi utworzyć siedlisko operacyj wojennych. Gielgud pokazał instrukcyą n. wodza, aby iść na Połagę, dokąd broń z Francyi przybyć miała. Chłapowski przedstawiał, że Połaga jest portem od piasku zasypanym, do którego większe statki w żaden sposób dopłynąć nie mogą, i że nadto, trzebaby osobliwszego trafu, aby korpus równo ze statkami znalazł się w Poładze; widocznie, instrukcyja naczelnego wodza na fałszywej zasadzała się informacji. Przedstawiał natomiast wielkie korzyści z zajęcia Wilna. Żałował, że czasu już trochę stracono, bo Sacken z Malinowskim w sile około 4000 muszą już być w bliskości tego miasta; ale że Kuruta z gwardyami ledwo za tydzień tam dojdzie, Tolstoj potrzebować będzie więcej niż 10 dni, a Savoini,

który nadchodzi od Witebska, najmniej piętnastu. Że siły polskie, Giełguda i Dembińskiego do 10,000 wynoszą, Chłapowskiego z powstańcami 3000; złączywszy z nimi oddziały Matuszewica, Zaliwskiego, Staniewicza i innych żmudzkiech powstańców, utworzyłyby to korpus 18,000; a że z Kejdan do Wilna jest cztery dni drogi, jeszczeby więc na czas stanęła tam armia atakująca. Że opanowanie Wilna tak pod wojennym jak politycznym względem, przedstawia korzyści niezmiernie, powstanie zyskałoby wielki zapas broni i dział, a nadto pomoc rzemieślników dla zaopatrzenia armii we wszystkie potrzeby. Wrażenie moralne podniosłoby ducha w całym kraju, a w Europie naprawiłoby sowiec klęskę ostrołęcką. Najważniejszym zaś następstwem zdobycia Wilna, nastawał Chłapowski, byłoby zajęcie środkowego punktu między wszystkimi korpusami rosyjskimi dążącemi do niego. Należałoby nasamprzód utworzyć z ludności wileńskiej kilkutyśieczny oddział, któryby w danym razie ubezpieczył na krótką chwilę obronę miasta, a mając tę podporę, mógłby armią naszą liczącą 18,000, to w jedną, to w drugą przerzucać stronę, w miarę jak się korpusy nieprzyjacielskie przybliżać będą i jeden po drugim, starać się je rozbić; to zaś rozbiecie byłoby bardzo prawdopodobne, skoroby się miało za każdą razą przeważającą siłę. Wszystkoby tu zależało od pośpiechu i energii dowódcy. Korpusy rosyjskie tem łatwiej mogłyby być zgniecione, że połączyć się i na pomoc sobie iść, przez Wilią, nie byłyby w możności. Pierwszy padłby ofiarą Kuruta, bo był z tej strony Wilii i ujsęby nie mógł; a Tolstoj, jeżeliby nie chciał doznać podobnego losu, musiałby spieszenie cofać się, z kąd przyszedł, to jest do Dynaburga; zaczęłoby armia polska miała by wszelki czas wzmoćnić się, organizować i całą oczyścić Litwę. Jeżeliby zaś dla jej powstrzymania, Rosyianie chcieli część swoich sił z armii Dybicza oddzielić, to już tem samem, na głównym placu boju, to jest w Królestwie, rezultat ogromny byłby otrzymany.

Plan obmyślany był głęboko. Czuć w nim oficera, który się pod boki Napoleona wielkiej wojny wyuczył. „Przeciwnie, dodawał wkońcu Chłapowski, jeżeli Wilna nie wzięmiemy, klęska niechybna nas czeka.“ — Wobec tych racyj, zamilkł Dembiński, a Giełgud zgodził się na nie. Wprawdzie,

dla dopełnienia instrukcyj naczelnego wodza, posłano już Szymanowskiego z 2000 ludźmi ku Połudze, i tego Chłapowski mocno żałował; ale jednak, to co zostawało, dostatecznem było, aby na Wilno z pomyślnym skutkiem uderzyć. Gielgud dał rozkaz Chłapowskiemu iść do Wilna lewym, Dembińskiemu prawym brzegiem Wilii, a sam przyrzekł, że o jeden dzień później za nimi z resztą korpusu wyruszy.

Narada trwała godzinę. Gielgud opuszczając, jak przyrzekał, Kejdany, 10 czerwca, mógł być 13go pod Wilnem, był więc czas uprzedzić nieprzyjaciela. Chłapowski odjechał natychmiast do swego oddziału w Zejmach i tego samego wieczoru puścił się z nim do Janowa. Tu, 10 czerwca, ludzi swoich na promach przez Wilią przeprowił i na rzece Świętej postawił most dla Dembińskiego, który traktem wilkomirskim ku Wilnu miał zmierzać. Dnia 12 czerwca nad ranem był w Czabiszkach, gdzie do niego przyjechał Dembiński. Opowiedział mu, że zaraz po odjeździe Chłapowskiego, Gielgud zachwiał się w swem postanowieniu. „A co będzie, zapytał, jeśli nieprzyjaciel nie cofnie się z Wilna przed nami?“ „Wprawdzie nie byłem za marszem na Wilno, odrzekł Dembiński, ale skoro rzecz zdecydowana, trzeba będzie uderzyć.“ Narzekał tedy na jego niezdolność, mówiąc, że z takiej komendy najgorszych klęsk spodziewać się trzeba, i zaproponował Chłapowskiemu, aby Gielguda zrucił, a sam się ogłosił naczelnym dowódcą na Litwie ¹⁾. Zdumiał się Chłapowski, słysząc te słowa. Że one z ust Dembińskiego wyszły, to można zrozumieć. Rzutki, przedsiębiorczy, partyzantem był wyborynym, ale służby regularnej nie znał; niespokojny z natury, nie był wcale skorym do posłuszeństwa, wszystko robił po swojemu. Ale Chłapowski w szkole napoleońskiej wychowany, od dzieciństwa do karności nawykły, porządku i posłuszeństwa u swych podwładnych nadewszystko przestrzegający, ani przypuszczał, by krok taki mógł się pogodzić z honorem i obowiązkiem żołnierza. Gielguda w owej chwili jeszcze nie znał, a zresztą, jakimkolwiek był ten wódz,

¹⁾ Opowiadamy tę rozmowę, jak ją podaje Dembiński, choć o niej ani Mielżyński, ani Chłapowski w swoich pamiętnikach nie wspominają.

zrucenie jego, w chwili rozpoczętej przeciw nieprzyjacielowi akeyi, byłoby płamą dla wojska polskiego i cięższą dla sprawy klęską, niż wszelka inna, jakaby zdarzyć się mogła. — Jeśli, jak mówi Pismo, posłuszeństwo lepsze jest od ofiary, to w naszym narodzie, który upadł niekarnością swych obywateli, ta cnota jest najwyższym patryotyzmem. „Nie masz dla Polski przyszłości, powiedział pod koniec swego życia Mochnacki, dopóki Polacy swego patryotyzmu nie przetłumaczą na posłuszeństwo.“ — Chłapowski sucho odprawił Dembińskiego. Jakikolwiek był tego ostatniego zamiar: czy w istocie chciał on poddać się komendzie młodszego jenerała, czy też, co prawdopodobniejsza, spodziewał się, że ten uzna jego starszeństwo i nawzajem mu swoją pomoc i uległość przyrzecze, — to pewna, że odmową Chłapowskiego czuł się on głęboko dotknięty i powziął do niego niechęć, której potem aż nadto głośny dał wyraz ¹⁾.

Chłapowski nie bawiąc ruszył dalej, dnia 13 czerwea stanął obozem w Rykontach i natychmiast pchnął przednią straż, traktem kowieńskim do Waki, by opanować most nad rzeczką tegoż imienia; oddział polski, spędziwszy forpoczty rosyjskie, silnie się przed mostem usadowił. Ztąd było już tylko niecałe dwie mile do Wilna. Nagle zjawienie się wojska polskiego przeraziło Rosyan; byli pewni, że cały korpus Giełguda już nadeignął; nie przypuszczali, aby słaby hufiec śmiał tak daleko posunąć się. „Zaczęto zatem, mówi cytowana powyżej relacya rosyjska, przygotowywać się do opuszczenia miasta i do zniszczenia składów broni i amunicyi, przewidując, że nazajutrz powstańcy uderzą.“ Ale gdy dzień

¹⁾ Ciekawą wzmiankę z owego czasu znajdujemy w pamiętniku hr. Każ. Krasieckiego. „Jenerał Chłapowski przywołał mnie do siebie; z kwaśną miną powiedział mi, że źle. Dlaczego, zapytałem; jest nas przecie więcej, to łatwiej pójdzie z Wilnem. „Ba, żebyto zgoda była, lecz z tymi dwoma trudno dojść do końca. Jeden jak wahadło, nie wie czego chce; a drugi zdaje się mieć w zanadrzu myśl opanowania dowództwa, bo chociaż w randze starszy, mnie to proponował. Lecz moja wojskowa dusza nie dopuściłaby się takiego śmiertelnego grzechu przeciw subordynacyi.“ *Zbiór pamiętników do historii powstania polskiego 1830 i 1831*, wyd. Rajskiego. Lwów, 1882, s. 425.

14 czerwca upłynął spokojnie, Rosyanie ochłonawszy z przestraschu, postanowili odebrać most na Wace; uderzyli nazastrz równo ze świtem, napróżno; ponowili atak dnia następnego, ale również bezskutecznie. Dali więc pokój atakom, a wszystkich sił użyli na sypanie okopów na Ponarach, które gęsto artylerją obsadzili.

Chłapowski wiedział o wszystkim, co się działo w Wilnie. Codzień i kilka razy na dzień, przedzierali się do niego z największem niebezpieczeństwem emisaryusze, donosząc o przygotowaniach nieprzyjacielskich do obrony i przyrzekali, że w razie, gdyby gubernator, opuszczając stolicę, chciał poniszczyć broń i prochy, znajdzie się kilkuset ludzi, by temu przeszkodzić. Wszystkie te wiadomości posyłał każdego dnia Gielgudowi, błagając, zaklinając o pośpiech. Był to już ostatnia chwila do opanowania stolicy. Na takim czekaniu upłynęło sześć dni! Co się działo w duszy Chłapowskiego, łatwo zrozumieć. W ciągu tych dni prawie weale nie spał, wyjeżdżał za obóz, patrzył czy korpus nie nadechodzi i chociaż położył się do snu, zdawało mu się, że słyszy tentent koni i turkot wozów; zrywał się, znowu wyjeżdżał naprzeciw, — ale Gielgud nie przychodził! Chłapowski przez te sześć dni posiwiał!... Jednego dnia wysłał do Gielguda Marcinkowskiego, który równie był znakomitym lekarzem, jak dzielnym oficerem; i ten wróciwszy, opowiedział mu, że w głównym korpusie panuje między oficerami wielkie przeciw Gielgudowi rozdrażnienie, że go mają za niedołęgę, że chcą zrzucić go i wybrać wodzem Chłapowskiego, i że już z tem wybiera się do Rykont deputacya oficerów. Chłapowski odpowiedział surowo, że się na to nigdy nie zgodzi, że jeżeli ci oficerowie stawią się przed nim, każe ich aresztować i oddać pod sąd. — Czy dobrze zrobił, dając tak twardą odpowiedź? Oto, jak sam się tłumaczy. „Ani na chwilę nie przypuszczałem, bym mógł odebrać komendę mojemu starszemu; było to tak sprzeczne z mojami pojęciami, że ani wówczas ani później, ta myśl nie przysłała mi do głowy. Bo i po wojnie, kiedyś rozważałem wszystkie okoliczności, których poprzednio nie znałem, że Gielgud nie był przeznaczony pierwotnie na Litwę, że dopiero, gdy był odcięty, kazano mu maszerować, i kiedyś się przekonałem o jego zupełnej nieudolności, postawiłem sobie pyta-

nie: czy nie należało wówczas jemu odebrać, a wziąć samemu dowództwo. Musiałem sobie stawić to pytanie, skoro wielu mi je zadawało. Ale i wtedy, byłem w mojem sumieniu zupełnie zaspokojony; nie było podobnem to objęcie komendy. Tylko w tym wypadku mogło ono się udać, gdyby całe wojsko było razem zebrane i gdyby zruciwszy jednego, w tej samej chwili okrzyknęli drugiego dowódcę; jedyny to sposób, iżby do zamieszania nie przyszło. Ale korpusy nasze były rozdzielone: Szymanowski w Szawlach, Dembiński w Wilkomierzu, jeden garnizon w Kownie ¹⁾. Oficerowie tych oddziałów ze służby regularnej byłiby się oburzyli na taki czyn niesubordynacyi, któryby wykonanym być nie mógł, a stałby się przyczyną większego jeszcze nieładu i w dodatku zostawiłby pamiątkę przykrą naszej wojskowości.“ — To mówi w swych pamiętnikach Chłapowski, a skoro tak sądził po wojnie, tem bardziej podczas kampanii nie mógł przyjmować tej propozyeyi; jedynie, na usilne żądanie Marcinkowskiego przyzwolił, aby wspomnieni z korpusu Gielguda oficerowie wybrali z pomiędzy siebie jednego, któryby w ich imieniu pojechał do Warszawy i zdał raport rządowi i naczelnemu wodzowi o tem, co się na Litwie dzieje. I tak też zrobiono; posłano dokładny raport do Warszawy, posłyszemy później jego echo; tymczasem obaczmy, co było powodem owej nieszczęsnej zwłoki Gielguda.

Przybył on do Janowa, za nim podażyło wielu obywateli. Ci nadjechawszy z okolic przez wojska rosyjskie nie zajętych, upewniali, że Moskali nigdzie niema, że zatem niema potrzeby tak bardzo się spieszyć. Uwierzył im Gielgud; a że właśnie nadechodziła rocznica jego urodzin, wyprawiono suty traktament i przy huku moździerzy i przy fajerwerkach spełniano toasty na cześć „zbawcy Litwy i oswobodziciela milionów.“ Zaczem jenerał wziął się do utworzenia rządu centralnego dla Litwy. Poco ten rząd, którego władza nie sięgała po za ostatnie polskie placówki, trudno zrozumieć; to gorsza, że wybór osób, złożenie biór i dykasteryów i nieuniknione ztąd festyny, zabrały pięć dni. Bawiono się i urzędowano z lekkomyślnością godną saskich czasów. W ciągu

¹⁾ Dodajmy, że przy Gielgudzie był Roland, jenerał starszy od Chłapowskiego.

tych pięciu dni można było stać się panem Wilna, a tam dopiero byłoby właściwsze miejsce na zamianowanie rządu. Powstanie byłoby w ten sposób zyskało dwa mocne ogniska w Warszawie i w Wilnie, a jeśli Rosyanie mieli tyle trudności, by jedno z nich zagasić, o ileżby więcej przybyło im z drugim! Losy, jeśli nie narodu, to przynajmniej losy tej kampanii zależały od zużytkowania owych drogiej chwili, które tak bezmyślnie marnowano. Nareszcie d. 18 czerwca oficerowie dywizji Gielguda, oburzeni jego postępowaniem, zebrali się w liczbie przeszło 300 i udawszy się do kwatery Gielguda, wyrzucali mu jego niezdatność i nieczynność, i domagali się, aby złożył komendę i oddał ją Chłapowskiemu. To go otrzeźwiło; kazał przejść przez Wilią i 19 czerwca stanął w Rykontach.

Już było zapóźno. Rosyanie, jak mówiliśmy, od 14 czerwca wyglądali z trwogą uderzenia. „Jakżeśmy się dziwili, mówi cytowany oficer rosyjski, że ani 17 ani 18 z żadnej strony nie byliśmy przez powstańców zaatakowani. Teraz Wilno było ocalone. Przez te dni zajmowano się ciągle wzmocnieniem pozycji na Ponarach, obsadzono wzgórza działami, któreśmy naprędce opatrzyli zaprzęgami. Również i dywizya gwardyi (Kuruty) przyszła na czas, a pierwsza dywizya rezerwy (Tołstoja) zbliżyła się jednocześnie od strony północnej. Gdyśmy więc 19 czerwca zostali zaatakowani, byliśmy pewni sił naszych. Nie ulega jednak wątpliwości, że trzema dniami przedtem nie byliśmy w stanie ich utrzymać. Wilno byłoby natychmiast przez powstańców wzięte wraz ze znacznymi materiałami wojennymi, a my od dywizyi gwardyi odcieci. Jeśli więc kiedykolwiek powstańcy mieli sposobność zyskania przewagi na Litwie, to tylko wtenczas; gdyż nie da się zaprzeczyć, że wzięcie Wilna wywarłoby ogromny wpływ moralny, a następstwa ztąd byłyby nie do obliczenia.“

Posłuchajmyż rozmowy, jaka się odbyła 19 czerwca w Rykontach. „Gielgud przybywszy (pisze Chłapowski), wszedł ze mną do karczmy, w której miałem kwaterę; wszedł z nim tylko Potulicki, podszef sztabu. Jakeśmy weszli do izby, uważałem sobie za obowiązek opowiedzieć mu stan rzeczy. Temu dni dziesięć, było w Wilnie tylko 3000 piechoty, dziś pewnie będzie około 15,000, pozycja doskonale okopana,

uzbrojona 60 działami; czy jenerał dasz rozkaz do ataku? — Na to Giełgud: „Nastawaleś na mnie jenerale, ażebym przyszedł atakować Wilno, a teraz, kiedym przyszedł, chcesz mnie zastraszyć. Chcesz zapewne mnie zgubić w opinii wojska, ażeby ci oddało komendę. Już mnie o tem przestrzeżono; nie będzie nic z tego!“ — „Jenerale, odparł Chłapowski, nigdy nie myślałem odbierać ci dowództwa; nigdybym od podwładnych nie był go przyjął. Cokolwiek się stało, przysięgam ci posłuszeństwo i będę cię słuchał jak prosty żołnierz.“

Dano więc rozkaz do ataku. Giełgud, który się ludził jeszcze możliwością zwycięstwa, nie chciał, aby ztąd chwala spłynęła na Chłapowskiego i trzymał go umyślnie w oddaleniu. Sam stał, to prawda, w najtęższym ogniu, ale komenderował najgorzej. Jedna część piechoty po dwakroć odparta, straciła 1,500 ludzi; druga, która miała ją wesprzeć z boku, pod dowództwem niendolnego Rolanda, zgubiła się wśród zakrętów Wilii, nie doszła na czas, jeden batalion dostał się do niewoli, wiele dział zdemotowanych. O 2giej z południa Giełgud zrozumiał, że miasta nie weźmie i nadjechawszy do Chłapowskiego, rzekł: „Dalem rozkaz do odwrotu; jenerał z ulanami, z jazdą kaliską i baterią Czetwertyńskiego zasłonisz nasze cofanie.“ — By to wykonać, Chłapowski upatrzył naprzeciw okopom ścieśnioną między łaskami pozycyą, tak że go jazda nieprzyjacielska dużo leczniejsza, oskrzydlić nie mogła i czekał. „Wyszło z pół godziny, mówi on, zanim ulani moskiewscy, jeden szwadron po drugim, wychodzić zaczęli. Stałem spokojnie w kolumnie szwadronowej; pierwszy posunięty o 300 kroków przed drugimi, tak że był zupełnie na środku pola. Skoro pierwsze dwa szwadrony moskiewskie się ukazały i zaczęły formować, kazałem Hempłowi z pierwszym szwadronem na nie uderzyć. Hempel tak dobrze to wykonał, że oba rozbił. Dwa ich nowe puściły się na boki Hempla, ale i moje dwa także, 2gi i 3ci, już na jego bokach były i tamte powstrzymały. Tymczasem, drugi ich pułk hulaków z tyłu się formował, przypuścił szarżę na moje trzy szwadrony, ale z tak daleka, iż widziałem że się rozlatują; dopiero jak niektórzy byli o sto kroków, zakomenderowałem: marsz, marsz; Moskale krugom wtył i w nogi. — Dopiero trzeci ich

pulk orenburski przypuścił dobrą szarżę i zbliska. Nie czekałem na nich, ale gdy się już zbliżali, zakomenderowałem ze stępa: marsz, marsz. Orenbureczyki tym razem dotrzymali, pomieszaliśmy się jak groch z kapustą. Na polu piaszczystym, po suchej pogodzie, wzniosła się kurzawa, tak że trudno się było poznać o trzy kroki. Mięszanina z Orenbureczykami trwała około pół godziny; harc lanca na lance, a między tem, strzały z pistoletów, które słabo było słyhać w hałasie. Nareszcie zręczność naszych, krótsze i dobrze okute lance wzięły górę; spadło tyle Orenbureczków, że drudzy uciekli. Podezas zmieszania z nami, Moskale rozwinęły baterya; ich ułani uciekając na nią wpadli, a nasi tuż za nimi, pomiędzy działa i kłuli kanonierow. Za baterya wyszła i piechota moskiewska z okopów i dała ognia do swoich uciekających i do naszych. Zabili nam tutaj 18 i kilkudziesięciu ranili. Wtedy z pomiędzy dział nieprzyjacielskich nasi cofać się zaczęli, uprowadzając i zaslaniając rannych. Już dawno byłem kazał zatrąbić, ale jak zwykle, zanadto się zapędzili i wyszło z 10 minut, nim się zebrałi. Zgromadziwszy wszystko i odesławszy 43 rannych, cofnąłem się na moje dawne stanowisko, z którego trzy razy nam się poszczęściło, ale ujrzałem, że i działa i piechota już się za okopy cofnęły i już żadnego ułana widać nie było, tylko kozaki wychylały się pojedynczo.“ — Wysunąwszy naprzód jazdę kaliską, kazał teraz ułanom zsiąść z koni i czekał tak do 8mej wieczorem, czy też nieprzyjaciel nie zechce raz jeszcze próbować szczęścia. Ale dzielność ułanów zaimponowała Rosyanom i odebrała im chęć ścigania przeciwnika. — Oto jak te harc dopiero co opowiedziane, przedstawia ze swej strony znajomy nam oficer rosyjski. „Spostrzegłszy, mówi on, wszczynający się nieporządek w szeregach powstańców, puściliśmy naszą kawaleryą. Konnica ich jednak tak wyborne i zręczne szarże wykonywać umiała, że każdej chwili, kiedy ich przednią linią myśleliśmy otoczyć, świeże lub nowo zebrane szwadrony potrafiły ją uwolnić. Trzeba oddać sprawiedliwość męstwu ich konnicy i talentowi tego, co chwile tak stanowcze umiał wybierać. Kilku jeńców, którzy dostali się w nasze ręce, mówiło nam, że to jen. Chłapowski szarże te prowadził. Im winna piechota swoje oca-

lenie, gdyż przez nie miała czas skupić się i cofnąć.“ — Nieprzyjaciel w zupełności więc, jak widzimy, potwierdza opowiadanie jenerała, a nadto wykazuje jego zasługę, o której on sam w swym opisie zamilcza.

§ 14.

O północy, doszedł Chłapowskiego rozkaz, aby maszerował do Jewia, gdzie nań Giełgud czeka. Noc była piękna; mógł więc jadąc rozmyślać nad tem, co zaszło. Było najboleśniejczy dzień, jaki dotąd przeżył. Widzieć się tak blisko wielkiej zdobyczy, robić wszystko z swej strony, aby ją osiągnąć, a potem patrzeć na zmarnowanie wszystkiego, było cios nad jego siły! On, który się nigdy nad sobą nie nżałał, mówił później: „Zdawało mi się, że mi coś w głowie pękło; pamięć odtąd straciłem.“ Jednakże męskim i jasnym umysłem patrzył przed siebie, i kiedy Giełgud go zapytał co dalej czynić, Chłapowski żadnych nie robiąc mu wymówek, tak odpowiedział: „Wszystkie siły ściągnąć do Alexoty, pod Kownem, tam okopać i się postawić kilka mostów na Niemnie. Będzie do tego dość czasu, zanim nieprzyjaciel nadciągnie; i gdy zechce nas obejść, jednej nocy wyjść z obozu, w różne strony. Rozdzielimy się na sześć oddziałów: dwa na Żmudź, dwa w okolice Wilna, ostatnie dwa ku Witebskowi i w Mińskie. Nim Moskale zdecydują się co robić, my tymczasem rozlejemy się po całej Litwie i Żmudzi. Jak przed dwoma tygodniami, kiedy nieprzyjaciel był rozdzielony, należało nam skupić się i bić jego pojedyncze korpusy, tak teraz, kiedy on je ściągnął, my się rozproszyć musimy. Jeżeli zechcemy być razem i pójdziemy na Żmudź i do Połagi, nie unikniemy katastrofy; przeciwnie, rozsypując się, dotrzemy wszędzie, wszędzie ożywimy powstanie, i rozpoczniemy wojnę bardzo trudną dla Moskali, dla nas najłatwiejszą, bo u siebie. Kraj przerżnięty lasami, wzgórzami, jeziorami, do takiej wojny najsposobniejszy. Marsze wśród ludności nam oddanej będą dla nas łatwe; każdy mieszkaniec nam służy, nas ostrzega, nam dostarcza wszystkiego, nieprzyjaciela du-

rzy jak może. Nawet Żydzi będą nam nieraz pomocni ¹⁾. — Plan ten, powtórzony na piśmie, zrazu zdawał się podobać Giełgudowi, ale gdy go udzielił powstańcom, ci się przerażili. Niejednemu nie chciało się opuszczać własnych okolic, inny bał się służby regularnej w pułku; wszyscy mówili, że przejście Niemna wyda się jako znak odwrotu i że duch w kraju upadnie. Giełgud uległ ich zdaniu i kazał Chłapowskiemu maszerować do Kowna, gdzie mu wskaże co robić ma ²⁾.

Nie mamy serea opowiadać szczegółowo dalszych dziejów tej wyprawy; rzecz to i dla słuchaczy i dla mówiącego zbyt bolesna, a dla wierności obrazu mniej potrzebna. Sił z polskiej strony było jeszcze dosyć i nie brakowało ochoty do boju, ale wszyscy czuli, że Giełgud nie dorósł do swego zadania, stracili ufność do niego. Spozrzeglł to Giełgud i zamianował Chłapowskiego szefem sztabu (25 czerwca). Zarzucając temu ostatniemu, że obowiązków szefa sztabu podjął się niechętnie, że zamiast prowadzić Giełguda, a przez niego całą armią, trzymał się raczej biernie i że zwątpiwszy o sprawie, pilnował ściśle wykonania rozkazów. Chłapowski był surowym żołnierzem. Wiadomo, jak porządku i posłuszeństwa przestrzegał. Kierować swoim kierownikiem, mieć go za nic, a jego powagą się zasłaniać, to ani do pojęć jego, ani do nawyknień nie przystawało. Trudno wymagać od człowieka, co nie leży w jego charakterze; dodajmy, że z Gieł-

¹⁾ Chłapowski w ciągu tej wojny doświadczył kilka razy niemałej przychylności ze strony Żydów. Wysyłając pewnego razu Żyda, przez obóz rosyjski, z bilecikiem do obozu powstańczego, obiecał mu 10 dukatów, skoro przyniesie odpowiedź. Wrócił i przyniósł, i gdy adjutant liczył dukaty, Żyd przyjąć ich nie chciał. „I ja też, rzecze, chcę służyć jak mogę. Za to com zrobił, pieniędzmi się nie płaci, bo dusza była na ramieniu.“

²⁾ O tym planie Chłapowskiego tak się wyraża w swoich pamiętnikach (dotąd niedrukowanych) generał Kołaczkowski: „Tym jednym środkiem dałoby się przedłużyć wojnę (na Litwie) i dywersją sprawić potężną na korzyść naszej głównej armii, zatrudniając na Litwie przeszło 40,000 wojsk, spodziewanych przez generałów rosyjskich w Królestwie. Lecz Giełgud nie chcąc dowództwa z rąk wypuszczać i zniżyć się do roli partyzanta, projekt ten jedynie zbawienny odrzucił.“

gudem, i to nawet na nieby się nie przydało. Już z tego cośmy dotąd powiedzieli, każdy mógł poznać, że, niezdolny coś ważniejszego sam przez się przedsięwziąć, Gielgud przystępny był każdej radzie, takim zaś szczególnie, które jego próżności schlebiali; do Chłapowskiego zaś miał wyraźną niechęć, właśnie dlatego, że go wszyscy wyżej stawiali. Bywało, i nieraz, że decyzja powzięta, rozkazy popisane, ekspedytowane i Chłapowski dla ich wykonania odjeżdżał, a potem, gdy powrócił, usłyszał, że wszystko zmienione; dlaczego, „bo tak wielu radziło“ albo „że się komuś rozkaz nie podobał.“ Z takim wodzem cóż poradzi i najlepszy szef sztabu; wina spada na tych, co człowieka bez głowy dowódcą wyprawy zrobili!

Skoro wojsko odstąpiło od Wilna, Rosyanie puścili się za niem trzema oddziałami, zapędzając je, jak Chłapowski przewidział, w kąć ciasny i ściskając je żelazną obręczą. Zdarzały się wszakże okazyje, w których można było, zebrawszy raźnie siły, wpaść na jeden z nieprzyjacielskich oddziałów, zgnieść go i wydobyć się z zamknięcia. Tak, kiedy rozbiwszy pułkow. Kiekiernickiego, Rosyanie posuwali się jednym korpusem od Kowna, Chłapowski podał plan, aby ściągawszy wszystkie siły, nim nieprzyjaciel się skupi, uderzyć na ten korpus, który tworzył lewe jego skrzydło. Gielgud się zgodził i szybkim zwrotem ruszył ku Kejdanom, a Dembińskiemu posłał rozkaz, iżby się z nim na lewym skrzydle połączył w marszu na Kowno. Dembiński odpisał, że ma zamiar maszerować do Kurlandyi, że zatem połączyć się nie może i w istocie cofnął się do Poniewieża; zatem i Gielgud wobec silniejszego nieprzyjaciela cofać się musiał. — Podobny fakt zaszedł kilka dni później w Cytowianach. Proponował Chłapowski, aby się zwrócić i uderzyć na awangardę rosyjską, daleko od swoich głównych sił wysuniętą. Gielgud plan przyjął, kazał Chłapowskiemu zająć się jego wykonaniem, i gdy tenże w tym celu do tylnej straży odjechał, przybył do Gielguda Szymanowski i namówił go do atakowania Szawel. Napróżno Chłapowski przestrzegał, że „dziś jest ostatni dzień, w którym możemy wydobyć się z zamknięcia; że jeżeli dalej ku północy posuwać się będziemy, czeka nas haniebna niewola u Moskali lub Prusaków.“ Po-

maszerowano na Szawle. Atak był źle pomyślany, wykonany jeszcze gorzej, a choć Chłapowski nie miał w nim żadnej komendy, robił co mógł, aby się powiodł. Szedł do szturm z pojedynczemi batalionami, dwa razy do środka miasta dotarł; niepoparty ani przez Rolanda, ani przez Dembińskiego, którzy to mieli zleczone, cofnąć się musiał. Porażka była dotkliwa, nieprzyjaciel dużo słabszy, pozostał panem miasta; nikogo z naszych nie pociągnięto za to do odpowiedzialności.

Pojać łatwo, jaką mękę w takiej służbie Chłapowski wycierpieć musiał, patrząc na nieład i rozprzężenie rosnące w wojsku, na zaniedbania i nieposłuszeństwa uchodzące bez kary. Byli tacy, co mu radzili odłączyć się od Giełguda i na swoją działać rękę, i w tym wypadku przyrzekali mu swą pomoc i poddanie się bez granic. Chłapowski nie sądził, aby mu godziło się taki przykład z siebie dawać; więc trwał w tej służbie nieszczęsnej; ze zgryzoty, z udręczenia więdniał, tracił siły, wpadł w chorobę, ale z konia nie zsiadł, spieszył w ogień, zazdrościł tym, których kule nieprzyjacielskie trafiały, a zresztą szedł za swym niezdarnym wodzem, dzieląc wspólny wszystkim los! — Powiedzą mi: „Więc czemuż nie podał się do dymisji ze szefostwa sztabu, aby przynajmniej zrzucić z siebie odpowiedzialność?“ O, zapewne, podać się do dymisji, to rzecz najłatwiejsza, to każdy potrafi; lecz to tylko dowodzi, że się więcej kocha siebie czy swoje imię, niż sprawę, której się służy! Ale trwać na stanowisku, choćby bez zaszczytu, choćby z rozdartą duszą, to rzecz bardzo trudna, bardzo wysoka, areychrześcijańska! *Non omnis capit hoc verbum*; nie każdy zrozumie to słowo...

Dnia 8 lipca, po owym niefortunnym na Szawle ataku Giełgud kazał wszystkim oddziałom ściągnąć do Kurszan i zwołał na dzień następny radę wojenną. Zebrało się jeszcze 12,000 wojska, ale w wielkim nieładzie; mnóstwo bagażów na wozach i powózkach zalegało przestrzeń na dwie wiorsty kwadratowe. Czterech generałów i pięciu wyższych oficerów znajdowało się na radzie. Zaczęto od wzajemnych wymówek. Dembiński oskarżał Giełguda, że swą nieumiejętnością gubi sprawę; Giełgud zarzucał Dembińskiemu, że nie słucha rozkazów, że swem nieposłuszeństwem pozbawił armię wielu

korzyści. Z jednej i z drugiej strony zarzuty były słuszne, ale nie na czasie. Rzekł Chłapowski, że należałoby zaprzestać tych obwiniań, a przystąpić do rzeczy. Dopiero teraz wzięto pod uwagę plan jego podany Giełgudowi po odstąpieniu od Wilna: rozdzielić wojsko na sześć oddziałów; atoli, gdy niewielu było takich, co by się chcieli podjąć dowództwa, zdecydowano podział na trzy korpusiki, którym Giełgud wyznaczył kierunek. Dembiński miał iść na północ, w stronę Kurlandi; Roland z Giełgudem w stronę Połagi; Chłapowski do Jurborga, na południe. Każdemu pozostawiono te pułki, z którymi przyszedł na Litwę; Chłapowskiemu, wbrew jego woli, dodano tysiąc strzelców. Było umówione, że każdy z dowódców ma działać niezawisłe, lecz w razie zetknięcia z Giełgudem, przejdzie pod jego komendę.

Giełgud z Rolandem i Szymanowskim, wyruszyli pierwsi, maszerując na Telsze. Chłapowski pozostał w Kurszanach do wieczora, aby swój hufiec uporządkować. Wielka radość objawiła się u jego podkomendnych, gdy się dowiedzieli, że znów będą sami, ze swoim wodzem na czele. Nazajutrz, 10 lipca, wyruszono drogą ku Łuknikom, a po tem na lewo ku Worniom. Kierunek wytknięty temu oddziałowi był bardzo trudny: od zachodu granica pruska, od wschodu stał w Rosieniach korpus 20-tysięczny Tołstoja i okrążał polskie oddziały, aby im wyjścia nie dozwolić; od południa zaś Niemen przecinał drogę. Między granicą pruską a rosyjską armią nie pozostawało jak 7 lub 8 mil, i tymto wąskim przesmykiem Chłapowski umyślił przemknąć się na południe aż pod Niemen, potem wzdłuż tej rzeki, przejsz Dubissę i Niewiarę i pod Janowem puścić się w Trockie, zkad już na wszystkie strony wolne otwierało się pole. — Ale, by taki marsz odbyć niepostrzeżenie, trzeba żeby hufiec mógł posuwać się szybko i nie miał z sobą żadnych ciężarów. Zatrzymawszy się tedy w dogodnym miejscu, Chłapowski bacznie i surowem okiem przejrzał swą kolumnę. „Cokolwiek (mówi opis spólczesny) przybłąkało się tutaj mimo jego wiedzy, cokolwiek mogło męsząć porządek lub zawadzać w szybkich pochodach, musiało zniknąć natychmiast. Siekiera i ogień nie przepuszczały żadnemu furgonowi, żadnej powozce; ani luźny ani chory nie mógł tu znaleźć miejsca. Zbrojny hufiec po-

winien stać się lotnym, bo miał życie dla Ojczyzny, honor unosić dla siebie; wszystkie inne względy ustąpiły na bok ¹⁾." Niektórzy z oficerów piechoty patrzali z bólem na płonące ich bagaże, i te ich żale odezwały się później; ale jego dawni żołnierze nabierali otuchy, widząc, że wszystko do dawnych karbów powraca. Nieprzyjaciele Chłapowskiego zaręczają, że od Kurszan o niezem innym on nie myślał, tylko o wejściu do Prus. Gdyby tak było, pocóżby był palił te bagaże z wielkiem niezadowoleniem wielu oficerów; wszak mógł je wygodnie, przez nikogo niezaatakowany, wraz z wojskiem wprowadzić do Prus. — O milę na wschód od Łuknik, Chłapowski zboczył w pole, aby go z miasteczka nie dojrzano; tam kazał spocząć i wysłał dwóch emisaryuszów do Rosień, by się dowiedzieć o poruszeniach nieprzyjaciela. W nocy puszczono się dalej i uszedłszy pięć mil, zatrzymano się nad ranem, 11 lipca, między Wormiami a Krozami. Chłapowski z kilkoma oficerami jedzie do sąsiedniej wioski, ztamtąd wysła żywność dla wojska, a sam z dwoma oficerami, Marcinkowskim i Szmitkowskim, puszcza się dalej, aby rozpoznać dalszą drogę między Rosieniami a Kownem. Wtem dogania go oficer, z doniesieniem, że przybył Giełgud z piechotą, artylerją, mnóstwem wozów i wpakował się z tem wszystkim do jego obozu!... Jenerał wraca czempredzej.

Cóż się stało; jaki powód tego zjawienia się Giełguda? W pochodzie ku Telszom oficerowie przedstawili mu, że marsz na Połagę jest niebezpieczny, że byłoby lepiej trzymać się Chłapowskiego. Giełgud, po zwyczajuj, skłania się do ich rady i z częścią korpusu zwraca na południe, zaczem i Roland idzie za nim, wlokąc z sobą moc bagażów i cały lazaret na wozach. Byłato najwyższa nieroztropność z takim taborem pehać się w stronę, ku której postępował nieprzyjaciel. — W chwili, gdy Giełgud nadeiagnął do kolumny Chłapowskiego, wrócili tamże wysłani dnjem wprzody dwaj emisaryusze z raportem, że przednia straż rosyjska zabrała chorych i maroderów Rolanda, i że Tołstoj, dowiedziawszy się przez nich o marszu Chłapowskiego, wysłał silne oddziały w kierunku Jurborga, aby przeciąć mu drogę. Wobec tego

¹⁾ Wrotnowski, *Pamiętniki*.

Giełgud spostrzega, że dalszy marsz na południe, ku Niemnowi, jest niepodobny, i nie czekając na Chłapowskiego, wysłała jego hufiec na zachód, do Retowa, z kąd już tylko dwie mile od pruskiej granicy. Giełgud nie mylił się; droga, którą mógł przemknąć się mały, lotny i w ścisłym porządku trzymany oddział, stała się w istocie nieprzystępną dla większego korpusu, obciążonego artylerją, bagażami, powózkami itd. To prawda, — zachodzi tylko pytanie, dlaczego odstąpił od kierunku, który sam sobie obrał w Kurszanach i dlaczego Chłapowskiemu zawalił przejście?... Jakaś fatalność ścięła nas w tej wojnie; jedni drugim, nie myśląc o tem, szkodzili! Gdyby Giełgud z Rolandem nie byli zwrócili się i swej drogi przez siebie obranej i spółem ułożonej i nie byli w ten sposób ściągnęli Rosyan na hufiec Chłapowskiego, jest wszelkie prawdopodobieństwo, że byłoby mu się udało przedrzeć się wzdłuż Niemna w głąb Litwy i wrócić potem do Królestwa. W Warszawie, nie z mniejszym, niż później Dembińskiego, powitanoby go entuzjazmem; a czyż to za wiele przypuścić, że Chłapowski lepiej pewno, niż Dembiński, umiałby być z tego entuzjazmu skorzystać!...

Przyparty z trzech stron od armii rosyjskiej, Giełgud nie widział gdzieindziej dla swego wojska ocalenia, jak na ziemi pruskiej, i w d. 11 lipca, z pod Retowa, wysłał dwóch oficerów do władz pruskich, prosząc o pozwolenie przejścia granicy. Jakkolwiek ciężkie były winy tego człowieka, sprawiedliwość każe dodać, że on nie myślał bynajmniej korpusu swego uwięzić w Prusiech; owszem miał nadzieję, że będzie mógł przeprowadzić go do Królestwa, przez pruskie terytorium, i przynajmy, że ta nadzieja miała niejaką podstawę. Wydany w samych początkach wojny rozkaz gabinetowy Króla pruskiego, z d. 11 lutego, wyrażał, że na przypadek przejścia jakiegoś oddziału jednej ze stron walczących na ziemi pruską, dozwala mu się wolny powrót do Ojczyzny, z tą jednak różnicą, że Rosyanie broń zatrzymają, a Polacy na granicy ją złożą. Z tego pozwolenia skorzystał był już jenerał rosyjski Bartolomej, gdy przyciśnięty, 10 kwietnia, przez żmudzkich powstańców, przeszedł granicę pruską, a później do Kurlandyi powrócił. Mógł przeto i Giełgud spodziewać się, że choć broń na chwilę złożą, to jednak korpus dla powstania

uratuje. — Nieopodal granicy wydał rozkaz dzienny, którym dozwalał każdemu oficerowi oddzielić się, wziąć z sobą tylu ochotników, ilu zechce i prowadzić ich na własną rękę. Kilku zaraz z tego skorzystało, w kilkanaście koni przemknęło się przez strażę rosyjskie i później dostało się szczęśliwie do Królestwa. Takiż sam zamiar miał i Chłapowski. Opowiada Mielżyński, że go w tym celu posłał do pułkownika Kossa, który się w korpucie Rolanda znajdował, aby się z nim porozumieć. Koss przybyć odrazu nie mógł, a tymczasem wypadki poszły dalej ¹⁾. D. 12 lipca już część wojska z Giełgudem złożyła pod wieczór broń; Chłapowski stał jeszcze z tej strony granicy. Nazajutrz, zrana, kiedy Giełgud stojąc przy granicy, umawiał się z landratem pruskim, „sposzrzegliśmy, mówi Mielżyński, przyciągający korpus Rolanda, którego oficerowie i żołnierze pomieszani z sobą, wydawali głośne skargi na zdradę. Wtenczas kapitan Skulski, adjutant 7go pułku piechoty, oficer głośnej odwagi, wyrywa stojącemu obok siebie kawalerzyście pistolet, przystępuje całym pędem do Giełguda i strzela do niego z wykrzykiem: „Bracia, tak kończą zdrajcy Ojczyzny!“ Strzał, który miał ukarać mniemaną zdradę Giełguda, sprawił na wojsku nieopisane wrażenie. Pokazanie się Moskali jeszcze je zwiększyło; zamięszanie i krzyki wzrastały co chwilę. O subordynacyi nie było już mowy. Całe szeregi rozbiegały się; jedni broń rzucali, inni ją podejmowali; jedni spieszyli do Prus, drudzy na Litwę, jak komu strach i rozpacz radziły.“ Wojsko szło w rozsypkę, a nie było nikogo, coby je mógł utrzymać w porządku. Ze śmiercią Giełguda, dowództwo przeszło na Chłapowskiego; nie sądził, aby w takiej chwili wolno było generałowi porzucać swych żołnierzy, choćby

¹⁾ W notatkach swoich zapisał Chłapowski, co następuje: „Kiedy przed wejściem do Prus, pozwolono iść na ochotnika i na przebój przez Moskali, chciałem zebrać choć ze stu ludzi i starać się przebić. Ale mnie wstrzymali oficerowie, prosząc, bym ich nie opuszczał, że może jeszcze razem będziemy mogli działać. Mnie jednak przykrzej niż innym generałom było złożyć broń przed Prusakami, raz, że byłem pruskim poddanym, a powtóre, że tyle razy się z nimi biłem, a prawie ich nigdy z przodu, odważnie stojących, nie widziałem.“

też dla nadziei, że sam będzie mógł jeszcze dostać się do walczących szeregów. I on więc, razem z 1szym pułkiem ułanów, który dotąd stał na ziemi litewskiej, przechodzi granicę; a choć zawsze tak spokojny, nie może stłumić w sobie głosu rozpaczy: „Okropniejszej chwili niewielu ludzi mogło dożyć, zawołał, i niewielu dożyje“ i rzucił szablę na płot: „Nateraz, już mi niepotrzebna!“

Oba korpusy, Chłapowskiego i Rolanda, weszły do Prus, między 12 a 14 lipca, w 6,800 ludzi, 4,500 konii 27 dział¹⁾.

1) Czytelnik może rad będzie posłyszeć tu słowo jen. Chłapowskiego o tej wyprawie i o wyborze jej dowódcy:

„Trudne w każdym przypadku było zadanie na Litwie, ale też niedołączniej wojsko nasze przez Giełguda prowadzone być nie mogło. Nie wojsko, ale dowódzca winien, kiedy się wkłada nieporządek.

„Jakim sposobem jen. Skrzynecki, który z Giełgudem był służył, nie osądził jego nieudolności, zwłaszcza w wyprawie, gdzie decyzja prędką wszystko stanowi, i nie wysłał do objęcia dowództwa ogólnego nad nami któregokolwiek z jenerałów, których miał pod ręką, n. p. Prądzińskiego, którego pewnie jużby się był zaraz po Ostrołęce rad pozbył od siebie? Prądzińskiego geniusz byłby się znalazł w swem miejscu na Litwie; dowiódł on pod Iganiami, że się umiał zdecydować w oka mgnieniu, kiedy niebezpieczeństwo grozi.

„Miał Tomasza Łubińskiego, który, lubo nie przewidywał już możności wygranej, jednak, gdyby oddzielnie był musiał działać, człowiek uczciwy, broniby przed nieprzyjacielem nie złożył. Tego dowiódł cofając się z pod Nuru, a doświadczonemu wojen byłoby się serce napowrót rozgrzało, i przypomniał byłby sobie, jak dobrze na Węgrzech, około Neystadt w r. 1809, naprzeciw Chatelera działał.

„Nareszcie, miał i Umińskiego, który wskutek nieporozumienia z nim podał się był do dymissy. Umiński także byłby na Litwie dobrze rzecz prowadził; wojsko w porządku zawsze on utrzymywał, doskonale się strzedz w obozie umiał i dysponować wyprawą w różne strony. Jako człowiek, miał wiele wad brzydkich, między niemi karty, ale podczas wojny naszej, nietylko sam nie grał, ale w obozie bardzo bronił. Sprawa serec mu była podniosła.

„O sobie samym nie mówię; tylko dlatego tu wspominać, że Rząd Narodowy przysłał mi dowództwo na Litwie dopiero wtedy, gdy przez kilku emisaryuszów odebrał był wiadomości, że wszystko na Litwie źle idzie. Jen. Skrzy-

§ 15.

Skończyła się dla Chłapowskiego jedna męczarnia; zacząć się miała druga, o wiele dłużej trwać mająca.

Późno bardzo przychodziły do Warszawy wiadomości z Litwy. Wielce pożądane były raporta o powodzeniach Chłapowskiego z dwóch pierwszych tygodni jego na Litwie po-

necki trzymał tych emisaryuszów, którzy prosili, aby dowództwo mnie oddać, po tygodniu. Dziwić się temu nie mogę, choćby i przy miłości własnej, bo Skrzynecki wcale mnie nie znał; nigdy z nim nie służyłem; i w ogóle oficerowie z wojska Księstwa warszawskiego mieli niechęć do oficerów z gwardyi Napoleona, czy to przez zazdrość, czy też przez poczucie, żeśmy lepiej od nich, a zwłaszcza spokojniej służbę wykonywali, co jest cechą starego żołnierza. Jak mi powiadano, Skrzynecki opierał się daniu mi dowództwa, obstając przy Giełgudzie. Moją nominacją odebrałem dopiero po tygodniu czy dwóch w obozie w Prusiech i zarazem moc rozdawania krzyżów do komandorskiego wyłącznie. Miałem z tego powodu odwiedzin i listów o krzyże bardzo wiele; może być że bardzo zasłużone, ale na obcej ziemi, bez broni, krzyże rozdawać, tak mi się nie w swoim wydawało miejscu, żem ani jednego nie podpisał. Ztąd może niełaskę wielu na siebie ściągnąłem, ale po kilku-nastu próbach dali mi pokój.

„Rzecz oczywista, że gdyby na Litwie można nam było się utrzymać, (a można było zrazu wziąć Wilno i mieć nie tylko rzemieślników i broni wiele dla powstań, ale i punkt środkowy pomiędzy czterema korpusami nieprzyjaciela, dążącemi na obronę stolicy i różnych zakładów), to z Wilna, organizując tam powstańców na wojsko regularne, można było te oddzielne korpusy moskiewskie pojedynczo poniszczyć. Ale gdyśmy tyle stracili czasu, Moskale zebrałi się w Wilnie i utworzyli korpus 20-tysięczny. Wtedy należało, mianowicie zaraz po ataku na Wilno porozdzielać się i pod pewnymi dowódcami pomaszerować na wszystkie strony Litwy i wszystkich pozbierać powstańców. Każdy oddzielny nasz korpus byłby urósł do znacznej liczby, a Moskale już ostatki swoje z najodleglejszych prowincyj byli na Litwę ściągnęli. Byłoby nas przybywało, ichby koniecznie ubywało. Nie byłby ten korpus moskiewski mógł pomaszerować pod Warszawę, i owszem ztamtąd pewnie byłby musiał Paskiewicz posiłki na Litwę wysłać.

bytu. Potrzebował ich rząd w Warszawie dla pokrzepienia ich sere i umysłów w narodzie; potrzebował ich wódz naczelny, aby w kraju i za granicą zatrzeć wrażenie klęski ostrołęckiej. Rozgłaszały je gazety ze zwykłą w takich razach przesadą. Mówiono, że przy Chłapowskim rosna nowe pułki, „jakby laską czarodziejską wywołane“ (cytujemy dosłownie), i nie bacząc na szczupłe s.ły, z którymi był wysłany, zapowiedziano, że Wilno niebawem wpadnie w jego moc. Posłano mu krzyż komandorski w nagrodę dwóch zwycięskich potyczek pod Hajnowszczyzną i Lidą; ale krzyż ten go nie doszedł ¹⁾. Pod koniec czerwea przybył do Warszawy oficer z korpusu Gielguda, który, jak wspomnieliśmy, powiósł był w imieniu swych kolegów żądanie, aby Chłapowskiemu oddaną była komenda. Podniosło to jego sławę. Żądaniu oficerów opierał się zrazu Skrzynecki, nie chcąc poświęcać Gielguda, ale wkońcu przystał. Zamianowano Chłapowskiego generałem dywizyi, naczelnym dowódcą na Litwie, dano mu prawo mianowania oficerów aż do stopnia pułkownika i udzielania krzyżów dwóch pierwszych stopni; przyczem posłano mu na potrzeby wojenne 100,000 zł. Na nieszczęście, wszystko to doszło generała dopiero we dwa tygodnie po wejściu do Prus. Ale w Warszawie o tem nie wiedziano; owszem liczo no na pewno, że jeśli z drobną garstką tak wiele dokazał, teraz mogąc wszystkimi rozporządzać siłami, znaczne sukcesa odniesie. Wtem, niespodzianie, *Gazeta Królewiecka* donosi, że Chłapowski złożył broń pod Kłajpedą we 2000 ludzi, za nim Roland w 4000. Nie rozumiano co to znaczy, ale zawód był

„Nieszczęśliwa gwiazda, że wszystkich oficerów naszych fałszywie użyto. Skrzyneckiego męczył Prądyński bujną swoją wyobraźnią, która mu tyle planów możebnych podsuwała. Prądyński byłby korpus oddzielny genialnie prowadził; na szefa sztabu niezdatny, bo wyobraźnia tak żywa przeszkodą jest do obrachowania szczegółowego marszów, jakto powinien szef sztabu. Przy Umińskim było aż dwóch oficerów na szefa generalnego sztabu bardzo zdatnych. Oficerowie wszelkich usposobień byli w wojsku, ale ich nie użyto odpowiednio do zdatności każdego.“

¹⁾ Krzyż komandorski tylko za taką wygraną mógł być udzielony, w której wszystkie trzy bronie przez dowodzącego były użyte.

gorzki, okropny, i tem mocniejszy wzbudził żal do człowieka, im więcej spodziewano się po nim. Wprawdzie, przed czterema miesiącami wszedł był Dwernicki z czterotysięcznym korpusem do Galicyi, skutkiem własnej nierozwagi, atoli powstanie znajdowało się wtedy u szczytu potęgi, kraj był w dobrym humorze, przebaczone mu łatwo. Z Chłapowskim inaczej; on złożył broń w chwili, kiedy naród niecierpliwie wyglądał ratunku i pociechy; z niechęcią więc odwracał się od tego, w którym widział sprawcę nowej klęski. — Nadszedł do Warszawy Dembiński, otoczony zasłużoną aureolą szczęśliwego odwrotu z Litwy. Zarozumiały i pełen miłości własnej, wmówił on w siebie, jak wiele innych rzeczy umiał w siebie wmawiać, że gdyby jemu oddaną była komenda, byłby niewątpliwie wydarł Litwę Rosyi; a że Chłapowskiego uważał za główną zaporę do swego dowództwa na Litwie, przeto w raporcie, który złożył rządowi, wylał na niego cały potok oskarżeń¹⁾. Te oskarżenia znalazły się później w znanej książce Spaziera i utrwaliły niekorzystną o Chłapowskim opinią. Wkrótce potem potwierdził je w Paryżu Feliks Wrotnowski, w swoim opisie powstań litewskich; podniósłszy wysoko zdolności wojenne generała, rzucił na niego surowe potępienie za to, iż zniechęcił się do sprawy i katastrofę umyślnie gotował, od chwili, gdy z wejściem Giełguda przestał być pierwszą osobistością na Litwie. Zarzuty jego były wprawdzie ogólnikowe, faktem żadnym niedowiedzione, ale koniec wyprawy zdawał się je aż nadto popierać. Giełgud już nie żył; inni generałowie, jak Roland lub Szymanowski, nie zasługiwali na to, aby się o nich spierać; Chłapowski stał się

¹⁾ Oto, co Chłapowski mówi o tem w swoich pamiętnikach: „Dembiński zasłużył sobie na chwałę przez swój odwrot ze Żmudzi do Warszawy; ale zamiast wytłómaczyć w Warszawie nieszczęśliwych swoich kolegów i objaśnić, że i oni, kiedy się z nim rozstawali, mieli nadzieję obejść około lewego skrzydła Rosyan, jak jemu się udało około ich prawego skrzydła, rozumiał, że powiększy swą sławę, zostawiając opinią publiczną w mniemaniu, że w Kurszanach my już byli zdecydowali wejść do Prus, a on sam tylko przedsięwziął przerznąć się orężem do Warszawy i że jemu tylko Moskale zastępowali drogę.“

więc kozłem ofiarnym wyprawy. Dawne pochwały, któremi go obsypywano, zaostrzyły tylko późniejszy wyrok potępienia.

Wobec tej burzy, która się przeciw niemu podniosła, i zarzutów, które go ścigały przez lat wiele, Chłapowski — milezał. Spisał krótki pamiętnik dla dzieci, aby, gdy dorosną, wiedziały co o tem myśleć, ale głośno nigdy się nie bronił. Nie lubił tłumaczyć się, miał wstręt do mówienia o sobie, gdy to mogło wypaść na jego korzyść. Mógł był bez trudu wykazać płytkość i urojenia w opisie Dembińskiego; mógł kilkoma faktami wyświecić powód potwarczych insynuacyj Fehksa Wrotnowskiego; odeprzeć ich autora, jak zasługiwał. Nie uczynił tego; wytrzymał wszystko spokojnie i tem dał może najpiękniejsze świadectwo wielkości swej duszy. — W liście poufnym, który wkrótce po wejściu do Prus napisał do najbliższego przyjaciela, ref. Morawskiego (27 września 1831), mówi on: „Możesz miarkować, z jakim duchem maszerowałem na Litwę. Spełniały się moje nigdy z myśli niespuszczone plany... Na Litwie była i jest cała zagadka naszej niepodległości... Przewróciłem wszystko, co mi drogę zastępowało; w działa, broń amunicją, a nawet w ludzi nieprzyjaciel mnie opatrzył. Dnia 9 czerwea przeszedłem pod komendę Gielguda; nielad jego dywizyi zaraził i mój korpusik. Kazał mi być swoim szefem sztabu. Surowość, której użyć chciałem dla przywrócenia porządku, niepoparta, narobiła mi tylko nieprzyjaciół. Pozbawiło mnie to zdrowia na zawsze. Nerwy moje tak rozdrażnione, że moja żona wygląda jak Herkules przy mnie. Śmiało mogę powiedzieć, że do 9 czerwea było czas najszcześniejszy mego życia, jak odtąd najnieszczęśliwszy; takie gwałtowne przejście chybaży człowiek bez duszy zniósł. — Pomijam to, co o mnie pisali, korzystając z mojej nominacji, aby mnie potępić jako komendanta, nie wzmiankując, że komunikacje były przecięte, że ja mojej nominacji wcale nie odebrałem! Czas to wszystko wyjaśni, że w przejściu do Prus poświęciłem całą moją osobistość, ponieważ w kilku zaufanych mogłem się przedrzeć; ale gdy cała siła moskiewska ku Niemnu na nas się obróciła, nie można już było przedrzeć się z korpusem. Nie odłączyłem swego losu i spełniłem kielich... Większe teraz zdarzenia pamięć tych zacierają, większe jeszcze na-

dejda. Poznaliśmy się wszyscy, a jak czas się trochę uspokoi, poznamy się lepiej.“

I nie zawiodła go ta ufność; w lat kilka później jaśniejsze światło zaczęło się z wolna przedzierać. Maciej Mielżyński wydał broszurę, w której zarzuty Dembińskiego zbil faktami; nie zostało z nich nic. A choć pismo Mielżyńskiego trudnem jest do czytania, bo nie opowiada ono porządkiem wydarzeń, tylko każde twierdzenie z kolei rozbiera, i choć dlatego nie dostało się do rąk szerszej publiczności, niemniej jednak, ci co szukali prawdy, mogli ją tam znaleźć, i wielu znalazło. Uderzało w tej broszurze wyznanie samychże Rosyan, że oni o Chłapowskiego tylko się troszczyli, bo jego jednego poczytywali za zdolnego na Litwie generała¹⁾. Przy lepszem wyświeceniu faktów i przy spokojniejszym poglądzie, każdemu musiała nasunąć się uwaga, którą też trafnie wyraził jen. Kołaczkowski w swoich pamiętnikach, że „jak długo Chłapowski sam i niezawisłe działał, powodziło mu się szczęśliwie, i byłby zapewne jak najświetniej wypełnił rolę partyzanta, przecinając dowozy, znosząc pojedyncze oddziały i rękę podając nowym formacyom; lecz skoro dostał się pod komendę leniwego i niezdatnego Giełguda, musiał działać według jego myśli i przejść z nim te wszystkie koleje, które cały korpus do ostatniego stopnia dezorganizacyi doprowadziły i spowodowały wejście jego do Prus.“ Nie zawadzi wkońcu wspomnieć, że generał doczekał się uznania od tego, po którym najmniej mógł się go spodziewać: „Pokazało się (w wyprawie na Litwie), że ze wszystkich trzech (Giełguda, Dembińskiego i Chłapowskiego), jeden tylko Chłapowski miał rozum i wiedział czego chce.“ To mówi — Mierosławski w swojej *Historji powstania*. — Nie więc Chłapowski nie stracił na milczeniu, z jakim przyjmował sądy krzywdzące; nie ucierpiała na niem jego sława wojskowa, a w całym blasku zajaśniały szlachetność człowieka i męstwo chrześcijanina²⁾.

1) *Darstellung der Operationen des lithauischen Armee-Korpus, von einem russischen Offizier des Generalstabes an einem preussischen Offizier*, zamieszczona w dodatku przez Mielżyńskiego, s. 64.

2) Ogłoszona świeżo *Historja powstania listopadowego* Stani-

Przejdźmy do dalszego wątku naszego opowiadania. Od chwili, gdy ze śmiercią Giełguda na ziemi pruskiej przeszła na jenerała komenda, zażądał od władz pruskich, aby na mocy rozkazu gabinetowego z d. 11 lutego (1831) dozwołonem było wojsku polskiemu przejść do Królestwa. Władze nie śmiały decydować, odwołano się do Berlina; trzeba było czekać na odpowiedź. Tymczasem nałożono na cały korpus kwarantannę i rozłożono go w polu, pod Klajpedą, przez 6 tygodni. Byłoto w połowie lipca. Jeszcze wojna trwała nad Wisłą, jeszcze u nas mniemano, że mocarstwa zachodnie przyjdą Polsce w pomoc. Wejście korpusu polskiego do Prus musiało w Europie złe sprawić wrażenie; chodziło o to, by tej klęsce częściowej nie nadawano zbyt wielkich rozmiarów i nie przyjęto jej jako zapowiedz zbliżającego się końca, a także, aby tę katastrofę nie przypisywano oziębłości Litwinów dla wspólnej sprawy, którzy owszem w trudnych okolicznościach, w jakich się znajdowali, zrobili z siebie wszystko co mogli. To dało myśl Chłapowskiemu

sława Barzykowskiego, zawiera w IV tomie, bardzo niekorzystną o Chłapowskim relacją. Barzykowski, człowiek prawy, co sam widział, sumiennie, choć najczęściej niesmacznie opisuje; ale w podaniach drugich nie umie zrobić wyboru; sądzi zazwyczaj według swych osobistych sympatyj lub antypatyj, których miał bez końca. Scisłą przyjaźnią z Dembińskim związany, uwielbia jego geniusz, każdemu jego słowu wierzy naślepo. Przeciwnie, do Chłapowskiego mocno uprzedzony, to nawet zamilcza, co nieprzyjaciele jenerała o nim dobrego powiedzieli. Jaką wagę do jego twierdzeń przykładąć należy, wnieść można między innemi z tego, co mówi: że Chłapowski dlatego porzucił Napoleona, że ten nie mianował go jenerałem; że przybywszy w r. 1830 do Warszawy, podał Chłopickiemu plan insurrekcyi w Wielkopolsce, za co go dyktator od siebie odsunął itd. — Dzieło Barzykowskiego może posłużyć za materyał w wielu razach pożyteczny, ale na jego zdaniu polegać niepodobna. Czyny i gorliwy w administracyi, sądu politycznego nie miał żadnego i powtarza do znudzenia płytkie i zużyte komunały z wielkiem patos wypowiedziane. — Wyborną jego książki recenzją ogłosił właśnie *Przegląd Polski* w Krakowie. Choćby początkowe litery (*P. P.*) nie wskazywały autora tej krytyki, możnaby go odrazu po wytrawności pióra i niepospolitym rozumie politycznym odgadnąć.

napisania w języku francuskim listu o wypadkach wojennych w pierwszej połowie 1831 r. W piśmie tem poddając surowej krytyce Chłopickiego, iż nie umiał korzystać z narodowego zapału i wykazując błędy strategiczne Skrzyneckiego, które Dybicza ocaliły od zguby, Chłapowski dowodzi, że naród spełnił swą powinność i jeszcze do wielkich poświęceń jest gotów, aby swoją niepodległość odzyskać. Broszura wysłano w lipcu do Caramana, wyszła z druku dopiero po skończonej wojnie ¹⁾. Pierwszy to był sąd wydany na wodzów, a jakkolwiek słuszny i dziś wszyscy się nań zgadzają, wówczas zdawał się być za twardym i wielu ludzi na Chłapowskiego obruszył. — Nie brakło i innych powodów obrazy; było nim, między innymi, prawo przysłane Chłapowskiemu rozdawania krzyżów. Wnet się zgłosiło do niego mnóstwo oficerów z prośbą o patenta, i znajdowało się zaprawdę wielu takich, co na nie zasłużyli. Rozdano tych patentów niemało na ziemi pruskiej, kiedy główna armia złożyła broń, 4 października; jeszcze więcej wydano ich później z kancelaryi ostatniego wodza, na emigracyi; ale Chłapowski nie sądził, aby można przyznawać nagrody w chwili, gdy korpus już rozbrojony, i jak sam nie przywdział nigdy znaków komandorskich, tak i swoim podkomendnym krzyżów stanowczo odmawiał. I to także zdało się być twardem i zrodziło bez końca niechęci, które niełatwo puszczono w niepamięć.

Na podanie jenerała przesłane do Berlina, król pruski odpowiedział 5 września odmownie. Tłómaczył się, że jego rozkaz gabinetowy z d. 11 lutego miał na myśli tylko małe oddziały szukające w Prusiech schronienia, ale że nie może się odnosić do znacznej liczby wojska, wehodzącego do Prus, podczas trwającej jeszcze wojny; i dodawał, że oficerowie i żołnierze polscy powinni widzieć i ocenić łaskę monarchy, który nie przychylił się do żądania ekstradycyi, jakkolwiek w istniejących traktatach możnaby znaleźć do niej podstawę. Skoro ta decyzja królewska nadeszła, rozłokowano wojsko po wsiach w okolicach Kłajpedy. Tymczasem wojna w Kró-

¹⁾ *Lettre du Général Chlapowski sur les évènements militaires en Pologne et en Lithuanie.* Paris, novembre; z datą 25 sierpnia, spóźnioną o miesiąc.

lestwie skończyła się. Nasunęła się myśl, by wojsko rozbrojone szło do Francyi. Myśl ta przyszła ztamtąd, z kąd jeszcze przed powstaniem przysłano do Warszawy zachętę do wybuchu; przyszła od partyi republikańskiej w Paryżu, która w Polakach i w entuzjazmie, jaki się dla nich objawi we Francyi, spodziewała się znaleźć pomoc i narzędzie do wyrócenia Ludwika Filipa. Chłapowski zganil pomysł gromadnego wychodźstwa. Zbyt liczna emigracya, zdaniem jego, osłabi kraj, mnóstwo ludzi zdolnych zmarnuje za granicą. Aby zanieść protestacyą na Zachód, wystarczą członkowie Rządu, członkowie Sejmu, ludzie najbardziej skompromitowani; na to tłumów niepotrzeba. Reszta powinna wracać do kraju, poddać się karze i korzystając z nabytego doświadczenia, pracować dla Ojczyzny w warunkach, jakie będą dane. Nie usłuchano go, bo mniemano powszechnie, że wychodźstwo nie potrwa długo; że owszem z armią rewolucyjną francuską zjawi się ono niebawem nad brzegami Wisły. — Czy złą była rada Chłapowskiego? Czy emigracya z r. 1831 nie wyprowadziła z kraju najlepszych, najszlachetniejszych żywiołów, tego co pod każdym względem było kwiatem społeczeństwa polskiego? Ile było sił, talentów, wysokich cnót, heroicznych poświęceń w emigracyi, wiedzą tylko ci, co ją znali, i tem większy czuć muszą ból, że to wszystko, prawie bez pożytku dla kraju, zwiędniało we Francyi! Byłto dobrowolny a straszny upust krwi, daleko straszniejszy niż ten, co wojna sprawiła, dokonany w chwili, gdy kraj potrzebował największej siły odpornej, wobec represyi zwycięskiego nieprzyjaciela. Powiedziano, że w owej epoce grobowego pod rządem rosyjskim milczenia, Poznańskie aż do r. 1846 było jedyną prowincyą, „co myślała i pracowała za resztę Polski“. I było tak rzeczywiście, myślała i pracowała za resztę Polski, a nie tylko dlatego, że ta prowincya większej wówczas używała swobody, lecz dlatego głównie, że Poznańczycy nie emigrowali. Bo uważmy, że gdyby ci wszyscy z Wielkopolski, co w powstaniu wzięli udział, gdyby Chłapowscy, Mielżyński, Żółtowscy, Marcinkowski, Potworowski, Libelt, Moraczewski i tylu innych, przenieśli się do Francyi, czyżby i Poznańskie nie stało się owym *grobem milczącym*, jak reszta Polski, albo co gorsza, czy jedynym

objawem jego żywotności nie byłyby roboty konspiracyjne, jak podówczas w Królestwie i w Galicyi? Co w tej epoce zrobiło się dobrego w Wielkopolsce, to było dziełem tych właśnie, którzy w r. 1831 bili się za Ojczyznę i którzy po wojnie w kraju zostali. A tożsamo da się powiedzieć o Królestwie i o Galicyi, że tu najcelniejszych tylko wymienim, jak Andrzeja Zamoyskiego i Leona Sapiełę, którzy po wojnie woleli w kraju pozostać, i w twardych warunkach sprawę dźwigać i drugich ciągnąć do pracy. Co się później w Królestwie i w Galicyi zrobiło, ich to dziełem, bo oni do tego dali początek. — Dziś to wszystko jaśniej widzimy i dziś to głośno powiedzieć można; ale wtedy, ta mądra i daleko sięgająca rada Chłapowskiego, by kraju gromadnie nie opuszczać, owszem zostać w nim, cierpieć i służyć czem się da, — była najwstrętniejsza prądowi ogólnemu i do jego niepopularności przydała niemało.

Aż do końca r. 1831 trzymano Chłapowskiego w okolicach Klajpedy, poczem kazano mu zdjąć mundur, wrócić do domu i czekać na dalszą względem niego decyzją. Wrócił więc do Turwi w styczniu 1832 r. i zastał ją pod sekwestrem. Przypomnijmy, że rozkaz gabinetowy w grudniu 1830 r. wydany, rozciągał konfiskatę na tych wszystkich, którzy się do powstania przyłączyli. Skoro więc Chłapowski nie chciał powrócić z Warszawy, pomimo nalegań konsula pruskiego, z początkiem stycznia 1831 r. zjechała do Turwkomisya dla sekwestrowania dóbr i kazała pani Chłapowskiej, przy spisaniu inwentarza, złożyć wszystko co posiada. Bez wahania oddała swe brylanty i kosztowności toalety. „Pocóż to pani nam przynosi, zawołali zdziwieni komisarze, przecież to jej jest własnością?“ „Mamże dbać o te drobnostki, odrzekła szlachetna Polka, kiedym męża Ojczyźnie oddała!“

W r. 1832 wytoczono proces wszystkim, którzy należeli do wojny. Trzeba oddać sprawiedliwość ludności niemieckiej w Prusiech, że na ten proces patrzyła niechętnie; oskarżała rząd o zbytnią dla Rosyi uległość. Nie chwalono go w najbliższem nawet otoczeniu monarchy. Kiedy Chłapowski przez Poznań przejeżdżał, zawezwał go ks. Fryderyk, zwany düsseldorfskim, brat stryjeczny Króla, i rzekł mu: „Mogę cię upewnić, że podczas wojny mieliśmy dla was najżywsze

sympatye.“ „O nim samym, odrzekł jenerał, nie wątpię, lecz W. Kr. Wysokość używa wyrazu *my*.“ „Tak, rzeczę ksiązę, powiedziałem *my*, i to z namysłem; więcej mówić nie mogę,“ a miał na myśli Następę tronu. Podobnież i sądy poznańskie nie kwapiły się z przyzwaniem obwinionych i prawie jednogodnie oświadczyły rządowi, że nie można ich sądzić na podstawie rozkazu gabinetowego. Utworzono tedy osobny dla tej sprawy trybunał we Wschowie (*Stadt- und Landgericht*). — Zawezwany do indagacyi (d. 9 maja 1832 r.) i zapytany, co może złożyć na swoją obronę, jenerał odpowiedział, iż oprócz tego, co z natury rzeczy wypływa, iż się czuł obowiązany służyć swemu narodowi, nie szczególnego do powiedzenia nie ma, chyba to, że nie był w żadnem urzędowaniu pruskiem, ani cywilnem ani wojskowem. D. 12 września (1832) zapadł wyrok skazujący go na dwa lata więzienia, konfiskatę dóbr i utratę praw politycznych. Król skrócił więzienie do roku, a w miejsce konfiskaty nałożył karę pieniężną 22,000 tal. Gdy potwierdzenie królewskie z tą zmianą nadeszło, zawezwał Chłapowskiego Flotwell, nowy prezes Regencyi, i powiedział mu, że Król gotów jeszcze większą łaskę mu wyświadczyć. Są w Brandeburgii znaczne dobra królewskie, Chłapowski będzie mógł je wziąć w miejsce Turwi; rząd nie będzie przestrzegał równości zamiany, a w dodatku król mu odpuści karę pieniężną. Chłapowski na to: „Pan Bóg mnie osadził w Turwi i ja mam obowiązki względem kraju i ludzi, których mi Pan Bóg dał. Może mi rząd zabrać co mam, ma siłę; ale nie może mnie zniewolić, bym cokolwiek przyjął.“ „Nie spiesz się pan, rzeczę Flotwell, daję ci trzy tygodnie do namysłu.“ „Bądź pan przekonany, odpowie jenerał, że choćbyś mi dłuższy czas zostawił, nie zmienię mego zdania.“

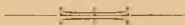
Rezem z Chłapowskim było skazanych około 2,000 osób, między innymi Maciej Mielżyński, Tertulian Koczorowski, Teodor Mycielski, Kropiwnicki (ci dwaj razem z jenerałem odsiedzieli więzienie); wielu wziętych do kompanij karnych w wojsku pruskiem. Wszystkich spotkały również grzywny, ale mało kto się z nich uścił. Rząd groził subhastacyą, ale jej nie wykonywał, zwłaszcza że procenta płacili. Aż w ośm lat później, gdy Fryderyk Wilhelm IV wstąpił na tron, amne-

stya umorzyła wszystkie te zaległości. — Chłapowski przeciwnie, zaraz po zapadłym wyroku wziął się do spłacenia kary: 7000 talarów gotówką i czynsze z majątku rombińskiego, skapitalizowane na 15,000 talarów. Dlaczego tak się pospieszył? Nie lubił długów, był pod tym względem bardzo niecierpliwy, w owej chwili bardziej niż kiedykolwiek, w rozdrażnieniu nerwowem, które go od końca wojny opanowało. — Z tego czasu inny jeszcze podobny fakt godny jest pamięci. Wiemy, że dopiero po wejściu do Prus doszła go od Rządu narodowego z Warszawy wraz z nominacją na dowódcę naczelnego, suma 100,000 zł., na potrzeby wojenne. Dowiedzieli się o niej oficerowie korpusu i domagali się zasiłku na zaopatrzenie swych potrzeb. Jenerał tłómaczył się, że będąc na obcej ziemi, nie czuje się w prawie rozrządzania tym funduszem; ale, gdy prośby oficerów były coraz bardziej naglące, zwołał Radę gospodarczą korpusu i zażądał jej zdania. Wszyscy członkowie złożyli deklaracją na piśmie, że jenerał może bezpiecznie użyć tej sumy na potrzeby oficerów; on jeden napisał zdanie przeciwne, wszelako uległ i kazał ją rozdać. Pozostało mu to jednak w pamięci; dręczyła go wątpliwość, czy własnością publiczną prawnie rozrządził? W pierwszej połowie r. 1833, przyjechał do Turwi jen. Tański i odwiózł Chłapowskiemu sumę 150,000 zł., którą pozostał był dłużny za kupione od niego dobra Chmielniki, w Królestwie. Szlachetny to był czyn; gdyby nie chciał zapłacić, Chłapowski nie był w możności go przymusić. Skoro odebrał tę sumę, zaraz sobie przypomniał ów fundusz korpusu litewskiego i napisał do prezesa Banku w Warszawie, że chce odesłać 100,000 zł. Przestrzegął go poufnie Henryk Łubieński, że to niepotrzebne, że nikomu *nie przyjdzie na myśl* upominać się o zwrot. Ale jenerał nie dał się przekonać i 100,000 do Warszawy odesłał. — Mielśmy w ręku oba dokumenta odnoszące się do tej sprawy: protokół Rady gospodarczej z d. 6 sierp. 1831 r. z podpisami oficerów, i list Henryka Łubieńskiego z d. 5 czerwca 1833 r., z pokwitowaniem 5000 dukatów, w imieniu Banku Królestwa Polskiego wydanem.

Pod koniec maja 1833 r. jenerał pojechał do Szczecina, gdzie miał karę w fortecy odsiedzieć. Więzienie nie było ciężkie, mieszkanie wygodne i suche; od komendanta i ofi-

cerów załogi doznawał wszelkiej względności i uszanowania. Po tylu ciężkich próbach, przez które przeszedł, potrzebny mu był ten spoczynek, jakkolwiek przymusowy; w pracy samotnej i regularnej wrócił do równowagi i do spokoju. Z tym jasnym poglądem, który był mu właściwy, zrozumiał odrazu, że służba wojskowa dla niego przerwana na długo, jeżeli nie na zawsze, i że jak po kampaniach napoleońskich, zsiadłszy z konia wziął się do roli, tak i po wojnie z r. 1831 szablę na lemiesz znowu wypadnie zamienić. W fortecy szczecińskiej napisał książkę o *Rolnictwie*. Słuchacze moi nie zechcą zapewne, abym to dzieło oceniał, przechodzi to me siły; mogę tylko powtórzyć zdanie sędziów właściwszych, że to jest najkrótszy i jeden z najlepszych podręczników, który literatura agronomiczna posiada; a że dziś jeszcze może być przydatny, świadczy czwarta edycya niedawno ogłoszona.

Na wstawienie się księżnej Ludwiki Radziwiłłowej, z domu księżniczki brandeburskiej, odpuszczono mu z powodu ciężkiej choroby, w którą żona popadła, pół roku więzienia. Pod koniec grudnia 1833 r. pozwolono mu wrócić do Turwi, gdzie nowy i ostatni peryod swego życia rozpoczął.



OBCE GŁOSY O MATEJCE.

„Skarga.“ „Wernyhora.“ „Hołd Pruski.“

Cztery lata temu w Paryżu, podczas kiedy „Grunwald“ figurował na wystawie tamtejszej, towarzyszyłem pewnego razu p. Matejce do niejakiego profesora Fourcaud, krytyka obrazów, który przed kilkoma dniami właśnie umieścił był w dzienniku *Gaulois* wcale zajmującą recenzję o ostatniem dziele naszego mistrza. Weszliśmy, pamiętam, na czwarte piętro *audessus de l'entresol* jednego z tych wązkich a niebotycznych domów, po którego rozmiarach widać odrazu, że każdy w nim kawałek przestrzeni na centymetry lokatorom wymierzany bywa. Odebrawszy nasze karty tradycyjna od czasów Moliera u rodzin średniego stanu we Francyi pokojówka, przeprowadziła nas do szczupłego gabinetu, służącego za pracownię gospodarzowi, a na którego ścianach wisiały szkice Munkacy'ego, Meissoniera, Bougueraud'a i innych współczesnych malarzy, wszystkie, jakieśmy się dowiedzieli potem, ofiarowane przez samych autorów sprawozdawcy za pochlebne o ich dziełach artykuły. Przy biurku leżały duże fotografie „Skargi“, „Rejtana“, „Unii“ i „Batorego.“ Ledwieśmy się zaczęli w tem wszystkiem rozpatrywać, a tu pospiesznie wchodzi zaafierowany gospodarz, trzymając w ręku odebrane bilety: Doręczono mi w tej chwili kartę p. Matejki, mówi przybliżając się do nas; zapewne mu panowie towarzyszycie; czy może czeka na dole?... — Mylisz się pan, odrzekłem; p. Matejko sam przyszedł tu ze mną do pana; wi-

dzisz go pan przed sobą, dodaję wskazując na dostojnego towarzysza. — Jakto, rzecz zdumiony Francuz, chwytając mistrza za rękę, byłbyś pan w istocie samym Matejką! Ależ to niepodobna; ja się tu spodziewałem zastać starca z siwą brodą, a tymczasem widzę przed sobą człowieka w całej pełni i sile wieku... Wieleż pan lat sobie liczysz, jeżeli wolno zapytać? — Czterdzieści jeden, uśmiechając się odpowiada Matejko. — I pan doszedłszy zaledwie do połowy życia, byłeś już w stanie tak olbrzymie dzieła wykonać!... Chciej pan wierzyć, że odwiedziny pańskie stanowić będą datę w mojem życiu, gdyż dla mnie jesteś pan jedną z największych umysłowych potęg naszego wieku, *car je salue en vous*, były jego słowa, *un des plus grands esprits de notre époque*.

Sąd obcych, powiada gdzieś Aleksander Dumas, jest dla żyjących sądem potomności. W rzeczy samej odległość przestrzeni wytwarza tu pewnego rodzaju perspektywę, która ma coś wspólnego z perspektywą czasu. Tak samo w niej jest niezależność od wpływów osobistych, lokalnych, to samo oddalenie od punktu stronniczych zapatrywań, które mimowoli, bezwiednie nawet czasem na wyrobienie zdania oddziałują. Sąd taki przeto, chociaż nie może być oczywiście całkiem niezależny od prądów czasu, jakim jedno i to samo pokolenie na przeciwległych nawet biegunach ulegać musi, ma jednakowo w sobie pewne pierwiastki absolutnej prawdy, której najdrobniejsza nawet cząstka pomnaża w trójnasób od razu wspólny kapitał wiedzy, a której poznanie w tym przypadku ma dla nas wyjątkową wagę. Dzieła sztuki bowiem, utwory wyobraźni, nie są nigdy oderwanym zjawiskiem, wynikiem przypadkowego tylko zbiegu okoliczności, pojedynczym wysiłkiem odosobnionej jednostki; one sięgają głębiej, czerpią swe natchnienia z okalających je zewsząd prądów społecznych i moralnych, są tylko najdoskonalszym wyrazem tego co czują, czego pragną, do czego dążą całe pokolenia pewnego wieku i kraju, wcieleniem ich potrzeb, uczuć i pragnień, urzeczywistnieniem ich ideału, skryształowaniem nieujętych przedtem i w lotnym stanie krążących wokół nich aspiracyj; one wydobywają z głębi dusz, wyzwalają niejako tego ducha, który pokutuje na dnie serc następujących po sobie dwóch czy trzech naraz generacyj. Stosunek, jaki istnieje

między płodami wyobraźni a stanem duchowym społeczeństwa, z którego się te plody wydobywają, jest tak ścisły, konieczny, jak stosunek, jaki zachodzi pomiędzy rośliną a warstwami ziemi, na których wyrasta, pomiędzy botanicznym a geologicznym światem. Dąb nie wyrasta na piasku, tak jak sosna nie przyjmuje się na żyznych pokładach ukraińskiego czarnoziemu. Wprawny przyrodnik, gdy natrafia na jaką warstwę scharakteryzowaną ziemi, może napewno zdeterminować z góry rośliny, jakich się po niej spodziewać można; tak jak i naodwrot, obejrzawszy jaki kwiatek albo liść z drzewa zerwany, biegły botanik określić może natychmiast naturę gleby, która go wydała. Tak się ma zupełnie z dziełami sztuki w stosunku do moralnego gruntu, na którym się wytworzyły. Jest stosunek, korelacja stała, niezmienna między tem, co człowiek czuje, uwielbia, do czego dąży, co za swój ideał uważa, a tem, czem jest w rzeczywistości. Plody imaginacyj nie wyrażają czego innego, jak tylko to, co stanowi duchowy nastrój, charakter, usposobienie współcześnie żyjącego społeczeństwa, stopień jego etycznego rozwoju, jego psychologiczny kamerton. Prawda ta, stwierdzona na każdej karcie historii sztuki czy literatury powszechnej, bije w oczy, gdy ją zwłaszcza w obecnej chwili zastosujemy do nas samych. U nas bowiem, zdawałoby się w istocie, że wyparty ze wszystkich dziedzin samoistnego życia duch narodu, jego niezem nie przytłumione technienie przeniosło się w dziedzinę ideału, skupiło i skoncentrowało w sztuce. Malarstwo zwłaszcza stało się dzisiaj dla nas tem, czem była w pierwszej połowie tego wieku poezya, głównym kanałem, ujściem bezpieczeństwa, *la soupape de sureté*, jak mówią Francuzi, naszych narodowych uczuć. Badać jego charakterystyczne znamiona, zgłębiać jego naturę zwłaszcza w dziełach jego właściwego twórcy i najpotężniejszego przedstawiciela, jakim jest Matejko, jest to samo, co badać siebie samych, co auskultować własne serca rozbierając nie urzeczywistnione wprawdzie, ale przynajmniej uplastycznione ich pragnienia, to samo, co śledzić w najwierniejszem zwierciadle rysy własnego oblicza. Z tego względu zdało nam się rzeczą podwójnie zajmującą, zebrać zdania i uwagi, jakie się kolejno odezwały za granicą o wysta-

wionych tam niedawno trzech dobrze nam znanych dziełach naszego mistrza.

W ciągu roku zeszłego „Skarga,“ „Wernyhora“ i „Hołd Pruski,“ a zwłaszcza ten ostatni, objechały większą część Europy; widziano ich w Wrocławiu, w Berlinie, w Paryżu, nareszcie w Pradze i w Peszcie, nie mówiąc o Poznaniu, gdzie głosy prasy niemieckiej na szczególniejszą jeszcze może zasługują uwagę. Rozmaite spotkały ich ocenienia: jedne pochlebne, drugie surowe, a nawet dotkliwe i gorzkie. Zestawiając jedne obok drugich, roztrząsając je przedmiotowo, bezstronnie, może się też tu i owdzie po drodze da coś prawdziwie nauczającego napotkać, może się też da uchwycić jaki błysk, jeżeli już nie promyk prawdziwego światła, który do ustalenia własnego sądu, do wyrobienia niezależnego zdania będzie w stanie się bezwarunkowo przyczynić. Ta myśl przewodniczyła niniejszym poszukiwaniom, poparta i podniecona przekonaniem, że według tego, cośmy na początku powiedzieli, cokolwiek w tym względzie usłyszymy, nas samych najbliżiej dotyczy, bo z natury rzeczy ostatecznie *de nobis fabula docet*.

I.

O „Kazaniu Skargi,“ o wrażeniu, jakie ponowne pojawienie się tego arcydzieła po długim przeciągu czasu w kraju i za granicą wywołało, miałem już raz sposobność pisać przed trzema miesiącami gdzieindziej. Dzięki wspaniałej restauracyi, jaka przez Penthera w Wiedniu dokonana została, pisałem do *Kraju* z Warszawy, podczas kiedy obraz znajdował się tam na Wystawie Towarzystwa Sztuk pięknych; mamy po dwudziestu latach znowu sposobność oglądania „Skargi,“ a co więcej, oglądania go w tym świetnym stanie, w jakim, według słów samego Matejki, po raz pierwszy opuszczał jego pracownię. Od tej pory dwadzieścia lat upłynęło!... Jakie wówczas zrobił na nas wrażenie, jakie myśli i uczucia poruszył, tego chyba, mimo nawet tak długiego przeciągu czasu, nie zapomnieli jeszcze ci, co go bądź w młodocianych latach, bądź w dojrzałym wieku po raz pierwszy ujrzeli. Nie mówiąc już o tem, że byłoto w dziedzinie malarstwa pierwsze

dzieło tej miary, jakie się na ziemi polskiej w ogóle pojawiało, dzieło, jakiego nawet tak żyzne i bogate, jak Zygmunto-wskie czasy, wydać u nas nie potrafiły, należy dodać, że pojawiało się w chwili brzemiennej, kiedy straciwszy równo-wagę, naród wśród własnych kolei zorientować się nie mógł ani zajrzeć w oczy własnemu przeznaczeniu nie miał jeszcze odwagi. Wtedyto, jak w optycznej głębi dalekiego zwiercia-dła, pokazał mu Matejko własne jego losy i obecną dolę, na karcie dziejów przed półtrzecia wiekiem ognistemi głoskami wypisane i ręką mistrza wskrzeszony, stanął przed narodem własny jego Izajasz, prorok, co upojonym szczęściem biesia-dnikom nie bał się rzucić ową straszną i jak drugie „*mane, tekel, fares*“ w przestworze wieków płomieniejącą wyrocznję:

„Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe Królestwo?...
 „Gdybym był Izajaszem, chodziłbym boso i na poły nagi,
 „wołając na was rozkoszniki i rozkosznice, przestępniuki i
 „przestępnice zakonu Bożego: będzie wam złość wasza jako
 „mur porysowany, wysoki, który, gdy się niespodziejecie,
 „upadnie... Gdybym był Jeremiaszem, ukazałbym zbutwiałą
 „i zgnojoną suknię, którą trząsnawszy, gdyby się w pe-
 „rzynę rozleciała, mówiłbym do was: Tak się popsuje i
 „wniwecz obróci i w dym, a w perzynę pójdzie chwala wa-
 „sza i wszystkie dostatki i majątki wasze... I ta niezgoda
 „przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze
 „utoną i w śmiech się obróca!... Wszyscy z domy i zdro-
 „wiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, pod-
 „dani tym, którzy ich nienawidzą... Będziecie nietylko bez
 „pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez
 „Ojczyzny i Królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni,
 „wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami,
 „tam, gdzie was pierwaj ważono, będą...“

„Ustawicznie rysują się mury waszej Rzeczypospoli-
 „tej, a wy mówicie: nic, nic. Nierządem stoi Polska!
 „Lecz gdy się niespodziejecie, upadnie i was wszystkich
 „obali!...“

Od tej chwili, od chwili kiedy się pojawił, jak chusta ś. Weroniki, co zdjęte z oblicza rysy Chrystusowej twarzy dała poznać całemu światu, tak obraz Jana Matejki po całej

Polisce postać Skargi i straszną jego naukę roznosił. Począwszy od najwspanialszych pałaców, jak ten, w którym się przechowuje oryginał ¹⁾, kończąc na najskromniejszym dworku zagonowym, co dziesiąty nieomal dom, czy w ten czy w inny sposób powtórzona, wszędzie jak niezażegnane widmo w słonecznych skąpana promieniach, pojawia się głowa jasnowidzącego kapłana; a niejedno może już dziecię, otwierając po raz pierwszy powieki, utkwilił mimowoli błędne oczęta w tym strasznym a tak bolesnym ruchu podniesionych ramion, których kłatwa zda się zawisła na wieki nad głowami hardych i nieskruszonych słuchaczy!...

Cóż dziwnego, jeżeli tem widzeniem ustawicznie ściągana, przejęła się nakoniec bezwiednie jego natchnieniem wyobraźnia całego jednego pokolenia? Drogi, które sobie prawda do umysłów toruje, nie zawsze są do siebie podobne, i kto wie czy nie posłannictwem sztuki stało się u nas dzisiaj uwidocznienie plastycznie, zasadzać i zakorzeniać w sercach te prawdy, którym dotąd ani wymowa gorącego słowa, ani nawet brutalna logika wypadków zdobyć prawa obywatelstwa w społeczeństwie naszym nie były w stanie? Może się to wyda przesadą, ależ doprawdy czy ta wyniosła, dominująca niejako postać wskrzeszonego Skargi, podobna do owego wodza na drzwiach Ghibertego we Florencyi, co z rydwanu bojowniczym tłumom bulawą drogę wskazuje, nie zdaje się z piedestału trumny ś. Stanisława na Wawelu przewodniczyć istotnie całemu umysłowemu ruchowi, jaki się u nas w ostatnich dwudziestu latach rozwinął? Czy wryty na pierwszej kartce każdego ze znakomitszych dzieł dzisiejszych naszych historyków, obraz Matejki nie byłby najwłaściwszą do niego ilustracją, najrozumialszą przedmową? Czy nie w niego wpatrywać się zdawali, kreśląc nanowo dla nas, odtwarzając pasmo dziejów ojczystych taki Szujski, Kalinka, Bobrzyński i cała plejada młodszych naszych badaczy? Czy nie jest on w rzeczy samej najwymowniejszym wyrazem owego nieprzymuszonego prądu, owej zbawiennej dążności do samowiedzy, do samopoznania, jaka w ostatnich latach całe nasze społeczeństwo ogarnęła? Czy nie jest godnem echem i najwspa-

¹⁾ U hr. Maurycowej Potockiej w Warszawie.

nialszym komentarzem owej niegdyś na świątyni Delfickiej wypisanej wyroczni: *γράφει σεαυτὸν*? Jeżeli tak nie jest w istocie, to zaprzeczyć w każdym razie niepodobna, że pozory są tutaj dziwnie ludzające, a zbieg okoliczności co najmniej godny zastanowienia.

Wobec takiej doniosłości samej treści obrazu, strona jego czysto estetyczna zdaje się schodzić na drugi plan. A jednak jeżeli gdzie, to tu „*pictori atque poetae data est aequa potestas*“ malarz, artysta, kompozytor dorównał twórcy i myślicielowi. Stwierdzają to najzupełniej oceny krytyki niemieckiej w dwóch jedynych niestety miastach, gdzie się z nią „Kazanie Skargi“ spotkało, to jest w Wrocławiu i w Poznaniu. Utalentowany krytyk *Gazety Śląskiej*, młody profesor Liechtenstein, ten właśnie, który w zeszłym roku parę dni w Krakowie przepędził, a wkrótce potem zakończył życie tragiczną śmiercią podczas zjazdu antropologów w Wrocławiu, Liechtenstein, ujrzawszy nasz obraz na tamtejszej wystawie, nie wahał się go nazwać jednym z najpiękniejszych płodów wyobraźni, jakimi się wiek XIX w ogóle będzie mógł kiedyś przed potomnością poszczycić. Nie znam dzisiaj — mówił w sprawozdaniu — ani jednego malarza, któryby podobny moment oddać i temat do ożywienia tak trudny w podobny sposób zdramatyzować potrafił. Oto w pośrodku siedzi król, którego apatyczne usposobienie i brak inicjatywy są tak trafnie opadnięciem całego ciała scharakteryzowane; u stóp jego leży rękawica, której nikt nie podnosi, jakby na urąganie władzy, przez lekceważenie królewskiego majestatu. Zygmunt III oczy ma spuszczone; wysunawszy go śmiało naprzód i postawiwszy prawie na samym środku obrazu, jak się to najdosłowniejszej osobie przynależało, nie chciał jednak kompozytor, żeby mogła ona przez to zbytęzną na siebie zwracać uwagę, odcinając mianowicie zwrok od postaci głównej, od głównego bohatera dramatu, od Skargi. Dlatego też nawpół sennem opuszczeniem powiek zarzucił na głowę królewskiego słuchacza jakby lekką zasłonę, ocenił wyraz twarzy, nie ujmując jej w niczem właściwego charakteru, i tym szczęśliwym, genialnym, mówi krytyk, pomysłem, rozwiązał jedną z największych trudności, jakich mu tyle musiała nasuwać ta jedyna w swoim rodzaju kompozycja.

Tuż obok króla widać grupę magnatów, tych przyszłych wicrzycieli państwa: Stadnickiego djabła, Radziwiłła, a zwłaszcza Zborowskiego, którego wyzywająca postawa zdaje się już bliskość knowanego może w tejsamej chwili rokoszu zapowiadać; wspaniałe typy owej bezwzględnej oligarchii, co prywatę nad interes państwa wynosić nie będzie miała skrupułu. Za nimi kilku z drobniejszej szlachty; jeden z nich snem zmożony głowę na piersi opuścił, godny przedstawiciel całego rodzaju ospałych domatorów, których nie z moralnego letargu ocknąć i do trzeźwego działania nie będzie w stanie pobudzić. A naprzeciwno grono zagranicznych posłów, *das schlaue*, jak się wyraża znów recenzent *Posener Zeitung*, *das schlaue Diplomatenhum*, które się tu zebrało jakby dla eskontowania, mówi, z góry zapewnionej sobie zdobyczy. Po nad temi grupami. dodajmy z naszej strony, dwie postacie, dwie wyniosłe głowy górują: Skarga z jednej, Zamoyski z drugiej strony obrazu; rzekłbyś, że między tymi dwoma koryfeuszami myśli narodowej rozgrywa się przed tobą cały dziejowy dramat. Czy kanclerz, czy mąż stanu potrafi w czyn obrócić i wprowadzić w życie napomnienia kapłana, oto na ezem wszystko zawisło, oto co w tym obrazie widza polskiego przedewszystkiem do głębi serca przejmuje. Patrząc nań dziś jeszcze, czuje się on być niejako przydłużeniem, więcej, bo częścią składową nawet, a kto wie czy nie głównym, a raczej właściwym bohaterem przedstawionej tragedyi; wszakżeto na nim właśnie w chwili, kiedy patrzy, spełnia się najdotykalniej, ziszcza się co do joty, staje się bez przenośni, w całej pełni i w całej swej istocie ciałem — słowo przez natchnionego wieszczą, przed wiekami pod naciskiem strasznego objawienia rzucone!...

Wprawdzie ten prąd, tę vibrację udzielającą się widzowi, zstępującą na niego z mistrzowskiego płótna, odczuć w Skardze może tylko rodowity Polak; — człowiek obcy, cudzoziemiec, tego, cośmy tu powiedzieli, widzieć, a tem mniej odczuwać żadną miarą nie może. Nie idzie zatem jednak, żeby miał widzieć co innego; bynajmniej, on tylko widzi coś więcej. Co bowiem „Kazanie Skargi“ tak wysoko stawia, co mu właściwie nadaje w sztuce nowoczesnej pomnikowy charakter, to właśnie to, że pojęciem treści i stylo-

wem traktowaniem przedmiotu, przekracza ono granice czysto narodowej epopei lub historycznego dramatu, a przechodząc w dziedzinę szerszej symbolistyki, prócz indywidualnych czy narodowych uczuć, porusza jeszcze także, jak każde wyższego nastroju dzieło, ogólnoludzkie uczucia. Taki Francuz naprzykład, co w „Holdzie Pruskim“ nie mógł się żadną miarą... polapać, nie potrzebuje tu wcale treści historycznej obrazu znać ani rozumieć. W jakim bądź kraju, w jakiejkolwiek epoce on sobie przedstawioną scenę wyobrazi, zawsze mu to z pewnością będzie zrozumiałem, że chodzi tu o jakąś straszną, rozstrzygającą prawdę, która z ust natchnionego mówcy wygłoszona, zgrozą, przerażeniem, zachwytem lub innemi równie silnemi uczuciami serca słuchających przejmuje. I to mu wystarcza; bliższe wskazówki i objaśnienia, nazwiska przedstawionych osób są mu niepotrzebne. Chodzi mu tylko o dramat, jaki się w duszach odbywa, o psychologiczne momenta, które tu malarz pochwycił. W Karnkowskim Prymasie pozna on wielkiego dygnitarza, a przede wszystkim myśliciela i człowieka z sercem, który, uginając się pod brzemieniem nieubłaganego słowa, padł na kolana i zdaje się wprost do widza przesyłać to głębokie westchnienie: oj prawda! prawda!... W cudownej „Annie Jagiellonce“, „co jak trwożna gołębia pod jasności wrota wzbija ducha wiary,“ szlachetną w sędziwym wieku niewiastę, matronę, która śle błagalne prośby do nieba, ażeby zechciało od tych głów wszystkich gromy zapowiedziane odwrócić. W pełnej subtelnych rysów głowie nuncjusza papieskiego, Malaspiny, który palec na usta położył, odgadnie odrazu wytwornego znawcę, filologa, stylistę, który każde słowo cedzić i przez przetak uczonej krytyki przepuszczać ma upodobanie. W królewiczu Władysławie nakoniec, co machinalnie zdawałoby się, że próbuje kolo ręki kapeluszem obracać, przedstawi mu się uroczy pacholek, który z właściwem temu wiekowi roztargnieniem chciałby a nie może wybić się całkowicie z pod tyranicznego czaru, jaki na nim wywiera wymowa. Tak, że przechodząc pojedynczo wszystkie te postacie, przejdzie nasz widz temsamem stopniowo całą gamę, od najsilniejszych do najsubtelniejszych uczuć i wrażeń, jakie tylko z gorącej piersi wydobyte słowo jest w stanie na słuchacza wywołać. Z tego

punktu widziany, Skarga przestaje być już tylko przedstawieniem, ilustracją danego historycznego momentu, a staje się niejako uczczeniem jednej z najwyższych władz ludzkiej natury, gloryfikacją najszczytniejszej prerogatywy, jaką posiada człowiek, udzielania myśli za pomocą słowa, holdem przez sztukę malarską, przez jedną z młodszych wysłanniczek Parnasu najstarszej siostrze oddanym. Nam chciał patryota-malarz uprzytomnić straszną i zdumiewającą wyrocznię, dać formę konkretną, pochwytną dla wszystkich historycznej prawdzie, uderzyć naród, że się tak wyrażę, w piersi, zmusić go do dziejowego *meâ culpâ*; dla obcych, połotem olbrzymiego talentu, rozparciem granic czysto narodowego zadania, uświęcił już tym razem mistrz w swoim utworze tryumf, przedstawił apoteozę tej sztuki nad sztukami, która się zowie wymową. Oto, jeżeli się nie mylę, jaki sobie tym razem tytuł „Skarga“ za granicą zdobył i jaki mu już w kraju nawet dzisiaj przyznać bez obawy możemy.

II.

Dwudziesty rok właśnie przemija, jak to pierwsze po Stańczyku dzieło większych rozmiarów opuszczało skromną pracownię młodego jeszcze wówczas i początkującego malarza. *Longum ari spatium*, powiedział Tacyt, obejmując pamięcią okres czasu nawet nie tak obszerny; a jeżeli ten jęk, ta skarga nad znikomością ludzkiego życia wydobywała się z żelaznej piersi Rzymianina, który żył w spokojnej epoce Antoninów, o wieleż słuszniej ma ją prawo powtarzać IX-go wieku pokolenie, któremu gorączkowe życie z szybkością pary, tej nowej rządczyni świata, ulatuje! Miałaby więc, po tak poważnym przeciągu czasu, wyrocznia Skargi pozostać dla nas ostatniem przez naszego mistrza wyrzeczonym słowem? Wiemy, że nie. Wiemy, że się od tej pory pojawiły „Rejtan,“ „Unia Lubelska,“ „Batory,“ „Grunwald,“ „Hold Pruski,“ „Sobieski,“ że się niebawem ma ukazać „Joanna d'Arc,“ nie licząc w to utworów rozmaitej treści i mniejszego znaczenia, których do przeszło stu pięćdziesięciu narachował w swej pouczającej nomenklaturze p. Gorzkowski. Mistrz na chwilę nie

ustaje w pracy. Jeżeli komu, to w każdym razie nie jemu możnaby zarzucić ową słowiańską, wszystkim nam potrochu wrodzoną opieszałość. Wśród nieskorego do wytrwałej pracy społeczeństwa, on, w sile wieku i w pełnym życia rozkwicie własnym przykładem wskrzesza dla nas to hasło umierającego Sewera: *laboremus*, pracujmy! W jego rękę praca się pali. Jego pracownia, to, rzekłbyś, istna kuźnia wulkana, przy której rozżarzonym ogniu tysiące rąk dzień i noc przetapiać musi żelazo dla uzbrojenia niezliczonych hufców, które na jego skinienie raz poraz występują do boju; jego sztaluga, to piętrażący się jakiś tajemniczy warsztat, na którego krosnach wyrabiają się bez ustanku te nieprzebrane materye, purpurowe płaszcze, lśniące od złota dalmatyki, wszelkiego rodzaju stroje i opony dla przyodziania królów, biskupów, posłów i rycerzy, którym najgroźniejszy z tragików tego wieku każe potem w ramach olbrzymiego obrazu odgrywać swoje dramata. Zamiast żeby się miała wyczerpywać, twórczość jego przeciwnie, z dniem każdym wzmagać się wydaje. Ale rzecz dziwna, a dla nas w tym przypadku szczególnie zastanawiająca: ostatni utwór, ostatnie dzieło, jakie do dzisiaj przynajmniej jego pracownię po dwudziestu latach opuści, przedstawi nam nowe widzenie, przypomni nowy sąd, nową wyrocznię, i oto naraz jakby wiehrem *tramontany* północnej ze sykstyńskiego sklepienia porwany, stanie przed nami inny wieszcz, inny prorok, legendowy tymrazem wieszcz Ukrainy, Wernyhora!...

Niedosyć na tem. Wypadek zrządzi, że te dwa obrazy, dwoma dziesiątkami lat od siebie przedzielone, a tak natelnieniem pokrewne, staną jakby umyślnie naprzeciwko siebie, że zmierzą się nawzajem i zajrzą sobie niejako w oczy ci dwaj jasnowidzący objawiciele losu, dwaj powiernicy tajemnic przeznaczenia, zakładnicy narodowej przyszłości. Nie przesadzam. Wszakżeto taki widok przedstawiała nasamprzód krakowska, a następnie wrocławska i poznańska Wystawa; a widok byłto zaprawdę uroczysty i wyjątkowo wspaniały, widok, który nasuwał nieprzewidziane zbliżenia, a bardziej jeszcze może nieprzewidziane i pełne doniosłości kontrasty. Uprzypomnijmy go sobie, stańmy na chwilę myślą na środku wystawowej sali. Cóż widzimy? Oto z jednej strony kapelan

królewskiego dworu, otoczony całym przepychem dostojnego zgromadzenia, w obecności wszechwładnych dygnitarzy państwa, wygłasza naukę przy wielkim ołtarzu najwspanialszego w Polsce kościoła; z drugiej, na golem polu, pod zachmurzonym niebem, otoczony większą gromadą, ludowy guślarz niezrozumiałe i wydobywające się gwałtownie z weszbranej piersi tajemnice zdziwionej rzeszy zwiastuje; tu, wytworny mówca, dziecko złotej epoki, humanista, klasyk, wykwinny mimo całego ascetyzmu kultury renesansowej przedstawiciel, prawdziwy, według pojęć Górnickiego i w najlepszym tego słowa znaczeniu, *dworzaniin*; tam, człowiek z gminu, bard nieogładzony i dziki, syn stepu, lirnik włóczący się po ukraińskich kurhanach, olbrzym duchem proroczym owiany, usiłujący tylko wyprzeć ze siebie burzę — *excusisse Deum* — która nim nieubłaganie miota, tytan jak Anteusz z łona ziemi wyrosły; z jednej strony uosobienie tej mądrości politycznej, co kieruje losami narodów, a przedstawia zsumowane w sobie najwyższe umysłowe zalety; z drugiej, wylaniający się gwałtownie nazewnątrz wyraz owych elementarnych potęg natury, których nieujęta gra całkiem z pod ludzkich obrachowań się wymyka. Oto główne, pełne już i tak niezwykłego znaczenia i niewyczerpane w postrzeżenia kontrasty, które zestawienie tych dwóch utworów Matejki — pierwszego i ostatniego, jakie wydał — mimowoli narzuca. Po nad niemi wszakże góruje jedna jeszcze, najważniejsza może, kardynalna różnica. W „Skardze,” jakżeśmy zauważyli, może się polskiemu widzowi, uzupełniającemu poniekąd osobiście przedstawiony dramat, mającemu w ostatnim jego akcie najważniejszą do odegrania rolę, może się, powtarzam, nie bez przyczyny wydawać, jakoby był nieprzepartą siłą wciągnięty w zaczarowane koło, jakoby na niego paść wkońcu musiał fatalnie przedłużony promień wzroku jasnowidzącego kapłana. Z „Wernyhorą” wrażenie to przestaje nas dławić. Tu przeciwnie, wzrok nadnaturalny targanego wieszczym duchem proroka, unosząc się przez elewację po nad naszymi głowami, zdaje się tak daleko sięgać, tak odległe odkrywać krajobrazy, że już ich naszym oczom rozpoznać niepodobna, a tylko myśl, czując sobie wodze puszczone, żeglując śmiało naprzód po weszbranym oceanie wieków, oglądając się wokoło, rychłoli

z zamglonej oddali nie wyehyli się jej promieniejący pierwszy szczyt przyłądka Dobrej Nadziei!...

Cóż o dziele tak nawskrós oryginalnem, samoistnem, niebywalem w sztuce powie krytyka zagraniczna? Oczywiście niewiele. Dla niej odstęp dzielący zwykle jej poglądy i wyobrażenia od samego chociażby tylko tematu, jest już tutaj za wielki. Do słuchania opery, znajomość libretta nie jest jeszcze może tak dalece konieczną (wyjawszy, ma się rozumieć, Wagnerowskich oper, gdzie tekst z muzyką stanowi jednolitą, nierozzerwalną całość), — ale w obrazie sama treść przedstawienia tak ma wielkie znaczenie, że nie sposób, aby była dla patrzącego całkiem obcą lub niezrozumiałą. Otóż wielkie zdarzenie z dziejów ojezystych, dające się nawiązać z pasmem dziejów historii powszechnej, przemówi nareszcie do wyobraźni przeciętnie wykształconego człowieka; ale od epizodu z legendy czy kroniki bądź eobądź lokalnej za-pożyczzonego, chociażby nawet ten epizod był siłą natehnie-nia do znaczenia dziejowego wypadku spotęgowany, trudno wymagać, ażeby mógł obcego zainteresować. „Muszę ze wsty-dem wyznać, mówi bardzo zresztą przychylny, jak zoba-„czymy dalej, krytyk berlińskiej *Volks-Zeitung*, że się nigdy „przedtem o moje uszy imię Wernyhory nie obilo i że wsku-„tek tego nawet nie jestem w stanie powiedzieć, czy ten „prorokujący Kozak wielkość czy upadek Polski przepowie-„dział.“ — „Publiczność przechodzi, nie zatrzymując się „dlugo przed wyrocznią Wernyhory, uważa ze swej strony „*National Zeitung*. Nie dziwnego, dodaje, jest to do pate-„tyczności wyśrubowane (*geschraubt pathetische*) przedsta-„wienie faktu, który nas w niezem nie obeliodzi.“ Pan Bruno Meyer, bardzo ceniony krytyk *Montags-Blattu*, idzie nawet dalej i powiada, że ktoby nie czytał katalogu, a poprzestal na napisie świecącym złotemi literami na ramach: „*si Deus nobiscum, quis contra nos.*“ mógłby ze względu na schara-kteryzowanie głównych postaci, i nie będąc wtajemniczony w szczególowe podania narodowej tradycyi polskiej, przy-puszczać, że ma przed sobą... Mojżesza między Aronem i Hurem w bitwie przeciw Amalekitom. „Naturalnie, dodaje „krytyk, musialaby się tu silnie nacechowana typowość głów „polskich tylko w znaczeniu gwałtownej aklimatyzacyi bi-

„blijnego obrazowania tłómaczyć.“ Poczem robi tę ogólną, nader zastanowienia godną dla nas uwagę: „Matejkowska „sztuka, powiada, daje nam najlepszy dowód, że narodowa „sztuka nie da się na zawołanie wytworzyć, że wyłonić może „się ona tylko z twórczości wysoce obdarzonego artysty, „którego serce bije jednym tentnem z uczuciami swego na- „rodu, i że wtedy wylania się nieprzymuszona w samodziel- „nej swojej potędze; i błędem okazuje się mniemanie, ja- „koby czasy wszechwładztwa i wielkości narodowej miały „szczególne i bezwzględne pierwszeństwo do wydania praw- „dziwie narodowej sztuki. O wiele ważniejszym, niż ze- „wnętrzne okoliczności, czynnikiem jest tutaj to pytanie, do „jakiego stopnia myśl i uczucie ogółu pozostają pod wpły- „wem narodowych kolei i losu całego ludu. A ponieważ u „Polaków miało to zawsze miejsce w stopniu najwyższym, „przeto ich sztuka przechowuje prawie zawsze charakter „przeważnie narodowy, na który właśnie spada może dlatego „samego wina, że sztuka polska, a głównie poezya, nie od- „grywa na wszechświatowej arenie tej roli, na jaką duchowe „uposażenie jej mistrzów i wartość ich utworów zasługują.“ Co zaś do technicznej strony obrazu, to ją jeszcze najdokładniej ze wszystkich omawia recenzya *Posener Zeitung*, podnosząc przede wszystkim silną charakteryzacyę pojedynczych głów i postaci, mówi, że „rzadko kiedy natchniony wyraz jasnowidzącego wieszca (*begeisterten Visionärs*) trafniej uchwycony i oddany został, że równie uderzająco przemawia w rysach twarzy bazylińskiego popadzika namiętność; je- dnym słowem, że charakteryzacyą swoją obraz ten wy- wiera na widzu niesłychanie silne wrażenie — *eine geradezu packende Wirkung*.“ Obok tego jednak nie powstrzymuje się krytyk od zarzutu, że „pojedyncze postacie są za- „nadto jednostajnie oświetlone i że wskutek tego występują „jednakowo naprzód, wytwarzają w obrazie pewien niepokój „powiększony jeszcze blaskiem zbyt jaskrawych kolorów.“ Przytaczamy ten zarzut bez komentarzy raz dlatego, że nam to już sama bezstronność nakazuje, a powtóre, że jestto jeden z tych dwóch czy trzech zarzutów głównych, które się i w innych recenzjach nawet przy „Holdzie Pruskim“ naj-

częściej napotykać będą jeden z tych przeto, nad któremi trzeba się wkońcu chociażby dlatego samego zastanowić.

Tyle o tym obrazie nadmienia krytyka zagraniczna. Szerzej nad nim rozwoździć się nie uznawała potrzeby, już to dla powodu, któryśmy wyżej podawali, już to dlatego, że wobec „Skargi“ lub „Holdu Pruskiego“ niknąć musiało w jej oczach znaczenie „Wernyhory.“ Ale czem się dzieje, że w kraju samym ostatni ten utwór Matejki tak mało oceniony został? w kraju, gdzie sama treść jego i natchnienie winny były przemawiać tak głęboko do serca? Zagadkę tę wytlómaczył najlepiej recenzent *Gazety Narodowej* p. Platon Kostecki. On jeden zrozumiał, że co do strony technicznej nasamprzód „przeznaczeniem właściwem „Wernyhory“ mogła być tylko „ściana freskowa, gdzieby zresztą prorokował z takiego miejsc i oddalenia, dla jakiego mistrz tworzył obraz w duchu“— że z pewnej odległości dopiero, z wysokości jakiego monumentalnego muru naprzykład dojszby mogły jedynie do pełnego nastroju „nadezłowieczy, jak się trafnie wyraża, zakrój „postaci, przypominające wizję Ezechiela włosy i broda, oraz „wyciągnięta naprzód prawa ręka proroka, a zwłaszcza nie „prześcignioną dotąd żadnym innym pędzlem i najzupełniejszą własnością naszego mistrza będące wejście „Wernyhory“! On jeden także i co do pojęcia utworu zrobił tę słuszną bardzo uwagę, że „trzeba pracować duchem, a nie „na pierwsze spuszczać się wrażenie, aby ogarnąć wszystkie „piękności tego dzieła,“ jak się to zresztą nieraz zdarza z dziełami mistrzów, należącemi do drugiej epoki ich twórczości; a wtedy dochodzi się w istocie do przekonania, że „straszne rozgranicze dziejów Polski oddał artysta w postaci monumentalnej, z całą wiernością malarza-historyka, a nie wyłącznie liryka,“ i że historyczny moment udało mu się przedziwnie tutaj z pierwiastkiem legendowym sprządz i skojarzyć. Brak miejsca i właściwy cel tego artykułu, którego zadaniem jest zestawić przede wszystkim głosy prasy zagranicznej, nie pozwalają nam niestety podać szerszych ustępów tej znakomitej recenzji; niemniej jednak, mając uzasadnione powody, aby twierdzić, że w niej myśl utworu i natchnienie mistrza najlepiej uchwycone zostały, należało przynajmniej w tym ogólnym przeglądzie podnieść ją i polecić tym, któ-

rzyby. o dziele tak rozmaicie ocenianem pragnęli sobie zdanie osobiste wyrobić ¹⁾).

III.

Przystępujemy teraz do trzeciego z rzędu, najważniejszego może z wymienionych utworów, do tego przynajmniej, o którym mówiła, bo też i mówić miała najwięcej sposobność krytyka zagraniczna. „Hołdu Pruskiego“ nikomu z pewnością w Krakowie przypominać niema potrzeby. Chociażemy go już dawno nie widzieli, każdy ma go z pewnością jeszcze do tej pory w pamięci, a jeżeli nie, to może go sobie w każdej chwili jak najdokładniej uprzytomnić, albowiem scena, jak wiadomo, odbywa się na Rynku, na tym czworoboku codziennie przez niego deptanym, a objętym dziś wieżą Ratuszową, Sukiennicami i kościołem ś. Wojciecha z jednej, a pałacem Jabłonowskich i domami ciągnącemi ku ulicy Wiślnej z drugiej strony.

Są miejsca uprzywilejowane w historyi, na których się gromadzą i skupiają wypadki; są, wśród głuchych obszarów i pustych przestrzeni, pola bitew, jak u podnóża Alp między innemi, po dwa lub trzykroć nawet głośnie wojennemi czynami. Patrząc na owe karty mnemotechniczne, gdzie obok nazwiska każdej miejscowości, zapisane stoją na mapie daty zaszłych w każdej okolicy wypadków, możnaby zdaleka myśleć, że się ma kartę hydrograficzną przed oczyma. Pasma dziejów istotnie jakby olbrzymiemi strugami zalewają kulę ziemską, przerysowując jej powierzchnię w rozmaitych kierunkach. Tu i owdzie, ominięte ich zaokoleniami pustkowiec leżą odłogiem dla badacza przeszłości, podczas kiedy gwałtowny potok pamiętnych zdarzeń toczy się nieprzerwanie raz pośród nich przeoranem korytem; to postępuje naprzód poważnym i umiarkowanym krokiem, to znów zwęża się i wiję, to przybiera coraz szersze rozmiary, aż nagle wzburza się, wzdyma i kotłuje; stanął przed murami stołecznego miasta! Tu już daty piętrzą się jedna na drugiej; dopatrzeć się ich gołem

¹⁾ *Gazeta Narodowa* z 20go kwietnia 1884 r., w odcinku.

okiem niepodobna; chcąc je bliżej wysledzić, trzeba wziąć plan topograficzny samej stolicy do ręki. Dziwna rzecz jednakowoż; na tej ograniczonej przestrzeni powtarza się to samo zjawisko, co na otwartych obszarach! Podczas kiedy całe dzielnice pozostają bez śladu pamiętniejszych wydarzeń, oto niektóre punkta czarne jak mrowiska od osadu, jaki na nich zostawiła historia, oto zaułki, place, do których, jak w ludzkim organizmie wezbrane arterye do serca, tak tu do środkowego ogniska zlewają główne przecznice cały nawal obywatelskiego ruchu, a na tych placach nawet jeszcze zakątki, do których, rzekłbyś, że formalny szturm przypuszczają spychające się nawzajem generacye, tak w nich wre, burzy się i kipi przez kilka wieków nieustannie skondensowane niejako życie całego grodu.

Kto z nas, zwiedzając po raz pierwszy forum Romanum, nie doznał głębokiego wzruszenia, gdy zatrzymując go nagle, zwracał stereotypowym frazesem płatny czyzeron jego uwagę, że kamień, na którym w tej chwili zamierza nogę postawić, tenżesam kamień deptał kiedyś swoją stopą Maryusz albo Cezar, Wirgiliusz, Cyceron albo Katon? Lub że na ciosie, którego każe mu się ręką domacać w Mammertyńskim więzieniu, spoczywała głowa Jugurty, a następnie ta tak brzemienna dla nas głowa pierwszego Apostoła naszej wiary, głowa ś. Piotra! Zapewne, czytać fakt zapisany w książce, słyszeć o nim z ust uczonego profesora, to poucza i kształci; ale dotknąć się go palcem, to zupełnie co innego, to już bezpośrednio, namacalne spotkanie się z samą istotą dziejów, z wcieleniem tej oderwanej treści, jaka nam dotychczas uboczną tylko drogą tradycyi i kolejnego z ust do ust podania przekazywaną była... A jednak wszyscy ci wielcy mężowie, których pamięć tak żywo staje nam przed oczyma na widok Kapitolińskiego pagórka, prawodawcy, imperatorowie, mówcy, poeci, święci i filozofowie, cały ten zastęp wskrzeszonych różeczką archeologa bohaterów myśli i czynu, przemawiają do naszej wyobraźni tylko zdaleka, zając nas tylko mogą ze stanowiska powszechnej, ogólnoludzkiej, kosmopolitycznej kultury; jakże innym głosem przemawiać do serc naszych mają prawo ci, których niezatarte ślady do dziś dnia prze-

chowują głazy, których stopy całowały kamienie krakowskiego Forum!

Każdy z nas, chcąc nie chcąc, musi prawie codziennie przejść z kilka razy przez Rynek. Ale czy odbywając ten obowiązkowy spacer, przychodzi też czasami komu na myśl, że z pod jego stopy, jak zbrojne hufce Pompejusza, na każdym kroku powstać są gotowe całe legiony nazwisk, których sam odgłos przykułby go niezawodnie do ziemi? Mówią, że Indianie mają słuch do tego stopnia wyrobiony, że przykładając ucho do ziemi, na kilka mil odległości podchwytują tentną głębokich źródeł lub przechodzącej jakiej gromady stąpania. Otóż i tu, ktoby chciał badawczem uchem wyauskultować kamienną powłokę naszego Rynku, tenby najwyraźniej usłyszał obijające się do dziś dnia jeszcze o nią echa przebrzmiałych gwarów nagromadzonego ludu, okrzyków radości, grozy lub uniesienia, wywołanych widokiem pamiętnych zdarzeń lub obecnością bohaterów swojego czasu. Co za sceny, co za dramata całe nie przesunęłyby się tu przed oczyma tego, ktoby je wywołać potrafił! Począwszy od przysięgi Kościuszki (24 marca 1794 r.), której data nanowo wyrytą została na kamiennej płycie przez zacnego czczyciela narodowych pamiątek, bar. Horocha; idąc dalej wstecz wiekami aż do owego straszego dramatu w 1461 roku, kiedyto pospólstwo oburzone zniewagą, jakiej się był dopuścił na jednym z mieszczan Andrzej z Tenczyna, kasztelan wojuicki, ścigało zuchwałego magnata aż do kościoła Franciszkanów, gdzie go SpYTEK z Melsztyna próbował ochronić, a ztamtąd wywłóklszy ciało zamordowanego przez ulicę Bracką, wystawiło obnażonego trupa przez dwa dni przed kościołem ś. Wojciecha. Albo znów kiedy w roku 1539 spalono na Rynku, „tam gdzie ółów leżał pod wagą,“ mówi kronikarz, żonę Melchiora Weigla, złotnika i radcy krakowskiego, za to, że zamierzała przejść na wiarę żydowską... Szczęściem, że tego rodzaju krwawych epizodów tak mało z łagodnym charakterem ludu krakowskiego licujących, niema wiele do zapisania; zdaje się nawet, że te dwa przytoczone wypadki stanowią jeden i jedyny wyjątek. Po za tem Rynek zwykle przedstawia tylko godową fizyognomię, widać na nim same uczty, gonitwy, obchody zwycięstw, a zwłaszcza wjazdy koronacyjne i wesela, które

ściągały najznakomitszych gości z całego świata. I tak, na najdawniejszej i najwspanialszej podobno tego rodzaju uroczystości, jaka się w czasie wesela Cesarza Karola IVgo z Elżbietą, wnuczką Kazimierza Wielkiego, w r. 1363 odbyła, figurowali owi sławni tak hojnie przez Wierzyńka podejmowani goście jakimi, prócz najznakomitszego z nich, samego pana młodego, byli trzej królowie, Ludwik Węgierski, Piotr Cypryjski, Waldemar Duński, a obok nich Bogusław książę szczeciński, ojciec panny młodej i Otton wojewoda bawarski. Nie mniej świetnie jednak musiały i w następnym wieku wypaść dwie wielkie uroczystości; nasamprzód w r. 1424 koronacya Zofii księżniczki ruskiej, czwartej żony Władysława Jagiełły, na której oprócz Zygmunta Cesarza, żony jego Barbary i Eryka króla Duńskiego, znajdowało się czterestu książąt, komturowie z Prus, oraz Papieża i innych monarchów posłowie; a w trzydzieści lat później, uroczyste przyjęcie Elżbiety, córki cesarza Olbrachta, zaręczonej Kazmierzowi Jagiellończykowi.

Takich to zjazdów koronacyjnych i uroczystych podejmowań był nasz Rynek jeszcze świadkiem w następujących wiekach, nawet po roku 1609, w którym Zygmunt III przeniósł stolicę do Warszawy; gdyż pomimo przeniesienia rezydencji królewskiej, odbywały się jeszcze ciągle w Krakowie wjazdy i powtórne koronacye nowo obranych królów. Przedziwny np. musiał przedstawiać widok wjazd Henryka Walezyusza, który o 1szej w nocy 18 Lutego 1574 r. wjeżdżał do miasta Floryańską bramą i ciągnąc przy pochodniach przez cały Rynek, z najciekawszym orszakiem, jaki w Polsce kiedykolwiek widziano, udał się ulicą Grodzką do Wawelu na Zamek. Okazałość, z jaką Jan Sobieski obchodził 27go Grudnia 1683 na krakowskim Rynku tryumf po wiedeńskim zwycięztwie zostawiła ślady w kronikach, podobnie jak i rozrzutność z jaką wyprawiano igrzyska 16go Września 1697 r., kiedy August II przyjechał odbierać przysięgę od mieszczan. Nie tu miejsce wyliczać wszystkie tego rodzaju uroczystości. Dość powiedzieć, że trzech tylko panujących nie było koronowanych w Krakowie, i dziwnem zrzędzeniem losu, wszystko troje (bo między nimi znajduje się jedna królowa) umarło

bez korony, to są: Eleonora, żona Michała Wiśniowieckiego, Stanisław Leszczyński i Poniatowski!

Ale najczęstsze a zarazem i najcharakterystyczniejsze uroczystości, jakie się na Rynku krakowskim odbywały, były to tak zwane „Hołdy“ czyli solenne przysięgi wierności i poddaństwa, które królom polskim nazajutrz po ich koronacyi składali książęta lenni, oraz przedstawiciele miast większych, poczawszy od samego Krakowa. Dokładny, na źródłach oparty opis tego rodzaju ceremonii podaje w swoich „Pamiętkach z Krakowa“ Mączyński; powtórzmy go też dosłownie:

„Wtedy, mówi, wnoszono tron przed ratuszem między „wieżą a Sukiennicami, naprzeciw ulicy Brackiej. Zjechawszy „król na ratusz, szedł naprzód do sali sądowej, gdzie ubrawszy „się tak, jak był koronowany, zasiadł na wystawionym *ma- „jestacie*, a obok niego senatorowie zasiedli krzesła. Wtedy „przychodził magistrat krakowski i po wyrzeczonej poprzednio „mowie o swem posłuszeństwie, podawali kanclerzowi albo „podkanclerzemu na poduszce aksamitnej cztery klucze po- „złociste, leżące na tacy srebrnej pozłocistej, obok takichże „kubków, napelnionych zwykle tysiącem dukatów. Kanclerz „odpowiedziawszy, klucze królowi podał a tace i kubki sobie „zatrzymywał. Potem wykonywano przysięgę, a po niej król „na rycerzów albo kawalerów złotych pasował, wprzód ze „szlachty, a potem mieszczan, jurystów, księży, uderzając mie- „czem jednych raz, drugich dwa, a szlachtę trzy razy. Po „skończonej ceremonii król znowu się w Ratuszu rozebrał „i poprzedzony senatorami do zamku powracał; a tymczasem „podskarbi koronny rzucał pospólstwu medale złote i srebrne, „czyli jak je wtedy nazywano *pamiętne pieniądze*“.

Opis ten łatwo nam daje się domyślać, z jaką okaza- łością i przepychem odbywały się tego rodzaju uroczystości, jak weselną i godową fizygnomię przybierał przy tej oko- liczności nasz Rynek. Raz tylko jeden, wśród takiego obrządku, musiał on groźnie i pochmurno wyglądać, a to, kiedy od kra- kowskich dzieci odbierał przysięgę nie król dobrowolnie obrany, ale obcy najezdnik narzucony miastu przez awan- turniczego zaboreę-wojownika, jakim był Karol Gustaw. Dnia 27 Marca 1657 r. odbierał w rzeczy samej hołd od miasta Kra- kowa Jerzy Rakoczy, książę siedmiogrodzki, asystowany pod-

czas obrządku przez Pawła Wirtza, generała wojsk szwedzkich, które wówczas przez całe dwa lata stały garnizonem w Krakowie.

Po za tym smutnym obrazem, jaki dnia tego przedstawiał wyjątkowo Rynek, nie widać, ażeby tak zwany *majestat* wzniósł się już kiedykolwiek przy Sukiennicach na co innego, jak na zadokumentowanie potęgi i chwały królów polskich, którym po kolei przychodzili składać pokornie na tem miejscu przysięgę liczni ich holdownicy. Ciekawy zaiste musiał to być orszak tych różnoplemiennych książąt, odznaczających się każdy tak odrębnymi cechami, różniących się tak silnie jedni od drugich, strojem, postawą, charakterem twarzy, a którzy wszyscy, po wstąpieniu na tron nowego króla, u stóp właśnie tego tronu zwierzchnictwa i opieki szukali. Nie potrzeba wielkich wysiłków wyobraźni, aby sobie ten obraz odtworzyć. Najstarsi datą pierwszego holdu byli książęta mazowieccy, potomkowie Ziemowita, którzy po śmierci tego księcia podzieliwszy między sobą Mazowsze, sami się w roku 1351 Kazimierzowi Wielkiemu do lennictwa podali. Już w następującym wieku zmniejsza się ich zastęp; kilka ziem Mazowieckich bowiem po wygaśnięciu książąt którzy nimi dziedzicznie zawiadywali, przyłącza się całkowicie do Korony pod panowaniem Kazimierza Jagiellończyka, aż w końcu bezpotomna śmierć ostatniego z mazowieckich Piastów, Janusza, pozwala Zygmunutowi Staremu wcielić już na dobre do swojego państwa resztę Mazowsza. Obok nich w szląskim stroju można także było widzieć dwóch książąt, którzy hołdy swoje woleli składać naszym królom aniżeli czeskim jak to reszta Szlązka czyniła; jeden z nich był Zatorski a drugi Oświęcimski książę. Nie długo jednak i ci całkiem z orszaku holdowników znikają. Pierwszy bowiem Olbrachtowi w r. 1494, drugi nawet już wcześniej, bo w 1457 r. Kazimierzowi Jagiellończykowi sprzedają swoje prawa. Wśród tych poważnych jednak, ciemno po większej części poubieranych książąt północy, najżywszą nutę, najwięcej barwy i koloru, swym wschodnim na wół już tureckim strojem nadawać orszakowi musiał Wojewoda Mołdawski. Widać mu było z twarzy, że niechętnie ugina kolano, i nieraz trzeba go było do tego na własnych jego ziemiach przymuszać, jakto w 1600 czyni

Zamoyski, robiąc wyprawę jedynie na to, ażeby hołd odebrać od Jeremiego Mohiły. W miarę zaś, jak skutkiem stopniowego wielania ziem do Korony lub zmianą politycznych kolei przersedzać się będzie zastęp hołdowników koronnych, opróżnione miejsca zajmą niebawem inni, niewidziani przedtem lennicy; i tak w drugiej połowie szesnastego wieku przybędzie Książę Kurlandzki, a w pierwszej połowie tego samego wieku zjawi się klęczący na Rynku u stóp dobrodusznego Jagiellończyka najciekawszy może i najważniejszy ze wszystkich, a w każdym razie najtrudniejszy do skruszenia z hołdowników, w osobie krzyżackiego mistrza, Książę Pruski.

Tego to protoplastę właśnie Króla-filozofa, zuchwałego sprawcy nie tylko pierwszego podziału Polski ale i pierwszego Francji pod Rozbaczem upokorzenia, protoplastę również zuchwalszego jeszcze może tryumfatora pod Sedanem, tego właściwego twórcę i inicjatora Bismarkowskiej polityki, przedstawić światu a przedewszystkiem Francji uginającego kolano przed *majestatem* Polskiej korony, czyż to nie najwspńialszy temat, nie pomysł najbardziej na czasie, jaki chwila obecna mogła współczesnemu malarzowi nasunąć? Niezawodnie, i tu właśnie ten duchowy sojusz, jaki między Francją a Polską od czasów Walezyusza istnieje, zdawał się w spólności niedoli nabierać najwymowniejszego wyrazu, i dlatego właśnie obraz tym duchem natchniony, wychodząc z Krakowa zdawał się mieć drogę do Paryża przedewszystkiem otwartą. *Habent sua fata... simulacra!* Tam gdzie się można było spodziewać najwdzięczniejszego przyjęcia, tam spotkał zawód najdotkliwszy, a przeciwnie, tam gdzie należało się obawiać największej niechęci i usprawiedliwionego nawet uprzedzenia, tam natrafił obraz na najpochlebniejsze uznanie. W Paryżu myśl „Hołdu“ nikomu nie trafiła do gustu czy do przekonania; w Berlinie od razu zrozumianą została i w odpowiedni sposób ocenioną.

Na jakie sto dwadzieścia francuzkich recenzyj, które tu mam przed sobą, zaledwie jedna historyczne znaczenie obrazu podnosi i to jeszcze w jaki sposób! „To jest, co się „nazywa *un trompe l'oeil*, mówi recenzent *Gazette de France* „p. Meurville, myślałby kto, że tu chodzi o Polskę poddaną „pruskiej potędze; gdzietam! Czyście zapomnieli, że Prusy

„nie były niczem, kiedy Polska była wielką? Dawny pan „został pokornym sługą, los niestały poprzemieniał role, jak „za krachu Lawa na ulicy Quincampoix, i nowy sługa mści „się za niesprawiedliwość losu wyciągając z pod swojej... „liberyi portret, który pokazuje znajomym: patrzcie, mówi, „temu lat piętnaście to ja byłem panem a on nosił moją li- „berję. Zaiste satysfakcyja nie wielka. Pięknie to, jakby po- „wiedział nieboszczyk Gambetta, opiewać na płótnie (*chanter „en peinture*) chwałę ojców swoich, zwłaszcza kiedy ta chwała „iżdzie w niepamięć; ale gdybyście mi pokazali nawet Alzację „posyłającą Francji całusy po za plecami pana Bismarka...“
Dość nam już chyba tej wykwintnej estetyki. Cóżby na tę próbkę patriotycznego stylu powiedział nieboszczyk także już dzisiaj, pan Chauvin? O, lepiej z pewnością dla naiwnego fanatyka ojczyzstego honoru, stokroć lepiej jeszcze dla walecznego żołnierza, że spoczywa w grobie wraz ze sławą ubóstwianego swego wodza, — ze sławą Napoleona I!...

Jeden i jedyńy co umiarkowanie wprawdzie ale trafnie przynajmniej ocenił sens moralny obrazu, jest cenny zato bardzo i wielkiej powagi krytyk, sceptyk także wielki, co prawda, ale sceptyk widocznie jeszcze starej daty, zmarły niedawno Edmond About. „Jeżeli biedny polski literat, mówi „on w dzienniku swoim *XIX Siècle*, skazany został na pół- „trzecia roku fortecy zato że Francuzów, przyjaciół swego na- „rodu, głębiej w sereu nosił aniżeli Niemców, swych ciemię- „życieli, na jakążby to męczarnię według wszelkich praw „słuszności i sprawiedliwości absolutnej, nie należałoby ska- „zać spadkobierców tego Albrechta, księcia pruskiego, który „przysięga na wierność królowi polskiemu Zygmunutowi, na „obrazie p. Jana Matejki? Płótno to zawiera wysoką moral- „ność i nie jest pozbawione pewnej wymowy...“¹⁾ Ale to i wszystko, nikt inny już tej myśli nawet nie potrąca. A raczej, przepraszam, jest jeszcze ktoś, ale już nie Francuz, tylko cudzoziemiec i to Niemiec z nad Renu, korespondent *Frankfurter Zeitung*, który właśnie uwagę naszą w tym względzie całkowicie potwierdza. „Autor obrazu, mówi on, rachował prawdopodobnie na to, że i Francuzom będzie pochle-

¹⁾ „XIX Siècle“ numer z 31 Maja 1884.

„biał widok władcy pruskiego u stóp polskiego króla, aleśmy „nigdzie nie słyszeli ani nie czytali, żeby się to przypuszczenie „nie ziściło“¹⁾).

Co do politycznej zatem myśli naszego obrazu pierwszy zawód i to absolutny, bezwzględny, nikt się na nim z tego stanowiska biorąc, oprócz jednego About'a nie poznał. „Nie brak mu pewnej wymowy“ powiada sławny publicysta. Wierzę, nie tylko pewnej ale dziwnie nawet przejmującej i groźnej nabrałby on wymowy dla tego, coby chciał lub potrafił zrozumieć jego język. Ale w tem właśnie cały szkopuł, że język mistrza tym razem nikomu tam do przekonania nie trafił. Wiadomo, jak szorstko obszedł się z obrazem pierwszy ten, co za wielkiego mistrza krytyki paryżkiej uchodzi, Albert Wolf; nazwał go we *Figaro*, jeżeli się nie mylę, stara, przez mole objedzoną makatą. Z tak wysokich ust wypuszczonej wyroczeni zawtórować musiała jednym chórem cała zgraja recenzentów i krytyków pomniejszych. Zaczęto się sadyć na dowcipy. Jakiemuś prowincjonalnemu noweliście udało się znaleźć tę rozkoszną definicyę obrazu: *C'est la Pologne en congestion!*...²⁾ Stołeczni humoryści nie mogli oczywiście pozostawać w tyle; i oto naraz jakby na komendę kongestya zaczyna się przeobrażać w ospę, w szkarlatynę i inne zaskórne choroby; nastaje prawdziwa epidemia najwytworniejszych metafor; nie dostarcza ich dosyć jedna gałęź medycyny, napoczyna się druga, po dyagnozie epidermalnej, kolej na okulistykę. „Biedni oftalmiści krakowscy! wola z politowaniem Jean Louis z *République Française*, jaka to ich czeka robota, kiedy obraz powróci do Krakowa“³⁾. Trzebaby, radzi Pierre Véron z *Journal Amusant*, zainstalować przy wejściu do sali optyka z niebieskimi okularami dla tych, którzyby nie chcieli dostać zapalenia oczu. To krwawa luna, to pożar, to orgia czerwoności, wołają jeden przez drugiego rozochoceni recenzenci rozmaitych piśmideł; to płat czerwony dla toreadorów hiszpańskich, dodaje *Fédération Artistique*. „Czyżby cynober nie nie kosztował w Krakowie? zapytuje

¹⁾ *Frankfurter Zeitung*, z 2 Czerwea.

²⁾ *Journal de Bangé*, z 10 Maja.

³⁾ *République française*, z 15 Maja.

wkońcu p. Méliot w *Revue Libérale*; jest czem przecie nabawić oftalmii całego pokoleniu!...“ Uspokóje się panowie, jeszcześmy dzięki Bogu dotąd nie stracili wzroku i stać go nam na to aby się w tym całym chaosie waszych wesółych elukubracji nieco bliżej rozpatrzyć.

Diviser les difficultés, ta pierwsza zasada prawdziwie francuzkiej metody Carteziusza, ułatwi nam tutaj najlepiej nasze zadanie. Trzymając się jej, należy się nam, jeżeli się nie mylę, podzielić na trzy grupy zarzuty tu i ówdzie najczęściej powtarzane, te zwłaszcza, które poważniejsza krytyka nawet i w Berlinie czasami mistrzowi naszemu czynić będzie. Pierwszy zarzut odnosi się do kolorytu. Według krytyków francuzkich, p. Matejko błędzi nadużyciem kolorów jaskrawych a przedewszystkiem czerwonego.

Posłuchajmy, zostawiając autorom całą odpowiedzialność, jak jedną i tę samą uwagę formułują każdy na swój sposób rozmaici sprawozdawcy. „Pan Matejko, mówi Henryk Fouquier w dzienniku *Gil Blas*, jest artysta sławny w Europie i który nam robi ten zaszczyt, że przychodzi szukać stale w Paryżu poświęcenia swojej sławy. Obraz jego tegoroczny odznacza się, jak poprzednie, wielkością kompozycyi, niesłychanie ścisłym rysunkiem i nieomylną erudycją. Ale kolor czerwony jest twardy i surowy i nie będzie nigdy odpowiadał wymaganiom naszego gustu“. „Malowanie na purpurowej podstawie, pisze znów recenzent bardzo czytanego w Paryżu dziennika *Le Soir*, jakie nam ten weteran naszych corocznych wystaw tym razem nadesłał, a w którym tony kolorów dostrojone do maximum intensywności, śpiewają wszystkie naraz na najwyższą nutę, robi na nas wrażenie nienastrojonej orkiestry, która by się odezwała nagle w przeraźliwym *tutti*“. Z muzyki i harmonii podobnieź bierze porównanie recenzent *Reformy* (brukselskiej), Kamil Lemmonnier, gdy powiada że „dzieło jest orkiestrowane jak Wagnerowski temat w chwilach kiedy kompozytor mosiężne instrumenta przykłada do nadludzkich ust duchów wojny i spustoszenia“; z muzyki także wzięta metafora p. La Roche z *Nancy*, który twierdzi że „wszystko razem robi wrażenie podobne do tego, jakieby na słuchaczu robił fortepianista, trzymający bezustannie nogę na pedale przez ciąg całej pro-

dukeyi.“ Ztem wszystkiem, dodaje zaraz, „gdyby mi któren Francuz pokazał w jednym ze swych utworów tyle potężnej żywotności, powitałbym go z radością!...“ A p. Havard we *France Illustrée*: Nie dziwi nas to upodobanie w czerwonym kolorze. Kolor ten jest najenergiczniejszą manifestacją potęgi światła i najbardziej wibrującym z kolorów, i dlatego to nazywano czerwony, pomarańczowy i żółty ciepłymi kolorami, a przeciwie zielony, niebieski i fioletowy kolorami zimnemi. Ale czyż czerwony kolor jest jedyny na świecie? i czyżto przyczyna, dodaje *Gaulois*, żeby do tego stopnia *exaltować* swoją paletę?...“ Wszystkie te uwagi, jak widzimy, są tylko waryacyami na jeden i tensam temat; trzeba było je więc ugrupować razem; przejdźmy teraz w takisam sposób i nie zapuszczając się w dyskusyę, do drugiego zarzutu.

Jednostajność światła, czyli brak światłocienia, jednakowy nacisk położony na wszystkie części obrazu, wskutek równie wielkiego zawsze wykończenia, oto co zdają się mieć na oku następujące komentarze: „Niemasz *modulacyi* świetlanej w tym obrazie i tej to okoliczności należy przypisać, że cuda koncepcyi linearnej mogą przejść całkiem niedostrzeżone w malowaniu którego żadne *clair-obscur* nie przychodzi nigdy cieniować“ (*Monde* 30go Maja).

„Pan Matejko wystawia olbrzymią kompozycyę, w której wszystko ma jednakową wartość, jednakowy ton i w której niesłychanie trudno jest rozpoznać wśród zgiełku figur, strojów i zbroi o co rzeczywiście chodzi.“ (*Revue Nouvelle*, 31 Mai).

„Interes, zajęcie jest jednakowo rozstrzelone po całym obrazie i wzrok nie wie gdzie się ucepić w tym tłumie tonów gwałtownych i zderzających się razem jakby umyślnie, bez najmniejszej troski o względność zestawionych wartości (*sans nul souci des valeurs*); ale przy dłuższej uwadze w głowach objawia się wielka potęga i charakter; byłoby to malowanie całkiem niezrównane, gdyby mu nie brakło tego co się nazywa *l'enveloppe*...“ (obwinicie, koperta?... niechaj sobie technicy zechcą laskawie sami przetłómaczyć ten wyraz). *Moniteur Universel*, 30 Avril.

Zważmy, żeśmy się już z uwagami odnoszącemi się do tego samego punktu spotkali poprzednio przy „Wernyhorze“;

i tu krytyka niemiecka nawet przy „Holdzie pruskim“ spostrzeżenia krytyki francuzkiej powtórzy. I tak *Reichsbote* z 26 Lipca powie: „Obraz pełen prześlicznych szczegółów, „wspaniałych grup, figur i głów, ale któremu przy temsamem „zawsze oświetleniu (*in dem überall gleichen Lichte*) właściwego ustatkowania brakuje“.

„Na tej ogromnej kompozycyi, jest każdy szczegół prześliczny, wszędzie tasama staranność i prawda, powie znów *National Zeitung*. Ale całość nie oddziaływa jako jedność. „Z jednakowo wykończonem wykonaniem, idzie w parze „jednakowe oświetlenie (*eine gleichmässige Beleuchtung*), „przeciętnie dominująca czerwoność przebiega całą powierzchnię, z której trudno jest odczepić pojedynczą figurę, kiedy „się chce bliżej przypatrzeć“.

Bruno Meyer z *Montags-Blatt'u*, któregośmy już raz przy „Wernyhorze“ spotkali i którego nam jeszcze raz przyjdzie w swoim miejscu przytoczyć, wyraża tę samą myśl jeszcze dokładniej. Wyliczywszy z największem, jak zobaczymy, uwielbieniem wszystkie zalety p. Matejki, mówi dalej: „Jedna tylko tajemnica jego sztuki pozostała mistrzowi zamknięta, *das Helldunkel*, światłocien! I to jest najściślejsz „związane z całym kierunkiem jego twórczości. Przy każdym „artystycznym wrażeniu, jakiego doznaje, opanowuje go jego „przedmiot (*sein Stoff*) w równym stopniu w jakim on go „naodwrot opanować usiłuje, i z obawy, żeby się najdrobniejszy szczegół uwadze naszej nie wymknął, lęka się nawet rzecz najdrobniejszego znaczenia, nawet to co w głębi „lub na boku leży, pozostawić w tym półcieniu, bez którego „przecie nie sposób jednakowo dojść do całkiem zadawalniającego, jednolitego i zamkniętego w sobie artystycznego „wrażenia. Ztąd pochodzi, że obrazy Matejki mają coś nie „spokojnego jak kaleidoskop, coś natłoczonego w sobie; łatwo „doznaje się wrażenia jakby w nich brakowało przestrzeni“.

Ostatnia uwaga niemieckiego krytyka stosująca się zarówno do wykonania jak i do kompozycyi obrazu, odsyła nas znowu do krytyki francuzkiej i nawiązuje sama z trzecią kategorią czynionych w Paryżu p. Matejce zarzutów. Według tych ostatnich bowiem byłaby mu jeszcze jedna tajemnica nieznaną, tajemnica ofiary. *L'art des sacrifices*, wyrażenie to

powtarza się z kilkanaście razy przynajmniej z godną zastanowienia jednomyślnością w pozostałych recenzjach. Wiadomo, że naprzeciwko „Hołdu pruskiego“ w Paryżu wystawiony był w tejsamej sali także wielkich rozmiarów obraz słynnego malarza p. Puvis de Chavanne przedstawiający na cienistem tle „Świętego gaju“ „*le bois sacré*“ idylliczne życie pierwszych wieków ludzkości. Już sam sposób malowania *engrissaille* francuzkiego mistrza stanowił uderzający kontrast z niesłychanie silną koloraturą autora „Hołdu“; i niejeden ma się rozumieć sprawozdawca korzystał z tej okoliczności, aby przeciwstawić bladeść nimf chlorotycznych, jak się jeden z nich wyraził, p. de Chavanne z krwistym i ognistym temperamentem Matejkowskich magnatów. Ale przeciwstawienie tych dwóch tak odrębnych utworów nasuwało inne jeszcze, ważniejsze o wiele spostrzeżenia, dotyczące tym razem ogólnego stylu, właściwej każdemu mistrzowi metody, ich sposobu pojmowania i wytwarzania dzieł sztuki, jednym słowem stwierdzające odrębność ducha i całego zakroju dwóch szkół, a właściwie mówiąc, dwóch światów: wschodu i zachodu... Posłuchajmy!

„Dziwnem przeciwstawieniem, te dwa utwory wywołują „najzupełniejszy kontrast, który pozwala ocenić odrazu charakterystyczne znamiona dwóch malarzy. Jeden z nich ko-
sztem wszelkich możliwych ofiar dąży jedynie do wywołania „ogólnego wrażenia, do jednolitej całości. Drugi przeciwnie „gubi się w poszukiwaniu szczegółów, w koloraturze równej, „jednostajnej, która nigdzie oku nie pozwala wypocząć“ (*La nation*, 7go Maja).

„W zestawieniu z obrazem p. de Chavanne, Hołd pruski ¹⁾ stanowi kontrast absolutny. Mniej niż kiedykolwiek „p. Matejko nie zdaje się znać i praktykować sztuki poświęcania dla całości rzeczy podrzędnych. Wszystko jest malowane i namarkowane pędzlem jednakowo silnym i dokład-

¹⁾ Wszystkich za każdym razem niecierpliwi długość tytułu w katalogu: *Albert, duc de Prusse, feudataire de la Pologne, prêtant serment de fidélité au roi Sigismond I, sur la grande place de Cracovie le 10 Août 1525.*

„nym, farbą jednakowo mocną i potężną; wszystko ma jednokową wartość“. (*Journal de Rouen* z 1go Maja).

„Ktoby chciał widzieć wręcz przeciwny sposób malowania (od Puvis de Chavanne) ten potrzebuje tylko obrócić się i spojrzeć na „Hold pruski“. Reputacya p. Matejki jest „już oddawna ustaloną wszędzie, nawet we Francyi, chociaż „jego metoda artystyczna jest na antypodach tego właśnie, „co się u nas robi... Wszystkim znane są wysokie „mioty tego wielkiego malarza, który żył od nas zawsze z „leka i w zupełnej nieznanomości naszych artystycznych „doktryn“. (*La Paix* z 30go Maja).

„Olbrzymie to płótno potrzebuje być oglądanem tak jak „go malowano, z bardzo blizka i z wielką cierpliwością; „wtedy dopiero odkrywa się w niem zdumiewające zalety“. (*Le Français*, 9go Maja).

„Chciałoby się pościnać głowy na tem płótnie namalowane... ale na to aby je pozabierać do domu“. (*Journal des Artistes*, 27 Czerwca 1884).

Wszystkie te krytyki i pochwały, reasumuje najlepiej definicya Matejki przez recenzenta dziennika *Le Temps* p. Nanez podana: wspaniały wirtuoz pojedynczo biorąc, negator bezwzględny wszelkiej ofiary, „*un superbe virtuose pour le morceau, un négateur absolu du sacrifice*“. Dlatego też, dodaje, nie osiąga on nigdy najbardziej ze wszystkich pożądaney nagrody — jedności! A *Nouvelliste de Rouen* konkluduje: „Bądź co bądź, my tu we Francyi nigdy się nie potrafimy pogodzić z tym sposobem malowania bez ładu, który ostatecznie pochodzić może tylko z nawpół barbarzyńskiego gustu...“

To już chyba będzie ostatnie słowo!... Jeszcze nie; bo oto nadomiar jakiś Anglik, korespondent *Morning News* (30 Kwiet.) który przyzwoiciej trochę co prawda ale zato jeszcze wyraźniej uwydatnia tę odrębność dwóch szkół, dwóch światów, o którejsmy wyżej mówili. „Jest to powiada, męczący fajerwerk ciemnych kolorów“, *of dusky colours* (temu znowuż farby ciemnymi się wydają!) i dodaje tę ciekawą uwagę: „na wschodzie Europy, prawie wszyscy malują w tensam „sposób i obraz ten zasługuje na uwagę jako przykład i wzór „stylu mało znanego w tej części świata, *as an example of*

„a style little known in this part of the world...“ Czytając ten wyrok poprawnego syna Albionu, zdawałoby się człowiekowi, że jest już jedną nogą w Azji; nie lubiący w bawelną rzeczy obwijać Berlińczyk, nie omieszka nas tam bez skrupułu wyprawić: *ein Stück Halbasiens tritt uns in dem kolossalen Huldigungsbild entgegen*, powie już bez ogródki recenzent gazety *Volks-Zeitung*.

Być uznanym za barbarzyńca przez spadkobiercę rasy i kultury italskiej to jeszcze pół biedy, ale zostać wyproszone z Europy przez synów germańskiego a chociażby tylko anglo-saxońskiego szczepu, to już trochę za wiele! Szczyściem, że nas z tej samej strony właśnie czekają sowite i wcale nie do pogardzenia kompensacye. Od chwili kiedy obraz znajduje się w Berlinie, jakby ręką odjął, wszystko się przemienia, nawet ton tejże samej prasy francuzkiej, której krytyki dopierocośmy tak sumiennie przetrząsali. Dwie pouczające próbki tej Owidiusza raczej niż naszego pióra godnej metamorfozy mamy właśnie pod ręką. „Peizaże Achembacha, „pisze z Berlina do *Telegrafu* paryskiego p. Guymon, mają „zasłużone powodzenie, ale największy entuzjazm i nie bez „przyczyny, wywołuje wielki historyczny obraz p. Matejki, „z którym się tak niemiłosiernie na ostatnim Salonie obeszła „nasza krytyka“. (*Le Télégraphe*, 7 Sept. 1884). Zdaje się, że spowiedź dostateczna, a jednak korespondent *Voltaire* idzie dalej i wyrzuca Niemcom, że niedali Matejce złotego medalu!... „Cesarz Wilhelm, powiada, nie mógł się nigdy „zdecydować na przyznanie najwyższej nagrody za dzieło na „wskroś słowiańskie, za obraz przedstawiający hołd oddany „królowi polskiemu przez założyciela własnej jego monarchii. „I medal odmówiony został, i patryoci niemiecocy nie wstydzą się pochwalać ten sposób oceniania dzieł sztuki!...“ Co za szlachetne oburzenie! A pojakiemuż wyście je tam oceniali, moi Panowie?!... Boże, strzeż nas od naszych przyjaciół, mówi przysłowie, bo od nieprzyjaciół sami się obronić potrafimy. Tym razem nietylkośmy się od nich potrafili obronić, ale nawet możemy im samym naszą obronę przeciwko wrzekomym sprzymierzeńcom bez obawy powierzyć! Krytykom paryskim niech odpowiedzą najlepiej krytycy berlińscy; wszakże ich nikt względem nas nie pomówi o stron-

ność. Cytaty tutaj nie potrzebują być tak liczne, bo też i dzienników w Berlinie nie ma jeszcze dzięki Bogu tyle co w Paryżu; ale zato recenzje poważne, treściwe, sumienne, zasługują na to, aby z nich całe ustępy, o ile na to miejsce pozwoli, przytoczyć.

Zaczynając [nasamprzód od komentarzy, jakie wywołał obrany temat, to tu, wręcz przeciwnie jak w Paryżu, cel osiągnięty został najzupełniej. Oczywiście myśl polityczną obrazu zrozumiał i ocenił najlepiej sam Cesarz, skoro, pomimo zdania całego jury, zrobił p. Matejce ten zaszczyt, że jedno-myślnie przyznana mu nagrodę odmówił. Ale nie mniej trafnie ocenił ją także z pewnością i ten recenzent *Fremdenblatt'u*, który zdając sprawę z wystawy królewskiej akademii w prawdziwie akademickim stylu, wyraża temi słowy swoje... rozdrażnienie: „Chcąc przecie raz na zawsze skończyć z Janem Matejką, powiem tylko, że jego wielki obraz fanfaronujący w tej sali, uważam po prostu za zuchwalstwo (*Insolenz*) i otwarcie mówiąc (nie-ma jak otwartość!), nie mogę żadną miarą darować komisyi wystawowej, która przecież nie tylko artystyczne względy powinna mieć wyłącznie na oku (sic!), że tę namalowaną nietaktowność, więcej, to prawdziwe ubliżenie ¹⁾, pozwoliła wywiesić. Żeby je było można przynajmniej, jak to mawiał nasz stary Fritz, nieco „niżej powiesić“, coby się tu dało zresztą doskonale zastosować! ale niestety obraz już dosyć nisko wisi, gdyż rozpierając się bezczelnie, całą salę zajmuje...“ Czegoż więcej żądać? Czyż nie jak gorącym doparzona żelazem, wije się i kureczy w tych słowach, niczem zkądinąd nie pohamowana dzisiaj, arogancya historycznego parweniusza?...

Spokojniej, wznioślej, z wielką nawet godnością i wyrozumieniem bierze tę rzecz już poprzednio cytowany przez nas krytyk *Montags-Blatt'u*, Bruno Meyer, który zresztą i stronę artystyczną „Hołdu pruskiego“ ziomkom swoim w odpowiednim świetle i z największą sumiennością przed-

¹⁾ Gemalte Taktlosigkeit, ja mehr als das: Beleidigung... (*Berliner Fremdenblatt*, 11 September. Artykuł podpisany Dr. Em. Kn.).

stawi. Nie będziemy mu już tym razem przerywali; oto w jaki sposób zaczyna swoją recenzję.

„Czy należy to uważać jako dowód silnego i uzasadnionego poczucia własnej potęgi, że największemu obrazowi „z całej wystawy, obrazowi, który tak widocznie malowany „był z zamiarem ugodzenia w uczucie niemieckiej a osobli- „bliwie pruskiej miłości własnej, bez wahania przeznaczone „zostało najlepsze miejsce jakim rozporządzać było można? „więcej, że nikt inaczej jak tylko z estetycznego punktu wi- „dzenia (czy tak?... widzieliśmy dopiero co, że się czasami „też inaczej działo) na to dzieło zapatrywać się nie wydaje? „Czemu nie? Wszakże to świadczy chwalebnie jak dalece „obeą nam małostkowa drażliwość lękająca się wszelkiego „wspomnienia o przebytej a niemożliwej do zmienienia prze- „szłości, jaką tu sobie przedstawioną widzimy.

„Jest to całkiem niepospolite dzieło ten obraz przedsta- „wiający księcia pruskiego Albrechta jako lennika składają- „cego hołd królowi polskiemu. Jeżeli sztuka tegoczesna po- „siada wogóle prawdziwie pomnikowego (*monumentalen*) hi- „storycznego malarza, któryby całkiem stał na stanowisku „dzisiejszych artystycznych wymagań, to tym malarzem jest „niezawodnie Jan Matejko. Wszystkie znamiona współcze- „snego realizmu posiada on w najwyższym stopniu, pewną „siebie do igrania (*spielend sichere*) władzę opanowywania „masę, nieomylną poprawność rysunku, świetne prowadzenie „pędzla, nadzwyczaj charakterystyczną farbę. A z tem wszyst- „kiem łączy on właściwości, które w tym stopniu rozwinię- „cia tylko u stylistów idealnego kierunku spotykać przyzwycz- „czailiśmy się. Żaden „Karol Wielki“ Alfreda Rethel'a nie „jest z większem poczuciem wielkości monumentalnej pojęty, „jak ten polski monarcha; a ta niezliczona ilość głów, w któ- „rych z ruchliwością rodzajowego malarza najrozmaitsze du- „chowe usposobienia, wszelkie różnice płci, wieku, stanu, po- „chodzenia znajdują najzupełniejszy wyraz, wszystkie te głowy „są do typowego znaczenia podniesione, w sposób, w jaki „najidealniejsze tylko historyczne malarstwo robić to ledwie „usiłowało. Wiele pojedynczych postaci jest tutaj tak wspa- „niałych, że je śmiało uważać można za prawdziwe psycho- „logiczne gabinetowe sztuki...“

„*Psychologische Kabinetstücke!*“ to nieco jednak inaczej brzmi, jak owa sławna „*tapisserie rongée par les vers*“ Alberta Wolfa; a pomimo wziętości, jakiej używa w świecie *Figaro* i jego wielki estetyk, w rzeczach sztuki jednakowo, między jego zdaniem a zdaniem krytyka *Montags-Blatt'u*, wolno jest każdemu, sądzę, co najmniej na chwilę się zawahać. Jakim sposobem jeden i tensam obraz mógł wręcz przeciwne sobie i przeciwne najbardziej uzasadnionym przewidywaniom sądy i ocenienia wywołać, jest i będzie zawsze zagadką. Musiało się do tego przyczynić przedewszystkiem złe umieszczenie i oświetlenie obrazu na wystawie paryskiej, a może i zwykła lekkomyślność Francuzów, zbyt wyrafinowane wymagania przedojrzalego społeczeństwa, któremu już nie trafia do przekonania twarde język cierpiących lub do czynu powołanych narodów. Bądź cobądź, z tak poważnych, a niemożna już bardziej bezstronnych ust wyszła recenzja, miałyby prawo służyć za dostateczną odpowiedź na niechętne i złośliwe głosy prasy francuskiej, któreśmy na początku przytoczyli. Pomimo to jednak, już nie dla własnej obrony, skoro się jej dobrowolnie podjęli ci, na których przychyłność najmniej mieliśmy prawo rachować, ale dla ciekawości i pouczenia własnego należy się tu jeszcze przytoczyć ustęp z nader zajmującego sprawozdania, które rzucając ogólny pogląd na charakter sztuki naszej i na przeważną w niej rolę Matejki, nawet na bliższe z naszej strony zasługuje zastanowienie. Jestto zaczynający od poetycznej legendy wstęp do cytowanej już recenzji gazety *Volks-Zeitung*.

Autor opowiada, że wędrując pewnego razu po zachodnim wybrzeżu Szkocyi, natrafił na jedną z tych czarnych skał, które stercząc wśród rozhukanego morza, jak ciemne forpoczty jakiejś armii Tytanów wyglądają. Jakież nie było jego zdziwienie, gdy na grzbiecie tej dzikiej i oswojonej skały postrzegł rozpostarty jak kobierzec zielony i kwiatami wspaniale ubarwiony gazon. Najbujniejsza flora rozpostarła była swoje bogactwa aż po sam wierzchołek skalistego wzgórza, na którym wznosiły się jeszcze ruiny obronnego zamku. Z początku myślał, że cudowną tę zieloność przypisać należało ciepłym powiewom morskiego prądu, ale siedzący na odłamie bazaltu zadumany stary pasterz powie-

dział mu, że ten cud, to go lzy Ellinory sprawiły!... Przed dawnymi, bardzo dawnymi czasy, legenda niesie, że na skale tej klan Glenoirów założył był swoje gniazdo. Dzika, bitna i niezwalczona bylato osada! Ani myśleć, żeby ją kiedykolwiek podbić mogli byli sąsiedzi, gdyby nie właśnie domowe, i familijne w jej własnym łonie klótnie i zatargi... Raz, kiedy wśród ciemnej nocy wszczęła się była przy uczcie taka właśnie między Glenoirami niezgoda, napadli zmienacka na zamek sprzysiężeni sąsiedzi, wyciągnęli zaskoczonych nad przepaść, zabierając dzieci i kobiety, i wtrącili klan cały od jednego razu do morza!... Od czasu tej okropnej zagłady duchy zaprzepaszczonej ofiar powracają corocznie. W późnej jesieni żądni zemsty bojownicy wydobywają się z głębokości morza, otaczają strasznem kołem skaliste wybrzeża, objają się z przeraźliwemi jękami o mury zburzonego zamku, ogałając z zieleni ocieniające je drzewa, a wkońcu zarzucają płaszcz śmiertelny z lodu i śniegu na wyżyny, aby wszelkie życie ustało... I spełniłoby się było niezawodnie przekleństwo duchów zemsty, i nie zakwitłby już nigdy żaden kwiatek na fatalnej skale, gdyby się wśród Glenoirów nie była znalazła czulego serca dziewczyna, którą miłość z jednym z wrogów słodkim połączyła węzłem. Kiedy biały płaszcz śmiertelny rozpostarty po kraju leży, wtedy z morskiej głębi wydobywa się duch Ellinory, na powolnych skrzydłach wzlatując, przenosi się na wybrzeże i tam nad utraconem szczęściem, nad postradaną ojczyzną płacząc, gorące lzy nieustannie wylewa. Otóżto zbawienny strumień tych łez dobrego ducha zamienia śmiertelny płaszcz nieublaganej zemsty na te miliony kwiatów, które wieńczą ruiny Glenoirskiego zamku...

„Przypomniała mi się ta legenda, ciągnie dalej krytyk, „kiedym ujrzał obrazy Jana Matejki. Mnie zdaje się, że „w nich odzwierciedlone widać przeznaczenie Polski. Duch „zemsty nie przestaje żyć w rozewiertowanym i z rządu „państw przez sąsiadów wykreślonym kraju, duch, któryby „niszcząco oddziaływać musiał, gdyby łagodzący geniusz „sztuki nie postępował bezpośrednio za nim i łzami nieutulonej boleści nie zamieniał zimnego, śmiertelnego płaszcza „w woniejącą i kwiatami ubarwioną zielen. Po strasznych „burzach zapamiętałej wojny, narodowy Patos znalazł w sztu-

„ce ujście dla siebie (*hat sich geflüchtet*), a sztuka zamienia
 „zawsze klątwę w błogosławieństwo. Ten proces przeobraże-
 „nia można w samych dziełach sztuki uchwycić, a najwyra-
 „źniej występuje on w kreacyach Jana Matejki. W polskim
 „tym malarzu żarzy się ogień nigdy nie ugaszonego ducha
 „zemsty; on jest cały przejęty patosem swojego narodu i
 „czułby się najszcześliwszym, gdyby pendzel na lancę a pa-
 „letę mógł zamienić na tarczę, aby wrogów Polski w pył
 „obrócić; ale geniusz sztuki nie zna zemsty tylko pojedna-
 „nie, i tak, dzieła, któremiby chciał Matejko przeciwników
 „poniżyć, stają się tylko ozdobą i upiększeniem życia dla
 „prawdziwych miłośników sztuki.“

Nie wiem, czy kto w kraju nawet przeniknął tak głę-
 boko kiedykolwiek tajemnice narodowej sztuki; a jednak
 w tem zrozumieniu jej właściwego ducha leży klucz nieje-
 dnej napozór nierozwiązanej zagadki, a przedewszystkiem
 tej, dlaczego się u nas tak łatwo artystyczna kwestya w spo-
 łeczną i polityczną kwestyę zamienia. Obcy, cudzoziemiec i
 Niemiec jeszcze do tego, dał nam najlepiej zrozumieć, jak
 wyjątkową rolę odgrywa w naszym społeczeństwie rozwija-
 jąca się w niem tak nadspodziewanie sztuka; wykazał, jak
 ścisłą jest z jej utworami nasza łączność, jak dalece utwory
 te są najwierniejszym wyrazem przeobrażonych wprawdzie,
 ale niemniej jednak na dnie sere naszych spoczywających
 tychczasowych aspiracyj. A teraz, czyśmy nie mieli racyi
 ostrzegać na początku, że cokolwiek usłyszymy po drodze,
 zapuszczając się w ten przegląd obcych głosów o Matejce,
de nobis fabula docebit? i czy w tem świetle widziane, nie
 nabierają teraz krytyki francuskie szczególniejszego dla nas
 interesu? Tak jest, niezawodnie. O mistrza naszego troszczyć
 się nie mamy potrzeby; dzieła jego, to najlepsze tarcze na
 pociski podobne do tych, jakie na niego próbowano wymie-
 rzyć, a które poważniejsi od nas odeprzeć sami się postarali.
 Ale do nas samych czy nie dałaby się przypadkiem zastoso-
 wać ta lub owa uwaga o obrazie, który, według tego, cośmy
 tu przed chwilą usłyszeli, byłby może tylko najwierniejszym
 właściwego stanu naszego społeczeństwa obrazem?... „*Virtuose
 pour le morceau, négateur absolu du sacrifice,*“ nie byłabyto
 przypadkiem jedna z najświetniejszych definicyj polskiego

charakteru, jaka kiedykolwiek wyszła z pod pióra bezpośrednio nawet badających psychologiczne jego cechy moralistów? nie tłómaczyłaby ona czasami najlepiej, dlaczego nam tak trudno dojść do zdobycia sobie nie tylko w publicznym, ale i w prywatnym życiu, tej najwyższej, „najbardziej ze wszystkich, jak się wyraża wychowawiec Zachodu, pożądaną godnej nagrody“ — jedności!... A te utyskiwania nad brakiem niybyto u naszego mistrza wzajemnego ustosunkowania rozmaitych wartości, nad jednakowym naciskiem położonym na rzeczy nierównego znaczenia, nad wysuwaniem naprzód „tego, co z boku lub z tyłu“ pozostawać winno, nad ustawicznym używaniem „pedału“ mączącego niepotrzebnie pojedyncze, mające się splatać i krzyżować, ale nigdy paraliżować modulacje; czyż uwagi te nieowiele trafniej stosować się wydają do społeczeństwa, któremu cel główny tak łatwo z oczu się wymyka, a miejsce jego na pierwszym planie zajmuje kilka naraz przedmiotów drugorzędnej wagi, gdzie najprostsze pojęcia tak mało jeszcze określone, odgraniczone od siebie, rozsegregowane zostały; do społeczeństwa nierozplątanego w sobie, gdzie stronnictwa nawet nie mogą się doczekać właściwego ugrupowania?... Wskazówki te winny nam być podwójnie drogie: raz, że pomagają nam do poznania siebie samych, że wskazują punkta, na które przede wszystkim skierować nam wypada najważniejszą dzisiaj ze wszystkich, psychologiczną pracę nad wyrobieniem narodowego charakteru; a powtóre, że przynoszą je nam jako prawdziwą zdobycz z wędrówki po szerokim świecie te właśnie dzieła i utwory sztuki, które są zarazem dla nas, jak i dla obcych najdotykalniejszym świadectwem naszej żywotności, źródłem już nie tylko otuchy i nadziei, ale wiary i niezachwianego zaufania w przyszłość. I tu możemy się powołać na sąd niepodejrzanego o stronność cudzoziemca. W Peszcie, z kąd „Hold Pruski“ ma nam wkrótce powrócić, i gdzie tak jak w Pradze powitany został z największym zapalem, widok jego nasunął jednemu z recenzentów myśl, na której chcemy zamknąć to już i tak zbyt długie sprawozdanie. „Naród, powiada krytyk *Pester Lloyd*a, który takich „twórców wydaje, który w ten sposób wskrzesza swoją przeszłość, naród taki, to może dusza bez ciała, ale to w każ-

„dym razie dusza wielka, która się przyszłości bynajmniej „wyrzekać nie potrzebuje.“ My tylko z naszej strony dodamy, że gdyby w istocie porozbiorowa Polska, ta dusza bez ciała, nie miała się czem innem, jak tylko Mickiewiczem i Matejką przed potomnością wykazać, toby już posiadała dzisiaj tytuł legitymacyj dostateczny wobec szczęśliwszych pokoleń, które owoc jej ciężkich trudów i straszliwych cierpień niewątpliwie odziedziczą, boby już była wydała ze siebie „*deux des plus grands esprits de son epoque*;" a może też i da Bóg że nie poprzestanie na tem!

Zygmunt Cieszkowski.

Doniosłe zdarzenie w świecie muzyki polskiej:

KONRAD WALLENROD

opera Władysława Żeleńskiego.

Kiedy właśnie pięć lat temu p. Ignacy Skrochowski pod wrażeniem koncertu złożonego z utworów Władysława Żeleńskiego, oceniał w *Przeglądzie Polskim* rodzaj twórczości i stanowisko kompozytora, scharakteryzował je przedewszystkiem jednym rysem. Oto, według niego, główną zasługą Żeleńskiego, że postawił muzykę polską na stopie europejskiej, że przez niego naród nasz „dogonił Europę“ w tej także dziedzinie, zaczął jako równouprawniony zabierać głos w międzynarodowym koncercie potęg muzycznych, nie już wtórować zdala muzyce świata, ale w niej współdziałać. Bardzo trafnie tam określono znaczenie Moniuszki i Chopina i wytłómaczono, jak pierwszemu jednostronny liryzm słowiański a drugiemu wyłączny kult fortepianu niedozwolily zająć tego miejsca, które tylko wszechstronnie uposażonym i wykształconym przypaść może w udziale, a do czego niemały talent jednego, geniusz zaś drugiego, aż nadto byłby w innych warunkach wystarczającym.

Od tego czasu ustaliło się zdanie wówczas po raz pierwszy sformułowane. Do poprzednich dodane nowsze utwory Żeleńskiego, objęły całą prawie dziedzinę nowożytnej muzyki i całą jej skalę; nietylko że opanował on wszystkie formy

muzykalne, wszystkie fazy rozwoju tej sztuki, ale nie ma rodzaju kompozycji, w którymby nie był swych sił próbował, zwycięskiego niejako nie zdał egzaminu. Tańce, romance, elegie, humoreski, gawoty, waryacje, sonaty, tria, kwartety, symfonie, pieśni, chorały, kantaty, preludya kościelne, utwory salonowe i koncertowe, wszystko to wchodziło w ogromny zakres muzyki wokalne i instrumentalnej, który zagarnął, i w którym nie zapomniał ani o fortepianie, ani o skrzypcach, ani o wiolonczeli, ani o organach, jako instrumentach solowych.

Ale przy całym mistrzostwie w władaniu muzyką instrumentalną, nie można było nie poznać, że właściwem królestwem jego jest głos ludzki. Ze wszystkich utworów Żeleńskiego chóry i pieśni najczęściej przemawiają do słuchacza, najbardziej płyną z duszy i trafiają do serca, najprostsze i najjaśniejsze, cieszą się też największą popularnością i najtrwalsze, a raczej trwałe mają powodzenie.

Rzecz prosta, że uznając to, że mając tyle zresztą na każdym kroku dowodów wysokiego dramatycznego uzdolnienia kompozytora — wszak większa część pieśni jest koncepcyj i dramatycznej i tym swoim charakterem uderza — nieraz pragnęliśmy wszyscy i życzyli Żeleńskiemu, żeby też wziął się do napisania opery!

Nadeszła wreszcie ta chwila, mamy jego operę, mamy Konrada Wallenroda.

Konrad Wallenrod! Jakież myśli i uczucia budzi w każdej polskiej duszy samo to imię. Nie mówiąc o wspomnieniach wrażenia, jakie w młodości każdego z nas wyręło pierwsze czytanie tego arcydzieła wieszczki narodowej, komuż przez głowę nie przeszło, zamienić powieść tyle dramatycznego zawierającą pierwiastku na dramat; czyjaż fantazya, jeśli jej choć trochę miał w studenckich czasach, nie porwała się do napisania tragedji na tem tle; kto, jeśli duszę miał choć trochę muzykalną, nie marzył o melodi do Wilii, pieśni z wieży, Alpulary; kto znając n. p. Tambhäusera, nie wyobrażał sobie na scenie uczy z popisem wędrownych menestrelów, zakończonym pieśnią wajdeloty?

Marzył o tem wszystkiem oczywiście Władysław Żeleński w szkołach jeszcze będąc. Tylko kiedy inni jedynie marzyli i pragnęli, on szczęśliwszy drzące i promienne widzenia

umiał przyoblekać w zmysłowe kształty, utrwałać w tonach i nutach. Pomysły swoje do tej lub owej pieśni, arii czy ballady, odkrywał przed znajomymi; Alpuhara dostała się nawet na estradę koncertową, i podobała się niesłychanie, i utkwiała w pamięci słuchaczy. Ztąd legenda, powtarzana w najlepszej wierze, a czasem z przymieszką krytyki: Żeleński Konrada komponował od piętnastu lat, od dwudziestu lat, nieledwie od kolebki.

W rzeczywistości pisał go od lat kilku, bo libretta przed czterema dopiero laty mu dostarczono. Może i to komu wyda się długo. My, cośmy w ostatnich dniach lutego jeździli do Lwowa, i świadkami byli pierwszych Konrada przedstawień, nie zrobimy zarzutu z wolnej pracy autora. Warto było czekać nie cztery, ale piętnaście i dwadzieścia lat, żeby doczekać się tego, czegośmy doczekali. Dziś możemy z dumą powiedzieć, że mamy to, czego nam w muzyce tak bardzo brakowało, mamy operę polską, która w sumiennem naszym a głębokiem przekonaniu jest zarazem operą europejską. A na to, żeby taka pierwsza opera powstała, potrzeba było tych niezamordowanych studyów, tych lat pracy, tego obrabiania, pilowania, wykończania; sam talent i natchnienie nie wystarczały, czego najlepszym dowodem Moniuszko, od natury tak bogato przecie uposażony.

Że pojawienie się Konrada Wallenroda na scenie lwowskiej przybrało wobec tego znaczenie zdarzenia naród obchodzącego, rzecz całkiem prosta, tak samo jak to, że po Żeleńskim wszyscy z góry spodziewali się czegoś skończonego, czegoś niepospolitego. Ale takiego powodzenia, takiego tryumfu i działania na szersze sfery publiczności nie spodziewał się nawet niejeden ze szczerych wielbicieli kompozytora. Kierunek i rodzaj muzyki Żeleńskiego o tyle przewyższa poziom muzycznego wykształcenia u nas, że te same jego utwory, które na zachodzie są więcej lub mniej chwalone (bo to rzecz smaku, uprzedzeń narodowych, często względów osobistych) ale traktowane jako jeden z szeregu objawów naturalnych dzisiejszej epoki w sztuce, jako jeden z większej liczby kwiatów na tym gruncie wyrosłych, tylko jeden z lepszych, piękniejszych, taki, któremu wszyscy wysoki stopień szlachetności i wytworności przyznają, u nas natomiast swoją wytworno-

ścią właśnie niejednego zrażają i odstrasza. Popularnemi, powszechnie ulubionemi są, ściśle rzecz biorąc, głównie pieśni, jako najbardziej w ucho wpadające, o kompozycyach instrumentalnych, a dopiero o większych orkiestrowych, lub kwartetach smyczkowych „przeciętny“ Polak mówi, że to muzyka za mądra, z góry słucha ich z niedowierzaniem, aby mógł je zrozumieć. Ta przesadzona skromność, ta obawa, po przedstawieniu Konrada Wallenroda ustąpiły najgorętszemu zapalowi. Pod wpływem jego stopniały resztki lodów, jakie profanów dzieliły od kompozytora, wysokie piękności opery przemówiły zarówno do tych, co do nich szkolny zwykli przykładać cyrkiel i miarę, jak do tych, co w ocenianiu muzyki instynktem tylko się kierują i uczuciem. Z największem zajęciem i przyjemnością słuchali jej wszyscy do samego końca, a wiele było ustępów, które słuchaczy porываły, przy których publiczności nie podobna było wstrzymać się od wzruszenia.

Faktu takiej doniosłości i tak pomyślnego jego wyniku nie mogła prasa polska przywitać chłodno. Posypało się takie mnóstwo korespondencyj, sprawozdań, recenzyj i wszelkiego rodzaju artykułów dziennikarskich, że temu, który je czytał skwapliwie, a teraz dopiero po kilku tygodniach ma czytelnikom *Przeglądu* o Konradzie mówić, trudno być oryginalnym, prawie niemożliwym jest ustrzedz się Scylli mimowolnych plagiatów, albo też Charybdy polemizowania.

Mimo to puśćmy się odważnie na pełne niebezpieczeństw morze krytyki artystycznej, i dla oryginalności zacznijmy od tego, od czego zaczęli swoje sprawozdania wszyscy bez mała o Konradzie piszący: od *libretta*.

Na *libretto* wylały się żale wszystkich tych, którym muzyka podobała się bezwzględnie, ale aby nie wydać się stronnymi, coś koniecznie w operze zganić chcieli; i tych, którzy muzyki nie rozumiejąc zupełnie, coś przecie rozumieć i rozbiierać musieli, i tych wreszcie, którzy na muzyce trochę ale na poezyi nie znając się wcale, do swej niewiadomości wstydzili się przyznać. Zresztą, aby krytykować muzykę opery trzeba albo ją znać doskonale, albo mieć przed sobą partyturę, i umieć czytać partyturę; *libretto* zaś za 30 centów kaźden mieć na stole może. O ileż tu łatwiejsze zadanie

krytyka, a zwłaszcza jak wdzięczne, jeżeli to jest *libretto* z Konrada Wallenroda! Jak łatwo wykazać, ile to przy takiej przeróbce zatraciło się piękności pierwowzoru, który prócz tego, że objętością cztery razy przechodzi *libretto*, a wcale nie był pisany do muzyki, ma jeszcze tę ogromną wadę, że jest arcydziełem. Każde na nim dokonane cięcie, a broń Boże najmniejsza zmiana, musi się wydawać świętokradztwem. Tymczasem z ręką na sumieniu (a względem tekstów operowych godzi się mieć sumienie mniej skrupulatne) nie sądzę, żeby przeciw librecistom, którymi byli ś. p. Zygmunt Noskowski i p. Władysław Sarnecki, można było podnieść wiele ciężkich zarzutów.

Charaktery głównych osób, Konrada, Aldony, Halbana, wiernie zgadzają się z rysami danymi im przez Mickiewicza, jakkolwiek miłość Konrada do Aldony straciła nieco sentymentalnej barwy, tego nastroju, z którym bohater Mickiewicza wyznaje kochance:

W chwili kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.

W operze Konrad jest wyraźnie i stanowczo mężem Aldony, młodym, kochającym mężem, ale nie kochankiem rozmarzonym. Stało się to przeważnie ztąd, że tekst musiał koniecznie uleść znacznym skróceniom. Więc odpadła wielka część długich rozmów miłosnych, n. p. koniec owych bezgranicznem przywiązaniem telnących wymówek i narzekau w części III, w których Konrad klnie swoją duszę,

Że w niej są jeszcze ostatki uczucia.

Odpaść musiała i wielka część najpiękniejszych myśli w pożegnaniu, odpadło dalej całe wyjawienie planu zemsty, nad którą

Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło.

Ale chyba nikt nie będzie żałował w operze takich niekończących się śpiewanych dyalogów, które na scenie byłyby monotonnemi już przez samą jednostajność nastroju i nie-

zwykłej sytuacji zakochanej a rozdzielonej krata dobrowolnego więzienia pary.

Zaczerpnięcie z powieści Wajdeloty treści do aktu I i uzupełnienie jej wspomnieniami zawartymi w rozmowie kochanków w części III, jest rzeczą tak prostą, że tłumaczył ją, byłoby to ubliżać polskiemu czytelnikowi.

Zresztą *libretto* trzyma się weale wiernie poematu, posługując się nierzadko całami żywcem wziętymi ustępami tyle dramatycznego pierwowzoru. Że pieśni wplecione w poemat, musiały dla kompozytora obfite przedstawiać źródło najczystszych natchnień lirycznych, odgadnąć łatwo. Że ich nie mógł użyć w całości, tego mu chyba nikt za złe nie weźmie, ani opuszczenia pieśni o Wilii, mającej symboliczne znaczenie.

Słyszeliśmy podniesiony zarzut ważniejszy; oto dlaczego nie znalazła w operze miejsca pieśń wajdeloty, owa cudowna pieśń o wieści gminnej, która podaje tak wyborną sposobność do użycia motywów muzyki ludowej, a której zaraz początek

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć

tak zdaje się domagać podłożenia wierszom tajemniczo legendowej melodyi. Na to jedno znam tylko tłumaczenie. Tekst był już za długi, a przez usuwanie upięknień nie mających z treścią ścisłego rzeczowego związku, chciał kompozytor podporządkować pierwiastek liryczny dramatycznemu. Argument byłby wyborny, gdyby nie okoliczność, że na miejsce usuniętej pieśni Mickiewicza, kompozytor przyjął tyle innych kawalków lirycznych powtrącanych samowolnie i bez potrzeby przez librecistów.

Są wszakże skrócenia i amplifikacje, na które godzić się można bez zastrzeżeń, n. p. ściągnięcie ballady Alpuhara do połowy jej pierwotnych rozmiarów, a rozszerzenie kilku nastu wierszy z opisu uczy do całej długiej sceny, zawierającej wystąpienia i śpiewy menestrelów. Większe wątpliwości wzbudza wyrzucenie całkowite wojny. Pojmujemy trudności, które przedstawiał czysto historyczny sposób traktowania jej przez poetę, a sceniczne przeszkody do należytego przedstawienia armii ginącej w zaspach śniegowych. Bez wojny wszakże następstwo sądu po uciece staje się zupełnie niezrozumiałem,

a choć dla tych, co poemat Mickiewicza znają, wątpliwości żadnej być nie może, związek jest zawsze naciągniętym.

Przekształcenia dokonane w roli Aldony, są czysto technicznej natury, a opera tylko zyskać na nich może. W poemacie Aldona zamyka się w wieży dawno przed powrotem Konrada z zagranicznych wypraw rycerskich do Maryenburga, a tylko głos jej z wieży słyszany przez mnichów przyczynia się do obioru Konrada na mistrza. W *librecie* jej głos tajemniczy przechyla także szalę na korzyść Konrada, ale nie z wieży go słyhać. Podczas obioru mistrza zjawia się ona sama w kościele w pielgrzymim przebraniu, niepostrzeżona z ukrycia spostrzega męża i woła „Konradzie“; gdy Konrad sam zostaje w kościele na modlitwę, wychodzi ona z ukrycia, a zjawienie się jej daje okazję do najdramatyczniejszych efektów, jak dyalog miłosny, namiętności pełen, przerwany powrotem arcykomtura i zakończony dobrowolnym aktem zamknięcia się Aldony w wieży, który się rozstrzyga na scenie.

Jedną z większych amplifikacyj w *librecie* jest cała rola arcykomtura, który z Mickiewiczowskiego nieledwie figuranta, stał się tu jedną z głównych postaci, najważniejszym, przynajmniej bezpośrednim czynnikiem tragicznej katastrofy. On już przy obiorze jest Konrada przeciwnikiem, podnosi wątpliwości, stara się przeszkodzić. Potem ciągle podejrzewa i podgląda mistrza, zjawia się w chwilach dla bohatera najdrażliwszych, jak sędzia śledczy zbiera przeciw niemu punkta oskarżenia. W scenie tajnego sądu kieruje naradą i przeprowadza wydanie wyroku, wreszcie we finale on staje na czele rycerzy mających pojmać mistrza. Ta rola czynnika negatywnego mogłaby być bardzo pięknem dopehleniem w dramacie charakterów powieści, a wróg Konrada mógłby nawet szlachetne wśród innych postaci zająć stanowisko, jako obrońca potęgi i sławy zakonu, jako mściciel dokonanej na nim zdrady. Cóż, kiedy z góry wrażenie zepsute jest wyznaniem arcykomtura zaraz po wyborze:

On mistrzem jest, on ubiegł mnie,

które cały plan jego zniża do znaczenia prostego aktu osobistej zemsty samolubnego intryganta. Tylko że na czarny charakter, na Jaga lub Ryszarda III, arcykomtur nie dość

jest przewrotny, nie dość interesujący, a nawet nie można mieć pewności, czy on zgubił Konrada, czy też raczej Konrad nie zgubił się sam.

Najdonioślejszą zmianę zachowali sobie atoli autorowie *libretta* na sam koniec. Pojmuję, że zakończenie poematu oryginalnego, jakkolwiek w fantazyi czytelnika układa się w obraz sam przez się przepyszny, to jednak wobec wymagań opery przedstawiało pewne niedogodności. Wieczór, izba w wieży zamkowej oświetlona tylko ponurym płomieniem lampy; na odgłos kroków zbliżających się mścicieli, Konrad wychyla truciznę, podając jej resztę Halbanowi, wdzierającym się rzuca pod nogi insygnia swojego urzędu, w którym już wszystko spełnił, czego dokonać chciał, i pada, aby oddać ostatnie tchnienie, oświetlony ostatnim błyskiem zrzuconej z okna lampy.

I w tejże chwili przebił wieży ściany,
Krzyk nagły mocny, przeciągły, urwany.

Czytelnikom może poeta powiedzieć:

Z czyjej to piersi? Wy się domyślicie,

ale publiczność operowa nie ma obowiązku zgadywania katastrofy tragedyi, domysłowi jej nie można zostawić tego ważnego szczegółu, że to krzyk Aldony zamkniętej w odległym gdzieś i niewidzialnym więzieniu i że piersi, z których jęk ten wypadł:

Już nigdy więcej nie wydadzą głosu.

Zresztą należy do wymagań przedstawienia teatralnego, aby zakończenie robiło wrażenie nie tylko swoją ponurą grozą, monologiem przedśmiertnym i ostatnią wolą bohatera, objawioną wobec jednego lub paru świadków w małej ciemnej celi, ale aby został w wyobraźni i pamięci jakiś głośniejszy, huczniejszy efekt, aby były zebrane i uwidocznione przed spadnięciem kurtyny wszystkie nitki niewidomie składające się na przedzę dramatu, słowem, dobry finał musi z reguły być sceną zbiorową, albo przynajmniej obrazem scenicznie efektowym.

To wszystko prawda. W tej też myśli *libretto* przenosi scenę z celi pod gołe niebo, umieszcza ją u stóp wieży; Konrad uwalnia Aldonę z zamknięcia, do którego ona nie

przywiązuje takiej wagi jak w poemacie, układają z Halbanem razem plan ucieczki. W tem odkryci i otoczeni przez wykonawców wyroku tajnego sądu, oboje wychylają truciznę. Ale śmierć ich na scenie równoczesna prawie, pomimo pięknej interwencji Halbana i zuchwalej spowiedzi publicznej, albo raczej wyzwania Konradowego:

Oto są grzechy mojego żywota,

jest efektem zużytym i przez nią final robi wrażenie czegoś banalnego. I to obok roli arcykomtura nazwałbym głównym grzechem *libretta*.

Lecz dość już o *librecie*, nawet za dużo. Czyż nie można wogóle obiecać sto tysięcy nagrody temu, kto w całej masie znanych oper potrafilby odkryć jedno dobre *libretto* operowe. Wszak wiadomą definicya: gdy co jest nie dość mądre, żeby je powiedzieć, to się śpiewa, i to się nazywa operą. Wśród wielu znanych nam *librettów*, Konrad Wallenrod jest jeszcze jednym z najmniej złych. Nie o tekst wszakże chodzi w operze, ale o muzykę.

Muzycznej treści opowiadać i szczegółów po kolei przechodzić nie myślę. Rozbioru tego dokonały już dawno wszystkie dzienniki lwowskie, krakowskie i warszawskie, mniej lub więcej trafnie i szczęśliwie. Wszyscy wiedzą, że nie ma uwerwury właściwej, tylko raczej introdukeya, w charakterze preludeum zarysowującego sytuację niepewną a ponurą o mistrzowskim prowadzeniu głosów i z główną melodyą, zapożyczoną z arii Aldony: „Któż me westchnienia, któż me lzy policzy,“ że znakomitym jest chór wzburzonych wojowników litewskich, podejrzewających Alfa o zdradę po klęsce na polach Rudawy, że ukazanie się Halbana na scenie poprzedza prześliczna melodya wioloneczelowa, która w dalszym ciągu opery zwykle jego wystąpienia zapowiada i daje pole do misternych kombinacji głosu ludzkiego z instrumentami smyczkowemi, że przed końcem aktu pierwszego silne wrażenie wywiera dramatyczny tercet: (Aldona, Alf, Halban) „Gdy wzywa głos przeznaczenia.“

Powiedziano i powtarzano aż do przesytu, że akt drugi jest najpiękniejszym z całej opery. Istotnie, niesłychanie konsekwentnie zbudowany, jak z jednej sztuki ulany, zawiera

on momenta świetne, jak przepiękny kwartet (Aldona, Konrad, Halban, Areykomtur) i uroczysty pochód holdowniczy w obliczu nowoobranego mistrza, przy odgłosie dzwonów i dźwiękach wspaniałego marsza. Biorą w nim udział rycerze, dzieci chórowe i kobiety wiejskie, których przeplatane chóry zdolne są wywołać entuzjazm publiczności, a całe to zakończenie każdemu niezatarte zostawia wspomnienie. Prócz tych prawdziwych fajerwerków efektu, wiele jest jeszcze piękności mniej może błyszczących, będących atoli klejnotami muzycznymi najczystszej wody, że tylko wspomnę całą scenę obioru, z hymnem „Duchu, światło Boże“ o charakterze i tonacjach średniowieczno kościelnych, i następujące po nim psalmodyowanie rycerzy-mnichów, splecione z początkowym tematem antraktu, i misterny a niedość może podnoszony duet Aldony z Konradem „Ciebie to widzę“ łączący miłe dla ucha dźwięki i melodyę każdemu przystępną z najpedantyczniejszą formą muzycznego kanonu w całość zachwycającą. Jest to właściwie igraszka, której sobie tylko mistrz formy może pozwolić, a którą w takim miejscu uprawnić zdoła tylko natchnienie; i to nie zawiodło.

Te wszystkie blaski, a szczególnie huczny finał aktu drugiego, tak olśniły słuchacza, że podczas gdy rosną jego wymagania wobec części następujących, nerwy jego stają się mniej czule na spokojniejsze i cichsze wrażenia. Ztąd też akt trzeci mniejszem cieszył się na pierwszych przedstawieniach powodzeniem, jakkolwiek niewątpliwie posiada on wielkie piękności. Jest to uczta, słynna uczta rozstrzygająca o postanowieniach Konrada i poprzedzająca wojnę, mającą być ciosem dla zakonu. Prócz krótkich chórów rycerzy, główne w niej miejsce zajmuje śpiew solowy. Jak zwykle przy głośniejszych zebraniach i zabawach średniowiecznych zjawiają się i tu wędrowni śpiewacy, i popisują się swoją sztuką. Naprzód Włoch z kanzoną o szerokiej i energicznej melodyi, po nim Prowausalczyk z sentymentalną balladą o Kloryndzie i Rolandzie. Oba te śpiewy odgrywające rolę wtrąconych tak często do dawniejszych oper popisowych lirycznych solów, są same w sobie małemi arcydziełami, a różnica ich stylu od reszty opery, aż nadto dobrze usprawiedliwioną, tylko potrzebowałyby być odśpiewanemi koncertowo; oddane nawet dobrze, ale tylko

poprawnie, jak były we Lwowie, chybiają efektu. Pojawienie się Halbana w szatach litewskiego wajdeloty, nawraca prąd muzyki do opuszczonego na chwilę łożyska. Po przesłicznym recitatywie przechodzącym w arioso, Halban poznany przez Witolda i Konrada śpiewa pieśń będącą rodzajem parafrazy zakończenia Mickiewiczowskiej powieści wajdeloty. Uczujący przyjmują tajemnicze wystąpienie Halbana gwizdaniem i śmiechem, lecz wesołość niebawem przemienia się w niepokój. Scena pełna życia i interesu, pod względem muzycznym ma coś z charakteru oper Glucka.

Sytuacya staje się coraz dramatyczniejszą. Konrad w odpowiedzi Halbanowi śpiewa Alpuharę. Któż nie umie na pamięć tej wspaniałej ballady? W poemacie jest ona punktem kulminacyjnym, tym, około którego, ale w znacznej od niego odległości, grupują się wszystkie nasze wrażenia i reminiscencye z Konrada. Muzykę Żeleńskiego do tej ballady znalazła publiczność polska oddawna, a imponujący rysunek jej melodyi, dramatyczny jej nastrój, utkwiał mocno w pamięci naszej. Wobec tych wygórowanych oczekiwań, przyznaję, że wrażenie tego miejsca w operze nie dopisało. Wiele osób potępia zmiany dokonane w Alpuharze, żaluje że kompozytor nie zachował w całości pierwotnej jej postaci. Mnie przeciwnie zdaje się, że na tych zmianach, będących przedewszystkiem skróceniem, Alpuhara, której główne motywa melodyjne zostały tesame, nietylko nie straciła, ale owszem zyskała na sile, efekty jej spotęgowanemi zostały, tylko że we Lwowie nie była wcale śpiewaną... lecz mówioną czy nawet szeptaną. Niechby spróbowano powierzyć ją tenorowi o wielkich środkach, wielkiej sile wokalnej, wielkiej inteligencji, a wtedy zobaczymy czy nie stanie się ona jednym z najwybitniejszych momentów opery. Prawda, że genialny wykonawca i z bagateli potrafi zrobić rzecz znaczącą, ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że są kreacye potężne i wzniosłe, których słabemi środkami ani dotknąć się nie godzi. Koniec aktu tego wysoce jest zajmujący, czuć, że tu początek katastrofy tragicznej. Arcykomtur poznaje przebranego Halbana i poburza przeciw niemu rycerzy; pieśni litewskiej wrażenie na mistrzu stwierdza podejrzenia braci zakonnych, Konrad sam swem dziwnem zachowaniem zaczyna się zdra-

dzać przed badawczym okiem otoczenia. Nadmiarem trunku zmorzony usypia on, rycerze wychodzą z zarodem nieufności w sercu. Scena cała z swemi recytatywami ma niepoślednią muzykalną wartość, a kończące ją *decrecendo*, nawet *morendo*, chociaż sprzeciwia się utartym przepisom i szerszą publiczność zostawia zimną, przez sam kontrast do finałów innych aktów, bardzo korzystnie oddziałują na wykształconych muzykalnie słuchaczy.

Pełna grozy i groźby, znakomita artystycznie, chromatyzowana przegrywka, wprowadza nas w nastrój właściwy scenie sądu tajnego stanowiącej pierwszą połowę aktu ostatniego, o kolorycie ponurym, atmosferze lochu podziemnego. — Przez czas następnej zmiany dekoracyi, orkiestra wykonywa prześliczne i misternie skomponowane *intermezzo*, malujące zamieć śnieżną, przeciw której to tylko jedno miałbym do powiedzenia, że nie muzycznie, ale jako obraz stosowniejszaby może była pomiędzy aktem trzecim a czwartym, dla odmalowania klęski i odwrotu zdradzonej przez mistrza armii krzyżackiej. Tak, przygotowuje nas jedynie do krajobrazu wieczornego i zimowego, na którego tle rozgrywa się koniec opery, który muzykalnie jest chyba najpiękniejszym i najpotężniej działającym jej ustępem.

Scena przedstawia plac przed wejściem do gotyckiego kościoła, przez którego okna bije luna świec jarzących. Naprzeciw, nie zbyt daleko, samotna wieżyca z oknem zakratowanym. Gromada kobiet wiejskich śpiewających prześlicznie ułożoną litanię do Matki Boskiej wchodzi do kościoła. W tem z wieży odzywa się rzewna i przeciągła nuta arii: „Któż me westchnienia“, będąca najpoetyczniejszą i najbardziej przejmującą melodią całej opery. Po chwili, kobiety w kościele zaczynają suplikacje, w swoim rodzaju arcydzieło wytwornego a prostego zarazem układu harmonicznego, wtórują im organy, a na tle harmonij dolatujących przez otwarte drzwi świątyni, odzywa się teraz dalszy ciąg skargi pustelnicy, w ustępach przerywanych początkowego jej motywu. Majestatyczne dźwięki muzyki kościelnej, swojska nuta chóru ludowego i jęki Aldony, nietylko stanowią wytworną kombinację tonów, ale łączą się w całość poruszającą najtajniejsze struny serca słuchaczy, wywołują w ich duszy uczucia i obrazy

wzniosłości pełne, a wrażeniu do głębi przejmującemu oprzec się niepodobna. Następuje znane nam już rozwiązanie tragiczne — śmierć obojga kochanków przed podwojami kościoła, a ostatnim ich westchnieniem i przerażającemu chórowi rycerzy z areykonturem na czele wtóruje, znów misternie z nimi skombinowana, litania ludu wiejskiego, w której uroczystych dźwiękach całość znajduje podniosłe i religijnym akordem końące zakończenie.

Oto szkice ogólny, na którym poprzestaje, choć możnaby jeszcze wiele mówić o szczegółach i pojedynczych pięknych myślach, technicznych osobliwościach, efektach. Niewdzięczna to rzecz muzykę opisywać słowami. Ale co jedynie słowami da się wyrazić, to zdanie o całości, o stylu i rodzaju muzyki, o miejscu należącym się tej operze w świecie tonów.

O tem wszystkim najrozmaitsze objawiono zapatrywania. Wiele mówiono o wagnerowskich cechach muzyki do Konrada Walenroda, niektórzy cheieli już dzieło to nazwać raczej oratorium, niż operą; — inni, oburzając się na porównywanie z Wagnerem, domagali się dla twórcy jej całkiem odrębnego stanowiska; nie brakło i takich, którym talent Żeleńskiego wydał się zbyt kosmopolitycznym, jak również ich antypodów, których uderzyła w nim struna narodowa czysto polska, sprawiająca, iż można go uważać za uczeńszego tylko, a za to mniej płodnego następcę Moniuszki. W niejednym z tych tak sprzecznych zdań, jest cokolwiek prawdy, choć w każdym wiele przesady i jednostronności. Cała prawda może wyniknie dopiero z ich kombinacyj.

Żeleński przedewszystkiem jest kompozytorem całkiem oryginalnym. Nie żeby jakimś motywem, następstwem kilku tonów, nigdy nikogo nie przypominał. Dla muzyka wykształconego na wzorach, jest to rzeczą prawie niemożliwą; najwięksi mistrze: Mozart, Beethoven, Mendelssohn, nie zdołali uniknąć tego szkopułu. I nie na takich drobnostkach polega oryginalność, ale na tem, czy się je unie zastosować i użyć po swojemu, jak mistrz sztuki złotniezej kamienie, które już przedtem były oprawiane, potrafi oprawić po swojemu, i piękną z danych szczegółów stworzyć całość. Otóż u Żeleńskiego niepodobna nie widzieć oryginalności, i to wielkiej,

w całości jego utworów, w budowie, w przejściach, w zwrotach, w harmonizacji, sposobie prowadzenia głosów. Nie lubi on się powtarzać, ale wszystkie jego utwory mają jakąś wyraźną dla ucha muzycznego cechę, po której się od razu poznaje: to musi być Żeleński.

Drugą cechą naszego kompozytora: wszechstronne wykształcenie muzyczne. Nie ma środka, nie ma formy muzycznej, którąby nie władał swobodnie. Mistrz w traktowaniu głosu ludzkiego, również z każdego instrumentu umiejętnie korzysta, aby czy pojedynczo, czy zbiorowo, najświetniejsze osiągnąć efekta. Od zarzuconych dawno średniowiecznych następstw tonów, od najściślejszego kontrapunktu klasyków osmnastego wieku, aż do włoskiej szerokiej melodyi i subtelności najnowszej harmonizacji i do wagnerowskiej orkiestracji, wszystkie sposoby, fortele i zdobycze rzemiosła muzycznego ma na zawołanie.

Te dwie cechy wspólne z innymi dziełami ma także Konrad Wallenrod. Druga stała się zaś przyczyną dwóch całkiem sprzecznych w nim zjawisk: z jednej strony przebijającej skłonności do Wagneryzmu, a z drugiej właściwości wprost antywagnerowskich.

Wagnerowskimi są — prócz orkiestracji, na którą składają się świetnie efekta instrumentów blaszanych i tremola skrzypcowe w górnych rejestrach, towarzyszące czasem melodyi niżej prowadzonej, — pewne sposoby malowania tonami, sztucznego unikania kadencji naturalnych, enharmonizowania i chromatyzowania, a przedewszystkiem próby wprowadzenia tematów przewodnich (Leitmotive); jak wspomniany motyw, zapowiadający zawsze Halbana. Parę jeszcze innych takich motywów mniej dokładnie jest przeprowadzonych.

Do cech zaś przeciwnych, zaliczyłbym głównie wybitną rytmikę, frazowanie zdaniem, zamkniętymi, nieunikanie kontrapunktu, brak wstępu do uświęconych tradycją form arii, kawatiny, ballady, zatrzymanie wokalnych połączeń duetu, tercetu, kwartetu, a wreszcie miejscami włoskie prawie prowadzenie śpiewu wielkimi jasno narysowanymi melodyjami, obok Gounodowskich czasem kaprysów melodyi, z przymie-

szką jego sentymentalizmu i wyszukanej, wykwintnej harmonizacji.

A więc Konrad Wallenrod nie ma żadnego własnego stylu, prócz pewnej manieri zewnętrznej napiętnowany jest tylko eklektyzmem, efektami pożyczanemi?

Czytelniku miły! czy znasz dobrze Wiedeń? Jest tam znakomity budowniczy jeden, który od lat kilkunastu wiele pięknych postawił gmachów — może największy z dziś żyjących architektów w Niemczech całych. Nazywa się Schmidt. Właściwością jego jest, że nie trzyma się żadnego znanego stylu, i sam nowego nie wymyślił. Stylem jego jest kombinować różne style, n. p. romański lub bizantyński z gotyckim, gotycki z renesansowym. Z takiej kombinacji wynikły takie gmachy, jak n. p. kościół parafialny na przedmieściu Fünfhaus, i.... nie mniej jak ratusz wiedeński, obie budowle pomysłu poprostu genialnego, choć nie są jednolite co do stylu. Podobnemi kombinacjami posługiwały się już szczęśliwsze epoki, wczesny gotycyzm, początki odrodzenia, jakżebyśmy mieli winić o nie nasz ubogi wiek epigonów? Dla innych sztuk już dawno minęły czasy powstawania nowych stylów, i kto wie, czy jeszcze kiedy przyjdą. Muzyka młodsza od siostr swych, może się poszczycić, że za naszej pamięci miała swego reformatora, który na nowe, choć nie wiem, czy bardzo bezpieczne pełną ją tory. Cóżby dziwnego było, żeby po Wagnerze nie tak prędko nowa dla muzyki nastąpiła epoka, nowy styl się zjawiał? Cóż złego, że młodszy, a gruntownie wykształcony kompozytor, różne znajome sobie style kombinuje, trzymając się zasady: *qu'il faut prendre son bien où on le trouve*, jeżeli tylko umie z tego zrobić całość jednolitą i skończenie piękną?

Pod tym względem zdaje mi się, że opera Żeleńskiego ma wszystkie cechy budowli Schmidta, że po nad wszystkie różnice motywów i stylów góruje w niej jedność i monumentalność pomysłu. Konsekwentne przeprowadzenie tego pomysłu umożliwiła podniesiona przez kompetentniejszych odemnie jednolitość nastroju, która sędziom powierzchownym nasunęła porównanie z oratoryum, nieprzeszkadza jednak wielkiej swobodzie pod względem rytmów, sytuacji, kolorytów, wrażeń chwilowych, oraz charakterystyki osób działających.

Ale równie znakomicie przyczynia się do tej jedności piętno symfonicznej kompozycji nadane operze przez autora. Zasadza się ono na tem, że jakkolwiek część wokalna traktowana jest z całą miłością i troskliwością, w której znać twórcę tylu ślicznych pieśni; jakkolwiek pozornie przyznano głosowi ludzkiemu miejsce honorowe, to jednak *de facto* orkiestra nie została zepchniętą do stanowiska akompaniatora, niezbędnego, lecz lekceważonego tła, ale całkowitem udarowana równouprawnieniem, przez całą operę ze stroną wokalną szlachetnie prowadzi współzawodnictwo, a nierzadko wobec niej nawet dobija się pierwszorzędnej roli.

I to jest co niejednemu, więcej, niż drobne szczegóły i naśladownictwa, może nasuwa porównanie z Wagnerem, jakkolwiek Wagner idzie nierównie dalej i głosy ludzkie spycha do znaczenia prostych instrumentów orkiestrowych, nie oszczędzając śpiewakom wysiłku nadludzkiego i ruiny głosu, a często i zdrowia. Lecz zasadę symfoniczności w operze nie Wagner wymyślił. Wprowadził ją już Beethoven we *Fidelium*, a po nim inni z powodzeniem próbowali. Jeżeliby chodziło o genealogię artystyczną twórcy Konrada, to może słuszniej możnaby ród jego wyprowadzić z domu twórcy *Ifigenii*, *Orfeusza* i *Armidy*, który styl drar atyczny wytworzył i operze właściwą wskazał drogę, pojawszy ją jako ścisłą, a wierną ilustrację libretta, podczas gdy przedtem, a we *Włoszech* i później jeszcze, uważano ją za dowolną kombinację melodyj, dla których słowa były tylko czczym pozorem. Między *Gluckiem* a *Żeleńskim* nie upatruję podobieństwa, tem mniej reminiscencyj; ale są pewne cechy wspólne, ślady filiacji, przy których ocenieniu dobrze uwzględnić trzeba odległość lat stu przeszło pomiędzy epoką tamtą a naszą, nie mówiąc już o wszelkich ilościowych i jakościowych różnicach indywidualnych. A cechami temi: dobitna rytmiczność, zamiłowanie form ścisłych, klasycznych, umiejętność prowadzenia partii wokalnej i wytworność w harmonizowaniu recitativów, które są jedną z najpiękniejszych i najsubtelniejszych stron w operze *Żeleńskiego*.

To sięgnięcie w przeszłość, aby tam założyć posady budynku, mającego wszelkie zalety teraźniejszej epoki, każe nam wierzyć, iż gmach jest mocno ugruntowany i trwalsze

od wielu współczesnych będzie miał znaczenie. Zużytkowanie przy jego budowie ostatnich nabytków i wyników, do jakich doszła sztuka Zachodu, Niemiec, Włoch i Francji, słowem, postawienie kompozycji na wysokości dzisiejszej muzyki, zdaje się zapewniać operze przystęp do scen stolic i centrów cywilizacji, oraz uznanie kosmopolitycznego świata artystycznego, czego jej szczerze życzymy wszyscy. We ągnicie zaś i materiału swojskiego, melodyj i tonacyj ludowych, i rytmów słowiańskich, stanowi rękojmię, że dla nas Konrad Wallenrod będzie i pozostanie operą polską. Dość jasny i przystępny, aby przemawiał do kół najszerszych, każdemu był zrozumiałym, jest znów tak głębokim i nawskrós wytwornym, że zdobyć sobie powinien dobre przyjęcie wśród najwybredniejszych warstw świata muzycznego, a przez to muzyce polskiej wywalczyć szacunek i powodzenie zagranicą. Wiadomo wprawdzie, że to nie jest łatwem, że zwłaszcza dziś, Polakowi i polskiemu dziełu nie szukać sympatycznego przyjęcia w świecie, ba, nawet nie szukać bezstronnego sądu. Wielkie talenta i tę przebić mogą zaporę — a jeżeli na scenach Berlina, Wiednia, Lipska, utrzymują się takie opery jak n. p. Królowa Saby Goldmarka, to nie uczucie sprawiedliwości, ale już proste względy kasowe o sto procent silniej powinny przemawiać za wprowadzeniem i utrzymaniem Konrada Wallenroda, którego grzech pierworodny, że jest dziełem muzyka Polaka osnutem na polskim poemacie, sowitemi i istotnemi okupiony jest zaletami.

Nie chcę twierdzić, aby dziełu temu już nie a nie zarzucić nie dało się. Krytyka specjalna wytknęła pewne drobne niedoskonałości w szczegółach, głównie pewne uchybienia technicznym wymaganiom sceny. Nie mając zamiaru ich tu podnosić, nie widzę znów bynajmniej potrzeby zatajać ich istnienia. Są one nieodłączne od każdej próby na nowem polu działania, a wiele z nich sam kompozytor już usunął po pierwszym przedstawieniu.

Mimo nich, z tej pierwszej opery wolno wnosić, że Żeleński wstąpił na grunt swemu uzdolnieniu bardzo właściwy, a tylko pragnąć wypada gorąco, aby na tej drodze jaknajprędzej dalsze stawiał kroki. Nawet przy tak średnim jak lwowskie wykonaniu, powodzenie opery było ogromne, zupeł-

ne, niczem niezamącone. Oby zachęciło kompozytora do szukania dalszych, daj Boże, tryumfów, które niewątpliwie zbudzą też wiele uspiomych talentów w narodzie naszym i silnie pchną naprzód muzykę polską.

W tem przekonaniu witamy w imieniu społeczeństwa polskiego radośnie nowe, wielkie, niepospolicie piękne dzieło sztuki polskiej.

Stanisław Tomkowicz.

Kronika literacka.

— *Święty Norbert i jego zakon*. Początki Norbertańskich klasztorów w cyrkaryi Polskiej i nieco z ich dziejów. Napisał ks. Władysław Knapiński. (Warszawa, 1885, str. 226). — Encyklopedia kościelna ks. Nowodworskiego nie tylko zapewniła sobie doborem sumiennych artykułów zasłużoną wziętość u należących do stanu duchownego czytelników, ale stała się niezbędną dla wszystkich dziejami Polski zajmujących się badaczów. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza ostatnich kilku tomów, które wymownie świadczą, jak pilnie śledzą współpracownicy Encyklopedyi za postępem z takim u nas obecnie zamilowaniem uprawianych nauk historycznych. Szczególnie zaś świetnie zapowiada się tom XVI, z którego ukazała się w ubiegłym miesiącu, jako odbitka, monografia ks. W. Knapińskiego o św. Norbercie i Norbertańskich klasztorach.

Autor znany nam już jest z dwóch cennych prac (Andrzej Frycz Modrzewski pisarz XVI w., jako teolog; 1881. — Kto jest autorem dziełka o Naśladowaniu Chrystusa; 1883.), przez krytykę przychylnie osądzonych, i dlatego braliśmy ostatnią jego książkę do ręki z przekonaniem, że nie będzie ona mniejszej od poprzednich wartości. Przyznajemy chętnie, że zależało nam nie tyle na pierwszej części pracy ks. Knapińskiego, ile na drugiej, przedstawiającej dzieje rozprzestrzenienia się zakonu Norbertańskiego w Polsce. Napisać historję jednego klasztoru, jest już rzeczą częstokroć bardzo trudną, nawet jeżeli można z jego archiwum dowolnie korzystać; — o ile więcej gromadzi się trudności, gdy przedmiotem przedstawienia jest cały szereg dokonanych w pewnym kraju fundacyi, gdy dochowała się drobna tylko cząstka przywilejów klasztornych, gdy zmuszonym się jest korzystać z błędnych nieraz i niedostatecznych wydań, a o wiele dzieł nie znajdujących się w bibliotekach krajowych, z wielką, często daremną, usilnością wypadnie się starać. W takim był położeniu ks. Knapiński, a mimo tego trzeba przyznać, że wywiązał

się z postawionego sobie zadania bardzo chlubnie i wzbogacił naszą literaturę historyczną monografią, w której uderza nie tylko odczytanie i erudycya Szanownego autora, ale zarazem prawdziwy zmysł krytyczny i dokładne zapoznanie się z ogłoszonym dotychczas w kodeksach dyplomatycznych materyałem.

Pierwszych stron 31 poświęconych jest św. Norbertowi. Nie poprzestaje w nich autor na korzystaniu z prac swych poprzedników, ale uciekając się zawsze bezpośrednio do źródeł, daje nam samodzielne opracowanie życia św. Norberta, który z powodu swego stosunku do Słowian, nie jest i dla nas osobistością obojętną. Na str. 33—144 mieszczą się ogólne dzieje Norbertanów, przytome nie pomija autor i Austro-Węgier, a ostatnich stron 62 dotyczy wyłącznie klasztorów polskich.

Ponieważ wywody ks. Knapińskiego opierają się na źródłowej podstawie i poruszają po raz pierwszy w sposób ściśle naukowy tak ważną kwestyę, jak fundacye kilkunastu, po większej części bardzo dawnych, klasztorów, przeto niepodobniestwem jest streścić w niewielu słowach wyniki jego badań. Wystarczy zaznaczyć, że chociażby po możliwem w przyszłości ogłoszeniu nieznanych Szan. autorowi dokumentów, wieleby z jego do klasztorów polskich odnoszących się domysłów lub twierdzeń uleż mogło zmianie, to nie przestanie monografia o św. Norbertcie i Norbertanach być mimo tego cennym dla historyka nabytkiem, z powodu umiejętnego opracowania i tej części, która przyczynia się do poznania już nie tylko ściśle z historią Polską złączonego przedmiotu, ale daje nam wyobrażenie o ogólnem w dziejach Europy znaczeniu św. Norberta i jego zakonu. Jeżeli co się tyczy innych zakonów, np. tak w naszym kraju licznie rozsielonych Cystersów, zmuszeni jesteśmy do dnia dzisiejszego korzystać z francuskiej i niemieckiej literatury, to o Norbertanach wykazać się obecnie możemy oryginalną, po polsku napisaną pracą, nie ustępującą co do wartości obcym, temu samemu przedmiotowi poświęconym dziełom. Szczerzebyśmy byli radzi, gdyby Szan. autor zechciał nie porzucać pola, na którym się dziejom polskim prawdziwie zasłużył, i obdarował nas w najbliższych latach równie cennymi pracami o innych w Polsce, bardziej niżeli Norbertanie, rozgałęzionych i wpływowych zakonach. B. U.

— *Żywot Czcigodnej Matki Marydaleny Zofii Barat*, Założycielki Towarzystwa Sióstr Najśw. Serca Jezusowego, przez X. Stanisława Załęskiego T. J. (Kraków — 1885, nakł. Ancyzyca w Scc, str. 450). — »W Kościele Bożym nic się nie dzieje od przy-padku lub według widzimisię ludzkiego.« W tych słowach przystępuje autor wyżej wymienionej książki, do krótko streszczonego pięknego poglądu na tworzące się z wiekami i wzrastające zawsze wedle potrzeb Kościoła i ludzkości, zakony. Przesuwają się przed oczami czytelnika zastępy Benedyktynów karczujących lasy, uczących rolnictwa zaledwo co przyjętych na łono Kościoła barba-

rzyńców, budujących wie i miasta. Podziwia się zakony rycerskie z czasów wojen krzyżowych, zakonników wykupujących, kosztem nieraz własnej wolności, chrześcian w muzulmańskim jęczących jasyrze. Praca, walka, poświęcenie, wedle czasów i okoliczności. Dochodzimy do wieku XIII: ludzkość tonie w zbytkach, chciwości, zepsuciu; zjawia się św. Franciszek i legiony mnichów dających żywy przykład ubóstwa, pokory, czystości; ku poskromieniu zaś pychy kaznodziejski zakon św. Dominika resztki poganizmu kruszy. »Świat chrześcijański wchodzi w złotą dobę epoki średniowiecznej, którą nie zawsze zrozumieć i należyście ocenić umie nasze chłodne, zimne, wrzekomo bardzo mądre, a w gruncie wracające do obłędu pogaństwa pokolenie.« Zwiększają się odkrycia, z niemi i żądza wiedzy; umysły zwracają się ku rzymskim i greckim źródłom, lecz urokiem formy zaślepiona, lgnąc do ideałów świata pogańskiego, traci z wolna epoka Odrodzenia znamię społeczeństwa chrześcijańskiego. Nietylko w mądrości, lecz i w obyczajach naśladuje starożytnych i wpada w zmysłowość bez granic. Islamizm tymczasem coraz się bardziej w Europie rozwielmożnia, a w duszy Lutra świat zatruc mająca herezya już kielkuje. Bóg zastępów, nowych do walki pasuje rycerzów. Powstaje zakon Jezuitów: słowem, piórem, głęboką, wszechstronną nauką i bezprzykładną gorliwością porywają dusze dobrej wiary, podczas gdy krew Missionarzy, z ich łona do dzikich ludów wysłanych, strumieniami płynie. Zwolenników znajdują dużo, nieskończenie więcej nieprzyjaciół; ztąd ciągle niemal ściga ich prześladowanie. Społeczeństwo ruszyło się do czynu; władza kościelna do dawnej wraca świętości; wzrastają zreformowane i nowo powstałe zakony; w tysiącach dusz tleje na nowo płomień dawnej wiary. Lecz Kościół iście wojujący nigdy długiego nie używa spoczynku. Wszechwładna, niesumienna polityka rządów, zepsucie obyczajów u dworu Ludwika XV, skwapliwie przez inne dwory naśladowane, pojawienie się sekt wolno-mularzy, przewrotność encyklopedystów francuzkich, wszystko razem ściśle drogę rewolucyi. Główny nieprzyjaciół: Kościół. Od niego więc dzieło zniszczenia się zaczyna, nie zatrzymując się, aż i reszty mordem i pożogą nie zniweczy do szczytu. Mała garstka dusz odwagą i pobożnością przejętych, istna arka Noego, wypływa wśród wzburzonych fal nowego, a krwawego tym razem potopu. Z onej garstki od gilotyny uratowanych księży, biednych kobiet, niewinnych dzievic, wyrośnie niebawem potęga; tam znajdują się balsamy na opatrywanie ran społeczeństwa; tam kryje się w cichości zasób wiary, nauki, poświęcenia. Pomimo wojen Napoleońskich i bezbożnej walki z Kościołem, dzieło Boże ze zdumiewającą postępuje szybkością. Bullą Piusa VII przywrócony zakon Jezuitów (1814) obejmuje dawne swe kolegia i Missionarzy do pogan wyprawia. Inne klasztory z równą gorliwością na zgliszczach tyłu ruin szerzą wiare, naukę, miłość bliźniego. — Na drodze poświęcenia kobieta

nie bywa ostatnią; znajdują więc chorzy, ranni, ubodzy, dzieci, zblakani wszelkiego rodzaju opiekę dla duszy i ciała. Na tej, tylą krwią niewinnych ofiar użyźnionej ziemi, wyrastają silne jak dęby, a jak kwiaty wonne, domy modlitwy i pracy.

Magdalena Zofia Barat wychowuje się wśród złowrogich grzmotów zapowiadających rewolucyą; brat jej, X. Ludwik Barat, człowiek niezwykłego rozumu i wszechstronnej nauki, zgaduje w młodziutkiej siostrze apostołską duszę i w tajonym zamiarze przyszłości, rozwija umysł jej nad zwykły poziom kobiecej wiedzy. Przygotowuje fundamentalny kamień przyszłego żeńskiego wychowania. Nieograniczona w zaufaniu do Boga, nieugięta w wypełnianiu raz przyjętych obowiązków, taką była Magdalena Barat w najgorszych chwilach teroryzmu, taką być miała w ciągu pracowitego, długiego żywota Matka Jeneralna. Czy na czasie było założenie Zgromadzenia *Sióstr Serca Jezusowego*, dowodzi wymownie rezultat: w przeciągu niespełna lat 50, staje domów 111, przeszło 5,000 dziewic wstępuje w szranki tej Boskiej falangi i pensyonaty, oraz szkoły bezpłatne dla ubogich dzieci, kwitną tak dobrze w Europie, jak w Ameryce, w Afryce, w Australii. Ciekawy, lecz zbyt długi do streszczenia byłby opis walk, które Zgromadzeniu *staczać* przychodzi to z rządami, to z ludnością, to z osobistemi wrogami. Nieraz o chłodzie i głodzie czekały zakonnice zmilowania Bożego. Jeżeli »Niebo osiąga się przemocą«, to śmiało powiedzieć można, że Matka Barat przemocą zdobywała umysły i serca. »*Fortiter in re, suaviter in modo*«, to było tajemnicą jej siły. Prowincyą po prowincyi, miasto po mieście, kraj po kraju upominają się o założenie domu; sam papież Grzegorz XVI żąda, aby i w Rzymie osiadły Siostry Serca Jezusowego, i ofiaruje im gmach Trinità dei Monti. Wszędzie M. Barat sama jeździ, trudności załatwia, przelożoną mianuje, karność zaprowadza i jedzie dalej, tęsamą pracę w innem miejscu lub innym kraju prowadzić, zwiedzając po drodze dawniej założone domy, co przy ówczesnym sposobie podróżowania dyliżansem, niezmiernie było uciążliwem. Przyszła kolej i na Polskę. Tę część książki, jako najbardziej nas obchodzącą, warto obszerniej omówić.

Po religijnych prześladowaniach Katarzyny II, Fryderyka Wilhelma III i Józefa II, Kościół smutne przedstawiał ruiny. W Galicyi zwłaszcza »wyziębiający serca Józefinizm« doprowadził był umysły do najsmutniejszego stanu. Polityczno-religijny system z lat 1773—1785 tak głębokie był zapuścił korzenie, że i Kościół skrzepowany władzy swej nad wiernymi rozprostrzeć nie mógł, i duchowieństwo zbyt dla rządu powolne urok swój straciło, odstępując od praktyk religijnych polskie społeczeństwo. Pierwsi Jezuitci (choćby za to jedno winna im Galicya wdzięczność nie-mała) zdobyli się na odwagę, oświadczać Cesarzowi Franciszkowi I, że do ustaw rządowych o zakonach stosować się nie mogą, i że jeśli im nie zostawią swobody znoszenia się z jenera-

lem swoim, Austryą opuszczają. Po długim wahaniu, Cesarz ustąpił. Był to pierwszy cios zadany Józefinizmowi. Ówczesny gubernator Galicji, Arcyksiążę Ferdynand d'Este, sprowadził Jezuitów do Lwowa i opieką swą otoczył. Był między nimi O. Rinn, Niemiec wprawdzie, ale poczciwy Niemiec, nie *ein Polenfresser*, który potrafił sobie zjednać życzliwość Polaków. Gdy umierająca pani Antoniewiczowa na jego ręce złożyła pewną sumę na wyposażenie panienek chcących wstąpić do zakonu, powziął myśl utworzenia domu wychowawczego żeńskiego, którego brak srogo czuć się dawał we Lwowie. Zetknął się z powracającym z Rzymu hr. Dariuszem Poniatowskim, który mu cuda rozpowiadał o M. Barat i jej Zgromadzeniu. Zapewniwszy sobie życzliwą opiekę Arcybiskupa Lwowskiego, udał się O. Rinn do Arcyksięcia. Tam, prócz opieki otrzymał jeszcze 20,000 reńskich na zakupno domu. Przykład ten pociągnął cały szereg datków za sobą. Były pieniądze, znalazł się dom, a w Rzymie znalazł się Jezuita Białorusin, O. Rozawen, który sprawę wziął do serca i przeprowadził. Na wiosnę 1843 r. przyjechały trzy siostry, nieco później przyjechała przełożona nowego domu, Matka de la Croix, a w jesieni otworzono pensyonat. Lecz złowrogie zbliżały się czasy: spiski, szpiegostwa, rewizye były na porządku dziennym. Przyszły rzezie, których Arcyksiążę nie umiawszy stłumić 40,000 wojskiem, musiał Galicyą opuścić. Na biedne sieroty po pomordowanych ofiaruje hrabina Grocholska 12,000 zlr., Siostry Serca Jezusowego odstępują część swego domu i opieką otaczają niewinne ofiary. Otrzymałszy od nowego gubernatora hr. Stadiona uwiadomienie, że pensyonat urządzony być musi według przepisów państwowych, jedzie Przełożona co tehu do Wiednia, gdzie po długich korowodach otrzymuje zwłokę, lecz zanim zdołała z Wiednia wyjechać, wybucha rewolucya marcowa 1848 r. Biednym zakonnicom tłuką szyby i wyprawiają kocią muzykę. Wraca M. de la Croix do Lwowa, udaje się znów do hr. Stadiona; ten na wszystkie nalegania niezłomnie odpowiada: *»Madame, nous ne voulons pas d'éducatons religieuses...«*

Od tego czasu i Stadion ustąpił, i system rządowy się zmienił, i rewolucyi było kilka, ale Zgromadzenie Sercanek stoi, wznaga się i rozrasta. Zarzucają siostrzem, że nauk udzielają zakonnicze cudzoziemki, lecz jak długo liczba polskich sióstr się nie zwiększy, obce zakonnice uczyć muszą; tak jak zresztą we wszystkich niemal prywatnych domach, gdzie uczą obce guwernantki, bardzo wątpliwej czasem wartości.

Przejdźmy z Galicji do Wielkopolski. Instalowane za wyrażnem upoważnieniem pruskiego rządu, Siostry Serca Jezusowego z datków rodzin Wielkopolskich nabywają dom i otwierają pensyonat, do którego odrazu z całej Polski przybywają uczennice. Chcąc sobie zaskarbić łaski rządu, M. Barat przysyła przełożoną Niemkę, zakonnice zaś składają egzamina nauczycielskie od nich żądane. Szczęście dziwnie domowi sprzyja, panienek tak sporo

przybywa, że nowy, ogromny urządzają dom na Wildzie. Arcybiskup Ledóchowski najgorliwszą opieką i szczerą życzliwością dom otacza. X. Jan Koźmian mianowany kapelanem, światłą nauką zakonnicom w wychowaniu panienek dopomaga. I cóż się dziś zostało z tej całej pomysłowości? domy przeszły w obce ręce, a zakonnice wygnane, za granicą szukać musiały schronienia. Lecz Bóg snąc nie chciał, żeby tyle polskiej pracy poszło na zmarnowanie. Urządził się więc dom pod Pragę, z polską przełożoną M. Józefą Chłapowską (córka jenerala Dezyderego z Turwi), z polskimi elewkami, z polskiem nabożeństwem, i dziś liczy w Czechach panienek niemal tyle, ile ich było w Poznaniu.

Ciasne ramy przeznaczone na recenzją nie pozwalają nam jak już tylko dodać, że Matka Barat, dożywszy lat 86, zasnęła w Bogu, zostawiając po sobie cześć, jaką się tylko istotom wybranym oddaje. Biskup Parisis kładł życie jej na równi z żywotami św. Dominika, Franciszka z Assyżu i św. Teresy. Takie jest snąc i zdanie Ojca św., kiedy zezwolił, aby kongregacya św. obrzędów zajęła się sprawą beatyfikacyi założycielki Sióstr Serca Jezusowego.

Anna Lisicka.

— *Monumenta Epigraphica Cracoviensia medii aevi, studio Josephi Lepkowskiego, fasciculus primus. (Napisy z zabytków krakowskich średniowieczne, zebrane przez J. Lepkowskiego, zeszyt I, tablic 25). (Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1885).* — Szczerze przyklasnąć musimy temu przedsięwzięciu Komisji archeologicznej Akademii Umiejętności. Zbieranie starych napisów na nagrobkach, obrazach, naczyniach kościelnych i t. p., jest mozolną ale nader pożyteczną pracą, która w historycznych naukach znajduje zastosowanie i przynosi praktyczne korzyści. U nas prawie odłogiem leży; przystało też, jeżeli komu, to profesorowi archeologii i konserwatorowi krajowych zabytków, podjąć ją i rozpocząć. Ten jej zadatek, który mamy w ręku, przynosi z wielu miar zaszczyt swojemu autorowi i wydawcy. Wybór przedmiotów i napisów odwzorowanych trafny, wykonanie staranne, przedmioty same, mianowicie nagrobkowe obrazy z napisami, bardzo zajmujące: Nasuwa się tylko pytanie, czy niektóre z nich nie przekraczają daleko tej granicy wieków średnich, którą naznacza tytuł, skoro dochodzą do połowy prawie XVI wieku. Na pierwszy rzut oka uderza brak wszelkiej przedmowy lub wstępu, i brak spisu rzeczy na końcu; ale jeden jak drugi tłómaczy się tem, że to pierwszy zeszyt dopiero, a co do niego wygotowaniem być nie mogło, co po części z natury rzeczy na samym końcu układać się lub pisać musi, to nam przyniosą zeszyty następne. Uzupełnienia tego czekamy z wszelką ufnością i pewnością. Na co zaradzić trudniej, to na brak paginacyi: tablice nie mają swoich liczb, a to i zupełnej staranności wydania szkodzi, i utrzymanie, przechowanie w całości tego zeszytu, dopilnowanie jego zupełności, posiadaczom utrudnia. S. T.

— Antoni Mazanowski: *Adam Mickiewicz od roku 1829—1832. Życie, Rozwój umysłowy, Geneza dzieł.* (Odbitka z *Przewodnika naukowego i literackiego.* — We Lwowie, nakładem autora, 1885). — Nowa oznaka, że zaczęła się już epoka krytycznych badań i studyów nad Mickiewiczem. Autor niniejszego bierze sobie za zadanie właśnie, rzeklibyśmy za punkt honoru, patrzeć na Mickiewicza tak, jak żeby go Mickiewicz nie nie obchodził, jak żeby sam był cudzoziemcem, jak patrzy profesor anatomii na zwłoki, których dyssekcycę ma robić. Staranie uwieńczone skutkiem: autor się trzyma, i przedmiotowi porywać się i umosić nie daje. Założył sobie zrobić dokładny inwentarz: spisać, co Mickiewicz miał a czego mu brakło, kiedy bawił w Petersburgu; z jakim funduszem zdolności, wiadomości i doświadczeń puszczał się w swoją podróż; co mu przybyło lub co się w nim zmienić mogło w ciągu tej podróży a zwłaszcza podczas długiego i w historii jego ważnego pobytu w Rzymie; co podczas wojny roku 1831 i pobytu w Wielkopolsce, co wreszcie w Dreźnie, tym pierwszym przytułku Mickiewicza emigranta. Inwentarz może nie jest zupełnie dokładny, ten lub ów szczegół może być bądź opuszczonym, bądź nie dość trafnie oszacowanym, ale ogółem zdaje się być ścisłym i porządnie zrobionym. Wypadki, stosunki z osobami, należyście po kolei wyliczone i najczęściej trafnie, trzeźwo pojęte. Wszystko należyście, skrupulatnie opatrzone i poparte przypisami. Ciekawe jest porównanie Trzeciej Części *Dziadów* z broszurą Onacewicza: *Nowosilcow w Wilnie*, dowodzące, jak broszura na poemat wpłynęła. Jest to, jak wszelkie *visum repertum*, suche i martwe, ale jest pożyteczne. Znajdzie się kiedyś taki, co z poetycznych legend dawniejszych dobędzie szczerą prawdę, w dzisiejsze inwentarze i chemiczne rozbiory tchnie duszę, i napisze żywot, zrozumie i odmaluje postać Mickiewicza. Takiemu te przygotowawcze prace będą bardzo pomocne, i w niejednym go może na dobrą drogę naprowadzą. S. T.

— Stefania Chłędowska: *Novelle i Szkice literackie.* Tomów 2. (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt. — Warszawa, Gebethner i Wolff, 1885). — Przykro zobaczyć i wziąć do ręki te ładne, ozdobnie wydane książeczki. Ten ich miły pozór, to staranie, żeby wyglądały dobrze, to widocznie dla miłości autorki, w myśli, że jej byłoby przyjemnie widzieć swoje pisma w tej formie powabnej; a tymczasem ona ich nie zobaczy, książki zaś są wszystkim, co dziś zostało po osobie pełnej rozumu, serea i wdzięku, wszystkim prócz wspomnienia, które zostało tym, co ją znali i wrażenie jej wartości i uroku wiernie zachować muszą.

Przez lat kilka czytywało się w różnych pismach polskich małe powiastki, opisy lub sprawozdania, podpisane literami Z. D. Jedni wiedzieli, drudzy się domyślali, ale nikt głośno nazwiska autorki nie wymieniał. Zgadzano się tylko dość powszechnie na to, że w tym rodzaju nikt dziś u nas lepiej, mało kto równie

dobrze pisać; że rozumu, wykształcenia, dobrego smaku, delikatnych i oryginalnych spostrzeżeń, ładnego stylu, czyli przymiotów koniecznych dla feuilletonisty, rzadko znaleźć w tej mierze i w tem szczęśliwym połączeniu, co u dwóch tajemniczych anonimów, krzyjących się pod inicjałami F. lub N. i Z. D.

Teraz na nieszczęście jedna z tych masek spadła, a na pośmiertnem wydaniu wypisane jest imię pani Stefanii Chłędowskiej. Miała ona wiele talentu i śmierć jej jest niezaprzeczoną dla literatury szkoda; tylko że trudno jest o literaturze myśleć i jej straty obliczać, kiedy się ma do żałowania coś lepszego jak talent: osobę młodą i szczęśliwą, pełną życia i wdzięku, dobrą i szlachetną. Mniejsza o jej pisma, większa szkoda jej samej.

Bardzo ładna przedmowa pana Władysława Łozińskiego, znajomym doskonale przypomina, nieznanym pozwala odgadnąć rodzaj usposobienia i umysłu pani Chłędowskiej.

W jednej ze swoich powiastek kreśli ona z wielkim humorem szkic literatki: „Przyznaję, że niesłuszny mamy przesąd do kobiet piszących, ale wolno mieć wstręt do chrabąszczy, do kół, wolno mnie mieć wstręt do literatek. Wprawdzie dziś typ już się nieco ucywilizował, ale..... napróżno djabeł się nawrócił, zawsze rożek szatański wyjrzy gdzieś przez kaptur mnicha..... jej towarzystwo było trochę męczące, jak czytanie ciężko napisanej książki. Nie bawiła się, aby się bawić, ale szukała zawsze celu: w teatrze celem jej było wykształcenie umysłu, na wieczorne poznanie człowieka. Komponowała wieczory, jak się komponuje ciężką symfonię; dobierała gości, jak się dobiera rymy do ody lub sonetu..... Wszystko co robiła, przypominało coś czytanego: literatura mściła się na niej“.

Do tego wcale nieszczęściem trafnego portretu, nikt nie był mniej podobnym jak jego autorka, pani Chłędowska, i to właśnie było jej wdziękiem. Czuć, myśleć, dużo wiedzieć, dobrze pisać, a nadewszystko mieć w duszy ideał wysoki i szlachetne aspiracye, to wszystko umiała nie gorzej od innych, a umiała to wszystko tak robić, jak żeby sama o tem nie wiedziała.

Miała ona dużo pociągu, zamilowania i zdolności do pisania, a można było znać ją długo i nie domyśleć się, że pisać. Miała tyle wesołości i humoru, że z pism dopiero widzi się, jak dobrze znała, jak żywo dzieliła różne ludzkie smutki. Umiała śmiać się szczerze i przyjemnie żartować, a czuń głęboko i myśleć poważnie. Umiała wiele wiedzieć, śmiało a nieraz smutno zdawać sobie sprawę ze zjawisk i zagadnień życia, umiała wreszcie pisać, a nie być zarozumiałą, ani pedantką, nie mówić o swojej misji, nie torować nowych dróg przed ludzkością, nie uważać się ani za Muzę ani za Pythię, ani za kaznodzieję, ani za filozofa. Talentu, rozumu i nauki, nie miała mniej od wielu auterek chodzących na koturnach (lub na szrudlaeh), siadających na wieszczym trójnogu, przemawiających do świata z rusztowa-

nia (nie zbyt pewnie zbudowanego) różnych filozoficznych i społecznych systemów. Nie miała pretensyi rozcinać swym piórem gordyjskich węzłów, dostrzegała tylko trafnie i subtelnie, a wskazywała ze współczuciem różne zawile i bolesne psychologiczne i nawet społeczne fenomena i stosunki; złemu patrzyła w oczy z odwagą i trzeźwo, jak żeby była mężczyzną i nerwów nie miała, ale jak na prawdziwą, na dobrą kobietę przystało „miękką rękę składała na ciele chorującym“, a do wszystkich zalet swego serca i umysłu łączyła najrzadszą może u piszących (mężczyzn nawet, a cóż dopiero pań) prostotę. — Jej sposób pisania lekki, swobodny, dowcipny, odznaczał się (jeżeli się tak wyrazić wolno) zwłaszcza kolorytem. Umysł ciekawy i cheiwy wiadomości, a smak bardzo wykwintny i trafny sprawiały, że jej zdanie, jej opis, doskonale dawały poznać czy książkę, czy nową sztukę, czy wreszcie jakąś dążność, jakiś zwrot w literaturze czy w życiu. Fantazya była żywa, więcej może wrażliwa niż czynna, obserwacya bystra, zdolność widzenia i oddania rzeczy w prawdziwym a jednak poetycznym świetle, bardzo rzetelna; dlatego jej opisy (zwłaszcza natury, miejsc, scen przypadkowo napotkanych) takie żywe. Dlatego polem, na którym jej talent jaśniał najbardziej, było opowiadanie lub sprawozdanie. W piszącej armii ona była stworzoną do służenia w tej broni, której wielkim generałem u nas był Lucyan Siemieński. W jej powiastkach (wszystkie są małe) znać, jeżeli się nie mylimy, duży postęp, od najpierwszych (których w tem wydaniu nie spotykamy) do późniejszych; a choć w rozmiarach, w budowie, w sposobie przedstawienia, znać całą współczesną europejską (a nawet może amerykańską) szkołę, nie znać nigdy wzoru ani mistrza. Każdy powie odrazu, że to powiastki w tym dzisiejszym rodzaju, złożonym z humoru, rzetelności i realizmu, ale nikt nie wskaże naśladowania, czy to Sienkiewicza, Bret-Heartha, czy Ouida. Podobnych nieraz stosunków i kwestyi dotyczą te powiastki, i także smutno, ale na swój sposób. Nie ma w nich tego smutku bez rady i nadziei, jaki się zdarza w niektórych powiastkach Sienkiewicza; nie ma tego umyślnego i sztucznego naciągania sytuacji, którego zwykle potrzebuje Ouida, żeby wywołać swoje rozrzucające efekta. Smutne a czasem przykre, bo odnoszące się do bolesnych stosunków lub przymusów społecznego lub towarzyskiego życia kobiety, niekiedy do pokus, na jakie kobieta jest wystawioną, powiastki te nie są wszystkie dla dziewcząt pisane, ale nie są chorobliwe, mają pewny i silny grunt moralny pod sobą. Dziwi w nich to jedno, że prawie zawsze takie smutne; zkąd? u osoby tak młodej, tak pełnej życia i wesołości? Dziś rozumie się ten smutek, a przynajmniej zgaduje się w nim przeczucie, że to życie tak bujne i obiecujące miało być tak krótkiem.

Spodziewamy się, że po powieściach ukażą się — bodaj

czy nie ładniejsze od nich — szkice literackie, które już sam tytuł zapowiada. S. T.

— Józef Bliziński: *Nowe humoreski*. (Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1885). — Drobne opitki prac większych, w chwili wesołego usposobienia szkicowane obrazki drobnych komicznych wypadków, kreslone z tym humorem szczerym i miłym, który znany z komedyi pana Blizińskiego. Zdarzenia małe ale zabawne, sposób opowiadania zabawny także, prosty, za conceptami nie goni, humoru ma w sobie dużo. Każdy z przyjemnością przeczyta sześć czy siedem powiastek, których główną cechą i wdziękiem jest to, że są pogodnie i wesołe. Tak rzadko dziś o ten przymiot, o ten rodzaj usposobienia i wdzięku. Zalecamy zwłaszcza historycę *Pierwszego fraka* i przygodę tego pana, co pomagał zakochanemu ubogiemu młodzieńcowi do wykradzenia córki sąsiada, a wykradł na prawdę swoją własną siostrzenicę i wychowankę. S. T.

— Dzieła Jana Lama: *Wielki świat Capowiec. Koroniarz w Galicyi*. (Lwów, w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1885). — Przed paru laty mieliśmy sposobność wyjawienia naszego zdania o powieściach autora, którego właściwem polem i najsilniejszą bronią jest dowiepny feuilleton. Dziś tem bardziej powtarzać się nie widzimy potrzeby, że nie nową rzecz mamy przed sobą, tylko dawno znanej nowe wydanie. Powiemy więc tylko, że je witamy z przyjemnością, jak wszystko, co nam pozwala i pomaga nie zapominać o panu Sarafanowiczu i Nefellicze, o pani Preliczkowej z tumakowym kołnierzem, nie rozłączać się nigdy z wielkim Preliczkiem. Żał nam tylko, że występują pod innym tytułem. Kochaliśmy *Pannę Emilię* i do jej nowego nazwiska przywyknąć nie umiemy; *Wielki świat Capowiec* wydaje nam się obcym i obojętnym. Ale mniejsza o tytuł, kiedy zostaje ten sam „widok postaci kochanych“. Jednak, po latach wielu, i w formie książki, robi ta powieść wrażenie cołkowitek inne, niż kiedyś w odcinkach gazety. Figury te same, nie zestarzały się i nie zbladły; ale dodatki, wycieczki, concepta, przytyki do rzeczy wówczas bieżących i znanych, te zwiędły. Jedne straciły znaczenie i są już trudne do zrozumienia; drugie w pobieżnem czytaniu uszły uwagi, a w książce rażą jako niesprawiedliwe, przez to niemiłe. Przyzwyczajenia dziennikarza i kronikarza zaszkodziły znacznie pisarzowi i jego powieści. Ładna to rzecz dowiep, ale różnica między tym trwałym, głębokim, który się odnosi do fenomenów i prawd ogólnych, a tym przemijającym jednodniowym, który chwilowej tendencyi lub złości dogadza, chwilowemu uprzedzeniu schlebia, i osoby szarpie, jest wielka. W pierwszej chwili ten ostatni wydaje się tak dobrym, jak tamten; po jakimś czasie wędnie, usycha, staje się niczem lub czemś nieprzyjemnem. W humorystycznym piśmie wygląda doskonale; w książce staje się skazą. A to piszących powinno

prowadzić do wniosku, że z natury swojej taki dowcip do dziennika i kroniczki należy, ale w trwałych dziełach literatury i sztuki miejsca dla niego nie ma. Doświadczenie Słowackiego, któremu ten rodzaj dowcipu zeszpecił i zepsuł Beniowski, powinno być przestrogą. *Panna Emilia*, czy tam *Wielki świat Capowie*, nie jest Beniowskim, ale zawsze szkoda, że w tem wydaniu nie wykreślił z niej autor tych ustępów, które doskonałą powieść humorystyczną zniżają do rzędu i charakteru uszczypliwego niedzielnego feuilletonu. S. T.

— *Księga pamiątkowa wspólnemi siłami spisana, najzacieśnieszemu Mistrzowi, profesorowi Henrykowi Hoyerowi, dwudziestopięcioletnią rocznicę mozołnej a użytecznej pracy obchodzącemu w ofercie złożona przez wdzięcznych uczniów i przyjaciół Jego, współwłaścicieli Gazety Lekarskiej.* (W Warszawie, dnia XX Grudnia r. p. MDCCCLXXXIII). — Taki jest tytuł, czarno gotykiem odcisnięty, w ramach pysznej chromolitografowanej tytułowej karty, którego pierwsze dwa wyrazy są także barwne i na tle barwnem, jak wszystko zresztą tu odbite.

Tę kartę tytułową poprzedza portret jubilata, pięknie wykonany i odznaczający się wielkiem podobieństwem.

Druk wszystkich następujących kart tej wielkiej, bo przeszło 700 stron zawierającej księgi, in 4to, jest otoczony winietą szeroką, bogatą, kolejno już to czerwono, już szafirowo odbijaną. Rysunek jej w dwu wzorach na prawej i lewej stronie pomieszczonych, przedstawia smoków przechodzących w jednostajny ornament roślinny.

Każdą pracę rozpoczyna także inicjał, zazwyczaj piękny i oryginalny, a bardzo starannie w drzeworycie wykonany. Drzeworytów tych jest 44.

Dziewięć tablic, stósownie do potrzeby czarnych lub barwnych, wykonanych w litografii Główniczewskiego, odznacza się artystycznym wykończeniem.

Papier w egzemplarzu, który mamy pod ręką, jest znakomity, a wiemy, że 15 egzemplarzy odbito na jeszcze lepszym.

Pod artystycznym względem, książka ta, będąca w naszej literaturze niepospolitem zjawiskiem, wykonaną była w drukarni K. Kowalewskiego w Warszawie.

Rozpoczyna jej treść następująca przedmowa do jubilata:
Zacny nasz Mistrzu!

„Oto ćwierć wieku minęło, jak rozpoczęłeś tu w Warszawie, pracę Twoją nad kształceniem młodych pokoleń lekarzy i ćwierć wieku dzielisz się z nami tem, co Sam działałeś dla nauki i co inni — Tobie równi uczeni — dla niej działali. I dziś, po tylu latach ciężko przepracowanych, ożywia Cię ten sam zapał, ta sama żądza, by zasady czystej nauki coraz bardziej się rozpowszechniały, by wszelka działalność lekarza praktyka opierała się na podstawach ścisłej nauki. Ciężkie było

Twe zadanie z początku, gdy prawie sam jeden walczyłeś w imię idei tych zasad, gdy złote ziarna, które szczerze siałeś, padały na nieprzygotowaną rolę. Jeżeli obecnie istnieje u nas pod tym względem postęp, Tobie to w znacznej części zawdzięczamy: Twój przykład wielu pobudzał, Twemi radami wszystkim pomagałeś. Cześć Tobie i wdzięczność się należy! Dumnym być możesz spojrzawszy po za siebie.

My więc wszyscy, Twoi wdzięczni uczniowie, którym dano i teraz wspólnie z Tobą pracować w „Gazecie Lekarskiej“ w imię tych samych idei prawdziwej nauki, pracą uczcić Cię chcemy, i chcemy, by chociaż dziś, w dzień obchodu Twego 25-lecia, zmieniły się role: Tyś lat 25 pracował dla drugich bez wytehmienia — dziś my te nasze prace w tej książce zebrane, Tobie święcimy, gdyż wiemy, że taki hołd najwyższą radość sprawić Ci może. Daruj, jeżeli one nie są takie, jakich miałbyś prawo się spodziewać, *ale okoliczności są dla nas niepomysłne — ani katedr, ani pracowni nie posiadamy — bez większych środków nie łatwo dojść do większych rezultatów.* Przyjm więc tę wiązanekę skromnych prac naszych jako dowód, że chcemy iść zawsze drogą, wskazaną przez takiego jak Ty przewodnika i walczyć za zasady, którym przez ćwierć wieku stale wiary dochowałeś“.

Tu następują podpisy, na wszystkich egzemplarzach w podobiznach oddane.

Przytoczyliśmy dosłownie tę przedmowę, bo charakteryzuje ona dosadnie znaczenie nauczycielskiego zawodu Hoyerera i tłumaczy ową żywą wdzięczność, jaką mu jego uczniowie tem wydawnictwem objawili. Zaznacza też ona stosunki, wśród których praca naukowa tylko z największym wyteżeniem rozwijać się może.

Po przedmowie następuje życiorys jubilata przez Władysława Matlakowskiego, a po niej szereg aż trzydziestu jeden oryginalnych prac naukowych. Napisali je pp.: Kamocki Walenty, Jakowski Maryan, Modrzejewski Edmund, Kramsztyk Zygmunt, Klink Edward, Rejchman Mikołaj, Sokołowski Alfred, Chełchowski Kazimierz, Malinowski Alfons, Pawiński Józef, Dunin Teodor, Kornilowicz Edward, Fabian Aleksander, Gajkiewicz Władysław, Chrostowski Bronisław, Nencki Leon, Przeworski Edward, Gepner Bolesław, Grosstern Wiktor, Jarzyński Franciszek, Anders Ludwik, Żera Teofil, Jasiński Roman, Hering Teodor, Elsenberg Antoni, Nussbaum Henryk, Anders Teodor, Mayzel Waclaw, Penke Józef i Kondratowicz Stanisław.

Do najrozmaitszych działów medycyny teoretycznej i praktycznej odnoszą się te prace, a sąd o nich mogą wydać tylko odpowiedni specjaliści. W każdym razie spotykamy tu imiona znane w nauce, a sposób przedstawienia rzeczy daje i niespecjaliście możność powiedzenia o wszystkich przynajmniej tego, że są umiejętnie napisane.

Z „Notatki bibliograficznej“ poprzedzającej „Spis rzeczy“,

dowiadujemy się, że książkę tę odbito tylko w 145 egzemplarzach, które są oznaczone numerem porządkowym. 34 egzemplarzy stanowią własność współwłaścicieli „Gazety Lekarskiej“ (a zatem i nakładców), 35 przeznaczono na sprzedaż, po cenie 30 rs. za egzemplarz, a resztę rozdano bezpłatnie bibliotekom i Towarzystwom uczonym polskim i zagranicznym, oraz uczonym, z którymi Jubilat zwykle swe prace wymieniał.

Podziwienia godne to wydawnictwo i godne niewątpliwie tego, który dla umiejętności i wytworzenia szkoły histiologów polskich tyle zasług położył.

J. R.

— *Godzinki o Niepokalanem Poczuciu N. M. P.* w 32 rozmyślaniach majowych opracował X. Józef Krukowski, Dr Ś. T., proboszcz kościoła św. Floryana. (Kraków — 1885. Nakładem autora). — Godzinki do Najśw. M. P. czyli nabożeństwo ułożone na wzór pacierzy kapłańskich, były niegdyś odmawiane przez ludzi najrozmaitszego stanu i położenia. Dziś śpiewa je tylko lud prosty, a śpiewając, dużo rzeczy bardzo głębokich i pięknych, które zawierają, nie jest w stanie rozumieć. Są to bowiem rozmaite tytuły Boga Rodzicy, wyjęte z Pisma św., do zrozumienia których trzeba głębszego wniknięcia w prawdy wiary, i dokładnego zapoznania się z księgami świętymi. To spowodowało X. Dra Krukowskiego do ułożenia książeczki, zawierającej 32 rozmyślań, z których każde tłómaczy jeden lub więcej takich tytułów N. M. P. Po wytłómaczeniu tytułu, następuje stósowna dla wiernych nauka, a na zakończenie modlitwa lub przykład.

We wstępie stara się autor wyświecić początek tego nabożeństwa. Kiedy powstały Godzinki, i kto ich autorem, tego na pewno powiedzieć się nie da. Jedni odnoszą je do wieku XI, a ich autorstwo przypisują Piotrowi z Damianu; — inni, do których zdania zdaje się autor książeczki przychylić, naznaczają im początek w wieku XIII; są wreszcie tacy, którzy twierdzą, że Godzinki powstały dopiero w XIV lub XV wieku. Do Polski rodzaj ten nabożeństwa wprowadzili Jezuici, a Wujek przetłumażył Godzinki na język polski. Wnet też rozpowszechniły się one po całym kraju, odmawiali je królowie, — z niemi na ustach szli rycerze do boju, a senatorowie zabierali się do obrad nad dobrem ojczyzny. Z Godzinek wziął autor motywa do swoich nauk majowych, by ludzi prostych oświecić, a innych do ich odmawiania zachęcić.

X. P.

— D. G. Palmieri: *Ad vaticani archivi romanorum pontificum regesta manu ductio.* (Romae, 1884, 16^o XXVIII, 175). — Mała książeczka, której tytuł dostatecznie treść oznacza, zawiera prócz przedmowy same prawie tylko liczby i imiona Papieży, ale jest nieocenionej wartości dla każdego trudniącego się historią, a niezbędna dla tego, kto chce pracować w archiwum watykań-

skiem. Autor, Benedyktyn z Monte Cassino, D. Grzegorz Palmieri, jest drugim kustoszem archiwum watykańskiego i miał pracę swoją już od trzech lat gotową do druku. Widocznie się nie spieszył, bo dopiero roku przeszłego w lipcu ją zapowiedziano, a do Krakowa przyszła w lutym r. b. Być może, że stosunki Spithövera w Rzymie z księgarzami krakowskimi są temu winne. Książeczka Palmieriego zaradza potrzebie, która się odezwała z chwilą utworzenia skarbów archiwalnych watykańskich, we wysokiej mierze, bo dopiero ten podręcznik pozwala się oryentować w całym ogromie archiwalnego materiału. Z góry jednak powiedzieć trzeba, że *manuductio* obejmuje tylko 2019 numerów regestów papieskich t. j. tylko te, które są w Watykanie, bo innych, rozproszonych po świecie, trzeba jeszcze szukać. Zaczynają się te regesty od Innocentego III, a sięgają do Piusa V. Są wprawdzie na początku trzy numery regestów Jana VIII i Grzegorza VII, i na końcu także umieszczono 5 numerów odnoszących się do pontyfikatów 4 Papieży (Syxtusa V, Grzegorza XIII, Innocentego IX, Klemensa VIII), ale materye są w nich pomieszane (*promiscue*).

Niewtajemniczonemu mogłoby się wydawać, że archiwalne dokumenty watykańskie dopiero z Innocentym III się zaczynają, a urywają się już na Piusie V; tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Archiwum watykańskie jest najstarsze na świecie i już w IV wieku założone zostało w Lateranie t. j. zaraz po ustaniu prześladowań. Pierwszym zawiązkiem jego była martyrologia t. j. akta śmierci Męczenników, które spisywało siedmiu notaryuszów tak zwanych *notarii regionarii*. Ustanowił ich już Papież Klemens w I wieku, a wedle innych Papież Fabian w III wieku (236—250) cfr. Mommsen: *Abhandlungen der königl. sächs. Gesellschaft der Wissenschaften in Leipzig* (1850) 1, 635. — Wattenbach: *Schriftwesen des Mittel-Alters*, 2 ed. 253). W V wieku już była w kancelaryi papieskiej zaprowadzona registratura, i już od czasów Papieża Gelazego I (492—496) zachowały się ślady brulionów wysyłanych z kancelaryi papieskiej listów i rozporządzeń, tak zwanych *scrinia* albo *registra*. Ślad ten przechował nam excerpt, sporządzony widocznie do kanonistycznego użytku, a przechowywany w British Museum (Msc. Add. 8873). Excerpt ten zawiera 233 listy Papieży: Gelazego I, Pelagiusza I, Leona IV, Jana VIII, Stefana VI, Alexandra II i Urbana II (492—1088). Napady na Rzym i podróże, jakie archiwum watykańskie musiało odbywać, sprawiły, że dopiero od Innocentego III idą regesty w nieprzerwanym porządku, choć i tutaj są przerwy i braki. — Co się zaś tyczy tego, że regesty kończą się na Piusie V (1566 do 1572), to przyczyna leży w tem, że od następnego Papieża Syxtusa V datuje się całkiem nowy porządek w kancelaryi papieskiej. Aż do tego czasu szły wszystkie sprawy przez jedną registraturę, tak że regesty rosły w olbrzymie foliały. Dość powie-

dzieć, tak że pierwszy zeszyt regestów Leona X, wydany przez kardynała Hergenröthera, obejmujący pierwszy rok pontyfikatu, zawiera 2348 dokumentów, które się mieszczą w 122 regestach folio. Łatwo więc pojąć, jakiej pracy wymagało przeczytanie i uporządkowanie takiego materiału, aby go ująć w krótkie streszczenie. Na resztę zapowiedzianych (11) zeszytów tychże regestów i 8 lat pontyfikatu Leona X, przedstawia się liczba regestów, jak następuje: rok II 125; rok III 116; rok IV 125; rok V 114; rok VI 107; rok VII 138; rok IX 25. Wyrzucać przytem nie można niczego, bo niejedno, co niema wartości dla historii ogólnej, może właśnie być bardzo ważne dla historii lokalnej.

Syxtus V zaprowadził dopiero nowy całkiem porządek w registraturze, bo ustanowił 15 kongregacyj, między które dzieli się sprawy kurji wedle treści. Te kongregacye mają też odtąd osobne archiwa i przechowują w nich odnośne regesty i dokumenty, zaczętem idzie, że w archiwum głównem urywają się regesty w XVI wieku. To jedno tylko jeszcze nadmienić trzeba mimochodem, że począwszy od Jana XXII (1316), są w archiwum watykańskiem dwojakie regesty, oryginalne i kopie. Pierwsze są pisane na papierze, mają expedycey pisane we formie dłuższej i kompletniejszej, i dlatego oczywiście są ważniejsze; drugie są pisane na pergaminie później jedną ręką, i są w skróceniach. Kopie te są jednak pisane bardzo starannie, oprawione są kosztownie, często w czerwony safian ze złoconemi brzegami. Takie przynajmniej mieliśmy sami w ręku kopie regestów Grzegorza IX, które pisane są dopiero w XIV w. Widocznie chciano przez te kopie uratować papierowe oryginały od zniszczenia, co spotkało najstarsze dokumenty papieskie dla tego, że kancelarya długo czas używała do nich papyrusu (cfr. Diekamp. *Die neuere Literatur zur päpstlichen Diplomatik. Histor. Jahrbuch, IV Jahrgang. III Heft 390*).

Wracamy jednak do podręcznika Palmiiego. Dzieli się ta książeczka na trzy części. W pierwszej (str. 1—95) są podane chronologicznie regesty każdego Papieża, i to w ten sposób, że po lewej ręce idą rzędem liczby bieżące regestów, po prawej zaś podane są lata pontyfikatu, które pojedynczy foliant regestów obejmuje. Np. Nr. 4, Innocenty III, rok 1 i 2; Nr. 5, Innocenty III, rok 3, 4, 5, 6, 7. — Wszelako bardzo często się zdarza, że lata pontyfikatu porozrzucane są po różnych regestach. Tak np. rok drugi pontyfikatu Innocentego III mieści się w regestach Nr. 4 i Nr. 6. Zdarza się nawet niekiedy, że jeden rok i w pięciu regestach się mieści; np. rok 15 pontyfikatu Eugeniusza IV mieści się w regestach Nr. 360, 363, 364, 377 i 378, ponieważ zaś pod tym Papieżem umieszczone są jeszcze 3 regesty (365—367) nazwane *promiscue*, t. j. mające różne lata i różne materye, więc i te regesty dla pewności przejrzeć trzeba, szukając sprawy tyższej się 15 roku pontyfikatu tegoż Papieża. — To błąkanie się aktów pojedynczych lat pontyfikatu po różnych numerach regestów po-

chodzi ze skomplikowanej nieco manipulacji, używanej dawniej w kancelaryi papieskiej. Od XIII wieku stał na czele kancelaryi wicekanclerz, który miał do pomocy 7 *abbreviatorów* do układania listów papieskich, i 7 *grossatorów* do przepisywania, nadto byli osobni *bullatorzy*, którzy ołowianą pieczęć przywieszali, i wtedy dopiero, gdy wicekanclerz oznaczył pismo in dorso znakiem R., szła bulla do rejestrowania, poczem dopiero opuszczala kancelaryę z notą kosztów in dorso i znaczkiem, za pomocą którego autentyczną bullę od sfalszowanej rozróżniano. Zdarzało się więc, że w rejestraturze dostał się dokument po innych, choć co do daty późniejszych, jeśli sprawa zalegała dłużej w kancelaryi, co przy mnóstwie spraw łatwo się mogło zdarzyć, tem bardziej, że każdy urzędnik swoją sprawę sam musiał rejestrować. Tem się też tłumaczy, że oryginały regestów są pisane rozmaitem pismem. Dla zoryentowania się jednak i odnalezienia takich bul spóźnionych, zwanych *exleges*, układano osobne rubryki bul i indexy, które dotąd istnieją (Palmieri, XI).

Na jedną jeszcze okoliczność należy zwrócić uwagę, a mianowicie, że regesty aweniońskich Papięży oznaczone są w podręczniku Palmieriego liczbami w klamrach zamkniętymi, one tworzą bowiem osobny dział archiwum, który się mieści w tak zwanej *aula maxima*. Wszystkie księgi *introitus i exitus*, annatów, dzieściń, solucyi, suplikacyi, instrukcyi i relacyi legatów — jednym słowem, wszystko co się odnosi do Awenionu i hrabstwa Venaissin, zostało osobno tutaj pomieszczone. Ta część archiwum ma też osobny inwentarz, sporządzony z polecenia Benedykta XII (1336), który całe archiwum do Awenionu przenieść kazał. Znajdowało się ono podówczas w Assyżu i Padwie, i z tego to czasu datują się zapewne niepowetowane straty, bo już w owym aweniońskim inwentarzu nie ma starszych regestów, nad te, które dziś istnieją (cfr. Muratori: *Antiquitates Italicae med. aevi*, 6, 75 sq.). Palmieri natomiast pisze, że index tej części archiwum został sporządzony z polecenia Klemensa XI (1711) przez legata Salviati, a raczej jego sekretarza Józefa de Martin. Jednakże numerowanie regestów przeprowadzono jednostajnie, i to w ten sposób, że aweniońskie są pod liczbą 52—309 (i 321—332). Przyczyna tego odosobnienia aweniońskich dokumentów polega na tem, że nim to archiwum wróciło do Rzymu, już był Paweł V (1612) polecił uporządkować i skatalogować archiwum watykańskie, umieściwszy je na tem miejscu, gdzie się dotychczas znajduje.

Druga część podręcznika naszego (str. 97—165) jest właściwie powtórzeniem pierwszej, z tą tylko różnicą, że Papięże idą tu po sobie porządkiem alfabetycznym, a liczby regestów są wedle lat pontyfikatów ułożone zbitym i drobnym drukiem, nadto zaś wyszczególniono przy każdym Papiężu, w którym tomie regestów należy szukać bul, listów, *libri supplicationum*, bul *de curia*, bul *diversorum officiorum* i t. d.

Nareszcie trzecia część (str. 167—175) jest najniezbędniejsza dla każdego, kto chce sprawdzać na miejscu, dotychczas wydane dokumenty. Wiadomo bowiem, że w czasie okupacji francuskiej zostało archiwum watykańskie przewiezione do Paryża (1810), bo Napoleon marzył o założeniu archiwum całego świata, a przytem sądził, że archiwum papieskie dostarczy dowodów na to, że Papież nadużywał swej władzy duchownej przeciw powadze rządów i pokojowi ludów. Przewieziono tedy archiwum całe w 3239 skrzyniach, ważących 408,459 kilogramów, pod strażą archiwaryusza papieskiego Gaetano Marini, który niespożyte położył zasługi około uratowania tych skarbów od zupełnej zaguby. Jeneralny archiwaryusz francuski Daunau zabrał się do uporządkowania archiwum watykańskiego, i ponaklejał nowe numera. (Liczba regestów miała wtedy wynosić 102,435). Na rozkaz Ludwika XVIII wróciło archiwum nareszcie do Rzymu, ale pewna część zatrzymano w Paryżu aż do r. 1845 (mianowicie akta dotyczące procesu Galileo-Galilei) — i przez ten to czas było zastawione bez dozoru, tak, że urzędnicy niemal sprzedali. (cfr. Diekamp: *Die neueste Literatur*. l. c. p. 255). Tem się tłómaczy też wiadomość, która świeżo obiegala czasopisma, że Papieżowi Leonowi XIII ofiarowano w prezencie jeden tom regestów Innocentego III. — Skoro archiwum wróciło do Rzymu, zabrał się archiwaryusz Gaetano Marini do usuwania kartek naklejonych w Paryżu, bo uważano je za piętno niewoli; ale za jego następców: Marino Marini i Augustyna Theinera, nie postąpiła robota nowego uporządkowania, tak, że zostały na regestach numera stare i nowe. Theiner publikując dużo, cytował wedle nowych numerów tj. francuskich. Po nim dokończyli jednak uporządkowania archiwaryusze Fr. Rosi i P. Wenzel, jeśli się więc teraz żąda dokumentu wedle cytatu Theinera, wtedy dostanie się zupełnie co innego. Dlatego też Palmieri podaje w trzeciej części swej *manuductio* w dwóch kolumnach obok siebie idące numera stare i nowe, aby się każdy sam mógł poorientować, i żądać regestu podług odnośnego starego numeru.

Przy tem jednak pozwolimy sobie zrobić następującą małą uwagę. W czasie krótkich moich studyów w archiwum watykańskim porobiłem sobie notatki, a porównując numery regestów, które sobie zapisałem, widzę, że niektóre zgadzają się z numerami podanymi przez Palmieriego, ale mam i takie, które się nie zgadzają, a w części III nie są oznaczone jako »nowe« t. j. francuskie. Tak n. p. mam notatki z Nr. 70. W Palmieriego podręczniku jest tym numerem oznaczony regest Jana XXII rok 4, a że to awenioński Papież, więc ma jeszcze w kłamrze Nr. 2. Tymczasem ja miałem w ręku foliant kopii, sporządzonych przez kardynała Arago, w którym znalazłem najrozmaitsze dokumenty i przywileje nadane Papieżom: przez Konstantyna (fol. 47), przez Ludwika Niemieckiego (fol. 48), Henryka (fol. 50); nadto listy, po-

między którymi znany list Grzegorza VII: *dilectis filiis Demetrio, regi Russorum et reginae uxori eius*, powtórzony między innymi także u Bielowskiego (Mon. Pol. I, 371). Treść zatem tego rejestru w niczem nie dotyczy Jana XXII, ale zdaje się, że za czasów tego Papieża kopie te zostały wykonane, i dlatego do jego rejestrow zaliczone. Utwierdzałoby mnie w tem przypuszczeniu jeszcze i to, że mam notatki z Nr. 608. Regest ten nosi in dorso napis *politica*. U Palmieriego znajduje się ten numer pomiędzy regestami Syxtusa IV (1471—1484), ale pomiędzy takimi, które noszą nazwę *promiscue*, a jest ich 113 (546—659), podczas gdy tylko 21 rejestrow rzeczywiście sprawy tego pontyfikatu obejmuje (t. j. Nr. 660—681). Wszelako ten mój domysł upada wobec tego, że w numerze tym 608, znalazłem sprawy tyczące się Polski, Rusi i Moskwy z XVI wieku. A więc mógł się ten regest dostać chyba przez pomyłkę pod pontyfikat z wieku XV.

Prowadzę do tego, że manudukcja Palmieriego jest nieoceaniona, ale sama do zorientowania się nie wystarczy. Natomiast niezmierniej wagi jest to, co mówi o indexach, jakie się w archiwum watykańskiem znajdują. Prawdę mówiąc, o watykańskiem archiwum krążyły wieści, jakby o skarbach zaklętych, a pleśniejących. Znany w dyplomatyce P. A. Munch dostał się r. 1860 do archiwum za pozwoleniem O. Aug. Theinera i porobił notatki, ale deponował je w duńskiem archiwum w Christianii z warunkiem, żeby ich przed śmiercią Theinera nie ogłaszano. Rzeczywiście po śmierci Theinera ogłosił je Dr. Strom r. 1876, a na niemieckie przetłómaczono je w trzy lata potem (P. A. Munch: *Aufschlüsse über das päpstliche Archiv, herausgegeben von Dr. Gustav Strom. Aus dem dänischen übersetzt. Archivalische Zeitschrift* 1879. *Separatabdruck*, Berlin 1880. — poprzednio to samo tłómaczył Löwenfeld, *Zeitschrift für Kirchengeschichte*, 1878; 3, 139, 19). Już to samo czekanie na śmierć Theinera dowodziło pewnej tajemniczości i nadawało publikacji przedsmak zakazanego owocu, a przecież już 25 lat przedtem opisał Dudik rejestry papieskie. (B. Dudik: *Iter Romanum. Im Auftrage des hohen mährischen Landesausschusses in den Jahren 1852—1853 unternommen und veröffentlicht*. Wien, 1855). W Rzymie samym jeszcze 25 lat przedtem wydano opis archiwum watykańskiego (*Memorie istoriche degli Archivi della s. Sede*. Roma, 1825. Tip. Vatic.) — i na ten opis powołuje się też Palmieri w swojej przedmowie. Indexów znajduje się też w archiwum kilka, a najpierw jest ogólny rejestr w 10 tomach, sporządzony przez archiwariusza Pistolesi, choć zwykle przypisywany Garampiemu. Ten Pistolesi był rodem z Florencyi i przez 23 lata pracował niestrudzony w archiwum. To też oprócz powyższego inwentarza ogólnego, zrobil jeszcze katalog nowych dokumentów, które zakupili Papieże: Benedykt XIV i Pius VII. Są to relacye i instrukcyje nuncyuszów (około 1200) nabyte od prywatnych rodzin włoskich: Ottoboni, Albani, Bolo-

gnetti i t. d. Tenże Pistolesi pracował też nad indexem rzeczonym na karteczkach, których do 600,000 zapisał i w 12,000 foliów ułożył, wedle pojedynczych biskupstw, godności, urzędów itd. Starszy index wygotowany jest dla tej części archiwum, która się znajdowała w zamku św. Aniola. Zrobił go z polecenia Urbana VIII Jan Confalonieris, a dokończył Karol Chartarius Urbevetanus. Tego indexu jest 100 woluminów (Palmieri, XVII). Nadto jest wspomniany już poprzednio index aweniońskiego archiwum, sporządzony przez Józefa de Martin, pod kierunkiem legata Alamana Salviati. Osobny jeszcze index sporządził Piotr de Pretis, archiwaryusz (1727—1740), do brewiów od czasu Klementa VI do Grzegorza XIII (1376—1585). Oprócz tego są jeszcze inne pomniejsze indexy, które Palmieri tylko mimochodem wspomina, jako mniejszej wagi (str. XVIII). Do tego wszystkiego należy dodać jeszcze i tę okoliczność, że w każdym regescie jest na początku index materji z oznaczeniem paginatury.

Na tem kończę, bo z powyższego mógł się czytelnik dostatecznie przekonać, że archiwum watykańskie nie tylko stoi dziś każdemu otworem, ale że i poszukiwanie znajduje tam wszelkie możliwe ułatwienia. Do nich zaś może się w wysokiej mierze zaliczyć podręcznik Palmieriego.

X. Dr Chotkowski.

— Theodor Mommsen: *Römische Geschichte*, tom V. (Berlin, 1885). — Po trzydziestu latach przerwy pojawił się w tych dniach piąty tom historyi Mommsena. Czwartym, który obejmie historję Italji i przedstawi nam osobistości Cezarów aż do Dioklecjana, ukaże się później. Teraz podał nam sędziwy już autor dzieje prowincyi, obraz świata pod panowaniem nowych władców Romy. Jest to dzieło stanowiące epokę, owoc zdumiewającej pracy, ułatwionj błyskami geniuszu, przerobienie ogromnych zasobów *inskrjpcyj*, które z dniem każdym wzrastają i nowe przynoszą wiadomości. Mozól był wielki, uciążliwość pracy musiała się odbić na przedstawieniu. *„Mit Entsagung ist die Buch geschrieben und mit Entsagung möchte es gelesen sein“* — powiada autor. Ale wielki Rzymu historyk tem przedewszystkiem się odznacza, że wchodząc w szczegóły, nie gubi się w drobnostkach, że tło wielkie dziejowe nigdy u niego nie ginie, a pojedyncze fakta na tem tle nabierają znaczenia i życia. Mogliśmy z góry być pewnymi, że książka Mommsena przyniesie nam pewną rehabilitacyę cesarstwa. *„Starość, powiada autor, nie zdola rozwinąć nowych myśli i twórczej działalności“*, ale mimo tego stworzyła ta epoka wielkie dzieła, zapewniła wielu narodom długotrwały pokój i dobrobyt. *„W osadach rolnych Afryki, w winnicach nad Mozela, w kwitnących miejscowościach gór likijskich i pustyń syryjskich należy szukać pracy cesarstwa“*. W szeregu następnych rozdziałów przechodzi autor dzieje pojedynczych prowincyi, bada ich stan materialny i moralny, dotyka z lekka umysłowej twórczości mieszkańców. Dzieło romanizacyi przedewszystkiem go zajmuje. Wielki proces

wytworzenia się rromańskie] cywilizacji, która zgotowała drogi chrześcijaństwu, rozgrywa się przed naszymi oczyma. Autor należący do narodu, który hasło wynaradawiania tak stanowczo wywiesił, zatrzymuje się z lubością przy wszelkich fazach postępującego naprzód romanizmu. Nastrój jednak ogólny dzieła może nie tak rażący, jak w tomach poprzednich, które tyle razy były apologią złowrogiego *Vae victis*. Na razie zwrócimy uwagę na kilka bardziej uderzających szczegółów. Ciekawy jest ustęp o pisarzach hiszpańskich (str. 68), którzy tak wielką rolę w literaturze cesarstwa odegrali. Kwintylianusowi przyznane tu pierwszorzędne znaczenie i stanowisko. Prześliznę się ręką mistrza skreślone uwagi o Grecyi i Grekach ówczesnych (str. 245). Hellada upada, jej miasta niegdyś sławne, w wioski się zamieniają, ale w Greku ówczesnym żyje jeszcze świadomość wielkiej przeszłości, przeświadczenie o wyższości jego kultury, a przedewszystkiem kwiat dawnej kultury, pewna miara estetyczno-moralna, która go od wybrzków owej epoki ochrania, od dorobkowiczów cywilizacji wyróżnia. Plutarch jest według Mommsena typem szlachetnego Greka z owej epoki. — Pelen interesu jest dalej ustęp o Żydach. Chrześcijaństwo mało tu jeszcze występuje; autor wymija prawie umyślnie ten przedmiot, któremu chyba w czwartym tomie bacniejszą uwagę poświęcić przyjdzie. Jak to przedstawienie wypadnie, z różnych już poglądów ogłoszonych wnioskować można. Zwracamy uwagę na adnotacyę na str. 520, zawierającą krótki komentarz do Apokalipsy. Pismo to powstało według Mommsena po zburzeniu Jerozolimy i jest *die klassische Offenbarung jüdischen Selbstgeföhls und Römerhasses*. Rozdział o Żydach zamknięty genialną charakterystyką przeobrażenia, któremu Żydostwo między pierwszym a trzecim wiekiem uległo (str. 551). Przepaść między Żydami i nieżydami wtedy się otwarła i jest dotąd raną społeczeństw. „Spuścizna tych czasów ciąży jeszcze dzisiaj na ludzkości”. — Oto kilka pierwszych wrażeń z książki, którą naprzód trzeba przeczytać, a potem przepracować, zanim sprawę z niej zdać będzie można.

K. M.

— *Histoire des Persécutions pendant les deux premiers siècles d'après les documents archeologiques* par Paul Allard. (Paris, 1885, Lecoffre, 8vo p. XXXIX, 461). — Wskutek licznych odkryć archeologicznych, zwłaszcza w katakumbach rzymskich, historia prześladowań religijnych w imperyum rzymskiem zamieniła się w naukę samodzielną, o bardzo szerokiej podstawie. Dawniej traktowano ją jako dodatek do historii kościelnej, zestawiając rozliczne wiadomości o męczennikach za rządów tego lub owego cesarza, ale nie umiano zrozumieć, że trzywiekowa walka społeczna dwóch przeciwnych sobie światów duchowych, jest jedną żywą całością, jest rozwojem ciągłym, nieustającym, jednej idei prawniczopolitycznej. Dopiero trzydzieści lat temu Mommsen i De Rossi odgadli tę ideę w organizacji stowarzyszeń pogrzebowych, a za

jej pomocą wyjaśnili możność istnienia Kościoła i przyczynę główną, dla której tyle krwi szlachetnej przelewano nawet za najlepszych cesarzy. W świetle tej idei zbadano na nowo akta męczenników, a porównyując je z pomnikami trzech pierwszych wieków, zdolano mnóstwo szczegółów, przedtem niezrozumianych lub obojętnem pomijanych okiem, należycie powiązać z ogólnym ustrojem religijnym, administracyjnym i sądowniczym świata starożytnego. Zrobił to ze znanym talentem, choć często grzesząc przesadnym krytycznym sceptycyzmem, Renan w wielu miejscach swojej historii *des Origines du Christianisme*, zwłaszcza w czwartym tomie (*L'Antéchrist*), opowiadając prześladowanie Nerona, w piątym (*Les Évangiles*) przy prześladowaniu Domicjana i Trajana, w szóstym (*L'Église chrétienne*), wykładając postępowanie Hadryana i Antonina Pobożnego, pisma apologetyczne i zgon Justyna w Rzymie, śmierć męczeńską Polikarpa w Smyrnie; nareszcie w siódmym, obejmującym epokę Marka Aureliusza, zastanawiając się nad apologią Melitona i prześladowaniem kościoła ludguńskiego. Ale Renan tylko mimochodem traktując kwestyę prześladowań, nie mógł ani nie chciał zużytkować całego materiału. Usiłował to zrobić Aubé w dwóch dziełach większych: *Histoire des Persécutions de l'Église jusqu'à la fin des Antonins*, (Paris, 1875) i w drugim: *Les Chrétiens dans l'Empire romain de la fin des Antonins au milieu du IIIe siècle*, (Paris, 1881); ale nie będąc ani archeologiem ani filologiem, a z niczem nieusprawiedliwioną nieufnością polemizując ciągle przeciw De Rossi'emu i szkole rzymskiej, hyperkrytycyzm zaś sceptyczny posuwając do granic zadziwiających, nie zdołał sprostać wielkiemu zadaniu. Podjął je na nowo Allard w książce wspomnianej. Jest on dobrze znany w literaturze historyczno-archeologicznej, bo już w r. 1876 zwrócił na siebie uwagę powszechną, niepospolitą pracą: *Les Esclaves chrétiens*, a w roku następnym przelożył z angielskiego i licznymi wzbogacił dodatkami dzieło pp. Northcote i Brownlow: *Rome souterraine. Résumé des découvertes de M. de Rossi dans les catacombes romaines et en particulier dans le cimetière de Calliste*. Sam De Rossi napisał do wydania tego przedmowę, i nazwał je najlepszym streszczeniem swoich badań. W nowej *Histoire des Persécutions* starał się autor zużytkować obszerny materiał o prześladowaniu chrześcijan w dwóch pierwszych wiekach, nagromadzony w dziełach De Rossi'ego i licznych rozprawach jego uczniów, a zabrał się do pracy najstarszemu przygotowany, posiadając w komplecie nietylko wiedzę archeologiczną i filologiczną, lecz będąc nadto fachowym prawnikiem. Piastuje bowiem urząd sędziego przy trybunale w Rouen. Pierwszy rozdział cztery ważne traktuje przedmioty: położenie Żydów w Rzymie, początki chrześcijaństwa tamże, pożar i prześladowanie Nerona, nareszcie pytanie, czy prześladowanie to ze stolicy przeniosło się na prowincye, i kiedy śmierć ponieśli apostołowie Piotr i Paweł. Drugi

rozdział maluje nam położenie kościoła za dynastyi Flawiuszów, przyczem gruntownie oceniona jest historia Domicylli. Trzeci rozdział poświęcony prześladowaniu za Trajana i krytyce jego listu do Pliniusza, który niektórzy usilowali zrobić apokryfem. W czwartym rozdziale spotykamy się z prześladowaniem Hadryana i podobną krytyką listu cesarskiego do Minicyusza Fundana. W piątym rozbiór dwóch apologii Justyna i męczeństwo św. Polikarpa za Antonina Pobożnego. Szósty i siódmy rozdział zajmują się prześladowaniem za Marka Aureliusza i przywróceniem pokoju za Commodusa. Oprócz tego w każdym prawie rozdziale osobne krytyczne rozprawy o aktach męczenników z pierwszych dwóch wieków. W trzecim np. rozbiór gruntowny aktów ŚŚ. Nereusza i Achilleusza, św. Klemensa, Ignacego z Antyochii; w piątym Faustyna, Alexandra, Symforozy i wielu innych, w siódmym św. Cecylii, męczenników scyllitańskich i t. d. Wszystkie te akta zestawił autor z odkryciami w katakombach, które po większej części daly im podstawę historyczną, a bardzo starannie skorzystał z dzieła p. Edmunda Le Blant: *Les Actes des Martyrs* i z pierwszej części wychodzącej obecnie nowej edycyi tak zwanego: *Liber Pontificalis* przez uczonego Duchesne. Dwa te dzieła, zdaniem wszystkich znawców, będą stanowiły epokę w studiach historyczno-archeologicznych nad pierwszymi wiekami chrześcijaństwa. Tym sposobem książka p. Pawła Allard, chociaż nie zawiera nic nowego, ma jednak tę nadzwyczajną zasługę, że jest pierwszym krytycznym i zupełnym zestawieniem wszystkich szczegółów, jakie dotąd rozproszone były po licznych monografiach, a zrobiona z taką ogłędnością i znajomością rzeczy, że można śmiało na niej polegać. Zaradza prawdziwej potrzebie, której zaspokojenia wyglądano od lat dwudziestu.

S. P.

— *Der Ursprung des Christenthums*. Von Dr Stephan Pawlicki, Professor an der k. k. Universität zu Krakau. (Mainz, 1885, Verlag von Franz Kirchheim. — Svo p. IV, 254). — Czytelnikom Przeglądu naszego treść książki po większej części znana. Z przedmowy dowiadujemy się, że autor na żądanie kilku przyjaciół w Niemczech, postanowił odczyty swoje „o Początkach chrześcijaństwa“, które niegdyś miał w Rzymie, ogłosić także po niemiecku. Gdy jednak ukazał się tymczasem tekst polski znacznie rozszerzony, uważał autor za stosowniejsze, zlać polskie i włoskie wydanie, znacznie różniące się od siebie, w nową całość, która miesiąc temu opuściła prasę nakładem Kirchheima, znanego wydawcy mogunckiego. Życzymy książce powodzenia w Niemczech, a spodziewamy się, że jeżeli kiedy okaże się potrzeba nowej edycyi polskiej, autor weleci do niej liczne ustępy, któremi wzbogacił tekst niemiecki, zwłaszcza rozdział o *Celsusie filozofie*, który pierwszy z pogan znalazł dokładnie nasze ewangelie. Tekst niemiecki jest obszerniejszy od polskiego, mniej więcej o jedną szóstą.

J. M.

— Dwie nowe publikacje z dziedziny historii prawa rzymskiego mamy przed sobą, mianowicie dzieło prof. Herzoga: *Geschichte und System der römischen Staatsverfassung*. I Band: Königszeit und Republik. — (Leipzig — 1884), i książkę prof. Karłowy: *Römische Rechtsgeschichte*, I Band; Erste Hälfte — (Leipzig, 1885). — Jakkolwiek oba tych dzieł wydawnictwa dopiero się rozpoczęły, lecz ze względu na to, iż one pewną całość przedstawiają, i do tegosamego punktu są doprowadzone, nie przesądzając na przyszłość o wartości naukowej tych prac, należy im dziś już słów kilka poświęcić.

Literatura historii prawa rzymskiego dzisiaj już wcale bogata: najlepsi znawcy starożytności złożyli swoją pracę w ofierze, aby ten wiekopomny gmach państwa rzymskiego napowrót we wszelkich szczegółach odtworzyć. Tym człowiekiem, który nowy impuls dał do studyów nad historią rzymską i świeżem technieniem ożywił badania nad stosunkami wewnątrzniemi stolicy Italii, a zarazem nowy kierunek badaniom wskazał, był Barthold Jerzy Niebuhr. *Cumne principium a Jove*, taksamo i my, ile razy mamy do czynienia z nową historią prawa rzymskiego, zawsze w przeszłość spoglądamy na tę postać uczonego na wielkie rozmiary, który sam jeden w ciągu lat 30 dokonał (mniej więcej od 1800 do 1831 r.), czego nie dano było żadnemu innemu uczynić. Od tego czasu jednak studia filologiczne posunęły się naprzód, dzięki nauce przygotowawczej i kierunkowi prac wytkniętemu przez Niebuhra uczniowie jego rzecz dalej zaprowadzili, i w swych rezultatach naukę rozwinęli. Do tego wynalezienie nowych, lub mistrzowi nieprzystępnych źródeł, otworzyło nowe punkta widzenia, których początkowo dostrzedz było trudno. Imiona Beckera, Rubino, Schweglera, Ilnego i Langego znane są mniej więcej wszystkim, którzy się trochę historią rzymską zajmowali; jednak do niedawnych czasów sądzono, że tylko filolog jako taki powołany jest i zdatny do napisania historii prawa rzymskiego. Jeszcze Lange wydając swoje *Römische Staatsalterthümer* w przedmowie wyraził się, że napisanie historii tego prawa ze stanowiska prawniczego jest co najmniej rzeczą niepodobną, gdyż Rzymianie sami swego prawa politycznego nie opierali na zasadach prawniczych i nigdzie sami nie zabrali się do systematycznego jego opracowania.

Prawnicy tymczasem chętnie pozostawiali kolegom swym filologom zajmowanie się historią prawa rzymskiego. Nowy ruch dany przez Savignyego w dziedzinie nauki dogmatycznej prawa cywilnego, zanadto wszystkie ich siły w tym kierunku zaabsorbował. Zajmowano się prawem prywatnem, rządziej procesem, a prawie nigdy nie wchodziło w dziedzinę historii prawa. Dwie te gałęzie prawa rzymskiego zupełnie rozdzielono, a jeżeli który z prawników, jak np. Puchta, próbował i w tym kierunku pisać, zawsze to robił z tym wyraźnym celem, aby historię prawa podporządkować nauce dogmatycznej, do której wyjaśnienia miała

służyć. Historia prawa nie była celem, była tylko środkiem dla bliższego poznania prawa materialnego i jego systemu. Obok Puchty, drugi uczeń Savignyego, Rudorff, próbował także historię prawa pisać, ale zadaniu swemu nie sprostał. Jego historia prawa rzymskiego jest nauką o źródłach tego prawa, znakomitą zresztą, ale niczem innym ostatecznie, jak wstępem do właściwej nauki prawa rzymskiego.

Widzimy z tego, że nauka prawa rzymskiego rozbiegła się na dwie strony. Jedna część filologów poszła w ślady za Niebuhren i zaczęła się zajmować państwem rzymskiem i urządzeniami społecznymi i politycznymi tego narodu, którego język, literatura i cywilizacja była przedmiotem ich studyów. Drudzy, prawnicy, poszli w ślady Savignyego, i obrali sobie za cel swych badań jedynie prawo prywatne, a mając ściśle określony cel, na historyczny rozwój o tyle tylko zwracali uwagę, o ile zrozumienie ich przedmiotu koniecznie tego wymagało. Historia prawa zepchnięta została na drugi plan, była tylko tak dla jednych, jak dla drugich środkiem dla dopięcia innego celu.

Historia jednak prawa jako taka nie jest bynajmniej tylko środkiem, jest ona sama dla siebie celem, jest sama przez się nauką, która ma rację bytu. Zadaniem tej nauki jest śledzić rozwój instytucji państwowych i społecznych w narodzie, znaleźć między niemi organiczny związek, w pewien system je ułożyć, i wreszcie odtworzyć cały organizm społeczny i państwowy od dołu do góry, i takowy w ściśle określone ramy prawne wstawić. Dla historii prawa rzymskiego rzecz tak pojęta była niezmiernie trudną. Człowiek, który temu zadaniu chciałby odpowiedzieć, musiał łączyć w sobie wszelkie znajomości filologiczne, głębokie studia archeologiczne, biegłość w metodzie historycznej, i nareszcie jasny i trzeźwy umysł prawnika, który jeden tylko wszelkie objawy narodowe uporządkować potrafi i z luźnych naukowych wyników i badań jedną organiczną całość stworzyć może. Zadaniu temu odpowiedział całkowicie Teodor Mommsen.

Wszystkie te wymagania, któreśmy tu postawili, w dziwnie harmonijny związek u niego się łączą; w każdym kierunku wykształcony, żadnemu z tych czynników pierwszeństwa nad innym nie daje, wszystkich w równej mierze używa, to też książka jego *Römisches Staatsrecht* w połączeniu z *Römische Forschungen* starożytną epokę w literaturze prawa rzymskiego (początkowe jego prace *Römische Geschichte*, szczególnie pierwsze wydania, należą bardziej do szkoły filologiczno-historycznej) i są dziełem pomnikowej treści. Dzieło to dotąd nieskończone, obejmuje tylko magistraturę; autor wprawdzie żyje, ustawicznie pracuje, dowodem tego w tych dniach wydany piąty tom historii rzymskiej, ale czy dzieła dokończy, niewiadomo.

Wpływ dzieła Mommsena był niesłychany. Jeszcze wprawdzie gdzie indziej dają się słyszeć głosy przeciw zbyt sztywnemu dogma-

tyzowaniu systemu wprowadzonego przez Mommsena, a znakomity filolog Madvig starał się osłabić wrażenie dzieła, wydając *Die Verfassung und Verwaltung des römischen Staats*, i zrównoważyć wpływ Mommsena: wszystko to jednak okazało się napróżno. Teraz z nowym dziełem występuje prof. Herzog.

Imię jego obcem nie jest. Nie umiemy ocenić należycie stanowiska jego w nauce filologii klasycznej, na tem polu zasług jego wymienić nie możemy; ale w dziedzinie historii prawa rzymskiego niejedną monografię mamy mu do zawdzięczenia, np. o *Interregnum*, o *Lex sacrata*, o wiarogodności ustaw rzymskich przed rokiem 387 itp. Książka zatem, którą teraz wydaje, jest przedmiotem długoletnich studyów, a obszernością swoją przewyższa wszystko, co dotąd w tej mierze było napisane. Dość powiedzieć, że tom pierwszy obejmujący czasy królewskie i czasy Rzeczypospolitej, oprócz pięćdziesięciu stron wstępu, zawiera około tysiąca dwustu stron druku dużej ósemki. W porównaniu do dzieła Mommsena książka ma tę wyższość, że stanowi całość, że obejmuje nie tylko magistraturę, ale także i senat i lud wraz z jego trybunami. Ale na tem kończy się jej wyższość. Przedewszystkiem brak jest widoczny szerszego i głębszego wykształcenia prawniczego, bez czego dzisiaj mowy być nie może o napisaniu książki traktującej o historii prawa rzymskiego. Niektóre partye są najnie dokładniej przedstawione, np. całe *ius edicendi*, tak ważne w rozwoju prawa w Rzymie, i całe znaczenie prawa pretorskiego (str. 633 i 743 i nast.). Drugi zarzut, który podnieść możemy, jest ten, że część ściśle pragmatyczna, zupełnie oddzielona jest od części historycznej. Cały tom składa się z dwóch części, pierwsza odnosi się do czasów królewskich, druga do czasów Rzpltej. Każda taka księga znowu składa się z dwóch rozdziałów, z których pierwszy zajmuje się historią wewnętrzną Rzymu, drugi systemem ustroju państwowego. Naszem zdaniem obu tych części oddzielać od siebie nie można. Tylko w tym wypadku może być obraz zupełny i przejrzysty, jeżeli te części należące do systemu, postawimy na tle historycznem. Wówczas one nabierają wyrazistości i charakteru. wtenczas mogą być należycie ocenione, ale opowiadanie początkowe historyczne, a potem pragmatyzowanie tego, jest co najmniej niekorzystną rzeczą. Drugi wzgląd, który także przeciw temu systemowi przemawia, jest ten, że chcąc nie chcąc autor jest poniekąd zmuszony stwarzać dwie opoki, mianowicie epokę królów i epokę Rzpltej, które w historii prawa stanowią tylko jedną całość z małemi odmianami. Zresztą jako ogólne wrażenie, które po przeczytaniu książki prof. Herzoga wynieść można, jest przedewszystkiem położenie głównej wagi i nacisku na prawa senatu, którego siłę i znaczenie przeciwstawia ludowi i jego zgromadzeniom.

Zupełnie w innym rodzaju jest książka prof. Karlowy. Znany prawnik romanista, autor procesu rzymskiego za czasów *legis*

actio, z natury rzeczy był powołany do napisania historii prawa rzymskiego. Jego książka łączy całą współczesną wiedzę historyczną, z trafnym sądem prawnika, a dzieło, jakkolwiek obrachowane na mniejsze rozmiary, niż poprzednie, szerszy natomiast zakres obejmuje. Ma bowiem zawierać pełny obraz prawa politycznego, administracyjnego, karnego i procesowego. Na tle historycznym każda instytucja jest przedstawiona, i to ściśle w porządku chronologicznym. Mamy przed sobą obraz całkowity i historii prawa i rewolucyi, które ono przeszło. Oczywiście, że przy takim systemie o podziałach na epoki mowy być nie może. Że książka prof. Herzoga dostępna będzie zawsze tylko dobrze obeznanym z historią prawa rzymskiego, niema żadnej wątpliwości; czy natomiast książka prof. Karlowy odpowie zadaniu książki głęboko naukowej, i zarazem będzie mogła służyć za podręcznik do nauki, jak dotąd, z pewnością powiedzieć się nie da. W każdym razie witamy to dzieło z radością, gdyż po tak długich staraniach i badaniach monograficznych zaczynał się dawać we znaki takiego kompendyum, łączącego wszystkie zalety, których dzisiaj wymagamy. Książka prof. Herzoga jako taka, należy do pewnej grupy dzieł pisanych przez filologów bez przygotowania dostatecznego prawniczego, zawiera dużo ciekawych szczegółów archeologicznych, ale w jedną całość państwa rzymskiego złożyć nie jest w stanie; prof. Karlowa natomiast staje na gruncie już przez Mommsena przygotowanym, i w ścisły i logiczny sposób przeprowadza nas wśród wszystkich ustaw i urzędów politycznych Rzymian. Oczywiście, że wybór między temi dwoma pracami nie trudny: pierwszeństwo należy przyznać temu ostatniej.

E. M.

— *Schriften des Institutum Judaicum in Leipzig. Nr. 4. Documente der national-jüdischen christgläubigen Bewegung in Süd-russland.* Im Original und deutscher Uebersetzung mitgetheilt von Franz Delitzsch. (Erlangen 1884. Andreas Deichert 8vo pp. VI i 44, a po hebrajsku str. XXIV). — Wielkie wrażenie zrobiła w przeszłym roku wiadomość o powstaniu sekty żydowsko-chrześcijańskiej w Kiszzenewie na Besarabii. Już w r. 1868 w miasteczku Skolian na Multanaeh pewna liczba Żydów ochrzciła się jeden drugiego, przestrzegając i nadal, obok wiary w Chrystusa, przepisów zakonu mojszowego. Czy nowa sekta besarabska jest dalszym ciągiem owego ruchu rumuńskiego, wiadomo; to pewna, że adwokat Józef Rabinowicz, jej założyciel, wystąpił po raz pierwszy w r. 1880 z projektem gruntownej reformy żydowszczyzny. Zrazu usiłował w Besarabii zakładać osady rolnicze, potem namawiał spółwyznawców, aby wynosili się do Palestyny, a gdy usiłowania te nie odniosły skutków pożądaných, wydał w r. 1882 hasło nowe: »Klucz Ziemi Świętej jest w rękach brata naszego Jezusa.« W tych kilku słowach wyrażony program społeczno-religijny, zmierzający do tego, aby Żydzi uznali Chrystusa Mesjaszem, i w tem zrównali się z chrześcianami.

Nie mają jednak nawracać się z osobna, by snąć nie wsiąkali w różne kościoły chrześcijańskie, lecz mają pozostać i nadal narodem, który razem z wiarą Nowego Zakonu, potrafi zjednoczyć wyuczaje i obrządki Starego. W rozdziale: »Trzynastcie tez« dowodzi autor Żydom, że z materyalnego i moralnego upadku swego jedynie dźwignąć nie mogą przez wiarę w Jezusa z Nazaretu, którego niegdyś nie zdołali zrozumieć mędrzy jerozolimscy. Rozdział drugi zawiera »Artykuły wiary narodowo-żydowskiej gminy Nowego Testamentu«, z których najważniejsze są Jedność Boga i Odkupienie ludzkości przez śmierć Chrystusa Pana. W trzecim rozdziale objaśnia autor wiarę w Mesyasa w ten sposób, że Chrystus w swej osobie spełnił wszystkie prorocтва Starego Zakonu o przyszłym Mesyaszu, że rzeczywiście umarł za grzechy świata, zmartwychwstał, i siedzi na prawicy Boga. Ale formułki teologiczne, określające stosunek Chrystusa do Boga, należy pozostawić tym sektom, które z politeizmu nawróciły się na monoteizm; Żydzi powinni tylko ogólnie afirmować, że Bóg jeden jest w trzech osobach (*parzuplûm*), a nie spierać się o to, czy Ojcem, Synem i Duchem Świętym mają nazywać się owe trzy osoby, lub też Bogiem, Słowem bożem i Duchem bożym. Nie wydaje się zresztą autorowi wiara w trzy Osoby niezbędną częścią wyznania chrześcijańskiego. Taksamo radzi, aby cudowne narodzenie Chrystusa pozostawić w pomroczu tajemniczem, bo jakkolwiek nie wątpi o jego nadprzyrodzonym początku, udział jednak Bóstwa w tym razie nie da się jasno słowami wyrazić. Z sakramentów Nowego Zakonu dwa tylko przyjmuje, chrzest i eucharystyą, a nadaje im znaczenie takie, jakie mają według »czystego ewangelickiego wyznania w Anglii i Niemczech« (str. 26). Obok nich każdy Żyd-chrześcianin powinien zachować obrzezanie, jako instytucyą narodową, a szabas, o ile ten da się pogodzić z chrześcijańskiemi zwyczajami.

Jak większość sekt protestanckich, Rabinowicz i jego wierni tylko raz na rok przystępują do Stołu Pańskiego na Wielkanoc. Stawiają na stole mięś z mackami, dzban z winem, a tyle kubków, ile jest obecnych wiernych. Przewodniczący nalewa kubki, a po wspólnych modlitwach piją wszyscy tak zwany kielich Abrahama. Potem w tym samym porządku spełniają kielich Mojżesza i Dawida. Następuje czwarty kielich Jezusa Mesyasa, który wszyscy razem błogosławią, poczem przewodniczący sam błogosławi macki, i każdemu podaje, wymawiając słowa, wyjęte z ewangelii Łukasza, tam, gdzie mowa o wieczerzy Pańskiej. Rabinowicz nie przyjmuje kapłaństwa, lecz pozwala, aby każdy Żyd sam sobie był kapłanem; nie powiada jednak, czy kobiety także dostępują tego zaszczytu, lub też wykluczone są od sprawowania tajemnic religijnych. Protestanci, jak widać z przedmowy Delitzscha, uczonoego profesora lipskiego, pokładają wielkie nadzieje w tym ruchu religijnym, upatrując w nim powrót do pierwotnego chrześcijań-

stwa, jakie było w Jeruzolimie przed nawróceniem pogan. W tem jednak grubo się mylą, bo i któż potrafi wlać życie nowe w dawno obumarłą formę? Judaizm chrześcijański taki, jaki wyznawali pierwsi chrześcijanie w Palestynie aż do zburzenia Jeruzolimy, miał pewną racją bytu, kiedy stała jeszcze świątynia, a Żydzi cieszyli się jakimś bytem narodowym. Później, zwłaszcza od powstania Barkocheby, gdy zmieniły się stosunki polityczne, a rozdział między Żydami a chrześcijanami stawał się coraz większym, obumarła najstarsza gałąź religii naszej, pozbawiona soków żywotnych. Historia uczy, że tego, co umarło, w tejsamej formie wskrzeszać nie można, a najnieszcześniejszy zabrał się Rabinowicz do tej pracy. Religia bowiem, którą głosi, nie jest pierwotnym Judaizmem chrześcijańskim, wyznawanym przez Jakóba, brata Pańskiego, lub Symeona, umęczonego za Trajana, lecz Ebjonizmem z drugiego stulecia, odrzucającym Prymat Piotrowy i nieomylnie nauczycielstwo Kościoła. Gdyby przyjęła się jego reforma, mielibyśmy jedną sektę więcej, różniącą się od racjonalizmu protestanckiego jedynie zachowaniem obrzezania i szabasu. Każdy widzi, że takie rozwiązanie kwestyi nie dogodziłoby ani Żydom ani chrześcijanom; pierwsi, jak przedtem pozostałoby bez związku z Rzymem, skazani na własne sily, a wystawieni na najgorsze wpływy pokątne; drudzy musieliby zaczynać na nowo wszystkie spory dogmatyczne, które w drugim i trzecim stuleciu toczyły się między Kościołem prawdziwym a Ebjonitami. Czy to może wyjść komu na pożytek? Sama pretensya, żeby ignorować dziewiętnaście wieków rozwoju teologicznego na Zachodzie, a zaczynać od przesądów powiatowych, które z takim trudem niegdyś wykorzeniono w Syrii i Mezopotamii, jest bajeczną arogancją, a zamiar zreorganizowania Żydów, jako narodowość, miałby skutki najgorsze. Dotąd znano Francuzów, Anglików, Włochów, Polaków moźszozowego wyznania, a sami Żydzi chętnie tak się nazywali; teraz mielibyśmy jedną narodowość żydowską, przebywającą w różnych krajach, ale nie uważającą żadnego za ojczyznę swoją. U nas zaś przybyłby nowy element niezgody, a sprawa żydowska zaogniłaby się jeszcze bardziej, małą zaś za to byłoby korzyścią, że Żydzi czytaliiby także Nowy Testament. Po cichu czytywaliby prawdopodobnie Talmud, jak przedtem. S. P.

— *Zur Kritik der neuesten Sprachforschung* von Georg Curtius. (Leipzig, 1885, str. 161). Nader ciekawa to książka dla tych, którzy obeznani są nieco z dzisiejszym sporem o teorye gramatyczne. I u nas była już o tem mowa na przeszłorocznym zjeździe in. Kochanowskiego. Główny dziś reprezentant starszego obozu lingwistów mówi w czterech rozdziałach najnowszej swej pracy o »prawach głosowych«, o tworach analogicznych, o pierwotnym wokalizmie indoeurop. i o powstaniu indoeurop. form językowych. Co do »praw głosowych« zgadza się na ograniczenie ich miejscem i czasem, jak to dziś czyni nowsza szkoła, i ścieśnia

ich zakres w ten sposób, że wyłącza z pomiędzy nich wszelkie »sporadyczne« zmiany głosowe. Zdaniem Curtiusa upada dualizm pomiędzy »lautgesetzlich« a »psychologisch«, bo prawa głosowe polegają taksamo, jak i twory analogiczne, na czynnikach psychicznych. Nie podoba mu się dzisiejsze nadużywanie »analogii« przy objaśnianiu form językowych, i zwraca uwagę na prąd »konserwatywny«, który w historii języka daleko ważniejszą gra rolę, niż wprost przeciwne mu dążenie do wzajemnego upodobnienia form językowych. Na wszystko to można w pewnej mierze się zgodzić, trudno jednakże uwierzyć, żeby w czasach prastarych nie było wcale takich »Abirrungen«, jak twory analogiczne (str. 67). Prócz praw głosowych i tworów analogicznych, pozostaje dla niego w języku jeszcze mnóstwo niepewnych i sporadycznych zmian głosowych, a wreszcie wiele całkiem ciemnych procesów, jak np. skracanie i rozszerzanie wyrazów (str. 84). Co do pierwotnego indoeurop. wokalizmu, próbuje Curtius połączyć nową hipotezę z dawniejszą w ten sposób, że najpierw były tylko trzy samogłoski *a, i, u*, później zaś — lecz jeszcze w dobie pra-indoeurop. — rozwinęły się też *e, o*; z tem wszystkim jednakże woli się jeszcze trzymać dawniejszej teorii. W dalszym ciągu oświadcza się przeciwko hasłu »*Le gotina est mort*« (Havet), a dość ostrożnie także przeciwko »*nasalis sonans*« Brugmanna, jakkolwiek przypuszcza, że w pierwotnym języku indoeurop. mogła ona istnieć. Co do kwestyi »morfogonicznych« zwraca uwagę, że nowsza szkoła gramatyczna wciąż się niemi zajmuje, choć formalnie wyrzeka się ich prawie manifestacyjnie. Wszelkie »pierwiastki« i »tematy« mają dziś tylko dydaktyczne znaczenie, fleksya bowiem była już w dobie pra-indoeurop. całkiem gotowa. Teoriy agglutynacyjnej Boppa odrzućć dziś niepodobna; do objaśnienia zaś tych kwestyi przychyliłaby się niemal analogia innych języków, nieindoeuropejskich (str. 149). Z tego wszystkiego można zauważyć, że różnica pomiędzy nowszą a starszą nauką nie jest już tak rażąca, jak była z początku. Obie strony zmodyfikowały już nieco swe pierwotne zapatrywania, tak, że różnica ta tyczy się już więcej formy, jak treści. Przeciwników swych traktuje Curtius z wielką godnością, w krytyce nowych teorii posługuje się najczęściej głosami samych »mlodo-gramatyków«, w czem zwłaszcza włoscy i francuscy uczeni są mu nieraz bardzo na rękę. Brugmannowi przyznaje, że pomysły jego obudziły niezwykły ruch na polu badań lingwistycznych i rozjaśniły niejedną już kwestyę.

J. II.

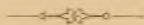
— *Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft*, herausgegeben von F. Teichner. (Leipzig, 1884. Band I, str. XVI, 518, tablic 7). — Mamy już przed sobą cały tom pierwszy nowego, prawdziwie »międzynarodowego«, czasopisma lingwistycznego, o którego pierwszych zeszytach w roku zeszłym daliśmy krótką wiadomość. Pierwszy to organ traktujący wszystkie języki świata na równi, i to tak z historyczno-porównawczej, jak z fizyologi-

cznej i psychologicznej ich strony. Współpracownikami jego są uczeni rozmaitych kierunków i zapatrywań, starsi i młodsi, europejscy i pozaeuropejscy, piszący dotąd po niemiecku, po francusku i po angielsku. Umieszczane też będą artykuły w języku włoskim i łacińskim, a wyjątkowo i w innych. Po przedmowie wydawcy, poświęconej pamięci Willh. Humboldta i opatrzonej piękną ryciną pomnika, wystawionego temu uczonemu przed uniwersytetem berlińskim, rozpoczyna szereg rozpraw praca »nestora« lingwistów A. F. Potta p. t. *Einleitung in die allgemeine Sprachwissenschaft* (str. 1—68). Jestto właściwie przedruk dawno już drukowanego artykułu treści sprawozdawczej i krytyczno-bibliograficznej. Czytamy tu o pochodzeniu języka, o filozofii mowy ludzkiej, o jej stronie fizycznej i duchowej, o porównywaniu i grupowaniu rozmaitych języków świata; wszystko w dość chaotycznym układzie. W dalszym ciągu tego artykułu (str. 329 nn.) mamy gorzkie przymówki do dzisiejszych teorii gramatycznych, zakończone ostrą polemiką z tymi, którzy jak Max Müller nie wierzą w teorią onomatopeiczną. Sam wydawca czasopisma, docent uniwersytetu lipskiego Dr Techmer, przyrodnik-lingwista, podaje jako »wstęp do fonetyki« (str. 69—170) najważniejsze rezultaty badań dotychczasowych nad fizyologią języka, wyjęte z pięknego swego dzieła »*Phonetik*.« Zajmuje się on tu fizykalno-akustyczną i anatomiczno-fizyologiczną stroną mowy ludzkiej, i podaje spostrzeżenia dokonane w ostatnich kilku latach, opatrzone wybornymi ilustracyami i siedmioma oddzielnymi tablicami. Uwzględniony tu jest i język polski. W innym krótkim artykule podaje p. Techmer projekt jednolitej transskrypcyi wszelkich dźwięków mowy ludzkiej, za pomocą pisma łacińskiego, opatrzonego rozmaitemi znaczkami dyakrytycznymi. Dalej następuje krótki artykuł uczonego amerykańskiego Garricka Mallery o mowie za pomocą gestów (*Sign language*) i spóźniona już nieco polemika profesora wiedeńskiego Fr. Müllera o »prawa głosowe.« Dowodzi on, że nie są to »prawa natury«, jak np. prawa fizyki, bo nie są wieczne, lecz powstają, rozwijają się i znikają; uważa je więc niejako za »prawa mody.« Delbrück i H. Paul oświadczyli się już w r. 1880 przeciwko pojmowaniu »praw głosowych« jako »prawa natury«, a Brugmann dla tego samego wolalby je nawet nazywać »Lautconsequenzen«, niż »Lautgesetze.« — Sławny Max Müller z Oxfordu dowodzi dalej, że wedyjski Dźáhusza jest identyczny z greckim Dzephürosem (Zefir), a więc jest jednym z pierwotnych indoeurop. nazwisk wieczornego słońca. — W artykule »*De la categorie du genre*« zwraca uwagę Lucien Adam z Nancy na znaczenie mitologii porównawczej przy kwestyach dotyczących się »rodzaju« imion. Z nową teorią form »słownych« występuje A. H. Sayce z Oxfordu w artykule: *Person-endings of the indo-european verb* (str. 222 nn). Zdaniem jego cała konjugacya składa się właściwie z form »imiennych«; wątpimy jednakże, czy kto w to uwie-

rzy. Najpiękniejszą bezwątpienia rzeczą w całym tym tomie jest praca K. Brugmanna, twórcy dzisiejszych teorii gramatycznych. Zastanawia on się nad pokrewieństwem języków indoeurop. (str. 226 nn.) i dowodzi, że tylko języki litewskie ze słowiańskimi, a indyjskie z irańskimi są bliżej spokrewnione, niż z innymi językami indoeurop. Właściwości łączące niby grupę litewsko-słowiańską z germańską z jednej, a z indyjsko-irańską z drugiej strony, są tylko przypadkowe, powstały bowiem nie w dobie wspólnego jeszcze pożycia, lecz na gruncie każdej z tych grup oddzielnie. Tylko ogromna ilość zjawisk wspólnych pewnym językom i odróżniających je tak od innych języków pokrewnych, jak i od wspólnego prajęzyka indoeurop., świadczy o bliższem ich ze sobą pokrewieństwie. — O. Donner pisze dalej o wpływie języków *litewskich* na *fińskie*, i przytacza około 120 wyrazów litewskich, przyswojonych przez języki fińskie już w pierwszych wiekach po Chr. Niestety jednak widzimy między nimi około 30 takich wyrazów, które dopiero znacznie później przyswoiły sobie języki litewskie ze słowiańskich; widocznie więc do Finnów dostały się nie tak dawno. Przypuścić jednak można, że z innych wyrazów wiele dostało się do szczepów fińskich może dawniej nawet, niż autor sądzi, a mianowicie wtedy, kiedy Słowianie z Litwinami jednym i tym samym jeszcze mówili językiem. — Następuje kilka prób metody gramatycznej w języku *chińskim*, podanych przez jednego z pierwszych dziś sinologów, prof. Gabelentza; dalej pisze K. Himly o językach jednozgłoskowych południowo-wschodniej Azji, a M. Kruszewski z Kazania podaje przeróbkę swej pracy rosyjskiej: *Oczerk nauki o jazykò* (Kazań, 1883). Jest to dość ciężko napisany artykuł tegosamego rodzaju, co piękna praca H. Paula »Principien der Sprachgeschichte« (Halle, 1880). I w rezultatach niewiele między nimi różnicy. — Szwedzki uczoney J. A. Lundell podaje w przekładzie francuskim bardzo piękny artykuł: *Sur l'étude des patois*. Niewiele tu wprowadzie nowego, w szczególach jednakże znajdzie się niejedna cenna i nader trafna uwaga. Pracę tę śmiało polecić można naszym badaczom gwar ludowych i tym wszystkim, którzy zajmują się zbieraniem pieśni, powiastek i tradycji, zabobonów, zagadek i przysłów ludu naszego. — W dalszym ciągu pisze Radłow z Kazania o rozmaitych metodach, według których można nauczyć się czytać (Lesen und Lesenlernen), i podaje początek pracy o jednym z języków tureckich (Zur Sprache der Komanen), którego ślady zawiera nowo wydany *Codex Cumanicus*. Szereg tych rozpraw kończy, wyjątek z niedrukowanego dotąd ogromnego rękopisu Wilh. Humboldta, opatrzony cynkografowanym faksimile tego filozofa-lingwisty. Po trzech krótkich recenzjach Gatscheta z Washingtonu i Harleza z Louvain, następuje obszerna *bibliografia* krytyczno-sprawozdawcza z r. 1883 (str. 416—499), dokonana przez samego wydawcę. Kilka notatek i dokładny rejestr zamykają ten tom nowego czasopisma, prezentujący się i ze strony zewnętrznej nader wspaniale.

J. H.

Przegląd polityczny.



Kraków, w marcu 1885 r.

Smutna i gorsząca odegrała się w tym miesiącu sprawa w Krakowie i w innych miastach polskich. Jak wiadomo, komitet zajmujący się postawieniem pomnika dla Mickiewicza, ogłosił konkurs na wykonanie modeli, przeznaczając na trzy najlepsze, odpowiednie nagrody. Aby wartość artystyczną tych nadesłanych potem modeli ocenić, wybrał komitet sąd, składający się z osób posiadających powszechnie zaufanie, a nadto po części fachowych, a po części znających się na sztuce. Dość tu wymienić P. Popiela, p. Zacharyewicza, Romera, Przedzieckiego, profesora Sokołowskiego. Nadto starano się o to, aby każda dzielnica Polski miała w tym sądzie swego członka. Jakkolwiek sąd tak złożony posiadał wszystkie warunki, tak pod względem znajomości rzeczy, jak dobrej woli, bo któż z nich nie byłby pragnął jak najpiękniejszego pomnika dla ukochanego wieszca, to jednak, aby żadnego nie pominąć środka, któryby się mógł przyczynić do upiększenia pomnika lub uchylecia wad możliwych, wezwał znakomitych dwóch biegłych z zagranicy, jednego Niemca, a drugiego Francuza, aby bez miłości własnej, bez przyczynku chełpliwości, z ogólnego stanowiska piękna ocenili dzieło sztuki polskiej. Czyż to nie jest dowodem sumienności członków sądu w spełnieniu poruczonego im zadania? Czyż mogli więcej uczynić, aby położonemu w nich zaufaniu zadość uczynić? W rzeczy samej zdaje się, że znając zako-

rzenie od wieków wady i narowy ziomków swoich, przewidywali, co ich czeka, że przeczuwali krzyki: Zdrada! Protekcyje! niesprawiedliwość! Cudzoziemczyzna! kiedy się tak szczerze przeciw możebnym posądzaniom obwarowali.

Lecz, przepraszamy za wyrażenie, głupstwu połączoneму ze złością, ani mądrość mądrych, ani roztropność roztropnych, ani przebiegłość przebiegłych nie zdoła skutecznego stawić oporu. Ledwo wyrok zapadł, nawet jeszcze nim był zapadł, nie pytano się ani o jego znaczenie, ani o jego doniosłość, o jego sprawiedliwość, dość, że zapadł: dość, że powaga, choć przez nich samych ustanowiona, śmiała swoje słowo stanowczo wbrew życzeniu tego lub owego wypowiedzieć, aby się na nią sypnęły, jak grad, protesty, posądzania, podejrzenia i t. p. Jest to objaw okropnego i zatrważającego usposobienia anarchicznego, które nie umie ani swoich myśli czyli opinii, ani swej woli, ani uczuć i namiętności pod żadną, choćby najlżejszą powagą poddać nawet na chwilę, dopóki rzecz sama nie będzie dostatecznie znaną. Taka niesforna swawola łamie i niszczy w samym zarodzie wszystko dobre, co wspólnymi tylko siłami dokonane być może, odcinuje, a przynajmniej osłabia odwagę w tych, którzy szczerze pragną i mogą publicznej sprawie skutecznie służyć, wyziębia do niej miłość obawą, że nim coś dobrego zdoła zrobić, musi pierw wdziać na się zbroję żelazną, aby go zasłoniła od pocisków śmiertelnych.

Trudno uwierzyć, aby było podobnem, że źródłem tych swarów, tych swawolnych i lekkomyślnych posądzau była zazdrość tych artystów, których utwory żadnej nie osiągnęły nagrody. Smutnemby to było zjawiskiem, gdyby to było prawdą, ale mniej bolesnem, niż gdyby to było objawem anarchicznego usposobienia całego społeczeństwa naszego. W pierwszym bowiem razie byłoby to tylko dowodem słabości, ułomności indywiduów: a w ostatnim starodawną wadą społeczeństwa, które nie znosi powagi. Jedno złe, drugie jeszcze gorsze, a niestety, zdaje się jedno i drugie mieć coś prawdy w sobie. Pan Styka udowodnił, że obrażona miłość własna pierwsze do wrzawy wydała hasło. Bolesną tylko jest, że znaczna część publiczności za takim poddmuchem poszła na oślep.

Jedna chwila zastanowienia się, powinna być wystarczyc do rozproszenia niewczesnych sądów i uśmierzenia porywczego i niczem nieusprawiedliwionego oburzenia. Czyż orzeczenie znawców, że z pomiędzy wszystkich trzy tylko modele pod względem artystycznego pomysłu i wykonania zasługują na nadgrodcę, było już rozkazem, że ten, a nie inny bez żadnej modyfikacyi ma być wykonany? Nie godziło się poczekać chwilę, aby się dowiedzieć, że żaden z modeli za bezwzględnie odpowiedni nie został uznany, że tylko względnie do wszystkich nadesłanych jeden za najlepszy ogłoszono i do pierwszej podano nadgrodcę, nim porywczce zaczęto wydawać sądy, protesty i oskarżenia? Co zaś najprzykrzejsze robi wrażenie, to jest, że ta lekkomyślność z sumiennosci nawet sądu konkursowego umiała mu zrobić zarzut bardzo popularny, że cudzoziemcy do niego przybrani nie są w stanie ocenić dzieła sztuki narodowej. Dla bezmyślnych patriotów brzmi to bardzo przekonywająco, choć jest bez znaczenia i powodu. Bo czyż tam nie było Polaków, którzyby nie byli umieli obronić charakteru narodowego? Czyż tam zasiadali ludzie, którzy żadnego zdania własnego nie mieli i tylko za tymi dwoma cudzoziemcami pacierz mówili? Nie jestże to ciężkiem ubliżeniem sądowi, a raczej samym sobie? Bo go Polacy wybrali, a wybrali przecież ludzie, którym ufać, których szanować muszą, i mają wszelki do tego powód. Czyż ci obrońcy narodowości nie czują, że takim zarzutem sami siebie o niedołęztwo obwiniają? Jak zwykle, tak i w tym przypadku miłość własna i namiętność nie liczy się z rozumem i rozsądkiem. Lecz na tem nie koniec; zapytajmy się tych panów: czy dzieła, przedmioty sztuki narodowej mają być pozbawione znamion piękna w ogólnosci? Czyż zatem biegły w sztuce cudzoziemiec nie zdola w naszej sztuce narodowej ocenić właściwego piękna? Czyż utworów Matejki, jak Unia, Hold pruski, Sobieski i w. i., nie podziwiają cudzoziemcy ci nawet, w których te dzieła przykre budzą wspomnienia? Czemu? Dla ogólnych znamion piękna, które w nich znajdują? Czemuż i my podziwiamy utwory sztuki innych narodów? Dla czegoż tedy i w oceniu pomnika, który mamy stawiać Mickiewiczowi i chcemy, aby był piękny, nie mieli brać udziału i cudzoziemcy, a

zwłaszcza biegli znawcy w tej dziedzinie? Jakże tedy był błahym i naiwnym ten zarzut w popularną szatę narodowości przybrany? A cóż dopiero mówić o tych brzydkich oskarżeniach, posądzeniach, zarzutach przekupstwa, nasuwających smutne pytanie, czego mogą być zdolni ludzie, którzy w działaniu drugich a wypróbowanej uczciwości, nie umieją zrozumieć i przypuścić dobrej wiary i dobrego zamiaru?

Jedyną, ale zarazem wielką jest dla nas pociechą, że cała prawie prasa polska, szkoda że z wyjątkiem kilku pism warszawskich, potępiła stanowczo te zakusy anareliczne. Publikowany protokół narad sądu konkursowego usprawiedliwił jak najzupełniej głos prasy, a tych wszystkich, którzy czy to z pobudek upokorzonej miłości własnej, czy podbechtani przez upokorzonych podnosili krzyk, protestowali, krzywdzili sędziów najrozmaitszemi posądzeniami, obsypał prostem opowiedzeniem prawdy wstydem. Jest to najpiękniejsza satysfakcja, jaka się należała tym, którzy swoją wiedzę, czas i pracę poświęcili dla dobra publicznego. Mamy bowiem nieplonną nadzieję, że w obec oczywistej prawdy mylne i fałszywe posądzenia w kąty się pokryją. Oby tylko ten smutny przykład był skuteczną nauką na przyszłość!

Prawica Izby poselskiej Rady państwa nie może przyjść do statecznego pokoju. Ledwo różne jej kluby przy obradach nad budżetem doszły do wzajemnego porozumienia się i zapowiadały wspólne nadal działanie, aż tu minister kultu Conrad rzucił niespodzianie kość niezgody. W dniu 11go b. m. przed rozpoczęciem dyskusji nad budżetem szkół średnich, zabrał głos minister oświecenia w odpowiedzi na niektóre uwagi przez deputowanego Greutera zrobione, celem ich sprostowania i wyjaśnienia zająć zeszłorocznych w uniwersytecie wiedeńskim. Przy tej okoliczności mówił minister Conrad o przedmiocie kształcenia i wychowania młodzieży, tak stanowczo w duchu liberalnym, że go lewica oklaskami obsypała, a prawica zdumiała. Na uwagę, że przy uniwersytecie wiedeńskim tyle profesur obsadzonych jest żydami, iż słuszną jest obawa, aby się nie zamienił w drugą „Akademię orientálną“, odpowiedział szorstko, że tego nie wie i nie ma potrzeby wiedzieć, bo ustawy państwa nie zobowią-

zują go do wglądania w religię profesorów, ale jedynie w ich zdolność i zasługi na polu nauki i t. p. Każdy się pytał, co ma znaczyć ten zwrot nagły i niespodziewany? Czy minister Conrad zwątpił już o dalszem utrzymaniu się obecnego ministerstwa i przewiduje zwycięstwo lewicy? Czy to był owoc zniecierpliwienia się wycieczkami przeciw jego administracyi? Bądź co bądź w każdym razie było to wystąpienie bardzo neifortunne. Zwłaszcza, że nie trudno było przewidzieć dalszego ciągu. Nazajutrz, nie wchodzimy w to, czy się to stało dobrowolnie czy poniewolnie, zajął p. minister głos w tej samej materyi i usiłował zatrzeć, a przynajmniej osłabić złe wrażenie poprzedniej mowy i zarzekał się, że w czasie swej administracyi starał się zawsze utrzymywać i wzmacniać ducha chrześcijańskiego i religijnego w zakładach naukowych. To oświadczenie, noszące charakter rewokacyi, było za słabe, za ogólnikowe, aby zaspokoić prawicę, a za mocne dla lewicy, aby go mogła nadal uważać za swego. Trudno pojąć, jak minister, który w obecnem ministerstwie kilka lat zasiadał i wspólnie z niem pracował, mógł w końcu sesyi i krótko przed wyborami tak jedność ministerstwa, jak prawicy, w tak dotkliwy sposób naruszyć.

Budząca od dłuższego czasu żywy interes w szerokich kołach społeczeństwa sprawa kolei Północnej, została wreszcie stanowczo rozstrzygniętą w sposób, odpowiadający zarówno interesom państwa, jak postulatowi sprawiedliwości: *Consumatum est*. Wąż morski zgładzony, a krzykliwej opozycyi wyszłiznął się z ręki znowu jeden środek agitacyjny, którym sztucznie i tendencyjnie umiano podtrzymywać pewnego rodzaju gorączkowe rozdrażnienie w tych sferach ludności, od których trudno wymagać głębszego zrozumienia finansowych i prawnych motywów, przemawiających bardzo wymownie przeciw przejęciu *à tout prix* kolei Północnej na rachunek państwa. Po zaciętej i pełnej burzliwych epizodów walce parlamentarnej, po przeprowadzeniu dość zawilych rokowań z frakcyami prawicy, oświadczyła się Izba deputowanych naprzód w zasadzie za zawarciem nowej ugody, a następnie przyjęła w trzeciem czytaniu cały projekt ugody według redakcyi komisji kolejowej i z poprawkami, jakie wniósł baron Schwegel w imieniu klubu Coroniniego.

Zawiodłoby nas zbyt daleko, gdybyśmy chcieli poddać szczegółowemu rozbiorowi wszystkie postanowienia nowej ugody; wystarczy tylko zaznaczyć krótko, iż uchwalone świeżo stypulacye tej ugody, zapewniają zarządowi państwa wcale daleko sięgającą ingerencyę w sprawie unormowania taryf; zabezpieczają ludności takie same taryfy, jakie państwo zaprowadzi na swoich własnych liniach kolejowych; zniżają tantiemę akcyonaryuszów kolei na 100 zlr. od akcyi; przysparzają skarbowi państwa zaliczki gwarancyjne za kolej morawsko-szlązką, w wysokości dorównywującej niemal ostatniemu ogólnemu deficytowi budżetowemu; nakładają na Towarzystwo obowiązek wybudowania nakładem 30 milionów zlr. szeregu kolei lokalnych; orzekają, iż po upływie 54 lat cała sieć kolei Północnej bez żadnego wynagrodzenia przechodzi na rzecz państwa, a wreszcie rezerwują państwu prawo wykupienia już po 18 latach wszystkich linii Towarzystwa pod warunkami ściśle określonymi.

Zdaje się, że nikt bardziej od rządu nie jest kompetentnym do ocenienia, czy zarząd państwa może jeszcze objąć na siebie dalsze ciężary administracyjne, i czy zachodzi konieczny obowiązek mnożenia tych ciężarów, a tem samem wyęźniania nad siły administracyjnego aparatu. Jeżeli możebnem było zawarcie ugody odpowiadającej interesom państwa i potrzebom ludności, to stawało się zbytecznem zastępować przedsiębiorstwo prywatne bezpośrednią akcyą państwa. Skoro rząd w ugodzie wyraźnie i kategorycznie zastrzegł sobie prawo zakreslenia prywatnemu przedsiębiorstwu linii, wśród których się ono w sposób dla interesów publicznych korzystny obracać może, to odpadła konieczność zwalania na swoje własne barki czynności prywatnego przedsiębiorstwa, a to tem bardziej, gdy nabycie kolei Północnej, czy to w drodze dobrowolnego porozumienia, czy też w drodze przymusowego wywłaszczenia, połączone było z ogromnemi trudnościami i zawikłaniami, z któremi liczyć się musi każdy rozumny rząd i każdy trzeźwy mąż stanu. Czują to dobrze prawica, a czują może nie mniej lewica, skoro mimo dyscypliny klubowej i mimo całej sofistycznej wymowy Herbsta, przy głosowaniu absentowało się tak wielu z pośród niej

członków, a między tymi kilku poważnych i zupełnie niezawisłych posłów.

Przy gorączkowej namiętności, z jaką walkę prowadzono i wobec nieustannych usiłowań, aby z tej czysto ekonomicznej i finansowej kwestyi ukuć broń dla opozycyi, przynosi ostateczny rezultat tej całej dyskusyi znaczące zwycięstwo dla gabinetu Taaffego. Lewica porzuciła tym razem swoje tradycje i swoje ulubione sympatye dla spekulacyj prywatnych, i stała się fanatyczną zwolenniczką systemu upaństwowienia nie z głębokich, wewnętrznych pobudek, płynących z przekonania, ale wyłącznie dlatego, aby oponować rządowi, który jej nie dogadza, i aby rozbić parlamentarną większość, na której ten rząd się opiera. Mówiono bardzo wiele o upadku ugody z kolejją, a myślano nieustannie o upadku rządu. Ten manewr stronnicy nie powiódł się; kluby prawicy stanęły karnie, a jeżeli w tym specjalnym wypadku oderwały się od niej niektóre zbyt często wybujałym indywidualizmem odznaczające się jednostki, to w ich imieniu ks. Alojzy Liechtenstein wyraźnie oświadczył, iż w kwestyach natury politycznej nie odbiegną one i nadal tego wspólnego sztandaru, którego dotąd z pożytkiem dla państwa broniły.

Z rozwiązaniem kwestyi kolei Północnej, załatwiła Izba najdrażliwsze zadanie przed feryami wielkanocnymi. Przyjęcie dawnych przedłożeń rządowych, przeważnie drobniejszego znaczenia, nie napotkało już na zasadniczy opór, a nawet nie oponowano przyjęciu ustawy o prowizorycznem uregulowaniu dotacyi katolickiego duszpasterstwa w redakcyi uchwalonej przez Izbę panów. Niedawno bowiem uparła się Izba deputowanych, nieznaczną większością głosów przytem, aby proponowane ulepszenie dotacyi duchownych nastąpiło bezwarunkowo z dniem 1 stycznia 1886 r., mimo że rząd kategorycznie oświadczył, iż podobnej ustawy ze względów finansowych nie przedłoży do sankcyi monarszej. Izba panów jednak po przekonaniu, że niedola wielkiej części katolickiego duszpasterstwa wymaga natychmiastowej pomocy, zmieniła odnośny paragraf ustawy, stósownie do życzeń rządu w tym duchu, iż ulepszenie kongruy będzie przeprowadzone stopniowo w przeciągu trzech lat. Tak zmodyfikowany projekt do ustawy, przyjęła ostatecznie i Izba deputowanych.

Nie można jeszcze milezieniem pominąć tej okoliczności, iż w imieniu wszystkich biskupów złożył kardynał Ganglbauer w Izbie panów oświadczenie, w którym episkopat zastrzega sobie swobodny zarząd majątkiem funduszu religijnego, podtrzymuje kościelny jego charakter i waruje prawa Kościoła do tegoż funduszu. Wskutek tego przyjętą także została rezolucya wzywająca rząd, aby celem ostatecznego uregulowania dotacyi katolickiego duszpasterstwa, wniósł jak najspieszniej stosowne projekty do ustaw, lecz aby poprzednio, w porozumieniu z biskupami, zastanowił się nad nieodzownemi tego uregulowania warunkami.

Jeżeli cały interes na polu wewnętrznej polityki skupiał się w Przedlitawii w ostatnich dniach około sprawy kolei Północnej, to opinia publiczna Zalitawii niemal wyłącznie zajmowała się doniosłą dla prawodawczego ustroju Węgier kwestyą reformy Izby magnatów. W chwili, gdy to piszemy, przestała już faktycznie istnieć dawna Izba magnatów, a dotychczasowi członkowie tej starożytnej instytucyi, wydali olbrzymią większością głosów sami wyrok śmierci na nią, zadając tem samem bolesne, głębokie cięcie, własnemu organizmowi, na którym dokonali dobrowolnej amputacyi. W pierwotny projekt Izby deputowanych wprowadziła wprawdzie Izba magnatów pewne modyfikacye, ale nie są one tak zasadnicze, aby nie uzyskały aprobaty ze strony p. Tiszy. Zatrzymano bowiem postanowienie, według którego ci tylko pełnoletni magnaci będą nadal dziedzicznymi członkami Izby wyższej, którzy ze swojej własności ziemskiej płacą przynajmniej 3000 zlr. rocznego podatku, i pozbawiono miejsca i głosu w Izbie nadżupanów i tytularnych biskupów, a tylko ograniczono liczbę członków dożywotnich, których ma mianować Korona i przyznano obecnej Izbie prawo wyboru raz na zawsze pięćdziesięciu członków do nowej Izby. Bardzo drażliwy punkt, dotyczący wyliczenia praw inicjatywy Izby magnatów ominięto zręcznie orzeczeniem, iż prawa te zostaną później określone osobnem postanowieniem. Zresztą nastąpić jeszcze będzie musiało drugie ustawodawcze postanowienie, a mianowicie inartykułowanie listy tych magnatów i ich bezpośrednich potomków, którzy zatrzymają zawsze krzesło

w Izbie magnatów, jeśli tylko opłacać będą podatek gruntowy w sumie 3000 złr. rocznie.

Przyjęcie ustawy całej w redakcyi uchwalonej przez Izbę magnatów, nie napotka na opór w Izbie deputowanych, tem bardziej, że p. Tisza zdecydowany jest uczynić z tej sprawy kwestyę gabinetową. A jeżeli p. Tiszy nie powiodło się przeprowadzić w zupełności reformy Izby magnatów według projektu, jaki sobie pierwotnie nakreślił, to jednak osiągnął on jeden bardzo ważny rezultat, a mianowicie, że przez usunięcie niezliczonej liczby magnatów i oznaczenie stałych ich cyfry, stworzył nowy, należyście określony czynnik prawodawczy, z którym rząd w przyszłości rozumnie będzie się mógł liczyć.

Z ziem polskich pod zaborem rosyjskim zostających, nie pomyślnego, dopóki system obecny panuje, spodziewać się nie możemy. Nie mówimy tu już nie o dzikim prawdziwie tonie prasy rosyjskiej, która w swej nienawiści do wszystkiego, co polskie i katolickie, nie ma miary i pobamowania, ale pominąć nam się nie godzi drugiego smutnego i bolesnego nader wypadku, wywiezienia X. Harasimowicza. Fakt ten bowiem dowodzi, że rządowi rosyjskiemu nie chodzi już ani o pozór obwinień politycznych, ale jedynie o wyniszczenie wiary katolickiej i wykorzenienie zupełne jej instytucyi. Na X. Biskupa Hryniewieckiego nie padł żaden nawet cień podejrzenia o mieszanie się do spraw narodowych i politycznych, ale mogli powiedzieć, że się władzom cywilnym naraził przez karanie duchownych, którzy prócz sukni, nie duchownego na sobie nie mieli, lecz byli ulubieńcami rządu.

O X. Harasimowiczu i tego nawet powiedzieć nie mogą, bo jeszcze nie ujął steru administracyi w swoje ręce, nie mógł się przeto nikomu narazić, był tylko prawnie ustanowionym administratorem, nie mógł zatem nie takiego zrobić, coby na tak straszliwą zasługiwało karę, bo nie miał do tego czasu. Za cóż tedy został wywieziony? Z pewnością nie za akty jurysdykcyi kościelnej, bo ich jeszcze nie wykonywał, ale za to, że reprezentował prawowitą władzę duchowną. Ztąd wynika oczywiście, że rząd rosyjski nie chce wcale prawowitej władzy kościelnej, ale ma zamiar posługiwać się niekzemnymi wtrętami, jak to przed X. Biskupem

Hryniewieckim przez przeciąg dwudziestu lat czynił, dopóki nie znajdzie narzędzia, które będzie zdolne tę nieszczęśliwą ludność do schizmy poprowadzić. Taki, jak się zdaje, los gotuje rząd rosyjski Litwie. Wszystkie zatem dzienniki polskie, które bez wszelkiej oględności przyjmują korespondencye lub same piszą o czynnościach i usposobieniu zacnych duchownych, którzy tam jeszcze pozostali, przyczyniają się przez swoją nieostrożność do ich wywiezienia. Jestto prawdziwie pewnym rodzajem denuncyacji.

Dawniej mógł rząd rosyjski uwodzić Stolicę Apostolską, że wszystkie okrucieństwa, jakich się na Polakach i katolikach dopuszczał, były wywołane powstaniami i mniemaniami rewolucyjnymi; dziś ma aż do zbytku dowodów najoczywistszych, że te zarzuty, w których obecnie cienia nie masz prawdy, były i są czezemi, a nawet zbyt przezroczystymi pozorami, podobnie jak w Prusach. Watykan tem lepiej to czuje i przyjmuje, co to znaczy żyć pod obcym i nieprzychylnym sobie rządem, skoro się, niestety, sam pod ob^u dostał panowanie.

Nie chcemy tu pominąć drobnego wprawdzie, ale dla naszej prasy pouczającego zdarzenia, jakie zaszło 11go b. m. z telegramem rozesłanym tylko do polskich pism publicznych tej treści: „że w wyborze kandydatów na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie i Poznańskie, Watykan odrzuca X. Wanjurę (obecnie proboszcza katedralnego w Pelplinie), z powodu, że będąc mieszczkańskiego pochodzenia, nie będzie miał ani zaufania, ani wpływu. W takich okolicznościach lepiej będzie, że archidiecezycy zostaną całkiem bez biskupa, aniżeli żeby miały dostać takiego. Kurya rzymska pragnie, aby przyszedł arcybiskup pochodził ze szlachty polskiej“. Jedne redakcyje odebrały ten telegram niby z Rzymu, drugie niby z Wiednia, a inne z Berlina mniej-więcej w tych samych słowach; jedne umieściły go *pure* i nazajutrz dopiero zrobiły odpowiednie uwagi, drugie uczyniły to zaraz. Treść bowiem tego telegramu nosiła na sobie tak wyraźne piętno podrobienia i tendencyi rzucenia obelgi na Stolicę Apostolską, a mianowicie w Niemczech i Prusach, gdzie z sześciu biskupów niedawno zamianowanych, ani jeden nie pochodzi z szlacheckiego rodu, że nie trudno było na tym podstępnie się poznać. Organ kan-

clerza, t. j. *Norddeutscherka*, nie omieszkała też natychmiast tej nieostrożności naszej prasy wyzyskać tak przeciw Papieżowi, jak i Polakom. Dziś jest już rzeczą pewną, że ten telegram wyszedł z kuźni półrządowej w Berlinie, aby sobie z tego fabrykatu rzuconego w świat, utworzyć popularny środek do miotania obelg na Papieża. Inspiratorowie *Norddeutscherki* wiedzą bardzo dobrze, że niczem nie zdołają w Poznaniu większego wzniecić oburzenia przeciw Stolicy Apostolskiej, jak takimi niedorzecznymi twierdzeniami. Rzucić na Papieża obelgę, że mu nie chodzi o dobro religii, ale o intrygi polityczne, a na Polaków, że knują spiski w Watykanie przeciw Niemcom, a mianowicie Prusom, to jest dziś najpospolitszy środek polityki kościelnej w Berlinie. Prawda, że ta broń zbyt często używana już się stępiła i na rozsądnych ludziach wrażenia nie robi, ale ileż jest rozsądnych i takich, którzy wzrokiem swoim sięgną aż po za obsłonę kłamstwa? W walce zatem z takimi przeciwnikami Kościoła i narodowości naszej nie może być prasa polska zadostojnie ostrożną i oględną.

Z Niemiec, a w szczególności z Prus, mamy w tym czasie niemało do zapisania. Nasze przewidywania w przeszłym poszycie wypowiedziane, że przy obradach nad budżetem kultu ruszą się na nowo katolicy i Polacy, nie zawiodły nas, bo się w tym przeciągu czasu dosyć palnego materiału nagromadziło. Podpalili go już kanclerz w swej przemowie mianej w parlamencie niemieckim dnia 3 Grudnia z. r. odpierając wniosek Windhorsta o zniesienie ustawy o banicyi duchownych. Na takie zapowiedzie, a nawet groźby nie mogli członkowie centrum i Polacy, którzy szczegółowo byli dotknięci, nie mogli milczeć. Mimo tego wszystkiego byłaby jednak dyskusya przybrała charakter umiarkowańszy, gdyby deput. Stoecker, predykant nadworny, tlejącego się zarzewia swoim wystąpieniem nie był rozdmuchał.

P. Stoecker bowiem ponowił wniosek, który już w przeszłym roku był postawił, ale bezskutecznie, aby rząd przez wzgląd na zwiększającą się z każdym rokiem ludność Berlina, a mianowicie na szerzący się wraz z socjalizmem ateizm, tak, iż się pod nogami grunt już trząść zaczyna, przyszedł gminom w pomoc ze skarbu publicznego na budowę ko-

ściołów, których Berlin w ogólności ma za mało. Motywując swój wniosek, powiedział pomiędzy innymi, że kościół ewangelicki, który dotąd całkiem znajdował się w objęciach rządu, teraz kiedy cień przynajmniej autonomii uzyskał, nie jest w stanie o swojej mocy się utrzymać i potrzebuje koniecznie pomocy państwa. Prócz tego, jak to jest zwyczajem tego posła, wypowiedział kilka zdań, któremi zadrasnął tak katolików, jak liberalów, a w ciągu dyskusji posunął się w swoim zapale tak dalece, że Papieżowi, który w jednej z swych przemówień szerzenie się herezyi pod jego boki nazwał „bezbożnością“ zrobił zarzut, że w rzeczy samej jest „najzagrabszym Kulturkaempferem.“

Mogliż katolicy takie komplementa mileżkiem przyjąć? Rozwinęła się tedy dyskusja żwawa i cięta, jak to już sam przedmiot nasuwa. Katolicy odpierając najpierw mylne twierdzenie p. Stoeckera, jakoby Prusy były państwem ewangelickim, a kościół ewangelicki kościołem państwa, dowodzili i utrzymywali śmiało i z wielkim naciskiem, że w Prusach podług konstytucyi nie ma kościoła, czyli religii panującej, ale raczej zupełne równouprawienie kościoła katolickiego i ewangelickiego; że gdyby rząd z publicznego skarbu takie wsparcia miał udzielać kościołowi ewangelickiemu, musiałby je przyznać w odpowiedniej kwocie i katolikom, wyznaniom innym, a nawet i Żydom, bo wszyscy zarówno płacą podatki, Katolicy nie domagają się od rządu pieniędzy, ale wolności. nie lękają się tego bynajmniej, aby się ich kościół bez pomocy państwa nie utrzymał, przeciwnie, nie życzą jej sobie nawet, bo każdą jego pomoc drogo muszą opłacić uszczerbkiem wolności i niezawisłości. Taki rodzaj dyskusji jest z natury swej drażliwy. Protestanci nawet z obozu liberalnego powstali przeciw wnioskowi Stoeckera, jedni z powodu, że uważają kościoły za niepotrzebne w ogólności, a drudzy, że się czuli urażonymi wyznaniem takiej słabości kościoła ewangelickiego zrobionem przez własnego ich predykanta. To już wystarczało, aby rozpalic umysły i zaostriżyć języki, a gdy padły wyżej przytaczane słowa o Papieżu, buchła dyskusja płomieniem. Rozpoczęły się rozprawy o tolerancyi, w których obie strony wyrzucały sobie fakta jej przeciwne, a każda według swego rozumienia. Katolicy mieli tu sprawę łatwą,

bo odwołali się na ustawy majowe, które świadczą i świadczą będą na zawsze, czem jest tolerancya protestancka. Z tej materji niewdzięcznej przeniosła się dyskusya na pole polityki wyborczej, jakiej się stronnictwa trzymały w wyborach do parlamentu niemieckiego. Tu katolicy korzystali z podanej im zręczności wyjaśnienia swej taktyki wyborczej. Wyowiedzieli otwarcie i śmiało, że walczyli i nadal będą walczyć przeciw tak nazwanemu stronnictwu środkowemu (Mittelpartei) czyli Bismarkowskiemu *sans phrase*, bo je uważają za najniebezpieczniejsze dla Kościoła i zasad konserwatywnych, że zatem i przeciw tym tak nazwanym konserwatystom, którzy robią wszystko na komendę Bismarka głosować musieli i nadal głosować będą, bo ich mają za pseudokonserwatystów, którzy służbę rządową uważają za konserwatyzm. To pewna, że gdyby to stronnictwo tak nazwane środkowe, było w wyborach odniosło zwycięztwo i kanclerz powołną swym rozkazom utworzył większość, któraby się była niewątpliwie i na sejm pruski przeniosła, byłby nowe wydanie „Kulturkampf“ inaugurował. Dyskusya przez Stoeckera wywołana, która tyle drażliwych poruszyła przedmiotów, zajęła całe dwa dni czasu, a owocem jej było tylko rozjaśnienie położenia stronnictw sejmu i zaostrenie umysłów.

Takie było usposobienie Izby, kiedy najdrażliwszy przedmiot budżetu ministerstwa kultu miał przyjść pod obrady. Na samym początku tych obrad wystąpił profesor Dr Dirichlet z nader delikatną dla ministra oświaty kwestyą osławionego dziś Dra Schweningera, lekarza, który przyprowadził do zdrowia Bismarka. Ponieważ o tej sprawie wypadnie nam mówić osobno, przeto nadmieniamy teraz tyle tylko, że minister nie tak ostrością mowy Dirichleta, jak raczej rzeczą samą przybity odpowiadał słabo, niezręcznie, jak to zwykle bywa, kiedy się zlej broni sprawy. To przygnębiające uczucie niezadowolenia z samego siebie, wpłynęło może na ministra, że w dalszej dyskusyi z katolikami nie był tyle wyzywającym i szorstkim, jak to bywało dawniej. Po danej odpowiedzi ministrowi przez Virehowa, przerwał Windhorst tę wstrętą dla ministra dyskusyą, aby rozpocząć jeszcze drażliwszą, która kilka dni trwała. Po Windhorście zajął głos Schorlemer-Alst, po nim X. Stablewski, Reichensperger i inni. Że

minister na swoje odpowiedzie doczekał się znowu odpowiedniego odparcia, wspomnieć ledwo potrzeba. Niepodobną jest rzeczą przedstawiać tu wszystko, co w tych wybornych mowach powiedziano, musimy się zatem ograniczyć na krótkie streszczenie całej dyskusji.

W tych rozprawach kilkodniowych, poruszano nie specjalnie tylko kwestye w ten zakres wchodzące, ale wogóle cały „Kulturkampf“ i jego przebieg. Dawno tak obszernie i wyczerpująco nie mówiono w sejmie pruskim o tym przedmiocie, jak teraz. Oczywiście, katolicy przypominają od czasu do czasu nietylko rządowi, ale szczególnie ludowi katolickiemu, co mu zabrano i czego się dopominać ma prawo, aby ludząc się drobnemi ustępstwami, nie zaspiał sprawy, o co właśnie rządowi chodzi. Jakoż Windhorst w następujących dwóch kwestyach, które ministrowi postawił: 1) Jak daleko postąpiły układy rządu z Rzymem? 2) Czy rząd ma zamiar w tej jeszcze sesyi przedłożyć sejmowi projekt do rewizyi ustaw majowych? a jeśli nie, czemuże śmie usprawiedliwić takie traktowanie katolików, którzy będąc obywatelami kraju, mają prawo żądać, aby im wolno było żyć swobodnie podług przepisów ich religii“; wraz z należytem ich umotywowaniem objął cały obszar „Kulturkampfu“ od początku do ostatniej jego chwili. W roztrząsaniu tych dwóch kwestyj, poruszono wszystko, co do tego przedmiotu należy. Najpierw przypomniano rządowi, że tę nieszczęsną walkę, która jemu samemu jest dziś niewygodną, wywołał sam swawolnie i lekko-myślnie. Uprzątnąwszy się z nieprzyjaciołmi zewnętrznymi, z którymi trzeba się było liczyć, pomyślnie zakończoną wojną, w której tak samo katolicy jak protestanci krew swoją przelewali, rzucił się wraz z większością protestancką na katolików, aby ich zgnieść i z Kościoła katolickiego utworzyć religią narodowo-niemiecką na wzór prawosławia rosyjskiego. Aby za tak okropne przedsięwzięcie zrzucić z siebie straszliwą odpowiedzialność, podał najpierw za powód do tej walki że został przez Kościół katolicki zaczepionym, a tą zaczepką było ogłoszenie dogmatu o nieomyślności Papieża, jak gdyby to zmieniało istotę Kościoła katolickiego, z którym konkordat był zawarł. Gdy się wkrótce ten argument w proch rozsypał, i jako wybieg w śmieszność obrócił, zwałił rząd winę na

utworzenie się frakcyi centra, oświadczać drastycznie przez usta kancelarza „że centrum zrobiło mobilizacyą przeciw rządowi“, że się zatem bronić musi. Gdy i z tego wykretnu wkrótce zdarto maskę i na pośmiewisko go wystawiono, i rząd sam czuje, że mu teraz centrum daleko jest niewygodniejszem, aniżeli było przed „Kulturkampfem,“ opuszcza znowu ten argument, a przeskakując na inny, jeszcze niedorzeczniejszy, oświadcza: że nie centrum, ale Polacy są przyczyną „Kulturkampfu“ i jego trwania, bo zagrażają bezpieczeństwu państwa. Ludzie stanu, a zwłaszcza znakomici, zbyt wielką muszą mieć pogardę ludzi, jeśli śmiać taki pokarm niedorzeczności rzucać im na strawę. Bo czyż to przeskakiwanie z jednego argumentu na drugi, nie jest najoczywistszym dowodem że żaden z nich nie był i nie jest prawdziwym, ani przedmiotowo ani w przekonaniu rządu (podmiotowo)? że wszystkich tych ludzących pozorów użyto do obalania opinii publicznej, aby za jej pomocą zamierzonego celu, którego jawnie wypowiedzieć nie śmiano, tym podstępem dopiąć?

Co do ostatniego szczególnie punktu, jakoby obawa przed Polakami była przyczyną dalszego trwania „Kulturkampfu“, wykazał, prócz innych, mianowicie X. Stablewski blahość i nicność takiego argumentowania. Jakiż bowiem w ogólności narodowość polska ma związek z ustawami majowemi? Czyż np. trybunał dla spraw kościelnych ustanowiony jest w stanie zapobiedz powstaniu polskiemu, gdyby nawet było podobnem? Czyż instytucya tak nazwanych proboszczów państwowych (Staatspfarrer) może jakkolwiek wpływ wywrzeć na podniecenie lub osłabienie ruchu polskiego? Czyż zatrzymanie wypłaty należitości duchowieństwu, wśród którego znajduje się i wielu Niemców, jest w jakiegokolwiek styczności ze sprawą polską? A gdyby nawet te ustawy miały jakiś dla rządu wpływ niekorzystny w prowincyach polskich, czego żadna bystrość oka nie dojrzy, cóż po nich nad Renem? A jeżeli, jak to *Norddeutscherka* utrzymuj „Kulturkampf“ zjednoczył Polaków i tem samem podniósł siłę narodowości polskiej, co rząd zatrważa, czemuż go tedy nie usunąć? Biedny minister, który się w swej obronie takimi niedorzecznościami posługiwać musi! Nam zaś zamilczeć tego się nie godzi, owszem, trzeba to powtarzać i do

uprzykrzenia ciągle powtarzać, jakich znakomici nawet ludzie używają przeciw nam środków, jaka panuje bezmyślność i łatwowierność nawet w gronie deputowanych; jak błahemi powodami dają się uwieść uprzedzenie i nienawiść.

Od kilku lat przekonał się już rząd, że tak nazwane „Ustawy majowe“ chybiły celu, że jako dzieła prawodawcze nawet taką się odznaczają wadliwością, iż niemniej rząd, jak sejm pod tym względem skompromitowały. Przez użycie gwałtu w ich przeprowadzeniu, osiągnął rząd coś zupełnie przeciwnego temu, co osiągnąć zamierzał. Najpierw chciał zupełnie wyrzucić z kraju duchowną władzę Papieża, stanowiąc, że tylko krajowym władzom duchownym wolno w Prusach wykonywać jurysdykcję kościelną, a teraz przyciśniony ciężarem trudności, jakie wydane przezeń ustawy nań spowodowały, musi się uciekać do Papieża o pomoc. Jakoż błąkając się po różnych manowcach, przyprowadził rzeczy do tego stanu, że Papież obszerniejszą teraz w Prusach rozwija władzę, niż kiedykolwiek, bo dawniej wybierały kapituły, które się z krajowców składały, biskupów, a teraz mianuje ich Papież sam. Jeden tylko stanowić będzie wyjątek Limburg, jeśli wybór przyjdzie rzeczywiście do skutku. Usiłował potem wszelkimi sposobami, nie przebiegając w środkach (dowodem tego Reinkens) poprzecinać węzły łączące episkopat ze Stolicą Apostolską, pozorując je obszerniejszą autonomią i niezawisłością biskupów od władzy papieżkiej, a wkońcu musi patrzeć na przeciwny skutek swych usiłowań, że te węzły wzmocnił do takiego stopnia, jakiego dawniej nigdy nie osiągnęły i użył wszelkich środków, nie wzdrygając się nawet przed buntowaniem przeciw prawowitej władzy i korrupcją, aby duchowieństwo podburzyć przeciw biskupom, obiecując większą, niż dotąd niezawisłość i bezkarność; a przeniewiercom dając pomoc i opiekę, a co temi bezecnymi środkami osiągnął? Spoil węzły jedności duchowieństwa z episkopatem ściślej, podniósł uczucia uszanowania i wierności dla swoich przewodników duchownych w duchowieństwie wyżej, niż były dawniej. Burzenie ludu przeciw duchownym takisam odniosło skutek, bo biedni i opuszczeni parafianie swoich uwieczonych lub powypędzanych kapłanów większą otaczali czecią,

niż dawniej, i nieśli im pomoc jak tylko mogli. Aby sobie niegodnie okupić przychylność duchowieństwa, ograniczył dyscyplinarną władzę biskupią, a teraz, jak to wykażemy niżej, woła o ratunek, co więcej, przez niedopuszczenie obsadzenia probostw i instytucji kanonicznej, zwał w ręce biskupów, a raczej zmusił ich przez swoje prawodawstwo do wykonywania daleko obszerniejszej władzy nad duchowieństwem, niż ją mieli przed „Kulturkampfem“ i niż im w spokojnych czasach prawo kanoniczne przyznaje. Utworzywszy sobie przez osobną *ad hoc* ustawę gatunek tak nazwanych proboszczów państwowych (Staatspfarrer), wyszukiwał rząd z latarnią Diogenesa tego rodzaju wyrzutków i kusił słabych, a teraz nie wie, co z nimi począć; wchodzi z nimi w układy, w pojedynczych przypadkach daje im ze skarbu odstępne, aby ich się tylko pozbyć. Tak nazwanych „starokatolików“ pieścił i przyciskał do serca, w nadziei, że tem narzędziem podważać będzie fundamenta Kościoła katolickiego, a dziś z trudnością przychodzi ministrowi kultu obronić pozycję w budżecie dla Reinkensa. Tak dziwnem zrządzeniem cały aparat licznych paragrafów i artykułów ustaw majowych, wszystkie wyrafinowane podstępny, wybiegi, wykręty i oczywiste kłamstwa wymierzone przeciw Kościołowi, odwróciły się i ranią nieustannie samych sprawców. Widoczny to palec Boży, bo trudno dla tak potężnego rządu, jak pruski, o dotkliwszy zawód.

Już to od lat kilku rząd sam uznał i przekonał się, że prócz doznanego zawodu „Kulturkampf“ w rozlicznych innych kierunkach wewnętrzną politykę państwa paraliżuje i na finansowe nawet straty je naraża. Zaczyna się przeto z tej drogi nawracać, ale tak wolno i leniwo, że się postępu dopatrzeć nie można. Ulgi, które od roku 1880 wydane trzy nowele do ustaw majowych przyniosły katolikom, są drobne, skąpo wydzielone, a tak obmyślane, że w niczem nie naruszają zasad Kościołowi wrogich, na których się ustawy majowe opierają, łagodzą raczej tylko ich wykonanie. Czy rządowi brak odwagi do zrobienia stanowczego kroku? Czy go wstyd fałszywy kępuje? Czy nareszcie, coby było najgorszem, chce przez łagodne tych ustaw wykonywanie, usnąć czujność katolików, przyzwyczaić ich do włożonego na nich jarzma, aby w pogodnej dlań porze użyć znowu całej grozy przygotowa-

nej i przechowanej tylko na nich broni? Trzymać ten miecz nad głowami katolików, w celu wytargowania korzyści politycznych, jest tak niegodnym postępowaniem rządu, iż, jak się słusznie jeden z deputowanych wyraził, brak mu do jego scharakteryzowania parlamentarnego wyrazu. Jeżeli rząd na to liczy, że katolicy dadzą się uludzić tą udaną łagodnością i kolatać dalej nie będą o przywrócenie praw im wydartych, to się tak myli, jak się pomylił na wszystkich swoich rachubach od początku „Kulturkampfu“, aż do dnia dzisiejszego. Czyż to katolicy nie czują, że mają biskupów bez biskupiej władzy? Słusznie w tej mierze powiedział dep. Windhorst, „że wątpliwą jest, czyby nie było lepiej, gdyby dyecezye były pozostały bez biskupów, aniżeli ich miały bez biskupiej władzy.“ Dopóki rząd nie odda wychowania kleru i karności kościelnej w ręce biskupów napowrót, dopóty o zgodzie mowy być nie może. Katolicy bowiem nie chcą duchownych przez rząd wychowanych. Co wszyscy czują, to dep. Stoecker jawnie wypowiedział, iż socjalizm tak już podminował fundamenta społeczeństwa, iż się grunt jego pod nogami trząść poczyna, a rząd wobec tego niebezpieczeństwa jedną ręką poskramia jego wybuchy i objawy bagnetem, a drugą przyczyny tych objawów i wybuchów podsyca przez krępowanie wolności Kościoła.

To było ogólnym tylko przedmiotem tej tak dla katolików, jak niemniej dla rządu i Izby wstrętnej, uprzykrzonej, ale koniecznej dyskusyi, bo katolicy, dopóki tylko mogą, mają obowiązek dopominać się praw swoich, choćby tylko dla oświecania ludu katolickiego i wykazania mu krzywd, jakie od rządu i większości protestanckiej znosić muszą. To go bowiem poncza i przed oczy stawia, kto jest jego prawdziwym nieprzyjacielem. Szczegółowe zaś przedmioty tych rozpraw, jak szkoły elementarne, gimnazyalne, uniwersytety itd. są niemniej ciekawe, ale przechodziłyby ramy niniejszego przeglądu. Z tej przyczyny pomijamy je, a czynimy tylko wzmiankę o trybunale dla spraw kościelnych, o tak nazwanym biskupie Reinkensie i proboszczach państwowych (Staatspfarrer).

Ten nieszczęsny trybunał dla spraw kościelnych jest w budżecie jedną z najtrudniejszych pozycji dla ministra

kultu. Skarb publiczny płaci rocznie 48,000 marek za to, że w ciągu roku dwie, a najczęściej jedną tylko sprawę jakiego krnąbrnego zakrystyana osądzi. Od czasu bowiem, jak postrzącał biskupów i kilku kapłanów w pierwszych dwóch latach swej egzystencyi, niema już z sprawami kościelnymi nic do czynienia prócz zakrystyanów. Czyżby zatem jednego lub drugiego sporu, jaki zajdzie pomiędzy dozorem kościelnym, a zakrystyanem, nie mógł każdy sąd zwyczajny rozstrzygnąć? Pocóż tedy taki kosztowny aparat? Przez to naraża rząd siebie i cały ten trybunał wielkimi wyposażony prerogatywami w rzeczy samej na śmieszność. Cała ta instytucya stoi dziś li tylko na uporze rządu, który niema odwagi czy woli do poddania ustaw majowych gruntownej rewizyi, innej racyi bytu już niema. Na takimsamym fundamencie opiera się dotacya dla tak nazwanego biskupa Reinkensa, i stoi tylko ciężarem uporu rządu.

Jeśli podobna, to sprawa proboszczów państwowych (Staatspfarrer) jeszcze jest dla rządu przykrzejszą. W szale nadzwyczajnych zwycięstw stracił rząd i sejm równowagę, i depeąc wszelkie prawa boskie i ludzkie, nie mógł pojąć, jak Kościół katolicki śmie się ich potędze opierać. Aby ten opór przelamać, wydano ową nieszczęśliwą ustawę, na mocy której mógł rząd probostwa siłą bagnetów obsadzać. Licząc na słabość ludzką, wyszukiwał rząd najnędniejsze indywidua, aby przez obdarzenie ich tłustemi probostwami szerzyć w kościele korrupcyę, i nią przeciw niemu walczyć. W zasadzie jest to środek gorszy, niż otwarte i brutalne prześladowanie. Dziś wstydzi się rząd swego dzieła i nie wie, w jaki sposób usunąć je z widowni świata. Już zatem nowellą z dnia 31 maja 1882 r. zagroził na przyszłość drogę dalszemu szerzeniu się tej nieszczęsnej instytucyi, zakazując wyraźnie obsadzenia posad duchownych w ten sposób. Smutne doświadczenie przyprowadziło go do uznania swego błędu. Ale cóż robić z tymi, którzy już są? Obietnicami uwodził, a gwałtem wprowadził ich rząd w posiadanie dochodów, bo nie innego do czynienia nie mieli, lud bowiem katolicki stronił i stroni od nich, jak od zarazy. W Poznańskiem nawróciło się dwóch, w Szląsku także dwóch, ale byli to ludzie, którzy raczej przez rząd do upadku przywiedzeni zostali, aniżeli żeby sami

z zupełną świadomością powagę Kościoła byli chcieli zdeptać. Tymczasem byli i są niestety i tacy, którzy tylko czychali na zręczność zdobycia posady, a przez nią mamony, i z tymi gorsza sprawa. W Koźlu np. na Szląsku ułożył się tego rodzaju proboszcz z parafią na 9,600 marek rocznej pensyi odstępnego. Parafia nie była w stanie dać więcej nad 7,800 marek; u rząd dołożył 1,800, aby się tylko pozbyć własnej swej kreatury. Parafianie zatem płacą tak znaczną sumę na to, aby nie mieć proboszcza, jakim ich rząd obdarzył. Za jego przykładem idą inni, a w jednym przypadku już rząd gotów płacić 5,000 marek, byle się tylko pozbyć dusz pastora, którego gwałtownem wyłamaniem bramy do kościoła wprowadził. Niktby nie uwierzył, że w państwie jak Prusy, które nazewnątrz blaskiemj potęgi i porządku jaśnieje, tyle się już wewnątrz nagromadziło zgnilizny. Czyż taki stan rzeczy może rządowi jednać umysły i serca? Uczciwi nawet protestanci z oburzeniem na te stosunki spoglądają. Wielkość kanclerza bardzo na tem polu maleje i zmalałaby jeszcze więcej, gdyby prasa akatolicka śmiała na te stosunki wewnętrzne baczniejszą zwrócić uwagę, niż to czyni.

Cóż tu minister na takie przedstawienie stanu rzeczy tak w ogólności, jak w szczegółach mógł rozsądnego i gruntownego odpowiedzieć, aby je osłabić? Nie zatem dziwnego, że jego przemówienia były tą razą łagodniejsze, niż dawniej, lecz tylko co do formy: co do rzeczy bynajmniej, bo nie miał do tego z góry upoważnienia. Na zapytanie Windhorsta co do układów z Rzymem nie odpowiedział nic, czego się także spodziewano, a na drugie zapytanie co do przedłożenia w tej jeszcze sesyi projektu do rewizyi ustaw majowych, dał odpowiedź wymijającą, używając niezręcznego wybiegu, że przy takim rozdrażnieniu stronnictw, jak obecne, wątpi, czyby rząd dla swoich projektów mógł uzyskać większość. Ten wykręt, taksamo, jak zwalanie winy na Polaków za trwanie „Kulturkampf“ nie uszedł mu bezkarnie, bo mu natychmiast wytknęli oczywistą nieprawdę, albowiem centrum i Polacy w połączeniu z konserwatystami już stanowi większość, nie licząc weale tych, którzy zawsze na komendę głosują z rządem. Stanowisko ministra kultu jest w rzeczy samej nader trudnem, bo w istocie niema z tego zawikłania rozzumnego i

uczciwego wyjścia; tu wobec żelaznej konsekwencji mądrość mądrych i roztropność roztropnych osiada na mieliźnie — upór jedyną podstawą takiego postępowania i argumentowania. Przechodziłoby to o wiele granice, i tak już zbyt obszernego przedstawienia tego przedmiotu w tych ciasnych ramach, gdybyśmy szczególnymi faktami zarzut ten sprawdzić mieli, jednej jednak odpowiedzi ministra nas bliżej dotyczącej milczeniem pominąć nie chcemy. Na prowokacyą posłów polskich w sprawie archidiecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, a w szczególności na zapytanie, dlaczego kapłanom tych archidiecezyj odmówił rząd dyspens i nie zniósł z nich banycy, zasłonił się minister trudnościami, jakie rządowi brak dyscypliny duchowieństwa w tych archidiecezyjach w przychyleniu im tego dobrodziejstwa stawia. Słowa jego są: „Szanowny preopinant (X. Stablewski) i przyjaciele jego powinni wiedzieć, jakie tam są niesłychane (enorme) trudności pod względem dyscypliny itd. Dopóki zatem nie będzie tam nowego arcybiskupa, który silną ręką ujmie rządy dyecezaalne, trudno rządowi obecne niedogodności, jakie się w dziedzinie dyscypliny wytworzyły, jeszcze podsycać. Wszystkie zatem wnioski tego rodzaju nie zostały odrzucone, ale pozostawione *in suspenso*.“ Sesa 25, z d. 23 Lutego, str. 612 zapisków stenogr.).

Przytoczyliśmy to nader bolesne miejsce dosłownie, aby ściślej jego znaczenie ocenić. Przypuściwszy naprzód, że ten fakt smutny, chociażby nie miał takich rozmiarów, jakie mu minister zakreśla, jest jednak niestety prawdziwym, mamy powód nad nim ubolewać, ale się nie dziwić, bo brak kierownictwa i nadzoru przez przeciąg czasu jedenastu lat nie kazał się niczego innego spodziewać. Cóżby się stać musiało z każdym innym organizmem, gdyby go przez taki długi przeciąg czasu samopas puszczono? Cóżby się stać musiało w takim razie z urzędnikami, z najlepiej nawet udiscyplinowaną armią? Boli nas to, ale nas tyle nie zadziwia, ile odwaga ministra, że to miał czoło wypowiedzieć w imieniu rządu. Czyż bowiem można przypuścić, aby minister tego nie wiedział, że sprawcą tego smutnego stanu jest właśnie sam rząd i nikt inny, jak tylko rząd? Czyż przed „Kulturkampfem“ nie był stan karności duchowieństwa w tych właśnie dyece-

zyach wzorowym? Zrujnować całą hierarchią, demoralizować z góry, buntować duchowieństwo przeciw jego prawowitej władzy, siać na wszystkie strony korrupcyę, a potem cierpki owoc tego posiewu publicznie wytykać, czyż to nie jest urąganiem, się z nieszczęśliwej ofiary własnego okrucieństwa? Nie posadzamy ministra, aby był miał intencją naigrawać się z spustoszenia, jakie rząd, w którego imieniu przemawia, zrzucił, bo mógł łatwo przewidzieć, jaką dostanie odpowiedź i jaką w rzeczy samej od X. Stablewskiego dostał. A jeśli mimo tego przewidywania jednak to uczynił, musiał oczywiście inny mieć cel, a może i polecenie dopełnienia tego smutnego obowiązku. Nam się wydaje, że te słowa były raczej do Rzymu skierowane, niż do archidiecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. Jest to bowiem wywarcie najdotkliwszego nacisku na Stolicę Apostolską, aby się skłoniła do przyjęcia proponowanego przez rząd kandydata, jak gdyby wyraźnie wołał: patrz Papieżu, co się tu dzieje, i nie ociągaj się z przyjęciem kandydata, bo lepszego nie dostaniesz — był w tej chwili nim X. Wanjura, proboszcz katedralny Pełpliński, jak pisma donosiły. — Takie przywiązujemy znaczenie do tych słów ministra, i nie możemy pojąć, jak *Moniteur de Rome* mógł wyrazić swoje zadowolenie z przemów ministra i przymilać się kanclerzowi. Takiemi środawkami nie przełamie się zasad rządu potężnego państwa, ani się nie ugłaszcze wściekłości zasadniczego wroga. Gdyby rząd istotnemu złemu był rzeczywiście chciał zapobiedz, a na proponowane osobistości na arcybiskupstwo zgodzić się nie chciał, czemuż nie zrobił wniosku do Rzymu o zamianowanie albo o wybór administratora tymczasowego? Czyżby Stolica Apostolska była się opierała takiej propozycji, kiedy to w tylu przypadkach *sede impedita* czyni? Z tego się pokazuje, że rządowi nie zależało i nie zależy na uchyleniu złego, jeśli jest w rzeczy samej, ale jedynie o wywarcie nacisku na Stolicę Apostolską, aby się skłoniła do jego życzeń.

Wewnętrzne sprawy pruskie zakończylibyśmy tem, cośmy o „Kulturkampf“ powiedzieli, gdyby nie przypadek napozór mało znaczący, ale ukazujący zdala pochyłość, na jaką słynąca oddawna z nieskazitelności biurokracya pruska wstępuje. Chcemy tu kilka słów powiedzieć o wyżej już wzmian-

kowanej sprawie Dra Schweningera. Jest on młodym lekarzem bawarskim, który był dawniej docentem przy uniwersytecie monachijskim. Powiodło mu się jedynemu z pośród tylu znakomitości lekarskich, wyleczyć zupełnie ks. Bismarka. Tymczasem wymieniony co dopiero lekarz miał nieszczęście dopuścić się wykroczenia przeciw moralności publicznej, za które wyrokiem prawomocnym we wszystkich trzech instancjach na trzy miesiące więzienia został skazany. Nim jeszcze wyrok trzeciej instancji był zapadł, sam p. Schweninger oświadczył senatowi uniwersytetu monachijskiego piśmiennie, że jeżeli wyrok w trzeciej instancji potwierdzonym zostanie, co wkrótce nastąpiło, sam się w takim razie uważa za niegodnego przez wzgląd na młodzież akademicką piastowania tego urzędu i zrzeka się go niniejszem. Tymczasem wyleczywszy szczęśliwie kanclerza, domagał się jedynej nagrody udzielenia mu profesury dermatologii w wydziale medycznym przy uniwersytecie berlińskim. Jak było można przewidzieć, cały fakultet medyczny powstał przeciwko temu. Pomijamy tu zatargi pomiędzy wydziałem medycznym a ministrem, pomiędzy profesorami tego wydziału a p. Schweningerem, które na polu urzędowym i towarzyskim długo się toczyły. Profesura dermatologii, mimo dopominania się wydziału medycznego, wakowała przez dwadzieścia lat. Na jeden raz zjawiała się i profesura i gotowy już profesor w osobie pana Schweningera. Wydział medyczny, nie mogąc prawnie temu przeszkodzić, wytoczył tę sprawę przed Sejm, raz przy tytule pensji ministra oświecenia, a potem osobnym wnioskiem o odrzucenie przeznaczonej dla p. Schweningera pensji i z tej przyczyny rzecz ta dwa razy przysła pod obrady. Dziwić się należy, że minister miał odwagę przejść przez te różgi, jakie w tej dyskusji odebrał. Uniwersytet bowiem miał za sobą nie tylko 22gi artykuł konstytucji, ale nadto ustawę dyscyplinarną, które od urzędników wymagają niepószlakowanej konduity, a zwłaszcza od tych, którzy mają młodzież prowadzić. Jakże tu było jedno z drugim pogodzić? Jedynym i nader wątplym argumentem ministra było uzdrowienie wielkiego kanclerza. Czyż to mogło wystarczyć do tego, aby w takich właśnie okolicznościach, w których i młodzież w grę wchodziła, usprawiedliwić zdeptanie i spo-

niewieranie konstytucyi, ustaw i dawnych tradycyj, na których Prusy wzrosły? Słusznie przeto ministrowi wyrzucano, że powinien był raczej ustąpić, aniżeli się pozwolić użyć za narzędzie do takiej złej sprawy. Minister za pomocą prawicy i narodowo-liberalnych odniósł wprawdzie zwycięstwo, ale w opinii publicznej otrzymało centrum i postępowcy satysfakcyę za okrzyczane odmówienie 20,000 marek, albowiem wszystko, co się kieruje sumieniem, oświadcza się w tej sprawie przeciw rządowi i większości.

Że się gabinet Gladstona utrzymał, stało się to raczej siłą zbiegu okoliczności, aniżeli zaufania do jego polityki zagranicznej. Radykalni chcieli mu dać naganę za to, że prowadził wojnę z Mahdim, i żądali, aby jej zaprzestać; torysi zaś za to, że ją prowadził za mało energicznie i żądali silnej przeciw niemu akcyi. Te sprzeczne motywa i cele uratowały Gladstona. Za radykalów wnioskiem padło tylko 70 głosów, za wnioskiem torysów, którzy ganili brak energii w prowadzeniu wojny, 288 przeciw 302; miał zatem rząd 14 głosów większości formalnej. Lecz te głosy większości nie były znakiem zaufania danym rządowi, albowiem te 70 głosów radykalnych, które już były padły przeciw rządowi z powodu, że nie chciały wojny wcale, przerzuciły się na stronę rządu, bo nie mogły przeciw sobie samym głosować, żądając energiczniejszego prowadzenia wojny, której wcale nie chciały. W rzeczy samej jednak były przeciw rządowi skierowane. Do rzeczywistej zatem opozycyi trzeba jeszcze dołączyć te 70 głosów radykalnych, a w takim razie pozostał gabinet Gladstona w mniejszości o 84 głosy. Gabinet trzymał się formalnych takich liczb i pozostał; a mógł tem łatwiej pozostać, ponieważ i torysy rzeczywistej nie mieli większości. Gdyby zatem Gladstone był ustąpił, mogło być przyjsć tylko tymczasowe ministerstwo neutralne. Zresztą nikt się do tego nie garnał, bo spuścizna po Gladstone nie jest w tej chwili powabną i pewno każdy mu życzył, aby to piwo, którego nawarzył, sam teraz także wypił. Nie pozostało mu zatem nic innego, jak prowadzić interesa dalej.

Rzadko znajdowała się Anglia w tak trudnem położeniu, jak obecnie. Gladstone ma teraz na wszystkich punktach bardzo wiele do zwalczania. W Egipcie Mahdi na karku, na

granicy Afganistanu Rosya, stosunki z Francją nieosobliwe, niepewny sprzymierzeniec Włochy, a nadewszystko zawikłanie z Niemcami, które głębokiem tylko upokorzeniem ze strony Anglii w ostatniej chwili zażeganem zostało. Wielki to znowu tryumf dla ks. Bismarka. Czy pojednanie się Niemiec z Anglią wpłynie na powstrzymanie, a przynajmniej zawieszenie groźnego dla Anglii pochodu Rosyi, wątpimy bardzo; a zdaje się, że i rząd angielski wątpi, bo się na wszystkich punktach zbroi na gwałt i na wielką stopę. Ks. Bismarck pewno się szczerze do tego nie przyczyni teraz, bo mu jeszcze wygodnie obie te potęgi trzymać we wzajemnej obawie. Stateczna dopiero przyjaźń z Anglią może wpłynąć na stosunek Niemiec do Rosyi. My jednej rzeczy tylko się obawiamy na przypadek starcia się Anglii z Rosją, aby nasi nie dali się uwieść zwodniczymi obietnicami Anglików i nie zaciągali się pod jej chorągwie przeciw Rosyi. Tylokrotne smutne doświadczenia powinnyby raz przecież zaślepionym otworzyć oczy. Nie uważalibyśmy tej przestrogi za potrzebną, gdyby nie dochodziły nas pogłoski, że Irlandczczy wybierają się do obozu Mahdego, a my tak skłonni do naśladowania obcych naoślep.

B. E.

Dr. WŁADYSŁAW NIEGOLEWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Wielkopolska straciła niedawno jednego z tych synów swoich, którzy odważną piersią zasłaniają sprawę narodowości polskiej na najbardziej narażonym posterunku.

Władysław Niegolewski, syn znanego z wojen Napoleońskich pułkownika Niegolewskiego, towarzysza broni Kozietulskiego i współnika sławy jego, zdobytej pod Somosierra, odziedziczył po ojcu z gorącym przywiązaniem do Ojczyzny, ów temperament niepohamowanie żywy, który w czasach wojennych stwarza rycerza, a w czasach pokojowych musi znaleźć stosowną arenę, ażeby marnie nie spłonąć, lub, co gorzej, nie zbroczyć na błędne manowce.

Niegolewski, przeniósł go, w myśl jedynego zadania, jakie ówczesne stosunki Wielkiego Księstwa Poznańskiego nastęrczały, na arenę parlamentarną, a obdarzony, obok nabytych wiadomości, łatwością wymowy, zdobył tu sobie od razu zasługi i niezwykłą popularność.

Należał on do tych, którzy obronę narodowości polskiej w zaborze pruskim oparli na traktacie wiedeńskim, i był może pierwszym, który myśl leżącą w tych usiłowaniach dobrze sformułował.

Knowania policyi pruskiej za czasów Baerensprunga, prezesa policyi poznańskiej, które udanemi korespondencyami

od międzynarodowego Komitetu londyńskiego pragnęły w Wielkopolsce złović lekkomyślnych, a wykrywając niby rzekome spiski, zyskać pozór do prześladowania narodowości polskiej i germanizowania kraju, podały Niegolewskiemu sposobność do położenia niemałej zasługi zasłonięcia ziomeków swoich przed skutkami tej niecej roboty. Umiał on, nie żałując trudów i kosztów, dobyć z rąk sekretarza Posta, głównie sprawą tą zajętego, wszystkie akta udowadniające te podziemne knowania, i wytoczył je przed zdumioną Izbą Sejmową pruskiego. Rozgłosna ta sprawa była źródłem tej popularności, której Niegolewski, mimo błędów, jakie później popełniał, w szerokich kołach aż do śmierci używał.

Ale była też to ostatnia sprawa, którą umiał przeprowadzić stosownie do okoliczności. Kiedy rozpoczęta walka kulturalna nakazywała oparcie taktyki parlamentarnej na pewnej umiarkowanej mierze, żywy temperament Niegolewskiego pchał go na inne tory; poróżnił on się z kolegami swymi i złożył mandat poselski.

Wobec niedawno zamkniętego grobu rzućmy zasłonę na te chwile, kiedy niesforne żywioły w dziennikarstwie poznańskim chciały powagą imienia Niegolewskiego poprzeć niewłaściwe swe zabiegi a on dostatecznie oprzeć się temu nie umiał; ale rzućmy też ze czcią należną garść ziemi na mogilę męża, który, w dobrej swej chwili, umiał stosownie zasłużyć się społeczeństwu, do którego należał, a był zawsze wiernym synem Ojczyzny i do wiary ojców swoich szczerze przywiązanym.

J. S.

Otrzymujemy następujące pismo:

Muzeum Narodowe w Krakowie do Szanownej Redakcyi
Przeglądu Polskiego w Krakowie.

W dniu 11 września 1883 r., w przededniu uroczystego obchodu 200-letniego jubileuszu Odsieczy Wiedeńskiej, otwartym został w Sukiennicach przybytek dla sztuki polskiej w całym jej historycznym rozwoju: Muzeum Narodowe w Krakowie.

Otwarcie to symboliczne niejako instytucyi, której zawiązek, dzięki wspaniałomyślnej ofercie Henryka Siemiradzkiego i innych artystów polskich zebranych na jubileusz J. I. Kraszewskiego, datował już od lat paru, lecz która potrzebowała przejść przez konieczne stadyum organizacyi, — już wtedy znalazło najsympatyczniejsze przyjęcie w kraju całym, rokujące trwały rozwój instytucyi.

Komitet muzealny wraz z Zarządem dokonawszy tych prac organizacyjnych, mianowicie urządzenia odpowiedniego lokalu muzealnego i skompletowania możliwej jak na początek liczby prac naszych artystów, już to drogą ofiar, już to kupna zebranych — przystąpił do stanowczego otwarcia dla publiczności Muzeum Narodowego.

Komitet korzysta z tej sposobności, aby w imię najszlachetniejszych haseł: bo miłości piękna i zabytków krajowych, odezwać się do Rodaków miłujących sztukę polską w jej najszerszym zakresie, o należne poparcie dla nowo powstałego Muzeum.

Wykazywać cele i doniosłość podobnej instytucyi dla rozwoju ducha narodowego, i własnego samopoznania w sferze twórczości artystycznej, teraz mianowicie, gdy sztuka polska świeci takim blaskiem kilku pierwszorzędných mistrzów i dostąpiła uznania nawet u obcych i uprzedzonych do naszej narodowości — byłoby, zdaje się, zbytecznem.

Ograniczamy się przeto na wskazaniu kierunku, w jakim Muzeum Narodowe w Krakowie w przyszłości rozwijać się winno, i wyliczeniu szeregu darów lub nabytków, jakie dla Muzeum byłyby najbardziej pożądane.

Muzeum Narodowe w Krakowie przyjmuje lub nabywa do swoich zbiorów:

Obrazy i rzeźby (w trwałym materyale) żyjących polskich artystów i tych z przeszłości, których imiona przechowała historia sztuki w Polsce.

Obrazy i rzeźby średniowieczne i epoki odrodzenia, pochodzące z kościołów i cerkwi ziem polskich, a uledez mogące zniszczeniu.

Rzeźby w odlewach z gipsu lub w innym trwalszym ma-

teryale ważniejszych zabytków polskich od XII do końca XVI wieku.

Rysunki własnoręczne i akwarelle żyjących i dawniejszych artystów polskich.

Portrety miniaturowe na kości słoniowej osób polskich i miniatury średniowieczne na pergaminie malowane.

Starożytności krajowe, o ile noszą charakter sztuki.

Ryciny, drzeworyty, litografie polskich rytowników lub reprodukcje obce, ale treści polskiej.

Medale polskie, odciski lub oryginały i pieczęci średniowiecznych polskich.

Projekta architektoniczne znakomitszych architektów polskich żyjących i zmarłych.

Dawne portrety artystów i znakomitych osób polskich bez względu na aryzm.

Dzieła sztuki obcej, o ile mają rzeczywistą wartość artystyczną.

Książki, broszury i publikacje obrazkowe, odnoszące się do dziejów sztuki w ogóle.

Muzeum chętnie przyjmuje depozyta dzieł sztuki za uprzednim porozumieniem się z Zarządem, a pod gwarancją gminy miasta Krakowa.

Wszelkie dary pieniężne i zapisy na rzecz Muzeum Narodowego, włączane będą do ogólnych funduszków muzealnych, administrowanych odrębnie przez gminę miasta Krakowa.

Kraków dnia 1 stycznia 1885 r.

Członkowie Komitetu muzelnego:

Przewodniczący: Prezydent miasta Dr. *Szlachtowski*. Zastępca Przewodniczącego: Wiceprezydent *J. Friedlein*. Przewodniczący Komitetu wykonaw.: Dyrektor Szkoły Sztuk pięknych *Jan Matejko*, Prezes Akademii Umiej.: Dr. *Józef Majer*. Konserwator zabytków pomnikowych: Prof. Dr. *Józef Łepkowski*. Przewodniczący Komisji historii sztuki w Akademii Umiej.: Prof. Szkoły Sztuk pięknych *Władysław Łuszczkiewicz*. Prof. historii sztuki w Uniw. Jagiell.: Dr *Maryan Sokołowski*. Prezes Tow. Sztuk pięknych w Krakowie: Ks. *Marceli Czartoryski*. Delegat Tow. Sztuk pięknych we Lwowie: *Otto Hausner*. Delegaci Rady miasta Krakowa: Dr. *Faustyn Jakubowski*, Dr. *Henryk Jordan*, Hr. *Artur Potocki*. Artyści z wyboru: *Juliusz Kossak*, artysta-malarz; *Henryk Siemiradzki*, artysta-malarz; *Marceli Gujski*, artysta-rzeźbiarz; *Pius Weloński*, artysta-rzeźbiarz; Prof. *Stawomir Odrzywolski*, architekt; *Tomasz Pryliński*, architekt. Członkowie honorowi: Ekscell. *Paweł Popiel*, *Zygmunt Cieszkowski*.

Zarząd:

Dyr.: *W. Łuszczkiewicz*. Kustosz i Sekr.: *F. Nieczuja-Ziemięcki*.

JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI

napisał

X. KALINKA C. R.

V.

Służba obywatelska w Wielkopolsce.

§ 16.

Kiedy po raz pierwszy pani Chłapowska spotkała męża swego na ziemi pruskiej powracającego z Litwy, przeraziła się na jego widok. Był tak zniszczonym i wynędzniałym, że nie sądziła, aby mógł żyć dłużej nad kilka miesięcy. Silna natura przemogła chorobę, ale wnet potem nowe krzyże przydały udręczenia. Mówiliśmy o ciężkich oskarżeniach, jakie przeciw niemu podniosły się na emigracyi. Kto pamięta, jaki urok otaczał wówczas wszystko, cokolwiek przychodziło z wychodźstwa, ten zrozumie potężne echo tych zarzutów w kraju. Uwierzono im niemal powszechnie; Chłapowski stał się osobistością jedną z najpopularniejszych w Polsce. Czy słusznie? Niech słuchacze moi osądzą. Z mocną pamięcią na obowiązek historyka, który winien jest sprawiedliwość zarówno przyjaciołom jak nieprzyjaciołom, twierdzą, że do tej popularności powodu żadnego nie dał; i chyba owo chwilowe rozdrażnienie, w jakie popadł na ziemi pruskiej po złożeniu broni,

mogło być wywołać jakieś osobiste urazy. Czy dziwić się temu rozdrażnieniu u starego żołnierza, który zawsze był w boju szczęśliwy, a w końcu musiał rzucić swą szablę na plot? Gdzie człowiek, coby mógł stłumić w takiej chwili swój ból? Raczej podziwiać trzeba ów spokój, z jakim puszczał mimo siebie podnoszące się przeciw niemu zarzuty, — przeciw niemu, który klęski, jakie spadały, pierwej od wszystkich przewidział i robił wszystko, co mu sumienie wskazywało, aby je odwrócić. Bolały go te oskarżenia, bo komuż nie jest miłą dobra sława, zwłaszcza u tych, wśród których i dla których się pracuje? A że nad tą boleścią umiał zapamiętywać, to jego chwała, lecz — dodajmy — to także zasługa pani Chłapowskiej. Kto wypowie błogi wpływ ręki niewieściej, słodkiej, pobożnej, kochającej żony? Pokrzepieniem jest w trudzie, wiarą w zwątpieniu, światłem w ciemności, oliwą na rany. Zasługa to pani Chłapowskiej, że tę próbę, jedną z najtwardszych, mąż jej przeżył zwycięzko, że nie zgorzkniał, nie zniechęcił się do ludzi, że wkrótce potem ujrzano go znowu silnym, pogodnym jak zawsze, a nadto, wyrozumiałym i miłosiernym dla prześladowców. „*Podobną jemu pomocnicę*“ dał mu w żonie Pan.

Częścią dlatego, że próżnować nie umiał, częścią też aby w pracy ukoić ból, Jenerał wziął się napowrót do roli. Dobra swoje zastał w porządku. „Pamiętam bardzo dobrze, mówi Paweł Popiel, jakto wówczas przytaczano za dowód szczególnego do organizacji i rządzenia talentu, że podczas długiej niebytności pana, nie się w jego majątku nie rozprzęgło. Odtąd sam długo gospodarowałem i poświadczyć mogę, że to jest dowód najwyższej doskonałości systemu. Kierować osobiście tą machiną gospodarstwa na większe rozmiary, napozór tak prostą, a w istocie skomplikowaną, to już trudno; ale ją tak nakręcić, aby działała sama, oddalić się osobą a natchnąć duchem, któryby sam działał, należy do zadań najtrudniejszych, a wymaga żelaznego charakteru i bardzo długiego, bez przerwy osobistego dołożenia. Chłapowski umiał dosiedzieć, wstać zawsze rano, zawsze z równą energią pracować i wymagać. Przywilejem ludzi wyższych, obejmując ogół, znał dokładnie szczegóły; najradsze w sztuce rządzenia fakta.“ — Słuchacze moi wiedzą, że już przed wojną

majątek był uporządkowany, oczyszczony z długów, kwitnący; ale, choć korzystny dla właściciela, przykładem dla drugich jeszcze nie był. Dopiero odtąd Turwia zaczyna być szkołą gospodarzą dla prowincyi i dla całego kraju. Od r. 1834 Jenerał począł brać uczniów do swego majątku zadarmo, naprzód sześciu, potem dwunastu na dwa lata. Każdy z nich przechodził z kolei wszystkie gałęzie gospodarstwa, poczem miewał sobie oddany specjalny kierunek jednej gałęzi, ten owiec, ów koni, trzeci robót w polu¹⁾. Jenerał wszystkich doglądał, objeżdżając codziennie folwarki. A nietylko rolnictwa uczył, lecz i sztuki życia. Wiedział on, że poprawny agronom nie wart, jeśli nie jest poprawnym człowiekiem; znał polskie wady: niedbalstwo, lekkomyślność, nieścisłość, niesumienność w wykonaniu. Kto z tych wad poprawić się nie echał, kto się lenił wstać rano, obowiązków zaniedbywał a szukał wygod i rozrywki, ten długo tam nie pozostał. Zresztą na rozrywki i fantazyje czasu nie było w tym domu, gdzie wszystko szło i dziś jeszcze idzie, tak cicho i regularnie jak w zegarku. Ze starej gwardyi napoleońskiej Jenerał to wyniósł, że służba powinna się odbywać spokojnie i poważnie, a choć w Turwi już go dziś niema, duch jego tam pozostał i wszystkiem jak za życia kieruje. W ciągu lat 40 wykształciło się w tej szkole około 150 uczniów, rozeszli się po całej Polsce, a wszyscy mają jakieś wspólne sobie piętno: powagę w życiu i powagę w działaniu. — Niejeden z moich słuchaczów, który zna jego uczniów, potwierdzi pewno mój sąd: i w nich żyje duch Chłapowskiego! — Kształcąc rzędców wiejskich, nie zapominał o kształceniu ludu. Za jego głównie staraniem powstała w r. 1837 *Szkółka niedzielna*, pierwsze pismo peryodyczne dla ludności włościańskiej. Wyszukał redaktora i nakład wydawcy poręczył. Redaktorem był x. Borowicz, proboszcz w Gryżynie, później w Brodnicy; nakładcą Günther w Lesznie. Zrazu dwory brały po 20 exemplarzy tego pisma i rozdawały je włościanom;

¹⁾ Tu może godzi się wspomnieć, że Chłapowski syna jnła Dembińskiego na czas jakiś do swego domu przyjął, aby się uczył gospodarstwa.

było to dla nich nowością, przywykli do niej i przez tę gazetkę wciągnęli się do czytania.

Zatytułowałem ten rozdział *służbą obywatelską Jenerała*, może mniej właściwie, bo w szerszych kołach mało go wówczas widywano, zwłaszcza przez pierwszych kilkanaście lat. Żył pod klątwą opinii, która go jako sprawcę upadku powstania na Litwie potępiała, a mało komu przychodziło na myśl, że Jenerał dlatego tylko siebie nie broni, że mówić o sobie nie chce, a tem mniej oskarżać drugich. Taka enota rzadką jest wszędzie; cóż dziwnego, że się jej nawet nie domyślano! Pomimo to, i w tym czasie szedł ręka w rękę z ludźmi, co stali na czele prowincyi, i o tych ludziach chcę naprzód wspomnieć; o jego własnej, chrześcijańsko-obywatelskiej działalności później będzie mowa.

Powstanie r. 1831 ściągnęło na kraj wielkie klęski polityczne i ekonomiczne, ale pod pewnym względem oddziaływało zbawiennie, wstrząsnęło do głębi społeczeństwem, wprowadziło umysły na poważniejsze tory, obudziło większą gorliwość i chęć służenia krajowi; i gdziekolwiek znaleźli się mężowie silniejsi a rozumnej inicjatywy, wszędzie tworzyły się koło nich grona działające zbiorowo. W r. 1835 wrócił do Poznania Marcinkowski, dzielny żołnierz, lekarz znakomity; w wyprawie na Litwie, na obu tych polach, świetnie się odznaczył. Podczas szarży bywał w pierwszej linii; gdy się skończyła, opatrywał rannych, potem znowu biegł do boju. W czasie marszu na Wilno, posłany do Giełguda, aby go do pośpiechu nakłaniał, gdy poruszyć go nie mógł, ze zmartwienia ledwo się nie rozchorował. Po wejściu korpusu polskiego do Prus, prosił Chłapowskiego jen. Kraft, by Marcinkowskiego przysłał do Kłajpedy, gdzie się srożyła cholera. Pruscy lekarze bardzo się jej bali, i nie inaczej jak w płaszczach ceratowych, w masce z ceraty i w ceratowych rękawiczkach, oglądali chorego. Marcinkowski przeciwnie, skoro wszedł do sali, zrzucił z siebie mundur, zawiązał rękawy od koszuli i począł starannie badać cholerycznych, jakby najniewinniejszą dotknięci byli chorobą, czem pruskim lekarzom

wielce zaimponował, a w chorych tyle wzbudził ufności, że wielu wyzdrowiało. Przez sześć tygodni z takim poświęceniem pracował w Kłajpedzie, że cała ludność za zbawę go miała. Pytał Chłapowskiego jen. Kraft, jakiejby nagrody dla Marcinkowskiego żądać od Króla; ale polski lekarz nawet słyszeć o żadnej nie chciał. — Gdy cholera minęła, wyjechał do Anglii, ztamtąd do Francyi, gdzie za najlepszą o cholery rozprawę, otrzymał od Akademii 1000 fr. nagrody. Gdy wrócił do kraju, musiał odsiedzieć więzienie, na które skazano go za udział w powstaniu; uwolnił go od niego dopiero powtórny wybuch cholery, przeciw której żądano powszechnie jego pomocy. W Prusiech ceniono wysoko jego zdolności lekarskie. „Ja znam się trochę na dyagnozie, rzekł Marcinkowski, ale Schönlein patrzy na chorego, jakby był szklanny.“ A na to Schönlein, gdy mu to słowo powtórzono, odparł: „ja, ich möchte gern den klaren Blick Marcinkowski's haben.“ W Poznaniu odrazu stał się najzawołanym lekarzem. Poświęcenia bez granic, oddany na usługi ubogim, nigdy ich nie odmawiał. Po całym Księstwie jeździł konno, zwykle galopem; do snu rzadko się rozbierał, aby zawsze być na zwołanie, a te nieustające wysilenia podcięły jego organizm, skróciły życie. Twardy dla siebie, bardzo był przytem serdeczny i tkliwy, ale wstydział się tego, i gdy mu się na płacz zbierało, zmuszał się do grubiaństwa. Prędko się na tem grubiaństwie poznano; kochali go i uwielbiali wszyscy.

W Poznańskim rządził pod te czasy Flotwell, dążąc zrećźnie choć jeszcze pociechu, do zastąpienia na każdym polu żywiołów polskich Niemcami. Widział to Marcinkowski, jak wielu innych, że w takiej walce nie ostoi się społeczeństwo polskie, jeżeli obronę swoją zasadzać będzie jak dotąd, niemal wyłącznie na szlacheie, właścicielach wsi, i jeżeli tych wszystkich zawodów, na których życie społeczne polega, nie wezmą w swoje ręce Polacy, równie wykształceni i pracowici jak Niemcy. Podał więc myśl założenia Towarzystwa, któreby wydobywając z klas niższych młodzież zdolniejszą, dopomagało jej w szkołach poznańskich, a następnie w wyższych zakładach niemieckich, do wykształcenia się na prawników, lekarzy, księży, budowniczych, inżynierów itp. Towarzystwo się zawiązało, istnieje z górą lat 40, miewa dochodu od 10

do 12 tysięcy talarów rocznie, w ostatnim roku miało blisko 20 tysięcy talarów, zebrało kilka funduszków żelaznych (Wanowskiego, Koźmiana, Chłapowskiego) i wydało znaczną liczbę ludzi, którzy świetnie myśl Marcinkowskiego spełnili. Ci niestrudzeni „księża majowi,” że o nich tylko wspomnę, którzy dźwigali i dotąd dźwigają ciężkie brzemie walki religijnej, to wychowańcy *Towarzystwa Naukowej Pomocy*. Instytucya ta jest wspaniałą po Marcinkowskim pamiątką, ale zarazem i chlubnym świadectwem dla obywateli wielkopolskich i dla ich wytrwałości w ofiarach. — Drugim pomnikiem, który Marcinkowski wystawił sobie i prowincyi, jest, jak wiadomo, *Bazar Polski*. W gruncie, myśl jego ta sama co *Naukowej Pomocy*, miała na celu utworzyć w Poznaniu polskich kupców i przemysłowców. Obszerny gmach za 80,000 tal. zbudowany, wszystkie swe sklepy i mieszkania jedynie Polakom otwiera. Zebrano kapitał w akcyach po 500 tal., a jak sto dzisiaj ta instytucya, najlepszym dowodem jest fakt, że jej akcye mają wartość pięć razy wyższą.

Wszystko to są rzeczy znane i oceniane sprawiedliwie, ale co mniej znane (zwłaszcza po za obrębem Wielkopolski), to udział, jaki w tych pracach wzięli celniejsi obywatele tej prowincyi, między nimi także i Chłapowski. Wiązała go z Marcinkowskim przyjaźń serdeczna, na koleżeństwie wojennem ugruntowana, wiązała jednakowa miłość Ojczyzny; z każdą więc myślą swoją zwierzał się Marcinkowski przed swym dawnym jenerałem. Chłapowski, jak wspomnieliśmy, żył temi czasy dość odludnie, w pracy wiejskiej się zakopawszy, młodych agronomów formował. Zawsze go jednak otaczało grono wypróbowanych przyjaciół: prócz Marcinkowskiego Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Stan. Chłapowski, Arn. Skórzewski, Leon Szmirkowski. Piękną to i poważną grupą ludzi, o każdym z nich dałoby się niejedno powiedzieć; lecz że czasu niema, wspomnijmy o niektórych. A naprzód o Mielżyńskim.

Trzech było braci Mielżyńskich, wszyscy trzej żołnierze z r. 1831, lecz tylko dla Macieja właściwe tu do wzmianki miejsce. Był to w całym znaczeniu człowiek niezwyklej miary. Przed rokiem 1830, jak wielu młodych, konspirował, należał do związku kosynierów; gdy wybuchło powstanie, zaraz do

Warszawy pojechał, z Chłapowskim wybrał się na Litwę, przy nim obowiązki adjutanta sprawował, skończył kampanią w stopniu majora. Wielkiej odwagi a zimny i spokojny, stworzony był na wyższego oficera, miał instynkt rzeczy wojennych. Pod Hajnowszczyzną z jednym szwadronem rozbił luzarów moskiewskich; pod Lidą, na czele szwadronu, wpadł pierwszy w czworobok rosyjski, zdobył chorągiew i batalion do poddania się zmusił. — Jak wojskowej, tak i cywilnej odwagi dał dowód niepospolity. Słyszając i czytając oszczerstwa rzucane na Jenerała, w chwili gdy niemal wszyscy w nie wierzyli, on pierwszy ujął się za nim. Wspomnieliśmy, że ogłosił broszurę niemiecką w odpowiedzi na dzieło Spaziera, i w niej płytkość zaskarżeń Dembińskiego gruntownie wykazał. W piśmie tem oświadcza następnie, że pisarzem nie jest, ale podnosi głos dlatego, aby bronić prawdy, a także aby Ojczyźnie tego wstydu oszczędzić, iżby jej synowie, jedynę broni, jaka im jeszcze została, nie używali ku własnemu szarpaniu. — Postaci imponującej, robił wrażenie wielkiego pana i rycerza zarazem; małowówny, o popularność nie dbał, uchodził za arystokratę. Pomimo że liczną miał rodzinę, tak wybornie rządził swym majątkiem, że na sprawy publiczne mógł zawsze łożyć znaczne ofiary. Skromny w życiu i bardzo oszczędny dla siebie, bez wahania spieszył z pomocą, gdzie widział tego potrzebę, ale krył się z tem, i dopiero kiedyś, przypadkiem, dowiadywano się, że to pan Maciej był owym nieznanym dobroczyńcą, który nieproszony i niedziękowany, przynosił ratunek. Najczęściej za Marcinkowskim ze swą ofiarnością się ukrywał, bo też byli związani jak rodzeni bracia.

Innym znowu typem był Gustaw Potworowski. I ten żołnierz, i ten bił się dobrze, ranny pod Hajnowszczyzną; ale usposobienie wiodło go szczególnie do służby spokojnej, obywatelskiej. Człowiek wielkiego serca, miał on ten instynkt duszy kochającej, która trafnie odgaduje co dla Ojczyzny potrzebne; choć kalwinem był, obyczaju katolickiego ściśle w domu przestrzegał. Serdeczny i wyrozumiały, przystępny był dla każdego, zawsze skłonny do zgody; w dyskusyi i w działaniu, ustępstwa do ostatnich granic posuwał. Dziwną miał łatwość jednania sere, przekonywania umysłów, koja-

zenia rąk. Wszędzie, a szczególnie w Polsce, tacy ludzie nieocenionej są wartości. „*Was ist am heiligsten*, zapytuje Göthe. *Was die Menschen verbindet*. Co jest najświętszego? to, co ludzi między sobą wiąże“. Co nam zawsze przeszkadzało do utworzenia zwartego szeregu, to mniej jeszcze różność zdań jak podobieństwo charakterów, to nasze *ja* w każdym z nas rozwielenione, które z wiedzą czy bezwiednie drugim się narzucało i swoje chciało przeprowadzić, a kiedy nie przeprowadziło, usuwało się na bok. Od stu lat wciąż za to bici, czy dużo zmieniliśmy się? Otóż, w społeczeństwie tego rodzaju, człowiek, co o sobie nie myślał i nie pragnął aby go widziano, co pytał i słuchał ciekawie, w formach łagodny, napozór miękki i niezdecydowany, w gruncie jednak do celu swego dążący niezmiennie, człowiek, o którego prawości i patryotyzmie nie powątpiewano, musiał zyskać powszechne uznanie i drugich za sobą pociągnąć. I tak się też stało z Potworowskim; po roku 1848, stał się niemal wyrocznią w rzeczach publicznych. Wszak niejedyn z nas pamięta, jakąto próżnię wytworzyła śmierć pana Gustawa i jak trudno było go zastąpić.

W czasach, o których mówimy, Potworowski był młodszy i tej ogólnej wziętości jeszcze nie posiadał. I on, i pan Maciej, i ci wszyscy, których wymieniłem, tworzyli z przekąsem nazywany „*sztab*“. Z nimi to znosił się Marcinkowski i wszystko układało się spolem; on dawał inicjatywę, ci składali pieniądze. Jeśli wielką siłą dla narodu jest człowiek rozumny, który idzie przodem i nowe do pracy otwiera pole, to nie mniejszem dla niego błogosławieństwem są ci, którzy za tym człowiekiem stają rzędem a chcą i umieją go poprzeć radą, stanowiskiem, majątkiem. O tych ostatnich u nas najtrudniej. Zdolność pomagania o wiele rzadszą jest u Polaków, niż dar inicjatywy. Gotowi związać swe życie z dziełem, któreśmy sami stworzyli, dla myśli cudzej, choćby najzaciejszej, zbyt często nie mamy serea ni ręki. I dlatego roboty zbiorowe bywają u nas mdłe, nietrwale; ze śmiercią twórcy kończą zazwyczaj swój żywot. Zacząć potrafią, ale prowadzić dalej dzieło przez drugich stworzone, — *kontynuować*, — na to nas nie stać, na to nie mamy nawet w naszej mowie wyrazu. Instytucje Marcinkowskiego, których trwanie dobiega

w Poznańskim już blisko pół wieku i które swego twórcę przeżyły oddawna, są bardzo pięknem i pocieszającym zaprzeczeniem owej tak powszechnej u nas niegdyś słabości. Będzie to zawsze chlubnym wspomnieniem, że umieli go otoczyć ludzie wszystkich klas i wsparli go rozumnie, stworzyli dzieło, które dziś każdy pojmuje i ocenia, bo wchodzi w program dzisiejszy, ale które wówczas o wiele wyprzedziło ogólne pojęcie naszych zadań i obowiązków publicznych.

I o Stanisławie Chłapowskim, z tego pięknego grona wspomnieć tu jeszcze muszę, nie dlatego, bym go kładł na równi z powyższymi, ale że był najserdeczniejszym przyjacielem Jenerała i że miał przytem wielkie, obywatelskie i chrześcijańskie cnoty. Już przed wojną dużo w Turwi przebywał; w początkach wojny był adjutantem Jenerała, pod Grochowem stracił konia, pod Długosiodłem ranny; na Litwie kampanią strzelców dzielnie prowadził. Ożeniwszy się z córką ref. Morawskiego, mieszkał w Jurkowie, potem w Czerwonej wsi. Gorący katolik, bardzo ocytany, wywierał wpływ znaczny, zwłaszcza na młodzież, którą w swym domu gościnnym przyjmować lubił i wielu do zasad i do życia katolickiego nakłonił. Skromny, rozgłosu nie szukał, naprzód się nie wysuwał, ale stać na boku także nie lubił i owszem tych, którym ufał, serdecznie popierał.

Był wówczas inny jeszcze mąż wielkiego serca, Edward Raczyński. Ten chodził samopas, a choć to umniejsza jego zasługi, chodził pięknie. Miłośnik nauk, głęboki znawca rzeczy ojczystych, wydał cały szereg dzieł historycznych, pamiętników, edycyj pomnikowych, których zamilowanie przeszłości w szerszych kołach rozbudził. Pan wielkiego majątku miał przekonanie, że te bogactwa nieczystą nabyte były drogą i sądził, że mu ich niewolno dla siebie używać. Żył w Rogalinie jak najoszczędniej, nowego surduta sobie żałował, ale na rzecz publiczną sypał krocie. Zebrał znaczną bibliotekę, zbudował dla niej pałac, stałym funduszem opatrzył i to wszystko darował miastu; własnym kosztem wodę do Poznania sprowadził; wzniósł piękną statwę Matki Boskiej, a gdy rzuceno myśl uczczenia Mieczysława i Bolesława Chrobrego pomnikiem w katedrze, on tem się zajął i wydatek nieledwie cały wziął na siebie. „Pisz co chcesz i jak chcesz,

będę twoim wydawcą," pisał on do Mickiewicza; a posłyszawszy, że poeta jest w niedostatku, posłał mu za krótki wierszyk 3000 fr. honorarium. Podobnie i Trentowskiego był hojnym wydawcą. — Do rozbudzenia życia umysłowego w prowincyi niemało się przyczynił, a z tego korzystał kraj cały; ludzie starsi pamiętają to dobrze, że przez pisma periodyczne i książki, które w tej epoce w Poznańskim wychodziły, prądy życia i światła europejskiego przelewały się na całą Polskę. Zjawili się ludzie talentu, w niemieckich uniwersytetach wysoko wykształceni; Libelt i Małecki mieszkali w pałacu Działyńskich prelekcye, które tłumnych słuchaczy ściągały. Podniesiono myśl założenia Akademii polskiej w Poznaniu własnymi funduszami; Bazar miał na ten cel oddawać trzecią część dochodu. Między Chłapowskim a Marcinkowskim długie nad tem toczyły się rozmowy, których ślady pozostały w notatkach Jenerała. Spisano tych wszystkich uczonych polskich, których zachciano zaprosić do owej wszechnicy poznańskiej, między innymi Stanisława i Jana Koźmianów ¹⁾. Plan nie przyszedł do skutku, ale pośrednio przyczynił się do otwarcia nowej szerokiej pracy, o której zaraz powiemy.

W r. 1841, zdrowie pani Chłapowskiej, zawsze dość wątłe, wymagało zmiany klimatu. Jenerał z żoną i dwiema córkami wyjechał na zimę do Rzymu. Po wszystkie czasy podróże bywały i będą zawsze potężną dźwignią cywilizacyi, ale — pod warunkiem, by je odbywać nie dla samej tylko zabawy i używania, lecz z pamięcią na kraj, z myślą służenia Ojczyźnie za powrotem. Z takim uczuciem podróżując, zawsze się wróci bogatszym; wszak Chłapowski, jeśli pod

¹⁾ I Domeykę myślano także sprowadzić. Oto co pisze Jenerał do J. Koźmiana (8 kwietnia 1845): „Cezary (Plater) mi mówił, że Humboldt obiecał Domeyce wyrobić pozwolenie przybycia do Księstwa. Jakżebym rad zamówić go sobie na dyrektora szkoły naukowo-rolniczej! Towarzystwo zdecydowało bowiem, że ta ma być wybudowana w Turwi. Miałbym profesora rolnictwa, a onby dawał chemii i technologii. Jeżeli jest we Francyi i masz komunikacyą z nim, donieś mu o tej mojej myśli.“

wieloma względami wyprzedził swych rodaków, to dlatego, że lata młode spędził wprawdzie za krajem, ale w służbie dla kraju. Atoli ze wszystkich podróży zagranicznych, dla Polaka najmiłszą i najpożyteczniejszą jest podróż do Rzymu. Już poeta protestancki powiedział, że narody upadłe zwracać się winny do wiecznego miasta. W istocie, tam każdy Polak znajdzie choć cząstkę swej Ojczyzny; tam każdy poczuje, że te wielkie, wszech czasów pomniki, nie do obcych tylko, lecz i do niego należą, a takiego uczucia nie doznaje się po innych stolicach. Nadto, w wielkich miastach europejskich można się niejednego i nauczyć i zbudować; ale tam trzeba szukać dobrego, złe zaś nieszukane samo się ciśnie w oczy, zbytek i zabawa ciągłą są ponętą. W Rzymie przeciwnie, trzeba wyszukiwać sposobności do zbytkowania, a wszystko co się widzi, tworzy tak wysoką atmosferę duchową, przemawia tak uroczyście do serca i umysłu, że musim koniecznie stać się lepszymi, głębszymi, poważniejszymi, albo też uciekać co prędzej i biedz do miasta, gdzieby można zjeść smaczniej, zabawić się pospoliej. — Dla katolików, Rzym jest nadto szkołą żywej wiary; on ich wychowanie religijne w pewnej mierze wykończa, uzupełnia. I tego właśnie miał na sobie doświadczyć Chłapowski. Był zawsze katolikiem wierzącym, obowiązki religijne zawsze, nawet podczas wojny, sumiennie wypełniał ¹⁾. Najulubieńszą książką jego było *Naśladowanie*, czytał ją codziennie, nie opuszczała go i w kampanii r. 1831 i zwykł był mawiać, że ilekroć jedną stronicę tej książeczki przeczyta, lepiej rozumie sprawy tego świata. Ale przy tem wszystkim, był on że tak powiem, katolikiem prywatnym, przekonania religijne uznawał jako rzecz najwyższej wagi, ale zupełnie osobistą, rodzinną; ich związku z życiem publicznem niedobrze pojmował i nie zastanawiał się dotąd nad niezbędnnością Kościoła i wiary dla narodów i dla państwa. Dopiero w Rzymie zaszła u niego pod tym względem odmiana; to też podróż do wiecznego miasta stanowi epokę

¹⁾ Zawsze, nawet w wojnach napoleońskich, nosił z sobą książkę do nabożeństwa odziedziczoną po matce. Mielśmy ją w rękę, zużyta była i zczerniała; godnem jest uwagi, że modlitwę „za króla“ w niej przemazał a wpisał „za Ojczyznę.“

w jego-życiu, a z wielu miar i dla prowincyi, nowej epoki przynosi początek.

Jak we wszystkim, tak i w tem, szedł do celu prostą drogą. Przepędził tydzień na rekolekcyach u ś. Euzebiusza, z wojskową, a raczej zakonną ścisłością. Po każdym rozmyślaniu kładł na papier swoje myśli i postanowienia, i przekonał się, o czem dotąd mniej myślał, że w życiu człowieka publicznego, modlitwa jest rzeczą niemniej potrzebną, jak praca, nauka i czuwanie nad sobą; że mu daje cnoty, bez których inne nie wystarczą: spokój, wyrozumiałość i nadzieję — wbrew nadziei! Nadjechał był do Rzymu O. Ravignan i otworzył tam szereg konferencyj. Chłapowski żadnej z nich nie opuścił, każdej słuchoł z mocną wolą, aby je na swój pożytek obrócić. Po każdej wracał do siebie i spisywał treść. Czytałem te jego notatki i byłem zdumiony, że człowiek już wiekowy, stary żołnierz, tak dokładnie wszystko chwycił i z każdej konferencyi przyjmował to właśnie, co było najjędrniejszego, najbardziej odpowiadającego potrzebom ludzi żyjących w świecie. — Właśnie podówczas tworzyło się w Rzymie Zgromadzenie Zmartwychwstańców; Chłapowski znajdował się na pierwszej mszy Kajsiewicza i Semeneńki i z nimi wszedł w ścisłą zażyłość. Jeden z pierwszych ocenił on pożytek tego zawiązku zakonnego, który choć najmłodszy i najuboższy w siły i przeto mało czem mógł się dotąd zasłużyć, niemniej jednak dla Polski był ważnym, bo stał się dla niej nowym łącznikiem ze Stolicą Apostolską. Był też stałym jego przez lat kilka dobrodziejem, a przyjacielem pozostał do zgonu. Wzmocniony i podniesiony przez ten stosunek w swych uczuciach religijnych, lepiej niż dotąd ujrzał on stan kraju i jego potrzeby. Co w duszy człowieka ład wprowadza, to tylko może go zaprowadzić w narodzie i społeczeństwie. Jeżeli więc koniecznem jest ratowanie ziemi ojczystej, jeżeli potrzebnem jest przymnażanie sił narodowych, to jeszcze potrzebniejszem jest podniesienie tego, co i tej ziemi i tych sił, ma być ożywczym duchem. W rozmowach z Kajsiewiczem i Semeneńką urodziła się wówczas myśl założenia pisma peryodycznego, służącego Kościołowi z całym zasobem nauki świeckiej i znajomością spraw europejskich, i odpierającego lekkie sądy i napaści innych pism. Bo o da-

wniejszych, jak o wielu dzisiejszych pismach i pisarzach powiedzieć potrzeba, że ich antagonizmu do Kościoła, bardziej jeszcze brak nauki i rozsądku był przyczyną, aniżeli brak wiary. Gdyby wiedzieli czemu przeczą, nie przeczyliby. Chłapowski tedy oświadczył, że gotów jest dostarczyć funduszków na założenie nowego pisma, i gdy zapytał, kto mógłby być jego redaktorem, Kajsiewicz wymienił nazwisko Koźmiana. Nie było obcem Jenerałowi i to nazwisko; miał je na liście profesorów zamierzonej Akademii.

Koźmian był emigrantem, a choć wówczas nie liczył jeszcze lat 30, był gruntownie i wszechstronnie wykształcony. Mickiewicz rozbudził w nim przywiązanie do wiary, ks. Czartoryski ułatwił mu swym wpływem dalszą pracę naukową w Tuluzie; reszty dopełniła podróż po Hiszpanii i obcowanie z najcenniejszymi osobistościami emigracyi i obozu katolickiego w Paryżu; ze Zmartwychwstańcami wiązała go wspólność uczuć i dążenia. Przyjął więc zaproszenie, zjechali się z Jenerałem w Berlinie, w r. 1843. Zrazu, aby lepiej się zapoznać z nauką a zwłaszcza filozofią niemiecką, która wielu Polakom głowy zawracała, Koźmian uczył się na wykłady uniwersyteckie i tam się zetknął z młodzieżą polską. Powiedziano pięknie, że „bywają umysły, w których tylko jest ciepło, w drugich tylko jest jasno.“ Koźmian łączył jedno i drugie, miał głowę bardzo jasną i szeroką, ale przytem serce gorące, pełne miłości; i to jedynie wytlómaczyć może tajemnicę owego wpływu, jaki on wywierał na wszystkich ludzi, co się do niego zbliżyli. Młodzież otoczyła go gromadnie, widziała w nim swego mistrza i przywódcę, i wtedyto wytworzyła się owa pierwsza serya „*Koźmiańczyków*,“ którzy zaznaczyli później w kraju, jako ludzie zasad i obowiązku.— Wkrótce potem pojawił się *Przegląd Poznański*, a wychodził przez lat dwadzieścia. Nigdy on nie używał szerokiej wziętości, ale pomimo to, wpływ jego był nieraz bardzo znaczny; każdy dziennik i niemal każdy autor musiał z nim się rachować; pisma takiej jak *Przegląd* wartości nie było dotąd, nie było i później. Być może, że niejedna praca w nim zamieszczona za ciężką była na pismo peryodyczne, zwłaszcza w latach późniejszych, i mogła odstręczać publiczność; niemniej jednak, wszystko co tam ogłoszono, jest rozumne, za-

ne, pełne treści i zbawiennych przestróg, wobec pokus, które nas przez owe 20 lat trapiły. Że się *Przeгляд* nie opłacał, to nikogo nie zdziwi, zwłaszcza w Poznańskim i w Galicyi; Chłapowski pokrywał deficyt przez pierwsze lata, od r. 1840 wzięli ten ciężar insi, młodszy przyjaciele Koźmiana.

Bystry znawca ludzi, Chłapowski odgadł, jakim nabytkiem byłoby dla Wielkopolski pozyskać na zawsze takiego jak Koźmian człowieka; to też gdy najstarsza córka objawiła życzliwą ku temu chęć, oddał mu jej rękę w r. 1846 i w posagu wydzielił znaczną majątność. Wydać swą córkę, która najświetniejszej mogła spodziewać się partyi, za emigranta, człowieka, który nie miał znacznego majątku ani pozycyi ustalonej w kraju, na to podobno nie każdyby się zdobył. Ale Chłapowski miał we wszystkim swój sąd; aby zaś lepiej swego zięcia ubezpieczyć, wyrobił mu przez ks. Wilhelma Radziwiłła, obywatelstwo pruskie. Powiadają, że to był indygenat, którego rząd pruski do końca nie mógł odżalować. — Odtąd życie Jenerała związało się z życiem Koźmiana i w nie coraz bardziej się przelewało.

§ 17.

W krótkich już słowach pragnę zamknąć to, co mi do mówienia pozostaje, pomijając bardzo wiele rzeczy, któreby dostarczyły wątku do dalszego studyum. Byłto bowiem najświetniejszy peryod turewskiego domu. Przemineła już epidemia spisków, które od wyprawy Zaliwskiego i zawiązania się Towarzystwa demokratycznego w Poitiers aż po r. 1846, pustoszyły Poznańskie, Galicyą, Królestwo; z ich ustaniem nadeszła pora lepszego zasiewu. — Roboty konspiracyjne, wiotkie jak przedza pajęcza, a mozolne jak każda praca podziemna, kosztowały naród bez końca trudu, majątków a nieraz łez i krwi. To już mniejsza, że one ściągnęły na kraj srogie represye, cięższą niż dawniej niewolę. Niewolą najcięższą jest niemoc wewnętrzna, rozkładający się duch narodu, jest zamęt pojęć i uczucia, skrzywienie zmysłu moralnego; wtedy, jak mówi poeta, „wszystkiego się spodziewaj w sumień zawierusze; choćbyś czuł że masz duszę, mogę ci

wziąć duszę, i zostaniesz się w życiu pustym futerałem.“ A do takiego właśnie stanu doprowadziła naród zaraza spiskowania: zmarniało przez nią pokolenie, które z wojny roku 1831 wyszło z rozgrzanym, podniesionym duchem; zmarniało i to drugie, po niem idące, które odbiegło pracy, odbiegło rzeczywistości, a utonęło w ciemnych, denerwujących marzeniach. Ile ztąd szkody dla narodu, kto to obliczy; ilu młodych, w których był materyał na dzielnych obywateli, a zostali po tej szarpaninie szacowną tylko relikwią albo „pustym futerałem.“ Ten wiatr epidemiczny dał z taką gwałtownością od wschodu i zachodu, iż nawet mąż tak potężny, jak Marcinkowski, nie mógł kraju od niego zasłonić. Nie zdołał Marcinkowski powstrzymać wybuchu roku 1846 i to go dobiło, to przyspieszyło jego suchoty; padł także ofiarą tego prądu Edward Raczyński, zbyt wrażliwy na oszczerstwa. Jednemu pękło serce, drugi stracił rozum i skończył na samobójstwie.

Więcej niż ci dwaj, musiał od swoich wycierpieć Chłapowski, a wycierpiał spokojnie, bo miał silniejszy od nich fundament w duszy, żywą wiarę. Powróciwszy z Rzymu, na pamiątkę wrażeń i postanowień ztamtąd wyniesionych, zbudował kaplicę Matki Boskiej. I odtąd Turwia, jak powiedziano, z przekąsem a jednak prawdziwie, stała się „kaplicą przy wielkopolskim Kościele.“ Odtąd Jenerał przystępował co miesiąc do Komunii ś., ofiarując ją za Ojczyznę. Fakt miesięcznej spowiedzi sprawił wielkie wrażenie. Dziwiono się, mówiono, że Chłapowski zdziecinniał na starość, stał się bigotem, fanatykiem; lecz kiedy jedni krzyczeli, drudzy poszli za jego przykładem; przeszło to do Czerwonej wsi, do Oporowa, Jurkowa i dalej. Turwia dotąd cicha, w pracy domowej zamknięta, za wpływem Koźmiana poczęła otwierać gościnne podwoje, i coraz częściej zjeżdżali się do niej bliżsi i dalsi, aby tam ogrzać się, podnieść i utwierdzić w zacnych uczuciach, i odtąd ten dom, jak powiedziano, stał się ogniskiem, stał się Kruszwicą XIX wieku, z której wyszło na polu religijnem odrodzenie wielkopolskiego obywatelstwa, jak pierwszej wyszło jego odrodzenie na polu rolniczym i stosunku z włościanami. „Skupiał się około Chłapowskiego zastęp ludzi dobrej woli a szczerego serca, który ochrzczono przezwiskiem ultramontanów, a w którym rząd widział dla siebie

partya najniebezpieczniejszą, bo spokojną a konsekwentną „*Chłapowskich-Morawskische Partey*.“ Jenerał przywódczą był i chorążym tego stronnictwa, Koźmian jego duszą, a zadaniem jego jawne i śmiało wyznawanie zasad katolickich, wprowadzanie ich we wszystkie dziedziny prywatnego i publicznego życia. „Nie tylko Wielkopolska (mówi dalej autor prześlicznych wspomnień o Chłapowskim, z których niejeden ustęp żywcem tu wcielamy) zaciągała się pod znaki wywieszane przez Jenerała; zewsząd pokrewne szlachetnością dusze spieszyły do Turwi. Bywało, obok sędziwiejącego gospodarza, widnieje zdała wyniosła postać jenerała Zamoyskiego, który z wrytem na twarzy cierpieniem świecił jak grobowy pomnik Polski, a także poważne oblicze księcia Leona Sapiehy; tu Montalambert serdecznie bywa powitany; tu Antoniewicz i jego bracia zakonni znajdują i przyjęcie i poparcie. Tu emigracya nasza, zatęskniona do kraju, naprzód szuka schronienia. Nie brak tułaczów w domu turewskim, który dla nich chowa bliższą a tkliwszą niż dla innych gościnność. Niejeden, dzięki zabiegliwości gospodarza, znajduje los stalszy na ziemi ojczystej. Najprzedniejsi mowcy kościelni, jak Kajsiewicz, odzywają się w przyległej do pałacu kaplicy; niejeden poeta szuka tu natchnienia, że tylko przypomnieć tego, co dozgonną czcią i przyjaźnią związany, wdzięcznym opiewał wierszem: „*Turwi lilie, Turwi fiołki, Turwi wawrzyny*“¹⁾.

Ale tym „liliom i wawrzynom Turwi“ nie zabrakło i cierni. W r. 1849 pani Koźmianowa doznała ciężkiego wypadku na kolei żelaznej Radominie, który ją na zawsze pozbawił zdrowia ciała i umysłu, i wkrótce potem umarła. Krzyż to był wielki dla starych rodziców i dla męża; lecz z krzyża nowe życie: Koźmian został księdzem. Tu by zacząć wypadało nowy rozdział niniejszej pracy, jako dalszy ciąg biografii Jenerała, i tu właśnie przerwać ją muszę. Bo choć skończyło się życie Koźmiana, żadna z tych wielkich spraw, z którymi zrosło się jego serce, nie zakończona... Bóg chowa ich rozwiązanie w swem ręku, aż spełni się miara naszych

¹⁾ *Przegląd Lwowski*. maj 1879. — „Tu rwij fiołki, tu rwij wawrzyny, co je sadziła ręka hetmana.“ *Do Mistrzów Słowa*, wiersz Stan. Koźmiana.

cierpień i naszego oczyszczenia a także — i miara niesprawiedliwości z drugiej strony! A któż wyliczy, kto zna wszystkie wysługi Koźmiana rodakom przyniesione; chyba Ten tylko, przed którym księga naszego życia zawsze jest otworem!... Kiedy Marcinkowski dokonał szczęśliwie trudnej operacyi na pani Stan. Chłapowskiej, mąż dziękując mu ze wzruszeniem, rzekł: „Co to za piękny zawód matkę tylu dzieciom uratować!“ „Tak, odrzekł tenże; lecz o ileż piękniejszy zawód księdza, który duszę ratuje!“ Ileżto dusz uratowanych i uświęconych przez Koźmiana, ile domów przez niego uzdrowionych, podniesionych moralnie! Czem Marcinkowski był dla Poznańskiego pod względem lekarskim i obywatelskim, tem był Koźmian pod względem duchowym i kościelnym. A nietylko dla Poznańskiego; — bo gdzież nie sięgała jego ręka czynna, jego serce dla całej Polski bijące!...

Pod koniec r. 1853, zdrowie pani Chłapowskiej coraz bardziej słabnące, zmusiło męża, że jeszcze jedną zimę przepędził w Rzymie. Tam młodsza córka objawiła zamiar wejścia do Zgromadzenia Sereanek. Matka wstrzymywała pozwolenie przez dwa lata, aż przekonawszy się o stałości jej powołania, odwiozła ją z mężem w r. 1857 do nowicyatu paryskiego. W miesiąc po jej obłóczynach umarła. Zbyt mało mówiłem o tej niepospolitej niewieście, i sam dobrze czuję, ile przez to zamileczenie obraz mój utracił, i krasy, i ciepła. Oboje dziwnie zgodni byli z sobą i podobni: jednakowa była ich miłość Kościoła i Ojczyzny, jednakowa sumienność w pracy i uczucie obowiązku, troska o dzieci, o domowników i o włościan; w życiu prostota i stałość, tylko że co u jednego było granitowe, u drugiej wszystko jakby z aksamitu. „Była to prawdziwie wielka pani, w całym ale w dobrem znaczeniu tego wyrazu. Żadnej u niej drobiazgowości. Zawsze jednakowa, prosta, słodka, miłująca. Przystępna a niewymownej dystynkeyi, w sposobie, w gestach, w ułożeniu; jedna z tych istot tak szczęśliwie i wysoko rozwiniętych, iż na jakimkolwiek szczeblu towarzyskim spodoba się Opatrzności je postawić, choćby na najwyższym, zawsze się znajdują na swoim miejscu; nie ich nie dziwi, nie nie stropi, nie mają nie do nauceńcia się, nie do pozbycia“¹⁾.

¹⁾ Kajsiewicz, Pisma II, 239.

O tej śmierci, tym strasznym krzyżu swoim, donosi Jenerał synowi swemu z tą lakoniczną prostotą, z jaką pisywał z pola bitwy. „Bóg, Pan najwyższy nasz, zabrał dzisiaj matkę waszę do siebie. Pół godziny przed śmiercią zapytałem jej: „czy błogosławisz raz jeszcze naszym czworgu dzieciom żyjącym?“ Nie mogła już mówić, ale bardzo wyraźnie odpowiedziała: *tak*, i x. Hube, który klęczał dalej niż ja, dobrze usłyszał. Teraz, mój synu, dojdź zaraz do B. Radziwiłła, żeby mi wyrobił pozwolenie i żeby je posłali na granicę pruską od Kolonii, dla przewiezienia ciała mamuleczki, którego tutaj nie zostawię (21 kwietnia 1857“).

Chłapowski miał już lat 70; utracił tę, o której sam mówił, że mu dodawała odwagi do życia. Złamany bardzo, zaraz rozdzielił majątek między synów i ledwo na ich prośbę, jakąś część sobie zostawił. „Odtąd (mówi cytowany już przez nas autor) spostrzegli bliscy znaczną zmianę w Jenerale. Znikła dawna surowość, przemogła rodzinna łagodność, zbudziła się pewna potrzeba wylania się serdecznego. Co niegdyś dla jednej tylko skarbił małżonki, rozdzielało się teraz między tych wszystkich, co się doń zbliżali, i wyłoniła się z jego duszy cała tkliwość i delikatność uczuć tłumionych. Dante wspomina o tej szarej godzinie życia, „*che interisce il cuore*“ i do zwierzeń sposobniejszym czyni. Większa część wspomnień Jenerała, które przechowały się wśród rodziny jako skarb domowej tradycyi, z tego datuje czas. „Kiedy niema pola do działania, mawiał Jenerał, trzeba uczyć się tego, co dawniej robiono.“ Wyjeżdżał co rok do Francyi dla odwiedzenia swych starych i młodszych przyjaciół i swojej córki. Gdy powstała myśl założenia w Poznaniu domu Sercanek, złożył na ten cel posag swej córki, 40,000 tal. i do śmierci pozostał szczególnym przyjacielem tego zakładu. Dwa razy, ku wielkiej jego radości, przyjeżdżały Sercanki na wakacje do Turwi. Zaraz się z domu wyprowadzał, baryerami go otaczał i oddawał na ich usługi. Próbował wrócić jeszcze do życia publicznego i podjął się obowiązków dyrektora w osuszeniu błot oberskich, nanowo studyował hydraulikę, dawne swe kajety ze szkoły politechnicznej odczytywał, ale gdy rząd czynił trudności w asygnowaniu żądanych fundusów, porzucił tę służbę po dwóch latach i usunął się na

wieś. Dawnego trybu życia nie zmienił, codzien czynił odległe konne wycieczki, w tych był niestrudzony. „Gdyby to można, rzekł on, konno do nieba zajechać, to jaby tam pewno zajechał!” Po drodze, zawsze przyglądał się robotom, rad wchodził w rozmowy z chłopami, którzy ze czecią „starszego pana” słuchali. Zajeżdżał też i do przyjaciół, w sąsiedztwo; jednej z tych wizyt dochowało się rzewne wspomnienie. Przyjechał Chłapowski do pobliskiej Luboni, winszować imienin jen. Morawskiemu. „Pod koniec obiadu, do którego liczni zasiedli goście, powstali obaj sędziwi wodzowie, a trzymając się za ręce, jęli serdeczne wymieniać życzenia. Zanim podniósł toast na cześć solenizanta, Chłapowski przypominał wszystkie miejsca, gdzie się podczas długiego spotykali życia: naprzód w Rydzynie, w kolegium pijarskiem, później w bitwie pod Tezewem i przy oblężeniu Gdańska, dalej w różnych przygodach straszego roku 1812. Jeden drugiemu przypominał sławne miejscowości, a zasłuchani wokoło uczestnicy rzewnego święta, odczuwali w duszy wrażenie tej chwili, rozumiejąc dobrze, że co dla nich było tylko dziejowem wspomnieniem, dla obu starców było rzeczywistością. Wreszcie, gdy Chłapowski zakończył życzeniem, aby się mogli spotkać raz jeszcze i połączyć w niebie: „już ja tam będę kwatermistrzem,” odpowiedział jen. Morawski ze zwykłym sobie dowcipem“.

Morawski umarł wkrótce potem, Chłapowski przeżył go o wiele dłużej; dociągnął do niezwyklej w życiu ludzkim miary, 92 roku. W ostatnich latach duch jego, pod brzemieniem wieku, ulegał stopniowemu przyćmieniu; żył tylko przeszłością. „Siedzącemu całemi godzinami w oknie głównej komnaty turewskiego pałacu roily się krwawe boje i zapasy; wiecznie w jedną zapatrzony stronę, zdawał się wciąż wyglądać nadeciągającego wroga. Było coś rozdzierającego w tym smutnym zachodzie wojowniczego życia. Zniknęła i dawna pogoda; wzrok niespokojny wciąż zdawał się o kogoś pytać, kogo szukać. „*Gdzie ona,*“ powtarzał często, a nikt go zaspokoić nie zdołał, nie wiedząc za kim tęskni, kogo szuka: Ojczyzny czy małżonki? W tem zaćmieniu lat ostatnich było zapewne miłosierne zrządzenie. Temu co tak wiele przeszedł, wiele wycierpiał, Bóg chciał oszczędzić poczucia i zrozumie-

nia klęsk publicznych i nieszczęść prywatnych, które się temi czasy zwały. Nie przecierpiał straty kilku wnucząt, nie oplakał zgonu tyle mu drogiego zięcia, x. Koźmiana, nie spostrzegł nawet, gdy na parę tygodni przed jego śmiercią, zniknęła także z pod jego boku synowa, pani Tadeuszowa, która go najczulszą otaczała pieczę. Mało kogo poznając, zapominał co winien był ludziom, nie zapominał co winien Bogu¹⁾. Codzień wieczorem przychodził do kaplicy i w swej modlitwie wymieniał wszystkie bitwy, do których należał i polecał dusze poległych. Żołnierz gasnący modlił się za żołnierzy umarłych. Piękny to i wzruszający był widok tej koleżeńkiej usługi, zwłaszcza też w tych ostatnich latach, kiedy nie słysząc drugich, sam, głosem przejmującym, wyliczał te krwawe spotkania, z którymi związaną się czuła jego dusza rycerska. Była to jakby litania starego żołnierza.

Zasnął jak dziecko, spokojnie, bez cierpień, 26 maja 1879. „Warto żyć w trudzie, aby łatwo umrzeć,“ powiedziano oddawna.



Zamknięcie.

§ 18.

Skończyłem, a jako podróżny, który wdrapał się na wysoką górę, lubi obejrzeć się po za siebie, aby jednym rzutem oka objąć całą okolicę, tak i ja, doszedłszy do mety, zanim pożegnám moich słuchaczów, chcę jeszcze raz przyrzec się życiu Jenerała, nie w szczegółach, ale w ogólnym jego charakterze.

„*Ense, cruce et aratro,*“ mieczem, pługiem i krzyżem, te słowa należałoby wyryć na jego grobie. Żołnierz, obywatel, chrześcjanin, potrójną walczył bronią, każdą władał dzielnie, a każdą z kolei służył Ojczyźnie.

Żołnierzem był naprzód i przedewszystkiem „stary woj-

¹⁾ Wspomnienie o Jen. Chłapowskim. *Przegląd Lwowski* l. c.

skowy i jenerał, na którego widok, jak powiedziano, mimowolnie stawało się do frontu i opuszczało ręce po sobie.“ Wojskowość była jego najulubieńszem zajęciem, dzieła wojskowe czytał ciągle i każdą wojnę, która się za jego życia toczyła, pilnie studyował. Wojna krymska obudziła w nim żywą nadzieję. Kiedy rząd angielski zawezwał jen. Zamoyckiego do formowania polskiej dywizyi, Chłapowski odezwał się do niego, że gdy stanie na polskiej ziemi, pospieszy i on, wraz z trzema synami, pod jego komendę. Po kampanii włoskiej r. 1859, pojechał na miejsce i pola bitew oglądał. — Od dzieciństwa wychowany na koniu, w każdym giescie, w każdym poruszeniu objawiał człowieka, który nawykł do dawania rozkazów a nie przypuszczał, aby można go było nie usłuchać. To też opozycją niełatwo znosił, w czynie a nawet w zdaniu, i gdy mu zaprzeczono, mówić przestawał. Gdy go zamianowano członkiem Izby Panów w Berlinie, powstała myśl, aby go zaprosić na prezesa Koła polskiego. Wymówił się, dodając żartobliwie: „ja nie rozumiem inaczej prezydencyi, tylko iżbym tych panów, co nie przychodzą regularnie na sesye, mógł wsadzić na kilka dni do kozy.“ — Sądził ludzi po wojskowemu, i gdy o swoich towarzyszach usłyszał sąd niekorzystny, — „ej, bił się dobrze,“ to była jego obrona; za to bez litości był dla teńców i dla fanfaronów i do końca nie mógł przebaczyć tym, którzy w r. 1831 w domu pozostali; przyznawał, że mogli mieć słuszne do tego powody, ale jednak widać było, że tych powodów nie rozumiał. Łatwo ufał ludziom, dopóki się o ich obłudzie nie przekonał; wtedy brzydził się nimi. Skłonny był widzieć różowo, może dlatego, że na swoje sily liczył. Mawiał, że gdy pierwszy raz działa zagrzmia, rzadko ktoby nie zadrżał, ale dodawał, że jeżeli się ma choćby najmniejszą komendę, wnet się zapomina o niebezpieczeństwie. W czasie bitwy rósł i potężniał na oko; widać było, że w niego jakiś wyższy duch wstępował. „Ten młodzieniec zajdzie daleko,“ wyrzekł o nim Napoleon pod Wagram. Nie zaszedł tak daleko, jak można się było spodziewać i jakby dla dobra sprawy należało pragnąć. Cóż stanęło na przeszkodzie? Czy brak ambicyi i jego szczególna obojętność na rangi i stopnie? „*Honor bez honorów,*“ oto dewiza, którą sobie wynalazł. Baronow-

skiego tytułu nie używał nigdy, chociaż na polu bitwy nań zarobił. Jak nie upomniał się o awans, gdy służbę Napoleona porzucił, tak nie dbał o to, że mu dano stopień niższy aniżeli należało, w początkach wojny roku 1831. Gdyby w tej wojnie wcześniej był został generałem, nie Gielgud ale on byłby na Litwie komendantem, a wtedy innyby z pewnością wzięła obrót ta wyprawa i ostateczny walki wypadek może byłby inny.

Dobry taktyk, ilekroć jedna broń wypadła mu z ręki zaraz chwycił za drugą; zsiadłszy z konia brał się do pługa, i tym orężem nową walkę zaczynał, walkę bardzo długą, bardzo mozolną, ale w skutkach niezawodną. Poczciwa ta ziemia polska, choć się na nią skarżą, kocha tych co ją kochają, co jej służą wiernie, nie jedną ale obiema rękoma. Ieżto razy w ciągu naszego stulecia, za Księstwa warszawskiego, w początkach kongresowego Królestwa, następnie po zniesieniu pańszczyzny i dziś jeszcze, słyszeliśmy i słyszemy głosy rozpaczliwe, że obywatelstwu grunt się z pod nóg usuwa, że jeszcze trochę a wszystkie majątki przepadną! I przepadło ich wiele; lecz kto szczerze chciał, kto żył roztropnie i z groszem się rachował a trudu dołożył, ten się ocalił. Chłapowski szeroko na tem polu zajaśniał; na pół wieku przed innymi pokazał, że dobry rolnik jest zarazem dobrym patriotą, zasłużonym obywatelem. Wystawił szkołę rolnictwa dla narodu, nie mało gospodarzy wykształcił. — Poczciwa ta ziemia polska, choć rok i drugi zawiedzie, w końcu sowiecie odplaci się tym, co dla niej siebie nie szczędzą. Jenerał zaczął na majątku, na którym nie prócz tytułu własności nie posiadał; w pierwszym dziesiątku lat spłacił milion długów i dobra do niewidzianej w Polsce doskonałości doprowadził; w drugim i trzecim dziesiątku, do dziedzicznej Turwi i Rombina, dokupił Brodnicę, Goździkowo, Manieczki, Kopaszewo. Zaczął od 11,000 zadłużonych morgów, skończył na 32,500, i te między synów rozdzielił. A zapłacił przytem niemało: i częściową konfiskatę w r. 1832, i owe 100,000 rozdane oficerom na ziemi pruskiej i do fundacyi Sercanek w Poznaniu znacznie się przyczynił i kto wyliczy jego hojne datki. Snać, że ofiara na rzecz publiczną nie uboży, i owszem pomaga, bo do rachunku z sobą przynagła. Wszak prawda, że ofiary

znaczniejszej nie robi się bez dłuższego namysłu; lecz gdybyśmy chcieli zliczyć te wszystkie wydatki, których źródło w naszej próżności i próżniactwie, tobyśmy dopiero przerazili się wielkością sumy, jaką one pod koniec roku wytworzą. — Być może, że system rolniczy, którego Chłapowski się trzymał, ulegnie zmianie, że z czasem okaże się mniej korzystnym, że zarzuciwszy tak znane intensywne gospodarstwo, powrócą do prostszej metody, co doświadczenie pokaże; ale co nie ulegnie zmianie, co przy każdym systemie okaże się najkorzystniejszym, to oszczędność i praca. Ten przykład z jego życia zostanie i będzie jedną z wielkich jego zasług. A obok materialnych w ziemi nabytków, jak szczęśliwe w ludzkie włościąnskim zdobycze, jakie podniesienie tego ludu w majątkach Jenerała? Czy to za wiele powiedzieć, że każdy właściciel wsi może w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia organizmu narodowego!

Z wojskowej do obywatelskiej, z obywatelskiej, stopniem wyżej, przeszedł do służby krzyża. To służba najwyższa i najpotrzebniejsza. Dla wszystkich narodów Kościół jest dźwignią, dla nas jest czemś więcej, zasadą bytu, rękojmnią przyszłości. Więcej potrzeba siły temu co upadł, by się dźwignął, niż temu co stoi, by się na nogach utrzymał. I na tem także polu zaważył Jenerał. Któż nie wie, ile znaczy przykład męża, przed którym każdy musi głowy uchylić, a który sam, jawnie, korzy się przed Bogiem i ze szlachetną odwagą staje po stronie Kościoła; tym przykładem nietylko dusze pokrewne pociąga, ale i przeciwników rozbija, podnosi i uszlachetnia. Azaliż nieprawda, że takie uszlachetnienie widzimy już dzisiaj w Poznańskim, gdzie mimo ścierania się obozów politycznych, jest obustronna zaćność, wzajemne poszanowanie, z obu stron łatwiejsza zgoda, skorsze podanie ręki, ilekroć się ma wobec siebie wspólnego przeciwnika. Solidarność narodowa, która dziś tworzy siłę Galicyi, wyszła z Wielkopolski. To podniesienie, wzmocnienie opinii i charakterów, jak cechą jest tej prowincyi, tak śmiej powiedzieć, skutkiem jest rozbudzonego w niej, o wiele niż gdzieindziej, głębszego, religijnego uczucia.

Potrzebaż tu dodawać, jakie od swoich spotkały Chłapowskiego krzyże, obmowy, oszczerstwa? Zrobiono go ko-

złem ofiarnym cudzych błędów i cudzej niesforności na Litwie; w roznamiętnieniu, jakie nastalo po upadku sprawy, nie umiano prawdy rozeznac, nie chciano jej szukać. On milczał; czasem jęknął z bólu i z płaczem wybuchnął przed zaufanym przyjacielem, ale głośno nie skarżył się nigdy. Zamknął się w pracy. I gdy „cierpliwością, tą panią niedoli, dom swój odtworzył z nieczego, powoli,“ i ziemię dziedziczną ocalił i mienia dzieciom przysporzył, zaczęto się temu dziwować. Tylu ludzi straciło fortuny, a on ją jeszcze powiększył; czyż to mogło stać się prostą drogą? I oto na człowieka, który sumiennosc i delikatnosc w sprawach pieniężnych posuwał, rzec można, aż do przesady¹⁾; zaczęto szeptać pociechu, że tu czyjaś krzywda być musi... Szpetne to, bezecne, i czyż potrzeba o tem wspominać? Potrzeba, — choćby dla całości obrazu. Gdyby Chłapowski z kruchszego był ukuty materiału, a do innego należał obozu, czyżby, pomimo wejścia do Prus, nie był wielbionym, kochanym, na rękach noszonym, jak to się z innymi trafiło? Ale to był twardy granit, na którym żaden pocisk nie zostawiał śladu, w życiu i słowie niezachwiany, pokorny Kościoła syn, a odważny wyznawca Chrystusowej wiary. I oto kamień obrazy dla jego przeciwników, oto źródło tej niechęci, która go ściagała i ściaga. „Nie jesteście sługa większy nad Pana swego.“ Ale jeżeli mąż takich zasług, takiej czystości charakteru i życia, nie mógł uniknąć prześladowania od swoich, dopóki żył i po śmierci, zaliż my mamy kwilić, że i na nas maluczkie spadnie z ulicy jakaś kropla błota. Zaliż zgorzknąć mamy w sobie i serce swe zamknąć przed braćmi, którym niebrak może dobrej intencji, brak tylko doświadczenia i sądu?...

Chłapowski i dla historyka i dla psychologa zjawiskiem jest ciekawem. Są w nim przynioty, które zazwyczaj nie idą w parze, lecz kiedy je traf szczęśliwy powiąże, tworzą całość wyjątkową. Rozum głęboki, a nie w jednym ale w każ-

¹⁾ Zanutujemy tu jedno jeszcze wspomnienie. Miał prawo do emerytury ze służby napoleońskiej (*pension de retraite*), którą rząd pruski zobowiązał się być wojskowym polskim wypłacać. Nigdy się o nią nie zgłosił, tak mu przykra była myśl z kas pruskiej pobierać pieniądze.

dym kierunku; różnostronny, lecz przytem zawsze jednolity. Rzutki i przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały; śmiały a bardzo ostrożny; w służbie twardy, a po za służbą druh serdeczny; oszczędny, a przytem hojny i bezinteresowny aż do zadziwienia. Żołnierz „od stóp do głów, nawskróś i nawylot,“ przytem pelen dystynkeji i wykwiutnego poloru. Człowiek czynu i człowiek nauki; każdego dnia kilka godzin na koniu i kilka godzin przy książce przesiedział. Czy szablę czy pług mając w rękę, czyta i uczy się wciąż. Z dzieciństwa wyniósł znajomość francuskiego i niemieckiego języka. W r. 1808 nauczył się po hiszpańsku, w r. 1811 po rosyjsku, w r. 1814 po angielsku; na starość jeszcze po grecku i po włosku się uczył. Obok wojskowości i agronomii, historia jego zajęciem codziennem, a nietylko świecka lecz i kościelna. Całego Cantu i całego Rohrbachera przewertował, a czytał powoli, z piórem w rękę. Ile razy nowe podejmuje zajęcie, zawsze się do niego przez studia teoretyczne przygotowuje; tak w wojnie, tak przy roli, tak na sejmie i w obywatelskich posługach. Zostały po nim stopy notat, wypisów lub rozpraw samodzielnych dla własnej nauki ułożonych. — Umysł jasny i krytyczny, rekryminacyj nie lubił; gdy się rzecz stała, osądził trzeźwo ale nie wyrzekał, nie potępiał; odrazu do tego co robić należało, przystępował; budował na tem co zastał. — Rycerz prawdziwie chrześcijański, energia i spokój to jego znaki wybitne; nawet na wojnie, przy ataku, w zapale bitwy, mówił, że nikogo bez potrzeby nie zabił. Człł w sobie, bo czuć musiał, zdolność do wielkich rzeczy, a jednak na tem co mu robić kazano przestawał; przed żadnym rozkazem się nie cofnął, każdy świetnie wykonał, ale dopóki nie dano rozkazu, jak żołnierz stał na miejscu, naprzód się nigdy nie wrywał. Kto się nad tem głębiej zastanowi, ten musi przyznać, że ta równowaga i panowanie nad sobą, ta wstrzemięźliwość w działaniu, kiedy ono nie wchodzi w nasz obowiązek, jest cnotą jedną z najtrudniejszych, ale i najpotrzebniejszych w zbiorowej czynności.

Troskliwy o sługi, o wychowanie swych dzieci, chciał ażeby zawsze był pokój w jego domu, żadnych niesnasek między niemi nie cierpiał. Zasada jego było, aby każdy z synów, zanim wejdzie w gospodarstwo, odbył dziesięcioletnią

szługę publiczną; to też najstarszy służył dziesięć lat w artyleryi, drugi tyleż w sądownictwie; chciał przez to ich charakter ująć w silne karby obowiązku, bo tego, jak mówił, pobyt na wsi nie uczy, tam każdy zbyt panem jest siebie.— Z dzieciństwa zapamiętał wiersz Karpińskiego „o powinnościach obywatela“:

Jam jest Ojczyzna, i nie dość mi tego,
 Że się nazywasz mym synem,
 Masz mi poświęcić siebie całego
 I nie zmazać się złym czynem;
 Gdy cię zawołam w moim weisku
 Do wspólnej z bracią roboty,
 Niechaj kto inny biegnie dla zysku,
 Tobie nagrodą twe cnoty.
 Choćby po twojem najlepszem dziele
 Zawsze o sobie sądz mało;
 Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
 Lecz co ci zrobić zostało.

Ten wiersz przekazał swojej rodzinie; każde dziecko u Chłapowskich musi go umieć napamięć.

Chociaż od Anglików i Szkotów wyuczył się agronomii, od Francuzów przejął wiele w wojskowości i w życiu, i z nimi łączyły go wspomnienia świetnie przebytej młodości, to jednak Polakiem był zawsze i wszędzie: przy roli, w pracy obywatelskiej i na wojnie. Żadnej obcej sprawie służyć nie chciał: porzucił Napoleona, gdy ten Księstwo warszawskie Aleksandrowi oddawał; w r. 1845, gdy mu przez Montalamberta ofiarowano komendę nad armią Sonderbundu w Szwajcaryi, odmówił. — Polaków kochał i cenił, lecz zarzucał im, że niedość pracują, niedość się uczą i mają za wiele miłości własnej. Charakter nawskróś polski, a bez żadnych polskich wad. Ze wszystkich wad drobniejszych najbardziej miłością własną pogardzał, bo jak mówił, ona połowę rozumu człowiekowi odbiera; przy niej i cnoty i zdolności, a nawet majątki drobnieją.

Wzrostu małego, ale dziwnie regularnych i pięknych był rysów; na dworze napoleońskim zwano go Cherubinem.

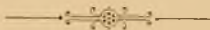
Oczy miał duże, niebieskie, które czasem dobry i łagodny, czasem wielkiej siły i grozy przybierały wyraz. Mówił mało i krótko, pisał z łatwością i jasno, ale niepoprawnie, tak dobrze w polskim jak francuskim języku. Miał wymowę nie słowa lecz czynów, a także swej fizjonomii — poważnej, szlachetnej, energicznej. W odpowiedziach swoich żywy i nieraz pełen trafności umiał, kiedy było potrzeba, zręcznym i dosadnym słowem, dać zrozumieć choćby wysoko stojącym osobistościom, niewłaściwość ich odezwania się. Znajdował się w Berlinie w r. 1852, w Izbie Panów, której był członkiem, kiedy Napoleon III ogłosił się cesarzem. Zbliży się do niego pewien dygnitarz pruski i rzecze: „A cóż Jenerale, Bonaparte znów na tronie, czy pojedziesz do niego?“ „Nie, ja na tamtego tutaj czekałem.“ — Następca tronu pruski zobaczył na jego piersiach krzyż *Virtuti militari*. „Widzę, panie Jenerale, rzecze, że obaj mamy ten sam krzyż.“ „Przepraszam, odpowie Chłapowski, W. Kr. Wysokość otrzymał swój od ces. Mikołaja; ja takiego nigdy nie miałem i mieć nie będę.“ — Podczas swej służby przy Napoleonie I odwiedzał często Caramanów, którzy należeli do obozu legitymistów. „Bywasz w domu Caramanów, rzecze doń Cesarz, muszą tam źle o mnie gadać.“ „N. Panie, zbyt oni dobrze są wychowani, aby przy mnie źle mówili o WCMości.“ — W r. 1853, kiedy się w Rzymie znajdował, odprawiono rewii na cześć ks. Jerzego, królewicza saskiego. Jen. Monréal, stary kolega Chłapowskiego, zaprosił go po rewii na śniadanie i przedstawił Księżciu. Odezwał się Chłapowski do Królewicza, że o dynastyi saskiej zawsze z wdzięcznością wspominają w Polsce. „Ach, rzecze ks. Jerzy, moja rodzina wszystkie swe nieszczęścia zawdzięcza Polsce.“ „W. Kr. Wysokość zapomina, iż rodzina jego winna Polsce to szczęście, że do Kościoła katolickiego się liczy.“ — Człowiek władzy; kiedy starszy rozkazał, uważał sobie za obowiązek bronić tego rozkazu, choćby mu był przeciwny, i to tłómaczy jego zachowanie się przy Gielgudzie na Litwie. Ale dworactwa nie cierpiał i dworakami gardził. W r. 1814, po traktacie paryskim, wojsko polskie przeszło pod rozkazy Aleksandra. Jeszcze Napoleon był w Fontainebleau, a już jen. Krasieński urządził przegląd pułku Szwoleżerów przed Cesarzem rosyjskim i zaprosił go na śnia-

danie wraz z Królewiczem pruskim. Prosił i Chłapowskiego, ale ten się tłómaczył, że nie ma munduru. „Eh, ty pewno myślisz, rzecze Krasiński, że to nieładnie tak z jednego przedpokoju przechodzić do drugiego,“ „A kiedy Jenerał tak powiadasz, odrzecz Chłapowski, to nie przeczę; ja tego nie umiem.“

Takim był Chłapowski: prawy, silny, rozumny. Czy był geniuszem, tego nie śmiem powiedzieć; nie miał dość pola, aby tego dowieść; ale z pewnością był człowiekiem wielkiego charakteru. Niejeden geniusz kłęską był dla narodów; charakter wielki i w sobie samym wyższy jest od geniuszu i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Na kilku polach Chłapowski dał impuls potężny, który czuć w całym kraju. Stworzył dom zacny, zaszczerpił w nim silną tradycją. Zanością rodzin podnoszą się narody. Kochał Ojczyznę całą duszą: *per illam defunctus adhuc loquitur*; przez nią on do nas i do swej rodziny przemawia. Nie wiem, jakim się on w moim obrazie przedstawia; tylko upewniam, że go nie upiększał, nie stroił wieńcami. Na co tam wieńca, gdzie szabla i krzyż!...

Kończąc, mogę śmiało odezwać się do moich słuchaczów, i młodszych i starszych: *Habes in illo quod mireris, habes quod imiteris*. Znajdziesz w nim wiele do podziwiania, znajdziesz i do naśladowania; lecz i Bogu jest za co dziękować. Bo każdy Polak znakomity laską jest od Boga, siłą, bogactwem i chwałą Ojczyzny; jakże za to nie być wdzięcznym! „Człowiek jest przyzmatem, rzekł wielki mówca, przez który z Nieba świecą promienie; nie on jest piękny, tylko Boże promienie. Ale bez niego, tamtych nie byłoby widać“¹⁾.

¹⁾ Dupanloup, *Oraison funèbre du Gl. Lamoricière*.



ARKADIANA.

Z papierów ostatniej wojewodziny wileńskiej
Heleny z Przeddzieckich ks. Radziwiłłowej ¹⁾.

(Przyczynek do historii obyczajów i życia towarzyskiego w Polsce).

Pisał

M. R.

Śród gorączkowych lat ostatnich ośmnastego stulecia i najważniejszych dla nas wypadków, w zakłóconem społeczeństwie polskiem, śród gorliwych i lekkomyślnych, zaślepionych i bezsilnych, w obozie króla i opozycyi, w tłumnych salonach stolicy i na galeryach sejmowej sali, panuje polska niewiasta.

Nie ta, jak dawniej, w zupełnej przed prawem zależności od męża, któremu srom groził, jeżeli białogłowie ulegał; nie ta, wedle słów Pisma ś., przędząca runo na domowym progu, którego była cichą wychowanką, z powierchownością

¹⁾ Praca niniejsza jest pierwszym rozdziałem większej całości, która niebawem ma się ukazać w druku. Sławna z rozumu i piękności księżna z Przeddzieckich Radziwiłłowa, zajmowała stanowisko bardzo znaczące w życiu towarzyskiem swojego czasu, którego była przez swoje dobre jak ujemne strony jedną z charakterystycznych i ciekawych niewieściel postaci. Jej korespondencya może z pewnością rzucić wiele światła na świat ówczesny; słusznie też autor uważa tę swoją pracę za przyczynek do historii obyczajów i życia towarzyskiego w Polsce.

(Przyp. Red.).

zakonną, modlitwą na ustach, ale niestety, przekształcona zepsuciem wieku z cichej towarzyszkii życia na panią. Niedawno jeszcze powaga i enota, przy poczuciu obowiązku, przy rodowej dumie... tej, która nie pozwalała klejnotu poniżyć, wytwarzały z kobiet polskich owe sędziwe matrony, którym w domowym życiu słusznie przewodniczyć przystało. Rozpustny wiek ośmnasty usamowolił zalotne i płoche. Intryga i wdzięki podały im berło, jakiego nie dzierżyły przedtem, wiodące aż do turniejów politycznej areny. Zapóźno Kollataj ostrzegał i gromił; z dniem każdym potężniała niewieścia przewaga, z nią waleczyć mieli politycy tych czasów, a Fryderyk Wielki głośno powtarzał, iż „rozum w Polsce przeniósł się do kądzieli.“

Zlały się z obrazem wieku, w którym żyły, te niewieście postacie. Jaśniały wśród nich niektóre rozumem, inne patriotyzmem, inne się wzniosły intrygą. Jak aniabądź jednak drogą doszły do rozgłosu, wszystkie należały niezaprzeczenie do takich, o których przemilczeć niewolno. Obok kasztelanowej Kamińskiej, Kossakowskiej, Potockiej z domu, przezwanej wyrocznią tejże rodziny, księżnej Sapieżyny siostry Branickiego, nieprzejednanej przeciwniczki króla, — księżnej marszałkowej Lubomirskiej lub hetmanowej Ogińskiej, obok Branickiej, Mniszchowej, Tyszkiewiczowej, Augustowej i Sewerynowej Potockiej, tuż obok księżnej Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, ozdobicielki Puław, — jaśnieje wdziękiem, pięknością, rozumem, twórczem poczuciem piękna, a także charakterem nieulęknionym, sądem przenikliwym i jasnym, darem wielkiej dyplomacyi, księżna Wojewodzina wileńska.

Krewna księżnej Izabeli ¹⁾, jej prawdziwa przyjaciółka, mocą wypadków a więcej jeszcze tożsamością charakteru, zaletami umysłu i serca, przeważnem stanowiskiem w świecie, popchnięta mimowolnie na drogę pewnej rywalizacyi kobiecej, księżna Helena znajduje się nieraz wśród politycznych

¹⁾ Z trzech córek ks. Michała Czartoryskiego, dwie z rządu były za Jerzym Flemingiem, podsk. w. lit., potem wojew. pomorskim; trzecia za hetmanem Michałem Ogińskim, wujem księżnej Heleny. Że księżna Izabela była córką Antoniny z Czartoryskich Flemingowej, wujenką księżnej Heleny była ciotka księżnej Izabeli.

i socyalnych wypadków w przeciwstawieniu z założycielką Puław. I ciekawem jest dla nas śledzić u tych dwóch niewiast, których stosunek szczery w długoletniem życiu nie zachwiewa się na chwilę, bo się na własnej wartości poznały, wzrost i rozwój tych właśnie uczuć, które najupartszej przyjaźni powinny były cios zadać.

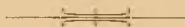
Jeżeli księżna Helena wdziękiem, pięknnością, rozumem, licznym dworem wielbicieli, wpływem światowym, wziętością u dworów walczyła z krewną o lepsze, — jeżeli wskrzeszenie Puław lub założenie pasterskiej Arkadyi, do artystycznej próżności dwóch kobiet przemawiać mogły, nie było to jeszcze owem margłowem ziarnkiem ukrytej niechęci, zdolnem nadwagę i zachwiać gmach cały.

Lecz skoro idzie o przewagę politycznych dążeń i stronictw, o wzniesienie na wyżyny rodziny własnej, kiedy dwie matki w obozach przeciwnych walczą o dwóch synów, jeżeli przyjaźń nie odniosła szwanku, to chyba temu przypisać należy, że osobistą i prywatną miłość broniła szlachetniejsza jeszcze ogólna miłość narodu. Ks. Adam Czartoryski i ks. Antoni Radziwiłł nie wojowali ze sobą, ich także łączyła przyjaźń i każdy z nich krajowi wiernie i wspaniale usłużył, choć w różnych stronach rozdzielonej ziemi, — a ks. Helena umierająca weześniej, choć była młodszą od współzawodniczki, gdyby się były nagle otwały jej oczy śród ciemności grobu, byłaby ujrzała ową drugą matkę, nachyloną z płaczem nad trumną przyjaźni.

Życie jednej z tych dwóch przyjaciółek skreśliłiśmy w tych kartach, szkicując zarazem nietylko pobieżny obraz stulecia, ale trącając także o drobnostki towarzyskiego i prywatnego życia jednej z możnych rodzin naszych. Będzie to może, jeżeli nie dziełem czysto-historycznem, to przyczynkiem do historii obyczajów w Polsce. Czerpaliśmy u źródeł najczystszych; wybaczy czytelnik, jeżeli czasem sięgając i głębiej... poruszyliśmy może trochę mętów u spodu.

Ostatnia wojewodzina wileńska

HELENA Z PRZEZDZIECKICH KSIĘŻNA RADZIWIŁŁOWA.



I.

1770—1780. — Helena Przeddziecka podkanclerzanka. — Książę Michał Radziwiłł miecznik litewski. — Linia Nieświezka i Klecka. — Rodzeństwo ks. Miecznika. — Jego konkury, ślub, wiersz okolicznościowy. — Korespondencya nowożeńców. — Księżna Marta Radziwiłłowa krajczyna. — Warszawa, wypadki krajowe. — Kupno różnych majątków, urodziny ks. Ludwika. — Gracitudo Sejmu. — Historia Bolimowa i Nieborowa. — Jak przyszło do kupna Arkadyi.

Księżna Helena Radziwiłłowa była jedną z trzech córek Antoniego Przeddzieckiego, podkanclerzego W. Ks. Litewskiego ¹⁾. Matka jej, Katarzyna z książąt Ogińskich, rodziła się z Wiśniowieckiej i była siostrą sławnego Michała Kazimierza ks. Ogińskiego, hetmana w. lit., pretendenta do Korony polskiej.

Weześnie utraciwszy matkę, podkanclerzanka litewska wychowywała się z młodu w Siedleach u wujenki księżnej Hetmanowej, Czartoryskiej z domu, i nabierała w tem ognisku nauk i sztuk pięknych, znajomość prawie wszystkich europejskich języków i zamiłowanie nadzwyczajne piękna.

¹⁾ Antoni Przeddziecki miał dwóch synów, Michała i Dominika, i trzy córki, Konstancję za Chreptowiczem, Helenę

Jej ojciec trzymał podobno w zastawie za długi ¹⁾ jeden z ważnych kluczów Radziwiłłowskich, który rodzina książąt odkupić pragnęła, co było przyczyną, iż Michał Hieronim Radziwiłł, natenczas miecznik litewski, aby odzyskać rodzinne dobro, jął się zalecać do podkanclerzanki, tem chętniej, iż dziewiętnastoletnia Helena była piękna, jak mało dziewic w tym czasie.

Miecznik był partyą nielada. Jeżeli ostatniego ordynata z linii Nieświezkiej, ks. Dominika w lat czterdzieści potem, pomimo niezliczonych strat majątkowych, które przyniosły wojny i rozrzutność, nie biorąc w rachunek wartości budynków i dochodu fabryk, taksowano jeszcze na 130 milionów złotych polskich, — to książęta z ordynacyi Kleckiej, do której ks. Miecznik należał, mało co mniej posiadali ²⁾. Należały do tej linii: Kleck i Dawidgródek, komandorya maltańska Stwołowicze i Pocijki, była w ich ręku; mieli nadto Przygodzice w Wielkiej Polsce, dobra dawniej opactwa Lendskiego, z kluczami: Przygodzkim, Krempskim i Tarchalskim, — Cimkowiec i Wasilczyce w Nowogrodzkiem, Niechniewiecze w Wileńskim, ogromny majątek Dembica dawniej w Sandomierskiem, a dzisiaj w Galicyi, o jedenastu kluczach, wniesiony w dom Radziwiłłowski przez Przebendowską urodzoną z Fle-

ks. Radziwiłłową i Maryę za Tyzenhauzem. Podajemy nieco dalej stosunek tych pięciu linii do siebie.

- 1) Już ojciec podkanclerzego Przędzieckiego, Aleksander, miał wiele dóbr prawem zastawnem i skupywał takowe. Syn jego Józef, starosta hrabowski, miał rachunki z Radziwiłłami. Główny majątek nabył sam Antoni od Sapielów, Zaslów na Litwie, który trzymał już w zastawie. W ogóle Przędzieckich majątki znajdowały się na Litwie i od początku wieku XVII uważani są za ród litewski. Żona Antoniego, Ogińska, wniosła w dom męża Czarnystrów na Podolu. Tam zamieszkał był Michał, starszy brat ks. Heleny. Dominik i jego potomstwo mieli Zaslów, ale się przy nim nie utrzymali (obacz monografię Przędzieckich w monografiach St. Kossakowskiego). (Powyższe szczegóły zawdzięczamy hr. Konstantemu Przędzieckiemu).
- 2) „Stosunek książęcego domu Radziwiłłów do domów książęcych w Niemczech, uważany ze stanowiska historycznego, przez K. F. Eichhorna,“ przełożył z niemieckiego L. Rzyaszczewski.

mingównej, a babkę Miecznika; — Miaszków, Brwinów i Kopytów, także od Przebendowskich pochodzące; Czarnawczyce po Illiniczach pod Brześciem, gdzie matka miecznika mieszkała, i wiele innych majątków, których dochody miecznik z braćmi dzielił.

Książę Michał był drugim synem, z drugiej żony ks. Marcina ¹⁾, krajczego, ordynata na Klecku, który ożeniony nasamprzód z Belchacką, miał z pierwszego łoża już nieżyjącą ks. Antoninę podskarbinę Massalską i Józefa, w następstwie po ojcu ósmego ordynata Kleckiego; z drugiej zaś żony Trębickiej z domu, Antoniego kanonika wileńskiego, referendarza koronnego, ks. Michała miecznika, wreszcie Dominika i Jakóba, o kilka lat młodszych od tegoż.

Miecznik litewski liczył natenczas lat dwadzieścia siedm. Był wzrostu średniego, lecz ujmującej powierzchowności z bitym wyrazem pięknych czarnych oczu, w których się odbijały głęboki rozum i wola. Ze wszystkich braci okazywał największe zdolności tak do prowadzenia interesów rodziny, jak do spraw publicznych. I w swoich widocznie umiał dopiąć celu, skoro za pierwszym niemal widzeniem podkanclerzanka sprzyjać mu zaczyna. Uroczą Heleną, w której naturze leżało przywiązywać się namiętnie do tego co raz pokochała, nie tai się wcale z uczuciem. Bywają miłości ciche i posępne; miłość podkanclerzanki potrzebuje się głośno udzielać, jest tyle wewnętrzna, ile zewnętrzna, hałaśliwą i wesolą. Czułe liściki latają od pałacu Ogińskich na Trębacką ulicę. Są to codzienne przyrzeczenia wiecznej miłości na papierze, ozdobnym we wstążki i kwiatki; na laku czerwonym z dwóch sere wyrasta palma, na palmie dwa gołąbki gruchają do siebie: „*mon amour pour toi seul.*“ Książę z dniem każdym zakochany więcej w różowem i świeżem lieu Heleny, nazywa

¹⁾ Obacz „Żywot ks. Marcina w Galeryi Nieświezkiej portretów Radziwiłłów“ Kotłubaja. Szczegóły w tem ciekawe i prawdziwe. W datach najczęściej Kotłubaj się myli, — i tu umieścił śmierć ks. Marcina pod datą 1756 roku, wtedy, gdy książę umarł w r. 1781, czyli w dziesięć lat dopiero po ślubie ks. Michała; co do roku śmierci drugiej żony ks. Marcina, Kotłubaj myli się także, bo umarła po mężu w roku 1812.

ją pieszczotliwie „malinką,“ ona wymyśla dla przyszłego męża cały słownik czułych wyrażań.

„U nas kwindeczowy obiad; tylko ciebie Kostyroy brak!
 „wyjedziesz od siebie o czwartej; i ja też będę latała po
 „wszystkich ulicach, aby ciebie napotkać i gwałtem do siebie
 „przywieść. Adieu, kochało ciebie, dziękowało, że mnie ko-
 „chało. Jesteś za to mój serdunio, duszeczka, bubusiu, dziu-
 „dziusiu, życie moje! — Helenka malinka.“

Lub jeszcze :

„Puciu Muciu mój kochany! Chusteczka walnie wypra-
 „na, extra mi się podoba y podług mego zwyczaju zagra-
 „biam ją na wieczne nieoddanie. Będzie mi służyła do ocie-
 „rania łez, kiedy będę miała *le coeur gros*. Adieu kochaneczku,
 „siadam fryzować się.“

Miesiąc upłynął, zbliżył się dzień ślubu; wyprawa narzeczonych gotowa, tylko się miecznik radzi jeszcze o kolor ślubnego stroju do błogosławieństwa. Księżna Izabela Czar-toryska, krewna Heleny, tyle ma gustu, że chyba najlepiej poradzi. Nowy więc powód do korespondencyi.

„Jestem u księżnej Jenerałowej, pisze Helena do ks.
 „Michała. Jej się wcale ten izabelowy kolor nie podobał i
 „jest mego zdania, że ponieważ ja nie srebrnego mieć nie
 „będę, to i waszmość nie powinien mieć. Ten jeszcze podaję
 „projekt, żebyś miał suknie błękitne z haftowanym brzegiem
 „białym sznelowym albo kordonami, a westę atlasową białą
 „ze sznelami błękitnemi, a jeżeli tego dostać nie możesz, to
 „kupisz aksamitu błękitnego niestrzyżonego i każesz wyhaf-
 „tować ze srebrem, tylko nie bardzo szeroko, a westę także
 „białą atlasową haftowaną srebrem i sznelami błękitnemi.
 „Róźnie co chcesz wreszcie, ja cię wszelako kocham i kochać
 „będę *in aeternitas*.“

„Adieu serdunio. Dziękowało, dziękowało y 9,578.124,630
 „razy dziękowało za assekuracyę. Będę spokojnie spała.“

I ten oryginalny bilecik adresuje Podkanclerzanka „Mi-
 chasiowi maleńkiemu, temu, co ma czarne wypukłe oczki.“

Więc się kochała serdecznie ta szczęśliwa para, której skojarzeniu przyklaskiwać miał niezadługo wierszem Angelo Durini, arcybiskup ancyrński i nuncyusz, życząc związkowi Pompiliego z Penelopą synów, jak Numa i jak Telemak. Ale

rozsądniej daleko w 21 strofach czterowierszowych przemawiał Naruszewicz do tej młodej pary, ucząc ją, jak sobie wzajemnie przebaczać, jak cierpliwie znosić, a

Dopiero wtedy chcąc winszować szczerze,
Gdy w ścisłe wiecznych związków wkroczywszy przymierze,
Idąc enoty prawdziwej niepochybnym śladem,
Zostanie i miłości i wiary przykładem ¹⁾.

Nie wiemy, czy pan młody stanął do ołtarza w izabelowej czy błękitnej weście, dość na tem, że ślub się odbył w Warszawie z okazałością nielada, 1771 roku. Podkanclerzanka przynosiła mężowi w posagu 340,000 złotych polskich, oprócz wdzięków i rozumu, któremi słynęła. Opiewała ten dzień „pożądane go ich wesela“ muza mniej znanego poety, wedle której „Radość siadłszy do złotej karoicy ze Szczęściem na koźle,

Przez powietrze modre
Pędzi w pojeździe, cugi złotobiodre,
Zmierzając swoje jak najchciwiej drogi,
W Przeddzieckich progi,

gdzie pokłoniwszy się ministrowi, t. j. podkanclerzemu, nie udając się nawet do „złoty Trzynogów,“ przepowiada w świetnej mowie, że gdzie „Róża twarz krasi, a pyszną Korona blaskiem wieńczy skronie,“ tam musi być przyszłość świetną i szczęśliwą. Zatem Radość

... Miłe księżę z wdzięczną damą
Sadza w karoce. Ojciec duszą samą
Kocha oboje... Strumyk ścieka z twarzy,
Radość się żarzy,
Szczęście zaś bije konie i rozwija,
Leje wolny...

aby już żadnych nie minąć lasek, buław i pieczęci.

Bądź cobądź, czy szczęście konie bije, czy rozwija leje,

¹⁾ Ode Naruszewicza i wiersze Duriniego przytaczamy in extenso w odsyłaczu na końcu tego rozdziału.

zdaje się wszystkim, że siedzi na koźle, a jeśli ojciec duszą samą kocha oboje, cóż dopiero matka!

Czeigodna ks. Marta Krajezyna uradowaną nad wyraz. „Twoja matula bardzo mnie attendryssuje, że za mnie ci dziękuje — pisała Podkanclerzanka. — Za to ją zjem i jedwiszeczkę ¹⁾ jej daruje; będzie babina kontenta, że tak twar-da.“ Obecnie ks. Krajezyna „w nieokreślonym ukontentowaniu“ pisze po ślubie do dusznie kochanego dziecka: „Skoro z przeznaczonej przed wieki Najwyższego Niebios Rządcy woli w obraniu stanu i nad Waszą Ks. Mością dopełnione wyroki, Bogu nieustannie składając dzięki, życzę obojgu niezliczonego błogosławieństwa Niebios, abym się cieszyła z wnuczków i praskuląt,“ i pragnąc synową uściskać corychleją, „choć ją mocno przenika, że po warszawskich pałacach jak zobaczy żonczyna gmach czarnawczycki, wylęknie się; jednak o ile sama radaby w sercu swem dzieci pomieścić, synową do siebie zaprasza, ufna, że miłość i przywiązanie do osoby męża wszystko jej w Czarnowczycach osłodzi.“ Tak do światowej nieco może płoczej księżnej Miecznikowej przemawia wśród gwarów stolicy; poważny głos matrony polskiej z odległej Litwy.

W tym roku jeszcze nie pojedzie ks. Helena do Czarnawczyc; księżę choć nierad żonczkę młodą zostawiać w Warszawie, sam jeden podąży do matki. Oto po raz pierwszy wesola ex-podkanclerzanka doznaje uczucia tęsknoty. „Dziękowało za trufelki, nie mnie jednak nie cieszy, chodzę „jak błędna owca i taka się pigriche ze mnie robi, jeżeli „nie prędko się z tobą obaczę, że i wytrwać godziny ze mną „nie będzie można. Posyłam ci post scriptum do matki; boję „się, aby był nie do rzeczy; nigdy do nieznamomej osoby nie „pisałam, ni w takiej materii, to i zrób z nim co chcesz; „dosyć, że ja matulę już kocham i będę się starała we „wszystkiem jej przypodobać i ciebie kochało, kochało, kochało serdecznie.“

Ażeby się rozerwać w niebytności męża, pod skrzydłem hetmanowej Ogińskiej, w towarzystwie księżnej Izabeli Czar-torskiej, marszałkowej Lubomirskiej i innych spokrewnio-

¹⁾ Jedwiszeczka — poduszeczka do szpilek.

nych sobie dam polskich, stawia księżna Helena pierwsze kroki na światowej scenie. Nie jestże to zawcześnię dla tak młodej mężatki? Czy rozezna wśród holdów i uwielbień dworu niebezpieczną i znikomą ich stronę? Stanisław August schlebia jej wdziękom, za królem dwór cały i przewidzieć można, iż polubi ks. Miecznikowa ten świat, co ją tak garnie do siebie. Nieświadoma jej młodość nie ostrzega jej dotąd, iż te nadworne i światowe uciechy tem gwarniejsze w stolicy, im większa żaloba panowała w kraju, mają tylko na celu odurzyć społeczeństwo polskie, które w tym sztucznym radosnym odmęcie upatruje jeszcze już utraconą wolność narodu.

Satyryczna muza polska tak zawsze skora, zwłaszcza wśród politycznych wypadków do urągania niezdolności władzy, jakakolwiekby ona była odzywała się niedawno:

„Seymy drzemią — poseł sapie,
 Ziemstwa, grody zasypiają,
 Z ministrami Rada chrapie,
 Trybunały poziewają.
 Skarb w letargu — grosz w świat bieży,
 Podatek się ustawuje.
 Generał śpi — żołnierz leży —
 Tylko jedna Venus czuje...
 Rząd na Moskwie — skarb w Berlinie,
 Szabla w Wiedniu... nie w Cieszynie!

Oto granice Polski przekroczyły Prusy i Austria. Pod groźbą bagnatów kraj wykonywa nową przysięgę wierności. To są wojska, które przychodzą niby Rzeczpospolitą ratować. W Warszawie należy do dobrego tonu nie wyjawiać nieufności dla obcych dworów, owszem z zaborcami wspólnie działać wypada, ale zacząwszy od króla, każdy w duchu się trwoży. Stanisław August pod naciskiem zagranicznych ministrów zwołuje 6go października radę senatu. Książę Miecznik wraca do Warszawy. Księżna Helena nie zostanie podczas tych chwil zaburzenia w stolicy; mąż ją wyprawia troskliwie na Litwę. Księżna Krajczyna przygarnia czule do piersi nieznaną dotąd synowę, o której pisał Miecznik do matki: „Helenka że wszystkimi swemi figłami potrafi uści-

skać stopy macierzyńskie.“ Żona Michasieńka, „którego osobą, jak zwykła mawiać ks. Marta, Bóg mnie tak cieszy jak Jakóba Józefem; świat to widzi i całe Województwo!“ Wiele liczyć mogła na łaskę i czułość Krajezyny, a jednak pędząca dni w postach i na modlitwie, z rozkoszy doczesnych zaledwo tkliwa na trochę tabaczki Maroco lub na kaszkę z żytem świeżem, ks. Marta przestrzegała niezmiernie u wszystkich dawnego obyczajów rygoru i względów należnych rodzicom. Trzebaż więc było wesolutkiej synowej, wielkiego daru do ludzi i bardzo ujmującego obejścia, aby na wstępie poważnej matrony nie zrazić; ale zarazem potrzebnym był jej chyba niezwykły zasób humoru, aby daleko od zabaw stolicy w zabobonnym i przestarzałym dworze czarnawczyckim do nowego się życia ułożyć¹⁾. Tymczasem sprawa narodowa brała obrót coraz smutniejszy. 15go października pisał Miecznik do matki: „JWM. X. Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, wczoraj tu przywieziono; w Pułtuskum Moskwa go schwytała, do rezolucyi z Petersburga siedzieć będzie. Słychać, jakoby Orłow miał powtórnie powrócić na miejsce kongresu do kontynuacyi traktatu pokoju z Turkami. Pan hetman Ogiński w poselstwie pojechał do Anglii, a p. starosta Łosiecki do Hiszpanii i Francuzi dodali im kompanów.“ Mało jednak obiecywano sobie pożytku z tego dyplomatycznego kroku, a dwory obce senat nagliły, aby wszelkie rozporządzenia dotyczące się zawojowanych krajów załatwiał. 16go kwietnia 1773 r. Miecznik obrany marszałkiem konfederacyi litewskiej, dzielił następnie łaskę z Ponińskim i przechodził najburzliwsze chwile swego żywota na najbardziej burzliwym z sejmów. „Czy to tam sądny dzień, czy co? —

¹⁾ Opisuje Czernawczyce Niemcewicz w podróżach historycznych. Byłto potężny dwór drewniany, zbudowany w r. 1671, o jednym piętrze i gankiem na słupach. W sieni sześciokonna karetka wygodnie mogła obracać. Ale w 1819 roku dwór był już opuszczony; w parku istniały jeszcze danielce, a w wozowniach ogromna kolekeja odwiecznych Radziwiłłowskich pojazdów. Pomyślałem sobie: „gdyby dzisiejsza szarantka, powracająca prosto z Paryża, mieszkać musiała w tych ciemnych komnatach a jeździć temi pudłami, cóżby się z nią stało?“

pytała w listach męża ks. Miecznikowa. W istocie było dzień sądny dla Polski. „Cieszyło ją przynajmniej, iż może pisać do swego Pavorissime, że kochało extraordynaryjnie, tęskniło codzien gorzej do niego i choć zła jest na cały świat, tylko jego jednego z duszy serca kocha,“ na dowód czego inny znów sygnet z dewizą: „*le plus loin serre plus fort*“ przedstawia znów gołąbka uwiązanego na nitce do drugiego gołębia, który odlatując w daleką podróż, ścieśnia coraz więcej węzeł co ich łączy.

Niedawno jeszcze pisząc do kogoś, iż matką dotąd nie była, księżna podpisywała wesoly liścik w języku Mazowsza:

„jestem Helena Bez-dziecka...“

Oddalonych małżonków zbliży do siebie słabość księżnej Miecznikowej, która pod jesień wraca do stolicy na półóg. W niespełna dwa lat po ślubie, 14go sierpnia 1773 r. o 6tej wieczorem, księżna wydaje na świat pierwszego syna Ludwika. Podobno sam Król Jegomość trzyma dziecko do chrztu, niemowlę zostaje kawalerem maltańskim i właścicielem Kijewicz, obszernego majątku pojezuickiego w województwie Nowogrodzkim.

Rok 1774 jest pomyslnym dla interesów Miecznika. W powiatach Możyńskim i Pińskim nabywa on Śniadyń o wsiach 17tu i 4ch folwarkach z miasteczkiem Ostrożanka, także pojezuicki majątek; lecz niczem to jeszcze w porównaniu kupna Nieborowa w Sochaczewskim, dobra wujostwa ks. Heleny, Ogińskich.

Nieborów, niewiadomo, z kąd właściwie nazwę biorący, może od tego, że się ornemi gruntami od lesistych innych posiadłości odcinał, własność Niemierzów w XV wieku, Tarnowskich-Roliczów w XVI wieku, przechodził był różne koleje. W XVII stuleciu należał do rodziny, która się Nieborowskimi pisała. Nabył go od niej w r. 1690 sławny kardynał Michał Radziejowski i tu okazały pałac wystawił. Wiodła do niego od samych Skierniewie prześliczna alea lipowa, której zaledwo resztki pozostały. Na dole gmachu znajdowały się koszary i więzienia; w środku sklepiona zajezdna brama z pięknymi kratami z kutego żelaza i boeznem wejściem na piętro, na którem oprócz bawialnych pokoi, sypialni i go-

ścinnych apartamentów, była także mała kapliczka zamkowa, w której kardynał mszy słuchał. Istnieje dotąd po Radziejowskim w nieborowskim pałacu kilka drogocennych pamiątek, ale najciekawszą jest oryginalny portret prymasa, bez podpisu niestety, lecz znakomitego włoskiego pędzla i w cudownej ażurowej ramie złoconej, z herbem Radziejowskich, panną na niedźwiedziu. Kardynał cały w purpurze siedzi w fotelu oparty o stół rzeźbiony, na którym książki i dzwonek. Małe jego piwne, przenikliwe oczki w okrągłej twarzy, którą rozszerzają pukle fryzowanych loczków, cała postać otyła i nieszlachetna, dobrze malują człowieka, a precudowna wenecka koronka u komży i u wiązanych rękawków, daje wyobrażenie o bogactwie światowego pralata. Tenże nie uważał Nieborowa za rezydencję stałą, lecz więcej jako przystanek, kiedy z Radziejowie jeździł do Łowicza, gdzie go często kolegialne interesa sprowadzały. Prędko się też zniechęcił kardynał do gmachu, który wystawił; roku 1697 odsprzedał pałac z majątkiem Jerzemu Hipolitowi Towiańskiemu, a ten Lubomirskim, którzy go Łochockim odstąpili. Nowi nabywcy upiększyli miejscowość, wykopali w parku dość piękny kanał w kształcie litery Ł, ich nazwisko rozpoczynającej, ale majątek znowu zmienił pana, dostając się w r. 1766 Ogińskim. Na upiększonym jeszcze pałacu o dwóch wspaniałych wieżach błyszczały złote herby Ogińskich i Czartoryskich i brzmiały jeszcze w uszach Miecznika odgłosy radosne godów, które wyprawiał Hetman przyjmując tu króla, i pięknych symfonij, któremi dwór bawił, i łowów, które wydawał, tak, że książę Miecznik nabywając Nieborów, przemyślał nad tem, aby uczynić zeń ostatecznie rodzinną siedzibę i nowe dla prawników gniazdo, jakiego dotąd nie mieli.

Sejm extraordinacyjny ukończony w r. 1775, po rozwiązaniu konfederacyi litewskiej orzekł:

„Lubo publiczna, przez urodz. Michała ks. Radziwiłła miecznika W. Ks. Lit. we dwoletnem konfederackiej i sejmowej W. Ks. Lit. łaski utrzymywaniu dopełniona usługa, przez sprawiedliwe na podjęte prace onego i wycieńczenie własnego majątku względy, znacznej od Rzeczypospolitej wdzięczności i satysfakcyi słusznie wyciąga; — jednak gdy skarb W. Ks. Lit. wielością expensów będąc obarczony, do

wyrównania onej mniej zdolnym być znajduje się; przeto my seymujące stany na zadatek winnej mu nagrody i wdzięczności, starostwo Grabowskie w Sieradzkim i Bolemskie w Rawskim województwach leżące, z wójtostwami, sołtystwami, wybraniectwami, łanami, miasteczkami, dworami, wsiami, karczmami, młynami, rzekami, stawami, lasami, w tych starostwach znajdującemi się, zgola ze wszystkimi onych attynencyami i przyległościami, teraz pod dożywotniami tegoż ur. ks. Radziwiła i małżonki onego przywilejami i possessyą będące, successorom rzeczzonego ks. Miecznika jure Emphiteuscos wedle ustawy praw niniejszych na lat 50 a fatis obojga terażniejszych dożywotników zaczynać się mające, z zastrzeżeniem corocznego podług lustracyi w r. 1765 zaszej do skarbu koronnego 4 kwart płacenia, oddanemi być determinujemy.

Na dalsze zaś zasługom przyzczeczonego ks. Miecznika wdzięczności okazanie, onego tylko summą 400,000 zł. pol. ze skarbu W. Ks. Lit. z najpierwszych dochodów podatku czopowego, szelęznego wypłacić się powinna, kontentujemy. Nadto, expektatywę na dożywotnią possessyę starostwa Boryssowskiego w powiecie Orszańskim leżącego, dla tegoż ks. Miecznika i małżonki onego in solidum, post decessum Wnej Ogińskiej, kasztelanowej wileńskiej, terażniejszej dożywotniej possessorki, z tym jaki ona dotąd pełniła obowiązkiem, nadajemy i ubezpieczamy, i też starostwo cum singulis attinentiis wraz post decessum rzeczonej possessorki przez skarb W. Ks. Lit. podane onym mieć chcemy.“

To postanowienie zapisane na str. 32 vol. II sejmowych ksiąg pod tytułem: „Gratitudo dla urodz. X. M. Radziwiła, M. W. X. L. Seymowego i Generalnej Konfed. Lit. Marsz.“, dawało sposobność księciu i jego małżonce przywiązanie się tem bardziej do okolic Warszawy. Intratne bowiem starostwo Bolimowskie z niebotycznemi lasy, sławną dawniej puszcza, w której książęta mazowiecy i królowie polscy polowali niegdyś na tura „*famosa silva, wrorum proventu in orbe nostro clara*,” jak mówił Święcicki w XVII wieku, z dość znacznem miastem nad Rawką, w którem widać było jeszcze stary drewniany piętrowy zameczek z muiowaną wieżą, miało tę dla Miecznika korzystną stronę, iż z Nieborowem grani-

czyło o miedzę. Mógł zatem Książę rozprzestrzeniać gospodarstwo na daleko większą skalę, jeden majątek drugim zasilać i poświęcić się chętniej ulepszeniu dóbr, które stawały się nagle jednym z obszerniejszych, jakie posiadał. Rzecz prosta, iż nie tracił na tem samże pałac nieborowski. Książę Michał, już natenczas kasztelan wileński, zgromadzał tu co roku najcenniejsze meble, książki i obrazy, zakładał niemałym kosztem przepyszny strzyżony ogród szpalerowy, jeden z najpiękniejszych w naszym kraju, a ks. Helena, miłośniczka i znawczyni sztuk pięknych, dawno już przed światem to znawstwo udowodnić pragnąca, zazdrościła mężowi ulubionych zajęć.

W czerwonej safianowej księdze, opatrzonej imieniem Heleny i zamkniętej na misterną klódkę, zapisywała Kasztelanowa wrażenia życia, ulotne myśli, wiersz, który do jej serca lub wyobraźni przemówił, i dziwna doprawdy, iż na pierwszej karcie tej długiej życia spowiedzi odzwierciadla się naprzód ta żądza jej ducha.

„Gdy wyobraźnię porwie za sobą zmysł twórczy, zawiedzie ją w tak rajskie krainy, iż obojętna i głucha na resztę, pragnęłaby tylko tworzyć i tworzyć. Twórczość staje się dla niej jedyną potrzebą i życiem.“

Widocznie, opanowała była za młodu ks. Helenę potęga niewolącej sztuki, która tak umiė owładnąć ducha prawdziwych swoich wybrańców, iż w jej słodkiej niewoli lubują się sami. Nie napróżno w jej żyłach grała krew Ogińskich, wychowanie w Siedlcach miało także przynieść owoce. Zresztą, dość było Kasztelanowej dążyć za natchnieniem mody w wieku, w którym więcej jak w każdym innym kobiety u nas zajmowały się architekturą i florą. Od pięciu lat Elżbieta z Czartoryskich księżna marszałkowa Lubomirska, pracowała nad upiększeniem Mokotowa; Elżbieta z Flemingów księżna Czartoryska, przyjaciółka i krewna ks. Heleny, ozdabiała Powązki, a miała także w lat kilka potem upięknąć Puławy, przez Zofię z Sieniawskich księżnę Augustową założone. Ścisłe stosunki Księżnej z temi domami mogły też wpłynąć na rozbudzenie w niej uspiionej muzy; głównie się jednak przyczyniły do tego niezmierna ruchliwość i potrzeba niezwalczona zajęcia, które cechowały wybitnie młodą Kasztelanową.

Miałą się przytem dać innym wyprzedzić, przyjaciółkom i mężowi, gdy ją z młodu owładnął był ów twórca geniusz, którego czuła porywy? Owóż Księżna, stanowcza w swych gustach i zdaniu, jak czego pragnęła, umiała gorączkowo, namiętnie dążyć do celu. Wszystkie zarazem poruszone sprężyny i puszczone w ruch motory, uskuteczniały dzieło; kto jej się pod rękę nawinał, zaprzągnięty był do obracającego się ciągle koła, chociażby król i prześwietne stany. Ona, z różeczką czarodziejki w ręku nieustannie zagrzewała wszystkich do pracy. Jednym tylko wśród tych wszystkich uległych kół i cierpliwych kółek, skrzypiącym czasami trybem, był sam książę Kasztelan, jak to z kolei rzeczy powiemy.

Grunta, na których się dzisiaj wznosi Arkadya, to dzieło pamiętne ks. Heleny, przytykające do rzeczki Skierniewki prawie nad ujściem tejże do Bzury, były w roku 1777 wraz z wioską Łupią nazywaną, w posiadaniu kollegiaty Łowickiej. Sąsiadowała już wtedy wieś Łupia z majątnością arcybiskupstwa gnieźnieńskiego Bobrownikami, z którymi od niepamiętnych czasów graniczne wiodła zatargi. Nieprzejednane dwóch wiosek spory, często krwawy koniec biorący, zniewoliły kollegiatę Łowicką do traktowania z Antonim Kazimierzem Ostrowskim, natenczas prymasem, o wymianę Łupi na jedno z dóbr, *ad mensam archiepiscopalem* należących. Książę Prymas łaskawym listem zezwala na odstąpienie „drogiej sereu swemu kollegiacie“ dóbr prymasowskich Płskocin, delegowani kapituły Gnieźnieńskiej zwiedzają i szacują wieś Łupią, taksuje Płskocińskie dobra kollegiata, wreszcie ze zgodą i ku zgodzie wszystkich przechodzi chociaż nakrótka uśmierzona Łupia w posiadanie Prymasa.

I czemże była ta wioska, mająca niebawem na sejmie a nawet w Rzymie kościelno-rządowe odnowić rozprawy. Mniejsza daleko od okolicznych majątków Mysłakowa lub Placencyi, Zielkowie i Nieborowa, od których, z rozkazu delegowanych z Gniezna Soldadiniego i Korytowskiego, kanoników, odnowionemi kopcami świeżo oddzieloną zostawała, Łupia była tylko ubogą posadą na pograniczu sosnowych lasów, wśród trzęsawisk i moczarów. Ale zmysł artystyczny pięknej i ruchliwej wróżki, która w następstwie z tego dzikiego

ustronia stworzyła gaj bogów, upatrywać był zaczął przy szemrzącym strumyku tyle świątyń dumania, iż rad nierad kasztelan wileński, zanim się prymasowskie z kolegiatą ukończyły rokowania, nowe już Arcybiskupowi proponował zamiany. Tych zaś przedmiotem były tą razą Jasień i Zacywilki, w powiecie Rawskim, okręgu Brzeźnickim leżące, nabyte 1go września 1780 r. przez Kasztelana od młodego Grotowskiego za sumę 2,000 cz. zlot. Zachęcały do tej nowej zamiany dość piękne lasy, na których w okolicy Łowicza kapitulę Gnieźnieńskiej zbywało; ale zarazem stawało na przeszkodzie prawo, wzbraniające duchowieństwu nabywania dóbr świeckich. Antoni Ostrowski musiał się odnieść do sejmu, który po krótkich rozprawach konstytucją z roku 1778, zapisaną fol. 22 pod tytułem: „*Zamiana wsi Łupia na inne dobra*“ — na podaną prośbę zezwolił. Prymas udaje się do Gniezna. Lustracya i oszacowanie majątków dwa lata trwają. Dopiero 14go listopada 1780 r. Kasztelan otrzymuje konsens Kapituły i powierza kolegiacie Łowickiej wyjednanie zatwierdzenia tych umów od wyniesionego dopiero na Stolicę Apostolską Piusa VI. *Beneplicitum romanum* podpisuje w imieniu Papieża w tymże jeszcze roku zamieszkały od siedmiu lat w Warszawie Jan Jędrzej markiz Archerti, arcybiskup chalcędoński i nuncyusz. Jestto nawet może ostatnią przyszłego kardynała działalnością w Polsce, z której odjeżdżał do Petersburga w celu kanonicznego urzędzenia Kościoła katolickiego w Cesarstwie.

Teraz nareszcie na mocy podwójnego podpisu wszystkich kanoników dwóch kapitul polskich i senatorów obradujących w sejmie, Papieża w Rzymie, nuncyusza w Warszawie, dlatego jedynie, że tego pragnęła przedsiębiorcza Kasztelanowa, prawnie i niezaprzeczenie przechodzi Łupia w ręce, które ją przeistoczą nawet aż do imienia, czyniąc z niej pasterską i artystyczną Arkadyę.

ODA XVII

na akt weselny księcia Michała Radziwiłła, miecznika W. Ks. Lit.,
z Heleną Przeddziecką, podkancierzanką litewską.



Gdybym z obecnych rzeczy przeszłe wnosił chwile,
Szczęśliwyś, powiedziałbym, zaeny Radziwille,
Że Ci Bóg w wiecznej niebios zrządził wyrocznice
Tak drogą, tak szacowną życia połowicę.

Bo czegoż w ukochanej Twojej brak Helenie?
Czy w niej nie świetna z obu krew rodziców płynie?
Czy nie równe krwi zacnej w lat kwitnących stanie
Pod mądrym ciotki okiem wzięła wychowanie?

Czyli jej na urodzie i na wdziękach zbywa,
Które nań hojną ręką natura szczęśliwa,
Wziąwszy za pierwszy model samą piękność, wlała,
Zdobiać ją przymiotami i duszy i ciała?

Masz w niej wszystko: masz umysł szczery i życzliwy,
Obyczaj szlachetny, dowcip ojca żywy —
A jakoś sam ze wszelkiej godzien pochwał miary,
Takeś dobrał pomyślnie godnej siebie pary.

Lecz ja nie jestem z liczby rymbajów owych,
Co płoche czynią wróżki z oblubieńców nowych,
Anim się uczył z Orłów i Lili jeszcze
Pochlebne wiązać piórem prognostyki wieszczę.

To wiem, że równość natur, równość urodzenia,
Nie ślepa bez rozmysłu chęć do ożenienia,
Lecz baczna i stwierdzona rodzicielską wolą,
Niesie błogosławieństwo Boskie z dobrą dołą.

Wszystko to widzę w obu: równe obu zdanie,
Równa zacność, równy wiek i równe kochanie,
Równy rozum i statek. Zdarz to tylko Boże,
By tak zgodne do zgonu życia było łoże!

Małoż ma świat przykładów, jak srogie odmiany
Często na niebie sprawił wieher nieprzejrzany
I jaśniuchny raneczek (a któżby się spodział?)
W same światła pierwiastki chmurnym płaszczem odział?

Jak często, choć się bujnym wzrostem zielenieje,
Tuczając wdzięczne troskliwych oraczów nadzieje,
W trawce kłosek usycha, a co miał dać słodki
Owoc, rodzi lan panu kąkol i paprotki.

Ledwo często rok jeden wartkiem kołem minie,
Alić owe niedawno prześliczne boginie
Pierwszy tracą szacunek; drugiby rad, żeby
Ujrzał je rychło między gwiazdzistemi nieby.

Jeżli się ślubnym związkiem wiek ludzki osładza,
Tysiącem się goryczy słodycz ta nagradza.
Ciężko żyć w osobności; lecz nie wiem czy który,
Miasto zlej żonki, ścisłej nie woli klauzury?

Myli się ten zaiste wielce na swem zdaniu,
Kto zakłada małżeńską cnotę na kochaniu.
Cierpliwość jest jej gruntem: kto cierpieć nie umie,
Znać, że nie był, kiedy się zenił, przy rozumie.

Póki twarz gładka świecąc, oczy blaskiem nęci,
Czyliż zawistna miłość sideł nań nie kręci?
Czy płocze podejrzenia dybiąc ciemnym śladem,
Nie trują kochających sere okrutnym jadem?

Czy złość ludzka, czy sprosne pochlebców ozory
Nie rozrywają często by najtęższej sfory?
Lub się nie zdarza, że co długi czas budował,
To jednym szeptem brzydki zausznik popsował?

W swoim miłość ubiorze, w swej dobie postawił,
Kto jej płochę do barków skrzydełka przyprawił;
Bo ta rychło wartkami z oczu znika loty,
Kiedy się gruntownymi nie hamuje enoty.

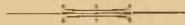
Wiele ten winien znosić, wiele ten ulegać,
Wiele przez szpary patrzeć, wiele zapobiegać,
Wiele nie widzieć, wiele bystro upatrować,
Kto chce zgody małżeńskiej do końca dochować.

Wtenczas ci, zacna paro, powinszuję szczerze,
Gdy w ściśle wiecznych związków wkroczywszy przymierze,
Idąc enoty prawdziwej niepochybnym śladem,
Zostaniesz i miłości i wiary przykładem.

Gdy z Was w szczęście bogatych, w sławę i dostatki,
Liczne się rodzić będą i nadobne dziatki,
A piękni dla króla i Ojczyzny sprawy
Dopełnią wielkich dziadów nieśmiertelnej sławy.

A jeśli wieczny wyrok tej mi nie pozwoli,
Bym się w mych obietnicach mógł uiszczyć doli,
Ozdobniejszem kto piórem i w składniejszym rymie
Poda światu Michała i Heleny imię.

Aby w późnym lat ciągu potomność zapadła,
Następorodnym wiekom za model Was kładła;
Że tym dwom sercom żadnej niepodległym zmianie
Jak ołtarz dał początek, tak grób dokonanie.



ODA XVIII.

Z tejże okoliczności wiersz Anioła Durini, arcybiskupa ancyrańskiego,
nuncjusza w Polsce,

tlómaczony przez **A. Naruszewicza.**

Ciesz się, i stokroć jeszcze powiem, ciesz się mile,
Wykrzykuj głośno: jo! zaeny Radziwile!
Oto Przędziewka z tobą łączyć się zabiera,
Co w gładkiem ciele duszę nadobną zawiera.
Tęby wolał niż Dafnę Apollinek młody,
Tej Jowisz nad Danaę dałby prym z urody.
Z ciebie Ojczyzna weźmie (co za plód szczęśliwy)
Wzór oblicza i zasług rodzicielskich żywy.
Jeżeli dziątek krew ojca jest modelem: czyli
Nie będzie Numa, kiedy ojcem mu Pompili?
Jeżeli się mężni z mężnych pięknym ciągiem rodzą
I szlachetni z szlachetnych rodziców pochodzą;
Czyliż idąc w zacne krwi macierzyńskiej tropy,
Nie wynijdzie Telemak z twojej Penelopy.
Co za pompa? Co za blask weselnych płomieni?
Czy się znowu z Junoną władca niebios żeni?
Oto zaeny Radziwiłł ślub czyni Helenie!
Wiecznem chcą bohatyrskie nieba mieć nasienie!
Kiedy bierzesz, Michale, tak nadobną żonę,
W wieczną z nią przyjaźń krocząc, słyzałem Junonę:
Gdybyś i na Idejskiej górze sprawę sądził,
Nigdyby ci los takiej nagrody nie zrządził.
Ciesz się, i stokroć jeszcze powiem, ciesz się mile,
Wykrzykuj głośno: jo! zaeny Radziwile!

O ZASTĘPSTWIE MNIEJSZOŚCI W REPREZENTACYACH LUDOWYCH

napisał

Prof. Dr. FRANCISZEK KASPAREK.

Literatura nowsza: Ueber die Anwendbarkeit der sogenannten Minoritätenvertretung bei den eidgenössischen Wahlen Bern, 1883.
— Das Recht der Minorität vom Gf. L. W. Wien 1884, Verlag von Faesy.

Wśród licznych zarzutów, jakie podnoszą dzisiejsi przeciwnicy i zwolennicy systemu parlamentarnego przeciwko niemu, powtarza się jeden powszechnie, mianowicie, że *reprezentacje ludowe* nie są rzetelnym wyrazem życzeń i żądań ludowych, że nie są obrazem ludu, takim, jak on jest w rzeczywistości, tylko częstokroć wykrzywioną jego karykaturą. Godzą się już na to, że w ciele zbiorowym, jakim jest wybrana reprezentacja, większość musi decydować, ale utrzymują, że ta większość nie jest rzetelnym wyrazem większości narodu, tylko przy wadliwym urządzeniu wyborów częstokroć tylko wyrazem mniejszości, podczas gdy właściwa większość pozbawioną jest należącego jej się wpływu, a częstokroć nawet wszelkiego zastępstwa. Przy dzisiejszym systemacie wyborczym, mianowicie wobec panującego w większej ilości państw głosowania powszechnego, wyborcy podzieleni są na *okręgi geograficzne*, nieraz w drodze administracyjnej usta-

nowione, a ponieważ w każdym okręgu większość wyborców stanowi, może się ta większość tak złożyć, że większość reprezentantów wybraną jest przez mniejszość ogółu w kraju głosujących. Eötvös¹⁾ przytacza w tym względzie przykład, często za nim powtarzany. Przypuśćmy, że kraj, gdzie istnieją dwa stronnictwa *A* i *B*, podzielonym jest na 100 okręgów, z których każdy liczy 4,000 wyborców. Przy wyborach w 51 okręgach zwycięża stronnictwo *A* większością 2,500 przeciw 1,500, które padły na kandydata stronnictwa *B*; w 49 zaś okręgach wychodzi kandydat stronnictwa *B* większością 3,500 przeciw 500 głosów, oddanych na kandydatów stronnictwa *A*. W tym przypadku głosowała na 51 deputowanych 127,500, zaś na 49 deputowanych 171,500, czyli innemi słowy, większość w ciełe parlamentarnem przedstawia mniejszość wyborców — wręcz przeciwnie, aniżeli rzecz się ma w rzeczywistości. Jeżeli zaś uwzględnimy nie wyborców samych, ale *lud* cały, i zbadamy stosunek tego ludu do reprezentacyi i do uchwał przez nią powziętych, natenczas rzecz jeszcze w jaskrawszem przedstawi się świetle. Nawet w ustawach wyborczych, na najszerszych podstawach demokratycznych opartych, ilość wyborców w stosunku do ludności jest małą i tak np. wynosi we Francyi 25·6%, w Niemczech 21·4%, w Anglii 8·7%, w Austrii (1879) 5·9%, w Belgii tylko 2·3% na 100 mieszkańców²⁾. Odliczając małoletnich i kobiety, nawet w najkorzystniejszym przypadku zaledwie *połowa* mężczyzn dojrzałych ma prawo głosowania. Gdyby wszyscy głosowali i reprezentacya była wyrazem większości głosujących, natenczas zawsze byłaby ona tylko wyrazem większości *połowy* mężczyzn dojrzałych; ale ten wypadek najkorzystniejszy w istniejących stosunkach nigdy nie bywa osiąganym. W wyborach, jak wiadomo, nie biorą udziału wszyscy wyborcy, tylko część przypuśćmy $\frac{2}{3}$; ci, co rzeczywiście głosują, stanowią, $\frac{1}{2} \times \frac{2}{3} = \frac{2}{6} = \frac{1}{3}$ ludu dojrzałego. Jeżeli posłowie wyszli z urny wyborczej większością $\frac{2}{3}$ głosujących, natenczas wybór jest wyrazem $\frac{1}{3} \times \frac{2}{3} = \frac{2}{9}$ ludu dojrzałego, zatem już bardzo zna-

¹⁾ Einfluss der herrschenden Ideen des 19. Ihr. auf den Staat 1851, I. 187.

²⁾ Schimmer Reichratswahlen v. 1879, str. 10.

cznej mniejszości. Przypatrzmy się teraz uchwałom takiego parlamentu, gdzie zwykle nie wszyscy posłowie są obecni, a znowu tylko większość obecnych decyduje, i przypuśćmy, że obecne są na posiedzeniu $\frac{2}{3}$ posłów, a uchwała zapadła większością $\frac{2}{3}$ obecnych, natenczas uchwała ta jest wrazem woli $\frac{2}{9} \times \frac{4}{9} = \frac{8}{81}$ ludu dojrzałego. Większość woli ludowej, której wyrazem ma być reprezentacya ludowa, zatem nie nie stanowi, a decydująca moc opiera się zaledwie na $\frac{1}{10}$ części ludu dojrzałego ¹⁾. Na zasadzie takich przedstawień, które w samej rzeczy odpowiadają praktyce, dochodzą przeciwnicy systematu parlamentarnego do wniosku, że parlamentaryzm jest jednym z modnych kłamstw, istnym humbugiem, maską, po za którą kryje się nagi absolutyzm albo oligarchia. A ponieważ wady parlamentaryzmu tkwią w samej zasadzie wyboru, która lepszego owocu nie wyda, choćby nawet najmisterniejsze istniały systematy wyborcze, bo każdy był i będzie wyzyskiwanym przez panującą mniejszość lub osobę na ich własną korzyść; — z tych powodów słyszymy często hasło „*precz z parlamentaryzmem*“ tak z obozu absolutystów różnych krajów, mianowicie rosyjskich, którzy go uważają za jeden z objawów zachodniej zgnilizny, jakoteż ze skrajnego obozu socyalistów.

Do innych konkluzyj dochodzą zwolennicy parlamentarnych rządów. Nie tajne im liczne wady dzisiejszych systematów wyborczych, spodziewają się jednak, że przez zaprowadzenie odpowiednich zmian dadzą się wady uchylić. Ideał, do którego dążą, jest między innymi: sprowadzić taką reprezentację, któraby była rzetelnym wyrazem ludu, któraby w *tym samym stosunku*, jaki jest w rzeczywistości, mieściła w gronie swoim zastępców wszystkich opinij, zawodów i dążeń. Reprezentacya ma być wiernym wyciągiem z ludu, a słowa, które Mirabeau wypowiedział: „Stany tem są dla „narodu, czem jest mapa dla zewnętrznych kształtów państwa. W ich częściach i w całości obraz ma zawsze te same „stosunki wykazywać, co oryginał“ — mają stać się ciałem.

Jednym z tych środków, jaki do tego celu doprowadzić ma, jest *zastępstwo mniejszości w reprezentacyach*; a jeżeli

¹⁾ Schäffle: Bau und Leben des socialen Körpers, I, 570.

dziś wyłącznie zależy od przypadku, czy jaka mniejszość zyska sobie przedstawicieli w parlamentach, *ustawa wyborcza* z zasady dążyć powinna do tego, aby mniejszość nie była pominiętą, tylko zawsze mogła uzyskać odpowiednią ilość zastępców. Nad tym zalecanym przez wielu środkiem do uzyskania odpowiedniej reprezentacyi ludowej, chcemy się zastanowić, przedstawić jej zwolenników naukowych i praktyczne zastosowanie, a następnie poddać rzecz całą krytyce.

Najważniejsze projekty są następujące:

I. Victor Considerant (*De la sincerité du gouvernement représentatif*. Geneve 1846) rozwija myśl taką: Każdy obywatel ma się przyznać do pewnego programu politycznego i zapisać się na listę jednego ze stronnictw w kraju istniejących. Według stosunku liczebnego stronnictw ma być ilość deputowanych rozłożoną. Przypuśćmy, że w kraju istnieją cztery stronnictwa: *A B C D*. *A* liczy 50,000 zwolenników, *B* 150,000, *C* 120,000, *D* 80,000. Licząc 1 deputowanego na 1000 wyborców, natenczas wybierałoby stronnictwo *A* 50, *B* 150, *C* 120, *D* 80 deputowanych. Pozorna sprawiedliwość tej zasady nie usprawiedliwia jej wcale, państwo nie jest albowiem tylko areną walk stronnicych, zresztą nikt nie może być zobowiązany do zapisywania się na listy stronnictw. W razie przeprowadzenia tego systematu, uległość niewoli stronnicych byłaby jeszcze większą niż dzisiaj, o swobodzie w wyborze osób nie byłoby mowy, stosunki zatem gorsze niż obecne. W końcu wspomnieć należy, że Considerant tylko myśl rzucił, ale nie podał skazówek o jej praktycznem przeprowadzeniu.

II. Więcej rozgłosu zjednał sobie wniosek angielskiego inżyniera Tomasza Harego¹⁾, poparty przez Stuarta Milla²⁾ i innych³⁾. Chcąc zapewnić mniejszości w kraju odpowiednie

¹⁾ A Treatise on the election of Representatives parliamentary and municipal. Londyn 1859. 3 wyd. 1865.

²⁾ Considerations on representative government. Personal representation, speech. of John St. Mill. M. P. delivered in the House of commons. May 1867.

³⁾ Jak Henryk Fawcett (1860). Morni: De la representation des minorités. Geneve 1862. Rolin-Jaequemyns: De la réforme electorale. Bruxelles 1865. Praca ostatnia zawiera bardzo trafny rozbiór systematu Harego, str. 103 nast.

zastępstwo, należy porzucić podział kraju na *okręgi wyborcze*, bo wydarzyć się może, że wskutek podziału na okręgi prawdziwa większość pozostanie w mniejszości; lecz taksamo, jak istnieje jedna reprezentacya ludu, winien kraj cały stanowić jeden okręg wyborczy. Głosy oddane z całego kraju spływają do jednego bióra centralnego i tam bywają obliczane, a wybranym będzie ten, kto uzyska tyle głosów, ile wypada z podzielenia liczby wszystkich głosujących przez liczbę krzeseł w Izbie (iloraz wyborczy *Wahlquotient*). W Anglii np. w Izbie niższej zasiada 658 członków, kto zatem uzyska $\frac{1}{658}$ wszystkich głosów oddanych, byłby posłem. Tym sposobem mogłoby każde choć rozproszone w państwie stronnictwo, które zdoła skupić $\frac{1}{658}$ głosów na swego kandydata, tegoż przeprowadzić. Ten system z góry byłby niemożliwym, gdyby każdy wyborec głosował tylko na *jednego* kandydata; w takim razie albowiem nigdyby się wybory nie skończyły, albo wyborecy musieliby iść ślepo za komendą przywódców stronnictw. Mogłoby się bowiem łatwo wydarzyć, że przy istnieniu trzech stronnictw w Anglii: whigów, torysów i radykałów, przy pierwszym głosowaniu wszystkie głosy whigów padłyby na Gladstona, wszystkie torysów na Northcote'a, wszystkie radykałów na Bradlaugh'a, i otrzymalibyśmy zamiast 658 tylko trzech posłów. Wybory przeciągnęłyby się tym sposobem *in infinitum*, musiano by głosować przynajmniej ze sto razy, aby parlament uzupełnić. Prawdopodobnie jednakby się tak stało, że wyborec whig, któryby chciał dać głos Gladstonowi, otrzymałby z centralnego komitetu wyborczego list: „Wybór p. Gladstona jest już zapewniony; szanowny pan zatem zechce głos oddać panu adwokatowi X. z Londynu, który jest człowiekiem młodym i ambitnym i potrafi swoją wymową zmiażdżyć torysów,“ — a szanowny wyborec nie chcąc oddać darmo głosu, byłby zniewolonym osobie, której nie zna, nigdy nie widział i nigdy o niej nie słyszał, oddać swój głos. Mogłoby się jednak także i tak wydarzyć, że wyborecy spuszczać się na to, iż znakomitości w całym kraju zyskają sobie dostateczną ilość głosów, głosowaliby na same wielkości zaściankowe (a takich małych wielkości jest zawsze legion), a wówczas na ławach parlamentu zasiadłyby same miernoty. Przeprowadzenie zatem bezwzględnej myśli H a r e g o

jest wprost utopią. Dlatego p. Hare daje swym wyborcom dalej sięgające prawa. Głosują na *kilku lub kilkunastu od razu kandydatów* i oznaczają cyframi porządek, w jakim życzą sobie powołać tych mężów (to nazywają *votes contingents ou subsidiaires*). Jeżeli wymieniony na pierwszym miejscu już uzyskał dostateczną ilość głosów, wtedy dalsze głosy na niego oddane są zbyteczne — i przypadają wymienionemu na miejscu drugie, jeżeli tenże został wybranym, wymienionemu na miejscu itd. Przypuśćmy, że 100,000 wyborców wybrać ma 100 posłów. Do wyboru wystarczy w tym razie $\frac{100,000}{100} = 1000$ głosów. Każdy wyborca głosuje na kilku kandydatów w pewnym przez siebie oznaczonym porządku, jak 1. na *A*, 2. na *B*, 3. na *C*, 4. na *D* itd. Otrzymał *A* już 1000 głosów, wówczas głosy przypadają wymienionemu na drugim miejscu *B*, ewentualnie przytoczonemu na trzecim miejscu *C* itd. To jest t. z. substytucya wyborcza albo głosowanie stopniowe. Prawdą jest, że tym sposobem 1000 ludzi, którzy zapiszą na swojej liście jakiegoś kandydata *X*. na miejscu pierwszym, mogą go przeprowadzić, ale ta drobna korzyść jest za drogo okupioną. Bo obliczenie głosów i stopniowe przenoszenie głosów nadliczbowych na następnych kandydatów, jest operacją tak trudną i tak skomplikowaną, wymaga tyle ostrożności i reguł matematycznych, że o praktycznem przeprowadzeniu tego sposobu wprost niema mowy. Zamiast dzisiejszej geometrii wyborczej, której sztuka polega na odpowiedniem złożeniu okręgów wyborczych, podczas gdy arytmetyka jest bardzo prostą, bo tylko polega na zliczeniu (a jako środek agitacyjny także na odejmowaniu), mielibyśmy wprowadzoną do wyborów całą arytmetykę skomplikowaną. Z tych powodów sam Hare, a jeszcze więcej jego liczni adepci, porzucają wybory w całym kraju i poprzestają na *wyborach okręgowych*, dążąc, aby przynajmniej w tych okręgach, gdzie więcej osób — najmniej trzy — ma być wybranych, mniejszość mogła przeprowadzić swego kandydata. Takich systematów mamy dotąd, pomijając niektóre drobniejsze odmiany, cztery:

1. System *duński* wyborów *stosunkowych* (systeme proportional). Sejm duński według konstytucyi z r. 1848/66 składa się z dwóch Izb: 1^o Folkething (Izba niższa) wychodzi z wyborów powszechnych i bezpośrednich (1 dep. na 16,000

mieszk.); 2° *Landsting* (Izba wyższa), złożona z 66 członków, z których 12 mianuje król, 7 wybiera Kopenhaga, 45 okręgi wyborcze kraju, 1 Bernholm, 1 sejm w Foeröer. Otóż dla wyboru owych 52 posłów *Landthingu* istnieją wybory pośrednie i proporcjonalne ¹⁾. Wymyślił je matematyk i minister *Andrä* w r. 1855. Każdy wyborca wymienia tylko jednego kandydata, któremu w pierwszej linii głos daje, a innych oznacza tylko ewentualnie (na drugim lub trzecim miejscu). *Iloraz*, wpływający z podziału liczby głosujących przez liczbę krzeseł poselskich, wskazują, jaką ilość głosów potrzebuje poseł, aby być wybranym. Po złożeniu kartek głosowania do urny, prezydent je wyjmuje i zlicza (oznacza każdą numerem), a oznaczysz *iloraz* wyborczy, przystępuje do odczytania kartek. Czyta tylko pierwsze nazwisko umieszczone na liście i kartki, które to nazwisko *mieszczą*, składa razem. Gdy ktoś tym sposobem uzyskał *iloraz* wyborczy, jest wybranym, a prezydent czytając dalej, wykreśla jego nazwisko na wszystkich następnych kartkach, gdzie jeszcze przychodzi i w jego miejsce wstępuje drugi (*B*) na karcie wymieniony itd.; a gdyby tenże uzyskał liczbę wystarczającą, trzeci. Jeżeliby tym sposobem nie uzyskano dostatecznej liczby deputowanych, tj. nie wszyscy uzyskali *iloraz* wyborczy, rozstrzyga u reszty względna większość głosów; ale tylko ci wchodzi w rachubę, którzy mają więcej głosów, niż połowa *ilorazu* wynosi. W razie równości głosów rozstrzyga los. Jest np. wybór trzech deputowanych do przeprowadzenia w okręgu wyborczym, gdzie oddano 1,200 głosów, wówczas każdy wyborca oddaje swój głos na jednego w pierwszej linii, a w drugiej i trzeciej wymienia innych. *Iloraz* wyborczy wynosi w takim razie 400. Są tu dwa stronnictwa *A* i *B*, z których *A* liczy 800, *B* 400 głosów; wówczas pierwsze stronnictwo może przeprowadzić *dwóch*, drugie *jednego* posła. Zwolennicy stronnictwa *A* oddają swoje głosy np. na *d* w pierwszej linii, na *c* w drugiej; zwolennicy drugiej partyi np. na *k*. Jest *d* wymienionym na wszystkich 800 listach, natenczas czyta się go tylko do 400, a resztę się kreśli, i wymieniony na innych 400 kartkach na drugim

¹⁾ Konst. art. 32—40; ust. wyborcza z 12 lipca 1867, art. 47—85.

miejsu *e*, będziewybrany *k*. Z drugiego stronnictwa również *k* wybranym będzie, jeśli cała partya na niego się zgodzi. Nie jest partya ta karną i otrzyma *k* tylko 300 głosów, natenczas to wystarczy; gdyby zaś *k* i *l* równą mieli ilość głosów, los rozstrzygnie.

O tym od r. 1855 istniejącym systemacie wyraża się lord Lytton, sekretarz poselstwa angielskiego w r. 1863, korzystnie ¹⁾, my jednak tych pochwał nie możemy podzielić.

1) Najpierw, jestto tylko bardzo drobna reforma dla kilku okręgów; 2) proceder jest bardzo sztuczny, który wielkiej karności stronnictw wymaga; bo nietylko chodzi o to, aby wszyscy zgodzili się na nazwiska, ale zarazem na kolejność w umieszczeniu tychże na kartach głosowania, inaczej bowiem decyduje

¹⁾ W sprawozdaniu złożonem rządowi angielskiemu w r. 1863 mówi lord Lytton: „Pytają, czy nowy system jest wykonalnym. Odpowiadam, że od 8 lat bywa praktykowanym bez najmniejszej trudności, a nie spokojnego toku czynności nie tamuje. Jest przeprowadzonym, a zatem możność wykonania jest udowodnioną. Słyszałem częstokroć pochwały systemu tego, ale nieraz z niego wyśmiewano się, nigdy jednak nie znalazłem słusznych powodów do zacepek. Dłaczego system ten mógłby być nazwany śmiesznym, tego nie pojmuję. Również mówią ludzie, że ten system jest niezrozumiałym, ale tak wyrażali się ludzie, którzy nie zadali sobie pracy, by ten system zrozumieć. Słyszałem także, że system jest niewykonalnym, ale spokojna ośmioletnia praktyka zbija ten zarzut. Przeciwnicy zwalczają reformę dlatego, że nie mogą jej pojąć. Walka dwóch stronnictw jest właśnie żywiołem barbarzyństwa, cywilizacya naturalnym swym rozwojem dąży do wytworzenia równych myśli, poglądów i interesów. Ta dobroczynna różnica jest powstrzymywaną przez przymusowe ugrupowanie wyborców na dwa stronnictwa. Reforma przez p. Andrá przeprowadzona, przez Harego proponowana, jest z istoty swej cywilizacyjną. W dotychczasowym systemacie wyborey ściśle uorganizowani, tylko tym sposobem uzyskują zwycięstwo nad przeciwnikami, że tryumf swój okupić muszą własną niewolą. Oba stronnictwa grupują się obok programu przywódców swych; każdy kandydat musi jeden z tych programów przyjąć, którym jest związany i częstokroć ubezwładniony. Obecny system czyni wreszcie przez sfalszowanie prawdziwego zastępstwa większości możliwym, że istnieje brak smutny zgodności między całym ludem i reprezentacyą,

mniejszość (względna większość) ¹⁾; 3) wreszcie o wyborze rozstrzyga przypadek, jakie listy z urny najpierw będą wyciągnięte i odczytane. Usiłowano z tych powodów wprowadzić kilka modyfikacyj i poprawek do tego systematu. I tak: 1) jeżeli kto nie ma dość głosów pierwszych, mogą mu być doliczone te głosy, które kandydata wymieniają na miejscu drugim; 2) mają istnieć wybory *działowe* (*Divisionswahlen*, system Burnitz Varrentrapp), według których tylko pierwsze nazwisko na liście zyskuje jeden głos cały, drugie wymienione liczy się jak $\frac{1}{2}$ głosu, trzecie jak $\frac{1}{3}$ głosu; 3) Walter Bayley proponuje, żeby każdy kandydat z góry oświadczył, komu przekazuje swoje nadliczbowe głosy i to przed wyborem ogłosił. Pan *A* kandydując, musi oświadczyć, że swoje nadliczbowe głosy oddaje panu *B* ²⁾. Naville, genewski profesor, główny zwolennik systematu zastępstwa mniejszości, tę metodę następującym wyjaśnia przykładem: Przypuśćmy, że 90,000 wyborców, na trzy stronnictwa podzielonych, wybrać ma sześciu deputowanych. Iloraz wyborczy wynosi 15,000, tj. kto taką ilość głosów otrzyma bezpośrednio lub pośrednio przez przelew, jest wybranym.

Pierwsza partya stawia trzech kandydatów *A B C*, druga czterech *a b c d*, trzecia dwóch *a* i *β*.

Kandydaci ogłaszają następnie listę przelewu swych głosów.

ponieważ takowa wychodząc z walki dwóch stronnictw, nie przedstawia prawdziwej woli ludowej. Według nowego systematu kajdany dwóch wyłącznych stronnictw byłyby złamane, wyborcy swobodnieby wykonywali swoje prawo, posłowie byłiby wolni w objawieniu swoich myśli, a debaty byłyby prawdziwemi obradami; uzyskanaby była wreszcie zgodność ciała wyborczego z reprezentacją, naród byłby rzeczywiście zastąpionym, a reprezentacja byłaby silną i poważaną. Długi parlament byłby nie zniknął na skinienie Cromwella, gdyby duch i woła Anglii, głowa i serce narodu to ciało było ożywiało.

¹⁾ Hilty otrzymał o tym systemacie następujące urzędowe wyjaśnienie: „Sa mise en oeuvre exige chez leselecteurs beaucoup de subordination et d'exactitude.“

²⁾ Jestto nowy, nieznaný dotąd sposób cęssyi, bo cęssyi głosów.

<i>A</i>	przenosi swoje głosy na	<i>C</i>	i	<i>B</i>
<i>B</i>	"	"	"	<i>A</i> i <i>C</i>
<i>C</i>	"	"	"	<i>A</i> i <i>B</i>
<i>a</i>	"	"	"	<i>b</i> <i>c</i> <i>d</i>
<i>b</i>	"	"	"	<i>a</i> <i>c</i> <i>d</i>
<i>c</i>	"	"	"	<i>d</i> <i>b</i> <i>a</i>
<i>d</i>	"	"	"	<i>c</i> <i>b</i> <i>a</i>
α	"	"	"	β
β	"	"	"	α

Skrutinium wykazuje następujący rezultat:

<i>a</i>	21,000
<i>B</i>	16,000
<i>d</i>	10,000
<i>A</i>	10,000
<i>b</i>	9,000
α	9,000
β	6,000
<i>c</i>	5,000
<i>C</i>	4,000
		90,000

a ma 6,000 głosów nadliczbowych, które przechodzą na *b*; *B* ma 1,000 gł. nadliczb., które przechodzą na *A*; 4,000 niedostatecznych głosów *C* przechodzi na *A*; 5,000 niedost. głosów *c* przechodzi na *d*; 6,000 gł., które otrzyma β , na α . Przez to przenoszenie głosów wybrani zostali *a* *B* *d* *A* *b* i α .

Rezultat będzie więc następujący:

<i>a</i>	21,000	—	6,000	na	<i>b</i>	=	15,000				
<i>B</i>	16,000	—	1,000	na	<i>a</i>	=	15,000				
<i>d</i>	10,000	+	5,000	od	<i>c</i>	=	15,000				
<i>A</i>	10,000	+	1,000	od	<i>B</i>	+	4,000	od	<i>C</i>	=	15,000
<i>b</i>	9,000	+	6,000	od	α	=	15,000				
α	9,000	+	6,000	od	β	=	15,000				
β	6,000	przechodzi	na	α							
<i>c</i>	5,000	"	"	<i>d</i>							
<i>C</i>	4,000	"	"	<i>A</i> .							

Uzyskuje się tym sposobem jak najszlachetniejszą reprezentację, żaden głos nie jest stracony. I tych pochwał nie podzielamy. System jest sztuczny, wymagający niesłychanej karności stronnictw i niewoli stronnicej, niezrozumiały dla ludu który nie ma za sobą tej prostoty, jak system dzisiejszy; nadaje zresztą kandydatom władzę mianowania posłów. Tym sposobem mogłaby mała liczba kandydatów wpływowych obsadzić wszystkie posady w parlamencie, a zawisłość takich przeforsowanych posłów od swych patronów byłaby większą, niż w Anglii przed reformą parlamentu w r. 1832.

2) Drugim głównym systemem jest system *list wolnych* (*Freilisten*). Polega na tem, że każde stronnictwo z góry ogłasza swoją *listę kandydatów*. Te listy muszą być jawnie ogłoszone przez pewną ilość wyborców, którą ustawa oznacza, a lista zawiera tyle nazwisk w porządku alfabetycznym, ile jest deputowanych. Władza wyborcza, jeżeli wymogom stało się zadość, publikuje te listy, które mają pewne odznaki, np. białe, czerwone, zielone, niebieskie. Pokątna agitacja nie ma miejsca. Każdy wyborca oznacza w karcie głosowania tę listę, na którą głosuje, i wymienia te nazwiska *listy*, które uzna za najodpowiedniejsze. Głosy zbierają się do urny i przesyłają do głównego miejsca wyboru. Przy obliczaniu najpierw sprawdzają, wiele głosów zostało oddanych; ilość głosów oddanych podzieloną przez ilość krzeseł poselskich daje *iloraz wyborczy*. Dalej oblicza się, wiele głosów padło na każdą listę, i w tym stosunku posłowie przypadają na każdą listę. Jeżeli np. 10,000 głosów oddano na pięciu deputowanych, wówczas iloraz wyborczy wynosi 2,000, tj. aby być wybranym, trzeba mieć 2,000. Przypuśćmy, że na listę białą głosowało 4,000 wyborców, na czerwoną 4,000, na zieloną 2,000, wówczas przypadnie na partycję białą dwóch, na czerwoną dwóch, a na zieloną jeden poseł. Polityczny rezultat wyborów po tej operacyi jest znanym; chodzi obecnie tylko o oznaczenie osób, które mają każdą partycję reprezentować. To jest dalszą operacyą skrutinium. Jeden z austriackich autorów, który bezimiennie zachwyca się tym systematem, przedstawia nam przykład tego skomplikowanego urządzenia na tle wyborów wielkiej własności morawskiej. W drugim ciele wyborczem wybierają tam do sejmu 25 de-

putowanych. Przypuśćmy, że oddano 180 głosów ważnych. Iloraz wyborczy wynosi więc $180:25=7\frac{5}{25}$. Przypuśćmy, że istnieją cztery partie, z których każda ogłosi listę przed wyborami — konserwatywna (*A*), centrum (*B*), lewe centrum (*C*), lewica (*D*). Rezultat głosowania jest taki, że:

lista <i>A</i> (konserwatystów)	otrzymała	55	głosów
„ <i>B</i> (centrum)	„	35	„
„ <i>C</i> (lewe centrum)	„	40	„
„ <i>D</i> (lewica)	„	50	„
	razem	180	głosów.

Idzie przedewszystkiem o *repartycję* ilości posad poselskich na te listy w stosunku do oddanych głosów. Postępuje się w ten sposób, że mnoży się wartość, którą każdy głos reprezentuje, tj. $\frac{25}{180}$ z ilością, którą każda lista otrzymała.

	Głosów	repartycya	
<i>A</i>	55	$55 \times \frac{25}{180} = 7$	całych i reszta 115
<i>B</i>	35	$35 \times \frac{25}{180} = 4$	„ „ 155
<i>C</i>	40	$40 \times \frac{25}{180} = 5$	„ „ 100
<i>D</i>	50	$50 \times \frac{25}{180} = 6$	„ „ 170
	180	22	$+ \frac{540}{180}$

22 mandatów jest tym sposobem stanowczo przydzielonych pozostają do rozdzielenia $\frac{540}{180} = 3$ mandaty. Te należy przyznać temu stronnictwu, które stosunkowo największy ma ułamek, a więc *D* dostaje 1, *B* 1, *A* 1 posła; rezultat będzie więc taki, że z konserwatystów wyjdzie 8 deput., ze środka 5, z lewego centrum 5, z lewicy 7, razem 25 deputowanych.

Postępując w tensam sposób przy wyborze do Rady państwa, do której własność większa w Morawie wysła 9 deputowanych, przypadłoby na konserwatystów 3, na środek 2, na lewe centrum 2, na lewicę 2 deputowanych. Aby dociec, kto jest ze szczególnych list wybranym, w każdej liście robi się osobne skrutinium, przy którym rozstrzyga względna większość głosów. Wybory uzupełniające odpadają, bo w razie ustąpienia jednego z posłów, wstępuje w jego miejsce ten z kandydatów tejsamej listy, który po wybranym względnie

największą ilość głosów ważnych otrzymał. Choć ten system jest polecone przez *Genewskie Towarzystwo reformy wyborczej*, jest ze wszystkich najgorszym, bo punkt ciężkości wyborów więcej nawet niż najwięcej skażone rządu większości, składa w *reçe stronnictw*, a oprócz tego da się tylko tam przeprowadzić, gdzie istnieje mała liczba stronnictw; gdzie zaś lud rozbitý jest na wiele stronnictw, tam jest niepodobnym do przeprowadzenia. Nadto pytanie zachodzi, jaka ilość wyborców ma wystarczyć, aby listę poprzeć dostatecznie, tak, żeby takowa wchodziła w rachubę. Z tego powodu też ta metoda ani w r. 1875 we Francji, ani w r. 1870 w Genewie proponowana, nie zyskała uznania parlamentu ¹⁾.

Usiłowania dotychczasowe wprowadzenia systematu mniejszości *w zasadzie* nie powiodły się i tylko w Danii mają one ograniczone zastosowanie, tak, że nawet zwolennicy dążą tylko do tego, aby przynajmniej częściowo uwzględnić istniejącą mniejszość. Do tego celu zmierzają dwa systematy.

3) System *ograniczonej listy vote limité* (system angielski i włoski).

4) System *głosów zbiorowych* (amerykański).

Do 3). System angielski przyjęty w ustawie wyb. 15 sierpn. 1867 r., polega na tem, że w okręgach wyborczych, gdzie ma być wybranych trzech posłów, głosują tylko na dwóch, a w city londyńskiej, która wybiera czterech deputowanych, ma *trzech*. W takim razie może mniejszość jednego kandydata przeprowadzić. Skromne rozmiary tej reformy wynikają z tego, że ma ona tylko zastosowanie w 12 okręgach miejskich, które 37 członków na 658 angielskiej Izby niższej wybierają. Podobny system istnieje w *Brazylii* (31 stycznia 1871 r.), na *Malcie* i w najnowszych czasach we *Włoszech* (ustawa wyb.

¹⁾ Hilty przytacza o tym systemacie zdanie Ramsberggera, także zwolennika zastępstwa mniejszości, który twierdzi, że jest on wprawdzie zrozumiałym, jednak mało jest sympatycznym i utrzymuje ciągle rozdrażnienie. Hilty sam stwierdza, że zależy tutaj wszystko od wszechmocny komitetów wyborczych, albo od wstępnych głosowań w łonie stronnictw, które znowu nadają co do wyboru osób przewagę większości.

z 22 stycznia 1882 i ust. z 2 maja 1882). Ten najnowszy wpływ dążności do reprezentacji mniejszości polega na tem, że w tych okręgach wyborczych, które wysyłają pięciu deputowanych, każdy wyborca głosuje tylko na czterech. Izba deputowanych liczy 508 posłów; podział okręgów jest taki, że 3 okręgi wybierają po dwóch, 61 po trzech, 36 po czterech, a 35 po pięciu deputowanych. Otóż do tych tylko 35 okręgów, wysyłających razem 175 deputowanych, ma to ograniczone votum zastosowanie, które co najwyżej 35 członków mniejszości może powołać do parlamentu. Mały zaiste sukces!

Do 4). Votum zbiorowe, które ma zastosowanie w Anglii od r. 1870 przy wyborze radców szkolnych, i w *Illinois* (1872), polega na tem, że dozwala wyborcy, który kilku ma wybierać, skupić głosy na jednego kandydata. Np. przy wyborze dziewięciu można oddać 9 głosów na jedną osobę.

Jedynie te dwa systematy mogą być *łatwo przeprowadzone i są praktyczne*, i w najnowszych czasach też Wille, prezydent szwajcarskiego związku dla reformy wyborczej proponuje dla wyborów do szwajcarskiej Rady Narodowej system ograniczonej listy, chociaż jemu są niechętni Genewczycy, którzyby chcieli zasadniczego przeprowadzenia zastępstwa mniejszości (N a v i l l e). Podstawą reformy przez Willego proponowaucej, są okręgi wyborcze o najmniej trzech krzesłach poselskich. Wnosi więc Wille, aby, gdzie okręg 3 posłów ma wysłać, każdy wyborca głosował tylko na *dwóch*, gdzie 4, na *trzech*; gdzie 5, na *czterech*. Wybrani są ci, którzy względnie największą ilość głosów otrzymali. Wystarczy jednak do wyboru w okręgach dla trzech posłów $\frac{1}{4}$, dla czterech $\frac{1}{5}$, a dla pięciu $\frac{1}{6}$ wszystkich ważnie oddanych głosów.

Nie możemy wchodzić szczegółowo we wszystkie drobniejsze poprawki, jakie dotąd proponowano do poszczególnych systematów, i tylko o niektórych wspomnimy. Panowie Fisher z Filadelfii i Borelly z Nimes proponują, aby przy systemacie wolnych list każdy wyborca obrał sobie jedną listę, jednak na takowej zmienić mógł porządek kandydatów, albo oznaczyć kandydatów *de préférence*. Za tą poprawką oświadczył się klub reformistów genewskich, jednak wątpimy, aby jej przeprowadzenie praktyczne było możliwe. Inni, jak Boutmy, wnoszą, aby posłowie mieli stosunkową ilość gło-

sów, według liczby głosów, jaka przy wyborach na nie padła. Kto uzyskał tylko iloczyn wyborczy, będzie miał tylko jeden głos; kto podwójną ilość głosów, dwa itd. Trudno sobie nawet wyobrazić taki parlament, w którym zasiada obok posła jednogłosowego taki kolega, który rozporządza przypuszcmy 50 głosami swoją osobą. Wątpimy, aby ci jednogłosowi zastępcy mniejszości, wobec takich matadorów ze stokrotnie spotęgowanym głosem, mieli większe znaczenie, niż dzisiejsza, choć szczupła mniejszość, w parlamentach. Słusznie mówi Hilty, że wówczas byłby parlament podobnym do walnego zgromadzenia niejednego towarzystwa akcyjnego, w którym milionowy akcyonaryusz z góry decyduje o wszystkim. Pan Leserve z Paryża proponuje dla mężów i ojców tyle głosów, ile ma członków familii. Ojciec pięciorga dzieci i małżonek, miałby zatem 7 głosów. Byłbyto rodzaj zachęty do zawarcia małżeństw, ale już od Malthusa te czasy niepowrotnie minęły, gdzie polityka ludności wyłącznie była zajęta środkami, zmierzającymi do pomnożenia ludzi. Wreszcie przedstawiają rodzaj *ruchomych kolumn wyborczych*; każdy wyborca wybiera sobie do głosowania dowolne miejsce zamieszkania (*domicil electoral*) i może głos swój oddać zamiast w miejscu swego zamieszkania, w tej obranej do wyboru siedzibie. Stronnictwa obliczałyby swoje siły i wysęlały sobie nawzajem sukkurs, gdzie takowy jest potrzebny. Rezultaty mogłyby powstać weale zabawne. Aby np. w Krakowie pobić kandydata stańczykowskiego, możnaby posłać o sukkurs do Lwowa, i pewna część wyborców lwowskich oddałaby swoje głosy w Krakowie, a możeby znowu naodwrot Krakowianie we Lwowie przeforsowali stańczyka. Pomysł ten zanadto zakrawa na farsę, aby mógł być poważnie dyskutowanym.

Z powyższych wywodów przekonać się można, że idea zastępstwa mniejszości, z taką emfazą głoszona, w praktyce przedstawia bardzo skromny rezultat, albowiem może być tylko zastosowaną w okręgach, które wybierają najmniej trzech członków. Wszystkie inne systematy, usiłujące nadać tej reformie zasadnicze i rozległe zastosowanie, okazały nam się jako niepraktyczne, sztuczne kombinacye, które prawdopodobnie wady dzisiejszego trybu wyborczego by spotęgowały.

A jeżeli teraz zapytamy, czy zastępstwo mniejszości jest w ogóle uzasadnione i czy wymaga tak sztucznych środków do przeprowadzenia, możemy na to dać odpowiedź następującą:

1) Jestto przede wszystkim ideał fałszywy, aby reprezentacya ludowa miała być tylko odbłaskiem fotograficznym całej ludności. Czy mają się w parlamencie wszystkie dzikie instynkty masy ludności odzwierciedlać, lub przeciwnie, zasiadać w nim mają tylko lepsze żywioły, ludzie charakteru niezłomnego i rozumu politycznego? Jak dobrym pisarzem ludowym nie jest ten, któryby ludowi w jego rubasznym języku podawał strawę, jaką się lud żywi codziennie, zniżoną do jego poziomych wyobraźni, tylko taki, który potrafi w zrozumiałym języku przedstawić ludowi wyższe idee i rozumne zasady postępowania; taksamo nie jest dobrym deputowanym mąż taki, który przedstawia w swojej osobie niejako matematyczną sumę wszystkich dobrych i złych przymiotów swoich wyborców; tylko ten, który stoi wyżej od poziomu wyborców i do którego ci wyborcy mają zaufanie, że będzie tak działał, jak tego wymaga interes państwa i kraju; jak mu podyktuje własne sumienie i świadomość stosunków, uzyskana w swobodnych debatach parlamentarnych. Słusznie mówi Hilty, że gdyby parlamenty były odciskiem fotograficznym wyborców, natenczas nie potrzebaby wcale zgromadzeń parlamentów; przy znanem albowiem ugrupowanie stronnictw i wybranych kandydatów, wystarczyłoby, aby deputowani z domów swoje głosy oddawali, i potrzebaby tylko bióra do obliczenia głosów. Zresztą najważniejsze zmiany w wewnętrznem urzędowaniu państwa, jak powstanie Konfederacyi szwajcarskiej, amerykańskiej, Cesarstwa niemieckiego, prawdopodobnie nigdy nie byłyby przyszły do skutku, gdyby pytano o zdanie wszystkich partykularystów, gęsto w powyższych krajach rozsianych. Że zaś te zmiany przyszły do skutku, zawdzięczyć to należy całkiem innemu i wiecznie istniejącemu systematowi mniejszości, według którego inteligentna i patriotyzyzm silna, a nietylko mechanicznie zgromadzona mniejszość, przez wysilenie wszystkich sił tego dokonała, że stała się faktyczną większością w życiu publicznem.

2) O prawie mniejszości do zastępstwa nie można wcale

mówić, bo jak jest rzeczą wprost niepodobną oznaczyć, ile osób potrzeba, aby one stanowiły mniejszość mającą być zastępowaną, zwłaszcza, że odcienia w opiniach i zdaniach są różnorodne i takowe też często się zmieniają, tak z drugiej strony nie można wymagać od państwa, aby stronnictwom sobie wprost nieprzyjaznym, dążącym wprost do przewrotu politycznego i społecznego, przyznawało prawo do zastępstw. Byłoby to prawdziwem samobójstwem politycznem! Tym sposobem zawsze władzy państwowej trzeba by pozostawić władzę dyskrecyonalną w tym względzie, jakim stronnictwom przyznaćby należało prawo do zastępstwa.

3) Rozwój życia politycznego polega na tem, że stronnictwa w państwie wysilają wszystkie siły, aby uzyskać w parlamentach większość i w swoim duchu pokierować polityką państwową. Żywotnemi są tylko te stronnictwa polityczne, które w każdej chwili mogą objąć rządy. Otóż przy dzisiejszej organizacyi wyborów, każde odnowienie ciał parlamentarnych otwiera mniejszości możliwość otrzymania w przyszłej kadencyi większości przez przeprowadzenie kilku swoich zwolenników w nowych wyborach. Przy nowym systemacie zaś zupełnej proporcjonalności wyborów do istniejących w kraju stronnictw, wydarzałoby się często, że mniejszość przez długie lata musiałaby pozostać w opozycyi, bo liczebna zmiana stronnictw nie tak łatwo w wielkiej masie ludowej przychodzi do skutku, wobec wielkiej masy wyborców bez doświadczenia politycznego, u których działa głównie przyzwyczajenie i *vis inertiae*. Partya zaś, skazana przez długie lata na bierną rolę opozycyi, łatwo stracić może zdolność do rządzenia.

4) Mówią zwolennicy systematu mniejszości, że przeprowadzeniem szczerem tego systematu zniknąłby szereg wad, jaki dzisiejszy system wyborów sprowadza, mianowicie korupcya wyborcza, przeciw której dzisiaj bezskutecznie walczą¹⁾. Mojem zdaniem, jestto nadzieja zbyt optymistyczna, albowiem także zastępstwo mniejszości dąży do tego, aby pozyskać jak największą ilość głosów, i używać będzie tak samo wszystkich godziwych, a częstokroć także niegodziwych

¹⁾ Rolin-Jaequemyns l. c. 116.

środków, ażeby przyciągnąć chwiejnych, kaptować obojętnych, terroryzować przeciwników. Jeżeli dziś częstokroć się dzieje, że w okręgach wyborczych, gdzie mniej-więcej dwie partie się równoważą, następują koalicje z jakąś partją trzecią, najmniejszą, której przyłączenie się do jednej lub drugiej strony zapewnia zwycięstwo, jak n. p. w Niemczech częstokroć katolicy głosują na socyalistę, aby nie dopuścić do parlamentu liberalnego posła, to niema wątpliwości, że tasama agitacya miałaby i później miejsce, aby wyjednać dla kandydata iloczyn wyborczy.

5) Zniknęłaby, twierdzą dalej, dziś tak często spostrzegana obojętność wyborców do głosowania, szczególnie takich, którzy nie mają nadziei przeprowadzić w wyborze swego kandydata, albowiem każde stronnictwo, które ma zapewnioną ilość odpowiednią posłów w parlamencie, czuwać będzie nad tem, aby wszyscy jego zwolennicy oddali głos, a ci tem chętniej głos oddadzą, im większą mieć będą pewność, że ich głos nie będzie straconym. Na to odpowiedzieć można, że częstokroć obojętność pochodzi z przyczyn czysto osobistych, jeżeli ktoś nie jest chętnym albo nie ufa kandydatowi swojej partyi; zresztą zaś obojętność jest dowodem poziomego wykształcenia politycznego, które podnieść należy zupełnie innemi środkami, niż proponowanem zastępstwem mniejszości.

6) Wydarza się dziś częstokroć, że mąż znakomity upaść musi w swoim okręgu wyborczym wobec kandydata zaściankowego, który umiał sobie pozyskać większość. Otóż przy zastępstwie mniejszości zapewne każdy mąż znakomity znajdzie w całym kraju dostateczną ilość zwolenników, aby uzyskać wymagany iloczyn wyborczy; obawa zatem, aby upadł mąż, który nieraz z narażeniem się na niepopularność bronił dzielnie sprawy publicznej, tutaj znika zupełnie. Na to odpowiedzieć można, że ten rezultat jest wątpliwym, a także przy dzisiejszym systemacie stronnictwa dokładają wszelkich starań i to zwyczajnie ze skutkiem pomyślnym, aby tęgich ludzi przeprowadzić jeżeli nie w dawniejszym, to w innym okręgu wyborczym.

7) Obawa przepadnięcia, mówią, powstrzymuje dziś niejednego męża znakomitego od kandydowania, któryby miał

szansę przejścia przy systemacie zastępstwa mniejszości. Mojem zdaniem, tęgie i politycznie dojrzałych ludzi względ na możliwy upadek w wyborach nie odstraszy nigdy, a kto ma tak drażliwe nerwy, że obawia się o upadek przy wyborach, kto bierze rzecz ze stanowiska czysto osobistego, ten w ogóle do życia politycznego nie jest zdolnym i może snadnie w domu pozostać.

8) Jakkolwiek istnienie stronnictw jest w życiu politycznym rzeczą pożądaną, a nieraz bardzo korzystną, mimo to może stać się także nader szkodliwą i do rozbicia państwa prowadzącą, jeżeli stronnictwa nie są przejęte duchem publicznym, jeżeli w istnieniu i dobrobycie państwa nie znajdują punktu łączności. Jeżeli stronnictwo wyrodzi się w koteryjność, jeżeli program stronnictw, ułożony częstokroć dla ambitnych przywódców, a nie dla dobra publicznego, stoi wyżej niż interes państwa, jeżeli partie zwalczają się na zabój, natenczas z walki takich stronnictw może tylko wypłynąć dla państwa rozstrój i zguba. Otóż zastępstwo mniejszości wcaleby nie złagodziło tej niepomysłnej walki stronnictw i owszem jeszczeby ją zaostrzyło. Każdy musiałby zupełnie kapitulować ze swego rozumu i poddać się zupełnie pod komendę naczelników stronnictw. Co więcej, gdy dziś z natury rzeczy mogą istnieć dwie lub trzy wielkie i żywotne partie, bo każdy, jeżeli w ogólności pragnie mieć znaczenie, musi się przyłączyć do takiej partii większej, która może mieć nadzieję objęcia steru rządowego, zastępstwo mniejszości dałoby pochop do utworzenia szeregu drobnych partyek, nieżywotnych i nieracjonalnych, bo opartych na drobnych odcieniach opinii, a może tylko dlatego powstałych, aby dogodzić osobistym ambicjom. Wyobraźmy sobie teraz parlament, złożony z takich reprezentantów tych rozlicznych sekt politycznych, rozchodzących się w punktach istotnych, natenczas powstałby organ, do współdziałania w rządach państwa niezdolny, z którymby każdy zręczny minister mógł zrobić, coby mu się podobalo. Taki parlament byłby dogodnym podścieliskiem dla absolutyzmu.

9) Spodziewają się wreszcie, że system zastępstwa mniejszości będzie puklerzem przeciw nagłym przeskokom w systemacie rządowym, bo stopniowe zmniejszanie się lub

zwiększanie się mniejszości daje niewątpliwe świadectwo o stanie opinii publicznej. I tej nadziei nie podzielamy. Symptomaty zmiany w opinii publicznej istnieją także obecnie, a każdy rząd rozsądny z niemi się liczy; jeżeli zaś opinia publiczna do tego stopnia się zmieni, że dotychczasowa większość stanie się przy nowych wyborach mniejszością, natenczas jestto dowodem konieczności zmiany systematu politycznego. Żaden zresztą system polityczny nie może sobie rościć pretensyi do trwania wiecznego, tylko winien ustąpić przy zmienionych stosunkach; nagłe nawet zmiany nie są szkodliwe, jeżeli zmieniają się warunki życia i potrzeby polityczne ludu.

Weale zaś nie podzielamy tego przekonania Harego, że przez jego systemat wyborezy nasze parlamenty staną się tem, czem być powinny, chlubą i dumą narodu, rodzajem panteonu żyjących, gdzie jak w ognisku gromadzić się będą wszyscy mężowie, którzy odznaczają się charakterem, talentem i wiadomościami.

Badając rzecz chłodno, przyznać musimy, że zasadzie zastępstwa mniejszości w reprezentacjach ludowych należy się o tyle uwzględnienie, aby w reprezentacjach ludowych odezwać się mogły różne ważniejsze poglądy w kraju, ażeby parlamenty nie były wyłącznie wyrazem jednej opinii, która przypadkowo zdołała sobie uzyskać znaczną większość w parlamencie. Nie sądzimy jednak, aby do osiągnięcia tego celu trzeba było tak sztucznego systematu, jak go proponują rzecznicy zastępstwa mniejszości. Zastępstwo mniejszości jest bowiem także w dzisiejszym prostym systemacie wyborczym możliwe, a nie było dotąd parlamentu, w którymby mniejszość nie miały także swoich reprezentantów. Szczególnie w naszym kraju i w państwie Austriackiem, gdzie stronnictwa przedewszystkiem grupują się według różnicy narodowej, podział wyboreców na kraje, okręgi, a względnie grupy wyboreze ekonomiczne (większych własności, miast, gmin wiejskich i Izb handlowych) daje daleko lepszą rękojmię *stosunkowości reprezentacyj ludowych* i uwzględnienia mniej-

szości, aniżeli sztuczne i niezrozumiałe dla ogółu systematy, które stanowiły przedmiot naszego rozbioru¹⁾.

¹⁾ Jestto zasługą rządu związkowego szwajcarskiego, że przez ogłoszenie w r. 1883 opinii Hiltego o zastępstwie mniejszości dał sposobność do zbadania tej kwestyi. Dodać winniśmy, że celem uzyskania zastępstwa mniejszości istnieją towarzystwa w Szwajcaryi i w Belgii. Wobec systemu głosowania powszechnego jest dążność do zastępstwa mniejszości zupełnie uzasadnioną, „c'est, en effet, dans la minorité des electeurs que se rencontrent alors, nécessairement, les hommes les plus capables d'apprécier les véritables intérêts du pays (La question électorale. Bruxelles 1882, str. 416). Najnowszą publikacją w tym duchu jest broszura: Hagenbach-Bischoff, H. Studer, Raoul Pictet, Berechtigung u. Ausführbarkeit der proportionalen Vertretung bei unseren politischen Wahlen. Ein freies Wort an das Schweizervolk und seine Rätthe. Bazylea 1884 (str. 32), zalecająca system list wolnych.

SZUJSKIEGO LATA SZKOLNE.

III.

Ósma klasa 1853/54.

Zaczyna się ją i odbywa zawsze z uczuciem strachu. Widzi się zawieszony nad sobą miecz Damoklesa, który na końcu roku koniecznie spaść musi: examin dojrzałości, wtedy ostrzejszy daleko niż dziś, kiedy niepotrzeba uczyć się do niego ani religii, ani fizyki, ani historyi naturalnej, a z powszechnej można nie zdawać, jeżeli w ciągu roku miało się celujące klasy. Wówczas z tego wszystkiego trzeba było być przygotowanym, a nadto jeszcze inspektorem był p. Czerkawski ze straszną reputacją examinatora nieubłaganego, a umiającego wszystko (prócz matematyki) tak, że zbyć go lada czem (oćmić) nikt nie potrafi.

Zeszliśmy się też w usposobieniu poważnem i trochę melancholicznem i z uroczystem postanowieniem, żeby zaraz od początku roku szkolnego brać się do przygotowania. Polegało ono na tem, żeby dla wprawy przeczytać po za szkołą jedną tragedję Sofoklesa albo jeden dyalog Platona; z łaciny jedną księgę Horacego z dodatkiem paru Satyr, albo jeden Rocznik Tacyty. Dla innych przedmiotów urządzone były korepetycyje; ci rzadcy, którzy lepiej umieli matematykę albo fizykę, przerabiali słabszym trudniejsze części; inni starali się jako tako wykuć z jakiej większej książki jaki okres historyi i prelegowali go przed kilkoma kolegami.

Szujski prócz historii *przerabiał* tak botanikę; pamiętam jedną taką korepetycję, i to że po niej rozumiałem i na jakimś czas̄ umiałem co wykładał. Czy ten sposób uczenia się w kilku razem był dobry? Był w każdym razie w dobrej wierze wybrany; ale nie mogło być inaczej, jak że lekcyja poważnie zaczęta schodziła najczęściej na rozmowę o wszystkim innym, a zamykała się smutną rezygnacyą i czułem życzeniem, żeby jeżeli już z tego przedmiotu *ściąć* trzeba będzie koniecznie, żeby przynajmniej nie *zryć*, a wskutku tego nie *wsiąknąć*.

Ale miała ta groźna ósma klasa swoje pociechy, słodycze i wdzięki. Nie mówiąc o różnych dobrych chwilach któreśmy sobie jedni drugim zawdzięczali, nie byliśmy zamknięci! Budynek Nowodworski nie był taki jak teraz. Miał tylko korpus naprost kościoła ś. Anny i tak zwany po krakowsku *widermach*; część boczna wystająca na plantacye jest nowym dodatkiem, na który właśnie brano fundamenta i zwożono cegły kiedyśmy byli w ósmej klasie; (pełni naturalnie reminiscencyj z Schillera mówiliśmy, że to na nas buduje się *Zwing-Uri*). W dawnym budynku nie było miejsca na wszystkie klasy, i ósma, z wieku jej i z urzędu ten zaszczyt należał, miała błogosławiony przywilej, że się uczyła w lokalu najętym, w domu proboszcza ś. Anny (pod Wachlarzykiem) na dole. Każdy oceni niezmierne skutki tego przywileju. Nie było się pod kluczem! Na pauzę nie chodziło się wkółko po dziedzińcu jak zwierzęta w klatce, ale się wychodziło na ulicę, na plantacye, czasem nawet bardzo daleko aż do Wiślanej ulicy albo do Szczepańskiej; ze śniadaniem nie było się ograniczonym na lichy prowiant, jaki tereyanka utrzymywała pod schodami, ale się miało wybór i sposobność porównania która przekupka lepsza (a ubiegały się bardzo o nasze łaski). Czasem można było i ze świata kogo spotkać: a zawsze Negra, i poczęstować go kawalkiem śniadania (ogromny czarny kudłaty pies, należący niewiedzieć do kogo, podobno do Biblioteki Jagiellońskiej, znany w całym mieście i wielki przyjaciel studentów). Jeżeli zaś nie umiało się lekcyi i czuło w niebezpieczeństwie, albo jeżeli jaka wielka pokusa ciągnęła, można było śmiało i łatwo uciekać; nie było drzwi zamkniętych, a przy nich Jana albo Bartłomieja.

Ale ta swoboda miała swoje niebezpieczeństwa: i dała powód do zawikłań groźnych, wielkich czynów, i katastrof tragicznych.

W pierwszych dniach listopada odprawia się co roku u ś. Anny nabożeństwo za fundatorów. Gimnazjum chodziło na nie zawsze, odkąd było nabożeństwo i gimnazjum. Proceder zachowywał się ten, że rektor uniwersytetu zawiadamał czy zapraszał, a dyrekcya dniem lub więcej naprzód zapowiadała klasom. Zwyczaj, który uwalniał co najmniej od jednej lekei, był oczywiście bardzo szanowany. W tym roku przeszło już parę dni listopada, a nie zapowiadano nam nic. Zrazu było tylko lekkie zdziwienie, później pewien niepokój, wreszcie niecierpliwa ciekawość co to ma znaczyć? co się stało? Aż pewnej soboty, wybiła dziesiąta, wyszliśmy na pauzę: i widzimy jak z berłami na czele idzie Uniwersytet do kościoła. A my nie idziemy? nie wezwali nas? czy nas nie puścili? Oczywiście nie puścili! A dlaczego? Bo fundatorowie to królowie; nie chcą żebyśmy się modlili za królów polskich. Ale tak być nie może, i nie będzie. Mamy prawo tam być, mamy obowiązek tam być i będziemy. Na długie narady nie było czasu, bo cała pauza trwa kwadrans; więc bez narad, instynktowym *communi consensu*, jednym popędem i pędem znaleźliśmy się wszyscy w kościele i we wzorowym porządku zasiedli zwykle miejsca w ławkach. Protestanci (Wielowiejski i Otremba, syn pastora i nauczyciela języka niemieckiego w niższych klasach) poszli także; poszedł i Ettmayer, którego ojciec jeszcze przed rokiem był naczelnikiem rządu w Krakowie. W klasie został tylko jeden — żyd. Sam się tłómaczył przed nami, co było istotną prawdą, że poszedłszy, byłby ryzykował więcej niż my wszyscy, bo nie byłby mógł nieobecności w klasie usprawiedliwić, jak my nabożeństwem. Nie bez strachu ale dumni z siebie i pewni, że fundatorowie z górnego nieba patrzą na nas z przyjemnością, siedzieliśmy poważnie jak senatorowie na kurulskich krzesłach, a jak oni o wehodzących Gallach, tak my nadrabiając miłą niespokojnie myśleliśmy o tem, co się dzieje w klasie? co się zwłaszcza dzieje w gabinecie?

Niebawem ukazał się w kościele bardzo czerwony nos i bardzo niebieska kapota: stary Bartłomiej skonstatował

naszą obecność. Nie zrobił takiego efektu, jak gołębia w arce Noego; owszem, zjawił się jak ptak złowrogi. Siedzimy dalej nieporuszenie, ale strach coraz większy: co się tam stało jak Sawa (Sawczyński) wszedł do klasy i zobaczył, że klasa uciekła! Że się nie stało nic dobrego, przekonaliśmy się zaraz. Rychło po Bartłomiejku wszedł do kościoła dyrektor; zwolna, z ciecha, mierzonym krokiem, poprawiając włosy na czole, jak zwykł był kiedy się gniewał, obszedł dokoła nasze ławki i wpatrywał się w każdego wzrokiem badawczym, zimnym, przesywającym, straszliwym. W tej chwili byliśmy jeszcze więksi jak senatorowie rzymscy. Żaden dyrektora nie widział; żaden nie raczył uważać że on jest, że krąży koło nas nie jak lew ryczący, ale jak tygrys skurezony i gotów do skoku: modliliśmy się za fundatorów, poważni, godni, przejęci nabożeństwem, o niezem innym myśleć i wiedzieć niezdolni. Dyrektor nie powiedział nic, okrążył i wyszedł.

Ale nabożeństwo się skończyło; przyszła chwila stanowcza, trzeba było oko w oko zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Krótki szept po ławkach: co robić? czy od razu uciekać do domów i na czwartej godzinie (w sobotę rano było ich cztery) już się nie pokazywać? Nie! Wszak nie uciekaliśmy od lekcji; pokażmy właśnie, że nie o lekcję nam chodziło; właśnie wróćmy na czwartą godzinę. To będzie dopiero z honorem i odwagą, to będzie godne nas — i fundatorów!

Ledwośmy wrócili do klasy i znowu najporządniej siedli na miejscach, wchodzi dyrektor, za nim jeden profesor, drugi profesor, trzeci profesor, wszyscy profesorowie! Miny srogie: najlepsi nawet nie raczyli na nas patrzeć; nawet pan Gralewski wlepił wzrok w podłogę. Jaka była reprimenda dyrektora, Bóg raczy wiedzieć; nikt uie uważał na treść, bo każdy w strachu czekał konkluzji. Konkluzja przeszła nasze najczarniejsze przeczucia. Za to zuchwalstwo niesłychane, za to nadużycie zaufania, za ten zły przykład dany młodszym, jako niegodni uprzywilejowanego stanowiska będziemy przeniesieni do gmachu, pod klucz, a nasze miejsce na probostwie zajmie klasa szósta, porządniejsza i przyzwoitsza niż my.

Strata miłej wolności bolała nas srodze, ale żeby jakaś mizerna szósta klasa się stroiła w nasze prawa jak sówka w pawie pióra, żeby ona miała używać naszych swobód, fraternizować z przekupkami i z Negrem, cieszyć się rozkosznymi pauzami na ulicy i na plantacyach, i patrzeć dwa razy na dzień z kamienicy proboszcza na nas idących do gmachu, pod zamknięcie, to było nie do zniesienia!

Poszliśmy zaraz na sejm, radzić co mamy robić; nie było nic do zrobienia. Trzeba było cierpieć, a jedyna pociecha — nie pokazać że się cierpi: *grosse Seelen dulden still!* Złe przeszło prędzej niżesmy myśleli. Baliśmy się, że zostaniemy w gmachu przez cały rok, a przynajmniej do końca półroczka. Nadspodziewanie po dwóch tygodniach kazano nam wrócić na probostwo, a szóstej klasie na skromne stanowisko jakie jej przystało.

Ale wielkie wypadki wstrząsające opinią i zmieniające sytuację, nie przechodzą bez śladu. Opinia potrzebuje się objawić, żądanie albo protest albo tendencya musi znaleźć sposób sformułowania się i affirmowania. W takich chwilach zwykle powstają organa opinii — dzienniki. Szujski wpadł na myśl wydawania dziennika; do redakcyi należał on sam, Piliński, i niżej podpisany. Dziennik miał być naturalnie humorystyczny, wychodzić raz na tydzień, a czytywać się w klasie na pauzie, głośno. Stósowną symboliczną winiętę podjął się rysować Szujski. Wyobrażała ona straszną babę z otwartą paszczą i wielkimi zębami, gotową nas połykać; pod rysunkiem był wypisany tytuł, niestety niemiecki: *Maturitätsblatt!* Nieporozumienie w redakcyi. Tłómaczyliśmy, że po niemiecku nie można, że gazeta powinna się nazywać *Matura*, co nawet do rysunku baby daleko lepiej przystaje. Szujski odpowiadał, że *Matura* to wyraz trywialny, nie dość dla naszego organu poważny, że wszystkie dzienniki kończą na *blatt* (naprzykład *Fremdenblatt*), że wreszcie nie chce mu się drugi raz rysować i pisać, i tak zostało. Dziennik był świetny. W pierwszym numerze wielki artykuł wstępny napisany przez Pilińskiego (sposobem, którego on miał sekret, poważnym uroczystym stylem, z pod którego figlarnie uśmiechał się żart), opisywał historyczny fakt nabożeństwa i następnych prześladowań. A nie sucho, po kronikarsku albo po

dziennikarsku. Na nabożeństwie naprzykład nad katafalkiem unosiły się duchy fundatorów, wszystkie ciekawie na nas patrzące. Zygmunt Stary z senatorami aprobował poważnie; Bona szeptała coś z Gamratem, ale i ona raczyła nas pochwalić. Jadwiga obiecywała się modlić za nas, żeby żaden nie znalazł się nigdy w przykrej kollizyi pomiędzy sercem a obowiązkiem — i tak dalej. Po tym wielkim artykule kierującym, następowały różne wiadomości bieżące, niby depe-sze telegraficzne i kronika miejscowa, po części wierszem pisane. Szujski, zaczytany właśnie bardzo w Göthem, zapalił się do Xenij, i na ich wzór zaczął sypać epigramy na różne szkolne figury albo wypadki. Feuilleton zaś zastępowały *Przepowiednie Tercyanki*. Żona terecyana zapadła w sen magnetyczny i w jasnowidzeniu wróżyła nam przyszłość jednemu po drugim; byłyto wiersze dłuższe, pisane naprzemian przez Szujskiego i niżej podpisanego. Pierwszy numer miał wielkie powodzenie: drugi był jeszcze piękniejszy. Były w nim Pilińskiego *Najnowsze Rewelacye z Hadesu*. Przed wychodzącym ze szkoły Pilińskim stanęła Sybilla, i zaproponowała, że go jak Eneasza zaprowadzi do piekieł. Bał się trochę, ale ciekawość przemogła. Gdzie był otwór piekielny, którądy i z jaką przykrością ten nowy Dante spuszczał się *tra la perduta gente*, niech się domyślą uczniowie gimnazyum ś. Anny, którzy znają mały dziedzińczyk za widermachem. Spuścili się tą sztolnią, przepłynęli Styx, Cerber dostał wczorajszego precla żeby nie szczekał, i dostali się między Elizejskie cienie. Kogo tam nie widzieli! Była Antygona, Emilia Galotti, Horacy, była Lottchen narzekająca z płaczem na męża (i na Werthera, że był głupi i w łeb sobie strzelił)... doprawdy nie było bez humoru i bez talentu. A cóż dopiero miało być dalej! Plan był wspaniały: w niższych kręgach piekieł miały być różne kary profesorów (zmarłych czy żywych) za różne studenckie krzywdy. Nasi koledzy do dziś dnia nie wiedzą, czego się samohecający pozbawili. Bo niestety po drugim numerze abonenci (a dostawali dziennik zadarmo, niewdzięczni!) zaczęli szemrać, burzyć się, wreszcie grozić. Owe Xenie Szujskiego obraziły niektórych, a mianowicie trzech najstarszych, obrośniętych wielkimi faworytami i otoczonych wielką w klasie powagą.

O co oni się obrazili, doprawdy nie rozumiem. Prawda, że dziennik żartował ze wszystkich, ale z nikogo dotkliwie, a redaktorów nie oszczędzał, owszem, jeżeli komu, to im mówił rzeczy nieprzyjemne. Dość, że po odczytaniu trzeciego numeru byliśmy zniecka napadnięci, rozciągnięci, i dostaliśmy wskórę: wszyscy trzej. Nigdy jeszcze wolność prasy nie była tak po barbarzyńsku pogwałcona, i duch wieku doznał strasznej zniewagi w naszych osobach. Ale zamiast się za niego ujmować i protestować, pogodziliśmy się z prześladowcami, wstecznymi siepaczami despotyzmu i reakcyi. Zgoda była łatwa, bo wszyscy trzej (Przemysław Wielowiejski, Ferdynand Ettmayer, Eugeniusz Dobrzyński) byli bardzo dobre i miłe chłopcy. Ale dziennik przestał wychodzić — na zawsze!

Przypominając sobie dziś i sądząc naszą ówczesną klasę, można bez zarozumiałości przyznać, żeśmy byli dobre chłopcy. Byliśmy także klasą świetną: nie tak niesłychanie świetną jak ta, co nas o dwa lata poprzedzała, ale zawsze dosyć. Tamta bowiem miała w szkole reputację kolosalną; żadna nie była tak zuchwałą, żeby się miała za równą, nie dopiero od niej wyższą. Bardzo liczna, tamta klasa była jak wiosna roku 1812 „ludźmi błyszcząca, i nadzieją brzemien-na“ — a co obiecywała to i spełniła. Pierwszym był w niej Józef Kasznica, dziś profesor warszawskiego uniwersytetu, uważany już wtedy przez równych wiekiem i młodszych za to, czem został na zawsze, za charakter najbardziej jednolity i wyrobiony, najstateczniejszy, za personifikację prawego sumienia i uczucia obowiązku. Drugim w lokacyi był Fryderyk Zoll, młodszy o lat trzydzieści i parę, zresztą taki sam jak dziś, taki w koleżeńskim jak teraz w szerszem i czynnem życiu. Ci dwaj złączeni najściślejszą przyjaźnią, tem bardziej jeszcze trzymali się razem, że oba mieszkali na Podgórzu i tę prawdziwą podróż dwa razy na dzień razem odprawiali. Ludwik Wodzicki, bardzo sławny z polskich i niemieckich wypracowań, byłby mógł waleczyć z nimi o pierwszeństwo, gdyby nie to, że przez szczególny jakiś wyjątek miał dyspensę od języka greckiego, zatem mniej od innych trudności i pracy, i świadectwo zawsze niekompletne. Ten znowu jak Orestes z Pyladem nierozłączny z Augustem Gorayskim, który był dla młodszych ideałem układu, elegancyi, zręczno-

ści i odwagi w męzkich ćwiczeniach; gdyby niższe klasy były wtedy znały Górnickiego i jego *Dworzanina*, byłyby powiedziały, że to żywy Gorayskiego portret. Z nimi, *in diesem Bunde der dritte* Jan Kornicki, chłopiec bardzo miły i sympatyczny, niezmiernie całej szkole imponujący wierszami, które wcale ładnie składał, dziś profesor gimnazyalny (jeżeli się nie mylę, w Przemyślu). Te wiersze to było coś naprzd dłuższego w rodzaju Pieśni o Ziemi Naszej, ale zwłaszcza głęboko ukrywane i przez przypadek tylko lub nadużycie młodszym znane „*Trzy Gwiazdki nad Krakowem*“: czyli trzy panny, do których wdychał sam autor, i jego przyjaciele Gorayski, i Wincenty Bobrowski. Na tych samych ławkach szkolnych, jak później na sejmowych, siadywał z nimi Alfred Milieski, dziś prezes Rady powiatowej krakowskiej; Andrzej Nizioł, dyrektor Seminarium nauczycielskiego w Rzeszowie, miał sławę bodaj czy nie najlepszego między nimi filologa; Maciej Mączyński wzbudzał wielkie uszanowanie jako szwagier Kremera (młodszym zwłaszcza trudno się to w głowie mieściło, żeby student mógł być szwagrem profesora, i to sławnego i jeszcze profesora filozofii) — sam przez się wzbudzał powszechną i wielką sympatyę, bo był dobry że do rany przyłożyć, a wesół że uśmiech nigdy nie schodził z jego twarzy. Dwóch Siemieńskich, Jan (dziś ksiądz, wtedy biały, różowy, tłusty mały chłopczyk), i jego brat Karol; wszystkich wymienić niepodobna. To tylko wspomnieć można, że ta klasa, z której wyszło niemało ludzi znaczących i zasłużonych, była nietylko do różańca ale i do tańca. Oni u p. Starzewskiego najlepiej się bili na pałasze, oni jeździli (a niektórzy sławnie) na koniach, tańcowali tak (znowu niektórzy), że Terpsychora w Olimpie nie tańczyła z lepszymi; oni się i kochali! a echa ich czułych westchnień, legendy o ich romansowych nieszczęściach, dostawały się do klas niższych i otaczały ich niezrównanym urokiem poetycznym i bohaterskim.

Tych już Szujski w szkole nie zastał. Wyszli z niej, kiedy on do siódmej klasy przyjeżdżał; poznał się z nimi dopiero, kiedyśmy z kolei dostali się do uniwersytetu. Wyżej od nas zastał klasę, z której wyszedł Maksymilian Zatorski, profesor Uniwersytetu i poseł w Radzie państwa, a w której pierwszym był p. Erazm Łobaczewski (dziś adwo-

kat w Przemyślu), a drugim dzisiejszy ksiądz infułat Bober, archipresbyter kościoła Panny Maryi, którego malarz jaki mógłby był wtedy wziąć za wzór do obrazu ś. Stanisława Kostki albo Ałoziego Gonzagi, taką miał twarzyczkę dziecinną i taki w niej wyraz słodki a poważny.

Nasza klasa, kiedy jej owa wielka już swoim blaskiem nie émiła, wyglądała świetnie u świętej Anny; co pewna, to, że jak sobie śmiało powtórzyć pozwalam, byliśmy dobre chłopcy. Nigdy się dzięki Bogu nie złego między nami nie zdarzyło, uczyliśmy się niezgorzej, stosunek koleżeński w klasie był bardzo dobry i miły. Zdarzało się naturalnie, że się jeden z drugim czasem pokłócił; nie zdarzyło się nigdy, żeby który drugiemu dokuczał, bo tego za dokuczanie uważać nie można, że temu urządziło się *séva*, a drugiemu dało *rybę*, albo czapkę zarzuciło za belkę w suficie. Gorszego nie zrobiliśmy sobie nigdy nic; a na wiele faktów dowodzących szlachetnych i delikatnych uczuć, nie przypominam sobie ani jednego, któryby pozwalał domyślać się u którego złego serca. Każdy naturalnie miał swojego serdecznego przyjaciela i paru bliższych przyjaciół, ale pomimo przemijających gniewów i kłótni, nie pamiętam u żadnego prawdziwej do drugiego niechęci lub złości. Jeżeli który był bogatszy i lepiej ubrany, nikt dlatego krzywo na niego nie patrzył; takie różnice choć były, nie zwracały niczyjej uwagi, nie wywoływały niechęci, wydawały się rzeczą naturalną i do poufałości, nieraz do stałej przyjaźni nie przeszkadzały. Indywidua były sobie mniej lub więcej sympatyczne, położenie społeczne nie stanowiło różnicy, oddalenia, przedziału. Być może że i czasy były inne, że wzorem starszych między dziećmi więcej było harmonii i równowagi, mniej kwasu i podejrzania. Mieliśmy naturalnie swoje polityczne opinie, byliśmy liberalni jak sam Rotteck; byliśmy w uczuciach patriotycznych wszyscy jednakowi, ale o reakcyi i postępie, o demokracji i arystokracji wiedzieliśmy mało a myśleli jeszcze mniej. Szujski zapewne musiał kwestye tego rodzaju już w głowie obracać, inni musieli nosić w sobie zarody tych lub owych opinij lub skłonności, ale napróżno usiłuję sobie przypomnieć jakikolwiek choćby drobny fakt, w którymby one okazały się widocznie: nie znaj-

duję w pamięci żadnych takich oznak. A z tego wnoszę, że to co Szujski później w jednej ze swoich powieści nazwał *Bezimienną Trucizną*, to albo wtedy jeszcze nie było w powietrzu, albo szczęśliwie do naszych płuc, do naszej krwi się nie dostało. Lubiliśmy jednych więcej, drugich mniej, ale ogółem lubiliśmy się wszyscy naprawdę. Takiego jednego, któryby klasą dowodził i trząsł, któryby ją podbił swoim urokiem albo dominował silniejszą wolą, nie mieliśmy między sobą; wyjątkowego, uprzywilejowanego stanowiska nie miał w klasie nawet Szujski. Mniemał je tylko mieć biedny, pracowity, niezbyt zdolny chłopczyzna, Kłysiński (Jan), siostrzeniec bardzo szanowanego i zasłużonego doktora Szymona Wróblewskiego, który dawniejszym jakimś a już zarzuconym obyczajem, w niższych klasach miał sobie powierzony jakoby dozór nad innymi, i żartem od kolegów czy profesorów dostał tytuł dyktatora. I tak uwierzył w tę dyktaturę, tak się do niej dziwacznie przywiązał, że nieposłuszeństwo względem siebie brał nam naprawdę za złe i nazywał nas buntownikami; osobliwszy i jedyny legitymista władzy urojonej i przez nikogo nie uznawanej. Kto wie, czy nie było to pewnem zboczeniem umysłu zbyt wytężonego, zmęczonego pracą, bo w latach późniejszych stawał się istotnie coraz dziwniejszym w pojęciach i w obęjściu z ludźmi. Szujski w bliższych stosunkach z nim nie był, ale szanował w nim silną wolę i niezmordowaną pracę; może poetyzował go cokolwiek na twardy rzymski republikański charakter.

Nie bez pewnej oryginalności także, ale od tamtego przyjemniejszy, i kilku z nas, a między tymi Szujskiemu bliższy, był Franciszek Jagielski. Chłopiec majątny, sierota bez ojca i matki, nad sobą miał tylko starszego brata, który tu nie mieszkał, był zatem z nas wszystkich najbardziej panem swojej woli. Był właścicielem kamienicy (dziś Stadnickich) na Grodzkiej ulicy, i w niej na dole, gdzie teraz mieści się drukarnia uniwersytecka, miał mieszkanie, w którym najbardziej lubiliśmy się schodzić, bo nigdzie nie byliśmy tak swobodni i tak niezależni. Jagielski nie miał bardzo wielkich zdolności, ale porządnie klasy przechodził. Bardzo nieśmiały, wysławiający się trudno, nie umiejący wcale *ćmić* (nadrabiać miną, i udawać że umie), czego nie

umiał), uchodził może za mniej rozwiniętego niż był, a miał ciekawość, skrzętność, nieledwie passyę do pracy, która dobrze kierowana mogła być stać się bardzo pożyteczną. Z niesłychaną naprzykład wytrwałością i dokładnością układał tablice genealogiczne wszystkich bogów i półbogów starożytnej mytologii! Szkoda czasu, i dziwactwo? Oczywiście. Ale ta skrzętność i wytrwałość dobrze użyta, zwrócona naprzykład do poszukiwań choćby genealogicznych ale historycznych, mogła być bardzo się przydać. Nieszczęściem, my koledzy byliśmy za młodzi, i nie spostrzegliśmy się że to umysł, który zbacza za błędne kierunki i potrzebuje drogowskazu. Jego genealogię braliśmy za prostą, trochę dziwną ale nieszkodliwą zabawkę, w której przeszkadzać mu nie widzieliśmy powodu. Tymczasem biedny chłopiec zaczął stopniowo dziwaczyć coraz bardziej: przy genealogii nabral passyi do ćwiczeń fizycznych, i nieraz większą część dnia (choćby w słołę) przesiadywał w pływalni, żył prawie jak kaczką. Po skończeniu gimnazjum wkrótce jakoś znikł nam z oczów, wyjechał za granicę; ztamtąd po paru latach napisał raz do Szujskiego list, którego doprawdy nie można było zrozumieć. Co się z nim działo, w jakich okolicznościach i gdzie umarł, żaden z nas nie wie. Tyle pewnego, że lat już temu wiele jak doszła nas wiadomość o jego śmierci.

Z Jagielskim mieszkał Rączkiewicz. Krępa, przysadkowata osoba, od nas wszystkich starszy, nie głupi, p. Mateusz Rączkiewicz był filozofem, niedowiarkiem. W naszych dyskusjach mawiał nam rzeczy, które nas moeno gorszyły; zbinaliśmy go i przekonywali jakeśmy mogli, ale bez najmniejszego skutku. Pewnego dnia gruchnęła po klasie wieść niesłychana: Rączkiewicz wstąpił do klasztoru! Jagielski wracając raz do domu, zastał od niego kartkę żeby nie czekał, bo on już nie wróci, jest u Karmelitów. Rzeczywiście tam był. Między nami konsternacja prawdziwa. Nie myśleliśmy, żeby był się z dnia na dzień nawrócił jak ś. Paweł; baliśmy się że chyba oszalał, baliśmy się o głowę Rączkiewicza, albo o jego duszę. Przez całe półrocze chodziliśmy do niego jakeśmy mogli najczęściej, po jednemu lub po kilku, żeby koniecznie wybadać co się stało, pocieszyć go jeżeli to rozpacz, leczycy jeżeli choroba, a wreszcie żeby mu trafić do serca

i przekonać, że ksiądz bez wiary i powołania musi być nie-
szczęśliwym w tem życiu, a cóż dopiero w drugim. Przyj-
mował to wszystko z poważną wyrozumiałością; jaka przy-
stała mędrości względem dzieci; jak łaska na niego zsta-
piła, tego my wiedzieć ani rozumieć nie możemy, dość że
jest Karmelitą, i pogrążony w kontemplacyach i medytacyach
żyje wyższem duchowem życiem. Do szkoły chodził jak
przedtem, i w świeckiem ubraniu nawet. Jużśmy wkońcu
uwierzyli w nawrócenie i powołanie, kiedy pewnego razu nie
siadłszy nawet do examinu, Rączkiewicz uklonił się Karmeli-
tom, podziękował że go przez pół roku żywili, i zniknął tak,
że go ani zakonni ani szkolni koledzy więcej nie widzieli.

Jagielskiemu przykryło się w samotności; na opró-
żnione miejsce zaprosił sobie innego towarzysza, a na
zamianie wyszedł doskonale. Antoni Gross, brat bardzo
w kraju znanego pana Piotra Grossa, posła i byłego człon-
ka Wydziału krajowego, dziś notaryusz w Zaleszczykach,
był w swoim rodzaju niezrównanym typem studenta. Spry-
tny i pełen conceptów, samą miną, głosem, spojrzeniem
umiał rozśmieszyć; był hajdamakiem eichym, hałasów
nigdy nie wyprawiał, ale gdzie się jaka awantura zdarzyła,
on z pewnością był *spiritus movens*. Próżnować prawdę
mówiąc lubił: *ścinał i rył* ze wszystkich przedmiotów, zda-
wało się rzeczą niemożliwą żeby mógł dostać promocyę. Tym-
czasem przed końcem półroczu działo się coś dziwnego:
Gross brał się w kupe, poprawiał, doganiał, umiał wszystko
doskonale, i z tryumfem przechodził do wyższej klasy. Zda-
tny, pojętny, poezciwy, i jeden z najzabawniejszych w klasie,
niezmiernie był w niej lubiony, a zebrania w mieszkaniu Ja-
gielskiego zajaśniały nowem życiem i blaskiem, odkąd on
ze swoją wesołością zajął w niem miejsce poważnego filo-
zofa i Karmelity.

Władysław Florkiewicz, dziś lekarz w Piotrkowie, był
mały brunecik z żywymi oczyma i różową buzią; mówił nie-
zmiernie prędko a trochę niewyraźnie, tak że jego mowa
wydała nam się do ptasiego świstu podobną. Ztąd przydo-
mek *Fit' Fit'*, pod którym chodził w szkole, a który ozna-
czał bardzo dobrego i miłego chłopca, dobrego ucznia, do-
brego kolegę, na którego wspomnienie zawsze się robi miło

na sercu. Bolesław Placer, krakowskie dziecko, zapowiadał bardzo porządnego, pożytecznego człowieka; nie mógł dotrzymać, bo go biedna matka straciła, zanim jeszcze wyszedł z pierwszej młodości. Lipka (Marcin) miał iść na księdza; jeżeli nim jest, a takim jak był chłopcem i uczniem, to jego parafia musi być bardzo dobrą, bo miał dużo rozsądku, wiadomości dosyć: pilności, uczucia obowiązku, stateczności bardzo wiele.

Adolf Otremba, syn pastora ewangelickiego i profesora języka niemieckiego w niższych klasach gimnazjum, był trochę hajdamak, ale chłopiec dobrego serca i wcale sprytny. Zamało hajdamakiem był Hirsch Steuermark, jedyny swego wyznania chłopiec w naszej klasie, dziś doktor medycyny gdzieś w Królestwie. Ten był najczęściej celem i ofiarą naszych figlów. Czy dlatego że żyd? Raczej dlatego, że zawsze tak skrupulatnie, pedantycznie przygotowany na lekcję. W dawniejszych latach zwłaszcza, w szóstej klasie, miał to nieszczęście, że za jego pilność lubił go Radziszewski, ówczesny nauczyciel greckiego; a że my nie cierpielśmy Radziszewskiego, więc mściliśmy się na biednym Steuermarku za pochwały które od tamtego odbierał. Mścili nie bardzo ma się rozumieć; *sér* był najcięższem prześladowaniem jakiego od nas doznał, a *séra* robiło się wszystkim, jemu tylko częściej niż innym. Był bardzo pilny i porządny chłopiec, dobry kolega przytem, a choć u Radziszewskiego miał łaski, nie był względem niego ani nikogo innego zbyt uniżonym; we wszystkich ważnych wypadkach trzymał się klasy honorowo i wiernie.

Jak trzej Anabaptyści w *Proroku*, tak trójką zawsze chodzili i trzymali się Eugeniusz Dobrzyński, Przemysław Wielowiejski, i Ferdynand Eitmayer. Pierwszy wyglądał raczej na naszego profesora niż na kolegę, takie miał wielkie faworyty i taką w ruchach powagę. Z usposobienia spokojny i łagodny, z umysłu żywy, wcale dowcipny, używał w klasie ogromnej powagi. Parę lat później Szujski pisał jakiś rodzaj komedyi, w której występowała cała nasza ówczesna klasa, okropnie rozdzielona i zaburzona wszelkiego rodzaju sprzecznymi zasadami i dążnościami. Dobrzyński miał w tej komedyi rolę najpiękniejszą, swoim rozsądkiem i powagą dopro-

wadzał wzburzone żywioły do spokoju i zgody. W życiu nieszczęściem nie odegrał ani tej ani żadnej innej roli, umarł bardzo wcześnie.

Przemysław Wielowiejski, ze starego kalwińskiego rodu, przywiązany do swego wyznania przekonaniem, ale może jeszcze więcej krwią i tradycją, był jednym z tych nierządkich u nas uczniów, którzy bardzo lubią zajęcie i kształcenie się, ale nie lubią codziennej szkolnej roboty. Dużo inteligencji, dużo fantazyi, wielka ciekawość do czytania, ząd wykształcenie wcale u młodego chłopca niezwykle, dowcip i serce najlepsze, wszystko razem chłopiec bardzo sympatyczny. W szkole tylko zaniedbywał się systematycznie, licząc zapewne na zdatność, która go też rzadko zawodziła. Nawoływaliśmy go zawsze do porządku i zawsze obiecywał, że się uczyć zacznie, już z pewnością zacznie: od pierwszego dnia następnego miesiąca, bo trzeba zaczynać porządnie i systematycznie. Zatem „od pierwszego!“ Kiedy pierwszy przyszedł, znajdowały się zawsze nieprzewyciężone przeszkody i znowu obiecywał, że zacznie już niezawodnie „od piętnastego.“ I tak do końca gimnazyum. Jego system jednak był zły, i sam się biedak o tem przekonał, do egzaminu z nami bał się siadać. Odłożył go na później nie czując się dość przygotowanym. I ten nie żyje; umarł w Krakowie lat temu kilka, a zwłoki jego spoczęły w Łucyanowicach niegdyś własności jego rodziny, na kalwińskim ementarzu przodków, w którego stronę z tęsknym wzrokiem i słowem na naszych spacerach nieraz się zwracał. Za trumną zebrało się trochę dawnych kolegów, wspominając smutno „pierwszego“ i „piętnastego.“

Kiedy pierwszy raz w szóstej klasie zjawił się Ferdynand Ettmayer, boczyliśmy się na niego. Był nietylko Niemcem, ale synem „Landespräsidenta“; a choć wiedzieliśmy, że ojciec jest bardzo godnym człowiekiem, nie mieliśmy zrazu ochoty zbliżać się do syna Niemca i urzędnika. Rozbroił nas prędko, i nietylko rozbroił, ale ujął i przywiązał. Z wielkim taktem, a co lepiej, z bardzo delikatnem uczuciem, nigdy naszych uczuć polskich nie zadrasnął ani jednym słowem; raczej zdarzyć się mogło, że od nas co mniej miłego w tym rodzaju usłyszał, sam nigdy nie przykrego nie

powiedział. Po polsku mówił prawie tak jak my, solidarności koleżeńskiej przestrzegał najściślej, serce miał najlepsze a obejście ze wszystkimi mile. Humor zaś taki, że nikt w klasie nie mógł się z nim równać. Od pustych blażeństw aż do prawdziwie dowcipnych conceptów i żartów, miał wszystko zawsze na pogotowiu, nigdy nie wyczerpany, codziennie wydawał nam się zabawniejszym. Żaden nie umiał tyle śpiewek najrozmaitszych, żaden tak nie udawał, żaden nas tylu figłów nie wyuczył. On był wesołością naszej klasy, duszą naszych wypraw na bilar, rozkoszą naszych pauz, na które zawsze umiał coś nowego wymyśleć, a przynajmniej stare figle nowymi dodatkami ożywić. Dziś poważny sekretarz najwyższego Trybunału w Wiedniu, jeżeli czasem przypomni sobie całą klasę jako chór, a siebie na katedrze śpiewającego solo jakąś parodyę żydowskich śpiewów w bożnicy, dałby wiele zapewne, jak my jego koledzy, żeby choć raz w życiu jeszcze tę muzykę usłyszeć.

O Tadeuszu Wojciechowskim mam z tych czasów wyobrażenie mniej dokładne niż o innych kolegach. W niższych klasach byliśmy w dobrej, nawet blizkiej przyjaźni; pod koniec szóstej pokłóciliśmy się, nie pamiętam już o co, ale bardzo. Do siódmej on dla zdrowia (chorował na oczy) nie chodził, uczył się w domu. Do ósmej wrócił, ale nasza nieprzyjaźń trwała. W gazecie, o której wyżej mowa, był nawet na nią epigram Szujskiego, z którego pamiętam tylko jeden wiersz: „zawzięli się na siebie jako dwa koguty.“ Pogodził się wprawdzie, ale aż w letnim półroczu, z czego wynikało, że nie mam go tak wyraźnie w pamięci, i nie znałem go tak dobrze jak innych. To pamiętam, że znalazłem go znacznie zmienionym; w szóstej klasie był tak jeszcze dziecinny jak my wszyscy, a jego największą pasją, i wybitną zdawało się zdolnością, była muzyka. W ósmej byłto już chłopiec poważny, który musiał bardzo wiele przez ten czas przeczytać, a jeszcze więcej myśleć, a myśl nie do muzyki zwracała się ze szczególnem upodobaniem ale do historii, i to do najdawniejszej, początkowej. Pierwotne jakieś cywilizacje, pierwotne pojęcia religijne i formy społecznego życia, oto co w ósmej klasie obchodziło go najbardziej. Wtedy zapewne zaczął w studencie wyrabiać się przyszły autor *Chrobacy*.

Z Szujskim poznali się naturalnie zaraz, ale choć się sobie odrazu wzajemnie podobali, to zwolna dopiero rozwijała się ta przyjaźń między nimi, która w latach uniwersyteckich z pewnością pierwsze zajęła miejsce między tego rodzaju uczuciami i stosunkami Szujskiego.

Dziwnym jakimś przypadkiem wszystkie wybitne indywidualna tej klasy były chowane przez matki. Wojciechowski także stracił był ojca w dzieciństwie, jak Piliński, jak niżej podpisany, i taksamo Żeleński. Nie taksamo, owszem bardzo inaczej, bo w okolicznościach strasznych, w r. 1846. Wielką prawdziwie duszę i wielką dzielność matki, która i zabójcom męża przebaczyła, i przed zarządem majątku się nie cofnęła, i synów sama od dzieci chowała, skreślił pięknie p. Ludwik Dębicki w pośmiertnem jej wspomnieniu. W tych latach mieszkała ona na wsi; później dopiero gdy córka potrzebowała już więcej nauk, osiadła na lat parę w Krakowie i z laskawą dobrocią lubiła garnąć do siebie przyjaciół syna, otaczać się naszym studenckim światem. Synowie mieli za dozorcę i nauczyciela młodzieńca, który z czasem wyszedł na znakomitego i doskonałego człowieka, Andrzeja Rydzowskiego. Z trzech synów najmłodszy Kaźmierz był jeszcze pogrążony w ciemnościach niższego gimnazjum; Władysław — dziś kompozytor *Konrada Wallenroda* — chodził o dwa lata niżej od nas, i był już wtedy z powołania i najgorętszego pragnienia, nawet już z wykształcenia muzykiem, tylko matka żądała mądrze, żeby się temu powołaniu wyłącznie nie oddawał, dopóki wszystkich innych nauk nie skończy. Stanisław, najstarszy, chodził z nami a przez ostatnie przed examinem wakacje mieszkaliśmy nawet razem. Co nas w nim czasem gniewało, to że był zanadto doskonałym uczniem. Żeby raz się dał zbalamucić, żeby choć jedną lekcję zdał kiedy na los szczęścia, żeby w jednym przedmiocie nie był kuty i pewien swego! Ta wzorowość stała przed nami jak żywy wyrzut, a mszcząc się za nią, mówiliśmy o nim z Pilińskim, że to przyszły *Pan Podstoli*. Nie wiedzieliśmy sami, jak bardzo go tym żartem chwalamy. Ale jeżeli sam Pan Podstoli nie mógł za młodu być lepszym od niego uczniem, to znowu Żeleński przy całej swojej enocie był miłszy od tego swego patrona. Nie ciężki, nie nauczający ani

strofujący, owszem wesół, zawsze do wszystkiego gotów, za-
sługiwał prawdziwie na to świadectwo, które Krasieki swo-
jemu Podstolemu może niesłusznie oddaje — „miał enotę
przyjemną.“

Obok Szujskiego najzdolniejszy, najrozumniejszy, naj-
więcej umiejący między nami, był Tadeusz Piliński. Dać o
nim wyobrażenie jest rzeczą poprostu niepodobną. Ktoby
przeczytał jedyną rzecz jaka po nim została, jego doktorską
rozprawę „*Das polnische Interregnum vom Jahre 1572—1573*
„und die Wahl Heinrich's von Valois,“ powiedziałby, że
zapewne był zdolny, myślący, dobrze pisał, sumiennie stu-
dyował — do jakiego stopnia to była intelligencya wyjątko-
wa, tego z jego książki nikt nie pozna. Była inna jak Szuj-
skiego, ale nie mniejsza. Gdyby był żył, nie byłby Piliński
zdolał tak jak Szujski działać i znaczyć na wszystkich po-
lach, nie byłby sobie zdobył tyle zasługi. Szujski miał tę
śmiałość i rzutkość, ten heroiczny popęd, który mu kazał
brać i rwać się do wszystkiego, nie przez zuchwalstwo i
mniemanie, że on wszystko potrafi — przez uczucie obo-
wiązku, że kiedy rzecz jest potrzebna i powinna być zro-
bioną a kto inny jej nie robi, to ja spróbuję. Piliński miał
zbyteczną, nerwową nieśmiałość, nieufność do siebie samego,
a tak wysokie o doskonałości pojęcie, iż się sądził niezdol-
nym cokolwiek dobrego zrobić. Z tego powodu myślano o
nim zwykle, że nie nigdy nie zrobi; a że prócz tego był
w rzeczach praktycznych nieradny, ani lubił ani umiał o nich
myśleć, osądzono go z góry jako coś niezmiernie rozumnego,
ale niepełnego, niedołężnego. Temu mniemaniu zadal fałsz
stanowczo i świetnie. Kiedy żaden z jego rówieśników, jeżeli
tego dla chleba nie potrzebował — (z jedynym wyjątkiem
starszego cokolwiek Józefa Badeniego) — nie czuł potrzeby
porządnego ukończenia nauk i usposobienia się do jakiegoś
zawodu; kiedy nawet Szujski pracował ogromnie, ale bez
planu i oznaczonego celu, ten niedołężny, niepraktyczny Pi-
liński pojechał do Bonn, potem do Heidelbergu, uczył się
lat kilka, zdał doktorat z filozofii, napisał rozprawę, tak jak
w tych czasach ledwo kwestye historyczne rozumieć i trakto-
wać u nas zaczęto; potem wrócił do Niemiec, zamknął
się w seminaryum historycznym w Gettyndze, aż go ztamtąd

wypadki roku 1863 wyrwały, a po nich przyszła zaraz choroba piersiowa, na którą się przez ostatnie cztery lata życia już tylko leczył. Jako człowiek i obywatel nie byłby zapewne zrobił tyle dobrego, co Szujski; jako uczoney, jako historyk, byłby mu sądzę dorównał. Nie miał zapewne tyle co ten siły intuicyjnej, ale przenikliwości i bystrości nie mniej; nie byłby tak płodnym, ale byłby więcej skupionym i wykończonym. W czasach spokojnych, w społeczeństwie żyjącem w normalnych warunkach, siłą swego narodu silny i pewien jego przyszłości, Piliński byłby się rozwinał na znakomitość pierwszego rzędu; było w nim źdźbło daru przedstawienia i dowcipu Macaulaya, ład, jasności, i szlachetnej elegancji Rankego. Miał tak jak Szujski pojętność i zdolność pracy ogromną, — miewał tylko napady zniechęcenia i melancholii, w których robić było mu trudno, — miał jak tamten łatwość i żądzę jak najszerszego wykształcenia, a miał nad nim wyższość najwykwintniejszego zmysłu artystycznego, jaki mi się w życiu spotkać zdarzyło. Dowcip Szujskiego cięży i sarkastyczny, palący jak gorące żelazo, był smutniejszy i był rzadszy; dowcip Pilińskiego równiejszy, obfitszy, był i weselszy i subtelniejszy. Szujski chłostał i piętnował swoim jak Juwenal, Piliński uśmiechał się jak Horacy a przenikał ludzi tak nawskróś, tak odgadywał, tak charakteryzował, że jego żart powiedziany o jednym człowieku stwarzał typ. Pisał prześlicznie: jasno i klasycznie prawie jak ksiądz Kalinka, a z większym zasobem poetycznej wyobraźni. Kiedy na żart naśladował jakikolwiek styl poetyczny, można było przysiąc, że się czyta nieznaną jakiego Krasieńskiego, czy Słowackiego, czy którego innego. Miał tak delikatne uczucie formy, że choć wcale nie muzykalny, po dźwięku wiersza (nieznanego ma się rozumieć) poznawał autora, tak jak znawcy po fakturze obrazu poznają malarza. Pamięć była fenomenalna, tak że nie wiedział co z nią robić, czem zatrudnić i do czego użyć, i kiedy miał już w głowie wszystkie możliwe leky i tysiące wierszy, nie ucząc się umyślnie, tylko przerzucając herbarze i almanachy gotajskie, umiał na palcach genealogię wszystkich rodzin szlacheckich w Polsce i wszystkich sławniejszych zagranicznych, francuskich, włoskich, niemieckich. O wdzięku jego rozmowy nie

nie może dać pojęcia; kilku wiernych zachowa to wspomnienie aż do śmierci, a potem koniec. O jego stylu i humorze mogłyby dać pojęcie jego listy, gdyby niebaczną młodość wiedziała i myślała o tem, że z czasem wszystko staje się pamiątką, i gdyby je była chowała. Dziś ich niema, a były bez żartu, bez przesady takie, że pani Sévigné przez całe swoje życie ani jednego lepszego nie napisała. Jego talent humorystyczny nie miał i dziś nie ma równego sobie w Polsce. Czasem humor Lama przypomni go cokolwiek, ale do Lama dowcipu trzeba by dodać inteligencyę nierównie wyższą, naukę bardziej wszechstronną, wychowanie wykwiłtne, delikatność najszlachetniejszą, i wytworną elegancyę formy. Gdyby Piliński był dożył czasu *Teki Stańczyka*, *Teka* byłaby arcydziełem. Jego serce, nie dla każdego prawda otwarte, było aż do zbytku prawie czule i kochające, a że powodem (nie bezpośrednim oczywiście i ostatnim) jego choroby i śmierci było to co przeboleł w r. 1863, to święta prawda.

W klasie nie był nielubiony, ale nie należał do bardzo lubionych. W obejściu grzeczny ale chłodny, nerwowy i niecierpiący hałasu, zatem unikający głośnych zabaw a bojący się bójek, uchodził za papinka, nazywano go czasem panią Telimeną. Żartobliwy i bardzo lubiący figle byle niekrzykliwe, nieraz puścił w kurs jaką mistyfikacyę, na którą się wielu łapało a potem na niego gniewało. W ogóle nie mógł ani się do ludzi bardzo zbliżać, ani im bardzo podobać; był zbyt wybredny. Taki miał wstręt do wszystkiego, co rubaszne i źle wychowane, co pedantyczne i „filistyńskie“ — co oklepane i konwencyonalne, co sentymentalne i fałszywo poetyczne: zrażony czemkolwiek tak się chował w siebie jak ślimak w skorupę, że bardzo tylko nieliczni mogli go poznać i poznać się na nim, bardzo nieliczni mogli się jemu podobać. Miał i swoje dziwaactwa, z których się inni śmiali albo gorszyli: naprzykład pół żartem, pół naprawdę bawił się w legitymistę i drażnił nas umyślnie wielką niby miłością dla króla Henryka V. A kiedy mu za to wszystko dokuczano, odgryzał się tak, że jemu nikt równie dobrze odpowiedzieć nie umiał. Do wszystkich szkolnych opózycyj i rewolucyj należał z pasją, do spacerów i ekskursyj taksamo, — znowu oprócz Szujskiego żaden tak nie potrzebował, nie pragnął,

nie czuł tak żywo piękności natury jak on. A że rozumem i zdolnością zrobił sobie respekt w klasie, że ją swoim do-wcipem nieraz bawił, że we wszystkich wspólnych sprawach klasy był zawsze bardzo dobrym i pewnym kolegą, więc wybaczone mu, że był tak zupełnie innym jak wszyscy, i ostatecznie lubili go nawet tacy, którym się nie podobał, a inni koehali jak był tego wart, serdecznie.

A Szujski? Zrazu był nim zdziwiony lub zniecierpli-wiony, i wzajemnego pociągu do siebie nie mieli, ale poznali się na sobie prędko, przed końcem siódmej klasy jeden dru-giego cenil wysoko; w ósmej choć się nieraz różnili i sprze-czali, lubili się prawdziwie. Później zdarzało się, że się jeden z drugiego śmiał albo na niego złościł, ale respekt mieli dla siebie wielki i mieli dla siebie przyjaźń, która na tej pod-stawie oparta, rosła i utrwałała się z latami.

Z tych co chodzili do siódmej klasy, kiedyśmy byli w ósmej, dwóch przynajmniej wymienić trzeba, i dla wła-snych wspomnień i potrzeby, i dlatego zwłaszcza, że obu łączyła później z Szujskim przyjaźń wierna aż do śmierci, i że ze wszystkich, ilu nas wtedy razem było, ci najwięcej oddali mu rzeczywistych usług. Jeden był wesół aż do pu-stoty, drugi spokojny i cichy, uczynny, uprzejmy dla wszyst-kich. Jeden z trzpiotowatego chłopca stał się prawdziwie opatrnością tysięcy dzieci a dobroczyńcą tysięcy rodziców, to Maciej Jakubowski, który i Szujskiego dzieci nieraz w nie-bezpieczeństwie ratował: drugi jego samego w wielu razach i jeszcze w ostatniej chorobie otaczał najczulszą, prawdziwie przyjacielską opieką, to Teofil Stępiński.

Po za szkołą chowało się w Krakowie chłopców kilku, których Szujski wtedy jeszcze nie znał, a z którymi później-sze życie miało go połączyć: Stanisław Koźmian uczący się prywatnie. W tym samym domu, na pensyi u starego pana Dutkiewicza dwóch Tarnowskich, synów Waleryana a stry-jecznych braci podpisanego, z których starszy, Władysław, dziś nieżyjący, już wtedy pisywał wiersze i muzyki uczył się z zapalem, choć komponować ile pamiętam jeszcze nie zaczął. W czasach uniwersyteckich zawiązały się między nim a Szujskim bardzo ścisłe i serdeczne (później przez czas i oddalenie eokolwiek osłabione) stosunki. Nie znał jeszcze

wtedy i Grottgera, którego my z Pilińskim spotykaliśmy u Zdzisława Suchodolskiego, chłopca wielkiej inteligencji a zwłaszcza rzadkiego uroku; syn malarza i do malarstwa czujący powołanie, w swoim mieszkaniu, które nazywał *Birbante-Rocca*, miał oprócz swojej, sztalugi dla Grottgera i dla Grabowskiego, i we trzech marzyli i mówili o swoich przyszłych obrazach, i rysowali razem poprawiając i ucząc jeden drugiego.

Właśnie kiedyśmy byli w ósmej klasie, zdarzyła się niesłychana w Krakowie nowość, wystawa obrazów, pierwsza zapewne od stworzenia świata, a przynajmniej od Krakusa i Smoka. Urządzono ją w budynku, który po spaleniu szkoły technicznej służył jej za przytułek, a dziś pod nazwą *Collegium Minus* jest przybytkiem filozofii, i uczy ją, że powinna jak Diogenes przestawać na małym. Przed tą wystawą kto chciał w Krakowie widzieć obraz, ten szedł parę razy w życiu do pracowni Stattlera na Wesolej, albo do domu p. Piotra Moszyńskiego, i tam miał obowiązek z religijną czcią podziwiać *Morskie Oko* Głowackiego i Suchodolskiego *Śmierć Stefana Czarnieckiego*. Chodziły wprawdzie głuche wieści, że pod *Baranami* są jakieś piękne obrazy, ale ósma klasa nie wiedziała że za prostym pozwoleniem mogłaby je być łatwo widzieć. Na tę wystawę, która się pod szezęśliwą gwiazdą poczęła, bo z niej wyszło Towarzystwo Sztuk pięknych i wszystkie wystawy późniejsze, chodziliśmy jak tylko czas i kieszeń pozwalały, najczęściej. Perłą jej był Rodakowskiego *Portret Matki*, na który nie my tylko z uniesieniem, ale wszyscy patrzeli ze zdziwieniem rozkosznem: nigdy jeszcze Polak nie był dotąd nie tak prawdziwie pięknego wymalował.

Na teatr chodziliśmy mało; czas, pieniądze, przepisy szkolne, wszystko to były ważne przeszkody. Był on trzeba powiedzieć wcale nędzny pod Chelchowskiego dyrekeyą. W zimie r. 1854 nie było nawet polskiego teatru wcale; otworzył go dopiero z wiosną Pfeiffer *Ślubami Panieńskimi*, w których p. Miłaszewski jako Gustaw zachwycił całe gimnazjum. Była tylko opera niemiecka, i jej *prima donna*, jakaś pani Gaudelius: naturalnie źle śpiewała, ale za to była kolosalnie gruba. Pod tym względem miała wyższość nad tym

slawnym wtedy w całej Europie „słoniem co polknął słowika,“ a nazywał się pani Alboni. Ten teatr niemiecki a brak polskiego, gniewał nas i upokarzał; stanęła tedy wielka zmo-wa, żeby się ukryć na galeryi i parterze, i wygwizdać Gaudeliusowę. Pomysł był Suchodolskiego, apostołem i głów-nym organizatorem spisku był Piliński. Klasa nie wiedziała, bo rzecz niebezpieczna trzymana była w wielkiej tajemnicy, ale była tam reprezentowana przez niektórych wybranych. O Szujskim naturalnie nie mogło być mowy; mnie w osta-tniej chwili zatrzymał nielitościwy zakaz domowy (X. Cheł-meckiego, dziś posła w Radzie państwa), kiedy zapytany dlaczego tak koniecznie tego wieczora wyrrywam się do tea-tru, nie śmiałem się wyprzeć i wyznałem prawdziwy powód. Udało się nie źle; poszli, gwizdali, potem co sił uciekali przed policją. Suchodolskiego już komisarz prawie schwycił za kołnierz, ledwo się wydarł; Piliński uciekając słyszał za sobą głos: „*das sind Herren aus der polnischen Aristokratie, warscheinlich der Heinrich Wodzicki.*“ Mądra była policja, którejto wydawało się *warscheinlich*, żeby p. Henryk zasłonięty płaszczem krył się na galeryi i gwizdał!

Teatr tedy obchodził nas mało. A bieżąca literatura? Byłyto pierwsze lata tej epoki epigonów, która nastala kiedy wlecy poeci umilkli. Kraszewski i Korzeniowski doszli właśnie szczytu swojej sławy, Pol mieszkał w Krakowie, a zapowia-danych jego poematów czekało się z wytężoną ciekawością; z War-szawy dochodziły echa pierwszych improwizacyj Deotymy; wier-sze Syrokomli ukazywały się często. Pamiętam, że te powieści bardziej nam trafiały do przekonania aniżeli te poezye. *Interesa Familijne* Kraszewskiego czytaliśmy z wielkiem zajęciem; Korzeniowskiego *Tadeusz Bezimienny* trochę nas gorszył, a za-kończeniem swoim raził, ale podobał nam się ogromnie. Dużo już mniej p. Kaczkowskiego powieści. Zachwyceni małemi po-wiastkami (jak *Bitwa o Chorążankę*), rzucaliśmy się eheiwie na Murdeliona, ale kończyli go z pewnem rozczarowaniem. Względem Deotymy byliśmy obojętni; ciekawi tylko widzieć ją, kiedy z rodzicami bawiła kilka dni w Krakowie; o słyszeniu jej, o zaproszeniu na te wieczory, na których tu improwizowała, oczywiście nie mogło być mowy. Na poemata Pola czekaliś-my prawie jak Żydzi na Messyasza; przepadaliliśmy za *Pie-*

śniami Janusza i myśleliśmy naturalnie, że kiedy małe rzeczy pisał tak pięknie, cóż dopiero będzie jak napisze większe. Zdziwienie i zmartwienie było wielkie, kiedyśmy sobie po cichu wyznać musieli, że *Senatorska Zgoda* jakoś nam się nie podobała; a *Mohort* tego przykrego wrażenia nie naprawił. Na te nasze ówczesne literackie sądy musiał bez naszej wiedzy wpływać silnie Lucyan Siemieński, jak na polityczne *Czas*, jedyny dziennik, jaki czytać mieliśmy sposobność. Czytywaliśmy go pilnie, ciekawie, ale szukaliśmy w nim wiadomości z Warszawy (jakichkolwiek, choćby brukowych i światowych) i wiadomości z Paryża, gdzie był nowy cesarz, nam przywykłym podziwiać dawnego niezmiernie sympatyczny; gdzie była cesarzowa uroczą i poetyczną, gdzie były wszystkie znakomitości roku 1830 i emigracyi, gdzie w teatrach grywano sztuki na wyśmianie Moskali, i gdzie właśnie Moskałom wydawano wojnę.

Czego nie dostrzegłem wtedy, i dziś nie pamiętam, to żeby wojna Krymska była szczególnie zwróciła uwagę Szujskiego albo budziła jego nadzieje. My inni widzieliśmy już Rosyę zdeptaną, w dalekiej perspektywie orły złote obok srebrnych nad Wisłą, i powtarzaliśmy na wszystkie tony: „Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami.“ On, czy wtedy jeszcze na bieżące wypadki mało patrzył, czy może taki był już mądry że im nie dowierzał, chętny i skory do mówienia o wszystkim, nie pamiętam żeby był mówił o wojnie. Co o niej myślał? Był jeden dokument, któryby i to mógł powiedzieć, i do jego myśli, duszy, historii dać klucz najlepszy: dziennik, który od lat kilku miał zwyczaj pisać. Była to książka dość gruba, prawie cała zapełniona; trzymał ją zawsze pod kluczem, miał dla siebie jednego tylko. Parę razy czytał mi z niej ustępy, mówiące o mnie (niezbyt pochlebne, wcale nie)... Zawsze mieliśmy oba tę ciekawość, co jeden o drugim naprawdę myśli, a radość była wielka i podniesienie w szacunku własnym, kiedy się miało znak lub dowód jego poważania i dobrej opinii. Dziennik ten musiał zniszczyć dawno, bo w późniejszych latach nikt z najbliższych nawet, nikt w domu nie widział go ani o nim nie słyszał. Strata jego dziś, choć zapewne był zbyt poufny, iżby mógł w ca-

łości być ogłoszonym, „jest ogromna i niezem powetować się nie da.

Szujski musiał w tym roku niewiele dla siebie pisać, bo i nie pamiętam, żeby był o jakich zaczętych poematach mówił, i między jego papierami nie znajduję ani jednego wierszyka, którybym napewno mógł odnieść do tego czasu. Przygotowania do examinu musiały mu zabierać wiele godzin, zabierała ich trochę i korepetycja. Z przyjaźni, a trochę może żeby matce ulżyć w wydatkach, wziął lekcję, jedną, u małego Gostkowskiego, którego lubił i za zdatne, bystre dziecko uważał. Ale choć mało pisał lub nie pisał, to rozmyślał i marzył o pisaniu ciągle, a czytał zawsze bardzo chętnie. Marzył o dramatach, a wszystkie miały być z historii polskiej. W nieskończonych i sto razy powtórzonych rozmowach klóciliśmy się zawzięcie o formę tych przyszłych dramatów. My z Pilińskim dowodziliśmy, że proste ludzkie sceniczne są i daleko piękniejsze i dla naszej literatury potrzebniejsze od fantastycznych i filozoficznych. On twierdził, że nie o formę chodzi tylko o myśl, nie o piękność tylko o prawdę i że tej myśli, tej prawdy, tej moralnej nauki więcej dać można w swobodnym, niezależnym dramacie fantastycznym, aniżeli w regularnym i przeznaczonym dla sceny. Jednak te uwagi musiały mu trafiać do przekonania, bo coraz więcej mówił o dramatach historycznych. Szukaliśmy razem i odkrywaliśmy niemalże tragicznych sytuacji w historii polskiej. Nie chodziło nam o sytuacje i kollizje romansowe, o Barbarę na przykład: ale tragedia w wielkich wypadkach i wielkich błędach, tragedia w polityce i historii, to były przedmioty prawdziwe a dotąd nietknięte. Układaliśmy tak cały cykl, całą historię polską obejmowaliśmy szerokim planem. Jan Kazimierz miał być trylogią, której część pierwsza miała się kończyć tryumfalnie, cudowną obroną Częstochowy; druga smutno, wypuszczeniem Prus z lennictwa, pokojem Oliwskim; trzecia obejmująca rokosz Lubomirskiego, zamykać się miała tragicznie mową abdykacyjną króla, przepowiednią upadku.

Król Michał, spisek przeciw niemu, utrata Kamieńca, wydawało się to Szujskiemu tak wdzięcznym przedmiotem tragedji, że w lat parę później istotnie takiego *Michała* napisał (dramat ten zaginął). Autor „*Starań księcia de St. Pol*

o *koronę polską*“ uśmiechnąłby się na swoje ówczesne pojmowanie Wiśniowieckiego, którego wyobrażał sobie naturą słabą ale bardzo szlachetną i wzniosłą — a poznawał może więcej z *Ryszarda II* Szekspira, aniżeli z rzeczywistości. Michał ten znalazł swoją swoją słabość i od przyjęcia korony bronił się jak mógł; ale kiedy mu powiedziano, że jako król będzie mógł ożenić się z arcyksiężniczką Eleonorą, którą w skrytości sereca ubóstwiał, zemdlal i obrać się pozwolił.

Sobieski, po Wiedniu otoczony spiskami i przeciwnościami, sam podupadający i zniedołężniały w ich skutku, dręczony swarami w rodzinie, a umierający z tem smutnem uczuciem, że nie robić nie warto i niema dla kogo — (musiał chyba Szujski już wtedy znać *Epistolae* Żaluskiego?) — Sobieski miał być bohaterem dalszej tragedyi: a ostatnia, znowu trylogia, miała być o Stanisławie Augustcie. Każda część miała się kończyć jednym rozbiorem; żeby zaś wrażenie nie było zbyt rozpaczliwem, całość miała się zamykać przepowiednią księdza Marka, jak do tych lat przyczepioną, to zastawiało się późniejszej rozwadze i inspiracyi.

Ale czy w tych młodocianych pomysłach nie rozpoznaje się zarysów późniejszych prac i głębokiej myśli Szujskiego dojrzałego? Zamierzony *Jan Kazimierz* rozbił się na mniejsze pomysły jak *Lubomirski* i *Obrona Częstochowy*, albo przemienił na inne, jak *Ossoliński*, ale w podobnej myśli poczęte. Jego dawni uczniowie, pamiętający zapewne wykłady o śmierci Sobieskiego, bo ze łzami wychodzili z lekeyi, czy nie znajdują podobieństwa między tem co od niego słyszeli, a tem pojęciem jakie miał już podówczas? Jego przedśmiertne polecenia, żeby na rok 1883 koniecznie w Akademii Umiej. był odezyt o Sobieskiego smutkach; jego upomnienie, żeby z jubileuszowego obchodu wyprawy wiedeńskiej „nie robić cukierka,“ czy się nie zgadzają z tem wczesnem odgadnięciem gorzkich nauk, zawartych w Jana III historii? A nade wszystko rzecz jedna, najistotniejsza, sam rdzeń natury i zasługi Szujskiego, ta miłość Ojczyzny i prawdy razem, która jednej w drugiej szuka, jedną w drugiej kocha, do jednej przez drugą dąży, ona dla nas kolegów niewidzialna i niezrozumiała, ona już w tym chłopcu była. Nie zawsze przez niego samego wtedy dobrze rozumiana, nie była przecie instynktową

ale świadomą siebie. Z natury i z popędu, ale także z zamiaru i z woli, on już wtedy we wszystkim szukał prawdy i jej praktycznego przystosowania. Kiedy marzył o przeszłości — nie dla historii wtedy, tylko dla poczui — on już wyteżał wszystkie siły myśli na to, by w samej głębi duszy narodu dojrzeć powodów upadku. Kiedy drugich lajał, że na wszystko patrzą ze stanowiska, wszystko sądzą pod warunkami piękności, już wtedy czuł, że znajomość siebie, że prawda, że wypływająca z jednej i drugiej nauka, potrzebniejsza jest od wszystkich piękności. Wyrazić tego jeszcze nie umiał, albo środki mylnie wybierał, i dlatego zdawało nam się nieraz żeśmy od niego mądrzejsi; ale rzecz już trzymał i bardzo mocno. Już sobie przyrzekał że jej do śmierci nie puści: a jak niecierpiał wtedy hasła *sztuka dla sztuki*, tak wiedział, że i nauka nie dla nauki, prawda nie dla marnego odkrycia, ale dla przystosowania, dla żywego pożytku, dla podniesienia; wyznawał już wtedy, choć jej może i nie znał, ulubioną swoją i później tylekroć powtarzaną maksymę greckiego tragika: *Biada Wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu*.

Że będzie historykiem, nie przeczuwał, nie domyślał się; że z ciekawości i instynktu przeczytał już wtedy wiele zażytków dawnego polskiego ducha, o których chłopcy jego wieku zwykle nawet nie wiedzą, to zdaje mi się pewnem. A czy te marzenia o dramatach, to natężenie wyobraźni, żeby odgadła gorycze Sobieskiego lub Jana Kazimierza i tajemnicę ich losów, ten zwyczaj poetycznego patrzenia w przeszłość i coraz większe w niej rozmiłowanie się, czy nie przydały się później historykowi, czy mu nie pomogły do tego intuicyjnego odgadywania uczuć i natur ludzi dawno zmarłych, które było jednym ze szczególnych jego darów? Zdaje mi się, że te godziny przemarzone i przemyślane nie były stracone ani dla niego, ani dla nas wszystkich.

W ósmej klasie zajmował się wiele Dantem (umiał już wtedy trochę po włosku), czytał jego i czytał o nim. Tadeusz Wojciechowski, świadek bardzo ważny w tem co się tyczy Szujskiego (zwłaszcza jego lat uniwersyteckich), twierdzi, że na ukształcenie i ustalenie jego duszy i jego pojęć Dante wpłynął bardzo silnie.

Mieliśmy ślad tych jego zajęć w klasie. Sawczyński wpadł na myśl żeby nas wezwać, na ochotnika, do pisania zadań nie zwykłych szkolnych ale większych, których temata mieliśmy sobie wybierać sami, i te zadania miały się głośno czytać i sądzić na lekcyi. Wielki był dla tego zapal i wielki strach: wysokie ambicje, nieśmiałość, głębokie erudycje, wszystko to odezwało się i miotalo nami gwałtownie. Na wybór jak najpiękniejszych tematów sadziliśmy się jeden nad drugiego, a byliśmy przyzwyczajeni do takich, które dla naszego pojęcia i wykształcenia były raczej za wysokie. Kiedy nam pozwolono wybierać, wybieraliśmy co największego i najtrudniejszego. I tak Piliński miał czytać o *Feudalizmie*, ale mu zabrakło odwagi. Wojciechowski o *Wspólnym początku wszystkich mytologij i tych samych w nich pierwiastkach*; Stanisław Żeleński o *Polityce kardynała Richelieu*. Niżej podpisany, czytający właśnie z wielkim zapalem Sismondego *Historję Republik włoskich*, myślał napisać ni mniej ni więcej tylko *Historję Medyceuszów*, a miał do niej parę ślicznych frazesów o obrazach i malarstwie, parę grubijaństw dla Katarzyny Medycejskiej, i wielką sympatyę do Savonaroli. Pomiarkował jednak, że to może nie dosyć, i poprzestał skromnie na przepisanu (nie dosłownie, ale za to bez zrozumienia) rozdziału o *Romeu i Julii* z Gervinusa. Szujski napisał o *Dantem*. O ile pamiętam, byłoto gorsze od jego zwykłych zadań, pełne szczegółów lub uwag z książek wziętych, których nie byłby zdołał objaśnić, a napisane zbyt szumnie. Ale co go w tej postaci Danta i w jego losach zastanawiało i nęciło najbardziej? Oto jeden człowiek, i poeta, w walce ze społeczeństwem, stawiający mu czoło sam jeden, lub za nie się zastawiający i próbujący je ratować. Przypomina mi Wojciechowski, przypominam sobie sam, że najjaśkrawsze światło skupił Szujski na tej chwili z życia Dantego, kiedy wysyłany do Bonifacego VIII, żeby go dla sprawy *Białych* przeciw Walezyszowi pozyskać, mówił: „jeżeli ja „pójdę, to któż tu zostanie? a jeżeli zostanę, to któż tam „pójdzie?“

Wakacyj w tym roku tak dobrze jak weale nie było. Examin miał się odbywać w końcu września lub w początku

października; wpadło się więc tylko na króciutko do domu, a potem wracało się kuć. Cnota była nagrodzona, bo czas ten zeszedł dziwnie miło i dobrze. Rano uczył się każdy sam, popołudniu schodziliśmy się w kilku na *przerabianie*, to matematyki, to historyi, to religii; przerabianie czasem kończyło się na spaniu, częściej na pogadance, zawsze ku wieczorowi na spacerze, na który zbierało się nas im więcej tem lepiej. Szliśmy gdzie Pan Bóg dał, wkoło miasta, za miasto, czasem na Rybaki i łódkami jeździliśmy po Wiśle, raz nawet do Mogily na odpust; kiedy czas był brzydszy, na bilar do jakiejś od Boga i ludzi opuszczonej kawiarni naprzeciwko kolei, bo tam nikt wytropić nas nie mógł. Wracając, zmrokiem albo i wieczorem, mieliśmy passyę śpiewać chórem, a równy passyi strach żeby nas policyant nie zaczepił. I tak codzien to samo, i każdego dnia z większą przyjemnością. Szujski nie dzielił z nami tego życia. Siedział z matką w Kurdwanowie i tam się uczył, a do miasta tylko czasem w potrzebie zaglądał. Robiliśmy wyprawy i do niego. Przed końcem Podgórze zbaczało się na połowę drogi, dalej przecinało się ścieżkami i dochodziło się do wioski, w której były stare duże olchy, strumyk płynący środkiem wygonu, kamienisty prawie skalisty pagórek jak kopiec z figurą na szczycie, duży sad, w sadzie stary lamus; widok tylko na sąsiednie Swoszowice. We dworze mieszkał dzierżawca: właściciele umieścili się w domku ogrodnika, jako-tako na krótki pobyt wporządkowanym. Przywiązany był bardzo do tej wioski, widział ją ładniejszą niż była w istocie, jak zawsze bywa z miejscami, w których się dużo przebywało, w których wszystko jest wspomnieniem albo relikwią, a każda rzecz, każdy widoczek, każde drzewo, na które obcy nie zwróci uwagi, dobremu znajomemu odkrywa jakąś utajoną piękność i wdzięk. Wracało się zawsze z pewnym niepokojem. Była tam po drodze stara opuszczona cegielnia, sama jedna w gołym polu, która nam się wydawała podejrzaną; rozbójnicy nie, ale złodzieje mogli w niej przesiadywać. Nadrabiało się miną naturalnie, ale naprawdę fantazyja wracała dopiero kiedy już dopadło do gościńca i Podgórze.

Examin piśmienny trwał pięć dni; nie obszedł się bez conceptów, które sprawiały emocyę i podnosiły dramatyczność chwili. Naturalnie nie wolno było brać z sobą książek, a jakże

dać sobie rady naprzykład z zadaniem greckiem bez słownika? Trzeba mieć słowniki, gramatyki i wogóle jak najwięcej książek; ale jak zrobić, żeby nas nie złapano? Dnie były prześliczne i ciepłe jak w lipcu; żeby profesorowie nie pomiarkowali że niesiemy książki, wpadliśmy na szczęśliwy pomysł poubierania się w płaszcze i bundy jak największe, i pod ich zasłoną przekradaliśmy kontrabandę. Ale jest opatrność nad waryatami i dziećmi, nikt nas nie złapał i książki szczęśliwie dostały się do klasy. W zadaniach szachrowaliśmy trochę, ale mało, tylko tyle ile koniecznie wymagał koleżeński honor i obowiązek. Ten obyczaj, żeby pytania wysyłać na świat zamówionym przyjaciółom a potem zręcznie wymyślonymi sztukami odbierać gotowe zadania i te odpisywać, wcale znany nie był. Poprostu robiło się tak, że kto był mocny w matematyce, ten pod ławką podsuwał drugim robotę, a trochę odmienną od swojej, „żeby belfry nie poznały.“ Za to miał obietnicę i wszelką pewność, że ktoś drugi zrobi mu zadanie greckie albo łacińskie. Kto nie był pewien że zrobił dobrze, podsuwał cięższemu od siebie do przejrzania i poprawy. Z niemieckiem i polskiem robiło się tak, że kto zaraz po przeczytaniu pytania czuł że potrafi odpowiedzieć, i wiedział dobrze co odpowiedzieć trzeba lub można, ten pisał czempredzej jak mógł najwięcej treści, szkiców, i te puszczał w kurs; a jeżeli swoje prędko skończył, to udawał że jeszcze nad niem siedzi, a pisał dla takich; którym obiecał albo o których przypuszczał że mogą być w kłopotcie.

Examin ustny zaczął się 5go października.

Szujski zdawał nazajutrz, 6go. Świadcetwo jego *mit Auszeichnung*, powtarza ze wszystkich klas, od pierwszej *lobenswerth* albo *musterhaft* z obyczajów, a w jednym roku dodana jest uwaga, że uczeń odznacza się szczególną ścisłością w pełnieniu swoich obowiązków. Z przedmiotów wszystkich świadcetwo jest świetne. Przy matematyce tylko uwaga, że w piśmiennem zadaniu mylnie użył jakiegoś logarytmu; ale z tą jedną pomyłką examini piśmienny jak ustny okazał *sicheres Verständniss*, *genaue Vertrautheit* i potrzebną *Fertigkeit*. Z łaciny świadcetwo tylko bardzo dobre, z greckiego bardzo pochlebne. Pytanie było trudne, chór Sofoklesa (z Edypa

w Kolonos), nieznany ma się rozumieć, odrazu tłómaczyć i objaśniać; odpowiedź dała przecież najlepsze wyobrażenie o znajomości rzeczy i biegłości przysłego tłómacza Eschyla i Aristofanesa. Wszystkich pytań i cenzur wyliczać tu niepodobna; niepotrzeba nawet, bo nie napotyka się w nich nie szczególnie charakterystycznego. Dla ciekawości tylko zapisać warto, jakie przysły historyk miał przy examinie dojrzałości pytania z historii. W świadectwie zanotowane są trzy: o wojnie Peloponezkiej, o rozwoju hierarchie kościelnej w wiekach średnich, i o drugiej rewolucyi angielskiej. O tem wszystkim umiał dać *eine genaue Auskunft*.

Examin kończył się późno wieczorem; najpierwszy nie wychodził nigdy przed ósmą, ostatni z czterech czy pięciu — nigdy więcej naraz nie siadało — czasem i po dziesiątej. O której wrócił Szujski, nie wiem, ale z pewnością po całodziennym examinie musiał być bardzo zmęczony. Czy poszedł odpocząć? przejść się, albo zjeść, albo z drugimi cieszyć się że już zdał, albo spać? nie. Nazajutrz przypadła kolej na Wojciechowskiego i Müllera; wziął ich obu do siebie i przez całą noc — matka była w Kurdwanowie — pomimo zmęczenia, powtarzał z nimi pytania, których się najbardziej bali.

To był ostatni dzień lat szkolnych Szujskiego. Z dziwnem uczuciem wychodzi student z gimnazyum. Już po examinie, już wolny, już będzie miał na całe życie spokój od tego, co go nudziło albo koreciło; już nigdy dzwonka, nigdy tablicy, kredy, matematyki ani fizyki, nigdy gotyckiego *E*: a żelazne drzwi Nowodworskiego gmachu otwierają się na świat przestrony i jasny, po którym wolno chodzić z laską i cygarem, na którym nie trzeba kuć codzien aoristów lub logarytmów, ale można myśleć o czem się podoba, czytać co się zechce, uczyć się tego do czego się ma skłonność. Uczucie rozkoszne, upajające. Ale przeszedłszy za te wrota, świeży *abiturient* obraca się za siebie i rzuca na nie spojrzenie smutne, jakoś mu tęskno. Te drzwi zamknęły się na cały okres jego życia skończony i niepowrotny; pierwszy raz czuje, że się coś dla niego kończy, że co się skończyło to nie może wrócić. Doświadczył już tego samego, kiedy z domu wychodząc do szkoły rozstawał się ze swoim dzieciństwem, ale wtedy był za mały: płakał tylko i tęsknił, zastanawiać

się nie umiał. Co go w tym nieznanym świecie czeka? Złote sny młodości, w których łączy się frak i mundur, bal i wojna, zabawa i sława, poezya, miłość, oswobodzenie Ojczyzny, a gdzieś daleko w najpiękniejszym końcowym obrazie śmierć jakaś bohatera i wzniosła, ale nie rychła, — te sny zasłaniają przed nim przyszłość, która go czeka, rzeczywistość jego życia. Ale choć się rwie do tego co będzie, zaczyna już żałować tego co było. W tem swobodnem, złotem, uniwersyteckiem życiu, to już nie tosamo. Ten, z którym przez kilka lat było się razem po pięć godzin dziennie, zostanie medykiem albo teologiem, spotykać się będziemy czasem, przypadkiem, odstaniemy od siebie; potworzą się jakieś nowe związki, stosunki, przyjaźni; w miejscu wielkiego wspólnego interesu klasy będzie jakiś interes nieznan, a kto wie co tam i złego może nas czekać? Ukończony gimnazjalista choć rad i dumny ze swojej dojrzałości, stoi niepewny i jak Hamlet pyta czy nie lepiej

bear those ills we have
than fly to others thath we know not of.

To co wczoraj było nieznośnem, dziś kiedy już stało się wspomnieniem, przybiera jakiś kolor smętny; z przyjemnością spotyka się profesora, kiedy niedawno widok „belfra“ był nie miły, a o Janie i Bartłomieju myśli się z rozczuleniem jak o starych przyjaciółach. Wszystko to przeszło. Może gdzieś indziej rozwinie się człowiek na kwiat, może dojrzeje na owoc, ale pączkiem być przestał. Ten kwiat wyjęty z grządki, wsadzony osobno albo umiejętnie z innymi w bukiet włożony, może będzie wyglądał świetniej, będzie osobnym indywidualnym kwiatem, którego kształt i kolor łatwiej przez to zwróci na siebie oczy; na grządce rosną wszystkie razem, żaden z osobna rozpoznać się nie daje, ale ta mieszanina różnych, a razem i równo rozwijających się do słońca ma swój wdzięk. Teraz wykopali człowieka z grządki w którą wrósł; będzie musiał przyjąć się gdzieś na innym gruncie, rozrastać się i rozkwitać — albo czasem i uschnąć...

W życiu Szujskiego te dwa ostatnie lata gimnazyum w Krakowie spędzone, stracone nie były, sądzą owszem, że wyszły mu na dobre. Miał profesorów zdolnych, którzy do rozwinięcia jego umysłu przyczynili się bardzo; u kolegów znalazł głowy otwarte, żywe, ciekawe, gotowe i pochopne do myślenia, łatwo przystępne wrażeniom. Wzajemne działanie jednych na drugich było silne i zbawienne, a dla niego o tyle jeszcze potrzebniejsze, że w domu był zbyt samotny i zamknięty, że się nadto sam i nadto smutno rozwijał. Ta samotność i przestawanie na sobie samym jak niewątpliwie przyczyniły się do wielkiej, aż zbyt znacznej w jego wieku samodzielności umysłu i powagi charakteru, tak mogły mu grozić oderwaniem od świata, zasklepieniem się w sobie, nieznaną jakością życia, może wkońcu niezdolnością do życia albo zdziwaczeniem. Klasa była z pewnością promieniem słońca, prądem świeżego powietrza, jedyną przytem rozrywką, jedynym pierwiastkiem wesołości w jego ówczesnem życiu. Zawiązał w niej stosunki i przyjaźni, które w dalszem życiu znaczyły wiele, a wytrwały przez całe. Jaki w niej zebrał zasób wrażeń i uczuć, choćby poetycznych tylko, to w równoczesnych jego wierszykach może się rozpoznać nie daje, ale w niewiele późniejszych wyraźnie. Za tychto czasów, na tych przechadzkach, roily się w studenckiej głowie te rozmyślania, w chłopięcej wyobraźni stawały te wspomnienia, sercem ścisłały te uczucia, z których później złożył się naprzykład *Sługa Grobów*, jeszcze później jego dramata; rozrastały się i krzewiły niewidzialnie w duszy pierwiastki i siły tego żywota, którego celem, hasłem, treścią, było to co dał za tytuł jednej ze swoich prac najgłębszych: *Odrodzenie i Reformacja*: tylko prawdziwe odrodzenie, i reformacja prawdziwa.

Te pierwiastki i warunki jego późniejszego zawodu i posłannictwa czem już w tych latach dowiodły, że w nim były?

Naprzód rzeczywistością i skutecznością nauki. Rzetelność, wstręt do pozoru, do fałszu, do udania, były jednym z głównych jego znamion jako uczonego i jako człowieka; w tych latach już je miał. Inni uczyli się żeby dobrze przejść klasę, a czytali przez ciekawość i chęć wrażeń; on chciał naprawdę umieć, wiedzieć, co wiedział zatrzymać. Wychodził z gimnazyum nietylko nad wiek swój wykształ-

cony, ale z pewną i stałą podstawą nauki; a że nie na to się uczył, by na wolności zaniedbać i zapomnieć, dowodzą jego dalsze historyczne studia, jego przekłady poetów greckich. Ze wszystkich, którzyśmy z nim razem ze szkoły wychodzili, on umiał najwięcej, najgruntowniej, najrzetelniej.

Drugą jego cechą była rozległość wiedzy, pragnienie i potrzeba jak najszerszego jej zakresu. W tych latach, nie-doświadczony, raczej wpadał w drugą ostateczność i obejmował za wiele: ale tę potrzebę czuł, tę szlachetną dążność miał, a choć zawiele naraz pochłaniał, to ze wszystkiego wiele mu zostało. Została znajomość języka włoskiego i angielskiego, których się sam niewiedzieć jak nauczył; gruntowne wykształcenie filologiczne na podstawie gramatyki języków klasycznych, a na tem oparta została znajomość prawie całej poetycznej literatury świata; został grunt estetycznego wykształcenia niezupełnie jeszcze wykończonego, ale bardzo pewnego i trwałego; została ogólna znajomość i sąd zapewne instynktowy, ale często trafny, różnych filozoficznych systemów; wreszcie znajomość ogólna historii, usiłowanie jej zrozumienia, znajomość dokładniejsza niektórych jej części, ciekawość, namiętność i zdolność odgadywania jej postaci, dająca się podówczas widzieć na takich, które mu były szczególnie sympatyczne. A jeżeli zakresem, zwłaszcza rzetelnością swego wykształcenia przechodził innych we wszystkim, tedy szczególnie w rzeczach polskich. My umieliśmy historję polską z *Wieczorów pod Lipą* albo z opowiadań Lelewela dla synowców, albo z domowych jakich skryptyków; on jej już wtedy szukał w starych współczesnych książkach, uczył się jej z Kazań Skargi i z dzieł Reja, z kronikarzy i z poetów. Bez ładu i systemu chwycił i czytał co mu wpadło pod rękę, ale zaczynał już przypatrywać się przeszłości własnymi oczyma, jej samej pytać jaką była. I już z tym zamiarem, z tem żądaniem, żeby się od niej dowiedzieć dłaczego tak źle się skończyła, jakim sposobem naprawioną być może.

I to trzeci, najważniejszy rys charakterystyczny późniejszego dojrzałego Szujskiego. On już wtedy wiedział, że z nami źle: że nie zewnętrzna przemoc tylko, ale wewnętrzna niemoc trzyma ten naród w upadku, i pytał co go uleczy. Inni wtedy

zaczynali wierzyć, później dopiero uwierzyli naprawdę w Mickiewicza i Krasińskiego, w Królestwo Boże na ziemi, we „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie,“ — on, rzecz nie do uwierzenia, był już to pojęcie przeżył i z niego wyrósł. Śmiałyśmy się kiedy w siódmej klasie mówił nam, że poezja uratowała go od racjonalizmu, a to była prawda: niezupełna może, bo nie racjonalizm mu wtedy groził, tylko częste u nas niedowiarstwo z patryotyzmu, ale je już był przeżył, zwyciężył.

Powiedziałem sobie: wiedzieć muszę,
 Czemu słońce na niebie się pali,
 Czemu człowiek ma tak głupią duszę,
 Czemu djabli Polskę rozszarpali.
 Powiedziałem sobie: trza się uczyć,
 Trzeba badać, a nie trzeba wierzyć,
 Aby Bogu staremu dokuczyć,
 Kiedy śmiał się Polsce sprzeniewierzyć.
 Powiedziałem sobie: nie popłaca-
 Znać kościelne dawne posłuszeństwo,
 Kiedy dumna ich wyniosła praca,
 A nam tylko zostaje męczeństwo.
 Ale jak się przejmę ich doktryną,
 Jak im zbadam nowe wynalazki:
 Zjedzą djabła czy mi się wywiną,
 W własne swoje wpadną samotrzaski.
 Takie mając szlacheckie zamiary,
 Do kościoła chodzić zaprzestałem.....

Oto początek, jak u wszystkich, od największych jak Mickiewicz począwszy: dokuczyć Panu Bogu, który się Polsce sprzeniewierzył. Ale co nie jest takie jak u wszystkich, to zrozumienie że to źle, to ironia na siebie samego, i na wszystkich co zrzucają „kościelne posłuszeństwo“. To nie koniec; i nie fikcyja, to szczerze z duszy pisane, z rzeczywistości, z historii wzięte. A po takim początku cóż było dalej? Dalej:

Dowiedziałem się, że w Katechizmie,
 W Poganizmie, a i w Sabeizmie,
 W Hellenizmie, a i w Światowidzie
 Trzeba widzieć znaki, jak duch idzie
 Ciągłe naprzód w kształt Żyda Wędrowca.
 Że to wszystko przechodząca z wiekiem
 Pierwsza faza ludzkości rozwoju,
 Że Pan Jezus był sobie człowiekiem,
 Tylko chodził w Pana Boga stroju;
 Że nareszcie ten duch filtrowany
 Przez alembik wątpień i badania,
 Niezależny i niepowiązany,
 Pana Boga i świat poodstania...
 Dowiedziałem się, że człek jest jedynie
 Do samowiedzy podniesionem błotem
 I ma blizkiego kuzynka w roślinie,
 A jeszcze bliżej spokrewnion jest z kotem.
 Że w dziejach świata konieczność zasiada,
 A co przeciwne musi schodzić z drogi;
 Że hydra świata wszystkie ludy zjada,
 Że duch wszechwiedzy będzie wszystkie rody
 W kosmopolitów wieniec razem swatał
 I wszystko spędzi do jedynej trzody...
 Wtedy się wiele na to oburzyłem
 I rzucił księgi mędreów na kominek,
 I znów do Boga szczerze się modliłem,
 Żeby mi grzeszny przebaczył uczynek...

Czy to Szujski z lat męzkich, w ogniu prób bolesnych
 jak złoto wyczyszczony, doświadczeniem bogaty, wielką mą-
 drością pokorny, po długiej wędrowce ze wszelkiem złem
 obeznany, wszystkiemu co zabójcze na zabój wypowiada
 wojnę, drwi z pokrewieństwa z kotem, pluje na kosmopoli-
 tyczne braterstwo, i pozór mądrości zdziera z nagiego głup-
 stwa tych, co mówią że Pan Jezus był za Boga przebrany
 człowiekiem? Nie; to Szujski który ledwo żyć zaczyna, który
 lat ośmnastu nie skończył, który siedzi na ławce siódmej
 klasy, a już to wszystko zna, wie, już przeniknął fałsz i
 niebezpieczeństwo tych religijnych, naukowych i politycznych

szalbierstw, zna ich zabójczą nicłość, i szatańską zdolność zabijania, i tak o nich mówi, w tym duchu, w tej myśli, w tem przekonaniu i w tej wierze, jak o nich mówił w swych latach ostatnich. Ten wiersz, pod tytułem *Confessione*, pisany był w lutym r. 1853, kiedy z pewnością mało kto, nie z dzieci jak my, ale ze starszych mało kto w Polsce, nadziejami kołysanej, a na złudzenia liberalnych hasel łatwowiernej, bo wierzącej naiwnie że kto o wolności mówi, ten sprawiedliwość rozumie i jej pragnie: mało kto w Polsce wiedział, że się zanosi na materializmy i kosmopolityzmy, które swojem technieniem zatruć, swojemi uściskami zdusić mogą patryotyzmy. Dziś się dopiero widzi z tych zapomnianych, przez niego nigdy nie ogłoszonych śladów jego myśli; jaki on już wtedy był mądry. Czy zupełnie sam przez się, albo z pomocą szczęśliwego jakiego wpływu tak patrzył i sądził trzeźwo i śmiało, dojść nie umiem, a objaśnić mógłby on sam tylko. Dziś poznaje się tylko lub zgaduje z tego wiersza rzeczy, które on znał, czytał, sądził: albo wiedząc zkadinał że wiele zatapiał się w czytaniu Pisma Śgo, można się domyślać, że ono swój wpływ także wywarło. W każdym razie chłopiec w tym wieku z tą dojrzałością myśli, a raczej intuicyjną jej przenikliwością, bo dojrzałości skończoną być przecie nie mogło, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. I jeszcze bardziej niż dowodzą słowa powyższe. Polskiego serca, miłości Ojczyzny świętym instynktem odgadnąć nieprzyjaciela i zbrojce, to trudne ale zrozumiałe. Ale w najwyższej i najczystszej miłości Ojczyzny poznać złudzenie i szkodę, i dla tej miłości przeciw złudzeniu wystąpić: — ale takiemu dziecku uczuć, zrozumieć, powiedzieć, że mylą się i na błędne wiodą drogi najwyżsi, najlepsi, genialni: — studentowi odkryć fałsz w Mickiewiczu i Krasińskim, i fałszu tego dowieść, pokazać go palcem, to dopiero dziwne! Kiedy tak oburzał się na pierwszych, polską mową ktoś nań zawołał:

I jał mi prawić coś o trzecim świecie,
Wiekui harmonii — poselstwie Polonii,
O Chryście Panie i o Paraklesie. —

Ten głos polski to zapewne *Ojczyzna* Nasz Cieszkowskiego,

który wiem że już wtedy był czytał; może Krasińskiego *Przedświt* lub *Psalmy*, ale i temu nie uwierzył, poznał pod wzniosłym pozorem pokusę i nową nieprawdę,

I zwyciężyła Matka Boska przecie.

Czy już raz na zawsze? czy jak raz stanął w równowadze, tak trwał w niej, odtąd, od siódmej klasy już do końca, niezachwiany i niewzruszony i nigdy się już od tej chwili nie zmienił? Oczywiście nie: równowagi zupełnej i doskonałej niema w tem życiu, a jak przyływ i odpływ na morzu, tak w duszy ludzkiej nie ustaje nigdy walka z własnymi myślami. Cóż dopiero w duszy wrażliwszej i burzliwszej od innych. Przez czas jego młodości walka ta sama powtórzyła się jeszcze, wracała silniejsza i gwałtowniejsza, zanim ustala stanowczo, a innym ustąpiła miejsca. Ale ten wiersz dowodzi, że w tej pierwszej młodości on ją już przeżył, wyszedł z niej zwycięzko, i tak odetchnął silnie i spokojnie jak Farys, kiedy po skończonych jednych nabierał sił do gorszych zapasów. Dowodzi to też także, i wyraźnie, że on już w szkole nosił w duszy wszystkie pierwiastki swoich mężkich przekonań, działań, i zasług. Jak sobie wtedy te działania i zasługi wyobrażał? Nie mówił o tem, ale z jego wierszy widać że wysoko: ten pociąg do wielkich, samotnych, i prześladowanych: zapął do Danta, częste wzmianki o Prometeuszu, to wskazówki że mniemał się przeznaczonym do czegoś trudnego i bolesnego. W tem się nie mylił: przeczucia się sprawdziły zupełnie, z tą różnicą, że wtedy widział przed sobą przyszłość, zawód, zasługę, tylko poety, a dana mu była szersza, więcej wszechstronna, której w tych latach nie czuł w sobie i nie znał.

Jego służba była już wtedy wskazana, a on nie namaszczony jeszcze, ale już wybrany na to co sam niewiele później *Sługą Grobów* nazwał; na to, by poznał co Krasiński mówi, że „w tych grobach jest życie,“ w nie światło wniósł, a z nich tę iskrę życia wy dobył.

We mnie ogień zażęgl się miłości

Do tej wielkiej i świętej przeszłości;

Okiem łzawem po trumnach wodziłem,
 W nieboszczyków się twarze patrzyłem
 I u każdej pobożnie klękałem.

To początek, pierwsza próba, nowicyat tego powołania w dziecinnych jeszcze i w szkolnych właśnie latach odbyty. Po nim przyszła wyższa, silniejsza łaska powołania:

Czułem, jako z każdym piersi dźwiękiem
 Tysiąc bólów leci we mnie z jękiem,
 Aż sam nie wiem, czyli pierś pomieści
 Tyle cierpień i tyle boleści:
 Czy nie pęknie jako płaszcz u dzwona
 Takim krwawem sercem uderzona.
 Wszystkie straszne cierpienia i bóle
 Rozgościły się w duszy jak króle,
 I ja czułem jak się schodzą we mnie
 Wszystkie rzeznie i więzienia ciemnie,
 Wszystkie zdrady i zepsucia węże,
 Wszystkie zmarłe i żalobne męże,
 Wszystkie blaski minionej już chwały,
 Wszystkie straszność z pod trumny zbutwiałej,
 Krzyki matek i dzieci kwilenia,
 Rozpacz starców i mężów cierpienia,
 Krew Humania i Pragi pożary,
 Dźwięk łańcuchów i sybirskie kary,
 Jęk wygnańców po cudzych granicach
 I Kościuszki głos w Maciejowicach.....

To przygotowanie do tego życia i jego tajemnica. A potem życie samo.

Ale krzyże dźwigałem na barki
 Jakby drzewa patryarszej arki;
 Alem, jako on Franciszek święty
 Ręce moje wyciągał wygięty,
 By mnie rany mej ziemi bolały,
 Bym jej pomógł do cierpienia chwały.

To wszystko prawda: takie były początki, takie przygotowania do życia, i taki był żywot. Ale też żywota koniec i nauka takie same:

Ja już idę: i was tu zostawię,
Byście o tych duchów znali sprawie.
A gdy Bóg da i Pańscy anieli,
Sami, gdy potrzeba, ich ujrzeli;
I tym grobom tak stali na stróży,
Aby naród był z was kiedyś duży,
Wierny Bogu, i dobry na bliźnie.

St. Tarnowski.

W SPRAWACH SZKÓŁ I NAUCZYCIELI LUDOWYCH

list nauczyciela¹⁾.

Szanowna Redakcyo!

Wiele się w kraju o szkołach ludowych, i o nas, ich nauczycielach, mówi, radzi albo pisze. Doświadczenie, praktyka, dają człowiekowi bliską znajomość wielu okoliczności, które oddalonym widzieć i czuć się nie dają. Ztąd i śmiałość odezwania się o tych sprawach, i nadzieja, że choć to uwagi o drobnych nieraz szczegółach, przecie przydać się mogą, choćby do rozważenia i zastanowienia. Spisuję je bez wywodów i opracowania, jak mi je codzienne a już wieloletnie doświadczenie nasuwa.

Od pewnego czasu daje się czuć pewne zniechęcenie do szkoły ludowej. Nie mówię tu o ludności warstw niższych, gdyż ta przymuszana częstokroć grzywnami lub aresztem do posyłania dzieci do szkoły, widzi w niej najczęściej nie dobrodziejstwo lecz wroga; ale wspomnę o zarzutach czynionych tejże naprzód przez nauczycieli szkół średnich. Ci nam

¹⁾ Autor zostawia nam wolność zrobienia takiego użytku z tego listu, jaki za najwłaściwszy uznamy. Sądzymy, że najwłaściwszem będzie podać go do wiadomości publicznej, a nie wątpimy, że czytelnicy nasi niemniej od nas za godne uwagi uznają spostrzeżenia oparte na doświadczeniu, na znajomości stosunków szkolnych i na widocznej o dobro szkół i kraju gorliwości. (Przyp. Red.).

zarzucają, że dziatwa po ukończeniu szkoły ludowej nie jest dostatecznie przygotowaną pod względem ortografii, gramatyki, języka niemieckiego, a co ważniejsza, że jest nieporadną, brak jej samodzielności, przyzwyczajenia do pracy, że nie umie nawet nauczyć się na pamięć. Zarzuty te niestety są po największej części słuszne. W czym leży przyczyna złego?

1. W zawczesnem posylaniu dzieci do szkoły; w tem, że dziecko fizycznie i moralnie nie dość jeszcze rozwinięte, powinnyby później być zmuszonym do tego natężenia, jakim dla niego jest szkoła. My tymczasem coraz wcześniej zaczynamy kształcić ducha kosztem ciała; przepelnianie klas coraz popospolitsze, a my w duszne powietrze pchamy nieraz dziecko, które zupełnych sześciu lat nie skończyło.

2. W niedokładnem określeniu w planach naukowych ilości mającego się wyczerpnąć materiału z poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza takich, jak nauki przyrodnicze, historia, geometrya, geografia. Bywa to bowiem nierzadką rzeczą, że nauczyciel, amator np. geografii, tak głęboko zatapia się w przedmiot, że każe uczniom kreślić na siatkach najnieznaczniejsze dopływy rzek, czego niejednen akademik nie zna! Inny znów, amator historii naturalnej, traktuje tę gałąź nauki nieraz obszerniej, niż się to dzieje w szkołach średnich.

3. Niekonsekwentny wymiar plac, wskutek czego nauczyciele po miasteczkach powiatowych stoją pod względem materialnym znacznie gorzej od swych kolegów na wsi; następstwem czego jest ta okoliczność, że szkoły czteroklasowe mają przeważnie mierne siły.

4. Nieodpowiedni nadzór. I tak uczynilem po wielokroć to spostrzeżenie, że pp. inspektorowie szkół, przybywszy na wizytacyę przysłuchują się wykładowi nauczyciela z poszczególnych przedmiotów, uważają bacznie na sposób udzielania nauki, na pytania uczniom zadawane, na zachowanie się nauczyciela w czasie wykładu, przyczem wszelkie usterki przez tegoż popełnione skrzętnie notują, w celu wytknięcia mu takowych. Ma to na celu w pierwszym roku poznać uzdolnienie nauczyciela, a w następnych latach przekonać się, o ile tenże zastosował się do poczynionych mu poprze-

dnio uwag. Postępowanie to tak logiczne, że tu wszelki, choćby najmniejszy zarzut, byłby niesłusznym. Jest ono wszakże niedostateczne. Przy takim sposobie inspekcji szkół może się często przytrafić, że niejeden nauczyciel niedbale spełniający swoje obowiązki, ale sprytny i przytomnego umysłu, zjedna sobie u przełożonego dobrą opinię, podczas gdy pracowity ale nieśmiały nie potrafi uzyskać uznania. Poznaje się więc tylko zdolność, ale nie pilność nauczyciela, a wszakżeż ta ostatnia jest ważniejszą. Aby poznać pilność nauczyciela, konieczną jest rzeczą wglądać, co też dzieci z poszczególnych przedmiotów naukowych umieją; a wtedy pokaze się nieraz, iż pozorna wielkość zmaleje, a cicha praca na jaw wyjdzie. Nadmienić tu jednak wypada, że taka jedynie do celu prowadząca wizytacja szkół wymagałaby dużo czasu, którym obecnie inspektor szkolny nie rozporządza. Musi on spieszyć się, gdyż w domu czekają na niego stosy zaległości, nadesłanych w jego nieobecności z zarządów szkół, z Rad szkolnych miejscowych, powiatowych itd. Dzieje się bowiem u nas rzecz gdzieindziej zapewne niepraktykowana, że w nieobecności inspektora nikt nadesłanych tak zwanych *kawałków* nie załatwia, choć nie są pedagogicznej treści. Dopóki więc inspektor szkolny będzie stanowił całą radę szkolną okręgową, dopóki będzie jednoczył w jednej osobie: pedagoga, komisarza powiatowego, kasowego urzędnika, kawałek sekretarza starostwa, a często i dyurnistę, tak długo nadzór szkół chromać będzie.

5. Dużo złego szukać także należy w niewłaściwym zrozumieniu ze strony niektórych nauczycieli życzenia Rady szkolnej krajowej, aby się dziecko wykładanych przedmiotów w szkole nauczyło. Sądzę, iż Rada szkolna krajowa, wydając powyższe polecenie, nie wykluczała zupełnie domowej pracy ucznia, lecz chciała jedynie położyć tamę dawniejszemu mechanizmowi w nauczaniu, który polegał na tem, że uczeń uczył się jedynie w domu, w szkole zaś recytował zadaną i wyuczoną lekcję. Są przecież przedmioty, jak: język niemiecki, ćwiczenia pamięciowe, ortografia, których tylko w części można się w szkole nauczyć, muszą być zatem w części traktowane jako praca domowa. Takiemu nauczycielowi, któryby nie zatrudniał ucznia (w miarę) pracą domową w tych

przedmiotach, gdzie tego konieczna potrzeba wymaga, któryby zapomocą odpowiednich środków nie wpływał na ściśle wypełnianie obowiązków ze strony dzieci w czasie pozaszkolnym, odmawiam tytułu wychowawcy. Wszakżeż jednym z głównych celów w szkole ludowej, jest wprawiać dzieci do pracy, bo to podstawa przyszłego ich szczęścia. Praca zaś wyłącznie szkolna jest niedostateczna. Nie ten bowiem prawdziwie pilny, który pracuje dlatego, że nauczyciel na niego patrzy, lecz ten, który spełnia swe obowiązki wtedy, gdy przelożony nad nim nie czuwa.

6. Ubolewania godną jest jednakże ta okoliczność, że tegoczesny duch czasu przeszkadza nauczycielowi w sumiennym pełnieniu swych obowiązków. Zdarza się bowiem dosyć często i to przeważnie u inteligencji, że choć nauczyciel niewiele zada uczniowi na domową pracę, ten przychodzi do szkoły nieprzygotowany, a gdy wychowawca użyje choćby najniewinniejszego środka do zmuszenia opieszałego, by wykonywał swój obowiązek, wielu niestety z rodziców widzi w tem nie środek pedagogiczny a konieczny, lecz prześladowanie dziecka. Ztąd nieraz przykre wymówki, zabieranie do domu dzieci zostawionych za pokutę w szkole po skończonych lekcjach, przez co nauczyciel traci powagę, lenistwo tryumfuje, wskutek czego w końcu roku nowe kwasy, że uczeń mało skorzystał z nauki. Dalszą więc przeszkodą, dla której dzieci w szkole z nauki niewiele korzystają, jest u wielu błędne ich wychowanie. Zaiste, z postępem cywilizacji należałoby się czegoś więcej spodziewać nad niedorzeczne pobłażanie dzieciom i niechęć do nauczyciela za to, że od nich pilności i posłuszeństwa wymaga. Wobec tego ducha czasu niema w szkole tegoczesnej karności, więc i rezultat naszej pracy nie jest takim, jakim być powinien. Jesteśmy dosyć liczną armią, ale z powiązanemi rękoma. Rodzice żądają od nas, ażebyśmy jak najwięcej ich dzieci nauczyli, ale sami nieraz pozbawiają nas środków do zmuszenia opieszalech do pracy; życzą sobie, żeby ich dzieci wyrosły na ludzi o pięknym charakterze, lecz przez zbytnią pobłażliwość i fałszywą miłość usuwają wszystko, co do wyrobienia charakteru prowadzi. Znam nauczyciela gorliwego, postępującego z taktem, który raz w roku pozostawił po lek-

eyach na pół godziny w szkole małego chłopca, aby się douczył kilku wyrazów niemieckich, których miał się być w domu nauczyć. Opiekun tegoż, nie chłop, ani mieszczanin, ale z „intelligeneyi,“ dowiedziawszy się od innych dzieci o wyż wspomnianej karze, wpada z furją do klasy, nie pyta o przyczynę kary, lecz robi burdę i tak się zachowuje, że sprawa kwalifikowała się przed kratki sądowe. Jeżeli człowiek lepszego położenia i wychowania tak się zachował wobec objawu sumienności ze strony nauczyciela, cóż ten dopiero nie ma do zniesienia od prostactwa!

A teraz przejdźmy do czegoś ważniejszego. Przygotowanie bowiem dzieci do szkół średnich, to poboczny cel szkoły ludowej; główny zaś, przez oświecanie umysłu uzaćnić i umoralnić przyszłych obywateli, a zarazem zapomocą tego środka podnieść byt materyalny ludu; oto cel nasz, hasło nasze, zwłaszcza w szkole wiejskiej.

Pytanie, czy wiele na tem polu dziaćano. Zarzucają nam, że bardzo mało. I tak jest bezsprzecznie. Któż tu winien? Zapewne nauczyciele, którzy podnoszą głosy, że biedni, żeby im pensye podnieść, a owoce ich pracy tak nieznaczne. Tu jednak z czystem sumieniem mogę zapewnić, że przeważnie w tym względzie nie na nas cięży wina. Świadomi jesteśmy ztego, nie brak nam dobrych chęci do skutecznego sprawowania obowiązków nauczycielskich, ale natrafiamy w naszej pracy na przeszkody zanadto ciężkie na nasze siły. Główną naszą przeszkodą w pracy skutecznej jest brak poczucia obowiązku, uwagi, opieki w klasach oświeceniowych. Minęły czasy, kiedyto ubrać się w strój narodowy, nucić patryotyczne pieśni i prawie mowy przy każdej sposobności oznaczało patryotyzm. Dziś ten prawdziwym patryotą, kto duszą i ciałem dąży do podźwignienia społeczeństwa z upadku moralnego i materyalnego. Nauczyciel zaś jest narzędziem do tego szczytnego celu, a jako takie szanować i wspierać go należy, choć to narzędzie biedne, a nieraz w wyszarżanej kapocie. A czy się tak powszechnie dzieje? — Pomówię w tym względzie cokolwiek o naszym duchowieństwie. Jako prawy syn Kościoła (czego mi, kto mnie zna, nie zaprzeczy), szanuję wysoko duchowieństwo, ale równocześnie z bólem serca muszę wyznać, że nauczyciel ludowy ma obecnie za-

mało wsparcia ze strony duchowieństwa. Ten objaw smutny, ale prawdziwy. Wielu zachowuje się wobec szkoły obojętnie, wielu niechętnie nawet, a tylko mniejsza część kapłanów spieszy dla młodego i niedoświadczonego nauczyciela z radą i opieką, co w imię prawdziwego patriotyzmu i chrześcijańskiego obowiązku powinno być rzeczą powszechną. Gdyby to, co mówię, było nieprawdą, czyżby byli przeważnie chłopci nieumiejący czytać i pisać przewodniczącymi Rad szkolnych miejscowych! Tu główne źródło złego; nauczyciel najlepszy bez pomocy księdza nie korzystnego w gminie nie zdziała. Niechaj duchowieństwo będzie dla nas łaskawsze, niech po ojcowsku osłania nas swą opieką, obdziela przyjacielską radą, a działalność nasza będzie z pewnością obfitszą w dobre skutki. My potrafimy ocenić ofiary w imię prawdziwego patriotyzmu dla nas poniesione, bo nie każdy z nas przecie został nauczycielem jedynie dla kawałka chleba.

Również zdarza się czasem, że nauczyciel mało ma poparcia ze strony władzy politycznej, której przecież dla dobra ogółu zależeć na tem powinno, aby się prostak nie znęcał nad nauczycielem, aby się nie zaprawiał w zuchwalstwie i nie przyzwyczaił się do pomiatania każdym, kto w surducie. Inaczej wychowamy sami plagę drugiej połowy XIX wieku: nihilistów. Słowa moje niech potwierdzi fakt następujący. Pewnemu kierownikowi wpuszczono furtką do ogrodu szkolnego nierogaciznę, która tamże zniszczyła do szczytu ogródek warzywny i poczyniła też znaczną szkodę w kwiatach. Na wniesioną skargę do zwierzchności gminnej (na wsi) wysłano zaprzysięgłych taksatorów i ci oszacowali szkodę na 7 złr. A że u nas po miasteczkach mnóstwo pisarzów pokątnych, którzy piszą rekursa i za 10 c., więc szkodnik za tak małą kwotę postanowił szukać szczęścia; jakoż podaje on rekurs do starostwa przeciw wyrokowi zwierzchności gminnej. Tam sprawa leżała dziewięć miesięcy, poczem nauczyciela odesłano na drogę prawa cywilnego, podczas gdy tryumfujący za 10 c. szkodnik wypasł świłmi do reszty to w jesieni, co z wiosny ocalało!!

Ale przestańmy drugim czynić zarzutów, a wglądnijmy raczej w samych siebie, czy wolni jesteśmy od winy? — Jest wiele rzeczy, które na naszą niekorzyść przemawiają. Przejdźmy

się tylko na wiosnę po powiecie, a z przykrością spostrzeżemy smutne zjawisko, że ogrody szkolne, o zaprowadzenie których władze tyle zabiegów czynią, świecą po największej części wstrętnymi pustkami. Zamiast szkółek z drzewkami, zamiast krzewów owocowych i dzikich, widzimy tam najczęściej ziemniaki i mimowolnie zdaje się nam, jakobyśmy się znajdowali w Irlandyi. Tutaj widocznie zdaje się być wina po stronie nauczyciela. A ja powiadam w obronie prawdy, że i to niezawsze. W miejscowościach bowiem, gdzie grunt z natury dobry, zwłaszcza spodni pokład ziemi, tam powinien założyć nauczyciel szkólkę drzew owocowych, a następnie sad; mają się tam znajdować wszelkie krzewy owocowe, a kolo ogrodzenia i dzikie, żeby się miało ptactwo gdzie gnieździć, żeby i śpiewało i pomagało mu zarazem w tępieniu owadów szkodliwych, tych wrogów drzew owocowych i ogrodów warzywnych. Mają tam być nadto hodowane różne warzywa, a przed budynkiem szkolnym kwiaty; będzie bowiem nauczyciel miał z tem wszystkim miłą rozrywkę w czasie pozaszkolnym, a dziecko widząc w szkole miejsce miłe, bez przymusu pospieszy tam, gdzie obok nauki znajdzie jakiś dla siebie powab. Dzielnego nauczyciela poznać łatwo i po tem, że ma w ogrodzie szkolnym kompostarnię. Wszak przy szkole znajdzie się dosyć materyału do założenia tejże, mianowicie: drobne trzaski z zimy, wymiotki z klas, wszelkie chwasty z plewienia grzęd, później, jak już sad powstanie, liście. Jeżeli zaś tego wszystkiego tam niema, jeno ziemniaki, wina to nauczyciela i należy go do odpowiedzialności pociągnąć. Ale dzieje się najczęściej, że szkołę stawiają na wsi na jakimś nieużytku. Tam też niepodobna żądać od nauczyciela, aby za własny szczupły grosz zaprowadził sad. I w najgorszym gruncie będą rosnać drzewka owocowe, ale to się nie stanie bez znacznych kosztów. Trzeba tam nawieżć dobrej ziemi, następnie ogród zregulować, na wierzch znów dać dobrej ziemi i dopiero przystąpić do sadzenia drzew. Inaczej szkoda byłoby pracy i nakładu. Ale taka melioracya kosztuje wiele, i trudno żądać od nauczyciela, aby on włożył w nieswoją własność naraz 100 do 200 złr., tem bardziej, że on prawie nigdy taką olbrzymią kwotą nie rozporządza. Zostawić znów ogród szkolny jedynie pod ziemniaki

lub owies, niema celu; a więc koniecznie należy przeprowadzić melioracyę tegoż. A teraz w tem sęk, jak? — Gmina po największej części nie zechce tego uczynić; co tu kłopotów, nim się ją nakłoni do datku na pensyę, do postawienia budynku szkolnego, zabudowań gospodarskich! a gdy ogród szkolny otoczy płotem, już nie chce słyszeć o niczem. Ponieważ tu jednak chodzi o nader ważną rzecz, bo o podniesienie bytu materialnego ludu przez nauczenie go już w szkole, jak ulepszyć choćby i najgorszą ziemię, jak pielęgnować drzewa i krzewy owocowe, jak się obchodzić z warzywami, tedy niema innej rady, jak przyjść nauczycielowi, w razie oporu gminy, z pomocą materialną, a tego nikt skuteczniej nie załatwi nad Radę powiatową, która niestety tak mało szkołą się zajmuje. Instytucya ta mogłaby upatrzeć czy to ze swego grona, czy też z nauczycieli znawcę, któryby ocenił, gdzie należałoby zarządzić melioracyę ogrodu szkolnego; następnie Rada powiatowa mogłaby wpływać na gminy, aby z własnych funduszków takową zarządziły, a w najgorszym dopiero razie ma nauczycielowi fundusz powiatowy przyjść z pomocą. Tacy nadzorcy ogrodów szkolnych gdyby co wiosnę objechali swoją okolicę, kontrolowali użycie pieniędzy nauczycielowi udzielonych i zdawali sprawozdanie o stanie ogrodów szkolnych, mogliśmy doczekać się pomyślniej w tej mierze odmiany. Ale koniecznie i szybko coś w tym względzie zarządzić należy, gdyż obecny stan ogrodów szkolnych, z małym wyjątkiem, pożytku dla kraju nie przyniesie.

Do tego niech mi będzie wolno dodać kilka słów jeszcze o położeniu i stosunkach nauczycieli.

Rzecz wiadoma, iż w każdym powiatowym miasteczku istnieje czteroklasowa szkoła. Nim owo miasteczko stało się siedzibą powiatu, była tam jednoklasowa szkoła. Nauczyciel pobierał w przecięciu 200 zlr., mieszkał w szkole, za co terażniejszy nauczyciel płaci 150 zlr.; miał opał, ogród, a niekiedy i kilka morgów gruntu. A gdy był do tego organistą, mógł przyjść nawet do skromnego majątku; mógł bowiem nabyć plac pod dom za 50 zlr., za co teraz płaci się 500 zlr.; nabył tanio kawałek gruntu. Dziś, oprócz kierownika szkoły, posiada powiatowe miasteczko trzech nauczycieli starszych, a jednego lub dwóch młodszych. Starszy nauczyciel

pobiera 450 zlr., co w porównaniu z owemi 200 lub 250 zlr., jakie dawniej nauczyciel pobierał, wydaje się być wielkim postępem na drodze poprawy materialnego bytu nauczyciela. Zastanówmy się jednak nad tem, czy się rzeczywiście tak rzecz ma. Mieściny, które odniedawna stały się powiatowemi, są obecnie plagą dla tych wszystkich, co z grosza żyją. Artykuły np. żywności są droższe niż w miastach pierwszorzędnych w kraju; ceny mieszkań, jakkolwiek niewygodnych, z powodu napływu urzędników podskoczyły bajecznie w górę; w niektórych miejscowościach nawet za duże pieniądze trudno o pomieszkanie. Dzieje się to zwłaszcza tam, gdzie większość ludności stanowią Żydzi, a mieszczaństwo upadło. Podupadły bowiem mieszczanin nie ma za co wystawić domu dla lokatora, Izraelita zaś woli pieniądze puścić w obieg, gdyż mu się lepiej rentują, niż stawiać dom na spekulacyę. Cóż się tedy dzieje? — Oto nauczyciel, który ma obecnie 450 zlr. pensyi, po odtrąceniu kwoty na pomieszkanie i na opał, ma zaledwie tyle, co dawniejszy nauczyciel, ale bez dochodu z ogrodu, gruntu, bo to ma kierownik szkoły. A cóż dopiero mówić o nauczycielach młodszych, którzy mają 270 zlr. Zatem zamiast jednego nauczyciela, który przy sprzyjających warunkach miał się dawniej jako-tako, jest teraz w powiatowym miasteczku trzech do pięciu nędzarzy. Idźmy dalej. Dawniejszy nauczyciel w miasteczku, nim ono się stało powiatowem, należał do intelligencyi, dziś jest istotą nieokreśloną. Intelligencya go odpycha, bo biedny; z prostactwem żyć mu nie wypada. Nie znajduję zatem na scharakteryzowanie nauczyciela w powiatowym miasteczku innego słowa, nad wyraz: nędzarz-sierota, wobec którego nauczyciel na wsi to magnat, ma bowiem 300 zlr., pomieszkanie, ogród, czasem kawałek pola, podczas gdy pierwszemu na utrzymanie rodziny zaledwie 250 zlr. zostaje. Ztąd nie należy się dziwić, że co z nauczycieli wychodzi z seminaryum praktycznego, zdolnego i pilnego, to osiada po wsiach w razie nieutrzymania się w większem mieście. A przecież szkoła powiatowa powinna być wzorem dla całego powiatu; jakże zaś może być taką przy niepraktycznych, a częstokroć miernych silach? Z tego widoczna, jak nie uwzględnia rzeczywistych stosunków ustawa

normująca płace nauczycieli. W interesie tedy dobra kraju należałoby jak najprędzej zaradzić złemu.

Jednym ze sposobów zaradzenia byłby może następujący.

Zdarzają się niekiedy ludzie, którzy zadowoleni z tego, co im los nadarzył, oddają się z zamilowaniem pracy choćby najzmudniejszej, sprawują obowiązki swego zawodu sumiennie, choć o chłodzie i głodzie, nie gonią za wyższym stanowiskiem, za zaszczytami; ale to są wyjątki. Dla większej liczby ludzi, aby z czasem nie wpadli w apatyę do zawodu swego, aby z czasem ich energia nie osłabła, potrzeba koniecznie jakiegoś bodźca, zachęty do pracy, do wytrwałości, tem bardziej, że pod względem tej ostatniej stoimy wobec wielu narodów w tyle. Takim bodźcem jest bezsprzecznie awans. Czy dzisiejsza szkoła ludowa podaje nauczycielowi sposobność po temu?

Dawniejsza szkoła, pomimo wielu wad, miała jednak tę dogodność, że zdolnym a pilnym nauczycielom podawała pole do awansu. Niejeden bowiem nauczyciel wiejski uważał się za szczęśliwego, gdy otrzymał posadę w znaczniejszem miasteczku. Tu znów marzył o dostaniu się do miasta obwodowego, co było nadzwyczajnym awansem, gdyż tam pensya była rzeczą podrzędną, korepetycyę zaś, a co ważniejsza, utrzymywanie uczniów na stancyi stanowiło główne źródło dochodu.

Dziś, niestety, pozbawiono wielu nauczycieli tego uczucia, które dodaje sił i ochoty, t. j. nadziei polepszenia bytu. Dla nauczyciela naprzykład wiejskiego niema awansu. Nie poda się tenże nawet do miasteczka powiatowego, gdyż tam dwa razy lichsza czeka go egzystencya, dzięki niekonsekwentnemu wymiarowi płac. Zdawałoby się jednak, że przynajmniej kierownicy szkół ludowych różnej kategorii mogą awansować. I tak kierownik dwuklasowej szkoły powinienby awansować na kierownika do trzyklasowej, ten zaś do czteroklasowej. I to jednak niemożliwe, gdyż pensye i dodatki za kierownictwo po miasteczkach są jednakie! Przeniesienie nauczyciela z niższej do wyższej kategorii szkoły byłoby nawet z niekorzyścią dla niego. Oto naprzykład kierownik dwuklasowej szkoły w jednym miasteczku nie różni się niezem od kierownika przy czteroklasowej szkole w drugim sąsiednim;

nadto ma więcej od ostatniego o pięć morgów gruntu i do tego nadarza mu się prędzej sposobność otrzymania lekcji, gdyż jeżeli kto z rodziców życzy sobie, żeby się jego dzieck o po niemiecku uczyło, tedy prosi nauczyciela o udzielanie tego przedmiotu w czasie pozaszkolnym za skromnem wynagrodzeniem. Brak ten awansu odczuwa nauczycielstwo boleśnie i jestto jeden z licznych powodów zniechęcania się do pracy. A przecież z niewielkim kosztem dałoby się zle usunąć. Nie podpada najmniejszej wątpliwości, że nigdzie żywot nauczyciela nie jest tak nędzny, jak w powiatowych miasteczkach. Sprawiedliwość tedy wymaga tego koniecznie, aby dać tu nauczycielom nie tylko takie utrzymanie, żeby nie mieli mniej od nauczycieli wiejskich, ale nawet nieco więcej, a wtedy poda się im sposobność nie tylko do awansu, lecz nadto podźwignie się szkoły czteroklasowe z niechybnego upadku, jaki im zagraża z powodu przeważnie miernych sił przy nich pracujących. Wszakże dziś, gdy się rozpisze konkurs na posadę przy czteroklasowej szkole w powiatowem miasteczku, wtedy albo się nikt nie poda, albo jedna do dwóch osób. Czyż w takich warunkach jest między kim najlepszą siłą nauczycielską wybrać?! — Ten smutny objaw powinien być dostateczną wskazówką dla władz szkolnych, gdzie główne zło spoczywa. Nie mogę też pojąć, dlaczego kierownicy różnej kategorii szkół mają jednakowe pensye i takiesame dodatki za kierownictwo. Wszakżeż kraj nie zbankrutowałby weale, gdyby przynajmniej w dodatkach za kierownictwo była między nimi różnica o 20 złr. Jest zatem we wymiarze płac nauczycielom szkół ludowych wiele błędów; niechże tedy ci, co nawą kraju sterują, wezmą tę rzecz pod rozwagę. Niech ich to bynajmniej nie dziwi, że nauczyciele, jakkolwiek się im tu i owdzie krzywda dzieje, nie podnoszą żalów; wielu bowiem taką apatją z powodu biedy jest do życia przejętych, że im się nawet za pióro ująć nie chce, aby wylać na papier, co ich przygnębia.

Do woli Szanownej Redakcyi zostawiam użytek, jaki z tych moich uwag zrobić zechce: czy to ogłosić je, czy też za materyal uważać i jako taki obrobić lub komu innemu odstąpić.

Proszę przyjąć itd.

.....

Nauczyciel szkoły czteroklasowej w

JESZCZE O „NOWEJ DOKTRYNIE.“

Zeszyt kwietniowy *Przeglądu Powszechnego* przyniósł dwie odpowiedzi na mój artykuł o „Nowej doktrynie,“ odpowiedzi o tyle od siebie odrębne, że nad każdą z nich z osobna wypada się zastanowić.

Redaktor *Przeglądu Powszechnego*, ks. Marian Morawski, odpiera od siebie i od pisma uroczyście to, co sformułowałem jako „nową doktrynę,“ tj. zasadę bezwzględnej walki z dzisiejszem nowożytnem państwem. Do walki takiej nie wzywa bynajmniej *Przegląd Powszechny*, albowiem „nowożytne państwa są elaboratem wieków,“ „społeczeństwo ludzkie ma swoje przyrodzone prawa, ostatecznie od Stwórcy pochodzące; mocą tych praw powstaje władza państwowa, oraz w tychże prawach znajduje swoje granice...“ Na tem tle rozwija książd Morawski pogląd swój na naturę społeczeństwa i państwa, określa ich wzajemną granicę, a czyni to wszystko z takim spokojem i rozważą, że pogląd ten mógłbym i ja w zupełności podpisać. Mógłbym go przedewszystkiem podpisać w tym ustępie, który skierowany jest przeciw teorii „kontraktu socyalnego,“ bo przecież teoria ta wszelkie pojęcie ciągu historycznego wywraca i historykowi przed innymi wydać się musi sztuczną i nieprawdziwą.

Z całego pisma X. Morawskiego jedną też tylko rzecz muszę stanowczo odeprzeć, a jest nią przypuszczenie, że ja kładąc całą wagę na taktykę postępowania w stronnictwie konserwatywnem, temsamem „zasady“ wykluczam. Wszak powiedziałem wyraźnie: „podstawą (stronnictwa konserwa-

tywnego) jest poszanowanie wszystkiego tego, co nam zdrowem i dobrem w spuściznie pozostawiła przeszłość, a więc wiary, języka, oświaty i obyczajów.“ O wykluczeniu zasad, o ich lekceważeniu nie było mowy. Nietrudno mi też przychodzi zrozumieć i uznać stanowisko ks. Morawskiego, który jako ksiądz w piśmie swoim ogranicza się do „szerzenia tych zasad,“ a w ten sposób taktyce czyli polityce konserwatywnej pragnie spieszyć z pomocą. W tem odróżnieniu zasad od sposobu ich przeprowadzenia widzę nawet dowód, że światły redaktor *Przeglądu Powszechnego* zdaje sobie zupełnie sprawę z odrębnych warunków, z któremi działanie polityczne musi się liczyć i potrzebną swobodę mu pozostawia.

Po tem wyjaśnieniu przyznaję rzeczywiście, że do polemiki pomiędzy nami niema żadnej przyczyny.

Inna rzecz z p. Lisickim. Jako uważny czytelnik wszystkich jego prac historycznych, musiałbym tu przedewszystkiem zauważyć, że zasady konserwatywne szanownego mego przeciwnika zmieniły się już kilkakrotnie. Dopóki p. Lisicki pisał o Wielopolskim, a więc o człowieku, który po Ostrorogu największym w Polsce był wyznawcą omnipotencyi państwa i nawet wobec duchowieństwa z przesadą i niepotrzebnie ją zaznaczał, znajdował p. Lisicki dla tej omnipotencyi wiele pobłażania, że nie powiem łaski. Gdy mu następnie przyszło pisać o Królestwie kongresowem, nie zadowolnił się tem, żeby powstanie potępić jako krok w danych warunkach niepolityczny, lecz wbrew całemu szeregowi znakomitych katolickich pisarzy bronił teorii bez względu na o posłuszeństwa wszelkiej, chociażby wrogiej, narzuconej władzy. Kiedy nareszcie przystąpił do żywota Helela stał się p. Lisicki otwartym wrogiem omnipotencyi państwa. Daleki jestem od tego, żeby komukolwiek ze zmiany przekonań czynić zarzut, zwłaszcza jeżeli ona jest wynikiem tak sumiennych jak p. Lisickiego rozmyślań i studyów. Ale sama ta zmiana jest najlepszym przykładem, że wiara w nieomylność swojej teorii politycznej zawsze jest niebezpieczną.

W odpowiedzi na mój artykuł wydaje się p. Lisicki, co się tyczy teorii swojej politycznej, niezupełnie jeszcze zdecydowanym. W jednym n. p. ustępie wspomina, że „rządy sprawują władzę od Boga ustanowioną,“ w drugim ustępie i to

zasadniczym oświadcza, że tylko „społeczeństwo jest dziełem Bożem, podczas gdy państwo jest dziełem ludzkim.“ Naopór zastrzega się wprowadzić p. Lisicki, że z państwem nie pragnie bezwzględnie walczyć, że tylko omnipotencyi państwa się sprzeciwia; kto jednak cały jego artykuł uważnie przeczyta, inne odniesie wrażenie. Jestto nowy szereg rekryminacyj, namiętnych epitetów i oskarżeń przeciw „obmierzłemu“ państwu, przyczynie wszystkiego złego, z zupełnem pominięciem jego stron dodatnich. Widoczna rzecz, że szanowny mój przeciwnik w przeglądzie swoim na państwo nie przyswoił sobie wcale wzniosłych myśli ś. Tomasza, lecz że holduje przeciwnemu kierunkowi, że nazywając państwo dziełem „ludzkim,“ ma na myśli „szatańskim.“

Piętrząc w ten sposób swoje gromy przeciw państwu, mniema jednak p. Lisicki, że to jest rzecz najzupełniej niewinna i protestuje, jakoby do walki z jakimkolwiek rządem i do powstań wzywał. Tak naiwnego przecież od nikogo nie usłyszał zarzutu. Do zbrojnej walki i powstań porywały się u nas tylko te pokolenia, które jeszcze nie widziały nie o „społeczeństwie,“ które wszelki byt narodowy przedstawiały sobie tylko w obrębie samodzielnego państwa i dlatego tak gorąco je kochały, tak bezwzględnie do niego dążyły. Kto zaś w państwie widzi tylko jego ujemne strony, ten do powstań nie będzie się posuwał.

Potępiając zasadę bezwzględnej walki i pogardy dla państwa, miałem też na myśli jedynie zamęt, któryby ztąd powstał w politycznym naszym obecnym rozwoju i instytucjach. Przytoczyłem za przykład możliwe traktowanie spraw szkolnych w naszym galicyjskim sejmie. Sądzi p. Lisicki, że to przykład jedyny; mogę ich wymienić o wiele więcej. Oto hasło walki z państwem, a chociażby tylko z omnipotencyą państwa, mogłoby najszkodliwiej oddziaływać na sprawę wykupna kolei żelaznych (bliskiem może być wykupno kolei Karola Ludwika i objęcie Czerniowieckiej) i przeszkodzić spolonizowaniu tych instytucyj, może przeszkodzić ujęciu rybołówstwa przez Wydział krajowy, komasacyi gruntów i ograniczeniu ich podzielności, ustawie lasowej i w ogóle wszystkim ustawom, w których podniesienie gospodarstwa i dobro-

bytu narodowego bez pewnych ograniczeń jednostki z jej praw pomyśleć się nie da.

Wyświecajmy więc zasady i teorię konserwatywną, zdajmy sobie jasno sprawę ze stosunku państwa do społeczeństwa, szukajmy w tem zasobów nowej siły i pochodni na drodze działania, ale nie róbmy z zasad chociażby najlepszych, a cóż dopiero z zasad jednostronnie ujętych, dogmatu i bezwzględnej „doktryny“, nie narzucajmy ich działaniu i pracy naszej politycznej bez względu na dane warunki i stosunki. Nie stawiajmy się przedewszystkiem na arenie kosmopolitycznej, nie identyfikujmy się z dzisiejszą powszechną walką pomiędzy społeczeństwem a państwem, bo mamy sprawę, która głębiej powinna się w naszych piersiach odzywać, ku której przedewszystkiem kierować musimy wszelkie usiłowania, to jest sprawę naszej narodowości. Walka pomiędzy państwem a społeczeństwem rozegra się w tych szczęśliwszych narodach, które mają państwo własne i społeczeństwo. My jej nie rozstrzygniemy, bo nie mamy jednego wielkiego czynnika, tj. własnego państwa. Gdzie opór stawiony omnipotencyi państwa jest z naszej strony możliwym i pożytecznym, tam go stawmy. Brońmy Kościoła, brońmy własności ziemskiej, sprzeciwiajmy się regalowi naftowemu itd., spraw podobnych nie braknie. Gdzie zaś instytucye polityczne, mianowicie te, które w naszym znajdują się ręku, mogą wzmożnić nasze siły duchowe lub materialne, tam wbrew doktrynie wzywającej do walki z omnipotencyą państwa, nie wachajmy się rozwijać ich i kształcić, bo z nich nowa siła spłynie na społeczeństwo, a naród nasz o kilka kroków w samodzielności swojej naprzód się posunie.

Dziwi się dalej pan Lisicki, jakim sposobem zasady, chociażby podniesione do wysokości „doktryny“, rozbić mogą stronnictwo. Odpowiedź bardzo łatwa. Kto się nie zadowolni wspólnością taktyki i działania, lecz w polityce będzie się pytał tylko o zasady i przekonania, ten we własne stronnictwo wniesie zaród rozterki i dobrych sprzymierzeńców się pozbawi. Weźmy za przykład obecne stosunki poznańskie. Społeczeństwo polskie stanęło tam jak jeden mąż w obronie Kościoła i umieściło sprawę tę słusznie w programie swoich deputowanych. Znajdują się pomiędzy nimi, jak wia-

domo, także ludzie liberalnych przekonań i zasad, którzy jednak ze względów zewnętrznych, narodowych uznali konieczność obrony Kościoła i z zadania tego wywiązują się wiernie i wytrwale. Niechże ktoś na tem nie zechce poprzestać, niech zacznie badać sumienia, niech rozstrzyga: „ten nasz a ten nie nasz,“ niech pomiędzy nimi zrobi różnicę. Do czego doprowadzi? Prawdziwa mądrość polityczna polega zatem głównie w taktyce postępowania, w jednaniu sobie i takich żywiołów, które niekoniecznie siłą zasad, lecz siłą interesów i okoliczności na tęsamą popchnięte są drogę.

Jeżeli zaś teoria, chociażby najlepsza, nie wystarcza na polu politycznej pracy, tem mniej może ona wystarczyć na polu historycznych studyów. Ludzie wyznający te same zasady, mogą w sędzię swoim historycznym rozbiedz się najzupełniej. Jeden z nich zrobi ze zasad „doktrynę“ i do wszystkich faktów historycznych będzie ją bezwzględnie stosował. Doktryner nie pyta się o to, jakie były rzeczywiste następstwa faktów, lecz bada wyłącznie, o ile one zgadzają się z jego ideałem i za każde zboczenie od teorii stanowczo je potępia. Całkiem inaczej postępuje historyk. Ideały, które sobie wyrobił, przedewszystkiem wśród swoich historycznych studyów są dla niego tylko odległym celem, do którego po trudnej i mozolnej drodze zmierza ludzkość. Historyk bada tę drogę i o ile ona przebyta, opowiada ją i kreśli. Sąd jego historyczny jest tylko względny, zależy od rozpoznania przyczyn i następstw pojedynczych faktów. Dla niego każdy fakt, który poehód dziejowy ułatwił, będzie faktem dodatnim, chociaż do ideału jest mu bardzo daleko. Dla niego fakt zbliżający się w teorii do ideału, ale przedczesny, w danych warunkach szkodliwy dla rozwoju narodu, będzie faktem ujemnym. Objaśnijmy rzecz na jaskrawym przykładzie. Dzieje świata chrześcijańskiego są widownią nieustannej walki i współzawodnictwa między Kościołem a państwem. Doktryner, który sobie ułożył idealny stosunek pomiędzy temi dwoma potężnymi czynnikami dziejów, będzie tę walkę nieustannie potępiał. Jeśli sympatye jego zwracają się więcej ku państwu, będzie przyczynę złego, powód do walki widział w Kościele i rzucał na niego niesprawiedliwe gromy. I odwrotnie. Historyk z tą walką, której z dziejów nie może wymazać

i odwrócić, musi się pogodzić, ujrzy w niej jedną z wybitnych cech świata chrześcijańskiego, gotów w niej widzieć nawet wielką przyczynę, która światu temu nie pozwala popaść w despotyzm lub teokrację wschodu. Historyk badając pojedyncze ustępy tej walki, będzie szukał ich bezpośrednich następstw, ujrzy raz złe, drugi raz pożyteczne, przekona się nawet, że czasem przymierze zewnętrzne pomiędzy Kościołem a państwem było złem najgorszym, bo do roli policyjnej poniżało kościelną hierarchię. Dla doktrynera historia jest tylko polem do mniej lub więcej świetnego wykładu jego ideału, dla historyka skarbnicą doświadczenia, z której ten ideał wydobywa się coraz to większy i prawdziwszy. Oba często z tysanym poglądem przystępują do historycznej pracy, ale pierwszy z nich prawdy historycznej boi się, a rzadko ją z konieczności przekręca; drugi szuka tej prawdy i z niej ideał swój coraz to wyżej rozwija i kształci. Tażsama teoria przyświecała im w pracy, ale jednemu z nich, historykowi, świeciła rzeczywistość i była mu pochodnią do samodzielnych badań i płodnych zdobyczy; drugi dał się jej oślepić, nie nowego nie znalazł, zamiast sprostować przekręcił, zamiast pomódz zaszкодził, dla niego bowiem była ona „doktryną.“

Na takiejto doktrynie opiera p. Lisieki oryginalny swój pogląd na historię polską od XV wieku. Wszelka walka pomiędzy państwem a Kościołem w Polsce bez względu na to, co było jej przyczyną i przedmiotem, czy sprawa religii, czy też podatki państwowe lub dziesięciny snopy, jest dla niego zbrodnią ze strony państwa. Jego zdaniem, nie groziło Polsce żadne inne niebezpieczeństwo, a przynajmniej żadne gorsze nad to, żeby państwo polskie miało być tak jak inne państwa dzisiejsze europejskie, wszechwładnem. Wyraźnie też wypowiada, iż lepiej się stało, że Polska nie poszła za radą Ostrorogów, że nie dążyła do silnego rządu, lepiej że upadła, bo uchroniła się od omnipotencyi swego państwa.

Wszystko tu oryginalnem. Najpierw to poprawianie historii czy Pana Boga i chęć wyrugowania walki państwa z Kościołem, która zapełnia sobą wszystkie karty historii narodów chrześcijańskich. Następnie to stanowisko kosmopolityczne, według którego dla narodu istnieje gorsze złe, jak

utrata państwowego bytu i idąca za tem w tropy społeczna ruina, nie powiem zagłada. Wreszcie ta świadomość istotnego przebiegu historyi, która pozwala przemilczeć, że Kościół katolicki w Polsce gorzej cierpiał od społeczeństwa zesputego polityczną anarchią, niżby był kiedykolwiek ucierpiał od wszechwładnego państwa.

Zaznaczam tę różnicę zasadniczą stanowisk naszych, wobec której polemika szczegółowa z p. Lisickim na tem polu historycznem jest mi wręcz niemożliwą. Nie taję zresztą wcale, że o ile „doktryna“ na polu polityki naszej obecnej mogłaby się stać niebezpieczną i szkodliwą, o tyle na polu studyów historycznych jest ona najzupełniej niewinna. Stały one dzisiaj tak wysoko, że ich żadna doktryna nie potrafi zniżyć i jak bańka mydlana pryśnie. Czasy doktryn na polu historyi już i u nas zniknęły.

Powiem wreszcie wprost, a niech mi szanowny mój przeciwnik nie weźmie za złe uwagi, która jest podyktowaną szczerem uznaniem jego talentu i pracy. Pogląd ów na historyę naszą postawił p. Lisicki tylko dlatego, że mu owe wieki historyi z własnych, głębszych, źródłowych badań są zupełnie nieznanne i obce. Gdyby na te badania znalazł czas i ochotę, gdyby się historyi naszej od XV do XVIII w. bezpośrednio ze źródeł i osobiście przypatrzył, te nie wątpię na chwilę, że i pogląd ów samby porzucił i zmienił i z nienawiści swojej ku „obmierzłemu“ państwu by się wyleczył.

Wszak historia nasza z czterech ostatnich stuleci jest jednym wielkim, tragicznym dowodem, do czego doszedł naród, który na państwo nowożytne nie umiał się zdobyć i jego dobrodziejstw się wyrzekł.

M. Bobrzyński.

Kronika literacka.



— *Mémoires pour servir à l'histoire de la vie et des actions de Jean Sobieski III du nom, Roi de Pologne*, par Philippe Dupont, attaché à ce Prince en qualité d'ingénieur en chef de l'artillerie. Publié d'après manuscrit par J. Janicki. (Varsovie 1885). — Odkąd X. Coyer w historii swojej Jana III^o (wydanej w r. 1761), z rękopiśmiennych pamiętników Duponta udzielił światu po raz pierwszy osnowy nakreślonego własną Jana III ręką »rozporządzenia szyku« bitwy Wiedeńskiej, a nadto w opowiadaniu swoim wielokrotnie się na Duponta jako na świadka i źródło powołał, były pamiętniki te ciągle przedmiotem ciekawości i poszukiwań historyków i badaczy. Do wydania ich jednak drukiem nie przyszło, aż teraz, w lat 124 po Coyerze, a 159 po napisaniu ich przez Duponta. Szczera wdzięczność należy się za to wydanie Bibliotece Ordynacyi Krasińskich i pracowitemu jej bibliotekarzowi Drowi Ign. Janickiemu, który z uznania godną pilnością wydanie to na podstawie dwu dotąd znanych, a wzajem się uzupełniających odpisów opracował, a nadto w metryce koronnej odszukał dokument ustalający pochodzenie i zupełne nazwisko rodzinne Duponta. W przedmowie swej zdaje Dr Janicki treściwie sprawę o wiadomych dotąd odpisach dzieła Duponta, i o stosunku ich do nieodszukanego dotąd niestety oryginału, przy którym prawdopodobnie znachodzić się mogą jako annexa autografy i pierwotne odpisy udzielonych przez Duponta dokumentów.

Co do treści i wartości samychże Pamiętników, rozróżnić potrzeba bardzo wyraźnie trzy jakoby ich części składowe: 1^o opowiadanie historyczne, 2^o opowiadanie pamiętnikarskie, i 3^o zachowanie i udzielenie autentycznych dokumentów; a to wszystko przeplatane polemicznymi wycieczkami przeciw Dalerakowi, do którego poczciwy starszek Dupont powziął żywą, choć po części tylko usprawiedliwioną siertzistość.

Przypuściwszy, że przybywając do Polski w r. 1671 miał

Dupont lat choćby tylko 20, to w r. 1726, kiedy się zabrał do spisania swego dzieła, był już starszkiem dobiegającym ósmego krzyżyka. Owoż i dzieło chroma pod wpływem tak poważnego, a wcale nie na naukach historycznych i nie na ćwiczeniach w sztuce pisarskiej spędzonego wieku. Dlatego historyczność Duponta, t. j. wszystkie ustępy jego dzieła, w których podejmuje opowiadanie dziejów, jest (szczerze mówiąc) bardzo a bardzo małej wartości. Pominąwszy już małą zdolność i skąpe w ogóle wiadomości historyczne, do czego się zresztą sam Dupont szczerze a po wielekroć przyznaje, ale co gorsza, »historyografia« jego pełną jest obok »oficyalnych« reticencyj, nadto jeszcze pomyłek, niedokładności i błędów, niektórych nawet uporeczywie powtarzanych. Dr Janicki zadal sobie pewnie dość pracy w sprostowywaniu niektórych usterek, a byłby musiał podjąć o wiele zmuudniejszą, gdyby był chciał nie pominąć żadnej.

Pod tym więc pierwszym względem, »Memoiry« Duponta nietylko nie mogą służyć za podstawę opowiadań historycznych, lecz przeciwnie przestrzedz należy, że w tej mierze raczej go się strzedz potrzeba, niż bez krytyki pójść za nim. Cechę takiego opowiadania historyi ma przeważnie część pierwsza, poświęcona zdarzeniom wyprawę Wiedeńską r. 1683 poprzedzającym.

W dwu częściach następnych coraz więcej występuje charakter pamiętnikarski, t. j. opisywanie tylko tego, czego autor był współdziałaczem, lub przynajmniej świadkiem obecnym. W miarę tego i dzieło przybiera coraz żywszego interesu, i rzetelniejszej wartości. Mianowicie do opisu bitwy Wiedeńskiej podaje Dupont bardzo cenne i wyjaśniające szczegóły, których gdzieindziej nie ma. Dalej też i wyprawy lat 1685 i 1686 opisuje jako świadek naoczny i miejscami dość żywo; w roku 1687 był w Kamieńcu jako posłannik do baszy, w sprawie wymiany więźniów wysłany; zatrzymany bezprawnie przez baszę, przypatrywał się z wyżyn domu, w którym był trzymanym, bezskutecznemu bombardowaniu tej twierdzy. Kampanii Wołoskiej roku 1691 nie towarzyszył, toż opis jej bardzo pobieźny przesadza nadto anachronicznie w rok 1688.

Lecz jakiegokolwiek niedostateczności mielibyśmy do wytknięcia pocziwemu Dupontowi, wszystkie niechaj mu przebaczone będą w obec znakomitej zasługi, że nam przechował i przekazał 26 dokumentów historycznych pierwszorzędnej treści; wszystkie odnoszą się one do spraw Wyprawy Wiedeńskiej, a z tych nie mniej jak 19 byłoby prawdopodobnie dla nas zatraconemi, gdyby on ich nie był zebrał, zachował, i do swego pamiętnika nie wcielił i nie przyłączył, bo ich dotąd nigdzie indziej nie znaleziono. Jakkolwiek bowiem wydanie Akademii »Acta Anni 1683« podaje je także i z kopiariuszów Rogalińskich, toż przecie mamy powody mniemac, że właśnie te kopiariusze z »Pamiętnikami Duponta« w bliższym są pokrewieństwie, i podobno wprost z nich pochodzą.

Najzupełniej dlań zatem wyznajemy tę wdzięczność, jakiej się spodziewał po nas potomnych, pisząc sam o sobie (str. 123): »Je me flatte, que si ces mémoires paraissent quelque jour, on me saura bon gré du soin que j'ai eu de recueillir les lettres que j'y joins.«

Cennym przeto przybytkiem dla literatury naszej historycznej pozostaną zawsze te »Memoiry Duponta«, i żadnej bibliotece, żadnemu badaczowi samoistnemu braknąć ich nie powinno.

Fr. K.

— Wśród nawału broszur, rozpraw, roczników i t. p. heraldyczno-genealogicznych książek, odznacza się szczeremi, dobrymi chęciami i zdaje się dobrą wiarą wydawnictwo p. Teodora Żychlińskiego pod tytułem: *Złota Księga szlachty polskiej*. — Uznajemy ważność a nawet konieczność obznajamiania się z historią większych rodzin polskich dla historyka, jak również zasługę wydawania podobnych monografij historycznych, — ale byle były *historyczne*. Na to jednak same dobre chęci i dobra wiara nie wystarcza, zwłaszcza, że ta czasami nie zupełnie czysto świecić nam się zdaje; koniecznym zaś jest zmysł krytyczny i dokładna znajomość dyplomaturyuszów i innych źródeł, tak licznie teraz drukowanych, nie mówiąc już o archiwach publicznych i prywatnych, nie każdemu dostępnych. Dzieło p. Żychlińskiego stawia nas w trudnem położeniu; musimy bowiem albo odmówić mu w pewnej części zmysłu historycznego i jakiej takiej znajomości przedmiotu, której od heraldyka wymagać mamy prawo, jeżeli przypuścimy, że pan Żychliński wierzy temu, co napisał — albo przypuszczając, że pisze, nie wierząc w własne słowa, odmówić musimy dobrej wiary. Byłby to jednak sąd za surowy i wybieramy pośrednią drogę. Pan Ż. nie chcąc zrażać prenumeratorów i zmniejszyć przez to korzyści wydawnictwo dalsze umożliwiających, przyjmuje od interesowanych rodowody pełne legend i baśni i umieszcza je w książce, pozorując czasem prawdopodobieństwo, ale nie poddając ich krytyce. Ta ukazuje się dopiero w następnym tomie, przedrukowana z jakiego poważnego czasopisma i napisana przez innego heraldyka. W ten sposób i wilk syty i koza cała; choć ta niezupełnie cało z tego wychodzi, z dwóch powodów. Najpierw, że krytyki takie nie mogą wytknąć i poprawić wszystkich błędów, których w każdym tomie pełno, bo nie każdy może mieć odpowiednie źródła pod ręką; a po drugie, podobno pan Ż. krytyk do niego wprost przesłanych, albo mało co, albo wcale nie uwzględnia.

Mamy przed sobą właśnie VII tom *Złotej Księgi* i spotykamy w nim te same wady, co w dawniejszych, a znajdują się i nowe. Jeżeli bowiem niemiłe wrażenie sprawiają panegiryki osób zmarłych świeżo lub dawniej, złym smakiem przypominające najgorsze kazania i mowy pogrzebowe XVIII wieku, to cóż powiedzieć, spotkawszy taki panegiryk osób żyjących, choćby najza-

niejszych i wybitne stanowisko w społeczeństwie zajmujących. — Przechodząc do szczegółów, nie rozumiemy n. p. celu przedrukowania z Niesieckiego rodowodu Lasotów przy Buchowskich, — chyba że to miało służyć za dowód erudycei. Wolelibyśmy byli, żeby pan Z., kiedy sam nie wie, o czym już z powiastek Hoffmanowej każde dziecko u nas słyszało, żeby więc był zajrzał do Niesieckiego i przekonał się, że Michał Świdziński, kasztelan radomski, nie z jakąś Ossolińską, ale z Barbarą Krasińską, siostrą rodzoną królewiczowej Franciszki, był ożeniony, i żadnego syna ożenionego ze Starzeńską nie miał. Nie mamy dowodów pod ręką i nie wiele podał ich pan Z., ale rodowody Chelkowskich i Starzeńskich dość prawdopodobne wyglądają. Szkoda też, że pan Z. dokładniej nie zbadał kodeksów dyplomatycznych małopolskich ziem, katedr i klasztorów; byłby uniknął niemiłej pomyłki; podciągnięcie bowiem Lisów z Kozłowa pod Jastrzębceżyków, mogło tym ostatnim dodać świetności, ale przez przyłączenie do nich Kozłowiczów, chłopów lub co najwyżej świerzczaków, nie wielką oddał im pan Z. przysługę. Oburzające zaś jest uprawdopodobnione przypuszczenie, że Światopelkowie Zawadzcy pochodzą od Rurykowiczów. Na co szukać obcych bogów, pokądże świetności za granicami kraju naszego szukać będziemy i tylko to za znakomite uważać, co z zagranicy przyszło? czyż nie jest obowiązkiem heraldyka starać się zbierać te, w XVI wieku przeważnie potworzone legendy o biskupach, sprowadzających całe rodziny, o rycerzach z nad Renu, Rodanu, Tybru i Tagu, ze Skandynawii, Krymu, Chin — *byłe nie* z Polski; mało który z najbardziej rodzimych herbów ostał się przed tą maniją heraldyków a, raczej szlachty, wywodzenia się z zagranicy, w czem pomagali im schlebający, usłużni, nadworni heraldyce; przecież dziś to miejsca mieć nie powinno! A tak łatwo było panu Z. wynaleść równie świetny a zupełnie prawdopodobny początek rodu Lisów. Godzą się panowie Bobrzyński, Smolka, Piekosiński, że Lisy to odłam Gryfów, a więc idą od przed-piastowskich książątek słowiańskich, a więc jest i książęce pochodzenie, o które widocznie bardzo chodziło, i to swojskie, a nie najezdcze normandzkie. Tak łatwo byłby pan Z. znalazł Światopelka wojewodę Łęczyckiego (1307 r.), prawdopodobnie syna Klemensa z rodu Gryfów, a twórcę gałęzi Lisów; byłby odnalazł i dalsze gałęzie na Chrzelowie, Mstyczowie, Krzczonowie, a dalej na Jrządach, Zawadzie, przy powtarzających się imionach Światopelk i Stefan. Nie należy się przestraszać »Księgi Beneficiorum« Długosza; znając ją, wielu błędów uniknąć można. Więcej dobrej woli i pracy, a prawie wszystkie kłamane zagraniczne świetne pochodzenia zastąpione u nas zostaną często świetniejszymi wywodami miejscowemi.

Na ostatek zostawiliśmy sobie rozprawę nie z samym p. Z. bezpośrednio, ale z krytyką, którą pan Z. *jurans in verba* uznanej przez siebie powagi umieścił bez opozycyi z swojej strony; a więc wolno są-

dzić, zgadzając się z nią zupełnie. Mówimy o p. Bonieckim i zdaniu jego o rodowodzie Leliwitów z Tarnowa i Melsztyna. Pan Boniecki zbijając przytem mylnie (czemu nie mamy do zarzucenia) twierdzenie Szajnochy o równoczesnych dwóch Janach z Tarnowa kasztelanie i wojewodzie Sandomierskich, przypisuje Jaśkowi z *Melsztyna*, kasztelanowi krak., zmarlemu 1381 roku, dwóch synów: Spytka, protoplastę Melsztyńskich, i Jana, protoplastę Tarnowskich i Jarosławskich; a Rafałowi z Tarnowa, kasztelanowi wiślickiemu, bratu Jaśka, tylko jednego syna, Spytka, podkomorzego krakowskiego, zmarłego bezdzietnie. Jako dowód swego twierdzenia przytacza p. B. tylko dokument fundacyjny kościoła w Książu, wystawiony przez Spytka z Melsztyna wojewodę krak. 1381 r., na którym jako świadek podpisany jest »Jan, dziedzic Tarnowa i kasztelan sandomierski, brat nasz najdroższy«. — Zwracamy uwagę, że Jaśko, kasztelan krak. zmarły 1381 r., pisał się zawsze z Melsztyna, tak samo syn jego Spytak; Rafał zaś, kasztelan wiślicki, zawsze z Tarnowa i tak samo Jan, kasztelan sandomierski, wkońcu kasztelan krak., zmarły 1409. *Jan z Melsztyna* występuje w znanych nam dokumentach tylko raz jeden 1375 r. (Cod. Cat. Cr.) bez tytułu żadnego; oprócz tego jednego dokumentu nigdzie go nie widać, a natomiast stale występuje *Jan z Tarnowa*. Albo więc są to dwie różne osoby, i Jan z Melsztyna, to syn Jaśka kasztelana krak., a brat rodzony wielkiego Spytka, zmarły wkrótce po roku 1375, nie dostąpiwszy żadnych godności; albo co prawdopodobniejsze, jest to jedna i ta sama osoba, mianowicie Jan, syn Rafała, kasztelana wiślickiego, który mógł się pisać 1375 r. z Melsztyna, jakiego nie posiadał, jako z starszego gniazda, jak i z Tarnowa, którym za życia matki także jeszcze nie władał. Cóżkolwiekbaż, czy to dwie, czy jedna osoba, to twierdzimy, że Jan z Tarnowa kasztelan sandomierski (1377—85), wojewoda sandom. (1386—1401), wojewoda krakowski (1402—9), jest synem Rafała z Tarnowa, kasztelana wiślickiego i Dzierżki z Wielowśi, herbu Mądrostki, a bratem Spytka z Tarnowa podkomorzego krakowskiego 1386—95; to zaś na podstawie następującej. Piszę się od r. 1376 do śmierci stale z Tarnowa, jak Rafał i podkomorzy Spytak. A dalej, gdyby nie był synem Rafała i Dzierżki, nie dziedziczyłby za życia Spytka dóbr po tejże Dzierżce Rafałowej, mianowicie części w Grembowie i Sobowie, i opłat od chłopów królewskich tamże. Dzierżka 1375 r. procesuje się z siostrą swą Anną o te opłaty, a więc to jej własność; a 1379 r. już Jan z Tarnowa godzi swoich chłopów z tych dwóch wsi z chłopami królewskimi tamże. Trudno przypuścić, żeby podkomorzy Spytak wyzuwał się tak z ojczystych (Tarnowa), jak i macierzystych dóbr (Grembowa, Sobowa, Wielowśi), na rzecz stryjecznego brata, ale na pewno sądzić można, że to był jego brat rodzony i że nierozdzielnie dobrami władali.

Za twierdzeniem pana B. pozornie przemawia podpis na przywileju fundacyjnym kościoła w Książu, pozornie tylko, bo nazywano *bratem* w ogóle jednoherbowych, jak mamy na to dowód w Cod. Mogil. dokument z r. 1395 17 czerwca, gdzie występuje Sulko, dziedzic Beneschowic, herbu Leliwa, jako *brat* Spytka podkomorzego krakowskiego, a przecież nawet stryjeczni braćmi nie byli, tylko współherbowymi; dowód więc pana B. upada. Za naszem zaś twierdzeniem przemawia oprócz nazwiska i dziedziczenia dóbr, jeszcze uposażenie kościoła w Przeworsku z r. 1394 6 lipca, oblatowane w grodzie krakowskim 1603 r. W dokumencie tym Jan z Tarnowa, wojewoda sandomierski i starosta ruski, pan na Jarosławiu, uposażając bogato Bożogrobców w Przeworsku, żąda modlitw za siebie i nie za kogo innego, ale za »brata swego najdroższego Spytka, podkomorzego krak.« Można było przez grzeczność nazwać w dokumencie świadka kochanym bratem, choćby nie był krewnym; ale niemożliwe, aby ktoś fundując kościół w ojczystym majątku, z pominięciem rodzzonego brata, polecał modlitwom zakonników swego stryjecznego. Spyttek więc podkomorzy, a nie Spyttek wojewoda, jest bratem rodzonym Jana z Tarnowa, protoplasty wygasłych Jarosławskich i kwitnących Tarnowskich.

Wracając do pana Żychlińskiego powtórzmy: więcej dobrej woli, więcej pracy nad dyplomaturyuszami i innymi źródłami, więcej zmysłu krytycznego, mniej panegiryzmu, a z czasem Roczniki jego, które już teraz monografiami takimi jak Bonieckich, Debińskich, Dzieduszyckich, Stadnickich, Tarnowskich, Wielogłowskich etc., zwróciły na siebie uwagę poważniejszych kół, mogą się stać zupełnie poważną książką, zasługującą na uznanie, i w pracach historycznych nieraz pomocną i użyteczną. Dr. A. Reisky.

— *Słownik Synonimów polskich*, przez Biskupa Adama Stanisława Krasińskiego. Tom drugi. (Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie. W Drukarni »Czasu« 1885).

Parę miesięcy temu podaliśmy wiadomość o pierwszym tomie wymienionego dzieła. Drugi odznacza się temi samemi zaletami. Powtarzać ówczesnego ocenienia nie widzimy powodu. Poprzestajemy na doniesieniu, że dzieło już w całości gotowe, że obejmuje trzy tysiące (bez siedmiu) synonimów, że podobne słowniki niemieckie i francuskie nie obejmują tak wielkiej liczby wyrazów; że pod względem i obfitości, i dokładności określeń i rozróżnień, dzieło ma w swoim rodzaju niepospolitą wartość. Daj Boże, żeby w proporcję do wartości nauczyło nas znać i oceniać znaczenie wyrazów, i w mowie czy piśmie używać ich, jak należy. Tracimy bowiem to uczucie dość widocznie i powszechnie; słownik księdza Biskupa Krasińskiego zaś może być dobrą w tym względzie nauką i pomocnym środkiem zaradczym. S. T.

— *Listy Narcezy Zmichowskiej do rodziny i przyjaciół, opatrzone wstępem*. (Kraków. G. Gebethner i Spółka, 1885. Dwa

tomy). — Talent Narcyzy Żmichowskiej, znanej pod literackim pseudonimem *Gabryeli*, wpływ jaki wywierała w wysoko wykształconem kole znajomych, uwielbienie bliskie fanatyzmu, jakim przyjaciele otaczali jej osobę, a otaczają zawsze jej pamięć, wszystko to sprawia, że ogłoszona świeżo jej korespondencya nie może przejść niepostrzeżenie, musi, a przynajmniej powinna obudzić ciekawość i zajęcie. Kto ją zaś weźmie do ręki, ten zyska na tem nie tylko lepszą znajomość tej niezwyklej postaci, ale może i pomoc w lepszem zrozumieniu naszego czasu i społeczeństwa. Wiernie bowiem odbijają się w listach Gabryeli uczucia, pojęcia i aspiracye całego jednego a wiele znaczącego grona ludzi, z Królestwa i z Warszawy głównie, ale i z innych części Polski i z emigracyi, i to przez długi przeciąg lat blisko czterdziestu.

Nie próbujemy tu opisywać, jak nam się przedstawia natura, talent i działalność panny Żmichowskiej; w tych krótkich sprawozdaniach nie ma na to czasu, ani miejsca. Gdyby zaś był czas i miejsce, rzecz wątpliwa, czybyśmy się czuli na siłach, nawet z pomocą takich własnych zeznań, jak te listy, skreślić szkic tej niezwyklej, ale i niezwykle zawilej natury. Powiemy więc krótko, że wydaje nam się ona szlachetniejszą i rozumniejszą od wielu, ale wierną i charakterystyczną reprezentantką społeczeństwa, które jest bardzo pewne swoich uczuć, aspiracyj i celów, mniej pewne swoich dróg i sposobów, skłonniejsze brać swoje uczucia za ustalone przekonania, niż je rozważyć i na przekonania wyrobić. Żąd pomimo niemałego zasobu szlachetności i zdolności, dalekie jeszcze od równowagi i harmonii, od tej wewnętrznej moralnej jedności i zgody z sobą, z której wynika praktyczna jedność i siła w zewnętrznem występowaniu i postępowaniu.

Taką wydawała nam się panna Żmichowska, kiedyśmy ją znali tylko z jej pism: taką wydaje nam się tem więcej z ogłoszonych świeżo listów. A tembardziej zajmującą przez to właśnie, że się tego w solnie braku bynajmniej nie domyśla, lecz owszem przekonana jest mocno i w najlepszej wierze, iż tę jedność i równowagę posiada. Wie, co kocha; wie, że to co kocha i czego chce, jest dobre; stara się być sprawiedliwą i wyrozumiałą dla ludzi; pracuje wedle sił i nad siły, dla siebie niczego nie żąda — czegoż więcej potrzeba? wszak to jedność i równowaga doskonała? Nie, to dopiero szlachetność, piękność duszy, to może nawet być cnotą i bardzo wysoką. Ale równowagi nie ma bez stałego środka ciężkości. Naszym uczuciom służy za taki miłość ojczyzny, nasze pojęcia (a jak często nasze wrażenia tylko!), które się za przekonania udają i biorą, zwłaszcza nasze pojęcia polityczne, biorą za środek ciężkości zbyt często formułkę jaką, albo ogólnik jaki, albo złudzenie jakie, albo wreszcie własne człowieka uczucia, a na tych niepewnych, chwiejnych podstawach oparte, nie dziw, że chwiać się i kolysać, że sprzeciwiać się sobie, i człowieka choć sam się nie spostrzeże, w sprzeczność pociągać muszą. I dlatego

powstaje z nich wirująca (nieraz bardzo świetna) nebulosa pięknych myśli i czynów, — nie złożył się dotąd stały i skończony organizm.

Na dowodzenie tego założenia trzeba by osobnej rozprawy. Tu zaś mamy tyle tylko miejsca, ile koniecznie trzeba, żeby powiedzieć, iż Listy panny Żmichowskiej są poufne i przez nią do druku nie przeznaczone, pisane do brata (Erazma) emigranta, do krewnych i przyjaciółek, z czego wynika, że obejmują wiele rzeczy bieżących, codziennych, drobnych, że ona choć często i chętnie opisuje w nich swoje wrażenia lub zapatrywania i z drugimi dyskutuje, nie uważa ich za dySSERTACE lub artykuły. Zaczynają się od roku 1838 a 19go jej życia, a ciągną się do śmierci (1876). Nie są to w zwykłym rozumieniu »piękne listy«, pisane ze szczególną sztuką i z myślą o efekcie, jaki robią; są tylko bardzo dobrze pisane a zajmujące przez osobę i rozum piszącej, często przez przedmioty, o których pisze, zawsze przez jej sąd i zdanie o tych przedmiotach.

Nie wiemy, czy listy, najwiarogodniejsze zdaje się świadczyć, mogą zawsze służyć za niezawodną miarę pojęć lub przekonań. Często w liście pod chwilowem wrażeniem napisze się coś, co jest naszą myślą lub uczuciem, ale jest przelotnie tylko, lub się mimowolnie przesadzilo; piszący sam na drugi dzień, może za godzinę, powiedziałby to inaczej, nadalby swojej myśli inny ton i charakter. Czytelnik tymczasem bierze te słowa za sam stały rdzeń jego myśli, na nich wnioski i sady opiera, i nieraz na ich podstawie piszącego o sprzeczność oskarży. Jednak jeżeli każdy list z osobna może nie być dość pewnym dokumentem, to ich zbiór zawsze musi dać poznać, co piszący czuł i myślał, jakie były jego stałe pojęcia i sady. Tak i te listy, choć się do żadnego z osobna słowa lub ustępu wiązać nie będziemy, wszystkie razem dadzą wyobrazenie wcale dokładne o pojęciach Gabrieli — najdokładniejsze może o jej pojęciach religijnych i politycznych.

Pierwsze, to na tle stałego i szczerzego religijnego uczucia, popędu i potrzeby pobożności, przez czas jakiś niepewność nawet co do Bóstwa Pana Jezusa, później chrześcijaństwo jakieś nieokreślone, przez nią zapewne ułożone i jej wystarczające, nie godzące się z żadnem wyznaniem, dla wszystkich wyrozumiałe a nawet życzliwe, z wyjątkiem jednego katolickiego Kościoła, do którego ma niechęć widoczną i nieprzezwyyczajną. Czy próbowała kiedy naprawdę ją przezwyciężyć? czy zdobyła się na odwagę i stała wolę, żeby sobie zadać i rozwiązać pytanie, czy też nie jest uprzedzeniem i fałszem to, czego się o nich nasłuchać i nazytać mogła? Musialo przyzwyczajenie wziąć górę nad odwagą, bo inaczej przy swoim rozumie i szlachetnej naturze byłaby zdolala odkryć i uznać w swoich pojęciach uprzedzenie i niesprawiedliwość.

Jej pojęcia polityczne, to jakaś demokracja idealna, a cokolwiek może sentymentalna, choć ona sama fałszywej sentyment-

talności nie lubi, wypiera się i w sobie jej nie widzi, i jakaś teoretyczna cześć i sympatya dla Rewolucyi, która w czasach jej młodości była synonimem wolności, sprawiedliwości i postępu. W praktyce i w sprawach polskich mało (raczej nie) sympatyi do tak zwanych konserwatystów czy białych, czy arystokratów, ale politycznego trzeźwego zmysłu nierównie więcej, niż w otaczających ją i wciągających w swoje działania demokratów. Bardzo ciekawe pod tym względem są listy do brata, pisane po wypadkach warszawskich roku 1861, a zwłaszcza listy do Seweryna Elżanowskiego. Te są bardzo charakterystyczne dla stron obu: stary konspirator — jak mało przytomny i radny w działaniu, to wielu jeszcze i w Galicyi z roku 1863 pamięta i zaświadczy — widocznie żądał od niej zawiązania jakiegoś Komitetu w Warszawie; smutna ale charakterystyczna miara tych ludzi i ich działań! On, biorący się śmiało do takiego dzieła, potrzebuje, żeby kobieta, żeby autorka, organizowała mu komitety; ona, kobieta, literatka, uczy go tego, czego nie wiedzieć ona miała prawo, ale on mężczyzna i przez całe życie niby polityką się trudniący, wiedzieć był powinien. Wykląda mu to abecadło, że konspiracya nie prowadzi do niczego, prócz klęski, chyba że ją jakaś rzeczywista siła poprze, że z naszą naturą i w naszym położeniu mniej niż gdzieindziej dobrych, a więcej złych skutków może przynieść; że dlatego ci, którzy dotąd konspirowali, źle robili i byli winni, co więcej, że się »osobiście przed wywołaną burzą cofali« (Tom II, str. 32) — a teraz Komitet jest słowo ponętne, ale »jego członkowie to byliby samozwańcy, utytułowani bez władzy« (str. 41); żąda dalej jawności jako metody działania (str. 37), w końcu zaś, »od wszystkich stronnictw emigracyi jakiego słowa, coby »stanowczo niemożność zbrojnego powstania w obecnej chwili orzekło« (str. 44).

Przypominamy sobie w początkach roku 1862 broszurę, którą pannie Żmichowskiej przypisywano, a która, jeżeli się nie mylimy, mówiła mniej więcej to, co ten list. Autorce należy się ta sprawiedliwość i chwala, że jest jedną z tych rzadkich, co nie mają sobie w owej chwili nie do wyrzucenia. Co mogła, to zrobiła, żeby przestrzedz i oczy otworzyć; *dixit*, — że bez skutku, to nie jej wina, a *saharrit animam suam*.

Te listy to jedna z pięknych kart w jej życiu i w niniejszej korespondencyi.

Nie mając miejsca na przytaczanie tych ustępów, w których jasno i pięknie okazuje się niepospolity rozum, szlachetne serce i bardzo nieraz delikatne uczucie piszącej, tem mniej mamy go na wytykanie tych miejsc, w których ona okazuje się w błąd wprowadzona, albo uprzedzona, albo niesprawiedliwa. Że się miejsca takie zdarzają, z tego czerpać tylko należy naukę wyrozumiałości i pobłażliwości. Jeżeli bowiem osoba tak rozumna i niepospolita, może wpadać w posądzenia, lub w oklepane, dawno

przebyte sądy, cóż się dziwić umysłom płytkim i naturom pospolicym.

Kończąc zajmujące czytanie tych Listów, mimowolnie zadaje sobie człowiek jedno pytanie. Panna Żmichowska wpływała bardzo silnie na swoich przyjaciół, przez tych wpływ jej udzielał się dalej. Czy po jej śmierci, przez jej dzieła, wpływ ten będzie rósł i ogarniał coraz szersze kola, jak się tego spodziewa autor Przedmowy? Nie sądzimy. Takie pośmiertne działania pisarzy, silniejsze na potomnych, aniżeli na współczesnych, są nader rzadkie; a prócz tego w tym szczególnym wypadku potomność mogłaby pomyśleć, że ta miłość, która jest pierwszym artykułem nauk i dążeń Gabryeli, to nie nowa, w XIX wieku wynaleziona idea; że zaś jak ją lepiej praktykować i stosować, jak ten ideal urzeczywistnić, ona nowego, lepszego i skutecznego sposobu nie wskazuje.

Do Listów dodany jest wstęp obszerny, na stu kilkudziesięciu stronach: *Gabryela jako znakomita niewiasta polska XIX stulecia*; tłumaczenie jej stanowiska i zasługi, charakterystyka jej dążeń i działania. Rozprawa wcale zajmująca. Nie wiemy, czy tak pojmowała się Gabryela sama, ale mamy w tem piśmie świadectwo, jak ją pojmują bezwzględni fanatyczni jej wielbiciele. Do polemiki i dyskusji dostarczałaby ta przedmowa materiału bardzo wiele; nie mogąc go tu wyczerpać, nie tykamy. Streszczamy tylko ile możemy, dokładnie bieg myśli autora. »Kobieta słowiańska, a w szczególności polska, ma to w swojej naturze, że »pełna uczucia wolności i godności, stojąc w społeczeństwie, którego hasłem równość, do zrównania się z mężem dąży. Niemka »gotowa jest indywidualność swoją i ludzką w ogólności, poddać »pod władzę męża, pod prawo państwa, roztopić ją w klasztornej »kontemplacji i miłości bożej; poddanie, nawet zniszczenie indywidualności na korzyść czy rodziny, czy społeczeństwa, czy »Kościoła, jest dla niej rzeczą naturalną, wrodzoną. Polka przeciwnie, swoją i wszelką indywidualność trzyma wysoko, kształci, »w potrzebie broni i opiera się jej ograniczeniu. W ciągu dziejów »powtarzają się typy tej natury, tu przytoczone jako przykłady: »Wanda jako charakterystyczny myt, po niej Jadwiga, dalej Jadwiga Jagiellonka księżna Bawarska, Zofia Jagiellonka żona »elektora Brandeburskiego; żadna z nich nie zna biernej rezygnacji, »protestuje, opiera się przeciw temu, co ma za złe. Po tych »idzie Anna Jagiellonka, hetmanowa Żółkiewska, Teofila Sobieska, Marya Leszczyńska, księżna Jeneralowa Ziemi Podolskich, »i Klementyna Tańska. Wszystkie były pod względem religijnym »naturalnie i bez wysilenia katoliczkami, pod względem społecznym szlachciankami. Nowy wiek miał nowe potrzeby, i tasama »w gruncie natura polskiej niewiasty wydała do nich stosownie »typ nowy i odmienny. Gabryela pracuje na korzyść ludu, »zawiazuje rozszarpany węzeł jedności narodowej, pracuje i jest

»użyteczną krajowi nie ujemnym nieszkodliwości pożytkiem, ale
 »dodatnim, dotykającym, wprost na ogół idącym czynem; służy,
 »działa, cierpi, poświęca się i uczy przez całe życie; wszystko, co
 »w sobie jakieś źdźbło prawdy ma, chce znać, zgłębić, pokochać
 »i zjednoczyć; w przeciwieństwie między filozoficznym idealizmem
 »a pozytywizmem (które jest ważnym znamieniem naszego czasu),
 »ona ani przez popęd uczucia nie lgnie ślepo do pierwszego, ani
 »drugiemu zupełnej słuszności nie przyznaje, ale rozumie, że one
 »dopelniają się wzajem, i łączy, godzi je przez to, że je oddziela.
 »Religia i nauka zjednoczone, przeszkadzały sobie wzajemnie; roz-
 »dzielone, wzajem na siebie korzystnie wpływać będą. Uznaje
 »więc odrębność prawdy religii od prawdy poznania, i sądzi, że
 »ta odrębność powinna ich dawną, dziś zatraconą jedność zastą-
 »pić. Na ciernistej drodze życia miłość prawdy, miłość narodu,
 »serdeczna potrzeba łączności z ludem, szły spolem, nierozzer-
 »walnie«.

Nie wdajemy się w dyskusya, a jedną tylko pozwolimy sobie
 zrobić uwagę. Przypuśćmy, że to wszystko jest prawdziwe, trafne,
 z genialną intycją odkryte. Ale jeżeli nawet tak, to jest zawsze
 nie dowiedzione, bardzo dowolne. Na te kilka przykładów, czy
 typów polskiej natury niewieściej i jej różnicy od natury kobiet
 germańskich, możnaby odpowiedzieć równą liczbą przykładów,
 które równie dobrze dowodziłyby tezy przeciwnej, a tak samo jak
 te, nie wieleby dowiodły. Szkoda, że zamiast tych filozoficznych
 wywodów, może głębokich, ale niepewnych i hypotetycznych, autor
 przedmowy nie powiedział po prostu, w jakich okolicznościach i
 usposobieniu, w jakiej myśli i celu Gabriela które z dzieł swoich
 pisała, jak je pojmowała, co przez nie zamierzała. Tak robiąc,
 byłby może lepiej dzieła i postać autorki objaśnił, więcej do czy-
 tania dzieł, do zastanowienia się nad nimi zachęcił. S. T.

— P. Władysław Wszelaczyński, dyrektor Tow. przy-
 jaciół muzyki w Tarnopolu, wydał 93 stron liczącą broszurę »*O ży-
 ciu i utworach Fryderyka Chopina*«. Jest to w »szkie krytyczno-
 biograficzny« rozszerzony odczyt, miany w Tarnopolu w roku prze-
 szłym na cel dobroczynny. Nie częstym to objawem, żeby artyści
 i ludzie praktycznej uprawie sztuki oddani, zajmowali się sumien-
 nie historją sztuki i wszechstronne okazywali wykształcenie. Ztąd
 dla niejednego książeczka ta prawdziwą i miłą będzie niespodzianką.
 Lecz dla tych, którym znanym jest gorliwy i zasłużony dyrektor
 tarnopolski, a zarazem inteligentny, utalentowany i nader wy-
 kształcony pianista, należący do lepszych interpretów Chopina,
 nie będzie niespodzianką, gdy w pracy jego znajdą liczne dowody
 zrozumienia ducha mistrza, wejścia w myśli jego i z poetycznym
 zapalem a niekiedy trafnie słowami nakreślone obrazy nasuwa-
 jące się wobec utworów jego. Może w jednym punkcie zadaleko
 poszedł pelen zapалу komentator Chopina: oto gdy oburza się
 na tych, co śmiały twierdzić, że on »*form klasycznych*« sonaty ujął

nie umiał.« Wszak autor trochę dalej sam ze sobą wpada podobno w sprzeczność, wykazując, że Chopin »stworzył to, co zowiemy szkołą *romantyczną*.« — Ale nie podchwytnym wyrazów. Wszak cała praca świadczy o tak pięknej miłości, o tak wielkiem uwielbieniu dla geniuszu, którego i my wszyscy kochamy i uwielbiamy. Raczej podnieśmy jeszcze skrzętność, z jaką z rozrzuconych po różnych czasopismach i książkach wiadomości biograf umiał zebrać zwiezły a prawdziwy obraz żywota i charakteru wielkiego mistrza tonów, i choć to dziełko tylko popularne, albo dlatego właśnie, że popularne, cieszymy się, iż zostało napisanem ze znajomością rzeczy. Ciepło, jakie z niego wieje, zagrzeje niewątpliwie wielu czytelników. Szkoda tylko, że styl rozprawy grzeszy czasem pewną przesadą, niejasnością wyrażen i obrazów, a pod względem gramatycznym też nie jest bez zarzutu. T.

— Dr Edmund Krzymuski: *Wykład prawa karnego ze szczególnem uwzględnieniem ustaw austriackich*. Tom I. Część ogólna. (Kraków, 1885, str. 336). Dzieło, które mamy przed sobą, stanowi pierwszą część systemu prawa karnego, wyłożonego ze stanowiska ogólnego, czyli w ten sposób, w jaki uczeni w Niemczech zwykli wykladać prawo karne. Część dotychczas wydana obejmuje jedynie to, co stanowi istotę filozofii prawa karnego. Znajdujemy tu obszerny rozbiór teoryj karnych, a następnie filozoficzny rozbiór pytań o istocie przestępstwa i jego poczynności. Jestto w literaturze polskiej pierwszy tak obszerny i wyczerpujący traktat filozoficzno-karny, w którym znajdujemy rozembrane wszystkie po kolei systematy uzasadniające karę; a niezawodnie słuszną jest nowsza teoria, przyjęta przez autora, która prawo karania uzasadnia potrzebą społeczną. Przestępstwo jest naruszeniem porządku społecznego, a ztąd kara musi mieć na celu przywrócenie porządku prawnego. Sprawiedliwość zatem nie jest pojęciem absolutnem, ale zmiennem w czasie i przestrzeni. Rozbiór teoryj karnych dokonany przez autora, jasno uwydatnia różnicę pojęć, a krytyka jest sumienna i ścisła.

Nauka o przestępstwie i winie, znowu rozbiera przedmiot ze stanowiska abstrakcyjnej teoryi, i tu niekiedy zarzucilibyśmy zbytnią drobiazgowość, albo zaciekanie się nad pytaniami w sposób niezupełnie jasny, nie dający wprost odpowiedzi. Autor stawia (str. 179 nst.) różnicę między przyczyną a warunkiem, i rozbiera pytanie: dla czego dziad mordercy nie jest odpowiedzialny za morderstwo, kiedy przez zrodzenie ojca wpłynął na spełnienie czynu, i dowodzi, że spłodzenie ojca nie było przyczyną zbrodni, ale jej warunkiem (183). To pojęcie warunku jest zdaniem naszym fałszywe. Przyczyna pewnego faktu musi stać w bezpośrednim stosunku następstwa z nim, ale także warunek stać musi w bezpośrednim związku z czynem dokonanym, musi mu towarzyszyć; a więc nie może być warunkiem fakt nie mający z czynem bezpośredniego związku. Warunkami są okoliczności, wśród których

czyn spełniony został, a które wpływają na jego poczytalność, na stopień i wymiar kary. Może to miał autor na myśli na str. 203, gdzie mówi o warunkowości. W każdym razie fakta nie będące w bezpośrednim związku ze zjawiskiem, nie mogą być jego warunkami. Czy to nie przeszkodzi autorowi do jasnego określenia udziału w przestępstwie? — Podobnie niejasną wydaje nam się teorya o przestępstwach biernych. Autor pisze, że „aby opuszczenie jakiegoś działania mogło mieć charakter przyczyny pewnego skutku, musiało je poprzedzić spełnienie aktu pozytywnego, wytwarzającego jednocześnie siłę prowadzącą do owego skutku i równą jej siłę stawiającą opór jego powstaniu, a zasadzającą się na postanowieniu spełnienia w danym razie działania, które zostało opuszczone itd.“ (189—190). Tego nie można zrozumieć, a przykłady także nie wyjaśniają. Prawdą jest, że człowiek, któryby nie mógł sobie wyrzucić nic więcej prócz bezczynności, nie mógłby stać się winnym przestępstwa (str. 174), ale w przykładach podanych, drożnik nie wystawiający sygnału, nie odpowiada za to, że spełnił czyn pozytywny pójścia do karczmy, albo zaspiania, ale za to, że naruszył swój obowiązek i w czynach biernych zawsze tylko niespełnienie obowiązku jest przestępstwem i prowadzi do odpowiedzialności. — Takich niejasności jest jednak bardzo mało, a dzieło to przynosi nam jedną ważną nowość, pogląd filozoficzny, prawdziwie naukowy na zadanie prawa karnego. Na „wykład prawa karnego“ ta część filozoficzna jest chyba za obszerna, ale jako system prawa karnego, przynosi nam rzecz dla uzupełnienia nauki tego prawa bardzo użyteczną. Autor wyraża wątpliwość, czy napisze dalsze części swej pracy; byłoby to bardzo pożądane, tembardziej, że wszystkie główne kwestye prawne nie zostały jeszcze objęte w tym tomie, a zatem jeszcze część ogólna daleką jest od końca. J. K.

— W końcu marca odbył się w Wiedniu za inicjatywą galicyjskiego towarzystwa gospodarczego trzeci z rzędu *Austryacki Sejmik rolniczy*. Powodem do jego zwołania było obmyślenie środków pomocy dla rolnictwa austriackiego, zagrożonego konkurencją pozaeuropejską. Na wiecu tym, główny referat miał prof. Pilat Tadeusz z Lwowa, na pytanie: jakich środków na polu polityki cłowej i taryf kolejowych wymaga obecne położenie rolnicze. Referent w obszernej, 3 arkusze ścisłego druku obejmującej pracy, przedstawia, w jaki sposób konkurencya amerykańska i rosyjska oddziaływa na stosunki rolnicze austriackie, a to korzystając z bogatej literatury, jaką przesilenie rolnicze stworzyło w Europie. Przytem autor składa owoce własnych, samodzielnych studyów nad handlem zbożowym Austrii. Rezultatem tych studyów jest ścieśnienie zbytu w handlu zagranicznym i obawa konkurencji nawewnątrz, wobec cen, po jakich zboże amerykańskie może jeszcze z korzyścią być pozbywane w Europie. Ztąd też autor widząc zagrożone rolnictwo, przemawia za

zaprowadzeniem ceł, i popiera wnioski stawiane przez rząd dziś już uchwalone, dołączając do nich żądanie, aby przy sposobności odnowienia traktatu handlowego z Rumunią, znieść wolność od cła, jaka temu państwu przysługuje. Jedno w tym wywodzie wydaje nam się potrzebować uzupełnienia: — oto autor został nam dłużny dowodu, że zaprowadzone cło postawi rolnictwo austriackie w stanie wytrzymania konkurencyi z Ameryką, i że przynajmniej uchyli groźbę konkurencyi wewnętrznej. Bez tego jednak dowodu polityka cłowa państwa nie daje rzeczywistej rękojmi przyjscia z pomocą rolnictwu. Druga część odnosząca się do taryf kolejowych, niezmiernie jasno wskazuje pokrzywdzenie produkeyi krajowej przez taryfy dyferencyonalne. Po przestudyowaniu koncesyi różnych kolei, autor dochodzi do wniosku, że „państwo ma prawo zabronić przez ustawę wszystkim kolejom korzystniejszego traktowania produktów zagranicznych, aniżeli krajowych, i może zarządzić, aby korzyści przyznawane obcym produktom, były w równych warunkach rozeiągnięte także na produkta krajowego pochodzenia.“ Jeżeli przestudyowanie warunków koncesyi upoważnia do uznania tak doniosłego prawa państwa względem wszystkich kolei, to żałować przychodzi, że autor pomiędzy kilku bardzo praktycznemi wnioskami w sprawie taryf kolejowych, nie postawił na pierwszym miejscu żądania, aby taka ustawa była wydana, gdyż przez to samo niemal inne stawiane żądania znalazłyby dostateczne rozwiązanie. W ogóle referat p. Pilata odznacza się trafnością poglądu i opracowaniem nader sumiennem, i przynosi w tak ważnej sprawie przesilenia zbożowego wiele nowych faktów, ze względu na stosunki austriackie. Wszystkie wnioski autora zostały przez wiec uchwalone.

J. K.

— *Vaterland und Zeitalter des Awesta und seiner Kultur*, von W. Geiger (Sitzungsberichte der Akademie der Wissenschaften zu München, 1884). — Gdzie i kiedy żył naród, którego kulturę kreśli nam Awesta, księga święta wyznawców Ahura-mazdy i jego proroka Zaratusztry, dawno już o to się spierają uczeni iranologowie. Jeden z pierwszych dziś znawców Awesty, Wilhelm Geiger, ogłosił przed trzema laty bardzo ładną książkę p. t. *Ostränische Kultur im Alterthum* (Erlangen, 1882, VIII, 520). Opierając się na tekstach zendzkich, kreśli on tam przed nami kraj, w którym mieszkał ów szczep irański, jego życie prywatne i publiczne. Mamy tu więc całe obszernie rozdziały poświęcone stosunkom geograficznym i etnograficznym tego narodu; czytamy o jego życiu domowem, o wykształceniu i życiu umysłowem; o stosunkach gospodarskich, a wreszcie o stosunkach jego państwowych i społecznych. Jestto więc niejako *pendant* do znanej pięknej książki H. Zimmera: »Altindisches Leben.« — Książka ta znalazła u krytyków należne sobie uznanie, jakkolwiek w szcze-

gólach podniesiono pewne wątpliwości co do pojęcia tej kultury jako »wschodnio-irańskiej« i co do przecenionej może »starożytności« tej kultury. Na to odpowiada Geiger w pracy niniejszej, uzupełniając niejako w ten sposób książkę swą jeszcze jednym ciekawym rozdziałem. Opierając się na wielu danych, twierdzi on tutaj: 1) że naród, u którego powstała Awesta, mieszkał we *wschodnim* Iranie, a mianowicie w kraju od Ssyrdaryi na zachód aż do granic Medyi, a na południe aż do puszczy Gedrozyi; 2) że kultura Awesty jest bardzo starożytna, sięga bowiem czasów poprzedzających historią medyjsko-perską. Kultura Awesty jest, jak wiadomo, wzniosłością swojej nauki wyższą od najstarszej, wedyjskiej kultury Indów, — zdaniem Geigera jednak nie wyklucza to wcale możliwości, że jest ona równie jak ta starożytna; *indyjsey* bowiem Aryowie stali wyżej *poetycznie*, a równocześnie ich bracia *irańscy* mogli ich przewyższać *moralnie*. Bardzo wątpimy, czy praca ta zdola zakończyć spór naukowy, w którym między innymi biorą udział tacy znawcy, jak Harlez i Spiegel. J. II.

— Jednym z nader ważnych źródeł do dziejów obyczajowych zwłaszcza, do historii kultury i cywilizacyi wszystkich nowożytnych państw europejskich są besprzecznie opisy podróży cudzoziemców, a niekiedy i krajowców także, i relacye z dostrzeganych przez nich, często bardzo trafnych właściwości krajów i ludzi, zamieszkujących takowe, przed trzema lub dwoma wiekami albo i przed niecałym jeszcze stuleciem. Nic większego kolorytu, więcej przyprawy że się tak wyrazimy nie dodaje historycznemu opowiadaniu o pewnej epoce, jak cytaty, zwykle bardzo barwne i obrazowe, zaczerpnięte z tego rodzaju opisów podróży, krajów, ludzi, obyczajów, często drobnostek najmniejszych, które cudzoziemiec albo i krajowiec turysta najłatwiej spostrzegął i tem skwapliwiej zapisywał, im więcej przy braku innego celu one mu w oczy wpadały i myśl jego wyłącznie zajmowały. Im więcej takich opisów podróży w wieku XVI, XVII. lub XVIII. kraj jaki posiada, tem historia jego kultury zwłaszcza i obyczajów wyraziściej i barwniej nakreślona być może, tem te wszystkie najdrobniejsze i całkiem nieraz blahe szczegóły plastycznie przedstawić pozwalają cały charakter kraju i ludzi w pewnej epoce i tem tło do tej epoki żywszem się staje i więcej w pamięć się wbija. Ale im też takich relacyi więcej, im przez tę ich ilość łatwiej sądy różnych ludzi o narodzie pewnym w pewnej historycznej dobie zebrać i ze sobą porównać, a z nich dopiero swój własny, względnie bezstronny sąd sobie wyrobić — tem ostrożniej czerpać z nich należy, tem skrupulatniej badać wszystkie okoliczności, w jakich autor po kraju podróżował, powody jego podróży, łatwość jej nieraz albo trudności nienuiknione, humor wreszcie i charakter zwłaszcza podróżującego, a w znacznej też części jego aprioryczne, przychyłne albo niekorzystne dla zwiedzanego kraju usposobienie. Należy koniecznie, zanim

mu się na słowo uwierzy, wiedzieć naprzód co to za człowiek, dlaczego i wśród jakich okoliczności on relację swoją spisuje, czy chce mówić prawdę, czy też pochlebiać albo w złych barwach rzecz całą przedstawiać. Dalej: czy on wrażliwy czy obojętny, czy dobrze czy źle dla zwiedzanego kraju i jego mieszkańców usposobiony — czy wróg zmuszony do podróży czy przyjaciel różowo wszystko widzący — i tym podobnych mnóstwo całe modyfikujących albo obostrzających cały opis okoliczności. Dopiero z takim bezstronnem o autorze przekonaniem można jego relację za źródło dziejowe uważać, i stosownie do tego o nim sądu, krytycznie i ostrożnie zeń czerpać. U nas w Polsce niestety opisów takich i relacji niezmiernie mało. Na wiek XVI. kilka zaledwie, i to skąpych niezmiernie wśród relacji nuncyuszów Stolicy Apostolskiej albo innych tak nielicznych zagranicznych ambasadorów się znajdzie. Turystów właściwych i w XVII. wieku jeszcze u nas nie spotkamy prawie, w XVIII. zaś kilku może tylko a i to mało znaczących. Są za to na wiek XVII. inne nieocenione choć nieliczne niestety relacje. Jest jedyna w swoim rodzaju „Podróż królowej Maryi Gonzagi“ przez towarzyszącego jej do Warszawy dworzanina Jana Lelabouréur — jest charakterystyczny i pod względem kolorytu barwny jak rzadko dziennik podróży tego szlacheica holenderskiego Ulyka von Verdum, który z księdzem de Paulmiers za króla Michała po Rzplitej podróżował i pomagał mu w jego konszachtach z polskimi paniami na rzecz księcia St. Paul de Longueville. Ale kto — dla przykładu tu przytoczone, — zna te dwa najważniejsze dla historii polskiej XVII. wieku cudzoziemskie opisy, kto poznał dobrze ich autorów i okoliczności w jakich Polskę zwiedzali — ten wie dobrze jak krytycznie sądzić należy to co oni o nas mówią, jak jednego pochwały a drugiego narzekania i obmowy łagodzić i modyfikować trzeba. Dla przykładu też tylko o tem wspominamy i dla dowodu, jak pożądanem i u nas byłoby takie krytyczne opracowanie tego rodzaju opisów, bodaj w ten sposób tylko na razie dokonane, jak poprzedzający wydanie Werdumowego Dyaryusza wstęp o autorze, przez Prof. Lińskiego umiejętnie obrobiony. A im u nas brak niestety takich opracowań większy, — choć samychże opisów tylko tak nie wiele posiadamy — tem więcej cenić się musi zagraniczne tego rodzaju prace, podróżnikom dawnych wieków po Europejskich państwach poświęcone. — Takim to nowem, ściśle naukowym dziełem, obdarzył świeżo Francję P. Albert B a b e a u pracą p. t. *Les voyageurs en France depuis la Renaissance jusqu'à la Révolution* (Paris, Didot — 1885 — in 12^o, 433 p.) Jak ważnem i potrzebnem tego rodzaju opracowanie i tam się wydało, dowodem najlepszym historyczne dzieła, posługujące się cytatami z dawnych po Francji podróżników, tendencyjnie i niekrytycznie zwykle wybranymi a stwierdzać niby mającemi naprzód urobiony sąd autora. Najwięcej pod tym względem ucierpiały

bezwątpienia ostatnie czasy tak zw. l'ancien Régime, — a tu głównie Michelet i cała jego szkoła za wzór ujemny służyć mogą. Oni to z dwóch albo trzech cytatów zręcznie a skrupulatnie wybranych wysnuwają owe czarne obrazy chwil przedrewolucyjnych we Francji, a zwłaszcza nędz wszelkiej rzemieślniczej ludności po miastach, i wiejskiej, na roli pracującej. Takie zdania luźno wyrwane i jako świadectwo z pewnego autora przytoczone, często przez tegoż samego o kilka kartek dalej w innych słowach bywają zbijane — a najczęściej sąd pewien, z jednego opisu zaczerpnięty, innym, w przeciwnym znowu kierunku często przesadnym, zmodyfikowanym i do prawdziwych rozmiarów przywiezionym być musi. Największy nawet wirtuoz w tego rodzaju pracy, H. Taine, w swych „Origines de la France Contemporaine“, nie ustrzegł się zawsze grzechu pod tym względem, — a jego cytaty tak barwne i obrazowe, z opisów takiego Artura Younga n. p. zaczerpnięte, niekiedy całkiem przeciwnymi z tegoż samego autora parafrazowaćby można, gdyby się nie wiedziało, że tymrazem w gruncie rzeczy historyk genialny ma rację i że tylko niekiedy nadto jaskrawych farb na jeden punkt nagromadził, ażeby go tem dobitniej uwydatnić i broniąc l'ancien Régime, tem czarniej Rewolucyi zniszczenia przedstawić. — I otóż dziś pod tym właśnie względem nowa książka P. Babeau prawdziwą ma wartość dla historycznej krytyki. We wstępie do swego dzieła streszcza autor naprzód wszelkie wiadomości o sposobie podróżowania w dawnych czasach, jakie tylko mógł z całego mnóstwa najpoważniejszych książek zaczerpnąć; dalej podaje ogólny obraz miast i wsi, rozbiera wartość sądów różnych podróżników o oznakach bogactwa albo biedy, o obyczajach, zwyczajach i charakterze mieszkańców. W 31 rozdziałach samejże swjej cennej pracy streszcza P. Babeau i krytycznie komentuje opisy całego zastępu dawnych podróżników, Francuzów i cudzoziemców, zwiedzających królewską Francją, z których wielu całkiem nieznanym, ale znaczna za to liczba, utworzona z osobistości, w historyi na drugich planach albo i na pierwszorzędnej arenie występujących. Trudno tu streszczać całej pracy autora. Wymienić zaledwo można ważniejsze imiona znakomitych podróżnych, których dzieł analiza dokonana przezeń została. Z Francuzów więc widzimy tam Montaigne'a, panią de Sévigné i panią d'Aulnoy, Lafontaine, Chapellego i Bachaumont, ojców Marténe i Durand, J. J. Rousseau i wielu innych. Cudzoziemskie nazwiska mówią chyba jeszcze więcej od francuskich. Zinzerling naprzód i Sterne, Smolett i Henryk Walpole, Franklin i Swinburne, znany dobrze i tak wysoko ceniony Artur Young, a obok nich Rigby, Karamzin, Alfieri, Goethe, aż do największych zatem i najgłośniejszych. Każdego z tego mnóstwa podróżników, z których tylko dla przykładu nazwiska kilkunastu zaledwo przytoczyliśmy, charakteryzuje autor dosadnie i bezstronnie, sądzi z głęboką i sumienną krytyką

wartość dzieł samych i opisów bodaj najkrótszych, określa skrupulatnie doniosłość spostrzeżeń o krajach i ludziach w relacjach tych zawartych — a w końcu same te spostrzeżenia, wybrawszy najwybitniejsze i najciekawsze, zestawia obok siebie zapomocą autentycznych cytatów i sąd własny na podstawie tych przykładów poddaje jeszcze pod osądzenie czytelników. Wszystkie niemal najrzadsze nawet relacje nie są tam pominięte, a choć tu i ówdzie pewne luki zaznaczyć można, choć braki naturalnie na niejednem miejscu wykazać się dadzą — to jednak razem wzięwszy całość przedstawia się prawie wyczerpująco, a takie w niej mnóstwo napotykamy razem zebranych i osądzonych wrażeń, faktów i wiadomości o dawnej Francyi, że sama już ta jedna zaleta książki dla szerszego nawet koła czytelników nader ją zajmującą czyni. Rozdział ostatni dzieła poświęca autor porównaniu między kulturowym i ekonomicznym stanem królewskiej Francyi a współczesnemi stosunkami Europy całej, zaczerpniętymi z podobnych opisów jak te, które materiały do jego pracy tworzyły. I porównawczy obraz ten bezstronny nie wypada w końcu weale na niekorzyść osłabionego stanu nędzy i niedoli klas niższych a upadku i zepsucia wyższych w monarchii czterech z rządu francuskich Ludwików, ale dowodzi przeciwnie, że nędze tesame i tesame zepsucia, a i tezsame zarazem strony dodatnie w każdym niemal stuleciu historyi w innych tylko objawach i stopniach wszędzie się spotykają, gdzie ludzie swemi występkami i cnotami robili to, co historia zapisała, i co wszędzie zarówno osądzić winna. I oto dla dziejopisarstwa francuskiego główna zaleta i wynik ciekawej książki, o jakiej nieco dłuższą notatkę godziło się nam podać — zaznaczając zarazem raz jeszcze, że i dla nas praca tego rodzaju i wdzięczną bardzo i dla badań dziejowych wiele korzystną nam się być wydaje, że zaś plon jakiby ona przyniosła, i poszukiwania nieznanych dotąd o dawnej Polsce relacji cudzoziemskich, jakieby się z pewnością znalazły, opłaciłyby sownie podjęcie tego rodzaju trudnej zrazu bezwątpienia, ale wdzięcznej pracy.'

J. M.

— *Dialoghi di Platone, travolotti da Ruggero Bonghi.* Volume V: Cratilo. (Roma, 1885, Svo pp. XXXIX, 412). — O wielkiem znaczeniu tego przekładu mówiliśmy już nieraz. Nowy tom (właściwie *szósty*, bo czwarty był podzielony na dwie grube części, mogące uchodzić za tomy samodzielne) przewyższa poprzednie wszystkie, nie stylem, bo ten zawsze jest znakomicie wykończony, zawsze *omnibus numeris absolutus*, lecz niezwykłą trudnością zadania, któremu tylko człowiek genialny sprostać może. Kratylós jest rozprawą o znaczeniu słów, pełną subtelnych a często ciemnych dociekań, najeżoną etymologiami greckimi, na których polegają dalsze wywody. Przyzna każdy, że przetłómaczyć 138 etymologii (tyle ich mniej więcej naliczyliśmy) w sposób taki, aby czytelnik nie umiejący po grecku, mógł przeczytać to

z pożytkiem, a nawet upodobaniem, jest zadaniem prawie niepodobnym. To też o nie rozbily się usiłowania wszystkich tłómaczy, czy że zachowali etymologie greckie, czy zastąpili je odpowiedniami słowami i aluzjami z mowy ojczyźstej. Bonghi trudność tę pokonał, zachowawszy w tekście wyrazy greckie, a pod tekstem podawszy odpowiednie etymologie włoskie, bardzo trafnie dobrane. Wartość zresztą wydania nie jest w samym przekładzie. Jak w innych dyalogach, tak i w *Kratylu* uwzględnił wydawca *wszystko*, co napisano kiedykolwiek o Platonie, zwłaszcza w Niemczech, Anglii i Francyi. Dzięki tej metodzie, jest skromnie zatytułowane »*Proemio*« (p. 1—184) historią studyów nad *Kratylem*, jakie w różnych czasach ogłosili filolodzy najznakomitsi; a liczne przypiski (p. 336—412) zawierają krytykę poprzedników, oraz wyluszczenie powodów, dla których nieraz od nich odstępował autor włoski. Materyał naukowy przez niego zebrany, jest tak bogaty, z tak genialną krótkością streszczony, tak przejrzysto rozłożony, a sam przekład tak wierny a piękny, że każdy filolog radzić się jego powinien. Przewyższa on niezmiernie cztery przekłady klasyczne, które szerszej dostąpiły sławy, *łaciński* Marsiliusza Ficina, *francuski* Wiktora Cousin'a, niemiecki Schleiermacher'a, *angielski* Jowett'a. Wśród nich jaśnieje Bonghi, mówiąc z Horacym, *relut inter ignes luna minores*.

Każdy dyalog Platona poprzedza długi list dedykacyjny, w którym Bonghi rozwija swoje teorya filozoficzną o przedmiocie traktowanym przez greckiego mędrca. Widocznie we Włoszech pleć piękna więcej filozofuje od mężczyzn, skoro samym paniom Bonghi przypisuje tomy swoje. Obecny poświęcony hrabinie Maricchia Arese, a list cały jest o powstaniu mowy. Zasługują na uwagę trafne argumenta, któremi autor zbija teorya Darwina o tym samym przedmiocie. My niestety dotąd nie mamy przekładu Platona, któryby choć zdaleka dal się porównać z pracą włoskiego filozofa, a dopiero wtedy będziemy go mieli, gdy u nas także znajdą się panie, które nietylko pozwolą sobie przypisać, lecz także z zajęciem przeczytają podobną pracę. *S. P.*

— *Bulletino di Archeologia Cristiana*. Serie Quarta. Anno Terzo 1884—1885. (Roma. Fasc. 1^o). — Słynne czasopismo Jana Chrzeciela De Rossi wychodzi bardzo nieregularnie, czasem nawet przez rok cały nie daje znaku życia. Dziwić się temu nie można, skoro wydawca pisma jest zarazem jedynym jego współpracownikiem, a zajęty tysiącem robót ważniejszych. Racya zaś, dla której p. De Rossi sam pisze wszystkie artykuły, jest ta, że uważa *Bulletino* za sprawozdanie z prac i odkryć własnych. W istocie *Bulletino* od r. 1863, kiedy ukazał się pierwszy numer, umieszczało tylko sprawozdania o katakombach lub kościolach rzymskich, a wyjątkowo tylko o odkryciach robionych poza Rzymem. Służyło poniekąd jako uzupełnienie do wydanych tomów wiekopomnych »*Rzymu Podziemnego*« (*Roma Sotterranea*), bo każdy

w niem artykuł, krótszy czy dłuższy, albo poruszał kwestye mające być obszerniej traktowane w tomach następnych wielkiego dzieła, albo rozwodził się nad przedmiotami, które nie mogły tam znaleźć pomieszczenia dla względów formalnych. Mimo tych niedostatków, robiących *Bulletino* niepodobnem do żadnego z czasopism istniejących, a wystawiających często cierpliwość abonentów na niesłychane pokusy, każdy numer nowy miłą jest niespodzianką, może dlatego, że spada niespodzianie, kiedy się już zupełnie zwątpiło, o dalszem istnieniu pisma. A niespodzianka tem miłsza, że wynagradza długie czekanie nader cenną treścią. Nie stanowi pod tym względem wyjątku zeszyt obecny, który jest pierwszym tego roku a zarazem i przeszłego, bo przez r. 1884 nie wychodziło. Czytamy w nim rozprawę »O wierszach S. Damazego« (*I carmi di S. Damaso*), która jest prawdziwym klejnotem erudycyi starożytnej (p. 1—29). Większą jej część odczytał p. De Rossi w grudniu przeszłego roku na obchodzie jubileuszowym, ku czci wielkiego papieża, który jak nikt drugi zasłużył się przyozdabianiem i restaurowaniem katakumb. Wiadomo, że obdarzony żylką poetyczną, pisywał epigramy na cześć męczenników, pochowanych w katakumbach lub bazylikach rzymskich, a ozdobnem pismem wyryte, pounieszczał je nad ich grobami. Napisy te, mające wartość nieobliczoną dla historii i topografii kościelnej pierwszych wieków, bo poeta w tyarze korzystał ze źródeł dziś ztraconych, a nawet z ustnych relacyi ludzi, którzy osobiście znali ostatnich męczenników za Dioklecjana, po większej części zaginęły podczas napadów Gotów i Longobardów lub późniejszych klęsk, spadających na Miasto wieczne w ciągu wieków średnich. Kilka tylko doszło nas oryginalów całych lub połamanych, ale szczęściem posiadamy odpisy, robione od w. VI—XI przez pielgrzymów pobożnych. Odpisy te rozproszone są po różnych średnio-wiecznych itineraryach i zbiorach epigraficznych, a ciągle odkrywają się nowe, jak to stało się w r. 1881 w bibliotece Ermitażu pod Petersburgiem. Ztąd nowe wydanie wszystkich napisów papieża Damazego nieodzownie potrzebne, a wielką radością przejęła nas wiadomość, że sam De Rossi zamierza go dokonać w drugim tomie swoich *Inscriptiones Christianae*, którego pierwsza część już jest pod prasą. W tem wydaniu także filologowie dla ciekawości swojej znajdą strawę obfitą, bo św. Damazy nad miarę rozkochany w Wirgiliuszu, chętnie jego wiersze naśladował. Jedna z jego pieśni np. tak się zaczyna: *Tityre, tu fido recubans sub tegmine Christi* itd. Co za mnóstwo nowych konjektur wciśnie się do Wirgiliusza, gdy ukaże się poprawne wydanie jego naśladowcy!

Druga rozprawa p. De Rossi (p. 44—54) zajmuje się odkryciami, zrobionemi w pobliżu starej Kartaginy. Znalazł tam Delattre ruiny obszernej bazyliki i setki grobów chrześcijańskich, z licznemi napisami i rzeźbami. Jedną z nich, wyobrażającą Zwiastowanie N. Panny, rozbiiera De Rossi szczegółowo,

porównywując jej motywa artystyczne z podobnemi w katakumbach św. Pryscylli i na słynnej ambonie w Salonice, a odnosi utwór do wieku IV po Chr.

Nareszcie protokół z posiedzeń *della Società di cultori della cristiana archeologia* (p. 32—43) ogłoszony przez sekretarza Horacego Marucchi, dowodzi, że instytucya ta młoda, bo dopiero dziewięć lat licząca istnienia, świetnie się rozwija, pomimo bolesnej straty, poniesionej w osobie prezydenta O. Luigi Bruzza. Na znak żałoby, stowarzyszenie zawiesiło posiedzenia swoje przez listopad i grudzień r. 1883, poczem obrawszy prezesem swoim p. De Rossi, odbyło od 13 stycznia do 20 kwietnia r. 1884 siedm posiedzeń, na których wielu słynnych uczonych rzymskich lub zagranicznych, chwilowo bawiących w Mieście wiecznem, bardzo ważne robili komunikacye. Gamurrini np. odkrył dzieło dotąd nieznanne św. Hilarego z Poitiers *De mysteriis* i Opis podróży do Ziemi św. z końca czwartego wieku. Oba rękopisy już oddane zostały do druku. Marucchi odkrył pod Rzymem przy *Via Labicana* cmentarz żydowski z bardzo ciekawemi napisami greckimi i hebrajskimi. Prof. Kraus przedłożył świetną monografią o freskach biblijnych bazyliki w *Reichenau* i wydanie fotografowane tak zwanego *Codex Egberti* z obrazami historyi ewangelicznej, a nadto rozprawił o kilku przez siebie odkrytych niesłychanie ważnych pergamenach z czasów cesarzy Ottonów. De Rossi zdawał sprawę o nowych odkryciach w katakumbach Domicylli, a nie było posiedzenia, na którem nie oglądano lub nie dyskutowano mniejszych przedmiotów wydobytych z niewyczerpanego gruntu rzymskiego, jak napisy, klejnoty, pieczęcie, lampki itd. Krótkie to streszczenie ostatniego numeru *Bulletin'a*, dowodzi, że archeologia chrześcijańska z niezmnniejszonym zapalem uprawiana jest w Rzymie, a tak wielka jej część skupia się w osobie p. De Rossi, że słusnie do sprawozdań swoich potrzebuje osobnego czasopisma.

S. P.

— *Berichte über die Verhandlungen der k. sächsischen Gesellschaft der Wissenschaften zu Leipzig.* — Ostatnie dwa roczniki rozpraw wydziału filologiczno-historycznego lipskiego Towarzystwa Naukowego, zawierają wiele ciekawych rzeczy, nietylko dla lingwistów, lecz i dla filologów zajmujących się historią literatury, historią sztuki itp. I tak na czele rocznika 1883 r. stoi niewielka lecz ciekawa praca G. Vogta p. t. »Ueber die Lucretia-Fabel und ihre literarischen Verwandten.« Motyw ocalenia czystości dziewczęcej lub wierności małżeńskiej przez ofiarowanie życia mógł powstać tylko u narodu, stojącego już na wysokim stopniu cywilizacji i moralności. Dlatego szukać za nim należy nie w bajkach i podaniach Wschodu, lecz u narodów klasycznych i chrześcijańskich. U Greków nie występuje on jeszcze tak wyraźnie, jak u Rzymian i w legendach chrześcijańskich. W dziejach męczeństwa np. mamy ten motyw w legendzie o św. Pelagii; podobna

zaś legenda o św. *Eufrazji* jawi się w przeróbkach na nowellę mniej lub więcej świecką w rozmaitych stronach świata. Na Zachodzie mamy ją po raz pierwszy u kronikarza pruskiego Dusburga, a jeszcze wyraźniej w rymowanej kronice Mikołaja z Jeroszyna (1331—1341), kiedy opisuje najazd Łokietka na ziemię brandenburską. Jak się ona tutaj dostała, niewiadomo. Z odrodzeniem nauk klasycznych występuje znowu na pierwszy plan bajka o rzymskiej *Lukrecji* u Dantego, Petrarki i innych aż do Szekspira. Niektórzy zaś starzy poeci i nowelliści włoscy i francuscy, kombinowali bajkę rzymską z legendą chrześcijańską. — Dla lingwistów są tu nader cenne dwie prace gramatyczno-syntaktyczne K. Brugmanna, a w roczniku 1884 ciekawa praca Leskien a o indoeuropejskim partykule *am* w deklinacji. W tym samym tonie są dwie prace Windischa z literatury iryjskiej; Ebert pisze o poemacie anglosaskim »Sen o krzyżu świętym«, a Heinze o Prodikosie z Keos. Fleischer wzbogaca tu trzema pracami językoznawstwo arabskie, a dla historyi sztuki nie bez znaczenia będzie zapewne praca Heydemanna »Analekten zu den Kunstdarstellungen aus der Niobesage« (1883) i Springera: »Ueber den Physiologus des Leonardo da Vinci« (1884). J. II.

— *Slawo-deutsches und Slawo-italienisches* von Hugo Schuchardt. (Graz, 1884, str. 140 — 4^o). Nader ciekawa ta praca, traktująca o sławizmach w języku niemieckim i włoskim, ma formę listu do Prof. Fr. Miklosicha, z powodu niedawno obchodzonego jubileuszu 40 letniej jego działalności na polu slawistyki. Początek przynajmniej i zakończenie zwrócone są osobiście do jubilata, zresztą zaś cała ta obszerna praca zawiera nader bogate spostrzeżenia dotyczące się języków mieszanych, i to głównie w obrębie monarchii austriackiej. Autor tej pracy, profesor uniwersytetu w Grazu i nader ceniony badacz na polu romanistyki, zastanawia się najpierw wogóle nad przyczynami mieszania językowych. Zdaniem jego, nie ma języka, któryby nie miał w sobie nieco obcych elementów. Wpływ języków obcych poczyna się zwykle od indywidualów, mówiących dwoma językami, i rozszerza się następnie wśród całej okolicy, a nawet całego społeczeństwa mówiącego jednym jakimś językiem. W ten sposób powstają takie języki mieszane, jak czesko-niemieckie »kucheldeutsch« lub słowieńsko-włoskie i kroacko-włoskie dialekty koło Tryestu i w Dalmacyi. Literatura więc dziennikarska i pisemka humorystyczne, w których kucharki, służący, furmani itp. mówią zwykle jakimiś żargonami, dostarczają autorowi wybornego materiału. Poważniejszy rodzaj literatury, jaki tu autor uwzględnia, stanowi kroacko-włoska poezya starych pisarzy dubrownickich z wieku XVI i XVII, jak Marulić, Mažibradić, itp. Zresztą korzystał Schuchardt nie tylko z materiału, zawartego w słownikach i dziełach lingwistycznych, lecz nadto zebrał sam i przez znajomych niemało ciekawych faktów językowych, i to nawet z poza granic Austrii. Opierając się więc

na tak bogatym materyale, wykazuje najpierw, jakim zmianom ulegają pewne słowiańskie *dźwięki* w ustach Niemców i Włochów, następnie jakie *wyrazy* czeskie, słowackie i słowieńskie napotykają się w rozmaitych gwarach niemieckich; dalej jakie wyrazy słowieńskie i serbsko-kroackie przyjęły się w gwarach włoskich; a wreszcie jakim zmianom ulegają rozmaite *formy* wyrazów słowiańskich w takich mieszanych dyalektach niemieckich i włoskich. Zwraca on też często uwagę na język niemiecki Szląska, Prus i Łużyc, wykazując wpływ języka polskiego i łużyckiego. Rozumię się, że nie jest to jeszcze praca przedmiot zupełnie wyczerpująca, pobudza jednakże bardzo do dalszych szczegółowych na tem polu badań. Szkoda tylko, że forma listu nie pozwoliła autorowi uczynić tę rzecz nieco przejrzyściej, a temsamem łatwiejszą do użytku.

W zakończeniu podaje Schuchardt parę uwag *pedagogicznej i politycznej* treści. Przyłącza się on do zdania tych pedagogów, którzy sądzą, że języka obcego najlepiej się można nauczyć bez pomocy języka ojczystego, a co do stanowiska politycznego, zwraca się do Niemców i Słowian austriackich ze słowami pojednania. Wykazuje on, że Słowianie i Niemcy pod niejednym względem nawzajem na siebie wpływali, w kulturze jednak stosunek pomiędzy nimi jest tensam zupełnie, co pomiędzy szczytami germańskimi a romańskimi. »Niemcy i Słowianie — czytamy tutaj — są jakby ojcowie i synowie; tu dojrzałość, tam świeżość. Niemcy nie mogą się przyzwyczaić widzieć Słowian już dorosłymi, ci zaś używać swej wolności z prawdziwem umiarkowaniem; krótko mówiąc, zwyczajne nieporozumienie między ojcami a synami!« (str. 138). Dalej przyznaje on, że Niemcy są w ogóle za mało obeznani ze stosunkami słowiańskimi, ale taksamo o Niemcach mało jeszcze dotychczas wiedzieli Francuzi. Zachęca więc swych rodaków, by bez uprzedzenia starali się bliżej poznać literaturę Słowian; ich poezya ludowa — czytamy — już dawno zyskała sobie powszechne uznanie, mniej dotąd się wierzy w ich poezya sztuczna, a i nauka także coraz się bardziej rozwija u Słowian. »Niejedna przyjemna niespodzianka oczekuje takiego, który jak ja — pisze autor — jako całkiem początkujący przestąpi granicę słowiańską. Tak kolosalnych dzieł jak Jungmanna (słownik czeski) i Lindego nie widziałem dawniej nawet okładek, a bogatych publikacji południowo-słowiańskiej Akademii (w Zagrzebiu) nawet nie przeczuwałem nigdy!« Cóżby dopiero powiedział autor o nieznanym sobie widocznie publikacjach naszej krakowskiej Akademii Umiejętności! W apostrofie końcowej zwraca się do Miklosicha jako do »duchowego łącznika dwu wielkich narodów« i wita go jako »zorcę pojednania pomiędzy Słowianami i Niemcami.«

J. II.

— Schäffle: *Die Aussichtslosigkeit der Socialdemokratie.* (Tübingen, 1885, s. 112.) Przed dziesięcioma laty tensam zna-

komity uczony wydał był *Die Quintessenz des Socialismus*, broszurę, która doczekała się wielu wydań i była tłumaczona na wiele języków, a między innymi na polski. Wielkie wrażenie tamtej broszury polegało na zimmem przedstawieniu niepodobieństwa wykonania zamiarów partji socjalno-demokratycznej, na wykazaniu, że idea socjalnej demokracji nie posiada warunków urzeczywistnienia. Spokojne rozważanie przedmiotu, uchylanie wszelkich uprzedzeń i rozpatrywanie kwestji według najkorzystniejszych dla jej pomyślnego rozwiązania stosunków, obok tego, że autor w nauce jest znanym zwolennikiem reform socjalnych i gospodarstwa wspólnego, sprawiły, że ta krytyka surowa socjalnej demokracji tak wielkie wywarła wrażenie. W wydanej obecnie broszurze, dawny austryacki minister handlu rozbiiera w 3 listach do przyjaciela a członka austryackiej Rady państwa tensam przedmiot, w uzupełnieniu poprzedniej swej pracy. Przynosi nam ona nieco więcej i nieco mniej niż poprzednia. Dodatnią jej stroną, że krytykę rozciąga nie na samą ekonomiczną stronę, ale poddaje jej cały system socjalno-demokratyczny ze stanowiska moralnego, społecznej i państwowej organizacji i rozbiiera poglądy socjalnych demokratów na religią, na małżeństwo, na ustroj państwowy i na stosunki ekonomiczne, i wszędzie wykazuje braki i niepodobieństwo oparcia na tej podstawie trwałej budowy publicznego życia. Najtrafniejsze uwagi dotyczy zawsze ekonomicznej strony, i z tego powodu drugi list uważamy za najbardziej przekonujący. Broszura przynosi nieco mniej o tyle, że w niej pisarz mniej spokojny i że mimo swej strony krytyczno-naukowej wygląda raczej na program polityczny. Można by sądzić, że autor, który czas jakiś zajmował wybitne stanowisko w Austrii, rozbiiera wielkie pytania dotyczące socjalizmu, liberalizmu, religii, wyborów i inne, nie dla samej krytyki, ale że stawia on zarazem program ekonomiczno-polityczny. Czyby to być miało ze względu na wybory? Nie śmiemy twierdzić. Gdyby tak było i gdyby istotnie Schöffle zamierzał wstąpić znowu w Austrii na arenę politycznego życia, byłoby to niemałą zdobyczą dla prawicy, pozyskanie siły takiej miary, w osobie jednego z najzdolniejszych ministrów epoki Hohenwarta. Program nowy Schöfflego jest zupełnie programem politycznym, uznającym potrzebę zbliżenia do Niemiec, godzącym się w teorii na zjazd Skierniewicki, poglądy jego społeczne i polityczne pragną spokojnego rozwoju wszystkich a więc i sprawiedliwości dla narodów i społecznych reform w duchu prawicy. Przyjaciele byłego ministra powinni by mu otworzyć pole do działalności politycznej w Austrii, gdzieby mógł po raz wtóry odegrać znakomitą rolę.

J. K.

— *Österreichisches Staats-Lexikon* von Dr D. Rauter. Handbuch für jeden Staatsbürger der Reichsrathsländer. (Wien, 1885 — Verlag von Moritz Perles). — Życie konstytucyjne, udział ludu w ustawodawstwie państwowem i krajowem, współ-

działanie w zarządzie spraw krajowych, powiatowych i gminnych, współdziałanie w sądach przysięgłych, umiejętne korzystanie z praw wyborczych przy wyborach do wyższych ciał reprezentacyjnych — wymagają, jak autor słusznie w przedmowie podnosi, znacznego zasobu wiedzy i wykształcenia politycznego. Ale także i dla tych osób, które zajmują się zjawiskami życia państwowego i społecznego tylko na podstawie literatury peryodycznej, dziennikarskiej, znajomość najważniejszych czynników życia publicznego jest niezbędna.

Tej właśnie potrzebie ogólnego politycznego wykształcenia ma odpowiadać niniejsze dziełko i rzeczywiście znajdujemy w niem najpotrzebniejsze wiadomości z dziedziny austriackiego prawa konstytucyjnego i administracyjnego, karnego i cywilnego, z dziedziny szkolnictwa i wojskowosci, gospodarstwa narodowego i statystyki, a nawet niektóre ważniejsze wiadomości z węgierskiego prawa państwowego.

Daty statystyczne dotyczące liczby ludności, podane są przeważnie na podstawie ostatniego obliczenia ludności z dnia 31 grudnia 1880 r. Całe dziełko ma układ słownikowy, i autor tą właśnie formą usprawiedliwia zbyt zwięzłe przedstawienie rzeczy; natomiast przy pojedynczych artykułach wymienia dzieła i broszury, w których można znaleźć bliższe i więcej naukowe objaśnienia. Atoli te wskazówki literatury, jakkolwiek bardzo pożądane, są zarazem bardzo niedokładne, i w razie, gdyby to dziełko dalszych wydań się doczekało, winny być rozszerzone i uzupełnione.

Zyczeniem autora jest, jak sam się wyraża, aby dziełko jego przyczyniło się do rozszerzenia jasnych politycznych pojęć i prawdziwej znajomości państwowych urządzeń, i aby tym sposobem zaspokoilo główny wymóg samodzielnego politycznego zdania i skutecznego udziału ludu w prawodawstwie i administracji państwa. Atoli ten właśnie cel dziełka niniejszego nie będzie osiągniętym, i to z dwóch powodów. *Po pierwsze* jest ono zanadto elementarnem, iżby zastąpiło tę wiedzę i wykształcenie polityczne, jakie do udziału w prawodawstwie i rządzie jest niezbędnem — *powtóre* tendencya polityczna tego dziełka jest zanadto stronnicza i temsamem nie może się przyczynić do wyrobienia samodzielnosci politycznego sposobu myślenia. Autor występuje jako zwolennik lewicy w terażniejszym parlamencie, czyli dzisiejszej opozycji. Tak n. p. w artykule »Partei« znajdujemy takie określenie klubu zjednoczonej lewicy czyli partyi liberalnej: »Stronnictwo to uważa za swe zadanie, bronić zasad liberalnych tkwiących w ustawach zasadniczych i wytworzyć zarząd państwa w myśl tych zasad; do tej partyi należy prawie cała inteligencya Niemców austriackich.« Definicya ta z dwóch względów fałszywa: po pierwsze nietylko lewica, ale i inne partye dążą do urzeczywistnienia zasad zawartych w ustawach zasadniczych, powtóre nieprawdą jest, jakoby cała prawie inteligencya niemiecka do niej należała.

Zgodne z tą tendencją są uwagi autora podnoszące konstytucyę Schmerlingowską (Februarpatent) i uwagi o dyplomie październikowym, definicye liberalizmu i klerykałizmu; liberalne stronnictwo zowie on także konserwatywnem, pod pozorem, iż ono dąży do utrzymania w mocy tęższych urzędzeń państwowych (Ob. artykuł »Conservativ«), a zarazem twierdzi, że wyraz »konserwatywny« w Austrii ma równe znaczenie, co »wsteczny« i »klerykałny,« gdyż stronnictwo konserwatywne dąży tylko »do jak największego sprzyjania szlachcie i duchowieństwu.«

W artykule p. n. »Parlament« spotykamy takie uwagi: »System parlamentarny« polega na tem, iż każdorazowe ministerstwo bywa utworzonym z pośród większości parlamentarnej — ale w Austrii jest możebnem, iż ministerstwo obala większość parlamentarną; może to się stać dlatego, ponieważ *deputowani z większej własności ziemskiej, w ogóle rzeczy biorąc, przyłączają się do każdego nowego ministerstwa*; jeżeli więc ta grupa deputowanych przyłączoną będzie przez dotyczące ministerstwo do liberalnego stronnictwa w Izbie niższej, to istnieje w Izbie deputowanych liberalna większość; jeżeli zaś owa grupa przyłączoną zostanie do zjednoczonych grup narodowych i klerykałnych, to powstaje klerykałno-narodowa większość w Izbie deputowanych. Większość w Izbie panów da się dowolnie tworzyć przez nowe nominacye. *»Ten antiparlamentarny stan rzeczy będzie trwał tak długo, dopóki Polacy odgrywają rolę w parlamencie austryackim.«*

Z przytoczonych zdań widzimy, jak mętne są pojęcia polityczne autora. Mimo to artykuły treści politycznej nie są bez wartości, mianowicie te, które się opierają na tekście ustaw, jak np. sankeya pragmatyczna, dyplom październikowy i patent lutowy. Artykuł »Verfassung«, który miał zawierać objaśnienie ustaw zasadniczych państwa, jest opracowanym nadzwyczaj pobieżnie. Artykuły prawnicze zawierają tylko elementarne wiadomości.

Daleko większą wartość mają artykuły odnoszące się do administracyi rządowej i szkolnictwa, najlepiej zaś opracowane są artykuły z dziedziny wojskowości i ekonomii politycznej; można przypuszczać, iż autor miał fachowych współpracowników.

Książka cała drukowana sposobem słownikowym w dwóch szpaltach, ma format malej ósemki i liczy zaledwie 326 stronnice. Cena 4 zlr. 80 ct. jest bardzo wygórowana. Potrzeba takiej książki jest niezbędną i autor bądź co bądź potrzebie tej na razie zaradził; ze względu jednak na podniesione powyżej zarzuty, oraz ze względu na zbyt wielką tego dzieła treściwość i zwięzłość życzyć sobie należy, aby wydano leksykon gruntowniejszy, bez tendencyi stronnictw, i mający większą wartość zarówno pod względem naukowym, jak i dla życia praktycznego. *Czyżby nie można wydać takiej pracy zbiorowemi siłami i w języku polskim?* Nasza autonomia i ustrój reprezentacyi naszego kraju wymagają tego niewątpliwie i to tem więcej, iż dotychczas nie posiadamy podręcznej

encyklopedyi umiejętności prawniczych, odpowiedniej naszym potrzebom i stosunkom.

Dr J. Moser.

— *Das moderne Kriegsrecht der civilisirten Staatenwelt*, systematisch dargestellt von Professor Peter Resch, Inhaber und Director der Handelslehranstalt in Marburg a. D. (Graz und Leipzig. — Verlag von Ulr. Moser's Buchhandlung, 1885. — Większa ósemka. — Stron VIII i 94. Cena 1 zlr.). — Profesor Resch, wydawca popularnego wykładu austriackiego prawa wekslowego ¹⁾, opracował i ogłosił drukiem niedawno wykład prawa narodów p. t. »Das europäische Völkerrecht der Gegenwart« ²⁾. Obecnie mamy pod ręką część tego ostatniego dzieła, wydaną w osobnej odbitce jako wykład »nowożytnego prawa wojennego państw cywilizowanych.«

Autor przedstawia na wstępie powstawanie sporów międzynarodowych i załatwianie takowych w drodze porozumienia lub przez pomoc własną bez wojny, a w szczególności skreśla pokrótce następujące środki pomocy własnej bez wojny: odwet (retorsya), środki odporne (repressalia), embargo i blokadę. Po tym wstępie następuje właściwa treść książki, podzielona na dwie części.

Część pierwsza zawiera rys właściwego prawa wojennego i rozpada się na 3 rozdziały, z których pierwszy określa istotę i rodzaje wojny, pojęcie prawa wojennego, stron wojujących i widowni wojny, oraz rozpoczęcia wojny; rozdział drugi omawia stosunki prawne wywiązujące się w czasie wojny, jakoto: 1) bezpośrednie skutki rozpoczęcia kroków wojennych, stan wojenny osobowy i środki wojenne dozwolone oraz niedozwolone; 2) prawa stron wojujących pod względem osób nieprzyjacielskich (jeńców, zbiegów, szpiegów, zdrajców, przewodników, rozbójników, włóczęgów i rokoszan) i pod względem rzeczy nieprzyjaciela w wojnie lądowej i morskiej (prawo zdobyczy morskiej, ograniczenia takowego i sądownictwo zaborcze), i 3) utrzymywanie wzajemnych stosunków pomiędzy stronami wojującymi; — wreszcie w rozdziale trzecim przedstawione są stosunki prawne połączone z zakończeniem wojny, zawarcie pokoju i postliminium.

Część druga obejmuje rys prawa neutralności, a mianowicie 1) neutralności w ogóle, 2) prawa państw neutralnych w ogólności, a pod względem handlu w szczególności, tudzież ograniczenia spowodowane przez blokadę zarządzoną ze strony państw wojujących, 3) środki stron wojujących przeciw nadużywaniu neutralności i środki państw neutralnych przeciw nadużyciom stron wojujących, a mianowicie prawo rewizyi, wykonywanie sądownictwa

¹⁾ Das österreichische Wechselrecht. Zum Gebrauche an höheren Handels- und Gewerbeschulen, sowie auch für den Handels- und Gewerbestand und zum Selbstunterrichte leicht fasslich erläutert. (Verlag von Carl Gerold's Sohn, Wien. Broschirt.) (Cena 3 zlr.).

²⁾ Cena 2 zlr. 80 ct.

zaborczego (Prisengerichtsbarkeit) przeciw państwom neutralnym, nadzwyczajne środki ostrożności stron wojujących na szkodę państw neutralnych, i środki odporne tych ostatnich.

Autor opiera się głównie na słynnych dziełach Bluntschlego: 1) »Das moderne Kriegsrecht der civilisirten Staaten« (Nördlingen, 1866), — 2) »Das moderne Völkerrecht der civilisirten Staaten als Rechtsbuch dargestellt« (3 Auflage, Nördlingen, 1878) i na zbiorowym wydawnictwie: »Bluntschli's Staatswörterbuch«, dalej na klasycznym dziele Hefftera »Das europäische Völkerrecht der Gegenwart auf den bisherigen Grundlagen.« Siebente Ausgabe, bearbeitet von Dr F. H. Geffcken, o. Professor des öffentlichen Rechtes an der Universität Strassburg (Berlin, 1882); a w dziedzinie prawa morskiego opiera na gruntownym dziele tajnego radcy admiralicyi Perels'a »Das internationale öffentliche Seerecht der Gegenwart« (Berlin, 1882).

W przedmowie usprawiedliwia autor wydanie pracy niniejszej, która wobec dzieł Bluntschlego mogłaby się wydawać zbytęczną, tą uwagą, iż Bluntschli połączył w swoim wykładzie prawo międzynarodowe rzeczywiście obowiązujące z prawem teoretyczną, które według jego zdania obowiązywaćby powinno. Resch stara się w książce swojej przedstawić jedynie prawo rzeczywiście obowiązujące — atoli i on nie zdołał się uchronić od wyrażenia tu i owdzie poglądów teoretycznych, co zresztą wobec braku kodeksu międzynarodowego jest nieuniknionem. Wykład Rescha nie jest wprawdzie wyczerpującym, nie wszystkie definicje i przykłady są odpowiednie, ale jako wykład popularny zasługuje na rozpowszechnienie, zwłaszcza iż uwzględnia nowszą literaturę prawa narodów i odznacza się stylem jasnym i zrozumiałym. Zewnętrzna strona książki ozdobna.

Dr J. Mor.

Przegląd polityczny.

Kraków, w kwietniu 1885 r.

Dnia 16 b. m. zebrał się Komitet zajmujący się postawieniem pomnika A. Mickiewicza, pod przewodnictwem prezydenta miasta Dra Szlachtowskiego. Po odrzuceniu zrobionych przez niektóre osoby rozmaitych propozycji niestawiania pomnika, ale uczczenia pamięci Mickiewicza w inny sposób, wyraził Komitet sądowi konkursowemu wbrew słabej opinii swoje uznanie i uchwalił wypłatę nagród. Co już sąd konkursowy był wypowiedział, że z pomiędzy nadesłanych modeli żaden wymaganiom piękna i charakterowi narodowemu zupełnie nie odpowiada, uznał także i Komitet.

Zrobiła się zatem oczekiwana i przewidywana próżnia, którą p. Matejko nowym, przez hr. Artura Potockiego przedstawionym projektem zapelniał. Po poprzednim poufnym porozumieniu się marszałka Zyblikiewicza z p. Matejką, który uznawszy sam dwa poprzednie swoje projekta za niewykonalne, ułożył nowy, tenże na wniosek hr. Artura Potockiego przyjętym został. Sposób zaś wykonania tego projektu porucił Komitet wybranej i z sześciu członków składającej się komisji pod przewodnictwem p. Matejki, z zastrzeżeniem ostatecznego przyjęcia go przez Komitet. Do tej komisji wybrano marszałka Zyblikiewicza, prezydenta miasta Dra Szlachtowskiego, hr. Artura Potockiego, hr. Konstantego Przeddzieckiego, p. Prylińskiego i prof. Dra Maryana Sokołowskiego. Na tem stała obecnie sprawa pomnika Mickiewicza.

Rada państwa, jak przewidywano, dnia 22 b. m. rozwiązana została. Od 2 do 15 czerwca mają być wybory do nowej Izby deputowanych skończone. Przypominamy tę ważną chwilę, od której na długi czas losy naszego kraju zawisły. Wiernokonstytucyjni nie zaniedbają z pewnością niczego, aby się na wierzech znowu wydostać. Jakby się szczególnie naszym odplacali za doznane upokorzenia, na to niepotrzeba dowodów. Nikt się tedy nie powinien spuszczać na pewnośc zwycięstwa, bo to prowadzi do zaniedbania sprawy i opie szalności, a jedna i druga do przegranej, któraby teraz stać się mogła klęską dla kraju. Ustęp mowy tronowej odnoszący się do regulacyi rzek galicyjskich, przychylną o tej sprawie czyni wzmiankę, co dobrą na przyszłość jest wróżbą, byleśmy tak w wyborach jak w Radzie państwa sami na upadek jej nie narazili.

Gdyby nie ostatnie smutne rozbitcie się prawicy, byłaby i mowa tronowa może inaczej wypadła. Ale to, co w niej znaleźć się nie mogło, jak to co w niej jest, mówi nam bardzo wyraźnie, że na przyszłość naszym najlepszym sposobem działania jest utrzymanie i wzmocnienie dzisiejszego systemu i dzisiejszego rządu: zatem przy wyborach celem i zadaniem wzmocnienie, powiększenie głosów prawicy w Radzie państwa. A dość wymownie także upominają nas o to manifesta lewicy. W tym duchu działać mają obowiązek komitety wyborcze, mające w ciągu maja główną swoją czynność rozwinąć.

W krajach rosyjskich ucisk Kościoła katolickiego nie ustaje, a co gorsza, demoralizacya i korrupcyja z góry podsycana i protegowana, straszną gotuje przyszłość. Od chwili, kiedy znany Dudzik, Benedyktyn z Morawii, wniósł się bez dostatecznej znajomości położenia w sprawy Kościoła katolickiego w Rosyi, zaczął rząd rosyjski coraz natarczywiej nastawać na zaprowadzenie języka rosyjskiego do dodatkowego nabożeństwa katolickiego, a mianowicie używania go w kazaniach. Ponieważ Rosyan katolików niema, bo nader rzadkie wyjątki nie mogą tu wchodzić w rachubę, przeto zaprowadzenie języka rosyjskiego do tych nabożeństw nie może mieć innego znaczenia, jak użycie religii za środek polityczny rusyfikacyi ludności mówiącej innemi językami. Czyż Kościół może na

to zezwolić, aby religii używano za narzędzie do celów ziemskich, a często nawet moralnie niedozwolonych? Gdyby w Rosyi wolno było przechodzić z prawosławia do Kościoła katolickiego, miałoby to wymaganie przynajmniej sens, bo luboby nie usprawiedliwiała potrzeby prawienia po rosyjsku do tych, którzy jeszcze nie należą do Kościoła katolickiego, mogłoby jednak posłużyć do ich nawracania. Lecz, dopóki ten, który się do Kościoła katolickiego nawrócił, jak ten, który go nawrócił, zarówno są karani, do czegoż innego może posłużyć kazanie w języku rosyjskim, jeśli nie do rusyfikacyi zapomocą religii? Do oddawania takich usług mocarzom ziemskim nie wyprawil Zbawiciel świata swoich apostołów.

Rząd zatem rosyjski, nie mogąc skłonić władzy kościelnej do popierania jego zamiarów, zaczął kusić pojedynczych duchownych do buntowania się przeciw zwierzchności kościelnej i zaprowadzania w swoich kościołach języka rosyjskiego na własną rękę. Środków zaś do tego celu używał obliczonych na słabość ludzką przez branie w opiekę każdego kapłana, który sobie zasłużył na karę, i przez nagradzanie tego buntu podwyższeniem pensyi o 600 rubli. Pewność bezkarności i żądza zysku są silnemi dla słabej istoty pokusami. Że im zatem kilku lub kilkunastu kapłanów uległo, jest bolesnem, ale zadziwiać nie powinno. Chrystus Pan zostawił nam przerażającą przestrożę w Judaszu. Kto się bliżej zapoznał z instytucyą plebanów rządowych w „Kulturkampfe“ pruskim, zrozumie łatwiej i lepiej ten rosyjski sposób kuszenia i uwodzenia ludzi. Rzecz tasama, choć w innej formie i wśród całkiem innych okoliczności. To postępowanie rządu rosyjskiego jest tak okropne, tak ciężko obrażające wszelkie zasady przyrodzonej nawet etyki, iżby w jego prawdziwość trudno było uwierzyć, gdyby nie było tak oczywistych i w oczy bijących dowodów, jakie list metropolity Gintowta zawiera, pisany do ministra spraw wewnętrznych Tolstoja i w rozmaitych dziennikach publikowany. Rzecz jest notoryczną, dlatego przemilczeć jej nie śmiemy, a za publikacyę takich dokumentów pozostawiamy odpowiedzialność innym. List ten zawiera przerażające szczegóły znane powszechnie, na których zdanie nasze opieramy. Gdy do me-

tropolity Gintowta doszły skargi i zażalenia tego rodzaju na kilku duchownych, a obok tego wykroczenia podpadające pod kodeks karny z dyecezyi mińskiej jego pieczy powierzonej, prosił ministra Tolstoja o pozwolenie udania się do tejże dyecezyi, aby szerzeniu się złego zapobiedz. Minister tego pozwolenia odmówił i tym sposobem zapewnił bezkarność tym wszystkim duchownym, którzy weszli na drogę bezprawia i buntu. Są zatem biskupi katolicy i w Rosyi, ale podobnie jak w Prusach, *in vinculis*. Niespodziana śmierć X. Wnorowskiego, biskupa lubelskiego, jest w obecnych okolicznościach ciężkim ciosem dla Kościoła polskiego.

Ciekawy wydarzył się przypadek w Węgrzech w przedmiocie dyspensy małżeńskiej. Wiadomo powszechnie, ile to w przeszłym roku kosztowało wysilenia, aby przyjętą już w drugiej Izbie węgierskiej ustawę o mieszanych małżeństwach chrześcian z żydami, w Izbie magnatów odrzucić. Byłato niewątpliwie, jak wiele innych, sprawka ułożona przez *Alliance Israélite*. Nie jest wprawdzie koniecznem następstwem tych usiłowań prawodawczych przypadek p. barona Poppera, Żyda i hrabianki Castrone, katoliczki, ale mimowolnie nasuwa się pewien związek wewnętrzny pomiędzy tą zaciętą walką parlamentarną a tem projektowanem małżeństwem. Czego Żydzi wspólnie z liberałami na drodze prawodawczej dokazać nie zdołali, chcieli osiągnąć w sposób praktyczny na pojedynczym przypadku i zapomocą dyspensy przykład małżeństwa takiego stawić wszystkim przed oczy. Jakkolwiek wyjątek i do tego nader rzadki z reguły, nie zmienia tejże, ale ją owszem utwierdza, to przecież w takim położeniu, jakie jest w Węgrzech, gdzie sobie Żydzi tak niesłychaną zdobyli przewagę, byłby niewątpliwie przez dzienniki liberalne w sposób im właściwy na niekorzyść Kościoła katolickiego i konserwatywnego stronnictwa był wyzyskany.

Baron Sandor Popper z Podraghy, syn jednego z większych plutokratów żydowskich i dziedzic rozległych włości w Węgrzech, zaręczył się był z hrabianką Blanche Castrone, katoliczką, której rodzina majątkowo podupadła. Gdy ani jedna ani druga strona zmienić religii nie chciała, udała się panna Castrone do Papieża z prośbą o udzielenie dyspensy. Jak się zwykle w podobnych dzieje przypadkach, tak się

stało i w obecnym. Papież zażądał przede wszystkim poddania się warunkom przez Kościół przepisany i zabezpieczającym stroną katolicką tudzież spodziewane potomstwo, jako to: aby strona akatolicka nie przeszkadzała stronie katolickiej wypełniać powinności religijnych, wychować potomstwa w wierze katolickiej itd. Panna Castrone podpisała odpowiedni protokół wobec arcybiskupa paryskiego, gdyż mieszka w Paryżu, a p. Popper wobec prymasa węgierskiego. Lecz poddanie się tym warunkom, uroczysta obietnica sumiennego ich dopełnienia w przyszłości nie pociąga za sobą koniecznie następstwa, że dyspensa udzieloną być musi, — jestto raczej umożliwieniem jej uzyskania. Do jej udzielenia potrzebne są przyczyny słuszne i ważne, dla których osoby zabierające się do stanu małżeńskiego, istotnie potrzebują tego wyjątku z pod przepisów prawa kościelnego. Te przyczyny Papież dopiero egzaminuje i ocenia, czy są takiej wagi, aby zdołały usprawiedliwić taki wyjątek i stosownie do tego udziela lub odmawia dyspensy. Sam rozum powiada, że im surowszy przepis prawa, tem ważniejsze muszą być przyczyny do zwolnienia od niego, tem rzadsze udzielenie dyspensy.

Czy to z powodu mylnego rozumienia rzeczy, czy z chęci dokuczania tym stronnictwom, które w sejmie przeciw ustawie o mieszanych tego rodzaju małżeństwach głosowały, czy niepohamowaną żądzą miotania oszczerstw na Stolicę Apost., czy wreszcie z tych wszystkich pobudek razem, dość, że cała prasa liberalno-żydowska, a mianowicie węgierska, rozumiała, że przyjęcie i podpisanie przez obojga narzeczonych warunków przez Kościół postawionych jest w rzeczy samej dyspensą, i puściła tę fałszywą wiadomość w świat, że Papież dyspensy udzielił, a nadto, że za nią wziął 200,000 zhr. Jakkolwiek temu nikczemnemu oszczerstwu dodatkowemu nikt z rozsądnych nie dawał wiary, to jednak sama wiadomość o udzieleniu tej dyspensy, z apodyktyczną głośzoną pewnością, zrobiła w Węgrzech przykre niesłychanie wrażenie i wywołała wzburzenie i obalamucenie. Szczególnie wszystkie antisemickie organa podnosiły fałszywe przeciw Papieżowi oskarżenia i miotały nań obelgi bez końca, podsycając namiętności i tak już dla Żydów nieprzychylniej ludności. Liberali zaś, którzy czy z przekonania czy z powodu, że są na

żołdzie żydowskim, w to nie wchodzimy, podtrzymywali ową ustawę o mieszanych małżeństwach, używali tej wiadomości zapomożą przekręcań i sofizmatów na poparcie swego zdania. Te okoliczności tłómaczą nam wrażenie, jakie wiadomość o udzieleniu tej dyspensy zrobić musiała. Po niejakiem dopiero czasie wydało się, że wiadomość ta z najzupełniejszą pewnością podawana była zupełnie fałszywą, że Papież w tym przypadku udzielenia dyspensy odmówił. Katolicy odetchnęli z chwilowego przerażenia, a liberały zamilkli bez wstydu, bo do tego już niezdolni.

Że dyspensa tego rodzaju może być udzielona, nie ulega wątpliwości, albowiem zakaz ten nie spoczywa ani na wyraźnem przykazaniu boskiem, ani prawie przyrodzonym, ale na przykazaniu kościelnem sięgającym czasów apostołskich. Jakkolwiek Kościół może w tym razie dyspensować, to jednak z powodów, które sobie każdy chrześcianin sam łatwo wytłómaczyć zdola, udziela tej dyspensy nader rzadko i z przyczyn nadzwyczajnej wagi. W nowszych czasach zaszedł za długich rządów Piusa IX jeden tylko przypadek takiej dyspensy, lecz wśród innych okoliczności, bo małżeństwo to już było cywilnie zawarte i warunki, pod jakimi dyspensa się udziela, już były wypełnione, a nadto, prócz zaspokojenia sumienia strony katolickiej, były do jej udzielenia nader ważne powody.

Na honor p. Poppera nadmieniamy, że tenże pod dniem 4go b. m. z Wiednia datowanym, posłał oświadczenie do redakcyi dziennika *Italia*, który pierwszy kłamstwo o zapłacie 200,000 zhr. za dyspensę w świat puścił, że ani on, ani jego rodzina, ani ktokolwiek inny z jego polecenia ani jednego centa za poszukiwaną dyspensę nie zapłacił, że zatem wiadomość ta czystym jest wymysłem.

Uroczystość, zgotowana w dniu 1 kwietnia ks. Bismarkowi na siedmdziesięcioletnią rocznicę jego urodzin, a pięćdziesięcioletnią służby publicznej, wypadła, czego się było można spodziewać, tak w Berlinie, jak w innych miastach Niemiec, świetnie. Szczegóły podawały pisma publiczne. Kolosalny korowód z pochodniami, w którym około 10,000 ludzi miało udział i 7,000 pochodni się paliło, toczył się przed pałacem księcia wieczorem przez pięć kwadransy w wilię

samego jubileuszu. Nazajutrz rodzina cesarska z cesarzem na czele, inni książęta niemieccy, ciało dyplomatyczne, a potem wszystkie władze wojskowe i cywilne, uniwersytety, korporacje itd., składali kanclerzowi swoje życzenia, podczas kiedy bezustanku wozy pocztowe i ciężarowe przywoziły w wielkich pakach najrozmaitsze dary i upominki do pałacu. Do tego dodać należy nabycie zapomocą składek narodowych dóbr dziedzicznych Schöenhausen za blisko dwa miliony marek, od których rodzina Bismarków przydomek swój nosi, i oddanie mu ich na własność. Dobra te już od pięćdziesięciu lat były wyszły z rąk tej familii. Było pewno ze wszystkich najprzyjemniejszy dar dla księcia.

Kto pojmuje, co ks. Bismark zrobił w szczególności dla Prus, a w ogólności dla Niemiec w czasie swoich rządów najpierw jako prezes ministerstwa pruskiego, a potem jako kanclerz Niemiec, tego te wielkie rozmiary owacyi nie powinny zadziwiać. Odkąd Niemcy po doznanych ciężkich upokorzeniach przez Napoleona I zaczęły się z swego upadku dźwigać i ogólne uczucia narodowe w rozmaitych swoich szczepach budzić, było to jednym z najgorętszych ich życzeń, powiedzielibyśmy marzeń, dobieć się zjednoczenia Niemiec. O tem świadczy cała ich ówczesna literatura, ich poeci, filozofowie i politycy. Od młodzieży począwszy aż do wytrawnych mężów stanu było to pragnienie przedmiotem głównym ich myśli, uczuć i wyobraźni nieledwie, jak u nas myśl o odzyskaniu niepodległej Ojczyzny. Razem z rozwojem nauk i umiejętności wzrastało to uczucie i pragnienie. Tysiące ofiar uwikłanych w spiski i podziemne roboty, padło dla tej idei. Naród wielki, bogaty, światły i nieledwie przodujący w naukach, czuł się bezwładnym i nie miał żadnego znaczenia politycznego. Pojmował i czuł swoją siłę i wartość, swoją zdolność do odgrywania innej roli w świecie, jaką miał i pragnął jej się dobieć. Wszystkich jednak pomysły rozbijały się raz o potęgę Rosyi, drugi raz Francyi i o wewnętrzną niezgodę. Cóż więc dziwnego, że człowieka, który te wszystkie przeciwności pokonał, ich najgorętsze życzenia, ich uroczyste marzenia młodości spełnił, a spełnił w tak świetny sposób, iż ich wszelkie oczekiwania przewyższył, — cóż, mówimy, dziwnego, że takiego męża czczą, wielbią i prawie ubóstwiają? Nikt

się w takiej chwili nie pyta, ani zastanawia nad okolicznościami, jakie przeprowadzeniu tego wielkiego dzieła towarzyszyły, nad politycznym położeniem, które je umożliwiło, jednym słowem nad szczęściem, które mu sprzyjało; dość, że umiał z tego wszystkiego korzystać, że dokonał dzieła, którego nikt dokonać nie zdołał, dość, że zaspokoił ich życzenia, ich daremne i długie wyczekiwanie i zaspokoił je nad miarę, bo ich nadto okrył blaskiem potęgi i chwały. O takim zjednoczeniu żaden nawet z poetów, co o tej jedności śpiewali, nie marzył. Mają mu za co być wdzięcznymi. Dziwiłby się przeciwnie należało, gdyby naród tego nie uznał, gdyby mu nie był złożył odpowiedniego dowodu wdzięczności.

Rozumiemy zatem te uroczyste owacye i holdy. Lecz nie łudzimy się, że obok wielkich czynów, które w tych dniach tyle na kanclerza zwały blasku, niebrak i takich, które tę świetność grubym zachmurzają cieniem. Najpierw więcej niż jedna trzecia ludności, którą stanowią katolicy w Niemczech, nie wzięła w tych uroczystościach z nader małemi wyjątkami żadnego udziału i z zakrwawionem sercem na te tryumfy spoglądała. Taka boleść, której nawet entuzjazm patryotyczny ugoić, ani nawet na chwilę uśmierzyć nie zdołał, boć i katolicy niemniej gorąco od innych zjednoczenia Niemiec pragnęli, musi być tak dotkliwą, tak głęboką, iż się z niej całe pokolenia nie wyleczą. W samym zatem akcie uroczystego obchodu zdobytej w krwawych bojach jedności, zeszło już przez bohatera owacyi rzucone ziarno niezgody i rozdrożenia, które głębiej, niż wszystko inne, zwykło zapuszczać korzenie i ma za sobą niezaprzeczoną trwałość. Dziś zupełna nawet zgoda z Kościołem ran tych nie zagoi, podejrzania zostaną w ludności. Odwieczne tradycye dynastyi Hohenzollernów, nienawiści do Kościoła katolickiego, odświeżył ks. Bismark w tak rażący i dotkliwy sposób, iż z pamięci ludności katolickiej Niemiec nigdy nie wygasną. Dokonane zatem dzieło jedności zatrute jest w samym zarodzie zasiewem najtrwalszej niezgody, jakiej istota człowieka jest zdolną. Jaki ona w przyszłości owoc przynieść może, nie śmiemy przepowiadać, ale tyle jest pewną, że strawnym nie będzie.

Drugą okolicznością, rzucającą gruby cień na blask tego obchodu, jest nieobecność w czasie korowodu z pochodniami następcy tronu, który był na polowanie wyjechał. Cały program tego olbrzymiego korowodu na tem ucierpiał, bo owaące jakie miały być wykonane przed pałacem następcy tronu, musiały wypaść, z powodu, że pałac był nieoświetlony. Że nazajutrz następca tronu wspólnie z rodziną cesarską złożył kanclerzowi swoje życzenia, nie zmienia znaczenia tego uderzającego faktu. Do tego dodać należy, że następczyni tronu w tym czasie całkiem opuściła Berlin. Takie fakta nie są przypadkowemi i mają niewątpliwie swoją doniosłość. Prócz oczywistego względu na stosunek ks. Bismarka do rządu angielskiego, mogły ten wypadek spowodować inne jeszcze rachuby kanclerza przez następcę tronu i jego małżonkę przewidywane lub przeczuwane. Ks. Bismark bowiem czując, a raczej wiedząc, że u następcy tronu nie cieszy się tem bezwzględnem prawie zaufaniem, jakie ma u cesarza, mógł użyć tej właśnie chwili, w której, po ludzku sądząc, zmiana tronu nie daleka, do wywołania tej kolosalnej owaeyi dla siebie, aby naprzód wyrzucić nacisk moralny na przyszłego dziedzica korony i uniemożliwić mu wobec publicznej opinii całych Niemiec zmianę kanclerza. Czy tak jest lub nie, trudno odgadnąć, ale w każdym razie licuje to bardzo z przebiegłością kanclerza. Żyć pod takim naciskiem nikomu nie miło, a znosić go cierpliwie nie każdy jest zdolnym. Takie uczucia i refleksye mogą panować w rodzinie następcy tronu.

W tym samym dniu, w którym kanclerz te nadzwyczajne hołdy odbierał, musiał patrzeć na gorzkie owoce swej polityki wewnętrznej w Bielefeldzie, mieście nadreńskiem, słynącym z wyrobów płótna i liczącem przeszło 30.000 mieszkańców. Tam bowiem bezrobocie wywołało takie niepokoje i zaburzenia, iż im policya tamy położyć nie zdołała. Musiało wkroczyć wojsko, a nadto, aby nadal utrzymać porządek, ogłoszono stan oblężenia. Rozporządzenie to wyszło wprawdzie od miejscowej władzy, ale zostało przez ministerstwo potwierdzone, z czego wnosić należy, że te rozruchy znacznych nabrały rozmiarów. Chociaż te wypadki nie znajdują się w bezpośrednim związku z tą uroczystością i koincydencya czasu być może przypadkową, to jednak takie groźne objawy

i skutki polityki wewnętrznej tego, którego się pod niebiosa wynosi, nie licują bynajmniej z tak kolosalnemi holdami.

Nareszcie wystąpiło i stronnictwo religijne nawet i pomiędzy protestantami ze swojemi żalami i skargami, że nie godziło się Wielkiego tygodnia, w którym pamiątka Męki Pańskiej po nad wszystkim górować powinna, użyć do tak lucznych i hałaśnych uroczystości, że należało je urządzić albo przed albo po Wielkim tygodniu. Jakoż w niektórych miastach południowych Niemiec, gdzie ludność katolicka przeważa, tak sobie postąpiono. Jakkolwiek u protestantów nie ma czasów zakazanych, w których niewolno wesel odprawiać, o to jednak wierzący z pomiędzy nich czują niewłaściwość znieważania tych świętych pamiątek hałaśliwemi i krzykliwemi obchodami. Dziwną zaiste jest rzeczą, że w sercach tych nawet ludzi, którzy oddawna opuścili Kościół katolicki, ale zachowali resztki wiary, słusność i prawdziwość uczuć zawartych w przykazaniach kościelnych, mimowolnie oddźwięk znajduje. Jakoż prezydent policyi Berlina nie śmiał na własną rękę dać pozwolenia rozwinięcia korowodu z pochodniami i muzyką w tym czasie i odniósł się w tej mierze do ministra spraw wewnętrznych Puttkamera, a ten nie mając także tej odwagi, udał się do samego cesarza, który ostatecznie dał to zezwolenie.

Gawiedz berlińska skorzystała z tej okoliczności i w sam Wielki Piątek, który u protestantów jest największem świętem, w znanej restauracyi przy moście Szpandawskim takie sprośne i beczecne wyprawiała orgie, że nareszcie policya wkroczyć musiała. Do jakiego stopnia posunęły się te sprośności i beczecństwa, o których tu mówić nie śmiemy, można ztąd wnosić, że pisma liberalne, które je początkowo w imię wolności brały w obronę, musiały ostatecznie same przeciw tym wybrykom się oświadczyć. To są owoce przykładów z góry dawanych.

Po tak zaciętych walkach w sprawie kościelnej polityki w sejmie pruskim, nikt się nie spodziewał, że obsadzenie arcybiskupstwa Kolońskiego w krótkim czasie będzie miało nastąpić. Tymczasem podług wiadomości, jakie przyniosła *Germania*, jest już rzeczą pewną, że X. Kremeniz, biskup Warmiński, zostanie arcybiskupem Kolońskim, a dotychczasaso-

wy arcybiskup Melchers, powołany został z wygnania swego do Rzymu, aby, jak się spodziewają, odebrać kapelusz kardynański. X. biskup Kremeniz pochodzi z prowincyi nadreńskiej, był poprzednio proboszczem w Kobleneyi, w czasie, w którym tam przebywała cesarzowa Augusta, i używa nad Renem wśród ludności katolickiej wielkiej i zasłużonej więtości. Wybór ten dowodzi oczywiście, że rządowi pruskiemu chodzi o przejednanie ludności katolickiej nad Renem, kiedy się o tak miłą jej osobistość postarać umiał. Sprawiała to pewno bliskość Francyi. To nagłe i niespodziane przypodobanie się ludności nadreńskiej, będzie niewątpliwie w związku z polityką ogólną, o której mówimy niżej. Archidyecezya Gnieźnieńska i Poznańska daleko od Francyi, a sąsiaduje z Rosyą na nowo zaprzyjaźnioną z Prusami, dlatego rząd pruski nie myśli o obsadzeniu tej stolicy osobistością miłą tamtejszej ludności katolickiej, bo się z tej strony niczego obawiać nie potrzebuje. Lecz jeżeli Stolica Apostolska nie może się porozumieć z rządem co do osoby arcybiskupa, może zdoła inną drogę wynaleść do położenia końca tak długiemu osieroceniu tych archidyecezyj. Katolicy w Poznańskiem tem dotkliwiejby w tym razie swoje osierocenie uczuli, gdyby się ujrzeni osamotnionymi. Miejmy przeto nadzieję, że Papież razem z Kolońską, Gnieźnieńską i Poznańską dyecezyę zaopatrzy, jeśli nie zamianowaniem arcybiskupa, to przynajmniej administratorem. Jak ostatnie wiadomości donoszą, chce także Papież stosunki kościelne Kolońskie razem z Poznańskimi uregulować. Jeśli rząd w wyborze osobistości tak nieprzebyte stawia trudności, wydawałoby nam się rzeczą najprostszą, trzymać się dotychczasowej tradycyi prawnej i odwołać się do wyboru kapituł, jak się to z pomyślnym stało skutkiem w dyecezyi Limburskiej. Wszakże te korporacye, które się zrosły z duchowieństwem dyecezalnem, choć bardzo przereźdzone, zdołają jednak najwłaściwsze wynaleść osobistości, i tak Stolicy Apostolskiej, jak i rządowi dać pewne skazówki, które się przyczynią do ułatwienia wzajemnego się porozumienia.

Tę myśl lubo delikatnie i nieśmiało, jak to każdy katolik wyrozumié, poruszyliśmy jednak już kilkakrotnie w przeglądzie politycznym, cieszy nas zatem wiadomość, którą

w chwili kreślenia tych słów odbieramy, że ją w dniu 22 b. m. wypowiedział poseł Windhorst w sejmie pruskim i obszernie uzasadnił, przez co nabierze większego rozgłosu, a może przyniesie i owoc. Uczynił to wśród obrad nad swoim wnioskiem o zniesienie ustawy upoważniającej rząd do zatrzymania wyplat należytości duchownym katolickim d. 22 Kwietnia 1875 wydanej. Wniosek ten, prócz innych mniejszej wagi względów, miał głównie na celu przywrócenie wypłaty tych należytości archidiecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, albowiem wszystkim innym dyecezyjom monarchii już od roku wypłaca, a w Poznańskim zatrzymuje dotąd, aby tym środkiem „barbarzyńskim“ jak go Windhorst zowie, zmusić Papieża do obsadzenia stolicy Arcybiskupiej osobistością przez siebie wybraną. Poseł Windhorst dowodzi w swem przemówieniu obszernie, że to postępowanie rządu jest całkiem nieprawne, bo podług przepisów bulli „*de salute animarum*“ przysługuje prawo wyboru arcybiskupa kapitulom, a rząd może tylko założyć swoje *veto* przeciw osobom sobie niemylom (minus gratae personae), ale nie ma żadnego prawa prezentować swego kandydata Papieżowi. Co gorsza, wybranych przez Papieża kandydatów odrzuca, a upiera się przy swoim jedynym. Oczywiście ztąd następstwo, że rząd, pomijając prawo kapitul, drogą gwałtownego nacisku dobija się prawa nominacyi, które podług praw pruskiech nawet przysługuje Papieżowi. Rząd oświadczył się przeciw wnioskowi Windhorsta, a za nim poszli konserwatyści i narodowo-liberalni, przeto upadł. Takiemu samemu losowi uległ drugi jego wniosek o dozwole nie bezkarnego odprawiania Mszy ś. i sprawowania Sakramentów.

Tak parlament niemiecki, jak sejm pruski, już od 14 b. m. obradują, lecz dotąd nie ważnego w nich nie zaszło.

Podezas, kiedy ciężka klęska Anglików, utrata Chartunu, nie pociągnęła za sobą upadku gabinetu Gladstona, porażka Francuzów w Tonkinie, strąciła gwałtownie ministerstwo Ferrego. Mniejsza o to, że strąciła, ale sposób, w jaki się to stało, wśród gorączkowego i gwałtownego wzburzenia całej ludności, wśród febry nieledwie, jest groźnem i zapowiada okropną dla Rzeczypospolitej francuskiej przyszłość, jeżeli jakie nieprzewidziane zrządzenie Opatrzności tym rozhukany m bał-

wanom wyuzdanych namiętności tamy nie położy. Nie mamy powodu żałować Ferrego, ale nie możemy nie potępić sposobu, w jaki naród najwyższych urzędników swoich traktuje, na ten nawet przypadek, gdyby rzeczywiście pobłądzili w kierowaniu losami kraju, dopóki im istotnej winy nie udowodni. Czyż krzyki, wyzywania, spotwarzania, mają zastąpić sąd i orzeczenie o winie lub niewinności? Któż się z czasem odważy służyć ojczyźnie swej pod takimi okolicznościami, przy tak niesfornej reprezentacyi kraju i rozhułkanej ludności? Ferry doczekał się prędko za doznane obelgi niemej wprawdzie, ale wymownej satysfakcyi, że przez ośm dni musiano szukać następcy, nim się Brissonowi udało nowy rząd złożyć. Kto bowiem wie, z jaką gorączkową skwapliwością dobijają się we Francyi krzesel ministeryalnych, ten musi przyznać, że ostatnie wybryki wielki do tego urzędowania musiały obudzić wstręt, kiedy tyle doznano trudności w złożeniu odpowiedniego rządu. A jeśli się takie sceny powtarzać będą, czyż to na przyszłość ułatwi utworzenie rządu? Czyż konsekwentnie nie przyjdzie do tego, że wreszcie żaden porządny i poczciwy człowiek nie będzie się chciał tknąć steru rządu, aby swego honoru i poczciwego imienia na szwank nie narazić? A ztąd jakie następstwo? Niewątpliwie to, że najgorsze tylko indywidua, które nie pospolitego, ale swego szukają dobra i nie mają nic do stracenia, wypłyną na wierzch i zniszczą do reszty to, co jeszcze do zniszczenia pozostało.

O składzie nowego ministerstwa mało można powiedzieć. Najwybitniejszymi osobistościami w niem są Brisson i Freycinet. Całość jego jest wyraźnie czerwieńsza od poprzedniego, o tem nie ma najmniejszej wątpliwości. Jest to najoczywistszym dowodem na to, że Francya na pochyłości, na którą już weszła, spuszcza się coraz niżej w swoim rozwoju wewnętrznym. Dla zagranicy jest Freycinet jedyną rękojmnią, którego umiarkowanie jest powszechnie znane. Co do polityki kościelnej można tylko wnioski robić z przeszłości. Brisson i Freycinet są protestantami, a o ostatnim mówią, że jest zaciętym kalwinem. Brisson oddawna marzył o zupełnem odłączeniu Kościoła od państwa, a w takim razie trudno przypuścić, aby się nadal mógł konkordat utrzymać, chyba, że p. Brisson, przyszedłszy do władzy i ucewuszony

ciężar odpowiedzialności, zmieni to zdanie, jakie miał będąc w opozycji, co w takich przypadkach weale nie jest rzeczą rzadką. W istocie zaś nie jest to zmianą zdania, ale nabyciem lepszego przekonania, że sprawy tej nie można jeszcze bez narażenia państwa na nieprzebyte trudności i zawikłania naruszać, czego się z dołu tak jasno nie widzi, jak z góry. Mamy tego liczne przykłady w polityce ks. Bismarka. Wnioski zatem ztąd są zbyt ogólne, a temsamem niepewne, — trzeba czekać na czyny. Z oświadczenia Brissona, które złożył przy przedstawieniu Izbie nowego ministerstwa, także nie pewnego wnosić nie można. Jest ono bowiem w tak ogólne formy ujęte, że z niego każdy wszystko, co chce, wyczytać może. Brisson nazywa ministerstwo przez siebie złożone „ministerstwem pojednania i zgody“, ale czy w tem „pojednaniu i zgodzie“ są także sprawy Kościoła katolickiego objęte, któż to przewidzieć zdoła? W przedmiocie wojny z Chinami tasma niepewność. Powiada bowiem, że nowy rząd będzie obstawiał za prawami Francji na podstawie konwencji z dnia 11 Maja 1884 r., a gdyby nie miały zostać przyznane, w takim razie uznania ich orężem dobijać się będzie. Tesame prawie zapewnienia i zaręczenia powtarza o ogólnej polityce, że gdziekolwiek interesa Francji w grę wchodzić będą, nie omieszka ich z całą troskliwością dopilnować, a w końcu wzywa wszystkie demokratyczne stronnictwa, aby go wspólnymi siłami popierały. Z tego oświadczenia nikt się nie nowego nie dowiedział.

Jedno tylko jest ciekawem, a nawet uderzającym, że się w rządzie i narodzie wyraźnie przebija gorąca chęć zawarcia pokoju z Chinami, i to w chwili, kiedy głównie chodziło o ratowanie honoru oręża francuzkiego. Z tego wnosić należy, że Francji bardzo być musi pilno zakończyć wojnę z Chinami, jeśli pokój ten gotowa okupić kosztem tego honoru, bo bez wyczekiwania odwetu za doznaną porażkę. Pocóż tedy było tyle i tak głośno gadać o skompromitowanym honorze Francji? Późniejsze depesze potwierdzają rzeczywiście, że się układy o pokój z Chinami tężą. Jeśli tak jest, a dotychczas na to się zanosi, to w tym lub przyszłym roku można się wielkich i ważnych spodziewać wypadków. Francya chce mieć ręce wolne i gotowa tę swobodę działa-

nia drogo okupić, musi zatem przewidywać, że się w Europie kłują wypadki, wobec których nie chce być za żadną cenę skrepowaną. Że Niemcy dały Rosyi wszelką swobodę działania w Azji, pokazuje się z dotychczasowych wypadków, ale co natomiast Rosya Niemcom przyznała, o tem nikt jeszcze nie wie, i każdy gubi się w domysłach. Tyle tylko niewątpliwą jest rzeczą, że ks. Bismark trzymał się swej zasady: *do, ut des*, a zatem, że musi być jakiś przedmiot tego handlu czy nad Wisłą, czy nad morzem Północnem. Francya przeto nie chce, aby ją te wypadki zaskoczyły nieprzygotowaną. To tłumaczy i gwałtowny upadek Ferrego i gorące pragnienie zakończenia wojny z Chinami, a ze strony Prus niespodziewana gotowość uregulowania stosunków kościelnych w archidiecezyi Kolońskiej, o czem była wyżej już mowa.

Z wiosną zaczynają się ruszać tak na powierzchni ziemi, jak pod ziemią, widzialne i niewidzialne potęgi zwiastujące burzę, na którą się oddawna palny materiał zbiera. Gorączkowy niepokój zaczyna się objawiać wszędzie. W Wielkim tygodniu rozpoczęły się rozruchy nad Renem w Bielefeldzie i zmusiły rząd do zaprowadzenia stanu oblężenia mimo wyjątkowej ustawy przeciw socyalistom wydanej. Na szersze i groźniejsze rozmiary zaczynają się te ruchy we Włoszech, bo wszędzie, gdzie się objawiają, mają przymieszkę republikańską. Studenci uniwersytetu Turyńskiego dali hasło manifestacją irredentyzmu. Rząd zmuszony względami dyplomatycznymi tak na Francją, jak Austryą, wkroczył surowo i wydalil kilku przywódców tych zaburzeń, i środki te zdołałyby tę studencką swawolę poskromić, gdyby gniazdo złego było lokalnem. Lecz Włochy całe podminowane są licznymi i rozmaitemi odnogami karbonaryzmu i na każdym punkcie mają niewidzialną rękę, która niemi kieruje, wszędzie grunt do rewolucyi przygotowany, i czeka tylko na posiew czyli hasło. Z tej przyczyny przeniosły się te zaburzenia w krótkim czasie do innych uniwersytetów, a najcięższych wybryków z barwą republikańską dopuszczano się w Neapolu. Jak się dzieło zjednoczenia Włoch tajnymi spiskami dokonywało, tak temi samymi środkami rewolucyjnymi zbudowana monarchia upadnie. Od tejsamej broni zginą, jaką walezyli.

Ciągle i nieustannie wojowanie z Kościołem, a mianowicie z Papieżem dodaje mimowolnie siły podziemnym robotom wszelkiego rodzaju. Rzeczy te musiały już dojść do rozpaczliwego stanu, kiedy rada ministrów, którzy wszyscy wybowali się i wzrosli na łonie spisków, miała się chwycić radykalnego środka zamknięcia wszystkich uniwersytetów we Włoszech. Oto pierwsze i jeszcze niezupełnie dojrzałe owoce wychowania ateistycznego.

Groźniejszy jeszcze przybierają charakter ruchy agraryjne i bezrobocia ludu włosciańskiego, bo tu ma rząd do czynienia z masami przesiąkniętymi duchem rewolucyjnym, skłonni do wszelkiego rodzaju wandalizmu i ciągle podbechtywanymi, a wodzem ich nieubłagany i okrutny jest głód, który ostatecznie nie zna żadnego prawa ani niebezpieczeństwa. Na nieszczęście Włochy nie mają ustawy o koalicji robotników, która im daje jakąkolwiek obronę przeciw tym, którzy z ich pracy korzystają, każde zatem bezrobocie, każdy wiec w tym celu zwołany nie ma podstawy prawnej i naraża robotników na prześladowanie policyi, które znowu coraz większe wywołuje rozjątrzenie. Mimo tego odbywają się jednak wiece, na których zapadają uchwały żądające podwyższenia płacy, a przytem zawięzują się nowe spiski; skutkiem tego napady, rozboje w północnych Włoszech, a mianowicie w okolicach Mantuy. Policya aresztowała stu kilkudziesięciu, których uważała za przywódców, — ale cóż to pomogło? Takimi środkami rząd tego ruchu nie uśmierzy, owszem jeszcze go wzmocni i rozszerzy, bo do przyczyn niezadowolnienia dodaje rozjątrzenie, które jak każda namiętność, podniesie siłę i energię tego ruchu. Na nie się nie przyda gwałtem tamować objaw złego, a nie śmieć sięgnąć do jego przyczyny.

Ponad wszystkimi wypadkami góruje obecnie wisząca nad Anglią i Rosyą w środkowej Azji wojna, podług naszego zdania nieunikniona, bo gdyby się nawet udało wybuch jej na teraz jeszcze zażegnać, nastąpić ta jednak będzie musiało w niedalekiej przyszłości. Jakoż ostatnie depesze brzmią bardzo pokojowo, bo podobno cesarz Wilhelm zrobił w tej mierze carowi przedstawienie, ale sam bieg, czyli, jak lubią mówić, logika wypadków okaże się silniejszą od cesarza Wilhelma i cara. Spory graniczne są drobiazgami nie nie znaczącymi,

które mogą tylko posłużyć za okoliczność powodującą wybuch czyli za zapalkę. Interesa bowiem obu tych mocarstw mają bez wszelkiego porównania szersze i rozleglejsze rozmiary, a dalej jeszcze sięgające cele. Tu chodzi szczególnie Anglii o utrzymanie swego politycznego stanowiska w Europie i w całym świecie. Rozwój zaś potęgi rosyjskiej w środkowej Azji doszedł już do tego stopnia, iż naraża na niebezpieczeństwo żywotne interesa Anglii, nie potrzeba zatem daru proroctwa, aby starcie się tych dwóch mocarstw przewidzieć. Jeśli tedy te państwa albo jedno tylko z nich upatruje dziś dogodną porę do ukrócenia potęgi drugiego lub ubezwładnienia go na czas długi, natenczas wojna niechybna, chociażby sporów granicznych wcale nie było. Że zaś Rosya długo może czekać, albo wcale się nie doczekać pomyślniejszej nad dzisiejszą chwili do skutecznego uderzenia na posiadłości angielskie w Azji, nie jest dla nikogo tajemnicą. Trudno nam zatem przypuścić, aby Rosya, która ma swoje cele polityczne jasno wytknięte, z tak pomyślniej chwili korzystać nie miała. Ztąd wnosimy, że chociaż Anglia widocznie wojny nie chce i w obecnych okolicznościach chcieć jej nie może, przyjdzie jednak do niej, bo jej będzie chciała Rosya, a o zaczepkę, o wybuch, jakśmy to już widzieli, nie trudno, zwłaszcza zaś u Rosyan. Naiwnemi nam się wydają niektórzy dzienników francuzkich zdania ganiące Rosyą za to, że w wieku dziewiętnastym jeszcze o zaborach i zdobyczach myśli. A czyż to nie jest charakterystyką tego właśnie wieku? Zdaje się, że tacy ludzie prawie cały wiek przespali.

Odtąd zacznie Anglia sprzątać owoce swoich grubych błędów politycznych niepohamowanym egoizmem spowodowanych i swoich wyrafinowanych na Irlandyi i innych popełnianych okrucieństw przez całe wieki. Starcie się tych dwóch mocarstw w Azji przewidywano od dawna i tylko egoizm zaślepił Anglią, że tego niebezpieczeństwa widzieć nie chciała i za jakie takie ustępstwa handlowe pozwalała Rosyi zagony swoje coraz dalej zapuszczać. Pomijając haniebne opuszczenie sprawy polskiej, która jej tylokrotną podawała zrzęcnosć do ukrócenia potęgi rosyjskiej, zwracamy uwagę na zdobycie przez Rosyą Kaukazu, czemu Anglia sprzeciwić się była powinna, bo to był pierwszy krok ku Indyom. Posia-

dając już Sybir posuwała się Rosya prostemi i nieprostemi drogami naprzód tak, iż w krótkim czasie chanowie Chiwy, Bukhary i Merwu mimo silnego oporu dostali się jednak pod panowanie knuta. Nie dla własnej przyjemności tylko, choć się do niej zupełnie przyznajemy, ale dla objaśnienia tych spraw i tych dwóch polityk, przypominamy naszym czytelnikom znakomity artykuł prof. Czernego o *Rosyi w Turkiestanie*, ogłoszony w naszym piśmie w październiku i listopadzie roku zeszłego, a dziś podwójnie zajmujący i dobry do przeczytania. Pod pozorem „wypraw naukowych“ szli Rosyanie szybko ku Afganistanowi, a tuż za nimi Kozacy, za każdym zaś ich krokiem podnoszono w gazetach angielskich krzyk na Rosyą, ale nie więcej; w ostatnich jeszcze czasach minister Gladstone raczył cara na swoim okręcie śniadaniem pod Kopenhagą. Teraz dopiero, kiedy Rosyanie wszystkie drogi wiodące do Indyi opanowali i dotarli aż do Afganistanu, ostatniego przedmurza Indyi, wołają: „Herat jest kluczem do Indyi“, na jego zabór przez Rosyą zezwolić nie możemy, teraz dopiero na gwałt gotują się do wojny, jak gdyby na prawdę byli mniemali, że Rosyanie po zdobycze tylko naukowe byli tam przyszli. Lecz wśród krzyku, wśród usilnego zbrojenia się, przebija się w Anglii widocznie uczucie trwogi, a skutkiem jej gorące życzenie zażegnania tej burzy, gdy tymczasem ze strony Rosyi mimo dyplomatycznych i humanitarnych frazesów o odwróceniu wojny widać, stanowiąc do niej determinacyą i zaufanie do pomyślnego jej rezultatu.

Nie dziwimy się temu zaufaniu. Łądem, przy kolejach daleko posuniętych, z żołnierzem zahartowanym, z usposobieniem azyatyckich ludów sobie przychylnem, Rosya ma w rękę wszystko, czego do wygrania tej sprawy potrzebuje. Anglia poradzić na to nie może, ani na nikim się oprzeć. Jakby to dziś było Anglii wygodnie, gdyby była jakaś Francya, i mogła skutecznie głos podnieść w sprawach europejskich! Gdyby jakaś Dania, mała ale niezależna, mogła bez pozwolenia Niemiec angielskie statki przez swoje cieśniny przepuszczać! Gdyby między Rosyą a Niemcami było coś, coby Rosyi w azyatyckiej wojnie o tyły swoje obawiać się kazało. Ale kto Danii nie chciał bronić, kto się z Sedanu cieszył, kto miał „prawo ale nie miał obowiązku“ wstrzymać Rosyą w tem co robiła

z Polską, ten niech ma na co zasłużyć. Wyśpi się jak sobie posłał, i zbierze plon ciasnej polityki, zazdrością jedynie wiedzionej.

Te złowrogie przeczucia, odzywające się już przed wojną, nie będą pewno mylnemi. Walka bowiem Rosyi z Anglią jest podobna do boju słonia z wielorybem. Cóż w środkowej Azji zrobi wieloryb sloniowi? Rosya jest przeważnie potęgą lądową i wątpimy bardzo, czy jej na tem polu Anglia sprosta. Wspólnie z Francją, jak w wojnie krymskiej, lub inną lądową potęgą szłoby to bardzo dobrze, ale po samej jednej trudno się spodziewać pomyślnego skutku. Nadto jak slychać, ks. Bismark życzy sobie zlokalizować tę wojnę co znaczy ograniczyć Anglią w rozwinięciu potęgi swej morskiej i atakowaniu Rosyi na innych punktach. Jest to w istocie zmuszanie Anglii do podjęcia walki tam właśnie, gdzie jest najslabszą. Co także ważną jest rzeczą, Rosyanie umieją czyto z powodu bliższego sąsiedztwa czy podobieństwa charakteru lub innych przyczyn z szczepami azyatyckimi prędzej się oswoić i przychylność ich sobie zjednać, podczas gdy Anglicy, jak to zewsząd nadechodzące wiadomości potwierdzają, są tam powszechnie znienawidzeni. Nawet Afganowie, na których teraz Anglii liczyć przyjdzie, są sprzymierzeńcami nader niepewnymi, bo lud Anglików nienawidzi tak, iż samym ich przewódzcom trudnoby było wstręt ten przelamać. A z resztą jest to rzeczą naturalną, że każde jarmuzno jest wstrętne, a chęć wyswobodzenia się z niego tak gorąca, iż się na przyszłe nie ogląda, byle się z obecnego otrząsnąć. Ze wszech miar zatem szanse tej walki przemawiają za powodzeniem Rosyi. W końcu podnosimy głos do ziomeków naszych, powtórnie prosząc ich, aby się na dany przypadek podszeptom i podstępom Anglii uwiesić nie dali, bo siebie tylko w otchłań nieszczęścia potraça, a swej ojczyźnie cięższe jeszcze utrapienie zgotują.

Z tą zaś logiką i konsekwencyą, która stanowi jej siłę, jak jedną ręką Rosya otwiera sobie wrota do Indyi lub (może prędzej) do Persyi, tak drugą robi jakoby kolejową trasę przyszłych w Europie zdobyczy. Taki znak czy pal wytyczny wbijała sobie świeżo swoim niby obchodem mniemanego jubileuszu śś. Cyrylla i Metodego. Lat temu dwa-

dzieścia pięć, nikomu w Rosyi nie przeszło przez głowę uważać ich za co innego, jak za katolików, którymi byli. Dziś annexują ich na apostołów prawosławia i używają za pozor do wszechsłowiańskiej demonstracyi, w której uczestniczą Serbowie i Czarnogórcy, *galicyjscy Rosyanie (!)* z Naumowiczem, do której kto wie czy jacy inni jeszcze nie wdychają, a na której czele stoi Cesarz: on pierwszy idzie na tej procesyi.

Tensam jubileusz w Welehradzie, jubileusz prawdziwy, katolicki i słowiański, wystrzega się skrupulatnie wszystkiego, coby mu dać mogło najlżejszy cień politycznego charakteru, żeby Rosyi nie urażać, nie drażnić, nie wyzywać. Ona takich ceremonij z nami nie robi. Gdyby ludzie ucziwi, w służbie i w obronie zasad ucziwych i prawdziwych, mieli tyle konsekwencyi i odwagi, ile ma przebiegłości i bezczelności złe w narzucaniu kłamstw i zrad swoich, gdyby połowę tylko, Europa nie byłaby dziś w przededniu jakichś czarnych zdarzeń, z których, jeżeli się sam Bóg w tę sprawę nie wda, korzyść obiecywać sobie może tylko Rosya i jej lub zachodni nihilizm.

B. E.

Rudolf Eitelberger von Edelberg.



Każdy, co pośrednio lub bezpośrednio interesuje się sztuką, znał ze sławy przynajmniej człowieka, którego nazwisko wypisaliśmy na czele tego wspomnienia, a o którego śmierci doniosły nam telegramy. Profesor Uniwersytetu wiedeńskiego, dyrektor Muzeum dla sztuk i przemysłu w Wiedniu, członek czynny wiedeńskiej Akademii nauk, członek Komisji centralnej dla konserwacji pomników sztuki, referent spraw sztuki dotyczących w ministerjum oświaty, członek nareszcie dożywotni Izby Panów w nagrodę swych zasług pod koniec życia, był on, co najważniejsza, i co więcej znaczy jak to wszystko, niepospolitą i znaczącą w dziejach naszego stulecia osobistością, z którą się nierozdzielnie wiążą usiłowania naszych czasów, dążące do najszerzej pojętego artystycznego odrodzenia. Są dwie tych usiłowań strony, jedna teoretyczna i naukowa, druga praktyczna i zastosowawcza. Pierwsza usiłuje poznać i zrozumieć na tem polu rozwój ubiegłych wieków, wydrzeć im zagadkę ich rozkwitu, odgadnąć moralne i materialne jego przyczyny, tudzież tajemnice uprawianych niegdyś, a dzisiaj zaginionych lub zapomnianych technik; druga pragnie te rezultaty i zdobycze zastosować do naszych własnych potrzeb, wzmocnić i nawiązać porwane tradycje i obudzić pod tym względem ten ruch twórczy, który się z końcem przeszłego wieku zatrzymał i osłabił. Pierwsza znalazła wyraz w nauce historii sztuki; druga w nowej i od naszych wymagań zależnej organizacji instytucyj wychowawczych, Akademij sztuk pięknych, szkół rysunkowych i muzeów, mających przedewszystkiem na celu uszlachetnienie sztuką prze-

mysłu i rzemiosł. Obie razem wzięte, stały się głównym bodźcem niestrudzonej działalności Eitelbergera. Dość jest rzucić okiem na treść czterech tomów dzieł jego, które pod napisem „*Gesammelte kunsthistorische Schriften*“, opuściły prasę niedawno, aby się przekonać jak jednocześnie i nierozdzielnie zajmowały go zawsze.

Chociaż sam przeważnie i specjalnie badał sztukę wieków średnich i pozostawił o pomnikach Dalmacyi i Friulu prace wyczerpujące, to nietylko interesował się żywo innemi działami nauki i rozwojem artystycznym we wszystkich czasach i u wszystkich narodów, ale czynnie współdziałał w najrozmaitszych naukowych pracach, mających na celu rzucenie silniejszego światła, na którykolwiek z tych działów. Nie było prawie znacniejszego naukowego przedsięwzięcia w Niemczech, odnoszącego się, czy to do wielkich mistrzów przeszłości, czy do pojedynczych gałęzi sztuki, do którego by się w części przynajmniej nie przyczynił. Nie było uczonego i badacza poświęcającego się sztuce, któryby rady jego nie zasięgał, poparcia jego i zachęty nie żądał, dzieła swego mu nie dedykował lub nie ofiarowywał, czy też na jego pomoc nie zawodzącą nigdy w danym wypadku nie rachował. Z nazwiskiem Eitelbergera spotkać się można w każdej nieledwie artystycznej publikacji Niemiec ostatnich lat dziesiątków, a ciepłe jego serce, czuć było w całym nowożytnym zwłaszcza wiedeńskim artystycznym życiu. Wychodząc z tej zasady, że aby coś zdziałać, nie wystarcza poprzestać na teoretycznej wiedzy i zamknąć się wyłącznie w ciasnym kole wybranych, w granicach pewnego cechu i klasy, że aby rozbudzić uśpioną twórczość, a raczej wprowadzić ją na właściwe i pewne drogi rozwoju, należy wyniki teorii uprzystępnąć dla mas i wśród nich rozpowszechnić, przedsięwziął wydawnictwo pod napisem „*Quellenschriften zur Kunstgeschichte*“, w którego 18 tomach, opracowanych przez specjalistów, pod jego kierunkiem ogłoszone zostały, w przystępnym dla wszystkich formacie i nietylko w łacińskich i włoskich oryginałach, ale i w tłumaczeniach niemieckich obok, wszystkie najslawniejsze traktaty o malarstwie, rzeźbie i sztuce w ogólności, jakie nam pozostawiła przeszłość. Było to jakby wstępem przygotowawczym do ściśle praktycznej działalności, i do tej tak głośnej i tak wzo-

rowej instytucyi, znanej pod nazwą austriackiego Muzeum dla sztuk i przemysłu w Wiedniu, którą stworzył, na czele której stanął i którą jako niespożyty pomnik życia po sobie pozostawił. Wpływ jej na wyrobienie smaku publiczności, na podniesienie i uszlachetnienie przemysłu austriackiego w ogóle, na rozkwit architektoniczny Wiednia, jest wszystkim wiadomy. Godząc niezmiennie teorye z praktyką i naukę z życiem, nie porzesał jednakże w programie tego zakładu na szkołach rysunkowych i technicznych i wystawach ogólnych i specjalnych, ale starał się o zaspokojenie jego naukowych potrzeb, i utworzył przy nim w krótkim czasie, kto wie, czy dzisiaj nie najbogatszą i najzupełniejszą bibliotekę dzieł sztuki z istniejących, która odpowie dno skatalogowana, stała się przystępną dla każdego pracownika dobrej woli. Nie bez wzruszenia przypominamy sobie, jak nieraz wieczorem pracując w tym pięknym gmachu muzealnym, zbudowanym przez Ferstla, we wspaniałej dwupiętrowej halli wstępnej, oświetlonej lampami, których światło uwydatniało piętrzące się wysoko arkady, spotykaliśmy tego małego, zgarbionego już starca, w ciemnym paltocie, w miękkim kapeluszu o szerokim rondzie, oceniającym bładą, delikatną, pełną charakteru i finezyi twarz, o jasnych i bystrych oczach i o tak gorącej duszy.

Czynność Eitelbergera była niez mordowana, ustawiczna, ciągła. Kto tylko potrzebował informacji, wskazówki, książki lub listu polecającego, udawał się do niego, i jeśli się zajmował sztuką, zawsze mógł być pewny, że znajdzie drzwi otwarte i pomoc niezawodną. Przy natężonem i powiedzieć można gorączkowem, naukowem i praktycznem zajęciu, przy kierunku instytucyą, szkołami od niej zależnemi, przy administracyi, urządzaniu wystaw, załatwianiu spraw urzędowych, współdziałale w najrozlicniejszych większych i mniejszych artystycznych przedsięwzięciach, przy skrzętnem śledzeniu ruchu naukowego i sprawozdawczej z niego dziennikarskiej pracy, miał czas zawsze i nigdy nie zostawił żadnego zapytania i żadnego listu bez odpowiedzi. Skromny, bez tej zarozumiałości i tej pewnej siebie pychy, która nieraz niemieckich uczonych odznacza, umiał ocenić każdą pracę i każdą zdolność, nie mając uprzedzeń do żadnej narodowości. Na wstępie do swego studyum o pomnikach dalmac-

kich, uwydatnił bezstronnie i gorąco doniosłość budzącego się literackiego i kulturalnego ruchu południowej Słowiańszczyzny. Skoro „Hold pruski“ Matejki wystawiony został w Wiedniu, napisał do mistrza list, w którym podniósł w tej wielkiej kreaeyi widoczny postęp nowożytnego historycznego malarstwa. Kiedyśmy mu mówili o naszym skromnym „Przyjacielu sztuki kościelnej“, cieszył się żywo tym objawem interesu dla sztuki u nas. Kilkakrotnie odwiedzał Kraków, znał go dobrze i cenił. Krakowska szkoła sztuk pięknych zawdzięcza mu swą organizację a Uniwersytet katedrę historii sztuki. Ubolewał nakoniec nieraz nad tem, że warunki naszego państwowego ustroju, nie pozwalały mu tak czynnie wpływać na rozwój innych naszych prowincjonalnych artystycznych instytucyj, jakby tego pragnął, a kto go znał, to wie, że te słowa czczemi nie były w jego ustach.

Związany z instytucją muzealną, mieszkał w jej gmachu, który tylko z konieczności opuszczał i w którym nawet pod koniec życia miewał uniwersyteckie wykłady. Parę miesięcy najgorętszych letnich spędzał w Hüteldorf koło Wiednia, dojeżdżając nawet wówczas dwa razy w tygodniu do swego Muzeum. Co kilka lat jeździł do Włoch, które znał cale od gór Friulskich począwszy aż po Sycylijskie ruiny Syrakuzy i Agrigentu. Były to dla niego jedyne chwile wytchnienia i odpoczynku. Po raz ostatni spotkaliśmy się z nim w r. 1879 w Rzymie. Wszędzie gdzie nas po raz pierwszy wiodły kroki, tam był on już po raz dziesiąty w życiu. Nie zapomnimy nigdy, z jakim uwielbieniem przyglądał się rytowniczym ozdobom greckiej brązowej cisty Ficoroniniego w *Museo Kircheriano*, jak nam tłumaczył fortyfikacyjny układ drzwi wehodowych w kościele św. Sabiny, jak analizował sceny rzeźbione cedrowych ich oddrzwii, jak go zajmował kandelabr paschalny XII wieku w bazylice *S. Paolo fuori le mura*, lub jaki budziły w nim młodzieńczy zapał portrety Velasqueza i Sebastiana del Piombo w galerji Doria.

W chwili kiedy to piszemy, staje nam żywo przed oczyma ta pociągająca i tak sympatyczna postać, której godłem życia były te słowa umierającego rzymskiego Cezara: „*Laboremus*“! Gdyby był przyszedł na świat w początku przeszłego stolecia, byłby typem uczonego, żyjącego myślą i

abstrakcją, patrzącego pogodnym wzrokiem na otaczający świat, pełnego wiedzy i wytrwałości, a przytem dobroci, słodyczy i naiwności dziecięcej, w rodzaju pastora z *Hermannia i Dorotei*, jak Herder lub Winkelmann, byłby żył długo i zachował świeżość i spokój do grobu. W naszych nerwowych i gorączkowych czasach, stojąc na czele nowej instytucyi, uprawiając rodzącą i rozwijającą się tak szybko naukę, mając na celu przeniesienie jej rezultatów i wyników w masy, nie był w stanie zachować tej pogody i tego harmonijnego nastroju, które szczęśliwszym daje cicha i zamknięta praca. Rozrywany wymaganiami chwili na wszystkie strony, zmuszony do nadużycia sił zawsze, odczuwał wrażenia silnie i dotkliwie. Organizm jego delikatny i subtelny rozstrajał się pod naciskiem i nawalem trosk i zajęć. To też w ostatnich czasach zmuszony był pielęgnować się więcej i kłaść się często do łóżka. Co jednak w takich warunkach człowiek jego wartości zdziałać jest w stanie, tego życiem swem dał najlepszy dowód. Skoro lat temu parę na bankiecie publicznym w Wiedniu, wznoszono toast wielkiego historyka niemieckiego Mommsena, witając w nim męża, którego Niemcom Austria zazdrości, ten w odpowiedzi pił zdrowie Eitelbergera, którego Niemcy zazdroszczą Austrii. Słowa te były nie grzecznością, lecz istotnem stwierdzeniem zasług tej niepospolitej indywidualności, której żalować nie przestaną wszyscy ci, co ją znali i nauczyli się jej szeroki umysł, jej niezmordowaną wytrwałość, jej serce i jej szlachetną duszę cenić.

Maryan Sokołowski.

MOWA

NA POGRZEBIE STANISŁAWA KOŹMIANA

Prezeza Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu,
powiedziana w Brodnicy (w W. Ks. Pozn.) 28 kwietnia 1885 r. przez
Stanisława Tarnowskiego.



W bardzo ciężkiej chwili naszych dziejów, w r. 1846 wołał Stanisław Koźmian z głębokości swojego ówczesnego ucisku, co robią „Mistrze Słowa“ że mileżą, czemu nie porzepią, nie pocieszą, ducha nie dodadzą, i pytał: kto, „kiedy mileżą ludu wieszczę,

Kto w kapłaństwo ofiarnicze
Poświęcenia nas wyświęci?
Kto przed sądem dziejów świata
Naszych nieszczęść krzywd postacie
W pełnym stawi majestacie:
Oskarżonych zmieni w sądzie
I odkupienie zdobędzie?.....

Z „Mistrzów Słowa“ jeden, jak żeby do obowiązku się poczuwał i do siebie brał przyjaciela wyzwanie, jak żeby w odpowiedzi jemu, wy dobył z samej rdzeni swego ducha to potrzebne słowo mądrości i otuchy. *Psalm Dobrej Woli* przyszedł tak rychło po wierszu do „Mistrzów Słowa,“ jak żeby miał być na to pytanie odpowiedzią, a choć zapewne związku przyczyny

i skutku między niemi nie było, zawsze czynił zadosyć temu, czego tamten żądał. Przynosił pociechę, podnosił ufność, dawał naukę najlepszą ze wszystkich, bo nazawsze dobrą, byle stosowaną była.

Ale więcej wiersz jeden, ani poeta jeden, choćby wieszcz, zrobić nie mógł. Wskazać *dobrą wolę*, w której się mieści przez którą się rozumieć, i miłość i sprawiedliwość, i roztropność i męstwo, i rozum i rada, i cierpliwość i wytrwałość, i poświęcenie, wszystko — to mógł wiersz i wieszcz. Jak to prawidło w życiu pełnić, jak je do każdej chwili i każdego obowiązku stosować, to już do nie do niego należało. I dlatego na drugie Koźmiana pytanie Krasiński nie odpowiedział:

„Kto zasiewy
Wyprowadzi w złote plony“?

Nie poeci. Nie wielcy, natchnieni, nadzwyczajni, ale mniejsi właśnie, zwyklesji a liczniejsi. Nie wyjątki, ale wszyscy. I dlatego zapewne Bóg w miłościwej mądrości swojej kazał już zamilknąć śpiewakom i wieszczom, wziął ich do siebie, a małych, powszednich, wszystkich powołał i wziął na próbę, żeby pokazali, czy zrozumieli co im tamci mówili, żeby każdy z nas zdał egzamin, ile ma dobrej woli i ile prawdziwej siły. Był czas na takich, co bujali jak orły w obłokach, przyszedł na takich, co jak woły w ziemi ciężko robią, i oni mają — ah! nie plony zbierać nawet — tylko rolę uprawiać, — szczęśliwi, jeżeli dobrze zasieją, zawlcką, i wschodzące zboże zobaczą.

Ten twardy obowiązek rozumieć, dziś, po tylu klęskach, po tylu naukach, nie sztuka. Nie wszyscy robimy jak mówimy, a raczej żaden nie robi zupełnie jak wie, że powinien, ale to wszyscy wiemy, że na tym świecie ideom trzeba rzeczywistości, materji, jak duszy ludzkiej trzeba ciała jeżeli ma żyć na tej ziemi. Ale rozumieć to przed laty trzydziestu lub czterdziestu, było trudno i mało kto rozumiał.

W Wielkopolsce byli najpierwsi z tych co zrozumieli, co rychło po roku 1831, kiedy ogół w Królestwie czy w Galicyi, a zwłaszcza na emigracyi, o tem marzył co pojutrze być ma; myśleć zaczęli o tem, co jutro będzie, i zmiarkowali, że nie może być jutra bez dzisiaj, a pojutrze bez jutra.

I to pierwszeństwo zrozumienia opłaciło się Wielkopolsce: ona pierwsza doczekała się plonu, ona pierwsza i dotąd między nami jedyna, może się tem przed Bogiem i ludźmi, przed Ojczyzną i przyszłością pochlubić, że jest społeczeństwem i ma warunki społecznego bytu, podstawę, i członki różne a spojone, jedną duszą ożywione.

Koźmian był młodszy i przychodzić na tej ziemi później zaczął od jej gniazdowych synów: Marcinkowskiego, Raczyńskiego, Chłapowskiego, Działyńskiego, ale był w swoim rodzaju tak dobry jak oni, a drugą połową swego życia i swoją zasługą wkupił się między najlepszych jej obywateli i w jej dziejach się zapisał, tak, że inni zapomnieli o jego lubelskiem pochodzeniu, i zawsze go już za Wielkopolanina mieć będą. Piękne miał chwile młodości kiedy dźwigał karabin i bił się; obfite w dobre skutki były te lata nauki i wędrówki za granicą, z których wrócił wyrobionym, wykończonym człowiekiem, niepospolitej inteligencji nauki i zdolności; ale najpiękniejsza, bo najpełniejsza zasługi część jego żywota, to ta, którą w Wielkopolsce przeżył.

Z innem i bardziej niż jego brat określonem usposobieniem i powołaniem, był jak sercem i przekonaniem z nim zrosły, tak rodzajem umysłu i talentu jego koniecznem nieledwie dopełnieniem. Jan Koźmian, zanim się w duchownem powołaniu ustalił, mógł być w każdym równo znakomitym. Od jego woli zależało być politykiem czy uczonym, pisarzem czy wiejskim ziemianinem. Ta organizacya potężna i wszechstronna jak rzadko, byłaby wszystko równie dobrze potrafiła. Stanisław miał przeznaczenie i zdolność wyraźniej oznaczoną: może ze krwi, dziedzicznie, do nauki i pisania głównie stworzoną. Ztąd kiedy tamten pisał jeżeli musiał, ten miał wrodzony do pisania pociąg; kiedy tamten bez osobnego zamiaru i starania doskonale pisał dlatego, że doskonale myślał, ten się w pięknem pisaniu kochał, a u drugich je podziwiając, dbał o nie dla siebie. Ale czy był erudytem tylko w naukowych badaniach zamkniętym, albo w bałwochwaltwie pięknych rzeczy pogrążonym artystą? Popatrzmy na jego dzieła. Wiele między niemi takich, któreby z wrodzonego popędu uczzonego czy artysty powstały? w którychby on tej swojej naturze, tym pociągom i upodobaniom folgo-

wał? Przekład Szekspira? Zapewne! Ale ta ozdoba, ten dziś wielki zaszczyt naszej literatury, był niedawno jeszcze, pamiętajmy o tem, jej wielką potrzebą, jej brakiem upokarzającym. I nie dlatego Stanisław Koźmian Szekspira tłómaczył, że sobie mówił: Szekspir piękny, a ja go pięknie przełożę. Nie; on sobie mówił: „niema Szekspira po polsku, to wstyd, a więc ja go przełożę.“ Z tym zaś wyjątkiem wszystkie większe czy mniejsze dzieła i pisma tego uczonego, tego z natury literata, wszystkie, obok naukowego i literackiego, mają obywatelski cel i charakter bezpośredniego praktycznego użytku. Ile w tych jego pracach, nawet lżejszych i mniejszych, było głębokiej znajomości naszej natury, jakito był bystry i przenikliwy psycholog polskiego narodu, jak w nim dostrzegł wiele i czytał jak w księdze, a jak widok i znajomość złego jakie w nas jest, nie uwiadły go nigdy do zniechęcenia, do lekceważenia, lecz, owszem do większej miłości i czynniejszej dobrej woli wiodły, to tajemnica wielkiego rozumu i wielkiej enoty, którą podziwiać i ocenić łatwo, a naśladować trzeba. Co pewna, to, że właściwem znamieniem jego talentu i jego pracy jest połączenie szczęśliwe jak rzadko, nauki głębokiej i wielostronnej, ze znajomością, ze zrozumieniem, z praktycznym zmysłem życia, jego warunków i potrzeb. „Biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu,“ powtarzał zawsze za Grekami Szujski. Koźmiana wiedza pomagała nie jemu tylko, wiedzącemu, ale przez niego pomagała nam wszystkim.

Świadkiem, dowodem, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, którego tytuł drogie obudzając wspomnienia, obowiązuje bardzo, a które tę spuściznę i tę odpowiedzialność godnie nosi, bo pomaga. Chwalić je zbytecznie — może z wielu względów zbytecznie, — ale choć to przypomnieć można, że samo jedno robi swojemi siłami to, do czego inni mają pomoc i siły uniwersytetów, szkół polskich, rąk swobodnych, i można hołd złożyć jemu, i temu który był jego duszą i głową. W jego zaś naukowym i piśmienniczem działaniu był pierwiastek i siła ogólnego wykształcenia, oświaty powszechnej; skarb wielki, bo on na pisarzach i piśmiennictwach wyciska piętno szlachetne ogólnej powszechnej cywilizacyi, bo ich poziom, a przez nich

poziom umysłowy narodu, podnosi i do równej miary z innymi cywilizowanymi narodami Europy podnieść się stara i jedynie podnieść może. To piętno, coraz niestety u nas radsze, coraz do zatarcia łatwiejsze, miał Koźmian tak wyraźne jak mało kto drugi, i nadawał je pracom które sam wykonywał, i tym którym przewodniczył. Z piśmienniczego i cywilizacyjnego stanowiska, to wybitna cecha jego zasługi jako pisarza, jako uczonego i jako prezesa Towarzystwa.

Są przecież obowiązki, zasługi, zdobycze, od piśmienniczych i naukowych ważniejsze. Potrzebna oświata narodowi jak roślinie słońce, ale jeżeli roślina nie ma gdzie korzeni zapuścić, jeżeli z lotnego piasku tylko ma ciągnąć żywotne soki, na nie jej się nie zda słońce. Ten korzeń, bez którego konary uschną, kwiaty zwiędną, owocu nie będzie, to narodowy charakter; te soki żywotne, które on do miazgi ma podać, to przekonania i zasady; a ten grunt, w którym ma się przyjąć i w którym jedynie dobrze przyjąć się może, to społeczeństwo samo. Narodowy charakter, świadomość swojej woli i swego obowiązku, stateczna zgodność postępowania z celem, czujny i surowy nad sobą sąd, oto jedno a bodaj nie główne z tych zadań, które po wielkich mniejszym, po genialnych prostym ludziom przypadło. Uczuciami i wrażeniami żył ten naród długo jak młodzieniec, tego nie wiedząc, że instynkt, popęd, uczucie wzniesie się wysoko, ale jeżeli ma zawsze trwać, musi się w przekonanie ustalić i zahartować w wolę. Po młodzieńczemu żyć jest dobrze, ale i na naród przychodzi wiek męski, któremu uczucie samo nie wystarcza, któremu potrzeba zgody, jedności między uczuciem, rozumem i wolą, czyli charakteru.

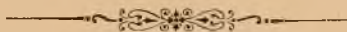
Ten w nas wyrobić, to było po roku 1831, a dopiero po roku 1848 — ah, a jest jeszcze i dziś — kwestyą konieczności i przyszłości, bo kwestyą wartości i siły. I znowu w Wielkopolsce weześniejsz niż w Królestwie, niż w Galicyi, niż z małemi wyjątkami na emigracyi, spostrzeżono się, rozumiano, że tego brak, a że kto wolę chce hartować, a charakter wyrabiać, ten musi przekonania i zasady w sobie i w drugich ustalić. Które, jakie przekonania i zasady? Silnych, statecznych, nigdy u nas do zbytku nie było. Ale o te cho-

dziko i chodzi przed wszystkimi, które nie zawiodą, bo same zawiedzione być nie mogą: nie zachwieją się, bo są na opoche wsparte: nie pomylą się, bo z przedwiecznej i wszechwiedzącej znajomości człowieka swoją znajomość człowieka i społeczeństwa czerpią: a zwyciężyć muszą, bo ich bramy piekielne nie przemogą, i jest pewne „Słowo,“ które nie przeminie. Były w swoim czasie skargi na *Przegląd Poznański*, na te początki „katolickiego odrodzenia¹⁾ Polski,“ i dziś być mogą a zapewne muszą. Ale czy bez tego byłby ten kraj — jak jest — społeczeństwem? czy miałyby tę wyższość najpierwszą, najpotrzebniejszą nad Mazowszem albo Małopolską? czy bez tej siły, jaką daje społeczna jednolitość, zdołałby być czem jest, i trwać jak trwa, i w co byłby może już dziś obrócony, gdyby nie to katolickie odrodzenie, które się tutaj poczęło, które się ztąd, jak niegdyś chrzest za Mieczysława, dalej rozeszło? Wielkie usprawiedliwienie tych ludzi i tej przeszłości, i wielka na przyszłość nauka i przykład, jak odrodzenie religijne naturalnym skutkiem ciągnie za sobą i świeckie, społeczną jedność, polityczną świadomość siebie; jak stałość w jednym przekonaniu i odwaga jego wyznania dodaje stałości, mocy, wprawy, wszystkim przekonaniom innym; jak przez ustalenie katolickiego wzmacnia się i wyrabia narodowy charakter. I znowu Wielkopolska dała przykład, i znowu opłaciło jej się to pierwszeństwo, ona ma przekonani i zasad, stałości i charakteru więcej od innych Polaków.

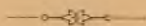
I znowu Koźmian, nie sam jeden, ale jeden z pierwszych między tymi, co tę zasługę mają, że ten kamień węgielny pod restaurację narodowego charakteru podciągnęli. Ze ze skutkiem, dowodzi w ciężkich zapasach postawa tego kraju, nie tych lub owych ludzi lub warstw, uczonych czy posłów, duchownych czy świeckich, ale społeczeństwa.

A kiedy pytał; „kto zasiewy wyprowadzi w złote plony?“ odpowiedź miał w swoim własnym życiu. Ten — ci raczej, bo jeden to nigdy być nie może — co wzięwszy do serca jego przyjaciela i mistrza słowa naukę, czynią bez wytchnienia; co jak on, Koźmian, „w przykładu i słowa postaci, rozdają sobie samego swej braci.“ I tacy też, czy za życia zasiew swój wschodzący widzą lub nie, mają

tę zasługę i chwałę, że jak ich modlitwa za życia na ziemi, a dziś „przed Sędzią dziejów świata,“ tak ich przykład i żywot przyczynia się do tego, o co on w zakończeniu owego swego wiersza prosi: „chorych uzdrowienia, strapionych pocieszenia, wiernych wspomżenia.“



SŁOWO I NATCHNIENIE W RZYMSKIEJ POEZJI.



Życie byłoby tylko nieustannem przerabianiem krwi, gdyby nie istniała poezya, powiedział jeden ze znakomitszych pisarzy nowszych zagranicy. To też ludzkość niemal od początku swego istnienia broni się od tej powszedniości swego bytu, wszelkimi silami i środkami dąży do tego, aby istnienie swe uszlachetnić, ideałem opromienić rzeczywistość, i tę rzeczywistość podnosić do ideału, życie odzwierciedlać w piękniejszym świecie marzeń i z tej krainy uludy zapożyczać światła dla przybrania życia w kraśniejsze barwy i wdzięki. Szczęśliwe narody, do których w zaraniu dziejów muzy z życzliwym skłoniły się uśmiechem, nad których ziemską krainą istniał świat inny, jaśniejszy i piękniejszy nieśmiertelnych, a jeszcze szczęśliwsze te, u których w głębi duszy tłała iskra natchnienia, jakiś Boży zasiew, który z biegiem czasu przetwarzał się w kwiaty poezyi.

I.

Rzymianie nie należeli do tych uprzywilejowanych narodów. Modlili się do bogów, którzy żyli więcej w oderwanem pojęciu, niż w wyobraźni ludu, do bogów, którzy mogli natchnąć go litanii, ale nigdy do epicznego opowiadania. W charakterze Rzymianina była pierwotnie jakaś twardość, szorstka powaga, która serce i uczucie rzadko dopuszczała

do głosu, a nad tem wszystkim ciężyla żelazna ręka państwa, stłumiająca indywidualne życie i porywy. Temu nastrojowi ducha odpowiadał zupełnie nieokrzesany język, chyłący się do zdżyczenia, skażenia form, jakiemu niektóre narzecza italskie w zupełności uległy. W zaraniu rzymskiej historii glucho też na polu poezyi. *Poeticae artis honos non erat* — poezya u naszych przodków nie była w poszanowaniu, mówił później z pewną tęsknotą za minionemi czasy Cato. Słyszymy o jakichś dialogach improwizowanych, w których przy uroczystościach ludowych wybuchała wrodzona werwa komiczna; słyszymy o śpiewach historycznych sławiących przodków, które młodzi chłopcy wygłaszali przy ucztaeh; mamy wreszeie kilka drobnych urywków hymnów sakralnych, w których jawność fantazyi idzie w parze z zagadkowością języka, nie rozumianego już nawet przez późniejsze pokolenia samychże Rzymian. I na tej ubogiej literaturze ludowej byłaby się zapewne twórczość rzymska ograniczyła, gdyby obce wpływy nie wniosły do Italii nowego zarzewia i nowych posiewów.

Zkąd te wpływy przyszły, na to już samo imię wieszczą u Rzymian wskazuje. Nazywa on się poeta, a wyraz ten zapożyczony z greckiego. Grecka kultura od trzeciego wieku prawdziwie oskrzydłonym krokiem wkrazała do Italii i w tysiącznych objawiała się szczegółach. Ale najbardziej bijącym w oczy jest przełom na polu poezyi. Po wiekach milczenia lub nieudolnych prób, przemawia naraz Muza rzymska w sposób niespodziewany, dojrzały, w sposób, któryby był niezrozumiałym, gdyby go zupełna zależność od obcych wzorów nie tłómaczyła. Zaczyna się ta literatura jedyna w swoim rodzaju, literatura, która nie tłómaczy myśli społeczeństwa, lecz tłómaczy myśli obce i tem to społeczeństwo kształcić i bawić zamierza. Ma też ta nowa poezya rzymska na sobie piętno szkoły, pewnej sztuczności, narodziła się nie z natelnienia, lecz wśród pracy. I tym swoim początkom zawsze do pewnego stopnia wierną pozostała. Nie mamy w całym piśmiennictwie świata dwóch literatur, z których jedna takby była od drugiej zależną, jak rzymska od greckiej. Lecz ten stosunek nie umniejsza naszego podziwu dla pięknych stron tego piśmiennictwa. Jeżeli jego twórczość i samodzielność jest mała, to jednak talent przyswajania sobie

obecnej myśli i natchnienia zadziwia nas w Rzymianach niezwykła zdolność naśladowania, a wreszcie ta forma wytworona i doskonała, która z naśladowań zrobiła niespożyte wzory dla wszystkich późniejszych narodów.

Ale ten początek i to powstanie pozbawiło literaturę rzymską w samych jej zawiązkach uroku młodzieńczości. Nie ma ona najeźsiej wdzięku świeżości nietylko dlatego, że naśladuje, ale i z tej przyczyny, że poczęści naśladuje wzory wzięte z zamierającego piśmiennictwa Greków. Literatura aleksandryjska, która w trzecim wieku przed Chr. pełnym cieszyła się rozkwitem stanęła w pierwszym rzędzie na posługi budzącego się w Rzymie piśmiennictwa. A ta literatura to wytwór epigonów sławiących bogów, w których nie wierzono; opisujących rozkosze wiejskie pasterzy wśród przerafinowanej cywilizacji miejskiej; piszących epopeje w rodzaju Homerskich, do których z książkowej nauki brano wątek i natchnienie; wtlaczających wreszcie w szatę poezji to, co i w prozie bywa prozaicznym i suchem. Z tych wzorów pewne rysy zgrzybiałości przeszły do rzymskiego piśmiennictwa. Temu przypisać należy, że najzaszczytniejszą pochwałą, na jaką poeta w Rzymie mógł sobie zasłużyć, był epitet, któregośmy się najmniej spodziewali, mianowicie „*doctus*“ uczony. I jeżeli te wpływy aleksandryjskie niezupełnie zwichnęły młodego piśmiennictwa rzymskiego, to ochroniły je od tego wzory starogreckie, które do niektórych poetów silniej umiały przemówić; sprawiła to energia rzymska, która w danych razach umiała się wyzwolić z pod reguł uczonych poetów aleksandryjskich lub przebić się przez gładką powierzchnię oryginału.

W trzecim wieku przed Chrystusem zrodziła się pewna potrzeba i pragnienie wyższej poezji w społeczeństwie rzymskim, ale nie znaleźli się razem z potrzebą miejscowi poeci, którzyby temu pragnieniu zadosyć uczynili. Na zatwierdzenie zdania, że te nowe prądy umysłowe pochodziły z obczyzny, że nie są wykwitem i wytworem samegoż społeczeństwa, można przytoczyć fakt wymowny, że wszyscy prawie ówczesni poeci rzymscy są Nierzymianami. że większość ich pochodzi z południa Italii, która było grecką prawie krainą, że wszyscy wreszcie należą do niższych i najniższych warstw

społeczeństwa. Livius Andronicus przychodzi jako jeniec wojenny do Rzymu, również komedyopisarz Statius Caecilius; Terentius był niewolnikiem w Kartaginie urodzonym, Plautus zarabiał na chleb, obracając żarna. Wszyscy oni znajdują się wobec społeczeństwa, które pragnie poezyi, nie tyle dlatego, żeby w głębiach dusz drzemały jakieś zasoby uczuć poetycznych, które dotąd na wyraz się nie zdobyły, ale dlatego, aby tą poezją uprzyjemnić, rozjaśnić sobie powszedniość życia. Znajdują się wobec języka, który potrzebował gorliwej uprawy i ukształcenia, zanim mógł być użytym w poezyi. I tak się więc stało, że na czele literatury rzymskiej stoją półgreccy, jak sławny poeta Enniusz, że u kolebki poezyi rzymskiej znajdujemy gramatyków, którzy zdziczały język łaciński porządkują, kształcą, przekuwają według greckich wzorów, aby go dla przyjęcia greckich myśli usposobić. Wszyscy ci wcześni poeci Rzymu są gramatykami zarazem; podobni w tem do zakonników średnich wieków, którzy siekierą wyrębiają wśród dzikich lasów drogi i tory dla nowej cywilizacji.

Literatura ta powstaje nieorganicznie i nienormalną też rozwija się kolejną. Na jej czele znajdujemy rodzaj poezyi, który w Grecyi po epepei i po liryce przychodzi — dramat. Pierwszych lat 150, od roku 250 aż do roku 100 przed Chrystusem jest literatura rzymska przeważnie dramatyczną. Nie wykwitła ta literatura z natchnienia ludu lub indywidualuów, lecz powstała wskutek pragnień publiczności stołecznej, żądnej pewnego wytechnienia i rozrywki po trudach i mokołach wojennych. Pierwszy z greckiego tłómaczony dramat ukazał się w roku 240 w Rzymie, w rok po ukończeniu pierwszej wojny punickiej, a ta data jest rzeczywiście wymowną.

Odtąd greccy tragicy i komicy w łacińskim języku do rzymskiej przemawiali publiczności. Komedia grecka pojawiła się na rzymskiej scenie, ale nie owa stara, polityczna, Aristofanesowska, w wielkim stylu karcąca błędy i wybryki historyczne, lecz komedia późniejsza, nowa, powstała w epoce upadku Grecyi i w dobitnych wyrazach przedstawiająca ten upadek. Z szerokiej areny Aristofanesa zeszała ta komedia w IV wieku przed Chr. na ciasną arenę prywatną; tamta

przedstawiała walki i spory heteryj, ta intrygi miłosne heter. W komediach Aristofanesa rozgrywa się spór między starą generacją maratońską a nowem postępowem pokoleniem peloponeskiej wojny; tu mamy także ojców i synów, ale obydwaj ostatecznie stoją na równym poziomie moralnym lub raczej niemoralnym. Synowie zawikłani w stosunki miłosne, starają się wyzyskać, rujnować pieniądze zdzieciniałych swych ojców, tak, jak ci starey kiedyś sami czynili za młodu. Podstępni niewolnicy są przytem narzędziami i pośrednikami i prowadzą cały rozwój sztuki. Głęboka zgnilizna starego przerafinowanego społeczeństwa stawiała tu nagle przed młodem społeczeństwem rzymskiem; publiczność ta nie mogła wszystkiego zrozumieć, intryga i język miłosny były dla niej zbyt sztucznymi. Jeżeli też niekiedy wrodzony do wcięć italski u Plantusa dochodził do głosu; jeżeli grubość rzymskiego smaku zdzierala wykwinny pokost z greckiego oryginału, to to szczególnie widzom podobać się musiało. Z biegiem jednak czasu utwory greckie stawały się coraz zrozumialszemi, życie zaczęło naśladować i objaśniać tajemnice sztuki, a jeżeli legionista z czasów Hannibala tak prędko się przetworzył w sybarytę Augustowskiej epoki, to mistrza zepsucia szukać w części należy w owych starych *fabulae peccare docentes*.

Równocześnie prawie wkroczyła tragedia grecka do Rzymu. Tutaj trzeba było się zwrócić do wzorów starogreckich Eschyla Sofoklesa, a wreszcie do ostatniego z tej trójki Euripidesa, który do późniejszych pokoleń najsilniej przemawiał i był najwięcej kosmopolitycznym wśród tragików. Ten poeta nawskróś przemyślany, musiał najbardziej podobać się Rzymianom, którzy dla naiwnego uczucia, dla naiwności w poezji żadnego zmysłu nie mieli. Przeciwnie, patetyczność była im wrodzoną i to sprawiło, że koturn grecki jeszcze się podwyższył na scenie rzymskiej niekoniecznie z korzyścią dla sztuki. Bohaterowie tragedji rzymskiej nie przemawiali językiem nadprzyrodzonym bogów, ani przyrodzonym ludzi, lecz najczęściej mową sztuczną retorów. Ta skłonność do nie-naturalności kierowała autorami nawet w wyborze treści; niezwykle i silne efekta, jakich dostarczały zbrodnie Medei lub Tyestesa i Atreusza, szczególne miały w Rzymie powodze-

nie. Grecy jednak autorzy umieli złagodzić grozę najstraszniejszych położeń i serce ludzkie dopuścić do słowa, pozwolili swym bohaterom płakać i żalić się na przeciwne losy; tragedia rzymska tymczasem uważa, że *fletus muliebris ingenio additus*, że łza jest rzeczą kobiety. Kiedy w tragedyi Sofoklesa Niptra niesiono rannego Odysseusza, szukał tenże ulgi w jękach i skargach; w tłumaczeniu Pakuwiusza karcą go za to towarzysze, że jest zbyt miękkiego ducha, *nimis paene animo molli*. Twardość rzymska odbierała postaciom tragedyi ludzkość, nie stawały się one nadludzkimi, lecz często nieludzkimi.

Pelne ruchu, wielkich czynów i wojen dzieje rzymskie, nie dozwalały prawdziwemu Rzymianinowi w epoce punickich wojen poświęcać się muzom. Ale ta historia zawierała tyle epicznego wątku, tyle dramatycznych momentów, ile ich greckie dzieje nigdyby wykazać nie mogły; skarby w niej zawarte dopominały się stanowczo holdu muz i poetów. Obok tej greckiej tragedyi zakwitła też wtedy tragedia historyczna, wprowadzająca bohaterów narodowych na scenę. Wielki przełom założenia rzeczypospolitej, wielkie poświęcenia wojenne, jak np. śmierć Decyuszów, znalazły w niej odbicie. Półgrek Ennius, żyjący w trzecim i drugim wieku, odznaczył się na tem polu i on też był pierwszym, który dotychczasowe dzieje Rzymu przedstawił w obszernej epopei *Annales*. Ta twórczość na rozmaitych polach jest znamieniem tych wczesnych poetów Rzymu, znamieniem poetów sztucznych wszystkich wieków i epok. Ennius uprawia zarazem tragedye i komedye, wprowadza do rzymskiej literatury satyrę, pisze wreszcie swój epiczny poemat. W początku tego utworu opowiada świadomy swej wartości poeta, jak mu się we śnie ukazał Homer, jak mu wyjaśnił tajemnice przyrody, a wreszcie wyjawiał, że wielka jego dusza w swej pośmiertnej wędrówce wreszcie w Enniasza wcieloną została. Obraz to śmiały i dumny. Ale pewne mu uprawnienie przyznamy, jeżeli rozważymy, jak wielkim i szczęśliwym był krok przez poetę uczyniony ¹⁾, ta opowieść epiczna, na hi-

¹⁾ O zasługach Enniasza por. mian. Lucyana Müllera: *Quintus Ennius*. Petersburg 1884.

stori Rzymu osnuta. Grecy na tem polu malo bardzo zdzialali, wznowienie ich mitycznych opowiadań ze zbladlami postaciami bogów wypadloby blado i bylyby slabem odbiciem Homera. Tutaj natomiast swiat barwny, pelen ruchu i wzniosłości zarazem znalazl swego piewęc, który też po raz pierwszy wprowadzil do Rzymu grecki hexametr, wiersz ze szczególuem odtąd mistrzowstwem uprawiany, naginający się pod ręką późniejszych poetów do wszelkich tonów, a przede wszystkim do tej wznioslej majestatyczności, która nas w tylu utworach rzymskiej poezji uderza i zachwyca.

Ważny więc krok został spełniony na drodze prowadzącej od niewolniczej zależności od Greków do samodzielności narodowej w poezji. Struna rodzima zadrgała, ale jeszcze pod ręką obcą; w natchnieniu Enniusza nie możemy szukać prawowitych rysów indywidualizmu rzymskiego, jak ich w ogóle nie dostarczy cała ta wczesna plejada poetów. Torowali oni, często na sposób rękodzielnicy, drogę późniejszym pokoleniom, wydoskonalając materyal języka, ścierając jego chropowatości, przekuwając jego formy na piękniejsze i mniej szorstkie kształty.

Ale myśli greckie, pełnemi strumieniami w tem piśmiennictwie płynące, musiały wpływać stanowczy wywrzeć na rzymskim społeczeństwie; kultura helleńska zakorzeniła się wśród niego głęboko; przenosząc w sfery idealne, oswajała ludzi z wyobrażeniem, że działanie w tej sferze jest także czynem, który społeczeństwu pożytek, a osobistości ujmy nie przynosi. Równocześnie pod technieniem greckiej kultury rozbudził się w drugim wieku przed Chr. w tem społeczeństwie indywidualizm, który nowe idee wprowadzał w życie i świat duchowy, poruszał myśli drzemiące dotychczas pod obuchem państwa, kazał tym myślom nowego szukać wyrazu, nie pozwalał się zadawałniać okruciami, spadającemi z bogatego stołu greckiego piśmiennictwa. Pierwszym i najwcześniejszym tych dążeń objawem jest poeta epoki Graków satyryk Lucyliusz. Poezja u niego nie wyzwoliła się jeszcze zupełnie, nie rozwinęła jeszcze swych skrzydeł do wyższego polotu. W swych satyrach czyli gawędach mówi on często o rzeczach bardzo prozaicznych, uczy gramatyki i ortografii, pewien zimny utylitaryzm zabija tu wszelki wyższy nastrój

poetyczny; ale miejscami energia Rzymianina znajduje w jego utworach dziwnej jędrności i wyrazistości wyrazy. Pierwszy to poeta wyższego urodzenia, pochodzi on ze stanu rycerskiego i dlatego może ze swobodą i pewnością siebie karać swe społeczeństwo i pouczać. Wśród luźnych jego ulamków, uderza lapidarną swoją powagą określenie „*virtus*“ enoty rzymskiej, brzmiące jak dekalog w jędrnych hexametrach spisany.

Cnota, Albinie, to słusznie oceniać
 Rzeczy i ludzi, wśród których żyjemy;
 Cnota przewidzieć każdej sprawy skutki;
 Cnota rozpoznać, co dobrem i prawem,
 A co nieprawem, szpetnem, niekorzystnem;
 Cnota wśród zysku zachowywać miarę;
 Cnota bogactwu nieść hołd sprawiedliwy,
 Cnota oddawać cześć należną sławie,
 Wrogiem być ludzi złych i obyczajów,
 Obrońcą prawych ludzi i zasługi;
 Tych cześcić, tym sprzyjać, z tymi się przyjaźnić.
 Dobro ojczyzny mieć na pierwszym względzie,
 Potem rodziców, własne na ostatku.

Największy filozof grecki Arystoteles napisał także hymn, sławiący cnotę. W pysznym fragmencie zachowanym nazwana ona dziewicą, dla której śmierć ponieść warto, dziewicą, która nagrodą lepszą darzy od złota i rodu, wianem nieśmiertelności. Idealizm grecki wionie w każdym wyrazie tego utworu; przenosząc się do mniej wzniosłych Lucyliusza wierszy, spadamy z wysokości na ziemię, ale czujemy zarazem w nich energię i siłę, którą jedynie ziemia dawać może i zdolna.

Nastąpił pierwszy wiek przed Chr., bardzo ważny dla rozwoju piśmiennictwa.

Epoka ta dopiero roztworzyła bramę Parnasu na oścież przed społeczeństwem rzymskim; wtedy po raz pierwszy okazały mu się muzy nie już jako owe *doctae sorores* dotychczasowej poezji, lecz jako wdzięczne dziewice greckiej mitologii, które swą pięknnością i urokiem zachwycaly śmier-

telných. Z tem, co nazywamy natchnieniem, spotkamy się teraz po raz pierwszy, to jest z poezją, która bez żadnych ubocznych celów lub względów powstaje dlatego, że powstać musi, że pewne serce zapragnęło swe uczucia i namiętności wyśpiewać, bo te uczucia rozpierały duszę, bo w wyrazach znalazły ulgę i ukojenie. Indywidualizm wtedy wybujał w całej pełni. Jednych pchał on do czynu i rozbijał dotychczasową budowę republiki; drudzy usunięci z areny lub wykołejeni zagłębiali się w sobie, wsłuchiwali się w głosy wewnętrzne, które dotychczas przebrzmiewały bez odgłosu i uprawnienia. Obok rozterki zewnętrznej, zgiełku i zamięszania rewolucyi, które zapełniają wiek ten cały, odsłoniły się teraz głębie wewnętrzne człowieka, także pełne niepokoju, gwałtownych pragnień i troski. Wiek ten był bujnym pod względem poezji. Społeczeństwo rzymskie, które dotychczas zadawałniało się wytworami półgreków, rzuciło się teraz z całą namiętnością na zaniedbane pole; w czasach Cezara roilo się od pisarzy i pisarekóv snujących poemata w zawody. Z całego tego rojowiska zostały się same imiona, a utwory, które zaginęły, może i zasłużyły na zapomnienie. Ale zostały utwory dwóch poetów, które hojnie wynagradzają tę stratę; ogólnej zagłady uszły dwa głosy, które są z pewnością najpiękniejszymi dźwiękami, jakie poezja rzymska kiedykolwiek wydała — najpiękniejszymi i najsilniejszymi. Bo obok całego uroku, który prawdziwe natchnienie i uczucie zawsze daje, przebija w nich siła rodzima, narodowa, rzymska, która ich o całe niebo wywyższa nad wytwornych, lecz więcej już miękkich pisarzy następującej Augustowskiej epoki. Poetami tymi są Lukrecyusz i Katullus. Obydwaj oni krótko żyli, pierwszy może lat 43, Katullus zaledwie 30. Wobec wiekości dawnych poetów łacińskich, którzy patryarchalnej sędziwości dosięgali, jak Plautus, Enniusz. Akeyusz i nawet Lucyliusz, uderza ten tak wczesnie przecięty bieg ich żywota; słowa, że kto poeta, ten nie żyje długo, stwierdzają się na nich wymownie.

Lukrecyusz w swym antireligijnym zapale stoi na barłkach swoich poprzedników. Kultura helleńska przysła do Rzymu w głębokiem rozdarciu: stara wiara Homera i Eschylosa była do głębi wstrząśniętą przez sofistów i wychowane

przez nich pokolenia, a sceptycyzm starzejącego się społeczeństwa znalazł odrazu swój wyraz w młodem piśmiennictwie rzymskiem. Autorzy tragedyi wybiegali chętnie po za ramy greckich oryginałów, aby pofolgować swym uprzedzeniom przeciw kapłanom, aby wyśmiać i napiętnować augurów i wróżbiarzy. Tak postępował Ennius, tak następca jego Akwycusz. Ale te wycieczki były niewinną igraszką wobec napadu na bogów, który przedsięwziął Lukrecyusz. W wieku rewolucyj politycznych powstała w duszy człowieka głębszego ta żądza, aby i bogów dotychczasowych strącić z tronu i wzgardą napiętnować. Porwał się on na to zadanie z całym żarem namiętności, jaki rzymska religia, pełna czczego formalizmu, przesądów i zabobonów, w duszy myślącej rozbudzić mogła. Lukrecyusz ściga bogów z taką nienawiścią, jakby osobistej krzywdy od nich był doznał. I doznał jej — bo ta religia nie mogła podnieść ani pocieszyć szlachetniejszej duszy, a gniotła swym ciężarem zabobonne pospólstwo; bo wobec strasznych wypadków wieku, wobec orgii krwi, wojen domowych i spisku Katyliny, mogło się zrodzić w duszy szlachetnej uczucie żalu do ofieyalnych bogów Rzymu, zachowujących się wobec zlego na ziemi neutralnie. Lukrecyusz nie neguje bogów, nie posuwa się tak daleko, ale odsuwa ich od świata na dalekie widnokreśli, każe im grać rolę tak bezczynną, bierną, że ostatecznie wychodzą na statystów.

Tymczasem w świecie rzeczywistym prawa niezłomne atomów, materyi, panują bezwzględnie i wykluczają wszelką boską interwencyę. Działania tej materyi Lukrecyusz nam przedstawia w poemacie dydaktycznym, nieco suchym. Nigdy z pewnością więcej niewdzięczne brzemie nie ciążyło na piórze poety; Lukrecyusz walczy z potężną wiarą tylu pokoleń, walczy z przedmiotem, który do poezyi mało się nadawał, potyka się wreszcie z trudnościami języka, który jeszcze nie wyrobiony nielatwo do filozofii się nagiął. Ale wszędzie czuć energię usiłującą pokonać zapory, a suchy przeważnie wykład przerywają dość często prawdziwe błyski poetyczne, szczerze wypływy natelnienia, pełne potziwu wyrazy dla matki natury. Te ustępy zapewniają wartość poetyczną dzieła, a przytem ten smutek poważny i szlachetny rozlany w ca-

łości, który poecie jedna serca czytelników, a przytem jest do pewnego stopnia refutacją prometejskich aspiracyj autora.

Lukrecyusz choć pochodził z wyższych warstw społeczeństwa, nie bierze zupełnie udziału w politycznym życiu; z wyższego stanowiska patrzy z politowaniem na wszelkie walki i przewroty chwili, chroni się do pogodnych świątyń mędrców — *sapientum templa serena* — aby znaleźć spokój i wytchnienie. Ta filozofia jest systemem kwietyzmu, nowego zupełnie objawu wśród społeczeństwa rzymskiego, które do tego czasu w wir walki i życia publicznego wciągało każdą osobistość. Lukrecyusz wśród niepokojów życia szuka ulgi w badaniu przyrody, w odsłanianiu i rozwiązywaniu jej tajemnic, a jako czynnik poruszający tem wszystkim sławi w cudnych wierszach Wenere i jej potęgę przenikającą wszelkie jestestwa ziemi i nieba.

Panowanie tej bogini nad sercem ludzkim nie znalazło dotąd w Rzymie odgłosu, pieśni ani śpiewaka. Teraz dopiero, kiedy tętno pojedynczego serca obok tętna dążeń społecznych dochodziło do pewnego uprawnienia, słyszymy wstępne dźwięki budzącej się liryki. Uczucie namiętne Katullusa dla pięknej lecz niestałej Klody przyniosło społeczeństwu rzymskiemu nowy rodzaj poezji, poezję miłości a zarazem miłość poetyczną. Katullus przedstawił nam rozwój swego romansu w najdrobniejszych szczegółach, podał nam dzieje swego serca w całkowitym obrazie; mamy tam zawiązki miłości jeszcze nieśmiałej, potem szal i szczęście posiadania, dalej budzące się niepokoje, wreszcie rozłączenie z kochanką i rozdarcie przywiązanego serca. Miłość jest panującym rysem w jego poezji, tak panującym jak nigdy w starogreckiej poezji nie była. Dopiero Aleksandryjskie piśmiennictwo rozkwitające w społeczeństwie, w którym kobieta wyzwoliła się z dotychczasowej drugorzędności, podniosło to uczucie w skali poetycznych czynników na szczybel najwyższy. Katullus więc nawiązuje tam, gdzie liryka hellenistyczna była doszła, ale wyższy on pod każdym względem od tych dworskich poetów Aleksandryjskiej epoki. Tamci są przedstawicielami wieku zgrzybiałego helleńskiego społeczeństwa, wśród którego miłość na pierwszy plan występuje po bankructwie uczuć

innych szerszych i nieosobistych, muza ich kwili, bo już na silniejsze tony zdobyć się nie może; u Katulla, który wyrósł w zdrowym powietrzu północnej Italii, w Weronie, znać jeszcze i czuć całą jędrność i siłę mieszkańca prowincyi, który się kocha namiętnie, ale namiętnie także nienawidzi, a umie też kochać i nienawidzić z innych niemiłosnych pobudek. Poezye jego mają dziwny urok i świeżość, uczucie wezbrane doraźnie wylewa się w tych wierszykach, które nam bez wszelkich przysłon odkrywają najgłębsze tajniki poety. Język rzymski, używany dotąd do kreślenia wielkich obrazów o wysokim nastroju, nagiał się po raz pierwszy do kreślenia osobistych dziejów jednego serca i w małych obrazkach malował nam wielki świat duszy. W prawdziwości i cieple uczuć leży wielkość poetyczna Katulla, w piękności i prostocie dźwięków, które z języka łacińskiego wydobył, jego talent i mistrzostwo. Gracye żadnemu poecie rzymskiemu życzliwszemi nie były, to też Macaulay słusznie nazwał Katulla największym Grekiem pomiędzy Rzymianami. Miłość przemówiła tu po raz pierwszy i nigdy już ani silniejszych ani piękniejszych w starożytnej Italii nie znalazła wyrazów.

Lukrecyusz i Katullus, dwaj najwięksi poeci Italii, dokonali dzieła wyzwolenia poezyi rzymskiej; wyzwolili ją nie w tem znaczeniu, jakoby ona zerwała już stanowczo z naśladownictwem Greków, których utwory pozostały zawsze gwiazdą przewodnią, ale o tyle, że naśladowanie zamieniło się w odtwarzanie, że indywidualność poety i indywidualność Rzymianina doszła w ich utworach do stanowczego głosu. Następująca epoka otrzymała wydoskonalony język poetyczny po nich w spuściznie. Spuścizna to ułatwiająca i utrudniająca zarazem twórczość i tworzenie. Język nagina się odtąd z łatwością do wyrażenia wszelkich odcieni uczucia i myśli, ale zarazem skutek swej doskonałości utrudnia nowym poetom zadanie, aby nowe dźwięki dotąd niesłyszane z niego wydobyć. Na to potrzeba prawie iskry geniusza i dlatego nowsza poezya francuska, używająca języka tak nadzwyczajnie wyrobionego, przejrzystego, tak rzadko na silne tony i odgłosy zdobywać się umie.

Po Katullu nastąpiła poezya Augustowska. Już samo nazwisko mówi tu wiele i bardzo wiele. Jeżeli dotychczasoso-

wa poezya wyrosła bez protekcyi państwa, a nawet mimo państwa, to teraz panujący władca Rzymu bierze ją pod swoją opiekę, pielęgnuje na wszelkie sposoby, robi z niej *instrumentum regni*. Dźwięki tej poezyi mają z jednej strony słać nowy rzeczy porządek, z drugiej strony ukolysać żywioły niesforne, gotować literackie rozkosze, a odciągać od innych dążeń i aspiracyj. Wszystko co do tego czasu praca wieków wytworzyła, stało tej poezyi na posługi: doskonały język, wielki zasób form metrycznych, znajomość szeroka i przeniknięcie poezyi greckiej, wreszcie wielka kultura społeczeństwa. Prócz tego jakby na zaklęcie Augusta pojawiło się dużo rzeczywistych talentów, najliczniejsza plejada poetów, jaką kiedykolwiek Rzym mógł wykazać.

Przyszła doskonałość jeszcze większa, ale brak jej tej siły, którąśmy u Lukrecjusza i Katulla poznali. Mrozący powiew opieki dworskiej zaważył mniej lub więcej na utworach nowej epoki. Poezja Augustowska w pierwszym rządzie zwraca się do kół wyższych, wykształconych społeczeństwa, nie ma wcale łączników z ludem, bo z ludu nie wyszła; owszem, wywiesza ona niemal hasło, które ujął w dewizę Horacyusz *odi profanum vulgus et arceo*. *Doctus poeta* jest znamieniem tych czasów, a w tej jego nauce stoi w pierwszym rządzie retoryka, która ubiera myśl każdą w szumne i wyniosłe wyrazy, ale tem zabija często prawdziwe uczucie lub kwiatami języka brak tego uczucia zakrywa.

W malej książeczce Katulla jest z pewnością więcej prostego i prawdziwego natchnienia, jak w całej bogatej spuściznie Augustowskiej epoki. A jednak ta poezya zawsze nasz podziw wywoływać będzie. Augustowska epoka była rodzajem odrodzenia. Zwrot ku starogreckim wzorom objawił się w wielu szczegółach zwycięzko przeciw barokkowi Aleksandrynizmu i wiele pereł zagubionej klasycznej poezyi Greków w rzymskiej szacie nam się dochowało. Zachwycać nas będzie ta poezya zawsze niewysłowioną dźwięcznością swojego języka i wierszy; a potem bogactwem i różnaitością indywidualnych odcieni, które się w niej odbijają. Cesarstwo odsuwające ludzi do zacisza domowego i rosnąca z pokojem cesarstwa ogólna kultura, przyczyniały się do tego, że życie indywidualne coraz bardziej się pogłębiało, że coraz większa

różnolitość się ujawniała w tem niegdyś tak równajacem wszystkich społeczeństwie. Każdy z tych poetów Augustowskiej epoki wprowadza jakiś nowy żywioł do bujnej kwitnącej poezji swoich czasów. Na ich czele stoi Wergiliusz, najczystsza dusza wśród wszystkich pisarzy rzymskich, wyprzedzający pod wielu względami swój wiek pewnemi rysami, które do nowożytnych pojęć i wyobrażeń się zbliżają. Występuje on przed nami z pewną marzycielską miłością przyrody, której najdrobniejsze żyjątka i szczegóły podziwia, którą ożywia pewnem romantycznym uczuciem i współczuciem dla losów ludzkości. Bohaterowie Wergiliusza wolni są zupełnie od twardości, szorstkości starorzymskiej. Wśród całej wrzawy wojennej Eneidy, zawsze jeszcze tętna serca dośłyszeć można; owszem, wszelkie spokojne, łagodne rysy duszy uwydatnione są przez poetę i widoczną się jego cieszą miłością. Pewna łzawa rzewność, tak obca dotąd rzymskiemu duchowi, przenika cały poemat, jakby dewizą jego było *sunt lacrimae rerum*; łza z pewnością w żadnym utworze starożytności tak wielkiej roli nie gra, jak w Eneidzie. Bohaterowie Wergiliusza są wskutek tego nieco czułości, miękcy, ale wywalczają prawa uczuciom, które dotąd na milczenie były skazane; jego epepeja zachwyca nas przedewszystkiem przez swe idylliczne i liryczne rysy, a to stanowi jej urok i słabość zarazem.

Zupełnie inny duch wieje z utworów sprzyjaźnionego z twórcą Eneidy Horacyusza. Podczas gdy pewna rzewność jest struną panującą u Wergiliusza, spotkamy się u Horacyusza w większej części utworów z żartobliwym ironicznym uśmiechem, jeżeli u Wergiliusza uczucie liryczne zabarwia opowiadanie, nawet epepeję, to przeciwnie u Horacyusza rozum i refleksya wkracza nawet w świat uczuć, przenika lirykę, robi ją przejrzystą i jasną, ale przytem chłodzi ją niekiedy i wyziębła. Horacyusz nie jest poetą głęboko natchnionym, ale najwymowniejszym dowodem, że człowiek wykwinętego smaku, obdarzony żywym poczuciem piękna i formy, nawet bez wielkiego natchnienia, wdzięczne kwiaty na polu poezji uszczknąć potrafi. W drobnych zadaniach i obrazkach jest Horacyusz prawdziwie wielkim; kiedy natomiast chce

być kapłanem poezji, zawsze mu w tej szacie nie do twarzy, podniosłość ma znamiona sztuczności, znać, że to nie owoce natchnienia, lecz inspiracyi z góry, która nie od Apollina, lecz od Augusta lub innych współczesnych przychodziła. Na polu uczuciowej poezji bywa bardzo wdzięcznym, ale nigdy nie porywającym, bo sam się uczuciom nigdy porywać nie dał, był i pozostał zawsze panem swego serca i namiętności. Pod tym względem dużo niższy od Katulla nawet przez współczesnych poetów dał się przewyższyć.

Bo liryka w Augustowskiej epoce zakwitła bardzo bujnie. Odwrócenie od rzeczy publicznych i zamknięcie się w własnym świecie myśli i marzeń osobistych, wydało aż kilku poetów, opiewających w najdrobniejszych szczegółach swoje uczucia, odsłaniających przed nami z zupełną otwartością tajniki swego serca, poddających wszelkie poruszenia duszy najdokładniejszej analizie. Był to wiek rozkwitu elegii. Rodzaj ten szczególnie odpowiadał nastrojowi ducha rzymskiego. We formie łączy wiersz epopei z epodą liryczną, w treści spokojne opowiadanie z wynurzeniami uczucia. Rzymianin, który dla liryki wyłącznej i samodzielnej przynosił za mało uczucia, dla epopei zbyt mało naiwności, szczególnie się odznaczył na tem polu, nie odgraniczającym tych dwóch zakresów, w tej poezji, w której pogoda i spokój opowiadania spletała się z wybuchami i niepokojem wezbranych namiętności, które z wolna znów łagodniejszym ustępują dźwiękom.

Tibullus, Propereyusz i Owidyusz zajaśniali w tym kierunku — *triumviri amorum* — jak ich później nazwano. Wszyscy oni niemal zupełnie zasklepieni w własnych uczuciach i pragnieniach, odurzeni upajającą *dulcedo otii*, słodyczą spokoju i pokoju, na które cesarstwo ich skazało; skowronkują w swoim miłosnem elizyum, jakby na dole nie było kałuż i ruin. Tybullus pełen szczerego choć nieco miękkiego uczucia dla swojej Delii, marzy ciągle o idylli ze swoją kochanką, o zaciszu wiejskiem wśród darów i cudów przyrody i w tych ciągłych marzeniach jest nieco jednostajnym. Propereyusz pełen gwałtownych namiętności uderza w silniejsze tony, lecz nie ma prostoty Tybulla, bo zbyt uczony i tą uczonością obciąża swe utwory; nie ma wdzięku

Katullusa, bo namiętność stłumiła u niego spokojniejsze serca popędy.

Po nich przychodzi ostatni reprezentant Augustowskiej poezyi Owidyusz. Nie opiewa on już miłości, lecz miłości, zupełne bankructwo prawdziwego uczucia w tem przerafinowanem, rozbawionem społeczeństwie zdradza się w jego poezyi. Owidyusz igra zupełnie z sercem i sercami: jego poezya jest poezją zmysłów nie uczucia. Na zmysły też głównie działa swą nadzwyczajnie wykończoną formą; bo pod względem zewnętrznym jest Owidyusz pierwszym poetą, rzechy raczej trzeba, wirtuozem rzymskiego piśmiennictwa. Wychowany retorycznie, włada on tym językiem po mistrzowsku, nagina go do coraz nowych dźwięków i obrazów. Ale obrazy te barwne nadzwyczaj, nie mają mimo całej świetności ciepła, są najczęściej igraszką bez prawdy i głębszej istotnej treści. Forma wspaniała gotowa, ale czuć, że duch z niej uleciał i zamarł może niepowrotnie.

II.

Przebiegliśmy tak w szerokich rysach główne objawy poezyi rzymskiej, aż do epoki Augusta. Widzieliśmy, jak w trzecim wieku przed Chr. poezya ta powstaje, nieoryginalna, obca, ubierająca myśli greckie w nową szatę, której jeszcze brak gładkości i ozdobności. W pierwszym wieku iskra poezyi w umyśle rzymskim zabłysła, natchnienie prawdziwe walczy tu jeszcze z językiem niedosyć wykończonym i giętkim. Wreszcie w epoce Augusta forma bierze górę nad treścią i ostatecznie, jak widzieliśmy, treść tę zabija. Zdobyliśmy tak odpowiedni i wystarczający widnokrag, aby tę poezycę ogólnie ocenić i uwydatnić najgłówniejsze jej rysy i znamiona.

Co nas na każdym kroku w tym zakresie uderza, to drobna twórczość i nieobfita spuścizna po rzymskich poetach. Kiedy spojrzymy na liczne tomy naszych i dawniejszych mistrzów słowa, zadziwi nas małowówność rzymskich pieśniarzy; utwory Katulla wypełnią jedną niewielką książeczkę, Tybullus i Propercyusz drobny tomik, najplodniejszy Owi-

dyusz nie dorówna przeciętnej twórczości znakomitszych wieszczów nowożytnych. Czemże tedy ten objaw tłómaczyć? Czy ścisłością języka, który kilku słowami wyraża treść całych peryodów nowożytnych, czy brakiem natchnienia, które przecie u niejednego poety wystrzeliło raz pięknym kwiatem, aby później zamrzeć niepowrotnie? Ani jedna, ani druga przyczyna nie wytłómaczy nam dostatecznie zagadki.

W pierwszym rzędzie postawić tu wypada ogromny nacisk na doskonałość formy, który przeważał u poety rzymskiego nad innymi względami stanowczo. Kto sobie uprzytomni wrażliwość mieszkańców Italii na piękne dźwięki, kto zwróci na to uwagę, że w czasach dawniejszych, kiedy według świadectwa Cycerona cała publiczność okrzykiwała się na aktora przekręcającego dźwięk jakkolwiek, wrażliwość ta była jeszcze większą, temu ta staranność przesadna stanie się do pewnego stopnia zrozumiałą. Metryka też lacińska jest pod względem swych praw i wyglądu, wytworem doskonałym, doskonalszym od greckiej; wykryto w niej rozliczne subtelności, które nie uderzą odrazu dzisiejszego czytelnika, ale z pewnością pieściły ucho starożytnych słuchaczy i publiczności.

Ale ta wybredność formalna narażała na pewien szwank poezję, na której skutek tego ciążyła kłatwa, że wśród pracy rodzić będzie, *in labore paries*. Horacyuszowski przepis *Nonnum prematur in annum* miał może dobre swoje strony, sprawiał, że niektóre utwory przed wyjściem na świat zasłużonemu uległy pogrzebaniu, ale zarazem narażał utwory poetyckie na ciągle poprawy, przerabiania, które im dawały może pokost gładki, ale odbierały woń świeżości i natchnienia. Większość tych poetów tworzy nadzwyczaj powoli, poświęca jednemu utworowi nawet lata całe. Słyszymy o Wergiliuszu, że zaledwie kilkanaście wierszy przez dzień spisywał, że nad Eneidą prawie dziesięć lat pracował i pracy nie skończył. Później poeta Staeyusz usprawiedliwia pewne niewykończenie swych utworów tem, że szybko, doraźnie powstawały i chwali się jako rzeczą nadzwyczajną, że 110 hexametrów w obrębie jednego dnia ukuł i wylał na papier.

Zrozumiemy to wszystko, jeżeli sobie uprzytomnimy,

że tworzenie tych poetów było rzeczywiście pracą, tak, że nawet bajkopisarz Phaedrus swoje drobne wierszyki mianem *doctus labor* śmiało opatrzyć; zrozumiemy dalej do pewnego stopnia, że Horacyusz spisawszy trzy książeczki lirycznych utworów, tak się wyrażał, jakby był spisał Iliadę lub Odyseę.

Exegi monumentum aere perennius
Regalique situ Pyramidum altius.

Jakieżto wszystko różne i odmienne od naszych pojęć o poecie i poetycznej twórczości, jakżeż dalekie od sposobu pisania Mickiewicza, który doraźnie i prędko spisuje, kropił wiersze *Pana Tadeusza* według własnego wyrażenia!

Jedną chyba poezję będziemy w późniejszych czasach mogli z tą rzymską porównać, poezję humanistów. Kiedy Petrarka się spowiada, że zaczął sonet 10 września, że 18 lutego następnego roku jeszcze go przerabia, przypominają nam się rzymskie stosunki i czasy; niedziw, że te utwory pod skalpelcem mistrza wystygły czasem aż do lodowatości. — Powolność ta tworzenia wypływa po części z istoty tej poezyi, która była poezją naśladowaną. Zamiast żeby wlewać wprost swe myśli i uczucia na papier, oglądał się rzymski poeta za wzorem, który mu dawał szczegóły treści i formę poetyczną nasuwał; wybór ten był aktem rozważki, która zawsze wyziębia i osłabia prawdziwe uczucie i natchnienie. W pieśniach Horacyusza mamy dosyć dużo okazji pewnej dwoistości koncepcyi; wytwór indywidualności krzyżuje się tu i płacze z reminiscencyami obcemi, a podobne znów zupełnie objawy znajdujemy w poezyi humanistycznej, naprzykład u Kochanowskiego, gdy wśród opisu polskiej, rodzimej wiosny naraz się pojawiają postacie mitologii starożytnej i faunowie skaczą leśni. Gorzej się działo, gdy ci poeci rzymscy zapożyczali się u aleksandryjskich poetów; wtedy mitologiczne uzone szczegóły ciężkiem swem brzemieniem obciążały polot myśli, tłumili ogień uczucia; ofiarą tego kierunku padła w wielu miejscach przedewszystkiem liryka Propercyusza.

Ostatecznie w każdej poezyi jest *niceo* naśladowania ¹⁾.

¹⁾ Por. Rosenberg: *Die Lyrik des Horaz*. Gotha 1883, str. 50.

Obraca się ona ciągle w podobnej sferze myśli i marzeń, żyje tętnem tego samego serca i uczuć, które już przed wiekami żyły i rozpierały pierś człowieka, a poeci jeden od drugiego biorą tę iskrę, która ma rozświecać i opromieniać posępną rzeczywistość, topić lody lub rozognić do czynu i działania.

Et quasi cursores vitae lampada tradunt.

Szekspir tak dalece naśladował swych poprzedników, że na 6043 wierszy jego dramatów, blisko dwa tysiące dosłownych jest powtórzeń. Szyller naśladował często Wergiliusza, Mickiewicz Goethego, Słowacki Byrona; ale Wergiliusz odpowiadał trafnie krytykom, którzy go ganili za niewolniczą od Homera zależność, że łatwiej jest Herkulesowi maczugę, niż wiersz jeden wydrzeć Homerowi. I ostatecznie oryginalność duchowa mistrzów słowa nie polega na tem, co od nich każdy wzięść może, ale leży w tem, czego im nikt zabrać nie zdoła. Te same myśli i te same zwroty przechodzą od jednego poety do drugiego, ale indywidualizm je zabarwia inaczej, duch czasu i duch narodu nadaje im nowe odcienia i połyski.

I rzymska poezya nawet wśród naśladowania bywa często oryginalną. Ale w wielu i bardzo wielu razach te odzwierciedlenia nie są przetwarzaniem, myśli obce przechodzą do tej poezyi z niezatartym znamieniem obcego początku i natchnienia. Wypływa to znowu z pewnego lekceważenia treści a przeważnej troski o formę i jej piękność. Kult formy sprawił, że w starożytności wyobrażenia o własności duchowej były zupełnie odmiennymi od naszych. Gdyby w dzisiejszych czasach jaki poeta przyozdabiał swoje utwory strzępami swych poprzedników, krytyka odsądziłaby go od oryginalności, zarzuciłaby mu popełnienie plagiatu. Tymczasem w starożytności, a mianowicie w Rzymie uchodziło to, co jakiś poeta w szczęśliwą i piękną ujął formę niemal za własność ogółu; następny pisarz nie kusił się o wytworzenie nowej szaty dla tejże samej myśli, lecz bez wszelkiego wahania ją sobie przyswajał. I tak mamy formułki i wiersze, które w różnych wiekach u rozmaitych poetów przez cały ciąg poezyi rzymskiej prawie w niezmienionej powracały postaci. Lukrecyusz w pierwszym wieku przed Chr. napisał wiersz:

armenta atque aliae pecudes, genus omne ferarum

który w podobnym kształcie powraca u Wergiliusza, Owidjusza, Kalpurniusza, Marcyalisa i wielu innych późniejszych poetów. Ennius w początku drugiego wieku przed Chrystusem śpiewał:

Mox auferre domos populi rumore secundo¹⁾,

a ten koniec hexametru: *rumore secundo*, przechodzi następnie do Swejusza, Wergiliusza, Horacego i pobrzmiewa jeszcze w piątym wieku po Chr. u późnego Klaudyana. Z biegiem czasu wytwarzał się pewien zapas zwrotów i formuł, jako wspólna skarbnica, z której wszyscy poeci czerpali dowolnie.

Ten sposób tworzenia wyklucza wszelką naiwność uczucia i poezyi. W usposobieniu Rzymianina skłonem do reflexyi nie było też dla niej miejsca; owszem, zaprzeczenie i przeciwieństwo naiwności, skłonność do retoryki, należała do pierwotnych i istotnych właściwości narodu. Objawiała ona się w tem, że gdzie poezya powinna była wyrażać uczucie, tam wyrażała namiętności; że zamiast używać półcieniów, malowała dosadnemi barwami; że podnosząc sprawy ludzkie do zbyt wysokiego nastroju, odbierała im wdzięk prostoty, nadużywała figur retorycznych i emfatycznych wyrażań. Skłonność do kolosalności widoczna w rzymskiej architekturze, zdradza się i w dziedzinie poezyi. Wergiliusz naprzykład szafuje bez miary przymiotnikiem *ingens*, który w jego Eneidzie przeszło 150 razy powraca. Silne wyrażenia i obrazy przygniatają nieraz to, co mają uwydatniać; kiedy Horacysz opiewa, jak w górach Sabińskich uszedł niebezpieczeństwa wilka, twierdzi, że takiego potwora ani ojczyzna lwów Afryka nie wydała; kiedy uspakaja uciekającą przed nim Chloe, dodaje, że nie ma krwiożerczych zamiarów, że nie myśli jej jak dziki tygrys rozszarpać. I tak często w rzymskiej poezyi

¹⁾ Por. o tem Zingerle: Ovid und sein Verhältniss zu den Vorgängern und gleichzeitigen römischen Dichtern (I—III), mianowicie II, 116 i Bährens w wydaniu Valeriusa Flaccus prooem.

słowa są większe od rzeczy, porównania swą kolosalnością przytłumiają rzeczywistość i prawdę. Język też poetyczny Rzymianina jest odmiennym od języka prozy; odrzucił on, podobnie jak francuski, dużo wyrażeń prostych dlatego, że dla poezji zbyt prostymi i powszednimi się wydały. I tak niewolno poecie wyższego stylu używać zaimka *is*, ten; niewolno słówka *quare*, dlaczego i innych¹⁾. Z drugiej strony wykazuje ten język, podobnie jak język włoskiej poezji, dużo dosyć form i wyrazów, których prozaby nie zniosła, a takie wyrazy zawsze są pustą ornamentyką, która do serca nigdy nie przemawia. — Tymczasem nasza poezya nie wzdryga się przed najprostszymi wyrażeniami i najczęściej prostotą zdobywa sobie serca i poklask. Kto czyta balladę Mickiewicza, np. *Panicz i Dziewczyna*:

W gaięku zielonym
Dziewczę rwie jagody,

nie napotka niczego, coby ten język wyróżniało od potocznego języka. Ale wyróżnia go coś, czego starożytni nie mieli, a co właśnie samo przez się podnosi najpowszedniejsze opowiadanie, melodia i śpiewność naszego rymu. Rzymska poezya nuży niekiedy swoją napuszystością i brakiem naturalności; nowsza z nadmiaru prostoty popada czasem w pewien nastrój zbyt powszedni, prawie trywialny, od czego ani Heine ani Słowacki zupełnie wolnym nie jest.

To kapłańskie namaszczenie rzymskich poetów, ta podniosłość często szkodliwa, miała także chwile szczęśliwsze. Jeżeli poezya rzymska dzisiaj żyje i powszechnym cieszy się podziwem, to po części zawdzięcza swe powodzenie elementom prozaicznym, które zawiera, przepisom i sentencyjom moralnym. Retoryka i ścisłość języka łacińskiego składały się na to, aby pewną prawdę życia ująć i wyrazić w sposób tak jędrny i krótki, że cała przyszłość ani na trafniejszą, ani na szczęśliwszą formę już się nie zdobyła. To stanowi tę wspaniałą lapidarność języka łacińskiego w prozie i poezji. Tylko że to, co zasługuje na rycie w kamieniu, w księ-

¹⁾ Por. Haupta Opuscula i Schopenhauera: Die Welt als Wille und Vorstellung. II, 490.

dze poetycznej, a mianowicie w liryce, bywa także często zimnem jak głaz i ciężkiem i dlatego właśnie z najbardziej sentencyjami najeżonych ód Horacyusza wieje pewien chłód mrozący, i odwrotnie powiedzieliby można, że tam, gdzie poeta jest najmniej natehnionym, jak w sześciu pierwszych oдах trzeciej księgi, tam bywa najbardziej sentencyonalnym.

Ztąd, że ta poezya przeważnie jest owocem refleksyi, przepuszczonej jeszcze niekiedy przez alembik retoryki, wypływa jej nadzwyczajna jasność i przejrzystość. Przyczynia się do tego ścisłość i logiczność samegoż języka, przyczynia się niemało brak fantazyi u Rzymian, którzy używają pełno porównań, ale do śmiałych metafor czyli przenośni nie mieli odwagi ani dosyć polotu. Kwintyliian uważa wyrażenie *capitis nives* — śniegi głowy, lub raczej śniegiem przypruszona głowa, za obraz nadzwyczajnie śmiały. Postawmy wobec tego nasze Sonety krymskie, gdzie każdy wyraz niemal przenośnie jest użyty, gdzie góry, fale morza, gwiazdy świecące i ludzka dusza pokrewne mają myśli i pokrewną mowę, a przekonamy się o całej otchłani przedzielającej te dwa światy i dwie poezye. Poeta nowożytny tworzy wśród natehnienia i często wśród niepokoju. Nadmiar myśli i uczuć płacze mu się po głowie i w sereu, na które dosyć wyrazów wystarczających i odpowiednich znaleźć trudno, bo język jest logiczniejszy od myśli. Nikt tego nie wyraził, jak Mickiewicz wątpiący w improwizacyi, aby znalazł się człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha.

Myśl z duszy bystro leci, nim się w słowach złamie.

A słowa myśl pochłona.

I w tem polega pewna mglistość, ale i urok zarazem poezyi nowożytnej, że pozwala ona słuchaczowi dośpiewywać w duszy ukryte myśli wieszczą, że choć Wojski przerywa —

Idzie jednak muzyka coraz szersza, coraz dalsza,

Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza.

Poezja nowożytna daje w słowach mniej, jak poeta zamierzał; poezja starożytna, a mianowicie rzymska, często

więcej, niż myśl i uczucie właściwie wymagało. Zmysł plastyczny starożytnego człowieka prowadził do tego, że poezya zapuszczała się w szczegóły podrzędne i zbyteczne, że mianowicie w porównaniach wypełniała drobiazgowo ramy obrazu, zbaczając od właściwego zadania i celu; że wreszcie gardząc ogólnikami, określała każdą myśl ściśle, ale tem ograniczała zarazem myśl i wyobrażnię słuchacza. Kiedy Horacyusz życzy sobie, aby swywolne wiatry uniosły jego troski, każe on im bujać nie po falach, jakby nowoczesny poeta się wyraził, ale wskazuje im drogę na morze Kretańskie; kiedy Tybullus płacze, że jego złote marzenia się rozwiały, powiada on nam, że Eurus i Notus je rozwiął i po Armenii przepędza. Poeta starożytny rzymski rzuca tu wszędzie światło pełną garścią na swój obraz i odejmuje mu przez to ów pomrok, który w poezji nowożytnej stwarza głębokie i dalekie perspektywy.

Wszystkie wspomniane tu rysy pozbawiają rzymską poezję często śmiałości polotu lub ciepła natchnienia. Wyjątkowym zaś poetą, który w znacznej części swych utworów umiał się wyłamać z pod praw i właściwości krępujących innych pisarzy, był Katullus. U niego poezya nie stoi w służbie retoryki, lecz bywa wyrazem bezpośrednim prawdziwych uczuć, a bezpośredniość ta zapewnia jego utworom woń świeżości i urok naiwności. Jego drobnostki, jak je sam nazywał, powstawały szybko, doraźnie, wyrazy szły według tętna serca, a nie według taktu retora; nie mają też pokostu, który zapewnia świetność ale tłumi płomienie.

Jest on też pierwszym i właściwie jedynym lirykiem rzymskim, a na polu liryki, która zawsze i wszędzie odsłania najgłębsze tajemnice, najlepiej nani się ujawnia poezyi tej właściwości.

Liryka starożytna odmienną jest w wielu szczegółach od naszej. Niema w niej przedewszystkiem tego nieokreślonego uczucia za czemś nieznanem, lepszem, utraconem, które w nowszych czasach tak często rozpiciera pierś człowieka. — W starożytności zgoda pogodna ze światem i rzeczywistością była dużo większą i dopiero przy schyłku epoki za cesarstwa przeddzwięki greckie i rzymskie nowożytnego znużenia, pesymizmu słyszeć się dają. Ale i w innych zakresach,

w których liryka obracać się zwykła, znajdujemy w starożytnych utworach pewne odrębne rysy i właściwości; pocucie natury w niej jest inne i inna też miłość kobiety.

Pocucie i miłość dla natury rozwija się w człowieku z biegiem czasu i postępu. Człowiek prosty, nierozwinięty spokojnym jest w sobie i ograniczonym; natura, której prawie nie zna i którą pierwotna fantazya zaludnia rozmaitemi bóstwami ludzkimi i nadludzkimi, wydaje mu się wtedy czemś niespokojnem, dziedziną, w której on ukojenia ani szukać nie potrzebuje, ani znaleźćby nie zdołał. Dopiero kiedy z rozwojem czasu ożywią się w człowieku drzemiące uczucia i myśli, kiedy nieznanne dotąd namiętności zamącą jego dotychczasowy spokój, wtedy zwraca on się do przyrody z pragnieniem miłosnem i nadzieją ulgi i pociechy. Przyroda wydaje mu się wtedy dziedziną ładu i spokoju wobec walk i rozterek wrących w jego duszy.

Pocucie natury w każdej osobie i w każdym narodzie ulega takim przeobrażeniom, lecz w tych głównych granicach jest miejsce dla tysiącznych stopni i odejści. W zaraniu wszelkiej poezyi, w epejach Homera przyroda dosyć podporządkowaną gra rolę; człowiek cieszy się nią naiwnie, ale nie szuka jej z zamiarem lub celem, aby mu ona otwarła swe tajniki, przemówiła do serca. Ta przyroda jest światem jeszcze odrębnym, tłem i sceneryą, na której życie ludzkie się rozwija, ale nie towarzyszką i współniczką człowieka w szczęściu lub nieszczęściu. Mitologiczne ożywienie natury musiało ustąpić, aby jego miejsce poetyczne uduchownienie zająć mogło. I z tym objawem spotykamy się już u dramatyków i liryków następnych. Kiedy w *Iliadzie* rozżalony Chryzes idzie nad morze, aby wylewać swe skargi, morze nieurodzajne Homera z pewnością było głuchem na jego żale i nie mu nie odpowiadało. U późniejszych poetów za to ożywiona przyroda już współuczuciem dla człowieka, podziela jego smutki i radości, zachęca go, aby jej powierzał tajemnice swej myśli. Nic pod tym względem wznioślejszego, jak *Elektra* Sofoklesa, jak Elektra wyjawiająca światłu i powietrzu swe cierpienia, jak Antygona żegnająca ostatnie słońca promienie. Natura staje się piękną przez to, co my z naszej istoty, z naszych myśli w nią wkładamy, kiedy martwy ka-

mień pod uściskiem Pygmaliona oddychać zaczyna, ludzkie uczucia żywić i ludzkie głosy wydawać.

Ten ścisły związek z naturą staje się jeszcze cieplejszym, gorętszym w Aleksandryjskiej epoce. Grek się starzał wtedy i tracił duszy pogodę, wolni obywatele stawali się podwładnymi licznie rozrodzonych następców Aleksandra. Przyroda wyciągnęła wtedy swą rękę, aby człowieka podtrzymywać we wszelkich znużeniach i troskach codziennego życia. A w takich razach przynosi ona zawsze skuteczne lekarstwo i ulgę. Jedynie u nas, gdzie cierpienia wyjątkowe, polityczne przeważają nad troską indywidualną, przyroda okazuje się często bezsilną wobec ran ludzkiego serca — bo tak daleko ani jej współczucie ani potęga nie sięga.

Gdzie ludzi rozdzieliły boje,

tam mimo tego gałązka litewskiego chmielu

Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.

Wyraził prawdę Mickiewicz, a ona ma te skutki, że poczucie przyrody nie godzącej z życiem, słabnie u nas w ludziach i piśmiennictwie.

W aleksandryjskiej poezji miłość i poczucie natury silnem jest i bujne wydaje owoce. Natura w tej miłosnej poezji przesycona zupełnie uczuciem ludzkim, jej kwiaty i drzewa i ptaki wtórują tętnom serca; mówi ona teraz już tyle, że opisy natury występują samodzielnie i to, co dawniej było tłem i sceneryą, staje się istotną częścią poematów, a człowiek schodzi wobec krajobrazu na stanowisko podrzędne. Prócz tego wsłuchiwanie się w najłżejsze poruszenia uczucia, rozkoszowanie we wrażeniach odebranych od przyrody, nowoczesna więc sentymentalność, tak odmienna od naiwnego podziwu Homera, budzi się w tej epoce. I jeszcze rys jeden nowy przybywa ¹⁾. Poezja ta powstaje w miastach wśród przerafinowanej cywilizacji i społeczeństwa znużonego życiem. Ztąd też pochodzi jej przeważnie idylliczny kierunek, owe pragnienie spokoju, idealizowanie pasterzy, miłość lasów i wiejskiego zacisza. Poezja lasu najczęściej z erotyczną

¹⁾ Por. Alfred Biese: Die Entwicklung des Naturgefühls bei den Griechen und Römern. Kiel 1884.

przymieszką wtedy na dobrą zakwitła, owa poezya, która u nas tak bujnie się rozrosła, tyle natechnień przynieść miała już Kochanowskiemu i wszystkim niemal aż do Mickiewicza.

To idylliczne piętno dostało się w spadku poezyi przyrody u Rzymian. Jedyne poeta, u którego ono mniej występuje, jest ten, u którego najbardziej rodzime, najprawdziwsze i najszczerze znajdziemy zawsze dźwięki, dziecko lombardzkiej płaszczyzny, Katullus. Czy kiedy powraca do źrenicy wszystkich wysp i półwyspów, do rodzinnego Sirmio na jeziorze Garda, kiedy cieszyć się może i śmiać w wodzie i całemu otoczeniu, czy też kiedy opiewa wróbelka swojej kochanki, znać w nim zawsze człowieka, który nie dlatego przyrodę idealizuje, bo ją rzadko widzi, ale dlatego, bo ją pokochał od młodu i zna doskonale. Owidjusz także opiewa później ptaka swej bohdanki, ale zamiast wróbelka Katulla występuje u niego *psittacus*, papuga. Cała różnica, przedzielająca poezyę Katulla, od wiejskiej, dworskiej poezyi Augustowskiej widoczna w tym jednym rysie. Idylliczne marzenia stanowczo w niej przeważają. Większość utworów opisujących krasy przyrody powstała w mieście, jest owocem tęsknoty za tem czego się niema. W pięknych pieśniach Horacyusza, opiewających rozkosze chwil spędzonych w cieniu drzew lub na murawie, znać zawsze, że poeta przyszedł nie tylko aby się nacieszyć, lecz aby wytehnąć; wysłyszeć można zawsze zgiełk bliskiego miasta, przed którym Horacyusz na chwilę się schronił. Najjaskrawiej to występuje w pewnej odzie drugiej księgi, gdzie wśród uciech sielanki naraz i niespodzianie „*devium scortum*“ zamęca nutą miejską nastrój całości ¹⁾. Wogóle u poetów Augustowskiej epoki znać we wszelkich sławieniach przyrody świadomy zamiar przeciwstawienia prostoty wiejskiej sztucznym zabawom i przepychom miasta. Znużenie miejskie stopniuje ich miłość przyrody i przedstawia im sielankę w barwach i rysach złotego wieku. — Najgorętszym w tej miłości jest Wergiliusz; z pewnem prawie już nowożytnem marzycielstwem zagłębia się on w tajniki natury, która u niego mówi i czuje tyle, jak u żadnego rzym-

¹⁾ Por. Philolog. Untersuchungen von Kiessling und Wilamowitz. II, 81.

skiego poety; główny też może urok *Encidy* polega na tem dostrajaniu miejsca i otoczenia do akcyi i bohaterów w poemacie działających.

Wergiliusz, jak powiadam, zbliża się już do pojęć nowożytnych. Ale są jednak między temi światami znaczne różnice. Wiele dźwięków, na które przyroda w nowszych czasach się zdobyła, przebrzmiało w starożytności bez ceba i oddźwięku. Przedewszystkiem nie mamy w klasycznej poezji przykładu sławienia Boga przez naturę, owego natchnienia, które każe stworzeniu opowiadać i głosić chwałę Stwórcy, i jak Augustyn mówi, *exclamare voce magna: Ipse fecit nos*. Uczynił to jedyny Arystoteles i tłumacz i następca jego Cycero. — Brak ten wypływa poniekąd z tego, że starożytny nie miał zmysłu dla wielkości i majestatu w przyrodzie, który przedewszystkiem do majestatu Boga porywa i nań wskazuje. Zauważono już dawno, że w klasycznym piśmiennictwie niema prawie śladu tak powszechnego dziś romantycznego podziwu dla dzikich, nieprzystępnych, górzystych okolic. Za cesarstwa dopiero znajdujemy słabe tego uczucia przeddźwięki, ale wtedy jeszcze uchodzą one za objaw chorobliwy. Starożytny człowiek wołał naturę wdzięczną, uroczą, w piękne kształty ujętą od majestatu i dzikiej, niespokojnej wielkości. Wiadomem też, że romantyczne skłonności w tym kierunku są nabytkiem nowych czasów, ośmnastego wieku, a pozwalałam sobie przypuścić, że nowożytne zdobycze, prowadzące do zapanowania nad naturą, nawet dziką i nieprzystępną, oswoiły nas z tem, co starożytnego człowieka raczej grozą niż podziwem napawało.

A wreszcie starożytny człowiek kocha i podziwia naturę w jej cząstkach i odłamach ¹⁾. Grek opiewa rzeki i lasy i marzy o żyjących w nich nimfach; Rzymianin domyśla się na każdym miejscu jakiegoś ducha opiekuńczego, *genius loci*, którego wielbi w przyrodzie. Po ustąpieniu bóstw wielu stała się też natura światem jednolitym; poeta nowożytny sławi często ogólnie jej ogrom i nieskończoność, a wobec nieskończonego, nieokreślonego przedmiotu jest też jego miłość bez-

¹⁾ Por. Gerber w *Jahrbücher für class. Phil.* 1883. 13 Stupplband str. 315.

nych razach, i to najczęściej, wyjawiają nam uczucia, które nimi w chwilach rozłączenia miotają. A więc przed i po, ale nie miłość właściwą. W pierwszym kierunku stworzyła Augustowska epoka przewodnik dla użytku młodych Lowelasów, którego żadne późniejsze pióro przewyższyć nie zdołało lub nie śmiało. Owidyusz napisał sławną swoją *Ars amandi*, sztukę kochania, której tytuł dla nas dziwaczny wskazuje, że tu nie o głębsze uczucia, ale o sztuczki uwodzenia chodzi, że nie miłość poetę zaprzęta, ale miłości, które przeważają w całej tej rzymskiej poezji.

A dalej przychodzi ta bujna nadzwyczaj i bogata poezja rozłączenia. Nowożytne chrześcijańskie czasy idealizują kobietę, poeci podnoszą ją często na wyżyny, na których wszelkie ludzkie aspiracye giną, aby ustąpić miejsca czci ubóstwiającej. Na tych wyżynach powstają u nas ówe kwiaty jakiejś poezji czystej, wyzutej z wszelkiej cielesności; tam spotykamy Słowackiego, kiedy przemawia do nienazwanej pastereczki, która mu była

Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem,
Smutkiem i Wniebowzięciem.

Uczucie to zupełnie nieznanne w starożytności i niezrozumiałe dla niej. A właśnie ta skłonność do idealizowania opromienia u nas całą poezję rozłączenia cudnemi blaski, sprawia, że smutne często i rozdarte serce lubuje się w swej tęsknocie i gorycz troski łagodzi słodyczą marzenia, kojącego jak ów *amoroso canto* Danta

Che mi solea quietar tutte mie voglie.

Nikt lepiej nie pojmował tego upojenia się tęsknotą, jak Goethe, sławiący w osobnym wierszu szczęście oddalenia, *das Glück der Entfernung*, opiewający gdzieindziej rozkosze łez, z rzewnego płynących serca:

Trocknet nicht, trocknet nicht
Thränen der unglücklichen Liebe.

A z naszych znów poetów, ten, który najpiękniej władał językiem miłości, Słowacki śpiewa:

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta.
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści.

W inny zupełnie, niższy i mętny nastrój przynosi nas tego rodzaju poezya w rzymskiem piśmiennictwie. Zamiast tęsknoty spotykamy tu pragnienie, zamiast marzeń o ideale ciągle niespokojne o zawód i niewierność. Ztąd ta cała poezya niespokojna, pełna wyrzutów a nawet przekleństw; poeci ci zamiast znosić los oddalenia i marzeniem go słodzić, stoją ciągle pod drzwiami kochanki i aż do znużenia wylewają na ową *ianua* bezlitośną swe skargi i żale. Wrota szczęścia w tej poezyi są zawsze bardzo rzeczywistemi drzwiami o prozaicznych zamkach i zawiasach. Trzeba czytać po elegii Tybulla lub Properecyusza Heinego:

Aus meinen Thränen spriessen
Viel blühende Blumen empor
Und meine Seufzer werden
Ein Nachtigallenchor,

aby zmierzyć otchłań dzielącą te dwa światy.

Takie odgłosy miłości podaje nam rzymska poezya. Zapewne, że po za temi miłostkami pojawiała się w tem społeczeństwie jakieś uczucie głębsze, szlachetniejsze, prowadzące do małżeństwa, lub spajające jego węzły. Ale już to, że te uczucia nie odbiły się w poezyi, dowodzi, że nie musiały być bardzo poetycznemi. Charakterystycznym jest, że język łaciński nie posiada wyrazu, któryby odpowiadał naszemu staraniu się o rękę, bo tego starania nie było, bo młodzi ludzie nie poznawali się najczęściej dobrze przed ślubem i małżeństwo bywało często dziełem osób trzecich, zobowiązaniem zawartem w dzieciństwie przyszłych małżonków. Cały więc ten stosunek wstępny nie dawał wiatku do poezyi. A w samym małżeństwie rzymskiem, choć ono budzi swą powagą podziw późniejszych, przeważa właśnie ta powaga, jakiś

wzajemny szacunek, poczucie obowiązku nad wszelkimi tkliwymi uczuciami serca. *Sapiens vir iudicio debet amare uxorem non affectu*, powiedział Seneka, a to było tylko odgłosem panujących wyobrażeń. Całe to małżeństwo rzymskie ma coś zimnego, nadawało się raczej do uwiecznienia w kamieniu, niż do opisu w słowach. To też grobowce rzymskie najczęściej nam o niem opowiadają: owe pary małżonków rzeźbionych, które zachwycaly Niebuhra i zachwycac będą późniejszych, patrzące z taką głęboką zadumą przed siebie i mówiące raczej o wzniosłości instytucji, jak o osobistem swoim szczęściu i miłości. Poezya znalazła w tym zakresie natchnione wyrazy znowu nad grobem, w sławnym utworze Propercyusza o zmarłej Kornelii, który nie bez słuszności *Regina Elegiarum* nazwano.

Poezya rzymska nie powiedziała więc ostatniego słowa w zakresie liryki; nawet tam, gdzie sięgnęła do głębi człowieka, do serca, nie zdobyła się na tak wysokie tony, jak piśmiennictwo i poeci nowszych czasów. Z jakich powodów i przyczyn, to starałem się w powyższym szkicu wykazać.— Forma metryczna jest tu zawsze prawie doskonałą. Ale ta forma jest przejętą od Greków, więc rzadko spaja się i zlewa ściśle i organicznie z myślami w nią wlanemi. Rzymianin obostrzył jeszcze prawa, które już ją w Grecyi wiązały, jego zmysł do ścisłości i ład u kazal mu wydoskonalać to, co było już dobrem i pięknem. A ta wybredność zewnętrzna zawsze za sobą pociąga niebezpieczeństwa. Wiemy, że zbyt wygórowane żądania co do rymu przyprawiły poczęt francuską o upadek; znamy nadużycia, jakie popelniano przeciw duchowi i myśli w trudnych jak sonet formach nowożytniej poezji.

Natchnienie stygnie wśród pracy, a ostatecznie powstają nieraz tylko puste dźwięki bez serca i życia. Zrozumiał to dobrze poeta Mareyalis, kiedy bledząc się nad utoczeniem pewnego wiersza mówił przeciwstawiając Rzymian do Greków:

Nobis non licet esse tam disertis,
Qui Musas colimus severiores.

W tej walce z formą wołał rzymski poeta nieraz poświęcić coś z treści, aniżeli rozerwać i przebić pęta, które go krę-

powwały. Te *severiores Musae* Rzymu zatrzymywały się często przy tej zewnętrznej piękności, nie doszły do ideału, owej zupełnej harmonii między wyborową treścią a formą. Ale w miejsce greckiej piękności postawiły coś innego, nowego, na co rzymska mowa stworzyła osobny wyraz, przyjęty przez wszystkie nowożytne języki, pojęcie *elegantia*. Jestto rzecz niższa od piękności, ale także uprawniona i cenna. Do mniej wykwintnych ludzi i narodów przemówi ona silniej od samejże piękności i poprowadzi ich w progi wyższych ideałów; wytworne przecież dźwięki łacińskiej poezji rozbudził zapaly odrodzenia, ta wytworność będzie zawsze pewną wskazówką i przestrogą dla nowych kierunków w poezji, lekceważących i rozpierających czasem zbyt znacznie wszelki ustrój formy i wiersza ¹⁾. Elegancya wstąpiła w miejsce greckiej gracy i wdzięku, który tak rzadko w piśmiennictwie rzymskiem się pojawia. Ale antyteza wdzięku patetyczność sprawiała, że wzniosła jakaś górnosc przemawia często z tej poezji, w owych wspaniałych utoczonych hexametrach, w owych krótkich, zwięzłych prawdach i sentencyach, mających siłę i stanowczość majestatu, do których się uciekamy, zdobiąc nasze pomniki i budowle, odzywając się do uczuć podniosłych, jak miłość ojczyzny i poświęcenie. Te złote myśli ze skarbcza rzymskiej poezji stały się własnością ogółu, bo jędrny łaciński język przyległ do nich, zrósł się z niemi, jakby się urodziły w tej szacie i od wieków kilkunastu zawsze one z równą siłą i skutkiem ożywiają kamienie i ludzi.

¹⁾ Por. piękne uwagi Lotze'go w *Mikrokosmos*. III, 306.

Kazimierz Morawski.

Z DZIENNIKA PODRÓŻY.

Adryatyk, Archipelag i wyspa Rhodos.

Triest, Hôtel de la Ville, 9 września 1884.

Aby uniknąć kwarantanny w lazaretach, zaprowadzonej z powodu grasującej w portach włoskich cholery, postanowiliśmy we trzech razem z dwoma towarzyszami naszej podróży, prof. Uniwersytetu wiedeńskiego Hartlem i malarzem Jackiem Malczewskim, korzystać ze statku Lloyda Argo, który kwarantannę ma odbywać na morzu. Podróż nasza będzie wskutek tego o wiele dłuższa. Ominiemy Ankonę, ale wypadnie nam jeszcze opłynąć Istrię, i wstąpić do Fiume, przed opuszczeniem austriackich wybrzeży. Mając czas, zwiedziliśmy tak dobrze mi z poprzednich podróży znany Triest i jego interesujące pomniki, na które się zwykle w oczekiwaniu żywszych wrażeń i w przejeździe, za małą zwraca uwagę. Każdy jednak, kto przedsięwzięje podróż na Wschód, do Grecyi, lub jeszcze dalej do Azji Mniejszej, zwłaszcza, jeśli chce w niej tak jak my szukać wspomnień i zabytków, które klasyczna starożytność po sobie zostawiła, powinien ją rozpocząć od Triestu, rzymskiego *Tergeste*, w tych się pomnikach rozpatrzeć i tutaj siadać na statek.

Nad tem miastem rozrzuconem amfiteatralnie w około portu i przeciętem kanałami, wchodzącemi w głąb ulic, pełnemi łodzi masztowych i okrętów, wznosi się wysoko, o górskie szczyty oparta, ku morzom dalekim zwrócona, starochrze-

ściańska bazylika, z niskim, prostym frontonem, ze ścianami pokrytymi płytami średniowiecznych grobowców i z wysoką czworokątną wieżą z boku. Na zewnątrz, z jednej strony głównego jej portalu ciągnie oczy, na kroksztynie wsparte, charakterystyczne, brązowe popiersie Eneasza Sylwiusza Piccolomini, papieża Piusa II, tego humanisty na tronie Piotrowym, z tiarą na głowie i z tym lekkim uśmiechem na ustach, który zapowiada zwrot do starożytności i zarazem początek nowych czasów. Na bocznej ścianie wieży, w niszy głębokiej stoi postać świętej, z palmą męczeńską w dłoni, pełna naiwności i uroku, świadczącego o tych enotach eichych, co rosły jak pierwiosniki na ruinach starożytnego świata. Nareszcie wewnątrz, na sklepieniach absyd, kończących boczne nawy, w półcieniu jaśnieją prastare mozaiki z VI wieku, z figurami świętych, Chrystusa i Maryi, w których uroczystej prostocie znać jeszcze niezatarte starożytne tradycje. Ale to nie wszystko. Wielka i kamieniem wyłożona terrasa, która poprzedza bazylikę, ogrodzona jest murem po lewej stronie, z drzwiami o klasycznych profilach, które prowadzą do ogrodu, o kilku schodzących na dół kondygnacjach, pełnego wśród drzew rzymskich fragmentów, zebranych w Istrii, Friulu i Akwilei i otaczających oparty o ścianę wejścia grób Winkelmana, tego, który klucz do sztuki starożytnej znalazł i pierwszy w naszych czasach odczuł znaczenie jej piękności. Widok ztamtąd wspaniały, szeroki, na żagle białe okrętów, na ciemne parowców smugi i na te „mokre słonych wód ścieżki“ mówiąc słowami poety, które nas „do Eurotowych brodów zaniosą“ i bezpośrednio ze starożytnością zetkną. Opuszczając ruch i gwar nowożytny i patrząc na te pomniki, przenosimy się myślą stopniowo i powoli z codziennego naszego otoczenia w tę dziejową przeszłość, która ma być przedmiotem naszych poszukiwań. Wejść na tę górę, zwiedzić tę bazylikę, pochylić czoło przed tym grobowcem, na wstępie do takiej jak nasza podróży, jest to toż samo, co zdać sobie sprawę z naszego do jej celów stosunku.

Na morzu, na statku Argo, d. 12 września.

Od trzech dni jesteśmy na pełnem morzu i pogoda nam nieustannie sprzyja. Niebo czyste, morze na całej przestrzeni jak ciemny lazur, posrebrzony pianą wzbudzonych ruchem statku fal. Surowe brzegi Albanii, o skalistych, dzikich i nagich stokach, skapane we mgłach, towarzyszą nam po lewej stronie; przed sobą widzimy bliżej wysepkę Fano, a dalej oczekiwane, zaledwo dostrzeżone Korfu. Statek nasz przygotowany i odświeżony był do przejazdu Ismaila-Paszy, byłego wice-króla egipskiego, który się na lądzie zatrzymał i powrót swój z Karlsbadu do Neapolu, z powodu grasującej tam cholery na później odłożył, co sprawia, że mamy na nim większy komfort i pod każdym względem większą jak na innym wygodę. Każdy z nas ma dla siebie bardzo ładnie umeblowaną kabinę i może się w niej rozgospodarować, jak we własnym pokoju. Podróżnych jest bardzo mało. W pierwszej klasie, prócz nas trzech, tylko lewentyński negocyant ze Smyrny, który wraca do żony i dzieci. W drugiej i trzeciej także niewiele. Krawiec Grek z żoną Francuzką i dzieckiem, jadący z Paryża do Aten; ksiądz Włoch, milejący, zamknięty w sobie i pokazujący się z rzadka na pokładzie; nakoniec jakiś Turek, którego będziemy mieli za towarzysza najdłużej, gdyż jedzie tak jak i my do Adalii. Dziwnym trafem zna on Lanckorońskiego i Dra Luschana z naszej wyprawy i jedzie z Wiednia, gdzie u okulisty Arlta szukał rady na oczy. W domu jego część naszych kolegów w roku zeszłym mieszkała. Pokazuje się zatem, jak świat jest mały i jak stosunki są obecnie łatwe, skoro się spotyka z tymi, którzy się tak daleko być zdawali. Przy stole w sali jadalnej widzujemy parę razy dziennie kapitana, Dalmatyńca, nazwiskiem Garofolicz, bardzo miłego, sympatycznego i inteligentnego człowieka, który znaczną część świata w życiu swoim objechał, temi drogami statki przez lata prowadził, ze znaczną ilością podróżujących europejskich i azyatyckich znakomitości znalazł się osobiście i uprzemnia nam podróż żywymi i interesującymi opowiadaniem. Czytamy na pokładzie, przechadzamy się wzdłuż i wszerz, patrząc na nieskończone horyzonty i na piękny świat wokół

Ktoś słusznie powiedział, że Adryatyk i morze Śródziemne mają tę wyższość nad wszystkimi innymi częściami globu, że łączą w sobie piękność natury w charakterze morza i brzegów, z najdonioślejszemi i najslawniejszemi wspomnieniami historyi. Największe fakta dziejowe stają nam przed oczyma na widok portów i miast, na które patrzymy przez lornetę ze statku i których głośnie nazwiska obijają nam się o uszy. Człowiek wśród tego jakimś wyższem i szlachetniejszym życiem żyje i widnokraj rozszerza się przed nim.

W porcie Korfu, d. 13 września.

Kwarantanna zatrzymała nas tutaj, od wczoraj, od 2giej południu, aż do dzisiejszego wieczora. Morze południa i niebo południa na samym wstępie nas przywitało. Z jednej strony ponure wybrzeża Albanii, z zawojem obłoków, srebrzystych i przemiennych na górskich wierzchołkach, ze wspomnieniami Child-Harolda, a z drugiej jakby wykuta ręką rzeźbiarza wysepka Fano, starożytna Ogygia i płaskie a niskie brzegi Korfu, homerycznej Coreyry, z podnoszącym się w górę szczytem S. Salvatore. Ciepłej się zrobiło i barwy nabrały, w jasnej, przezroczej i idealnej swej tonacyi, większego blasku. Morze wyglądało, jak roztopiony turkus, na tle którego jaśniały białe i pomarańczowe, ozłoczone słońcem żagle statków. Czem bliżej celu, tem widok był weselszy. Oliwne lasy, cyprysy i białe mury domów nadbrzeżnych, rozrzuconych coraz gęściej, zapowiadały oczekiwaną przystań. Nareszcie okazało się miasto, z dwoma wielkimi, ciemnymi bastionami starej fortecy, *Fortezza vecchia*, po lewej i nowej *Fortezza nuova*, po prawej stronie. Między wierzchołkami tych fortec i poniżej nad brzegiem rozciąga się ono, o wysokich domach, białych, kilkopiętrowych z zielonemi żaluzjami i balkonami, przypominające pomniejsze włoskie porty, wesole, śmiejące się, ładne, zachęcające do wylądowania i do wycieczek w okolice, sławne ze wspaniałych widoków i bujnej, południowej roślinności. Tymczasem zajęła łódka ze strażą lekarską przed statek i rozpoczął się przegląd przygotowawczy kwarantanny. Wszystko co żyło, cała załoga, majtki i oficerowie, jedni po dru-

gich, z wyższego pomostu, musieli schodzić schodkami na niższy, przed oczyma lekarza, który ich oglądał i rachował. Nam zrobiono ten zaszczyt, że poprzestano na rzucie oka. Nie możemy jednak opuścić statku. To też niezwykle, spowodowany brakiem zajęcia, ruch się między nami obudził. Kapitan siedząc pod wielkim masztem i naprzeciwko busoli, opowiadał nam trybulacje komiczne jakiegoś angielskiego lorda, którego kiedyś woził do Indyi i kilka z nim kwarantan przechodził. Przez ten czas Malezewski szkicował jego portret w albumie, a oficerowie i służba, wszystko otaczało go do koła i przyglądało się z ciekawością tej pracy. Krawiec ateński z żoną wysiadł tutaj i zawieźli go wprost do lazaretu, wskutek czego Francuzka z dzieckiem do wspólki w niebogłosey krzyczała. Na ich miejsce przybyło kilku Turków, a między nimi młody Bej, brat gubernatora wyspy Chios. Skoro słońce zaszło i przyszła noc ciemna, przezrocza i gwiazdzista, Turcy nowoprzybyli, o wydatnych rysach, ogorziałych twarzach, w czerwonych fezach i białych zawojach, rozlokowali się na niższym pokładzie na rozciągniętych dywanach i grali w karty, przy świetle świecy, drgającej słabo w cichem powietrzu. W tem skoncentrowanem, tajemniczem, rembrantowskiem oświetleniu postacie ich i stroje występowały z tak malowniczą plastyką, że się ich nie było można napatrzeć.

W porcie Kapsali wyspy Cerigo, 15 września.

Opłynęliśmy wyspy Jońskie, zatrzymując się w portach Argostoli na Kefalonii i w Zanthé, a dzisiaj o godzinie 12 w południe stanęliśmy w porcie Kapsali wyspy Cerigo, najbardziej z tych wysp wysuniętej na południe. Patrzyliśmy przez ten czas na brzegi Akarnanii i Peloponezu, na oblane falami skały Leukady, sławnej mytyczną śmiercią greckiej poetki Safony i na Itakę, ojczyznę Odyszeusza. Wszystkie te wybrzeża i wyspy są skaliste, nagie i огоłoczone z roślinności. Zaledwie tu i owdzie na nich szarzeją lasy oliwne i na niektórych bieleją jak wieże murowane wiatraki o płóciennych skrzydłach. Zanthé z domami białymi i wysokimi, przeglądającymi się malowniczo w morskiem zwierciadle, przypomina

żywo niektóre neapolitańskie porty. Od czasu, jak opuściliśmy Adryatyk i wjechaliśmy na morze Jońskie, ocieplilo się jeszcze bardziej. Powietrze jest tak przezrocze, że nocami siedząc na pokładzie w wygodnem krześle i podniosłszy głowę w górę, można słuchając szumu morza i plusku fal, cieszyć się o wiele gwiazdzistszym firmamentem i o wiele jaśniejszą drogą mleczną, jak na naszym nieboskłonie. Wczoraj wieczorem ruch był tak łagodny a prędki, że sprawiał wrażenie lotu w jakiś nieznany, senny a lepszy świat.

Dzisiaj wczesnie wyszedłem na pokład, aby zobaczyć wschód słońca. Wszyscy podróżni jeszcze spali. Po lewej stronie widać było na widnokregu ciemne krańce Peloponezu a bliżej groźne, w zasłonę z mgieł rannych przybrane szczyty Taygetu. Za niemi blask jutrzni o płomienistych tonach tworzył jaśniejsze tło, a przedtem morze blade, pomarszczone na całej przestrzeni, migotało się jak atlas. Wtem wiatr od wschodu silniej wiać zaczął, zapowiadając słońce, którego gorejąca tarcza nad horyzontem zabłysła. Powiedziałybyś, że fikcyja mitologiczna stała się rzeczywistością, i że skrzydlate wiatry Notus, Lips i Apeliotes wyprzedziły tryumfalny rydwan Heliosa-Apollina. Z blaskami olśniewającemi w oczach, zszedłem do kabiny, aby jeszcze zasnąć. W parę godzin jednak ruch i wrzawa mię obudziły i było o wiele inaczej. Przepływaliśmy przyładek Matapan, groźny dla żeglarzy. Coraz silniejszy i gwałtowniejszy wichur kołysał nami na wszystkie strony i z małym wyjątkiem wszyscyśmy chorowali.

Nie przeszkodziło to wszakże, żem się przyjrzał wyspie Cerigo. Jest to, ze statku przynajmniej, najpiękniejsza z wysp Jońskich, Cytherea starożytnych, na brzegi której wyszła Wenus Anadiomene, urodzona z białej piany i gdzie miał stać, wedle niektórych pisarzy, pałac Menelasa i Heleny. Najpoetyczniejsze kreacye mitologii greckiej się z nią wiążą. Jedna z najdawniejszych handlowych osad fenickich, jak wszystkie miejscowości z kultem Afrodyty i azyatyckiej Astartei związane, ze świątynią kiedyś sławną bogini miłości; z grotą nadbrzeżną, wypełnioną falami, a po dziś dzień noszącą nazwę kąpieli Heleny. Ojczyzna rzeźbiarza Hermogenesa i tego lirycznego poety Philoksena, który wołał łańcuchy dźwigać w kopalniach, jak chwalić złe wiersze tyrana Dyo-

nizyusza Syrakuzańskiego. W czasach wojny Peloponezkiej opanowana przez Ateńczyków, którzy dla floty grożącej sąsiednim brzegom Lacedemonii, wyborną w niej przystań znaleźli, — nie ma dzisiaj więcej jak 10.000 mieszkańców, jest zupełnie prawie skalista i naga i przy złotawych barwach swych porowatych wapiennych formacyj, wygląda wśród morza, jak olbrzymia gąbka, oprawna w turkus i w lapis lazuli. Płowe i ciemne, chropowate i pogarbione jej ściany piętrzą się na lewo od wjazdu w górę ponad naszemi głowami, tworząc wysoko, u szczytu ściętą platformę, z której wyrastają gładze i jaśniejsze mury zamku, ze starą, okrągłą wieżą geneueńską czy wenecką, na tle błękitów. Na prawo, niżej w dole jaśnieje białością swą jaskrawą gromadka domków portu, o płaskich, terasowych dachach, wśród kaktusów, palm, drzew oliwnych i jakichś jasnych, szmaragdowych pinij. Wielkie łodzie rybackie, malowane od spodu żółto-zielonawym kolorem, przeglądają się głęboko w zwierciadle lazurów, a stroje rybaków, w czerwonych frygijskich czapkach, uzupełniają ten kolorytem i oświetleniem przypominający już Afrykę obraz. Z jednej łodzi wydostał się z wielkim trudem na pokład nowy podróżny, Grek, olbrzymiej wielkości i grubości, z brzuchem jak beczka, pogrążonym w szerokiej, faldzistej, w kształt spodni upiętej ciemno-niebieskiej spódnicy, w takiejże barwy kaftanie, owiniętym czerwonym pasem, z koszulą rozpiętą na obnażonych i obrosłych piersiach. Z pod szerokiego słomianego kapelusza występuje twarz jego okrągła i świecąca się od potu jak dynia, którą czerwonym fularem obeiera. Tego kalibanowego rodzaju olbrzym, wyjęty jak z bajki i należący prędkiej do świata fantazyi jak rzeczywistości, wsiadł na nasz statek w Cytherei, a morze luczalo ciągle i pianą swą szumiącą i białą, myło i biło ciemne skały i rafy brzegów, jak w czasie narodzenia bogini.

Syra, port Hermupolis, d. 16 września.

Statek przez pół dnia i noc całą tańczył na wszystkie strony i podnosił się w regularnych odstępach w górę, aby znowu z loskotem spaść na dół. Powyciągaliśmy się na łózkach

kabin, znosząc w tej horyzontalnej pozycji jakotako ten tańiec. Przez okno otwarte patrzyłem leżąc na to wspaniałe, burzliwe, ciemne i pieniające się morze i słuchałem długo jego głośniejszej muzyki. Nad ranem zrobiło się spokojniej i ciszej. Rozjaśniło się niebo i pokazały się Cyklady.

Z daleka ku południo-wschodowi przy przejrzystym powietrzu i przez morską lunetę dojrzeć by można na horyzoncie wyspę Santorin, znaną z win swych a pozostałą z sąsiednimi wysepkami Terasią i Aspronisi po starożytnej Therze, którą wulkaniczny wybuch na 2000 lat przed Chr. rozsadził na trzy części i gdzie lat temu 20 archeolog francuski Fouqué z pod wulkanicznych formacyj wydobyl przedhistoryczną Pompeję i porobił odkrycia pokrewne Schliemanowskiemu w Troi, tak ważne dla znajomości początków greckiej kultury. Ominęliśmy wyspę Milo, starożytne Melos, sławną znalezieniem tej Wenus Luwru, która po dzisiaj pozostała najpiękniejszym posągami starożytności, jaki czasów naszych doszedł, dalej na lewo Syphnos i Seriphos. Pozostawiliśmy po prawej stronie Paros, głośniejszą marmurami i tą kamienną kroniką, obejmującą chronologiczny przebieg dziejów greckich, od założenia Aten, aż po czasy Alexandra W. która wykopana w XVII w., stała się własnością lorda Arundel i przekazana Uniwersytetowi Oksfordzkiemu, zajmowała długo świat uczony pod nazwą *Marmora Oxoniensia*. Nakoniec koło 4-tej popołudniu stanęliśmy w porcie Hermupolis, leżącym na wschodnim brzegu wyspy Syros, starożytnej Syros, ojczyzny Pherekydesa, tego tajemniczego mędrca, który był filozoficznym Pitagoresa protoplastą, a dzisiaj jałowej i przy chodowli trzody chlewnej, będącej głównym zajęciem mieszkańców, tak brudnej, że jej wioski i domostwa pod tym względem tylko, jak twierdzą podróżni, z niektórymi osadami Apulii i Kalabrii porównać się dadzą. Na maszcie naszego statku wywieszono żółtą chorągiew kwarantanny, a przy przeglądzie lekarskim wysunięto naprzód grubego Greka na pokład na świadectwo zdrowia i dobrego stanu załogi, co wywołało głośniejszy śmiech majtków. Towary na postronkach podnoszą i spuszczaają przy skrzypieniu łańcuchów i rytmicznym hałasie, do otaczających łodzi. Pozostawiam towarzyszy rozmawiających z oficerami o stra-

sznych wieściach cholery, które przyniosły telegramy z Neapolu i korzystam z ustania ruchu, aby dalej pisać.

Za sobą, od wschodu mamy zamykające w półkole port, wyspy Andros, Mykonos i najslawniejszą ze wszystkich, świętą Delos, zlewającą się z innymi w jedną masę, kiedyś wedle mytu pływającą po morzu i zatrzymaną w tem mniejszu dla dania przytułku Latonie, mającej wydać na świat Dianę i Apollina, stanowiącą następnie jakby środek tego tanecznego kola wysp i wysepek, które dostały nazwisko Cyklad i tworzyły ferderacyjny związek, pod opieką słonecznego bóstwa i pod przewodnictwem Aten. Dwa lata temu poszukiwania feancuskich archeologów Homolle i Hauvette-Besnault wydobły z pod ziemi na jej pustkowiach, ruiny świątyni Apollina i Latony, ślady wielkich i wspaniałych marmurowych gmachów i tak znaczną ilość archaicznych greckich posągów, fragmentów i napisów, jaka jeszcze nigdzie w jednym miejscu znalezioną nie była. Częściowo zaledwie ten materiał opracowywany naukowo być zaczął i wiele zapewne czasu upłynie, zanim się przekonamy o całej jego doniosłości. Do zdobyczy tych należą posągi, przypominające Apollina z Tenei, o hieratycznej postawie i martwym na ustach uśmiechu, fragmenta rzeźbiarskie pokryte świeżą jeszcze polichromią, Artemis skrzydlata w biegu, Archeirosa z Chios, pierwsza i najstarsza nam znana statua grecka, opatrzona nazwiskiem artysty, który ją wykonał i o której nas doszły starożytne świadectwa, grupy połamane Boreasza porywającego Orythiję i Eos unoszącą Kephalosa, które z rozwartemi skrzydłami i o rozwianych szatach stanowiły akrotery frontonu jednej ze świątyń i rysowały się wydatnie, pełne ruchu, na tle nieba, jak tego dowiódł Furtwaengler, nie mówiąc o napisach, nieocenionego znaczenia dla znajomości kultu i finansów greckich. Wszystko to złożone zostało na sąsiedniej wysepce Mykonos, gdzie ma leżeć bez przykrycia, wystawione na rozkładowy wpływ słót i wiatrów dotąd.

Do wysp tych przystęp jest bardzo utrudniony. Niektóre z nich nie mają bezpiecznych przystani i sterczą stromemi ścianami skalistych brzegów prostopadle do morza, są огоłocone z roślinności i urozmaicone co najwięcej szeregiem wiatraków, tak jak niekiedy wyspy Jońskie. Niektóre jednak

były w starożytności zarosłe lasem, a na wszystkich nieledwie wznosiły się świątynie, o wspaniałych kolumnadach wyrastających z wybrzeża. Inaczej ten świat wyglądać musiał wtedy, kiedy ateńskie „teorie“ na poświęconych statkach, płynęły po nim w oznaczonym i peryodycznie powtarzającym się czasie, prując powietrze rozpiętymi żaglami, a ruchem wiosel fale, aby ucześć Apollina Cynthios. Mimo wszakże całego opustoszenia, Cyklady, tak jak i inne wyspy Archipelagu, są pełne uroku i przy przejrzytem, eterycznem powietrzu i nieporównanem oświetleniu, wywierają niezatarte wrażenie. Wyraziste i jakby dłutem artysty wykute ich kształty, robią je podobnemi z oddali do pryzmatycznych kryształów, o zawsze lekkim i przemiennem odpowiednio do pory dnia zabarwieniu, jak na to kilkakrotnie zwracano uwagę. Przed wschodem słońca, na tle bladego i lśniącego się jak żywe srebro żywiołu, mają, jak ktoś słusznie powiedział, kolor niebieski, przypominający ten puch, czy też tę „farbę“, która pokrywa śliwy naszych ogrodów. Skoro słońce wejdzie i morze się roziskrzy, jaśnieją ozłoczone, jak topazy. Wieczorem rozpalają się wszystkiemi blaskami zachodu i powoli gasną, przybierając różowawe tony, niewypowiedzianej delikatności. Nareszcie przy świetle gwiazd i wśród nocnych cieniów, wyglądają jak kopuły z lapis lazuli, uwydatnione i poorane promieniami wschodzącego księżyca i otoczone srebrnym wieńcem rozbijającej się o ich brzegi piany. Krajobraz ten ma w całym tych słów znaczeniu idealny charakter i na pierwszy rzut oka jest jakby stworzony na ojczyznę i gmazdo młodzieńczej greckiej kultury.

Skąły te rozrzucone między brzegami prastarej Azji, z jej dalekimi i ginącemi w otchłani wieków cywilizacyami, a nowym i budzącym się zaledwie z przedhistorycznego snu europejskim i helleńskim światem, grały w istocie rolę kamieni rozrzuconych w strumieniu, po których życie mogło z jednego brzegu i skacząc, że tak powiemy, z kamienia na kamień, dostać się na brzeg drugi. Starożytność porównywała je obrazowo na niebieskiem morzu do ciemnych plam na jasnej skórze pantery. *Interfusa nitentes aequora Cycladas*, jak mówił Horacy. Fenicki handel mający wszędzie emporia, roznosił produkta sztuki egipskiej, chaldejskiej i assyryjskiej po nich ze sobą, i zaszczeptał to życie. Tutaj też wyrobiły

się pierwsze podstawowe zasady moralnego rozwoju ludzkości, tutaj po raz pierwszy znalazły wyraz wewnętrzne uczucia poezji lirycznej. Prodikus, przypuszczalny nauczyciel Sokratesa urodził się na Keos, a Simonides i Basilides na wyspie Kythnos, którą w krótkie oplawać będziemy.

Raz śmiejący się przytem, to znowu chmurny i burzliwy, zawsze niepewny i zmienny, ale tak pociągający żywioł morski, sam przez się budził fantazję. Kiedy się widzi w południową porę igrające delfiny, których wilgotne karki mięszają się w słońcu z falami, to się rozumie, dla czego nieledwie zawsze myty, odnośne do greckich kolonizacyj, z tym się potworem głębi wodnych wiązały. Tarasa, założyciela Tarentu, rozbitego w żegludze, delfin ratuje i na grzbiecie do włoskich brzegów zanosí. Toż samo powtarza się z Ikadiosem, synem Ibexa, toż samo z Phalan-tem i nareszcie z najślawniejszym z nich wszystkich Arionem z Metymny, legendarnym twórcą dytyrambu, który przez czas tej podróży śpiewa pieśń, grając na lirze. Nic więc dziwnego, że dźwięk tej liry i rytm tej pieśni w szumie fal i w muzyce ich łoskotu nieraz mieszkańcy i żeglarze tych wysp słyszeli, i że w ten sam sposób przy innych wrażeniach i innych wpływach mógł powstać w ich wyobraźni myt Tetydy, Amfitryty i Glaukosa, z całym cyklem zmiennych zawsze i tak nieujętych bóstw morskich.

Miasteczko Hermupolis, które mamy przed sobą, dziś dla handlu greckiego znaczące i stanowiące główną stację Archipelagu, wygląda na zewnątrz i ze statku czysto, jest dość obszerne i rozprzestzenia się amfiteatralnie w około portu, na tle skalistych i nagich gór. Wapnem wybielone niskie domy o tarasowych dachach, piętrzą się jedne nad drugimi, a wśród nich wznoszą się wysoko kościoły o białych wieżach i wielkich kopułach. W samym środku tej białej masy sterczy górująca nad nią piramidalna, stożkowata skała, cała od dołu aż po szczyt białemi również i jakby z niej wyrastającymi domkami pokryta, uwieńczona na wąskiej platformie kościołkiem katolickim św. Grzegorza, panującym w ten sposób nad miastem i nad okolicą. Wszystko razem tworzy jakby jakąś fantastyczną, wapienną, stalaktytową całość, o białych soplach, dźwigających się jedne nad drugimi, jakby skamieniały sen jaskrawo jaśniejący i olśnie-

wający oczy w jarzącem słońcu, nad błękitnem morzem i zdumiewa oryginalnością. Skoro się ściemniło i pozapalały się światła, cała góra portu od nich jaśniała, gdyż wszystkie okna i drzwi domów na pochyłościach, niezasłonięte murami i odkryte, gorzały jak lampy.

W porcie Pireus, d. 17 września, 1884 r.

Mieliśmy noc znowu dość burzliwą. Zabawimy tutaj do czwarej popołudniu. Teraz jest ósma rano, ale do 12tej z powodu kwarantanny nie możemy ruszyć ze statku. Niebo jest zamglone i pochmurne. Hymet i Pentelikon we mgle sinej, lecz Akropolis ateńskie z ruinami Parthenonu, z lekka oświetlone różowemi blaskami, z rzeźbiarską wydatnością przez mgły przegląda. Raźniej się nam jakoś i pogodniej w duszy zrobiło wobec tego portu i tej zawsze młodej, nieśmiertelnej i ideałami ludzkości opromienionej ziemi. Ośmnaście lat mija, jakem po raz pierwszy tę górę i te brzegi oglądał. Znaczna i najważniejsza może część życia staje mi na ten widok przed oczyma. Posunąłem się w lata i pozostawiłem niemało illuzyj na cierniach i głogach przebytej drogi za sobą, a jednak świeżość uczuć nie opuściła mnie jeszcze i serce mocniej mi bije, kiedy patrzę na tę świętą kolebkę cywilizacji i sztuki. Napawaliśmy się długo tym widokiem, rozpatrując się przez szkła w jego szczegółach. Nareszcie skoro oznaczona godzina wybiła, wsiedliśmy we trzech z dwoma tureckimi oficerami, którzy na jednej z wysp Archipelagu powiększyli naszą podróżną gromadkę, do białej, w niebieskie pasy malowanej łodzi, o narodowych barwach greckich, i ruszyliśmy omijając okręty z całym lasem masztów, aby na kamieniu wyłożonej platformie portu wsiąść i wzdłuż bazaru nadbrzeżnego, a potem środkiem miasta, dostać się na wzgórze Munichyi, górujące nad Attyką i objąć okiem całe położenie Aten, przed odejściem parowca.

Bazar o wysokich, wspartych na drewnianych belkach i otwartych od zewnątrz nad wybrzeżem kramach, ocieniony szumiącemi w wietrze konarami białodrzewiów i platanów, z różnobarwną i różnorodną masą towarów na tle ciemnych

głębi, wygląda malowniczo, i ma pośredni między wschodem a zachodem, między Azyą a Europą charakter. Na pierwszy rzut oka widać, żeśmy jeszcze Europy nie opuścili, ale że się już do Azji zbliżamy. Gwarno i ludno przed nim. Wy-smukłe i giętkie, ruchliwe i hałaśliwe postacie Greków z zawieszonymi wąsami, w czerwonych fezach, białych fustanellach i niebieskich kamaszach po kolana, z bronią za pasem, spotykały nas co chwila, i zaczepiały w najrozmaitszych językach. Nieokreślona ludność z majtków, tragarzy i handlarzy złożona, przy stolikach wysuniętych na ulicę, piła kawę, paliła narghile, krzyczała, rozmawiała głośno, śmiała się i kłóciła, a muzyka narodowego rosyjskiego hymnu, z fregaty w porcie stojącej, na której miał się znajdować jakiś W. książę, dolatywała zdaleka. Zboczywszy z drogi, dostaliśmy się do nowej i o wiele cichszej dzielnicy miasta, której jeszcze za poprzedniej mojej bytności nie było, o domach w znacznej części świeżo zbudowanych, lub się dopiero budujących, zwykle jednopiętrowych, z białego, zlekka niekiedy żyłkowanego marmuru. Wszystkie nieledwie są w stylu klasycznym, zastosowanym do nowożytnych wymagań, przy użyciu w ozdobach częstej pozłoty i polichromii, co im jakiś wesoły i świąteczny daje pozór. Nowe cerkwie w starochrześcijańskim stylu, z różnobarwnych warstw kamieni budowane, przypominają protestancki kościół naprzeciwko św. Pudencjany w Rzymie, są niewielkie i zgrabne. Place i ulice szerokie, makademizowane, o marmurowych trotoarach, obsadzonych spalonymi w tej porze roku drzewami. Po tak długiej, jak nasza morskiej podróży, dotknięcie stopami lądu stałego i uczucie ziemi, sprawiało nam niezwykłą rozkosz, toż też mimo wiatru wyprawiającego harcę i zasypującego nam kurzem oczy, szliśmy wesoło i raźnie, przyglądając się wszystkiemu z ciekawością i pragnąc wrażenia zatrzymać w pamięci.

W najświetniejszej epoce historyi, za Periklejskich czasów, port Pireus łączył się bezpośrednio z Atenami, tak, że tworzył z nimi prawie że jedną całość. Dzisiaj te dwa miasta łączy kolej żelazna, ale rozwijające się coraz bardziej życie i zobopólny ich wzrost, wróżyć pozwala, że się wkrótce zabudowaniami znowu połączą. Szereg prawie nieprzerwany willi, domów zajezdnych, kawiarni i fabryk prowadzi wzdłuż

drogi, wśród pól i ogrodów, od jednego z nich do drugiego. Jest rzeczą charakterystyczną przytem, że im się żywszy budzi interes dla starożytności greckiej, im większa ilość państw i narodów bierze udział w poszukiwaniach, mających jej poznanie i zrozumienie na celu, im jednym słowem znaczniejszy i skuteczniejszy się zasób sił gromadzi do jej wskrzeszenia, i im wskutek tego ona w wyraźniejszych i wspanialszych kształtach staje przed naszymi oczyma, tem jednocześnie silniej i prędzej ruch cywilizacyjny jej ziemię przetwarza, i sam ze swej strony się do dźwignięcia z martwych, tej wielkiej przeszłości przyczynia. Przy kopaniu fundamentów każdego nowego gmachu, odkrywają się ślady starożytnych budynków, fragmenty posągów i napisów, rzucających na nią światło. A przy zaprowadzaniu nowożytnych porządków, podtrzymują i ratują się od zagłady świadczące o niej ruiny. Pireus będzie kiedyś najważniejszym portem wchodniej połowy Śródziemnego morza, a skoro kolej zbliży go przez środek Turcyi z Europą, co może być tylko kwestyą czasu, to nie ulega wątpliwości, że ta tak wyjątkowa i od natury jakby do wielkich przeznaczeń przygotowana przystań, stanie się, jeśli nie takiemsamem, to niewiele mniej ważnem ogniskiem handlowego i cywilizacyjnego życia, jakim była w starożytności. Można przewidzieć z góry, że ludzie bogaci naszych północnych społeczeństw, zmęczeni nadużyciami i wymaganiem cywilizacyi, szukać będą częściej i stalej wypoczynku i spokoju na tych błogosławionych wybrzeżach, i wpływać na ich rozkwit. Postać tego wschodniego świata wówczas się zmieni, i przypominać nam lepiej i wymowniej zacznie starożytność.

Jałowe wzgórza Munichyi zasłaniają miasto od wschodnio-południowej strony. Na najwyższym ich punkcie stoi małeńki, bizantyński kościółek św. Eliasza, *Hagios Elias*, który był ostatnim celem naszej wycieczki. Skryci w cieniu jego absydy, obejmowaliśmy wzrokiem szeroki, i jak geograficzna karta rozpostarty pod nogami naszymi widok. Z tyłu, za sobą i za kościołem mieliśmy odnogę Eleuzyjską, z brzegami Peloponezu, z wyspą Salaminą, a dalej Eginą, z przystanią Zea bliżej, z nieregularnymi zagięciami, tworzącemi jakby porwane, to znowu łączące się pasy ładu, na tle morskiego

zwierciadła, przysłonięte jakąś świetlaną mgłą, przejrzystą na pierwszych planach, a zacierającą kontury w oddali. Przed sobą zaś Attykę: Na prawo, u stóp płowego, mizerną trawą porośłego, staczającego się ku dołowi, a potem nagle stromo urwanego wzgórza, na którymś stali, bieląły w słońcu wysmukłe, śmiejące się domki i wille letnic bogatych mieszkańców Aten, o zielonych żaluziach, i niskich, zlekka nachylonych, a czerwoną i żółtą dachówką krytych dachach. Za nimi szerokiem półkolem zakreślona, turkusowa, w ramy złotego piasku oprawna zatoka Phaleru, myjąca płaskie brzegi. Ku północy, po lewej ręce od niej, regularne, czerwono, fioletowo i zielono, różnorodną roślinnością, niby pędzlem akwarelisty zabarwione pola, a dalej ciemne smugi oliwnych lasów, rozciągające się, jak oko sięgnie wzdłuż ukrytego Kephişosu. Podnosi się to stopniowo i powoli szeregiem pagórków i wzgórz na krańcach dalekich widnokregu, i zamyka, od strony północnej długim, równoległym do horyzontu łańcuchem Parnesu, a od wschodu piramidalnym szczytem Pentelikonu i Hymetem, o wyniosłym garbie. Wprost nas, przed siniami ścianami dwóch tych ostatnich gór, ciemnieją dwa większe i wyraźniejsze wierzchołki, Lykabetos i Philopapos, a między nimi podniesione, jak na dłoni, jaśniejące i powiedzialbyś, że całe z marmuru wykute Akropolis. Nareszcie, na lewo znowu i na tysamym przedostatnim planie, gromada białych domków, kościołów i pałaców, jakby ręką olbrzyma strącona ze szczytów, sterczy wśród ciemnej, oliwnej zieleni. To Ateny, *omnium artium inventrices Athenae* i Kolonnos, ojczyzna Sophoklesa! Wielka płaszczyzna, o bladych i delikatnych tonach, o falistych, łagodnych, i tak wyrazistych liniach w przejrzystym powietrzu, mieni się, jak barwny kobieriec u stóp tego miasta i tej świętej góry. Kłęby dumnych, białych obłoków niesione wiatrem po pogodnym niebie, rzucają na nią ruchome plamy cieniów, i ożywiając prawem kontrastu jaśniej oświecone barwy, przytłumiając jedne, a uwydatniając drugie, nadają jej posępniejszy jak zwykle, ale dramatyczny, pełen ruchu i życia wyraz. Słońce od czasu do czasu, jakby w przelocie złości Akropolis, rozjaśnia Propyleje z misterną kolumnadą Parthenonu, z całą murów koroną, i rozpromienia je do apoteozy, a orły szybujące wśród chmur

na błękiecie zdają się duszy zapożyczać skrzydeł do jakichś wyższych i idealniejszych światów. Jest w charakterze tego widoku, przy uczuciach i wspomnieniach, jakie budzi, jakaś niewypowiedziana wykwintność i dystynkeya, jakaś szlachetność i godność, o dalekonośnym i porywającym myśl w nieskończoność nastroju, których sędzę, że w tym stopniu żaden inny nie posiada na ziemi.

Spostrzegliśmy się zapóźno, że czas wracać na statek, i że nasz towarzysz-artysta gdzieś zginął. Napróżno wołaliśmy głośno i szukali go na wszystkie strony, żadne echo nam nie odpowiadało. Schodziliśmy prędko do portu, powtarzając wołanie. Po drodze opadły nas psy pasterskie, które mi przypomniały powrót Odyseusza do Itaki. Chciałem, idąc w ślady homerycznego wędrowca, usiąść na ziemi, aby je uspokoić, ale praktyczniejszy Hartel kamieniami je rozgonił. Na szczęście, skorośmy w niepokoju dostawali się już na pokład, zjawił się Malczewski, powracający inną drogą z Turkami.

Smyrna, Hôtel Mille, aux deux Augustes, 18 września, 1884.

Wyjazd z Pireus pod zachód słońca był także burzliwy i niespokojny, a po nim nieledwie takażsama noc cała. Łuna wieczorna oświecająca jaskrawo domy wybrzeża i dymy pożarne jakiejś fabryki, palącej się w porcie, obiecywała nam już ten niepokój przed odjazdem. Czasy, w którychśmy panowali sami na statku, minęły. Zrobiło się ludno, gwarno i ciasno, gdyż znaczna ilość negocyantów greckich ze Smyrny, wracająca krótszą i prędszą od naszej drogą, z wód austriackich, z Karlsbadu i Marienbadu, przesiadła się na nasz statek i powiększona innymi podróżnymi, tej nieokreślonej lewentyńskiej narodowości, która się ma za francuzką lub angielską, a żadną nie jest, oglądała nas na wszystkie strony, jak dzikich ludzi, i starała się z żywością południowym rasom właściwą, zawiązać z nami znajomość. Wśród tych nowych przybyszów, widać było pretensjonalnych wykwintni-siów, naśladowujących w azyatycki sposób paryzkie mody, a między kobietami, nie brakło tych szumowin, które rok

rocznie porty europejskie wyrzucają na tutejsze brzegi, i które krążąc między jedną przystanią a drugą, rozrywają marynarzom hałaśliwą i narzucającą się swą powierzchownością, nudy żeglugi. Byli także studenci w mundurkach, zapłakani i żegnający się z matkami, a jadący z Aten do francuzkich pensyonatów Smyrneńskich, uważanych na Wschodzie za najlepsze. To też zanim potrzeba spoczynku zmusiła wszystkich do szukania kabin, — pokład wyglądał jak międzynarodowy bazar, i jak jakaś Babel wielojęzyczna, co samo przez się zapowiadało Smyrnę, z całym jej różnorodnym charakterem.

Minęliśmy znowu w nocy Andros i Thinos, i zbliżając się coraz bardziej Egejskiem morzem do azyatyckich brzegów, zatrzymaliśmy się w południe dzisiaj koło wschodniego, głównego portu wyspy Chios. Po prawej naszej stronie rozciągała się już Azja, z tym wązkim występem lądu, który w formie wielkiego haka zwróconego ku północy, zamyka zatokę Smyrneńską i po Troadzie najbardziej się ku zachodowi wysuwa w morze, z górami Mimas i Coreyus na ostatnich krańcach, i z ruinami prastarej między nimi Erythrei, sławnej w starożytności tym posągiem Heraklesa, który fale miały od fenickiego Tyru aż tutaj zanieść, a liny ukręcone z włosów kobiet miejscowych, wyciągnąć na brzegi. Na lewo, tuż obok Chios, dzisiejsze Scio, przybrana, jeśli nie rzeczywista wedle podania ojczyzna Homera i dwóch rzeźbiarzy, rozpoczynających historję helleńskiey sztuki, Glaukosa, wynalazcy kunsztu odlewania brązu i wykonawcy tego sławnego brązowego trójnoga, który silnie uderzony, pierwszy na ziemi greckiej wydał harmonijny dźwięk, jak w naiwności swej powtarzali współcześni, tudzież wspomnianego już przez nas twórcy skrzydlatej, a niedawno znalezionej Artemis, Archermosa. Tradycye fenickich wpływów i stosunków zatem, z jednego brzegu tej cieśniny, w której się zatrzymał nasz statek, odpowiadają najdawniejszym podaniom o początkach greckiego życia na brzegu drugim i związek dwóch tych kultur i cywilizacyi, długo przez naukę zaprzeczany, a dzisiaj dla wszystkich badaczy niewątpliwy, z następstwami swemi w VII w. przed Chr. zaczynającemi wydawać owoce, staje nam wobec tego żywiej przed oczyma. Jeżeli jednak poezya klasyczna opromieniła tę wyspę urokiem i pogodą

młodości, to romantyczna za to znalazła w jej nowożytnych dziejach źródło ponurych i tragicznych natchnień. W czasie wojny o niepodległość grecką, mieszkańcy wyspy Scio zostali w pień wycięci przez Turków, w tej strasznej rzezi, którą unieśmiertnił Byron, a za nim Eugeniusz Delacroix, w jednym z najwspanialszych i najgenialniejszych swoich obrazów. Trzy lata zaś temu, w r. 1881 uległa ona straszniejszemu może jeszcze trzęsieniu ziemi, jak Ischia — i ruinie, której przerażające szczegóły opowiadali nam podróżni. Niebo mimo to jaśnieje nad nią, jak za homerycznych czasów i przy migocących się w słońcu i ruchliwych falach, ta ojczyzna poezyi, z gromadą białych swych domków i budynków rozrzuconych szeroko nad morzem i podnoszących się coraz wyżej z genuńskiego swym kastelem, na tle żywej i bujnej zieleni, uśmiecha się tak, jakby była wiecznie szczęśliwa. Tak obfitej roślinności nie widzieliśmy na żadnej z wysp Archipelagu i nie czuliśmy nigdzie zdaleka tak aromatycznej woni. Rzucane na wszystkie strony i obryzgiwane pianą morską, większe i mniejsze łodzie otoczyły nasz statek, jak karpie szczupaka, lub małe rybki wieloryba. Kramarze oczekujący naszego przybycia, jak na kolejowej stacyi przy nadejściu pociągu, rzucili się skwapliwie na pokład, częstując nas głównym produktem miejscowym, mastyksem, rozprzedawanym w słoikach i pudełkach, a będącym rodzajem żywicy pistaciowego drzewa, która się używa do zaprawiania wódek na całym Wschodzie i żuje się w zębach, dla nadania im czystości i blasku. Bej, brat tutejszego gubernatora, który był dotychczasowym naszym towarzyszem od Korfu, i zaprzyjaźnił się szczególnie z Malczewskim, wysiadł, i wkrótce go jedna z łodzi ku wyspie uniosła.

Nareszcie ruszyliśmy z miejsca, i opływając groźny przyładek Mimas, zaniepokojeni chwilowo jego sąsiedztwem, mając naprzeciwko starą Foceę, dzisiejszą Phokie, której koloniści dali przed wiekami początek Marsylii, wpłynęliśmy szczęśliwie w sam środek zatoki Smyrneńskiej. Wyspa Lesbos, o tem pełnem słodyczy nazwisku, brzmiałem jak szept miłosny, z Metymną, ojczyzną legendarnego Ariona i Mytelena, miejscem rodzinnem jednego z siedmiu mędrców Pittakosa, a następnie Alceusza i Safony, której pamięć witała nas

już na wyspach Jońskich, została za nami na północy. Chios i Lesbos! — a zatem Homer i Safo, — oba te wielkie imiona stanęły nam naraz w wyobraźni, jak hasła otwierające drogę wjazdu! Za wysepką Makronisi, uciekającą od nas na prawo, dostaliśmy się między dwoma długimi i wązkimi tamami do największego portu Azyi Mniejszej, i nakoniec ujrzelśmy zakrytą dotąd łańcuchami wzgórz, dzisiejszą królową starożytnej Jonii, stolicę Lewantyńskiego handlu, z minaretami strzelającymi wysoko, z kopułami meczetów, z wieńcem cyprysowych lasów na czole, przeglądającą się w morzu, — Smyrnę. Od południa góra Pagos, od wschodu Olymp Smyrneński, będący przedłużeniem Tmolusu, dzisiejszego Taktalidagh, a od północy nagi, tajemniczy Sypilos, otaczają ją, jakby półkolem. „*La folle du logis*“, jak mówią Francuzi, jest czarodziejką, której zawdzięczamy największe rozkosze, ale często również niemniej wielkie zawody. Tyle o piękności tej Smyrneńskiej zatoki, tego portu i widoku tego miasta słyszałem i czytałem, żem się dziwił szukając zachwytu na próżno. Czy to brak odpowiedniego oświetlenia, czy znużenie długiej podróży, lub trudne do wytlómaczenia usposobienie wewnętrzne, dość, żem patrzył na wszystko obojętnym okiem. W każdym razie, po brzegach właściwej Hellady i wyspach Archipelagu, te jońskie lądy i góry wydały mi się mimo swych wielkich wspomnień, nieco ciężkie w konturach, nie tak delikatne i subtelne i namalowane, że tak powiem mniej idealnymi i przejrzystymi tyntami na nieboskłonie. Czuć było za nimi wielki, bezbrzeżny, azyatycki świat, rozciągający się w pustej i głuchej nieskończoności...

Smyrna, 20 września.

Byłem przecież niesprawiedliwy. Smyrna należy bezwątpienia do piękniejszych miast na świecie i przypomina swem położeniem jakby jakiś dziki i zaniedbany Neapol, bez Pauzilippu i bez Wezuwiusza. Wzdłuż jej portu ciągnie się wielkimi i regularnymi płytami wyłożone wybrzeże, tak zwane *Marina*, o której kamienną ramę rozbijają się fale, uderzają bezpośrednio okręta i łodzie, i która zabudowana

w całej długości po większej części nowemi domami, jest tak jak neapolitańska *Chiaja*, najbardziej w światowym znaczeniu ożywioną ulicą i miejscem wieczornych spacerów, całego miejscowego eleganckiego świata. Domy te mają banalny charakter, pokrewny architekturze mniejszych francuskich a zwłaszcza włoskich portów; między niemi piwiarnie, Alkazyry, Alhambry, tingel-tangle, *cafés chantants* i teatru pod odkrytym niebem, ściągają przejezdnych, majtków i portową ludność. Prócz Konaku czyli pałacu gubernatora, wielkich koszar i więzień na południowym krańcu, tudzież szeregu hoteli, żadnych większych gmachów na niej niema, ale za to po nad morzem przecina ją taki tramway, jak na rynku w Krakowie. Z tyłu, za tą główną, nieledwie zupełnie europejską dzielnicą, zwróconą i patrzącą wszystkimi oknami ku lazurowym morskim horyzontom, ku zachodowi i ku Europie, leży szeroko rozpostarte na płaszczyźnie i piętrzące się tu i owdzie na wzgórzach, przeważnie azyatyckie miasto u stóp góry Pagos, o krętych i wąskich uliczkach i o częściowo otwartych na zewnątrz, chrześcijańskich, greckich, ormiańskich i żydowskich, to znowu szczelnie zamkniętych, tureckich domach, z płaskimi dachami, między któremi wznoszą się kościoły i meczety. To wschodnie piętno uderza zwłaszcza w najbardziej od portowego życia oddalonych zakątkach. Czuć, że wyglądać tak musiały miasta przez znaczną część wieków średnich, nie tylko tu, gdzie nie ginie i gdzie tradycje wiecznie trwają, ale i u nas. Wszystko się odbywa na ulicach ciasnych, krętych, tworzących nierozwikłane i nici Ariadny wymagające labirynty, kamienistych przytem i kaleczących stopy odwiecznym brukiem, po którym trudno wyobrazić sobie, aby mogli stapać nie tylko ludzie, ale i bydła. Wszędzie pełno brudu, śmieci i psów grzejących się w słońcu, nieustępujących z drogi i czujących się panami u siebie. Wśród tragarzy dźwigających bajeczne ciężary i kramarzy, zaczepiających każdego przechodnia, ścigających go nieraz przez kilka ulic, spotyka się waryatów, otoczonych czią publiczną, lub też kaleków, głuchoniemych, garbusów i idiotycznych trefnisiów w fantastycznych strojach, żyjących z jałmużny. Dodajmy do tego karawany wielbłądów, ciągnące przez meandry zaułków, przez korytarze cieniste bazarów, i uzupeł-

nijmy ten barwny obraz, wyskakującą tu i owdzie palmą po nad mur ogrodowy, kołyszącą swój rozłożysty wachlarz na tle błękitu, lub wysmukłym minaretem, strzelającym jak snop światła z pomiędzy cieniów, a będziemy mieli wyobrażenie o tej drugiej, najbardziej dla nas interesującej połowie Smyrny. Obie te jednak połowy, europejska i azyatycka, nie są ściśle rozdzielone, ale się do pewnego stopnia łączą i zlewają; jedna z nich wchodzi nieraz w drugą i przenika ją do głębi. Główny, olbrzymi bazar, przykryty przeważnie drewnianem belkowaniem, jak stajnie naszych żydowskich karczem, ma w części zamiast dachu, żelazne, oszklone wiązanie i jest asfaltowany, jak paryski pasaż, co z całą mieszaniną towarów obu części świata, najlepiej ten charakter cechuje. Za takim miastem żywych rozciąga się i piętrzy w górę niemniej prawie rozległe miasto umarłych, z lasem cyprysów nad białymi grobami. Całość ta obejmuje port wokół i przedłuża się na północnem jego wybrzeżu, u stóp gór, szeregiem jasnych willi, które widać daleko nad morzem z *Mariny*. Do zatoki Smyrneńskiej wpadają dwie rzeki: Meles i Hermos. Pierwsza, przez którą prowadzi sławny most karawanowy, wyschła zupełnie w tej porze roku, zakreśla granice miastu od wschodu, a druga, o wiele większa, wezbrana licznymi potokami starożytnej Mysyi i wodami złotodajnego kiedyś Paktolu, okrąża Sypilos i przy ujściu swem tworzy rodzaj delty, która dzisiaj zamyka port od północy, lecz posuwając się coraz dalej niesionemi przez fale piaskami, może go przy niedbalstwie tureckiem zamienić z czasem na jezioro. Dwie linie kolei żelaznych z dwoma osobnemi dworcami, jedna północna do Magnezyi i Sardes, a druga południowa do Efezu, zwracające się od tych miejscowości w głąb kraju, tutaj się krzyżują. Nad wszystkim od południó-wschodu góruje Pagos ze zrujnowaną koroną fortyfikacyjnych murów.

Taka jest Smyrna. Ma ona dzisiaj niespełna 160.000 mieszkańców, z których połowa przypada na Greków, a znaczna ilość przy Turkach i Ormianach na Żydów. Najbogatszy, najruchliwszy i najbardziej cywilizacyjny tej ludności element stanowią Grecy, którzy zdają się mieć zapewnione

panowanie nad temi brzegami, tak jak je mieli w starożytności. Mają oni oprócz stosunkowo najlepszych szkół, swoją publiczną bibliotekę, swoje muzeum i swoje towarzystwo naukowe, wydają kilka dzienników i drukują książki. Żydzi, tak jak wszędzie na Wschodzie, pochodzą z Hiszpanii lub Portugalii i datują tu swe osiedlenie z końca XVI wieku, od edyktów Filipa II. Nie ulega jednak wątpliwości, że przed tym napływem jakaś ich część od czasów starożytnych żyła na tych wybrzeżach i w tych portach handlowych, chociaż się zlała z nowymi przybyszami, tracąc z czasem swe pierwotne odrębności. Są między nimi typy, przypominające zupełnie rysami i wyrazem, a nawet do pewnego stopnia wymową Żydów naszych, ale obok tych są drugie, odznaczające się jakimś innym, silniejszym i bardziej starożytnym charakterem. Pokazało się, że negocyant, który nam towarzyszył w podróży od Tryestu zaczawszy, był tutejszym, do bardzo dawnej rodziny należącym Żydem. Typowość jego twarzy i wydatnego profilu, rysującego się na jasnym tle morskiem, skorośmy, stojąc na pokładzie, tyle razy rozmawiali ze sobą, zwracała uwagę. Głowa podłużna, piramidalnie zwężająca się ku górze, czoło uciekające z kości brwiowej, wyrazistej i gęsto obrosłej, nos silny, mięsisty i zagięty, wargi zmysłowe i grube, a w dodatku małe żywe oczy, zgubione w fałdach podpuchłych zmarszczek, wszystko to przy pewnej sobie postawie i tych nieniętych cechach, których określić nie jestem w stanie, miało archeologiczny interes. Wyobrażałem sobie, że tak wyglądać musiał jeden z tych kupców fenickich, którzy na początku dziejów pływali po tych morzach z przedsiębiorczością niektórym dzisiejszym tylko Żydom właściwą. Turków, prawdziwych Osmanliach, poważnych i pełnych godności, a składających rasę zdobywczą i rządzącą, najmniej tu znać stosunkowo. Czuję, że nie idą z wartkim prądem życia, że zamierają powoli i chowają się za ścianami swych zamkniętych mieszkań, prowadząc senny i wegetacyjny żywot. Za to najróżnorodniejsza ludność przechodnia, z rozmaitych stron Azji z karawanami przybyła, miesza się z miejscową na ulicach i w bazarach, i tak oryginalnością typów, jak malowniczością stroju bawi oczy. Ta stolica Jonii i sąsiadka Focci, macierzystego gniazda najdawniej-

szych, nam historycznie znanych stosunków z Galją, ulegała zawsze francuskiej przewadze i francuskim wpływom. Od ostatniej wojny zaczęło się to zmieniać. Dzisiaj coraz więcej się tu spotyka Niemców i coraz częściej słyszy niemiecki język. Hotel Mille, w którym mieszkamy, kiedyś najpierwszy, ale mający gospodarza Francuza, stoi pustkami, ale za to w sąsiednim hotelu wdowy Huk, urodzonej w Erfurcie czy w Kassel, niema dość miejsca do pomieszczenia gości. Środkiem niemieckiego, a wskutek tego do pewnego stopnia europejskiego życia, stał się dom Humana, szczęśliwego odkrywcy Pergamu, który dostał tytuł dyrektora Muzeum berlińskiego z siedzibą w Smyrnie, jako w centrum stosunków archeologicznych, i poszukiwania swoje prowadzi, robiąc wycieczki na wszystkie strony.

Co do zabytków starożytnych, to te w samym mieście są tak mało znaczące, że o nich mówić niewarto. Za to najbliższe okolice Smyrny mają dawnych i interesujących pomników niemało. Z górą Sypilos wiążą się najstarsze myty greckie, jeśli nie najstarsze tradycje ludzkości. Za jej zębami szczytami i w dolinie Hermosu leżało głośnie i z bogactw swych bajeczne Lydyjskie państwo, ze stolicą Sardes nad Paktolem i z dynastiami królów, spopularyzowanych przez Herodota, a za nim przez nowellistów starożytnych i przez nowożytnie Offenbachyady, z Kandaulem, Gygesem, Alyatesem i Krezusem, którym nigdy i na nie złotą i pięknych kobiet nie brakło. Zdawałoby się, czytając to, co starożytni pisarze o tem państwie mówią, że wszystko to, co szczęście na ziemi dać może, streściło się w dziejach tych dynastji, których ostatni władca, pod groźbą perskiego najazdu, kończy swój żywot, jak tyryjski Melkart na stosie. Ale to tak bajeczne szczęście poprzedza w podaniach greckich szczęście jeszcze dawniejsze i większe, mgłą mityczną osłaniające jakąś przedhistoryczną, nieznaną nam dotąd i niezbadaną rzeczywistość. Nie nad brzegami Hermosu i Paktolu, ale bliżej, nad zatoką Smyrneńską i na samych szczytach Sypilosu, miało stać miasto Tantalus, stolica Tantała, ojca Pelopsa i Nioby, którego nadmiarem szczęścia, rozkielznana zuchwałość, musiała pociągnąć za sobą pomstę zazdrosnych bogów. Straszne i niesłychane trzęsienie ziemi pograżyło ten gród w otchłaniach

góry; jedne części ziemi się podniosły a drugie zapadły i na miejscu kwitnących posiadłości potworzyły się jeziora. Tanta stracony w otchłanie Hadesu, skazany został na wieczne męki pokus; córka jego Niobe, niemniej zuchwała jak ojciec, poniosła straszniejszą jeszcze może w macierzyńskim swem sercu karę; syn Pelops, musiał uciekać z ojczyzstego gniazda i szukając przytulku na dalekich brzegach, dał swe nazwisko Peloponezowi. Najwyższe szczęście zrównoważone zostało najwyższem nieszczęściem. Grecy nie stworzyli głębszego typu cierpienia, od mąk Tantala i od boleści Nioby, a oba te myty, tak ściśle ze sobą i genetycznie związane, stały się najwymowniejszym wyrazem panującego nad całością moralnych i religijnych helleńskich wyobrażeń pojęcia Nemezis. Otóż góra Sypilos była nie tylko siedliskiem Tantalidów, miejscem dla całej starożytności uświęconem ich cierpieniami, ale na tej górze znajduje się po dzisiaj z wielkich kamieni zbudowany grobowiec, który zawsze uchodził za grób Tantala, a na jej stoku północnym, dla nas zakrytym i zwróconym ku Magnezji w dolinie Hermosu, sterczy wysoko w skale wykuta i jakby w otaczającej ją niszy skamieniała, Homerowi i Pindarowi dobrze znana Niobe, oplakująca swe dzieci. Wody górskie, spadające ze szczytów po jej twarzy, zdają się łzami potoków o jej bólu świadczyć. Ale to nie dosyć. W pobliżu grobu Tantala wznoszą się z nieregularnych ciosów ułożone i tensam w budowie co on charakter mające, ruiny świątyni, jak sądzić należy, tudzież przedhistorycznych fortyfikacyj, a niedaleko posągu tej matki bolejącej, w sąsiadującym z Sypilosem wąwozie Kerbal, góry Tmolus, w miejscowości zwanej Nimfi, mieszczą się również w skale kute i tak jak ona w niszach zagłębione, a przez Herodota jeszcze wzmiankowane, płaskorzeźby jakichś zdobywców, jak się zdaje, w spiczastych mitrach, w ostro zakończonych trzewikach, z lukami w ręku, co na tem miejscu tem większą budzi ciekawość. Do jednej z tych płaskorzeźb, którą odkrył Humann przed parą laty, jakiś koczujący Juruk dobudował szałas i kopei ją dymem swego ogniska.

Dzięki poszukiwaniom lat ostatnich, zaczynają się te zagadkowe ciemności powoli rozjaśniać. Tak zdumiewające w swych rezultatach badania egiptologiczne, dodane

do badań assyriologicznych i do studyów nad językami i pismami najdawniejszych azyatyckich ludów, rzuciły nowe światło na przedwiekową historję Azji Mniejszej. W świetle tych badań widzimy dzisiaj, że za panowania XVIII, XIX i XX dynastyj, za czasów Toutmesa III, Ramsesa II czyli Sesostrisa Greków, i Ramsesa III, od XVIII do XVI wieku przed Chrystusem, żył między Orontem a Eufratem, przez Biblię wspomniany naród Hittitów, noszący w egipskich pomnikach nazwisko Khetas, z którym wszyscy ci wielcy zdobywcy, Napoleonami i Ludwikami XIV starożytnej historji Wschodu zwani, wiedli zacięte walki. Naród ten nietylko na swoje czasy wysoko rozwinięty, posiadał własne, rodzajem do hieroglifów zbliżone pismo i własną, chociaż od sąsiadów w źródłach swych zapożyczoną sztukę, ale posuwał swe zdobycze od Eufratu i od stołecznego swego miasta Karkemisz zacząwszy, aż po wybrzeża zatoki Smyrneńskiej i grał takążsamą pośredniczącą w rozwoju kultury rolę, między osiadłymi na tych wybrzeżach przedhistorycznymi lidyjsko-frygijskimi, Grekom pokrewnymi szczepami, a cywilizacją chaldejską i początkową egipską, jaką grali Fenicyanie na wstępie historycznych czasów, między nowo rodzącą się archaiczną grecką a assyryjską i późniejszą cywilizacją egipską. Potrzeba było w ten sposób humusu dziejów, dwóch różnych i następujących po sobie społeczeństw, aby uprawić grunt, który miał wydać sztukę grecką. Najznakomitszy poemat starożytnej egipskiej literatury, skryba *Pentaura*, poświęcony jest wyłącznie tryumfom Ramsesa II nad Hittitami i zwycięstwu nad nimi w bitwie pod Kadesz. Co zaś najważniejsza, to, że wojny te przerywane były latami zgody i pokoju, dla utrwalenia którego Ramses zaślubił siostrę króla Hittitów, której posąg widzieć można wykuty w nadnilowych speosach, ezei tego Faraona poświęconych w Abu Simbul w Nubii. Pokazało się bowiem w następstwie badań, że płaskorzeźby zwycięzców w Nimfisa pomnikami hittitycznymi i co więcej, że Niobe Sypilosu przypomina charakterem posąg żony Ramsesa i prawdopodobnie jest niczem innym, jak statuą bóstwa hittitycznego Athi, które pod nazwą Cybeli ezeili później Greecy, wzniesioną na pamiątkę tej zgody i tego aliansu, jak o tem z jednej strony hieroglificzny napis na tle niszy bożyszcza, a

z drugiej napisy hittytyczne świadczą. Posąg ten zatem, z którym helleńska fantazyja związała tradycyę Tantalidów i w którym uosobiła matkę bolejącą, jest o trzy wieki blisko starszy od wojny Trojańskiej i o drugą, nieledwie takąsamą liczbę lat od poematów Homera. Zdaje się też być rzeczą pewną, że bajeczne Lydyjskie państwo rozwijało się pod hittitycznemi wpływami i w stosunkach z Hittitami znajdowało główne źródło swego bogactwa. Wszelkie pod tym względem wątpliwości wszakże usunąć powinno odczytanie i zrozumienie dopiero pisma hittitycznego, nad którym nauka obecnie pracuje, i wykopaliska w Dżerabis, hittitycznem Karkemisz, które rozpoczął już Anglik Hendersen, tudzież przyszele w Sardes, gdzie nikt ich dotąd nie prowadził.

Kto wie, czy od tej tak zamierzelej starożytności starszym jeszcze nie jest jednak grób Tantała, z ruinami sąsiadującej z nim świątyni. W każdym razie państwo Trojańskie, ulegające również hittitycznym wpływom, jak tego odkrycia Schliemanowskie dowiodły, z jednej, a lydyjskie może jeszcze potężniejsze z drugiej strony, razem z widocznymi na szczytach i w formacyi Sypilosu kataklizmami natury, zburzyć musiały prehistoryczną Tantalis i sprowadzić tę katastrofę, która w najstarszych podaniach swój ślad pozostawiła. U stóp grodu Tantała, nad samem morzem, eolskie a później jońskie szczepy, założyły osadę, zburzoną przez lydyjskiego króla Alyatesa w VII w. przed Chr. Osada ta była najpierwszą i najdawniejszą Smyrną i położenie jej z dzisiejszego smyrneńskiego portu można na horyzoncie palcem oznaczyć.

W mytach i dziejach całego tego kraju wpływ ten dochował się niezatarty. Wielkiej bogini z Karkemisz, którąśmy poznali w posągu Nioby jako Cybeli, poświęcona być musiała świątynia Sypilosu. Na cześć Cybeli stanęła wielka świątynia w Sardes, z której dwie olbrzymie jońskie kolumny sterczą jeszcze na moczarach, zalegających brzegi Paktolu. Do czci tego bóstwa nakoniec odnosi się początek tak ważnego dla sztuki greckiej i tak pięknego mytu Amazonek. Wiemy, że hittityczna Athi miała w swej służbie zbrojne, siadające na koń kapłanki, które przystępu do jej świętości bronily, i że Smyrna pierwotna, wedle legendy, założona być

miała przez Amazonkę tegoż nazwiska. Z walk kolonistów eolskich i jońskich z temi kapłankami wytworzyła się głucha wieść o bohaterkach¹, które ideał następnych pokoleń opromienił swym blaskiem i przyoblekł w nieśmiertelne kształty. Walki te same dla świata greckiego, stały się symbolem tryumfów Europy nad Azyą i cywilizacyi nad barbarzyństwem.

Wypadki te w ciemnej przedhistorycznej przeszłości przebrzmiały. Ze wszystkich tych kataklizmów i katastrof, z całych tych bajecznych dziejów, ocalało górnjące nad nimi i żywe jedynie uczucie wielkich pomysłności i nierównie większych nieszczęść, streszczone w pojęciu Nemezis. Jakby dla zaznaczenia związku wpływów azyatyckich i greckich, do późnej starożytności na górze Pagos, oddawano cześć temu straszmemu i tak pięknemu zarazem bóstwu o podwójnem, azyatycko-greckiem pochodzeniu — jako Nemezis-Adrastei. Jemu też zawdzięcza swój byt w końcu IV wieku przed Chrystusem powstała dzisiejsza Smyrna. Bóstwo to, uosabiające całe wieki ubiegłe, objawić się miało wedle podania Aleksandrowi W., który zasnął znużony łowami na stokach Pagosu, zarosłych wówczas lasem, i kazało mu u stóp tej góry założyć miasto, zbudowane w następstwie przez jego spadkobierców Antigona i Lysimacha, na temsamem miejscu, gdzie dzisiaj stoi. Strabo, w I w. przed Chr. mówi nam, że za jego czasów miało ono na cześć urodzonego nad brzegami Melesu Homera, świątynię zwaną Homereion, że przy wielkich kolumnadach otaczających place, z powodu licznych potoków i górskich strumieni było przez znaczną część roku błotniste i brudne. Strumienie te i wody wyschły, lasy zostały zniszczone, a na stoku zachodnim Pagosu pozostały zaledwo ślady dwóch nieodłącznych, każdego starożytnego grodu gmachów, stadionu i teatru, w których bujna wyobraźnia tylko może się wielkiej przeszłości domyślać. Rozpisałiśmy się szeroko o Sypilosie, ale trudno było przejść około takich wspomnień i sceny takich wypadków i i nie zdać sobie z nich sprawy.

Nie traciliśmy zresztą czasu. W wygodnym powozie, razem z p. König, uprzejmym nauczycielem dzieci tutejszego konsula austriackiego p. de Rémy, objechaliśmy miasto, nie mogąc się nadziwić sile naszego wehikulu, którego kola na

tym bruku nie pękały, i zręczności woźnicy, który przez najciaśniejsze zaułki i nie zważając na tulących się do ścian i kryjących w progi domów przechodniów, nie żałował bicia. Od czasu do czasu zatrzymywały nas karawany wielbłądów, których całe szeregi, z dzwoneczkami u szyi, objuczone i prowadzone przez małego osiołka, o inteligentniejszym o wiele niż jego reputacya spojrzaniu i z Turkiem na grzbiecie, o białej lub zielonej szmacie nad ciemnem czołem, nas co chwila mijaly. Przy samym moście karawanowym i pod murami wielkich zarosłych cyprysami cmentarzów, spoczywały i koczowały także karawany. Porzuciwszy powóz, po godzinnym pieszym spacerze dostaliśmy się na szczyt Pagos. Z tej wysokości cieszyliśmy się szerokim widokiem na wszystkie strony, zmieniającym tony i barwy pod zachód słońca. Z olbrzymiej i wystarczającej na pomieszczenie całego miasta platformy, otoczonej wijącemi się po zaułkach terenu i poszczerbionemi z łupanych kamieni bizantyńskimi w znacznej części murami, mieliśmy na wschód w długim i głębokim wąwozie, dnem którego biegnie wyschłe i kamieniste koryto Melesu, imponujący, na olbrzymich arkadach wsparty, rzymski akwedukt, a za nim, po falistych pagórkach, wyższe szczyty z bielejącemi w perspektywie osadami na tle pogrążonego w cieniach podnóża. Na zachód, jakby w ramy zwalisk ujęte, jaśniejące miasto, z lazurówem, bledniejącem, to znowu roziskrzonem daleko morzem ostatniemi promieniami słońca. Po prawej stronie, od północy, wieczorna pomroka, coraz ciemniejszymi tyntami pokrywała tajemnicze wierzchołki Sy-pilosu, na których przy ukośnem i ostrem oświetleniu rozpoznąć można było grób Tantala i wydatne pozostałości świątyni Cybeli. W tem świetle, ze śladami przedhistorycznej przeszłości i z całą tak dramatyczną poezją mytów, góra ta robiła jakieś ponure, fantastyczne i pełne uroku wrażenie. Chciałoby się tu zostać dłużej i dotknąć tego wszystkiego na miejscu, ale czas nie pozwala. Straciliśmy go już tyle z powodu kwarrantanny, że musimy się zgodzić na męki Tantala, jechać dalej i poprzestać na tem. Już noc zaszła i luna światel wieczornych unosila się nad miastem, kiedyśmy schodzili ze szczytów i oglądając się za siebie, podziwiali czarny cyprys na tle głębokiego, seledynowego nieba, nad tureckim gro-

bowcem, w brzaskach zachodu. Przez ementarz żydowski, pełen nagrobków przypominających hebrajskie, dostaliśmy się do tramwayu, który nas wysadził przed hotelem.

Smyrna, d. 22 września w południe.

Żegnamy tu statek Argo, który nas tak długo nosił, i wyjeżdżamy zład dzisiaj statkiem Lloyda Wenus, o godzinie 4tej po południu. Zabieramy ze sobą dragomana Arenę, którego w przejeździe dla nas Lanekoroński ugodził. Typ jedynej w swoim rodzaju. Urodzony na Korsyce, był chłopcem okrętowym przy księciu Joinville i woził zwłoki Napoleona ze ś. Heleny, służył jako drogoman księciu Napoleonowi w Egipcie i sprawował przez życie najrozmaitsze funkcyjne po wszystkich portach. Korzystam z wolnej chwili i pozostawiając kolegów zajętych przyborami podróży, idę w towarzystwie p. König do kąpieli tureckiej, aby się odświeżyć po trudach w dalszą drogę, z tem większą skwapliwością, że porządniejszej łaźni, jak tutejsza, dalej, jak nam zapewniają, nie znajdziemy. Webodziemy przez nieznaczne drzwi do wielkiej sali, gdzie wokół leżą pozawijani Turcy, popijający kawę i palący papierosy i fajki. Wskazują nam miejsce wzniesione, zasłonięte firanką na estradzie i przygotowane oczywiście dla nadzwyczajnych gości. Mój towarzysz i przewodnik czekał, a mnie rozebranemu obwiązano biodra płachtą i głowę rodzajem zawoju i wprowadzono, na drewnianych, stukających po kamieniach i zlatujących z nog patynkach, do sali drugiej, ogrzanej mocno, przykrytej kopułą i mającej z grubego szkła nieliczne w górze okna. Na środku pod tą kopułą mieściła się kolistą platforma, marmurem wyłożona i zwilżona parą. Telekezi, t. j. łaźiebnik, który krokami memi kierował, rozciągnął moje członki na niej i zaczął je naginać i masować, wyciągając palce u nóg i rąk, dopóki trzasku nie wydały. Klękał mi na plecach i gniótł, a po tej operacyi, nalewając na kark ciepłej wody, wycierał ze wszystkich sił jak konia włosienną rękawicą, czy szczotką, nie pamiętam. Nareszcie drugi, wniósł wielkie naczynie pełne piany mydlanej i pływającego w niej jeszcze

w kawałkach, białego, wonnego mydła; kazano mi przejść do izby sąsiedniej, o wiele chłodniejszej, posadzono między dwoma kurkami, od zimnej i gorącej *ad libitum* wody i pędzlem z palmowej kory, zanurzonym w tej pianie, zaczęto oblewać, mazać i wycierać na wszystkie strony. Po tak sumiennem oczyszczeniu i obmyciu, owinięty jak inni w prześcieradło, leżałem kwadrans i z rozkoszą piłem wyborną, wonną, z osadem na dnie filizanki kawę i paliłem papierosa, jakby nanowo na świat narodzony. Zrozumiałem i odczułem w pełni, jak przy sedentarnem życiu taka gimnastyczna kąpiel jest dla wschodnich ludów konieczna i zbawienna.

W porcie, leżącym na drodze do hotelu, najeżonym lasem masztów, uderzyły mię łodzie greckie, których znaczna część malowana ciemno-niebieskim, zielonym i czarnym kolorem, ma na przodach wyobrażone wielkie, otwarte szeroko oczy. Jestto kto wie czy nie najstarszy Apotropci on ludzkości, znak zapewniający bezpieczeństwo i chroniący od złego. Znalezione go na misach, wykopanych przez Schliemana w Hissarliku wśród trojańskich starożytności. Zdobi on trumny mumij i wpłata się w ornamenta rozmaitych egipskich grobowcowych przedmiotów. W starożytnej Grecyi malowano go na murach miast, przedstawiano na naczyniach do picia, rzeźbiono na rękojeściach mieczów i inkrustowano z kamienia tak, jak dzisiaj, — na przodach okrętów. Niedawno w Pirejskim porcie wydobyto z głębi fal marmurowe fragmenty takichsamyh oczu, pozostałych po jakiejś rozbitej prastarej tryremie. Tradycye nie zamierają zatem na tym wschodnim świecie i umarła starożytność staje się tutaj zrozumialsza wobec żywej terażniejszości.

Maryan Sokolowski.

O DRAMATACH SCHILLERA.

(Ciąg dalszy)¹⁾.

IV.

Kabale und Liebe.

Zawsze ten sam temat, zawsze ten sam popęd, zawsze wyraz tych samych oburzeń i tych samych dążeń, ten sam gniew na społeczeństwo. W *Zbójcach* był wpływ fatalny jego złych praw i zwyczajów na stosunki prywatne, na rodzinę, na usposobienie i na życie młodych; w *Fiesku* był stan polityczny: państwo rozprzężone a ludność upadła i poniżona despotyzmem, naprzeciw ideału republikańskiej wolności i obywatelskiej cnoty, do którego skrycie już tylko spiskiem niektórzy dążą, a rzadko kiedy dojść mogą. Tutaj stan ten sam społeczeństwa i rządu pokazany jest w skutkach, jakie wywiera na społeczeństwo samo. Po jednej stronie dwór z całym orszakiem gwałtów i podłości, zdzierstw i okrucieństw, młodzież za pieniądze sprzedawana do wojska; zbytki księcia, który potrzebuje dużo pieniędzy na swoje przyjemności; spodlenie i infamia dworskich figur, w których tak już nie zostało uczciwości ani wstydu, że ojciec swata młodego syna z kochanką księcia, i na to jeszcze w dodatku, żeby ten syn dalsze miłostki tego księcia swoją osobą i nazwiskiem osłaniał. Ojcu związek taki wydaje się zaszczytem, a w każdym razie jest utwierdzeniem jego wpływu na dworze

¹⁾ Zobacz *Przegląd Polski*. Lipiec 1884.

i w państwie, a więc dokonać się musi. Pelzający, niktzemny, zdradliwy podwładny, pomoconik do wszystkich intryg, uzupełnia ten obraz zepsucia, a w działaniu ich spełniają się nietylko podłości, ale i zbrodnie. Naprzeciw tego poddany, ofiara tych ucisków, tych infamij i tych okrucieństw; lży zaprzędanych żołnierzy i ich rodzin, dobry a ubogi człowiek bezbronny zupełnie wobec przemocy tej władzy i podstępów tej intrygi: jego cześć, jego rodzina, jego wolność, życie, szczęście domowe, jego dzieci, wszystko na łasce tych przemożnych a przenikczemych: a dla ludzi nczciwych, na których oni zarzucą sieci swojej kabały niema ratunku, ani rady, ani wyjścia, tylko przez ostateczne nieszczęście, śmierć, — i przez zbrodnię nową — samobójstwo.

Oto, co pokazuje ta straszna rozpaczliwa walka *Miłości z Kabałą*, i z drugim strasznym nieprzyjacielem, z różnicą stanów, różnicą towarzyskiego stanowiska, z przesądem, z nieprzelamaną siłą obyczaju. Czy to oskarżenie społeczeństwa jest sprawiedliwe? Wszystkie fakta, jakie w tej sztuce są, są prawdziwe, nietylko zdarzać się mogły, ale się rzeczywiście zdarzały. Jeżeli bywali ojcowie (we Francyi z pewnością, w Niemczech prawdopodobnie), którzy chętnie córki swoje królom na kochanki ofiarowali, to mogli być i tacy, co synów żenili z królewskimi kochankami. Że byli tacy, co się nie bali podstępu lub przemocy, byle się pozbyć synowej, która ich dumę upokarzała, dowodzi historia Gertrudy Komorowskiej. A że niemieccy książęta sprzedawali rekrutów do Ameryki, to także rzecz wiadoma i pewna. Na rzeczy takie wzdryga się sumienie ludzkie i powstawać przeciw nim ma obowiązek; literatura czy poezya czerpie z nich swoje przedmioty z wszelkiem prawem. Tylko, wypływa to już z natury rzeczy, literatura i poezya nigdy nie przedstawia takich stosunków w ich rzeczywistej prawdzie. W jej przedstawieniu musi zawsze wydawać się fenomenem ogólnym, fenomenem typem, to co w rzeczywistości jest wyjątkiem; a powtóre, ona dowolnie układa takie fakta w związki, które ich okropność zwiększają, ich znaczenie zmieniają. Przykład na tej samej *Kabale und Liebe*. Gdyby Ferdynand nie był tak zazdrosny i porywezy, to intryga jego ojca i Wurma nie byłaby mniej ohydną, ale nie byłaby tak skuteczną; nie-

szcęście nie byłoby tak wielkiem, zamiar pozostałby czem jest, ale nie miałby takichsamych następstw. Takie zaś usposobienie dał Ferdynandowi Schiller, żeby powiązać ciąg swojej sztuki, ale dał je dowolnie, on je wybrał, on tak rzeczy złożył i wymyślił, żeby nieszczęście mogło być jak największem. On miał prawo tak zrobić, każdy poeta tak robi, ale to pokazuje i dowodzi, że nie można w poetycznych utworach szukać rzetelnej i ścisłej rzeczywistości, że wnioski byłyby śmiały i niesprawiedliwy czynić społeczeństwo odpowiedzialnym za zbrodnie Fraunza Moora lub Prezydenta Waltera; z utopienia Gertrudy Komorowskiej wnosić, że całe społeczeństwo polskie było występne; z cierpień Luizy Miller, że niemieckie było całe zepsute. Taki zaś wniosek wyciąga świat, publiczność, prawie zawsze, z tego co czyta lub widzi na scenie. Ona myśli i mówi sobie, że tak się dzieje na świecie. I to jest, przy całej prawdziwości faktów, pierwiastek nieprawdziwy w *Kabale*, jak w mnóstwie innych podobnych obrazów czy oskarżeń; wyjątek wydaje się rzeczą zwykłą, powszechną. regułą; straszne, ale dowolnie wymyślone i zawsze trochę naciągane i przypadkowe nieszczęście obrazem i grzechem społeczeństwa całego.

Ludzie (przynajmniej cudzoziemcy), są dość nielaskawi na *Kabalę*: zarzucają jej naprężone sytuacje, pathos przesadne, deklamacyi wiele; *Gervinus* nazywa ją bez ceremonii karykaturą. Współcześni, jak świadczą recenzye zebrane i przedrukowane przez cytowanego już nieraz Juliusza Brauna — (*Schiller und Göthe im Urtheile ihrer Zeitgenossen*) — byli dla tej sztuki raczej surowi. Wszyscy niemal cenią ją mniej aniżeli *Zbójców* i *Fieska*; niektórzy (jak Filip Moritz w berlińskiej *Staats und gelehrte Zeitung* 1784) wyśmiewają bez miłosierdzia, bez sprawiedliwości, choć nie bez dowcipu; inni łaskawszy, choć przyznają zalety, nie przepuszczają błędów, na które krytyka dzisiejsza jest wyrozumialsza. Sądzą ostro, a dostrzegają trafnie (naprzykład wyjątków z *Othella*, przeniesionych żywcem w rolę Ferdynanda). Dość zgodnie widzą w *Kabale* przerobienie tylko innej sztuki, mianowicie Gemminga *Hausvater*; czy słusznie? nie mogliśmy sprawdzić, brak nam bowiem tekstu tamtej do porównania. Nie można jednak zaprzeczyć, że zarzuty robione przed

stu laty artystycznej jak moralnej wartości dzieła, są po większej części słuszne i dobrze świadczą o smaku i o moralnym zmyśle ówczesnych krytyków. Tylko pomimo słuszności zarzutów, *Kabała* zasługuje zdaniem naszym na więcej pobłażania. Ten bowiem tak surowo sądzony dramat kto wie czy nie ma jakiej nad dwoma pierwszymi wyższości. Że nie jest zachwycający, że nawet nie jest może sympatyczny, to prawda, ale to podobno jest skutkiem jego natury, jego rodzaju. Dramat potoczny czy domowy, czy jak kto zechce nazwać to, co po niemiecku nazywa się *das bürgerliche Drama*, jest i musi być zawsze w sztuce nietylko rodzajem niższym, ale rodzajem z natury fałszywym, przeciwnym pojęciu i prawom poezyi, i dlatego choć często widza rozczuli do łez, wrażenia poetycznego, tragicznego, nie robi mu nigdy. Dlaczego? Nie dlatego że jest pisany prozą — skoro Götze i Egmont tragiczne wrażenie robią, a nie robi go *die Natürliche Tochter* Göthe'go, choć pisana wierszem. Nie dlatego, że przedstawia losy i cierpienia prostych ludzi, a nie królów i bohaterów: ale dlatego właśnie, że jest z potocznego życia, z ciałniejszych domowych stosunków, że musi koniecznie ton swój do tego przedmiotu stósować, musi figurom i sytuacyom, choćby ich dusze, charaktery, nieszczęścia były jak największe, nadać tę cechę zwykłości, powszedniości, jaką ma codzienne potoczne życie, i w tem życiu każdy choćby największy człowiek, a która poetyczny urok wyklucza, przynajmniej trzyma go koniecznie na niższym stopniu. Jak powieści i romanse, choć nieraz z poetycznej wyobraźni wyszły i dużo poetycznego uroku mają, nie roszczą sobie prawa do imienia poezyi, nikt ich nigdy nie miał i mieć nie będzie za równe epickiemu poematowi, taksamo ten dramat z potocznego życia ma się do tragedyi. Jego styl (nie styl pisarski, ale ten, w którym figury są poczęte i nakreślone) musi być niższy, bo inaczej byłby fałszywym i śmiesznym. Stary muzykant Miller nie może stać na koturnie, prezydent Walter nie może mieć rozmiarów i stylu Ryszarda III, ani sekretarz Wurm Jaga. Z tego wynika, że taki dramat nie może uczynić zadość estetycznej potrzebie sztuki i człowieka, owszem, musi to uczucie drażnić. On może mieć sytuacje i kollizye równie straszne, cierpienia i nieszczęścia równie roz-

paczliwe jak tragedia, może tak wzruszyć lub przerazić jak ona, a nie może, nie ma władzy, nie ma środka na zrównoważenie tego wrażenia przykrego, bolesnego, nie ma poetycznego charakteru, nie ma piękności. Nasz instynkt zaś, nasza natura, nasze uczucie estetyczne i uczucie ludzkie, żąda w sztuce równowagi pomiędzy wrażeniem bolesnem a wzniosłem, żąda, żeby jedno łagodziło drugie, żeby jedno za drugie dawało satysfakcyę; znosi sytuacye najstraszniejsze i najokropniejsze w królu Learze naprzykład, dlatego że choć boleśnie targany i szarpany litością i zgrozą, jest i ukojony, rozradowany, podniesiony wielkością, pięknością, poezją. Gdzie tej niema, gdzie sztuka wywiera tylko takie bolesne wrażenia oburzenia zgrozy i litości, tam nasze uczucie będzie poruszone, drażnione, nieraz nawet rozdarte, ale nie będzie nigdy zaspokojone, nie będzie mogło z dzieła sztuki odnieść tego wrażenia zachwyty i rozkoszy, jakiego od sztuki żądać ma prawo i zawsze żąda. I dlatego dramat z potocznego życia, *das bürgerliche Drama*, czy on pisany przez poważnych Niemców, jak Lessing, Schiller lub Hebbel; czy przez Francuzów mniej lub więcej szarlatanów, jak Dumas ojciec lub syn, jak Soulié, jak *tutti quanti*, jest rodzajem w sztuce niskim i fałszywym, jest przeciwnym jej naturze, jest poezją bez poezyi. W naszym wieku tylko znalazł się jeden, Francuz, który przez szczęśliwie dobrane małe rozmiary, przez to, że zachowując pewne niby pozory rzeczywistości, naprawdę kreacye swoje zupełnie od niej odrywał, przez właściwy rodzaj i charakter swojej wyobraźni i z niego wynikający ton i styl swoich małych dramatów, środkowy między powszednim a poetycznym, przez swój wielki talent wreszeie, zdołał nadać koloryt poetyczny swoim małym dramatom z potocznego życia, to Musset. Jest taki charakter i taki wdzięk w jego sztukach takich, jak *On ne badine pas avec l'amour* albo *Fantasio*. Ale on jeden dotąd posiadał ten sekret. Naśladowcy, których ma wielu w naszych czasach (Feuillet, Coppeé, Pailleron etc.), powtarzają dość zręcznie jego formy i rodzaj jego pomysłów, i piszą nieraz rzeczy ładne, ale takiego poetycznego wrażenia jak on wywołać nie umieją.

A więc dramat potoczny jest fałszywy, jest z urodzenia kaleką, ptak bez skrzydeł, kwiat bez koloru i zapachu; ale

jeżeli już jest ten rodzaj, jeżeli jest *das bürgerliche Drama*, to znowu nie wiem, gdzie byłby taki, któryby był od *Kabale und Liebe* lepszy, a choćby tylko jej równy. Schiller był raz tylko w życiu realistą, ten jeden raz właśnie; ale ten rodzaj tak przeciwny jego naturze, udał mu się dobrze. On sam gdzieś mówi o sobie, że urodzony i wychowany w tej sferze mieszczańskiego życia, czuł się swobodnym i panem swego przedmiotu, kiedy mu przyszło za takich ludzi czuć i myśleć, mówić jak oni, wydobyć na wierzeh wszystko co jest szlachetnego i sympatycznego w ich uczuciach, w ich pojęciach i w ich obyczaju; a tego nie zataić, co jest ludzką słabością, albo skutkiem wychowania, albo niewiadomością, i co nieraz wygląda komicznie. To połączenie wielkich przymiotów z drobnymi słabościami, uczuć i instynktów szlachetnych z prostotą naiwną a czasem rubaszną, to zmieszanie pierwiastku komicznego z poważnym udało się świetnie. Schiller musiał znać ludzi tego rodzaju: we własnym ojeu, w wielu znajomych mógł, owszem musiał widzieć kombinacye podobne, i malował z gotowych wzorów, z natury, składał starego Millera z różnych pierwiastków, jakich w różnych ludziach dostrzegał. I może dlatego, że miał tę pomoc doświadczenia i rzeczywistości, nadał figurom tego dramatu przymiot, którego nie miały figury ze *Zbójców* ani z *Fieska*; nadał im żywą, odrębną, własną indywidualność. Kuno Fischer (*Selbstbekenntnisse* etc.) podaje prócz tego powód drugi, dostrzeżony bardzo bystro i trafnie, ten mianowicie, że charaktery ze *Zbójców* i z *Fieska*, na heroiczne zakrojone, a pod wpływem sielankowego sentymentalizmu Roussa kreślone, musiały być same z sobą sprzeczne i rzeczywistej prawdy mieć nie mogły. Kiedy przeciwnie figury z *Kabaty*, Ferdynand i Luiza, są tylko i jedynie uczuciowe, nie nie znają, nie widzą, niczego nie chcą po za swoim uczuciem. Przez tó była w ich w ich naturze jedność, jakiej tamte nie miały. Pod względem moralnym lub społecznym ich sposób myślenia i działania może być jednostronnym i mylnym, one same mogą być jednostronne i chorobliwe: ale pod względem artystycznym i psychologicznym, jako takie zbyt uczuciowe i nieco chorobliwe natury, one mają więcej rzeczywistości i prawdy, aniżeli postacie z dwóch pierwszych dramatów Schillera. Tam,

z wyjątkiem może jednego Franza, a prócz niego może Daniela i Murzyna, były kontury figur wypełnione albo jego własną myślą i duszą, albo bez głębszego rzeczywistego życia i charakteru, z jego pozorami tylko; w *Kabale* pierwszy raz u Schillera występują ludzie rozmaici, z których każdy jest sobą, a każdy żywym. To nie są nazwiska i suknie tylko, jak większa część jego figur dawniejszych. Jak na obrazach widzi się często wymalowaną postać, która pod suknią nie ma ciała, tak w powieściach, tak i w poezyi nieraz pod kształtem i nazwiskiem nie czuje się osoby i charakteru, pod jej słowami myśli i uczuć. Takie były wszystkie figury spisanych z *Fieska*, taka była Amalia, taki stary Moor, taka i Leonora i Berta i Julia Imperiali. Tu jest inaczej. Tu pod suknią czuje się i słyzy zawsze żywe krążenie krwi i bicie serca, złego czy dobrego; tu i Walter, i Wurm, i Hofmarschall von Kalb, wszyscy są indywiduami, wszyscy mają swoją własną naturę i odrębną fizyognomię: tu ma ją nawet Luiza; a stary Miller ma jej tak wiele, i tak wyraźną, i tak prawdziwą i pełną życia, że się staje bardzo niepospolitą, prawie wielką kreacją.

To własne życie, ta wyraźna indywidualność osób, jest jedną z zalet *Kabały*, drugą jest jej budowa, jest powiązanie różnych sytuacji i kollizyj. W *Zbójcach* i w *Fiesku* nieraz owszem często trzeba pytać, dlaczego ten lub ów zrobił to lub owo (lub zrobić zaniedbał), a odpowiedzi niema, prócz tej jednej, że poeta nie mógł sobie dać rady, nie umiał inaczej wybrnąć z sytuacji którą wymyślił, albo że wymyślił ją źle, bez związku, bez przyczyny, dlatego tylko że była, że mu się efektową zdawała. W *Kabale* także znajdują się tu i owdzie rzeczy cokolwiek naciągane, albo niewytłómaczone, takie, na które w rzeczywistości znalazłoby się zaraz sposób i radę. Ale jako w poetycznym utworze, związek przyczyn i skutków jest tu ścisły, postęпки ludzi tak zgodne z położeniem w jakim ich poeta postawił, że oni (z małemi wyjątkami) nic innego zrobić nie mogli. Intryga jest tak silna, tak zręcznie zarzucona, że ofiary, biedne małe muchy sieci tej przebić nie mogą; zajęcie utrzymuje się i potęguje się ciągle, rozwiązanie jest i wymyślone rozumnie

i przyprowadzone zręcznie, a figury (główne przynajmniej jeżeli nie wszystkie) w każdej sytuacji, w każdej scenie są zgodne z sobą, ze swoim położeniem, czują i mówią jak powinny, i są zawsze zajmujące i wzruszające.

Oto ta *Kabała*: książe ma się żenić; mając się żenić, musi odsunąć choć napozór swoją kochankę Lady Milford, ale nie chce jej się wyrzec naprawdę. Usłudni dworacy wynaleźli na to sposób: wydać tę Lady za męża za jakiego grzecznego i wyrozumiałego człowieka. Prezydent Walter pomiarkował zaraz, jak zręcznie można z takich okoliczności skorzystać, jak taka usługa może się opłacić wdzięcznością księcia, stanowiskiem na dworze, honorami, wpływami, pieniędzmi, i na szczęśliwego małżonka forytuje swego syna. Książe przystaje sądząc, jak wszyscy, jak sam Walter, że to będzie mąż powolny a człowiek rozumny; przystaje i Lady Milford, bo (czego się nikt nie domyśla) kocha młodego Waltera. Ale nie przystaje Ferdynand sam. Człowiek uczciwy, człowiek honoru, nie wchodzi w takie układy, nie ma siebie na sprzedaż, nie żeni się z wysłużoną kochanką drugiego. A prócz tego Ferdynand ma powód inny, dla którego odrzuciłby rękę nie tylko Lady Milford, ale każdej: Ferdynand już kocha; kocha dziewczynę ubogą, córkę starego muzykanta; zobaczył ją, kiedy zaszedł raz do ojca chcąc uczyć się grać od niego. Luiza kocha go taksamo, bez wahania i zupełnie, a on jej mężem przed Bogiem i ludźmi być gotów, być chce, jak tylko opór ojca przełamie albo się z pod jego władzy wyłamie. Ojciec tymczasem ułożył już tamto małżeństwo, rozgłosił je nawet; jeżeli ono nie dojdzie, zawód dla księcia, upokorzenie dla Lady, a dla niego tyle szkody, ile sobie obiecywał korzyści. Zatem syn ustąpić musi. Kiedy nie ustąpił, ojciec w gniewie chce go gwałtem od kochanki oderwać, znieważa ją słowami i chce postawić pod pręgierzem jak ostatnią z kobiet. Syn wtedy grozi że ogłosi, jakim sposobem ojciec doszedł do swoich urzędów i godności; ustępuje ojciec.

Teraz zaczyna się kabała. Prezydent ma sekretarza, Wurma, wzgardzonego zalotnika Luizy, który mu ukazuje pewną drogę do celu. Ferdynand sam porzuci dziewczynę, jeżeli uwierzy, że ona go zdradza. Zatem trzeba, żeby Luiza

napisała list do kogo innego. Zmusić ją do tego nie trudno. Za zuchwalstwo względem Prezydenta uwięzić jej rodziców, zagrozić, że w więzieniu zostaną zawsze, jeżeli ona takiego listu nie napisze; wreszcie kazać jej przysiąc na sakrament, że tego podstępu nigdy przed nikim nie wyda. Udało się wszystko pomyślnie. List zręcznie podrzucony dostał się do rąk Ferdynanda i w podejrzliwym a gwałtownym obudził zazdrość i rozpacz. Tylko koniec nie wypadł po myśli Prezydenta: Ferdynand otrul Luizę, i siebie.

Nie można zaprzeczyć, że i ta prześladowająca infamia i ta prześladowana dobroduszna a bezbronna prostota przedstawione są dobrze. W pierwszej scenie, w domu starego muzykanta sprzeczka małżeńska. Miller się gniewa na żonę, cierpi nad córką, kłnie jej kochanka; żona „*die Dummheit selbst*“ widzi dobrą stronę rzeczy, zaszczyt z konneksyi z panem Majorem i Baronem, zazdrość kumoszek, ładne ubrania dla córki, prezenta dla siebie, Bóg wie jakie wygody i dochody w przyszłości. Ta kobieta głupia i niska, gadatliwa, chelpliwa, odmalowana jest znakomicie, z wielką satyryczną i komiczną siłą, i byłaby bardzo komiczną, gdyby nie to, że idzie o jej własną córkę, przez co jej zaślepienie, jej brak rozumu i lepszego uczucia robi ją odrażającą i przykrą. A przeciwieństwo z mężem jest doskonale i śliczne. I on jest prosty człowiek, mówi zaledwo lepiej od niej, jest rubaszny i gburowaty, jest dość komiczny w swoich naiwnościach albo w swoich gniewach, jemu także wiele panowie imponują. Ale on ma duszę, on kocha swoje dziecko tak, że każdy ojciec w jego uczuciu swoje poznać musi, kocha dziecko tembardziej, że żony kochać nie może, ale i szanuje dziecko cierpi nad jego niebezpieczeństwem, drży o przyszłość; za słaby żeby przeszkodzić stosunkowi, z którego jego zdrowy rozum obawia się złych skutków, ma ciągle przytomne uczucie swego obowiązku ojca i głowy rodziny. On ubogi ma poszanowanie swego ubóstwa, ma jego dumę; on potulny i uległy przed wielkimi i możnymi, w obronie swego dziecka ma odwagę śmiałą i szlachetną. Pobożny bardzo, w nie-szczęściu mówi do córki z taką powagą, jaką mu daje przekonanie, że jego ojcowska władza jest mu od Boga dana i że ma prawo do dziecka w imieniu Boga mówić. Rozrze-

wniający bardzo swoją nieograniczoną miłością do córki, jest przytem bardzo zabawny, kiedy się gniewa i klnie na żonę, kiedy mając iść z prośbą ubiera się w co ma najlepszego, jest przytem niegłupi wcale; umieć? nie umieć zapewne nie prócz muzyki, ale ma rozsądek, ma doświadczenie, ma znajomość życia. Typ wyborny Niemca, skromnego mieszczanina, ojca rodziny, prawego, spokojnego, przestającego na swoim, przywiązanego do swego szczęścia, a komicznego w swojej powierzchowności, w swoich zwyczajach, w swojej dobroduszości. Miller jest nieszczęśliwy bardzo, przeto inaczej wygląda i robi inne wrażenie jak stary oberżysta ojciec Hermana, i jest od tamtego miększy, bardziej uczuciowy, ale jako Niemiec, jako mieszczanin i *Familienvater*, kto wie czy nie jest bliskim doskonałości tamtego.

Jego pierwsza scena z żoną, jego głęboki smutek i rubaszna wściekłość razem, jego rozmowa z Wurmem, którego obrazić się boi a odprawić chce i odprawia, ta rozmowa, w którą wtrąca się ciągle żona fałszywym tonem swojej bezdennej głupoty i swojej głupiej próżności, to są rzeczy znakomicie napisane.

Luiza — niech ją porówna kto chce z Amalią albo z Leonorą, i niech powie potem że niema różnicy, że niema postępu! Luiza ma nie tkliwe, sentymentalne frazesy jak Amalia, ale ma słowa rzewne i trafiające do serca, Luiza ma duszę. Nie tak znakomita figura jak Miller, jest dobrze wymyślona i dobrze wykonana, i jest sympatyczna. Biedna dziewczyna nie ludzi się; wie, że i szczęśliwego końca swojej miłości spodziewać się nie bardzo może i że łatwo będzie posądzona, że ludzie będą szarpali jej sławę, co znowu zada najcięższą boleść temu ojcu, którego kocha nad życie; ona to wszystko przyjmuje, bo niema smutku, którego by dla Ferdynanda i jego miłości nie przyjęła; ale ona nie próbuje ze sztuczną egzaltacją wmawiać w siebie, że jej o ludzkie gadania i dobrą sławę nie chodzi, owszem dba o to i cierpi nad tem dla ojca więcej, ale dla siebie także. Ona przez miłość nie pozbyła się wszystkich innych uczuć; ona nie mówi jak Julia Szekspira „co mi tam ojciec i matka, byłem miała Romea,“ — ona w miłości zachowuje, jak zachowuje zawsze człowiek który nie szaleje ale kocha naprawdę i na-

zawsze, — zachowuje wszystkie swoje uczucia i trzeźwą świadomość swoich stosunków, swoich obowiązków, swego położenia. Dusza szlachetna i prosta, głowa jasna i trzeźwa, Luiza kocha tem mocniej, tem zupełniej, im się mniej odurza i upaja. Ona wie dobrze, że jej miłość dobrze skończyć się nie może; kiedy Ferdynand łatwowiernie ukazuje jej ślub i szczęście, ona się nie ludzi i cierpi za przeszłość i za przyszłość, za ojca i za siebie, i dlatego od początku choć jeszcze w nią grom nie uderzył, jest taka smutna, strwożona przezuwająca coś złego. Swojem stanowiskiem dziewczyny ubogiej i prostej, swoją miłością i poddaniem się bez granic, podobna trochę do Gretchen i do Clärchen, nie ma niezrównanego wdzięku tamtych, nie ma ich poetycznej prostoty, boi się żeby nie była zbyt prostą; wie o tem, że poetyczną być powinna i dlatego wpada czasem w ton sentymentalny albo w godność trochę teatralną; ale nieszczęściem swojem rozrzewniająca nie jest ona bez pewnego uroku, a swoim smutkiem, swojem przecuciem nieszczęścia, swoją stałością i odwagą w potrzebie, zapowiada zdaleka, ale przecież zapowiada Teklę.

To co następuje, rozmowa Prezydenta z Wurmem, cynizm bezczelny a twardy jednego, cynizm taki sam tylko chytrzejszy drugiego, przedstawiony także w potocznym tonie rozmowy, to wszystko jest dobre. Dobry i ten karykaturalny Hofmarschall v. Kalb, stworzony w głębokiej pogardzie dla płaskiego dworactwa. I w tych figurach także jest realizm, ale jest charakter. A jeżeli na domysł, na instynkt mówić się co godzi, to możnaby myśleć, że wszyscy trzej muszą także być jeżeli nie portretami to reminiscencyami jakich dworskich figur, a przynajmniej dworskich typów, Schillero-wi, może i ówczesnemu światu, ówczesnym dworskim i skandalicznym kronikom znanych. A jeżeli nawet nie, to w wieku oburzenia na dwory dworskie intrygi, podłości, zepsucia, płaskości i zdzierstwa, wszyscy trzej musieli robić wrażenie ogromne, wrażenie satyry nielitościwej, srogiej, zasłużonej, i rzeczywistości schwytej na uczynku.

Rozmowa ojca z synem znowu dobra. Ojciec jest niewiedzieć czy więcej nieludzki czy więcej nikezemny, kiedy synowi żenić się każe, kiedy zrozumieć nie może, jak ktoś

może odrzucić taką doskonałą sposobność karyery. Syn odpowiada ze szlachetnym gniewem porządnego chłopca, któremu proponują podłość jak rzecz naturalną. Przeciwnieństwo jest efektowe a stosunek weale dramatyczny tego syna, który się trzyma jak może, żeby nie pokazać jak bardzo ojcem pogardza; i tego ojca, który jak żelazo stały i zimny a giętki jak stal, używa całej swojej siły i władzy za to, żeby syna spodlić a potem sobie go poświęcić.

Lady Milford za to udała się mniej dobrze. U publiczności XVIII wieku miała największe ze wszystkich osób dramatu łaski i powodzenie. Ta kobieta upadła a szlachetna w gruncie, namiętna i dumna, ale zdolna heroicznym postawom, i w objęciach swojego księcia tęskniąca za jakąś czystą idealną miłością, była nowością, a wydawała się bardzo zajmującą i dramatyczną. My widzieliśmy tyle figur podobnych, że nam już ten typ spowszedniał i wrażenia nie robi. To oczywiście nie mogłoby zmniejszyć Lady Milford, gdyby była wielką, ale taką nie jest. Nie jest tak śmieszna jak Donna Julia Imperiali, ale jest i w swoich szlachetnych aspiracjach i w swoich namiętnych gniewach, i zwłaszcza w swojej dumie podobniejszą do kobiety źle wychowanej, która miłości i godności uczyła się w romansach, do aktorki trzeciego rzędu, aniżeli do tej lwicy z wielkiego świata i w wielkim stylu, jaką ją Schiller mieć chciał; i wszystko razem wzięwszy, taka królewska kochanka udała się daleko lepiej Lessingowi niż Schillerowi, który swoją kto wie czy nie na tamten wzór tworzył. Orsina kocha swego księcia namiętnie i zazdrośnie, kiedy Lady Milford właśnie swojego nie kocha, ale z tą różnicą natury są podobne, a Orsina ma w swojej namiętności i w swoich cierpieniach i rozmiary większe i postawę godniejszą. Lady Milford potrzebuje oczywiście wydać się przed publicznością ze swoją miłością do Ferdynanda, a na to nie znajduje innego sposobu, jak wygadać się ze swojemi sentymentami przed konfidentką. Konfidentka wprawdzie jest tu realną i prawdopodobną panną służącą (jak w komedyi Moliera), ale konfidentką zawsze zostaje; a jak ten środek dramatyczny jest dość pierwotny i zużyty, tak dziwnie trochę wygląda ta dumna Lady i wykwintna dama, która zwierzenia swego serca wylewa na łono

pokojówki. Zwierzenie zaś samo jest rozczulające. Dla nas, którzy widzieliśmy w powieściach i dramatach tuziny jeżeli nie setki takich upadłych aniołów, przyjemnie jest spotkać tę, która pierwsza może wynalazła wygodną teorię o sprzedawaniu nędznego ciała jednemu, a zachowywaniu dziewiczego serca dla drugiego. Marion Delorme, która się cieszy, że miłość przywróciła jej dziewictwo, Małgorzata Gautier ze swojemi kameliami, wszystkie powtarzają tylko innemi słowami to, co wymyśliła Lady Milford, kiedy pokojówce zdziwionej niemniej jak czytelnik notyfikowała, że „*ich habe dem Fürsten meine Ehre verkauft, aber mein Herz habe ich frei behalten.*“ I Lady uważa to za rzecz tak naturalną, że choć rozumié do pewnego stopnia, dziwi się przecieź, że ubóstwiający Ferdynand nie może jakoś tak gładko jak ona zrobić w swoim umyśle i przekonaniu tej operacyi oddzielenia serca od osoby.

Scena ze starym kamerdynerem księcia jest naciąganą a księżę nie posyłałby brylantów przez służącego ze zleceniem ustnego komplementu; dobrze wydresowany dworski służący nie odważyłby się na tak śmiałe wyrzuty. Ale jego opowiadanie o sprzedanych do Ameryki rekrutach jest rozdzierające a dobrze w mierze trzymane. W owym czasie zaś, kiedy zdarzały się takie fakta, musiało robić wrażenie elektryzujące. Czy w tej Lady, która jako kochanka księcia chciała być opiekunką jego poddanych, zasłaniać ich od krzywd i ucisków, na niego wywierać wpływ dobry, czy niema reminiscencyi tej roli, jaką przy księciu Wirtemberskim grała hrabina Hohenheim? Wolno to przynajmniej przypuszczać.

Scena jej z Ferdynandem jest, wszystko razem wzięwszy, chybiona. Że historia wszystkich jej nieszczęść może działać na jego współczucie i zmienić wyobrażenie jakie o niej miał; że Lady nie wydaje mu się tak nizezemną jak przedtem; że żałuje tych słów pogardy, jakie jej w twarz rzucił, to się pojmuje. Ale mniej pojmuje się to, że z tego stanu rzeczy nie korzysta i nie stara się zakończyć całej sprawy odwołaniem się do szlachetności tej kobiety: „skoro pani myślisz i czujesz tak pięknie, to tem łatwiej zrozumiesz, że się z tobą żenić ani chcę ani mogę.“ Ferdynand tymczasem prosi ją, żeby mu dała pokój bo kocha inną, a nie mówi

tęgo, czem najłatwiej jeszcze mógłby ją od siebie odczepić. Lady znowu obstaje przy małżeństwie z powodów niezgodnych z tą wielką duszą i z tą wielką dumą, jaką jej Schiller dać chciał. Gdyby powiedziała: „nie ustąpię cię innej, bo się w tobie Kocham, i bądź co bądź chcę żebyś był moim,“ byłaby w tem namiętna i bezwzględna miłość czy żądza. Ale kiedy Lady mówi, że ustąpić nie może, bo Ferdynand obraził jej narodową dumę jako Angielki, i że nie ustąpi, bo ludzie śmialiby się z niej, gdyby nie doszło małżeństwo już rozgłoszone, to te oba motywa są złe. Pierwszy zły, bo Lady tak się bez ceremonii obeszła ze swoim patriotycznym angielskim honorem, że odwołanie się do niego jest w jej ustach poprostu śmiesznem. A drugi jest zły, bo jeżeli ma nie już duszę, ale tylko dumę tak wielką jak mówi, to musi musi przecież być wyższą nad to, co o niej głupia gawiedz mówić może, i w takich gadaniach upokorzenia dla siebie widzieć nie powinna.

Ostatnia scena tego aktu, Prezydent w domu Millera, ma dużo życia i efektu. Zamieszanie i przestraszenie tej rodziny biedaków bezbronnej w ręku możnego, zimne okrucieństwo, z jakim Prezydent znieważa Luizę (wiedząc rozumie się, że nie jest prawdą to co jej zarzuca) — godność wrodzona, z jaką Luiza zrazu nie pojmuje nawet co jej zarzucają, a potem odpowiada: łzy i krzyki matki, odwaga i stałość Ferdynanda, i straszna rozmowa ojca z synem, a nade wszystko stary Miller, który w obronie córki występuje nie jak zraniony lew lub tygrys, ale jak niedźwiedź w rozpacz i wściekłości swojej niezgrabny ale nieustraszony i straszny; który w mowie zachowuje pomimo ironii pokorę niższego względem wyższego, a zarazem otwartą grubiańską prawdomówność człowieka prostego, Miller w tej scenie wzruszający bardzo, imponujący charakterem a pozorem zawsze trochę komiczny: wszystko to jest dramatyczne, a Miller jest bardzo świetny.

W trzecim akcie Prezydent zgnębiony groźbą syna ma się za zwyciężonego. Dodaje mu odwagi Wurm i układa się kabala w scenie bardzo dobrze napisanej, a niebawem przystępuje się do wykonania. Udział Kalba w całej sprawie, jego rywalizacja z jakimś Bokiem, jego opowiadanie o zgu-

bionej podwiązce księżniczki Amalii (dziwny jakiś dwór, gdzie zgubiona podwiązka staje się przedmiotem poszukiwań wszystkich obecnych i oddaje się z pompą księżniczce, która ją zgubiła, zamiast być pokrytą mileżeniem i niepostrzeżoną — strasznie jakiś mało-miasteczkowy dwór i dziko naiwni dworacy?) — to epizod komiczny tej czarnej sprawy, a Kalb zawsze zabawny. Tragedya rozpocznie się zaraz. Scena, w której Luiza przeczuwając nieszczęście dla obojga, mówi Ferdynandowi, że wyrzec się go uważa za swój obowiązek i jest gotowa, jest piętą Achilleśa, najslabszem ogniwem w dramacie. Bo gdyby Ferdynand zamiast podejrywać ją i gniewać się bez najmniejszego powodu, chciał był wyrozumieć myśl biednej dziewczyny, to cała kabała Wurma nie byłaby się zdała na nic. Ferdynand w tej scenie nie jest ani tak bardzo szlachetny, ani zwłaszcza mądry. Ale gdyby był innym, nie byłoby smutnej katastrofy. Ta oczywiście traci na tem wiele, że byłaby łatwo dała się uniknąć, i że chcąc do niej dojść, autor musiał rzucić w duszę bohatera jakieś uczucia niekonieczne i niesprawiedliwione. Za to wielka scena Luizy z Wurmem, scena, która na niemieckich teatrach do łez porusza widzów i nigdy efektu swego nie chybi, kiedy nieszczęśliwa dziewczyna dowiaduje się o uwię; zieniu rodziców, kiedy myśli że chodzi o ich życie, kiedy dla ich ocalenia nietylko wyrzeka się swego szczęścia, al; godzi się splamić swoją cześć przed człowiekiem którego kocha, i kiedy pod dyktowaniem Wurma zimnego i podłego a jadowitego jak płaz, pisze ów mniemany list do Kalba kiedy wreszcie na sakrament przysięga że tej intrygi nikomu nie wyda, to jest jedna z tortur moralnych naciągniętych do ostateczności, ale nie nadarmo. To działa i wrażenie robi. Biedna Luiza: ona może mieć swoje słabe strony jako poetyczna figura, ale jest taka nieszczęśliwa, tak się jej żałuje, że się ją lubić musi, a współczucie, uczucie ludzkie tryume fuje nad estetycznem i zagusza te drobne restrykcyę, z jakimi się tamto odzywa.

Dlaczego Ferdynand (akt IV) który list znalazł, uwie-rzył i w rozpacz i wściekłości swojej wzywał Kalba na pojedynkę, (Kalb znowu w swoim strachu bardzo dobry i zabawny) — dlaczego Ferdynand nie zważa na to że tamten

przysięga że Luizy nigdy nie widział; dlaczego nie odkrywa zdrady, którą mu napół odkryto? Znowu dlatego, że inaczej nie byłoby katastrofy; ale to znowu błąd w pomyśle i w układzie sztuki. Prezydent jest ohydny, kiedy za radą Wurma udaje słodkiego i urąga synowi zezwoleniem na jego małżeństwo z Luizą, a syn, tą mniemaną dobrocią ojca, w którą wierzy, udręczony doreszty, nad mniemanym rywalem mścić się nie racząc, bo nie warto, postanawia zabić niewierną kochankę i siebie.

Resztę aktu zabiera Lady Milford. Że chciała Luizę widzieć, upokorzyć, wydrzeć jej Ferdynanda, to bardzo dobrze. Że Luiza zwyciężyła ją, że się nie uległa jej wściekłości i gróźb, że odepchnęła jej czułości jak jej ofiary, to także dobrze. I Luiza choć może za wiele i za wymownie w tej scenie mówi, choć wpada chwilami w teatralną godność i wielkość, wygląda w tej scenie weale nieźle. Tem gorzej za to wygląda Lady, która bardziej niż kiedykolwiek w swojej zazdrości czy w swojej dumie, w swoich ofiarach czy w swoich groźbach wygląda na pokojówkę lub wędrującą aktorkę, kiedy ta chce być majestatyczną i wielką. Ale od tej sceny gorszy jest koniec jej roli. Luiza odeszła, odstupując Ferdynanda, którego już się wyrzekła, samobójstwo jedno może ją wyprowadzić z nieszczęścia i postanowiła je. Lady została sama, z Bogiem i myślami. Z tych myśli pierwsza była, że jej godność i duma nie pozwala jej przyjmować tego, co jej druga ustępuje i zostawia. Ale ta sama duma prowadzi ją jak pomost do heroizmu i cnoty: „Emilia Milford może być zawstydzoną ale nie poniżoną,“ i pokaże że nie jest od Luizy gorszą. Lady się poświęca. Jeżeli ona zniknie, Ferdynand będzie wolnym i może zaślubić Luizę. A więc usunąć tę przeszkodę: „*In deine Arme werf' ich mich Tugend.*“ Postanowienie wzięte. Lady pisze do księcia list z doniesieniem że wyjeżdża (scena, w której Kalb krąży około piszącej a potem z osłupieniem czyta list, który w dodatku ma księciu oddać „*zu höchst eigenen Händen*“ jest dobra przez to, że Kalb jest komiczny), poczem Lady wszystko co ma gotówki i kosztowności oddaje swojej służbie, a sama, uboższa od nich wszystkich, idzie pokutować do Loretu.

Tej scenie trzeba zarzucić dwie rzeczy. Naprzód tę, że na kobietę, która tylko co powzięła rozpaczliwe a heroiczne postanowienie, Lady jest za sarkastyczna, za pogardliwa, zanadto się bawi i cieszy zakłopotaniem Kalba i zmartwie- niem księcia, widzi komiczną stronę rzeczy, cieszy się figlem jaki zrobiła. Tak rozmawiałaby z Kalbem pierwsza lepsza brukowa Aspazya: ale pani Montespau kiedy wyjeżdżała z Wersalu, mówiła poważniej i miała godność prawdziwą. A druga uwaga, że skoro Lady się nawraca i poświęca dla Ferdynanda i Luizy, to miałyby coś daleko lepszego, naglej- szego i cnotliwszego do roboty jak wybierać się do Loretu, to jest zamiast pisać do księcia list pożegnalny, wybrać się do niego, opowiedzieć mu historycę Millera i jego córki, i użyć swego wpływu na to, żeby ich od prześladowania wybawić. Taki akt sprawiedliwości i miłosierdzia, taki ratunek giną- cych, jest popędem tak naturalnym i koniecznym, że nawet kobieta zawiedziona w miłości, namiętna i zazdrosna, zrobi- łaby to skoro wie, co jej Luiza powiedziała wyraźnie, że idzie o życie ludzkie. Tembardziej kobieta nawrócona i rzuca- jąca się w objęcia cnoty. Tylko znowu, gdyby Lady Milford była zrobiła tę rzecz wskazaną, znowu nie byłoby katastrofy. A w tem jest zaraz wskazówka i dowód, że co innego poetyczna fikcyja, a co innego rzeczywistość i życie; że to, jak nie jest tak słodkiem i pogodnem jak je wystawiają sie- lanki, tak znowu nie jest tak czarnem i złem, jak się wy- daje w tych powieściach i dramatach, w których dowolnie przez autora wymyślony łańcuch przyczyn i skutków oskarża społeczeństwo wymownie ale nie zawsze sprawiedliwie, o nie- szczęście lub o zły czyn i winę człowieka.

Pierwsza scena piątego aktu jest śliczna. W najgłę- szym kącie ciemnego pokoju siedzi Luiza. Po ciemku, czy żeby się z ciemnością grobu oswoić, czy żeby się nie rozrzewniać widokiem tego co ma porzucić, czy poprostu że nie ma myśli i na nic nie zważa. Wehodzi ojciec. Wypuszczony z więzie- nia nie zastał jej w domu, nie znalazł nigdzie, nigdzie się o nią nie dopytał: może zginęła, może się co straszego stało, a tu noc; w nocy nie dowie się więcej, musi czekać. „*Geduld. Warte ab bis es Morgen wird. Vielleicht kommt* „*deine Einzige dann an's Ufer geschwommen.*“ Ten straszli-

wy niepokój o swoją jedyną, to spokojne przystanie na cierpliwość i na czekanie, jest rozdzierające jak i ta skarga. „*Ich will nicht murren mein Gott, aber es ist hart.*“ Wtedy odzywa się ze swego kąta Luiza i pomalu ale stanowczo, bez roztkliwień i pożałowania, przygotowuje go na to co postanowiła, na swoją śmierć. To co on jej mówi, jest przepyszne. Jest w nim ojciec chrześcijanin, który przede wszystkim myśli o duszy swego dziecka, o jego zbawieniu lub wiecznej zgubie; jest ojciec, który także ma prawo do miłości dziecka i do tego prawa się odwołuje, nie daje sobie odbierać tego jedynego szczęścia, jakie ma; jest związek dwóch dusz, które się kochają i żyją w nadziei, że przez całą wieczność będą razem, a jeżeli Luiza umrze w zbrodni, to czy się tam na tamtym świecie spotkają? Jest po ostatniej rozpacz, po groźbie przekleństwa złamanie zupełne, opuszczenie rąk, kiedy jej mówi: „jeżeli pocałunki kochanka „pała cię bardziej niż lzy ojca, to sobie umieraj,“ — a jest we wszystkim, przy bardzo wielkiej powadze i patetyczności zawsze prostota cokolwiek rubaszna starego muzykanta. Luiza ustępuje, odstępkuje swego zamiaru, a nie poświęca mało. Ona po swojej przysiędze, dopóki żyje nie może odkryć prawdy przed Ferdynandem: mogłaby się oczyścić tylko po śmierci, tym listem, który do niego napisała. Kiedy list zdziera a wyrzeka się samobójstwa, poświęca ojcu to jedno, o co jeszcze stać może, oczyszczenie swojej czci i swojej wiary przed kochankiem. Szkoda wielka, że dramat nie kończy się na tej scenie. Byłoby rozwiązanie intrygi bardzo wzniosłe i z bardzo szlachetnem, podnoszącem wrażeniem, Uczciwość i cnota nie zwyciężająca wprawdzie zdrady i zbrodni, ale wychodząca z jej sidła cała i nienaruszona, wzniesiona nad siebie samą, zwyciężająca własną rozpacz. Miller i Luiza opuszczający to miasto i ten kraj jak Lot Sodomę, szliby nieszczęśliwi ale przez aniołów prowadzeni i otoczeni wielką jasnością cnoty. A dla czytelnika wspaniałe, dla Luizy takie rozwiązanie także nie byłoby tak okropnem i srogiem, jej nieszczęście znalazłoby z czasem ukojenie i pociechę w tem poświęceniu właśnie, jakie zrobiła dla ojca, w tem zwycięstwie, jakie odniosła nad złą myślą. W nawiasie trzeba zrobić uwagę, że bardzo szczęśliwie matka w piątym akcie

nie ukazuje się już wcale; wśród tego nieszczęścia i tej powagi fałszywa nuta jej głupoty i plaskości byłaby zbyt rażąca, a głupota i plaskość trudno dałyby się pogodzić z uczuciem i nieszczęściem matki. Z wrażeniem poważnem i przejmującym, jakie robi zawsze w życiu, a więc i w sztuce robić powinna, matka która traci dziecko, choćby była najgłupszą i najlichszą istotą na świecie.

Ale sztuka nie kończy się na tej pięknej scenie. Przychodzi Ferdynand. Dla Luizy udrczenie straszne, bo na jego pytania i wyrzuty nie może odpowiedzieć ani słowa, ma usta zamknięte przysięgą: a prócz tego boi się go, boi się wyrzutów, przeczuwa coś gorszego. Ferdynand, kiedy rozpacza, i prosi i znieważa i truje, jest w swojej roli, ale robi jedną rzecz tak wstrętą, że dziwić się trzeba, że się na nią szlachetne uczucie Schillera nie wzdygło. Gdyby mając umrzeć był napisał w testamencie: „pamiętajcie o starym Millerze, którego córkę zabiłem, nie dajcie mu umrzeć w nędzy, niech mu choć to nieszczęście będzie darowanym,” — byłoby w tem uczucie ludzkie i nawet może szlachetne. Ale przyjsć do człowieka, którego jedyne dziecko, cały jego świat, całe jego szczęście, ma się za chwilę zabić, przynosić pod pozorem należytości za lekcye muzyki więcej pieniędzy, niż przez resztę swego życia wydać potrafi, uradować go tym majątkiem — bo biedny ubogi starzec, który nigdy w życiu tyle złota nie widział, cieszy się niem dobrodusznie dla siebie i dla córki, — ta zapłata krwi, ta z góry dana indemnizacya za śmierć dziecka a dobrze naprzód rozważona i postanowiona, to jest oburzające i brzydkie. Ferdynand tymczasem nie czuje i nie rozumie tego okrucieństwa; zdaje mu się, że robi coś szlachetnego. Czyli, Ferdynand delikatnego uczucia, prawdziwie szlachetnego serca nie ma. Nie można pojąć, a tem mniej wytłómaczyć, jakim sposobem Schiller mógł kazać tak postąpić człowiekowi, w którego dobre serce i szlachetną naturę sam wierzy i nam wierzyć każe.

W ostatniej scenie, w scenie otrucia, Ferdynand jest dość nieznaczący i oklepany jak w całej sztuce zresztą, ale Luiza jest sobie wierną do ostatka. W początku sceny zwłaszcza, kiedy ją dręczy ciężki przymus jego obecności,

kiedy ze skamieniałym spokojem rozpaczy próbuje z nim mówić o rzeczach obojętnych, kiedy ma tyle mocy duszy a zarazem tyle smutku, Luiza robi wielkie wrażenie i budzi wielkie współczucie. Wkońcu znowu, kiedy już wie że wypila truciznę, myśl o rodzicach, o nieszczęśliwym ojeu, instynktowy żal za życiem a strach śmierci, to wszystko rysy prawdziwe a wzruszające jej natury trzeźwej i normalnej. Sztucznej romansowej exaltacji nie ma ona w śmierci, jak jej nie miała w życiu: a kończy pięknie, kiedy ostatniem słowem przypomina, że Zbawiciel przebaczył swoim zabójcom i ona swoim przebacza.

Ostatnia scena słaba. Miller pada tylko z krzykiem na ciało córki a potem wybiega jak szalony (prawda że cóż innego mógł mówić i robić); Ferdynand przeklina ojca, któremu przecież w ostatniem tchnieniu podaje rękę na znak przebaczenia. Ale Ferdynand nie ma prawa mówić Millerowi, że ojciec tylko a nie on winien jest śmierci Luizy: ojciec jej nie truł ani truć nie kazał; to już była jego własna wola i wina. Prezydent znowu zrzuca tę winę na Wurma, który wściekły, albo tym widokiem doprowadzony do jakiejś zapamiętałej rozpaczy, obiecuje odkryć straszne zbrodnie i cieszy się, że ze swoim pryncypałem razem pójdzie na rusztowanie. Prezydent oddaje się najspokojniej sądowym pacholkom, którzy go biorą niewiedzieć dlaczego, bo przecież groźba Wurma nie jest powodem do uwięzienia człowieka, na którego żadnej skargi dotąd niema. W ogóle ta skrucha i nawrócenie Prezydenta, który zmiękł i tak odrazu zmienił swoją naturę, to jest trochę nagle i niespodziewane. Zdaje się, że śmierć syna tak go wstrząsała do głębi, że po niej już mu wszystko obojętne, choćby śmierć na rusztowaniu. Ale jeżeli śmierć syna miała taką zmianę w nim wywołać, to należało pierwej pokazać, że on tego syna kocha, że cokolwiek kochać jest zdolny. Całe to zakończenie jest na to tylko, iżby sprawiedliwości poetycznej stało się zadosyć, a Prezydent i Wurm żeby odnieśli karę za swoją kabałę.

Jest wiele złego, wiele błędów w tym dramacie z miezczańskiego życia, jest w samym jego założeniu przesada. Nie jest on ani prawdziwym, ani artystycznie dobrym obra-

zem życia. Niedziw też, że go ludzie nie bardzo lubią. Ale ma w niektórych swoich postaciach tyle życia, tyle prawdy i uczucia, w niektórych scenach tyle dramatyczności, ile ich nie miał może *Fiesco* ani *Zbójcy*, choć cieszą się większą u ludzi wziętością i sławą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

St. Tarnowski.

ARKADIANA.

Z papierów ostatniej wojewodziny wileńskiej
Heleny z Przędzieckich ks. Radziwiłłowej.

(Przyczynek do historyi obyczajów i życia towarzyskiego w Polsce).

Pisał

M. R.

(Ciąg dalszy.)

II.

Młodość ks. Izabelli i ks. Heleny. — Charakter, zdolności, wdzięk Kasztelanowej. — Jej szczęście do ludzi. — Wzrost „familijki.“ — Pan Mathis i pani Duhoux. — Cztery portrety księżnej; ich porównanie. — Arcydzieło Grassiego. — Smutny świat warszawski i rodząca się u księżnej niechęć do ludzi. — Rozprawa pisana o sztuce. — Teorya księżnej o raptowności wrażeń i o ich kontraście, o doskonaleniu się w pięknie. — Pierwsze prace około Arkadyi. — Rządca Siatecki. — Projekt świątyni Minerwy. — Droga prowadząca do mądrości. — Ittar. — Opis Arkadyi przez hr. Tarnowską, przetłómaczony przez p. Tańską. — Norblin i jego uczniowie, Płoński i Orłowski. — „Świtu podwoje“ i zachwyty Niemcewicza. — Świątynia harmonii i jej organy. — Przybytek przyjaźni z widokami Powązek. — Klucz brylantowy otwierający świątynię. — Zdanie o księżnej.

Elżbieta Flemingówna (owa późniejsza ks. Izabella Czar-toryska, o którejśmy już wspominali) urodzona 3 marca 1745 r. zaledwo siedemnastą rozpoczynała wiosnę, kiedy ją za ks. Adama wydano. „Powstawała, mówi Zaleski, z niebezpiecznej

choroby, którą jej życie było zagrożone, i nosiła jeszcze na twarzy wyraźne ślady tylko-co przebytej ospy. Rodzona siostra ks. Jenerała, Elżbieta, później Marszałkowa koronna Lubomirska, patrząc na plamy czerwone pokrywające jej licę i na perukę, jaką musiano okrywać ogoloną z włosów jej głowę, zalewała się łzami i mdlała z rozpacz, że ukochanemu jej bratu dostawała się tak niepiękna żona. — A jednak gdy księżna wróciła do zdrowia, o jej wdziękach mówiono dużo na świecie, nawet publiczne pisma wyrażały się o niej, „że była licznym gminem powabów ciała ozdobioną.“ — Dziwnem zrządzeniem losów, młodość i piękność ks. Kasztelanowej Wileńskiej, tezsame prawie przechodziła koleje. Opisuje w jednym z listów, iż w panieńskim wieku cierpiała na chroniczną różę w głowie. Przykładano jej ustawicznie do rozognionej a palącej twarzy rozcieńczony bleiwas na plasterkach z błękitnego papieru, — gdyż niewiadomo, dla czego zdaniem owoczesnej medycyny, papier musiał być bezwarunkowo błękitnym, — i tak chorując w Siedlcach u wujenki — bo również jak Elżbieta Flemingówna oddawna matki nie miała, na łasce obcych przepędzał dotkliwą młodość ten nieszczęśliwy kopciuszek.

A niemniej w lat kilka potem Księżna Kasztelanowa jaśnieję całym rozkwitem młodzieńczego wdzięku. W tym zalotnym czasie, w którym tyle znaczy powab kobiecy, a tyle słynnych piękności liczy stolica, ku niej się wszystkie zwracają hołdy! wynoszą także aż pod niebiosy jej dowcip i rozmowę. Dziwią się cudzoziemcy mówiącej tak płynnie językiem Tassa, Klopstocka, Milтона, niejedna bowiem z dam polskich nawet francuzkim nie wlała. — Współczesne listy, w tym mitologicznym pisane stylu, z którego nieraz tyle wieje kadzidla bogów, iż trudno dojść prawdy przez gęsty obłok pochwały, — teraz ze szczerem zachwytem mówią o „polskiej bogini.“ — „Bogini moja!“ pisuje do Kasztelanowej tażsama Izabella Czartoryska, „moja królowo!“ wykrzykuje pani Sewerynowa Potocka. — Dla innych jest księżna Minerwa, Armidą lub wróżką. — A ileżto jeszcze w ówczesnych listach wzmianek poclebnych dla Kasztelanowej — o tej cudnej ręce, „que Battony est seul digne de peindre“, jak pisał hr. Podewils konsul angielski w Warszawie, —

o giętkości jej ruchów i wdzięku, z jakim tańczyła, o jej pięknym głosie kontraltowym...

Musiała być w rzeczy samej pełna wdzięku i powabu ta, która wesolością, uprzejmością i rozumem przodowała wszystkim, która nie przykładając ręki do intryg, należała więcej do rodziny swojej wujenki Ogińskiej, niż do jej obozu. Nie było bez księżnej zebrania albo zabawy — stawała się zwłaszcza niezbędną, gdy wybitniejszym wędrownym gościom stolicy cheiano jej świat ponętniej przedstawić. — Na niej to zwykle wzrok obcych spoczywał ¹⁾; wśród dworu, gdzie się przesuwały co chwila znakomitości artystyczne, filozofowie XVIIIgo stulecia, politycy tylu narodów, młoda Kasztelanowa oddychała we właściwym sobie żywiole. Artystka z urodzenia, filozofka z usposobienia, poetka także chwilami, każdego umiała pojąć i do każdego przemówić. Udarowana wreszcie ogromnem szczęściem do ludzi, wymową, wyborem słów malowniczych i płynnych, oryginalnością myśli, fantazyą poglądów, przyciągała wszystkich, a udzielająca się i ruchliwa jej weselość, ten śmiech jej tak zaraźliwy, iż dosyć było o nim pomyśleć, aby się śmiać później samemu, tworzyły jej dwór liczny wielbicieli i przyjaciół ²⁾. Księżna Marya Württembergaska, starsza córka księżnej Czartoryskiej, napisała o wojewodzinie wileńskiej, że „słodyczą charakteru, urodą, niepospolitą ujmującą wesolością i gustem pełnym wdzięku, słygnęła między paniami polskimi, w mnóstwie równieczek hojnie temiż obdarzonych darami, szczególniejsię odznaczając. Gust jej pełen wdzięku, błyszczącą wyobraźnią zrodzony, karmiony starożytności wzorami, zwrot czarujący jej myślom i wszelkim działaniom dodawał.“ — Więc lgnął też do księżnej skwapliwie ów świat, którego była ozdobą

Ale świat bywa tyranem, ten zwłaszcza, co wielbi na kłęczkach. Myśl księżnej odbiegać nieraz musiała od zabaw stolicy: matka myślała o dzieciach. W 1775 r. 10 lipca, uro-

¹⁾ Będziemy mieli niejednokrotnie sposobność zacytowania w tem opowiadaniu zdanie osób przebywających chwilowo w Warszawie, których szczególną uwagę na siebie ściągnęła ks. Helena.

²⁾ Przytoczymy dalej portret księżnej, skreślony przez ks. de Ligne, który się długo rozwodzi nad tym śmiechem zaraźliwym.

dził się był syn drugi, Antoni; w 1776 r. Krystyna. — W następnym Karol, zmarły niedługo potem. Michał, urodzony 24 września 1778 r., był już czwartym z rzędu synem. Następował jeszcze Walenty już rok liczący wieku, gdy przychodziła na świat w 1781 r. Aniela. Prawda, iż obok matki, miał oko nad tą młodzieżą pan Mathis, francuz, pełen gorliwości i przychylności dla domu książąt, i niemniej sumienna od niego guwernantka, także francuzka, pani Duhoux d’Affnicourt. Ona to, gdy księżnę odrywała stolica od dzieci, pisywała do niej niemal codzienny dziennik o czynnościach „familijki.“ — Listy jej uspakajały ks. Helenę, która zresztą w „Madam“ ufała, jak w drugą siebie, nieraz w najtrudniejszych okolicznościach dowodów jej przywiązania doznawszy. A niemniej dość było Kasztelanowej wnikać raz jeden w życiu w ten wir nieprzerwanych zabaw stolicy, aby się ucuć opanowaną, okutą w złote kajdany niewoli. Bo świat zazdrośny o swych ulubieńców, z nimi najchętniej uciechy podziela! — Oto do Warszawy przybywa tenor, jakich nie słyszano. Gdzież jest Kasztelanowa? przy dzieciach!! cóż matce do dzieci, które mają Madam... Księżnej miejsce tu, w stolicy! — Tak orzekał ów konsul, wielbiciel księżnej, — więc, dyplomata angielski, użyty w tak ważnej sprawie, dźrzy pióro. „Le Signor Marchesini, la première voix de l’Europe est depuis peu de jours à Varsovie; — Monsieur le Nonce et plusieurs personnes se flattent de le faire chanter et ces mêmes personnes ont conclu unanimement qu’on ne jouirait qu’à demi du plaisir de l’entendre si vous ne le partagez. Quand j’ai élevé la voix pour dire que je me chargeais, charmante Princesse, de vous engager à venir incessamment ici, j’ai recueilli autant d’applaudissemens que si j’étais moi-même Marchesini.“ Czyż można odmówić czegoś konsulowi angielskiemu! — Księżna usłyszy tenora; lecz kiedy wielki śpiewak odjedzie, wolno jej chyba będzie odjechać także. — Bynajmniej. — Za grzech jej poczytują takie egoistyczne odosobnienie się na wsi! — gdzież światowa solidarność! — Tymrazem nie użyją dyplomaty, osoba więcej duchowna przemówi do księżnej sumienia, — l’abbé Dufresne w imieniu wszystkich kreśli te słowa: „Faut il donc aller vous „porter les vœux de tous les honnêtes gens de cette ville

„pour vous engager à revenir? arrivez donc, charmante
 „Princesse, rendez-vous aux vœux qui vous demandent —
 „il est encore dans cette Babylone des cœurs dignes de
 „vous apprécier, des êtres capables de vous entendre.“

Tę pełną uroku ks. Kasztelanową niejednen przedstawił nam pędzel. Malował ją Lampi, którego portrety tak są rozpowszechnione u nas, lecz obraz jego olejny, traktowany jak pastel, nieco za szaro przedstawił swój model. Bacciarellego Minerwa w królewskiej sali na Zamku warszawskim wyobraża głęboki rozum księżnej, więcej, niż ją samą. Wyprostowaną na swoim fotelu, hożą i piękną staruszkę; w czerwonej sukni i turbanie z piórem, którą w 1818 roku malował Gebauer, pamięta niejednen, a w tej sześćdziesięciosześcioletniej wojewodzinie wileńskiej, przy jej srebrnych, już nie pudrem lecz szronem wieku ubielonych włosach, podziwiamy jeszcze blask cery i owal twarzy dziewiczej. — Korzystniej od wszystkich księżnę Helenę wyobraża Grassi. Ów włoski malarz polskich piękności, on, co z rak ludu w czasie zaburzeń warszawskich omal nie zginął, bo „obcych“ malował ¹⁾, chyba się nie uczuł nigdy więcej natchnionym, jak kiedy wypracowywał portret ks. Kasztelanowej, tak powszechnie znany z ryciny Grölla. W tej twarzy smętnej i uśmiechniętej zarazem, w tej całej śnieżystej postaci, walczącej o lepsze z białością pudru, batystów i pereł, dostrzega się coś więcej, niż odcień zalotny ówczesnego świata. Jest ona zjawiskiem jakiejś łagodnej, a smutnej poezyi, prawdziwym wyobrażeniem Polki tych czasów, z uśmiechem na ustach, a tęsknotą w duszy ²⁾.

Smutnym był bowiem, co prawda, ten wesoly zgiełk stolicy. W tym wieku, w którym towarzyskie życie było nad wyraz ruchliwe, uganiał się każdy za pewnym rozgłosem. Excentryczność była rękojmnią popularności i sławy, a śród świata pobłażającego rozpuście, pod skrzydłem monarchy dającego przykład nadużyć, gorsząca fantazya nie znalazła granic. — Brat królewski, ex-podkomorzy, otaczał się całym

1) Za ledwo go przed ludem obronił osobiście Kościuszko; było to w 1793 r.

2) Oprócz obrazu Minerwy, te trzy portrety znajdują się w Nieborowie.

serajem; — sam król miał niezliczone kochanki, których głośnie imiona powtarzał kraj cały. Poniński w karty przegrywał miliony; — frymarezył Massalski dochody biskupie; — dawne proste życie zmieniano się w zdumiewający zbytek, który pożerał fortuny; — Rzewuski bieliznę do prania posyła aż do Paryża; — ostrzygi wiozą kuryery beczkami. Szczęsny Potocki sprowadza na tysiące łokei złotej lamy, aby damom bawiącym u niego w gościnie dostarczyć tkanin do „parfilowania“, nitki zaś przetapiane następnie na złoto, są owym damom nagrodą za.... ich zasięgi i laski. — Magnaci podróżują z niezliczonym dworem, nawet za granicą wyprawiając uczyty tym, u których bawią. „Widziałem dziedzica pierwszego litewskiego rodu, pisał Vautrin, zastawiającego w przeciągu lat dwóch dwanaście wsi — a Sanguszko, który ma wsi sześćdziesiąt, trzy ledwo zachował jeszcze nie w zastawie.“ Tężyzna zwłaszcza jest w modzie — wyzywanie „na rękę“ ma miejsce co chwila; generał Kozłowski pojedynkuje się z pisarzem Rzewuskim, ile razy się z nim spotka. Tężyźnie podlegają także kobiety. — Księżna Czartoryska bawi w Holandyi, tymczasem za dni cztery ma być w Warszawie reduta; więc siada w sanki, przebiega Europę, aby z uderzeniem północy z maską na twarzy szepnąć królowi na ucho słowo, co go zdumiewa, i w kwadrans potem niepoznana od nikogo, jest znowu w drodze do Holandyi. — Mąż jej, ksiązę Adam, na starem mieście bawi się w czarnoksiężnika: w piwnicy, na jedno wspomnienie której mdleją kobiety, wśród gromów i błyskawic piekielnych, słucha zwierzeń własnych kochanek.... podanie twierdzi, że się raz z żoną na owych schadzkach spotyka, — a jest to raz pierwszy od ślubu, odtąd zaś już nie ostatni. — Wiek ośmnasty jest wiekiem niezgody domowej. „Dla ich częstych rozwodów mówią o córkach ks. kanclerza litewskiego, że chyba całą Polskę poślubią.“ — Węzły małżeństwa są tylko igraszka, nie prawem, miłość jest prawem skoro jest igraszka — młodzian przybywający z Paryża, w peruce i żabotach, tańczący menueta, deklamujący Voltair'a, jest podziwiany od tłumu, przyjmowany po salonach — znajdzie łatwo niejedną, która go ubóstwiać gotowa, cóż dopiero, jeżeli Francuz rodem. Kawalera Maisonneuve księżna Marszałkowa wyposaży — a wo-

jewodzina Podolska wozic ze sobą będzie l'Abbé Renaud, który się chlubi z tego, że choć nosi księżą suknię, weale księdzem nie jest. — A wśród tego jaskrawego tłumu lekkomyślnych i oszolomionych, ileż to trędowatych niestety! Intryga, sprzedajność, ambicya nurtują serca. Wszystkie wady narodowe, wszystkie żądze wieku, rzadko gdzie poświęcenie i cnota — a nad tem wszystkim dziwny jakiś odcień obludy. Król zwodzi naród, naród zwodzi króla, a na tle czarnem wypadków krajowych, miota się bezwstydną prywata lub deklamujący patryotyzm proroków. Zbyt młodą była księżna, aby znieawidzieć to społeczeństwo odrazu, jeszcze goryczy do ludzi nie czuła; zresztą wiek, w którym się żyje, ma zaraźliwe i oślepiające wpływy na dusze. Jednakże chwilami odczuwała Kasztelanowa przesyt i niesmak Warszawy — wyrabiał się w niej powoli zmysł filozoficzny, który ją bronił samą przeciw sobie; działalność jej myśli rwała ją do innych celów, a obok szpetnej ludzkości, o ileż piękniejsza sztuka unosiła ją szlachetnemi porywy.

Leżał jeszcze głęboko pod ziemią wśród pól piaszczystych Arkadyi, ów kamień, który miał pierwszy stać się podwaliną słynnej świątyni Minerwy, czy Diany, kiedy już Kasztelanowa rozmyślała nad tem, jak dzieło uczynić pięknem. Zda się nam ją widzieć wysznurowaną, upudrowaną, z perłami i różami we fryzowanych wysoko włosach, kiedy przed owem wążkiem, niewygodnem biurkiem, nazwanem „bonheur du jour“ rozważa i pisze. Jakież to słowa kreśli jej drobna i śnieżna ręka w znanej już nam powierniczej księdze? „Rozprawę o sztuce.“

„Sztuka może być dwojaką — wzniosłą, lub uprzejmą „tylko“, a założycielka Arkadyi tej jednej holdować myśli. „Lecz na to, aby nadać powab sztuce, trzeba wzbudzić w wiodzu najróżnorodniejsze uczucia, trzeba mu dać przebiecz „wszystkie wrażenia podziwu, wesela, tęsknoty; pochwycać „niespodziewanie i kontrastowo myśl jego wciąż i wciąż nowym obrazem, aby jej nie dać spocząć na chwilę ¹⁾, osty-

¹⁾ Pani Walerya Tarnowska opisując swój pobyt w Arkadyi powiada, że księżna oprowadzając gości po ogrodzie, nie dawała im wiele czasu do namysłu. „Ne vous laissant pas

„gnać lub oprzytomnieć, dopóki się jej nakoniec nie opanuje „potęgą zachwyty.“ Tak rozumowała księżna o sposobach oczarowania przyszłych wielbicieli jej dzieła, o których zdanie troszczyła się naprzód. Rozbierała psychicznie i materialnie zarazem, przyczynę wrażeń, sposoby wywołania podziwu; stawiając na pierwszym miejscu obrazowość, stopniowanie, niespodzianość uczuć i kontrast. Ale jednocześnie sobie samej wskazywała drogę, jak w pięknym się nie pomylić, jak się doskonalić w sztuce.

„On a des maîtres pour apprendre à parler, à danser, „à chanter, on ne pense guère à apprendre à voir. Et pour- „tant, de combien de plaisir on se prive en négligeant cette „science! C'est avec les peintres qu'on peut l'acquérir. Par- „courez avec eux la nature, ils vous arrêtent à chaque pas „pour vous en faire observer les beautés. Ils portent la lu- „mière sur tout ce que vous voyez, ils vous font apercevoir „les dégradations de la perspective linéaire et aérienne, ils „vous dévoilent l'espace, ils vous font connaître la diversité „des tons et des couleurs, leur rapport et leur harmonie. „Sans ces connaissances on ne voit que le squelette de la na- „ture. Aussi les ignorants et les enfants veulent toucher à tout „ce qu'ils voyent et c'est au boût de leurs doigts que sont „leurs yeux. Pour l'homme qui sait voir tout est spectacle dans „la nature et le moindre objet détaillé devient pour lui une „source de réflexion. Donc pour bien sentir, il faut acquérir le „talent de bien voir.“

Obcowanie z artystami rozszerzy jej pogląd na sztukę, i będzie dla księżnej sposobem doskonalenia się w pięknie ¹⁾. Świat niczego nie nauczy, i wyrzywa się z pod jej pióra we-

le temps d'examiner longuement, elle vous devance, vous entraîne par le charme de la conversation, vous égare dans ses bosquets.“

¹⁾ Księżna, która nie lubiała pisać, utrzymywała długą korespondencyą z artystami, jak Norblin, pani Vigée-Lebrun i inni; otaczała się zawsze całą plejadą mistrzów włoskich, a skoro ukazało się jakie nowe dzieło o sztuce, kupowała je skwapliwie. W Arkadyi, w przybytku gotyckim, była przygotowana umyślnie dla przejezdnych kwatery, w której gościli, i płótna rozwieszono po murach, aby malowali.

soła i trafna zarazem krytyka tych światowych koryfeuszów sztuki.

„Le monde prétend jouir des charmes de la campagne, et cite l'air pur et la liberté, mais ne jouit jamais ni de l'un ni de l'autre. Au lieu de s'éviter pour aller rêver, on se recherche pour causer, il est difficile de les déterminer à promener, et il est toujours tard quand on sort. Alors les objets privés de lumière ayant moins d'éclat, ont aussi moins de charmes, et l'humidité des bois et des prairies ainsi que la persécution des insectes ramènent les promeneurs — voilà comment on jouit des charmes de la nature, c'est à dire qu'on n'y a pas seulement pensé. Si l'on prend quelquefois la résolution de voir le lieu qu'on visite, alors toute la compagnie se met en chemin — ils comptent les clochers et n'estiment la vue que par l'éloignement des objets qu'ils aperçoivent. La dégradation de ceux qui sont près d'eux avec ceux qui en sont les plus éloignés ne les interesse pas. Ils courent tous après la lunette d'approche pour avoir le plaisir de débrouiller ce qui est dans les vapeurs de l'air et se disputent sur les formes et sur les noms des objets.“

A jednak jakże wsi nie lubić, cóż piękaiejszego nad przyrodę? Nie jestże ona spoczynkiem skolatanym myślom i burzom serca? Długo się też księżna nad życiem wiejskiem rozwodzi.

Ta, której spieszno było pozostać kapłanką świątyń i kwiecistych gajów, usnuła prędko cały plan Arkadyi. Siatecki, rzadca w nieborowskim majątku, nie mało musiał być zdziwionym, kiedy mu księżna oświadczyła swą wolę. Wymowna, pełna życia Kasztelanowa, daremnie ruchem i głosem starała się przelać swój zapal w ciemnego, urodzajnej tylko i sianokosnej przyrody wielbiciela, który tym razem zwątpił był chyba, wbrew wszelkiej atencji, o zmysłach swej pryncypalki. Kiedy się w polu zaczynała praca, gdy przecież z Mysłakowa, majątku należącego wyłącznie do księżnej, dla potrzeb Nieborowa obracaną była pańszczyzna, kiedy „karystyja“ na pieniądź pənowała w kraju... spadał na Siateckiego obowiązek, przewiezienia natychmiast kilku tysięcy wykopać się mających lip, klonów, jesionów i dębów na miejsce, gdzie sosna zaledwo rosła! Miał je ogrodnik w ja-

kieś „kręcone“ pozasadzać klomby. Jakiś pan Ittar ¹⁾, architekt z Warszawy, jeden „z tych djablów florenckich“, miał wkrótce zjechać na miejsce. Trzeba tu było dla tego panicza pozwozić z pola co tylko znajdziesz największych głazów i brył kamienia, i gdzie? nad rzekę Skierniewkę, „o sile chyba wszystkich nieborowskich wolów, które daj Boże, aby ten ciężar z trzęsawisk wyciągły!“ A księżna tymczasem, zdaleka jak z bliska zagrzewa do dzieła, i nieraz Siatecki odebrał nagane za opieszalność w robotach. Przytem trzeba mu ciągle posyłać raporta o postępach w pracy; uczy go księżna, jak się trudnościami opierać, jak radzić owej „karysty“, która nieszczęśliwemu rządcy nieraz spać nie daje. Okazuje się nawet z tych listów, że wróżka nasza jest także gospodynią nie lada, uniejąca ocenić prawdziwą wartość majątkowych dochodów i sił miejscowych, które do swoich celów używa. „Dobrzeby to było raz jeszcze wysłać za dobrej drogi nasze folwarczne, może też i ksiązę dopomoże, czego niezdolamy; prowent niech się dobrze opatrzy na letnie fabryki, żebym ile możności na Nieborowie nie ciężyla, któremu kłaniam uniżenie“; a kiedy Nieborów nie przyszedł mu w pomoc, a rządcą tłómacząc się zimą, pisze, że rozkazów spełnić nie potrafił, księżna mu na to:

„Nie będziem się skarżyć na zimę, ale na komisarza, że drugi raz nie posłał po kamienie za dobrej drogi, jak miał dobrą intencję i radę przezemnie daną, na Nieborów się nie spuszczać. Żałuję, że z Myslakowa nawet mam tak mało pomocy, nie mogę się dopytać, co jest w prowencie, w co się pańszczyzna obraca. Proszę mnie uwiadomić i nie zapominać więcej o gospodyni Myslakowskiej i pani Arkadyjskiej, o której Nieborów, jak widzę, już wcale nie myśli!“

Biedny Siatecki! A jednak już wiele dokazał. Arkadya upiększa się z dniem każdym, na zielonych jej trawnikach wznoszą się zewsząd marmurowe pomniki. Skierniewka, ujęta w regularniejsze i głębsze koryto, tworzy kaskadę, nad którą się wznosi rzymski wodociąg. Wielka grecka arkada w ruinie,

¹⁾ Ittar, budowniczy, Włoch rodem, znany za Stanisława Augusta. Zostawił syna, który także wiele budował w Polsce.

w półkolu której dostrzega się w dali Nieborowskie wieżyce, służy już za mieszkanie dozorey ogrodu. Arkadya staje się dla zostających na wsi dzieci, zwykłym celem ich przejażdżki. Dojeżdżają do niej okrągłą żółtą staroświecką laudarą, a młody Ludwiś, lat już ośm liczący, 31 października 1781 r. pisze do matki w tych słowach: „W niedzielę my byli w Arkadyi karetą i bardzo się nam podobało wszystko, a najbardziej kaskada. We wtorek byli my u kamienia z wizytą, tego co go koniuszy Wołkiewicz wywindował na legary.“ Był to olbrzymi kamień, o którym ks. Kasztelanowa w innym liście Siateckiemu wspomina, leżący wśród pól myslakowskich, a do dźwignienia którego trzeba było osobną żelazną budować windę. Dziś wsparty na dwóch skalistych ścianach Arkadyjskiej pustelni, służy jej za strop olbrzymi. — Pan Ittar także nie zaniedbał dzieła. Rysowany na współkę z księżną, która każdy szczegół budowy obmyśliwała z artystą, projekt świątyni dochodzi do skutku. Jest to przybytek Minerwy. Kwadratowy we środku, na zewnątrz okrągły, z kolumnadą jońską u wejścia i wyjścia, z posągami we wnękach, z szerokim tarasem, prowadzącym schodami do brzegów pięknego jeziora, nosi on na podwójnym swoim frontonie, dwa włoskie napisy: „M'involo d'altrui per ristorar me stessa“ („Uciekam od ludzi, by odnaleźć siebie“). „Dove pace trovai dogni mia guerra“ („Tu odnalazłam pokój po żywota wojnach“). Droga prowadząca do tego przybytku mądrości, jest ciemną, zarosniętą, dzikie głogi ścielą się po ścieżce; złamana arkada stoi wśród tej drogi, to obraz złamanego życia; rozbite i rozsypane odłamki, które cieżką oplata koleczastemi lodygi, wyobrażają złudne rozczarowania, rozwiane nadzieje człowieka. Ale na końcu tej ciernistej ścieżki jest mądrość i doświadczenie, ta mądrość mówi: „uciekaj od ludzi, by odnaleźć siebie,“ i jakieś przyśzedł przykrym i ciemnym manowcem do zdobycia tej wielkiej prawdy, tej jedynej mądrości, co cię w znękanu uleczyć potrafi, po drugiej stronie tejże świątyni widzisz nagle spokojne, przejrzyste szyby srebrnego jeziora, w którym poetyczne wierzby zanurzają złote warkoczki, oświecone blaskiem słońca. Wierną zatem była ks. Kasztelanowa owej teorii piękna, którą zastosowywała do sztuki. Kontrast przyrody i kontrast

uczucie, przy nagłej zmianie niespodzianych wrażeń ¹⁾, odziany w myśl wyższą, w której się filozofia łączy z poezją: oto pierwszy objaw tej twórczej myśli ks. Heleny.

Świątynię Minerwy, czy Dyany, czy Salomona, jak ją różnie później nazywano, opisały dwie kobiety. W wiele lat później, bo w 1811 roku, zwiedzała Arkadyę, Walerya z hr. Stroynowskich hrabina Tarnowska ²⁾. Była to dama wielkiego świata, jak one wszystkie w tym czasie władająca dowcipem i piórem. Opis Arkadyi skreślony jej ręką, znajduje się w pamiętniku, przez rodzinę Tarnowskich posiadanym, a dla nas i dla literatury tę ważną i osobiwą przedstawia stronę, iż o wiele głośniejsza z pism swoich, Klementyna z Tańskich Hoffmannowa, opiewając we dwadzieścia pięć lat po hr. Waleryi tężsamą Arkadyę, z francuskiego jej pamiętnika zdaje się dosłownie tłómaczyć to, co nam za swoje wrażenia podaje.

Zaczyna się opis świątyni naprzód nazewnątrz, potem od środka; następnie obie autorki tąsamą koleją przedstawiają nam różne sale przybytku. Przeciwwstawić sobie można każdy niemal peryod opisu.

„La première pièce est un petit vestibule orné simplement en stuc blanc. Au milieu est placé un vase en vert de Corse porté par un très beau pied antique en albâtre oriental fleuri“. — „Wchodzi się naprzód do okrągłego przy-sionka, miłość we framudze będąca, ma go oświecać swoją pochodnią. W środku na pięknej z alabastru wschodniego postawie, stoi umywalnia z kamienia „Vert de Corse“ zwanego.“

„De la on entre dans un cabinet d'étude ou petit musée ou sont peintes en fresque toutes sortes d'antiquités curieuses

¹⁾ Niemcewicz mówi: „przybywa się do tego przybytku ciemnym gajem i przezto struktura wspaniałego gmachu „niespodzianie“ stawiająca się przed oczyma, tem przyjemniej zadziwia.“ Oto więc nowy dowód teoryi kontrastu, którą księżna stosowała do sztuki.

²⁾ Jan Feliks hr. Tarnowski, Senator - Kasztelan Król. Pol., znany autor (nr. 1779 † 1842).

Jego żona: Walerya hr. Stroynowska (ur. 1782 † 1849).

Jan Jacek Tarnowski, starosta kahorlicki i bychowski († 1807).

Rozalia Czacka, podczaszanka w. kor.

Waleryan hr. Stroynowski, Aleksandra Tarnowska podk. Lucki, senator ros. 1-voto Jelowicka († 1834).

„comme vases étrusques, camées, fragments d'inscriptions, bas-reliefs etc.“ — „Dalej jest jakby naukowy gabinet, albo male muzeum, bo na ścianach jego zbiór malowany pomników starożytności w etruskach, lampach zajmuje ciekawca...“

„Toutes les jouissances de l'esprit sont là à votre portée; une bibliothèque choisie, vous offre le charme de la lecture, un orgue délicieux celui de l'harmonie...“ „W tym pokoiku znajdziesz to wszystko, co umysł mile zając i rozweselić w samotności może, dobrana biblioteka, bióro, ogromne organy... Kominek, na którym cudnej piękności Kleopatra z alabastru białego“.

„Votre coeur trop plein demande-t'il a s'épancher, vous trouvez papier, plumes, écritoire sur ce secrétaire soutenu par deux lyres inspiratrices et éclairées par un bas-relief en albâtre représentant un génie ailé. Ce joli transparent réfléchit sur le bureau tout juste:

. „ce demi jour,

„Qui propice au génie l'est aussi à l'amour.“

„de sorte que c'est là qu'on voudrait écrire de beaux vers ou des lettres tendres. Dans ce cabinet est un charmant petit réduit, qualifié de purificateur et consacré au dieu du silence. L'on ne questionne point aux pieds de sa jolie statue. Ainsi point de pourquoi ni de comment... et ne me demandez pas plus que je ne puis vous dire. Là, coule une fontaine d'eau de senteur, là brûlent les parfums d'Arabie. De là, l'initié lavé d'eau de rose, parfumé d'enceus, enfin purifié est introduit dans le temple ou salon soit disant tel.“

„Obok jest śliczne schronienie jakby łaźnia maleńka; masz wielką ochotę zapytać się o wytłómaczenie tego, co widziała? ale bożek milczenia bardzo trafnie tam postawiony, paluszkami na ustach wszelkie zapytanie ucina. Wechodzisz więc do samej świątyni“.

Tu się dwóch autorek opisy zlewają już w jeden — Hoffmanowa dosłownie tłómaczy — hrabina zaś mówi: „C'est un beau salon carré, en stuc blanc, orné de colonnes d'ordre corinthien imitant le jaune antique, la route peinte en fresques par Norblin, représente l'Aurore conduisant le char du Soleil.“

Jan Piotr Norblin de la Gourdain, rodem z Burgundyi,

był uczniem Jana Casanowy. Sprowadzony do Warszawy kosztem księcia Generała Ziem Podolskich, uczył młodych Czartoryskich rysunku, gdy go laska królewska na wyższe powołała stanowisko, nadwornego malarza. Udała się była do jego zasłużonego pendzla ks. Kasztelanowa, aby jej odmalował na sklepieniu arkadyjskiej świątyni, Aurore, otwierającą świtu podwoje. Dziwnie pięknymi i pełnymi życia są cztery rumaki Apollina, które Jutrzenka prowadzi w rękę przez chmury. Plaszczy pięknej i jasnej bogini wzdyma się dotąd ponad obłoki na świątyni niebie. Ale jakże długo wedle życzeń ks. Heleny nie wschodziło upragnione słońce. Malarz zajmowany nieustannie w pałacyku księżnej Czartoryskiej, na Powązkach, odpisuje na wymówki Kasztelanowej: „Votre Altesse me fait devenir comme Titan. Jour et nuit „je ne pense qu'à l'Aurore et malgré cela elle n'a pas „d'amant plus négligeant. Mais excusez, ce sont mes affaires „qui sont cause de cela et encore je voudrais que l'esquisse „fût faite, que vous l'ayez vue et savoir si elle peut vous „convenir. Au 1-er Septembre je serai à l'Arcadie, avec cela „encore que je suis fort occupé à Powązki“; lecz kiedy nawet przystępuje do dzieła, wstrzymanym się czuje trudnościami kompozycyi, a do samej księżnej powraca po radę. „Cette écharpe m'embarrasse furieusement. J'aurais voulu que „votre Altesse se décide la dessus car ce grand jugement que „vous me supposez est fort peu de chose.“ Nie mówiliśmy dotąd, iż księżna rysowała sama, miała nawet prawdziwy dar kompozycyi; jeden z ówczesnych malarzy pisał wtedy do niej: „Votre imagination est noble et élevée, le choix de „vos attitudes est surprenant, vous dessinez avec agrément „et facilité, vous mêlez à votre trait une douceur qui fait „paraître vos dessins d'un caractère singulier, et par la savante „distribution des lumières et des ombres vous avez le secret „de donner beaucoup de force et de relief à vos figures.“

Nie zatem dziwnego, iż sam Norblin mógł być szczerym, udając się do księżnej po radę. Mistrz, który zostawił Polsce takich uczniów jak Płoński, Orłowski i Rustem „co malował z gustem,“ wywiązuje się z zadania tak świetnie, iż orzec można, że kraj nasz nie posiada obrazu Norblina nad sufit al-fresco świątyni Minerwy.

Tradycya mówi (istnieje zresztą ten szczegół w Słowniku malarzy polskich bar. Rastawieckiego), iż zjeżdżający na lato do Arkadyi Norblin, przywoził ze sobą owych trzech dopiero wspomnianych uczni, coby dodawało jeszcze artystycznej pracy jego wartość pamiątkową. Dziwne to zrządzenie losu! Płoński i Orłowski, jeden rozcierający farby Norblinowi, drugi podkładający tła jego Jutrzenki; jeden szczupły, nikły, milezący, ponury, mający w samej wiosnie życia zakończyć w domu obłąkanych; drugi o rosłych i baczystych kształtach, wesoly, rumiany a któremu chwała i pieniądz towarzyszyły do późnego grobu, — obadwa rozpoczynają artystyczny zawód w Arkadyi, pod dachem tej pani, której często służyć będą w przyszłości, którą Orłowski musiał już chyba dojrzeć w Siedlecach u Hetmanowej, a dzieciom której Płoński będzie wykładać równie jak towarzysz zasady rysunku, jak i on zostawiając w Nieborowie po sobie mnogie i drogocenne pamiątki talentu ¹⁾.

Otwarte więc były jak mówi Niemcewicz w swoim opisie Arkadyi „owe świtu podwoje“! Rzecz prosta, po cierpiącym obrazie życia ludzkiego, tu widzenie Nieba. Raj to był prawdziwy, odpocząć wśród tego marmurowego przybytku i nasycić oko widokiem arcydzieł sztuki, które starannie zebrała Kasztelanowa. Na stopniach wznosi się trójnóg wyroczni, wokoło, jak nas naucza autor w swych podróżach historycznych, „z marmuru i spiżu, greckiej najprzedniejszej rzeźby posągi, półpiersia, wazy, obrazy, perskie makaty, pajęczę Indów szale.“ Stare rzymskie kassolety, greckie kadzielnice, napełniają świątynię wonnym jakimś mistycznym obłokiem. Tu chodźcie wędrowni, woła z trójnogu wyrocznia, tu odpocznijcie po trudzie, rzekłbyś, że przemawia do nieszczęśliwych ofiar, którym najezdnik poodbierał ziemię, bo kamienna tablica mówi do przechodniów:

„Których Tracki Mars wyzuł z ostatniej posady
„Błędne w dom swój Helena przyjmuje Arkady“

¹⁾ Płoński wieczorami zwykł był piórem rysować i niezliczone mnóstwo rysunków, najczęściej humorystycznych, zostawił w Nieborowie, które następnie zebrane, tworzą dziś pokazałą kolekcję kilku tysięcy egzemplarzy.

a powtarza też myśl samą inną spiszową tablica, mówiąca:

Quam rapuit invita mors, restituta

(Tu się odnajdzie, co porwała śmierć przedwczesna).

„Je voudrais que cet autel où brûle le feu sacré — robi uwagę hr. Tarnowska — et ces vestales qui en sont les gardiennes ne fussent point en plâtre. Le plâtre ne suffit pas pour un tel bâtiment, il faut du marbre. Tel que ça est, c'est encore fort joli. Dans l'intérieur de l'autel entouré de jasmins, de rosiers et de myrthes fleuris se cache un petit Amour, charmant ouvrage de Mme Lebrun. Une glace superbe qui fait le fond du temple, trahit la retraite du dieu malin et sa jolie petite tête avançant toujours, vous apparait de tout côté entouré de fleurs. Son regard perçant semble vous suivre, vous épier, chercher l'endroit faible de votre coeur pour viser là et frapper juste.

A pani Hoffmanowa dodaje:

„Zbliżywszy się (do ołtarza Przyjaźni) spostrzegasz w nim miłość jakby zaczajoną na tych, którzy hołdować spokojniejszej bogini chęć mieli, zaspokoić ich może jednak ten napis „l'amitié sous se garde a pris ici l'amour.“ Zastosowany do przeglądających się w zwierciadle piękności, inny tu napis opiewa „wdzięczność sztuce, hołd naturze.“

Tonącego w podziwiewie wędrowca ma nagle porwać do zachwytu utajona w murach świątyni muzyka. Prześliczne organy, których klawiszów sama księżna dotykać będzie, zdobią, jak wiemy, boczny pokój, który w tej świątyni mądrości tworzy także mniejszy przybytek harmonii. I tu się kryje myśl głębsza; w prawdziwej mądrości wszystko jest harmonią, mądrość zaś im więcej stała się podziałem człowieka, tem go więcej podnosi do Nieba, gdzie wszystko jest harmonijne i wzniosłe. Ale nawzajem

When the full organ yield the tuneful quire

The immortal povers incline their Ear.

„Bogowie sami zniżają się ku harmonii ludzkiej,“ jak mówi wyryty na blachach tego organu napis. Niebianie, aby nas słuchać, opuszczają się ku ziemi, gdy nasze dusze wdychają, uniesione na płynącej melodii.

Borne on the sweling Notes our souls aspire
And angels lean from heaven to hear.

Pięknym musiał być kontraltowy i pełny głos księżnej, odzywający się nagle przy dźwięku organów i leący po sklepieniach świątyni. Niemcewicz doznał jak inni słodkiego uczucia. Oderwać się było trudno z tego zaczarowanego ustronia, w którym sama księżna zamieszkać miała, bo gotowano już dla niej po drugiej stronie tejże świątyni sypialnię, której mury ozdobione także pędzlem Norblina, przedstawiały różne widoki Powązek. Sypialnia księżnej miała być przybytkiem Przyjaźni; wzdłuż ścian ustawione na niskich półkach, stały już drogie sercu jej upominki, różne przedmioty, do których przywiązywało ją jakieś życia wspomnienie; łoże zaś rzymskie, szerokie zajmowało sam środek pokoju, którego sufit ubrany jak namiot w perskie opony, służył za baldachim. Na ścianach wyciągnięte przezroczyście zielone muśliny, chroniąc pędzel Norblina, dodawały najmilszym księżnie widokom jakiegoś mglistego oddalenia. Popiersie marmurowe tej przyjaciółki z Powązek, księżnej Izabelli Czartoryskiej, z którą łączyło księżną najżywsze, najserdeczniejsze uczucie, umieszczone przed łożem wśród światła i kwiatów, było niejako bóstwem tego miejsca; a u stóp łoża z wysokości filara spadał na złotym łańcuchu medalion z włosami tych dwóch przyjaciółek i wezwaniem „do dawnej przyjaźni.“ „On aime à croire à l'amitié de ces deux femmes, les plus aimables de la Pologne, de l'Europe peut être,“ pisała hr. Tarnowska.

Świątynię, którą niejednen opisujący będzie poeta, miała księżna długo wykończać i przyozdabiać. Otwierał ją klucz szczerozłoty, w oprawie którego osadzone były olbrzymie brylanty. Klucz ten, oryginalna we wszystkim arkadyjska wróżka, nosiła na łańcuchu u szyi jako godło areykapłanki.

Leżąc insze już zewsząd powstawały także w Arkadyi budowle, których opis podamy z kolei. Hrabina Walerya miała słuszność, kiedy pisała te słowa: „Cette Arcadie est une vraie féerie, tout y est charme et bizarrerie! N'en est-ce pas déjà une que de faire une Arcadie d'une vaste plaine de sable située au beau milieu d'un champ sans aucune vue,

avec peu d'eau et le terrain le plus ingrat pour la végétation. C'est pourtant avec ce fond là, que la Psse. a conçu et exécuté un jardin qui est une vraie merveille.“

„Cette femme étonnante n'a jamais vu l'Italie et la Grèce, elle n'a voyagé qu'en Russie — mais les glaces du Nord n'ont pu éteindre ce feu de génie qui couvait en elle. La lecture, une imagination exaltée, le bon goût inné lui ont fait deviner le beau et partout elle l'a produit à volonté.“

Kamień leżący u stóp arkady z włoskim napisem:

„O miłsza nad inne Arkadyjska ziemió,
Ty dla mnie najdroższa między krainami!
Którą stopą dotykam i witam myślami!“ ¹⁾

był głosem samejże księżnej, która w dzieło swoje przelewała wszystkie uczucia swej gorącej duszy, a ręka jej rozprawę o sztuce temi zakończyła słowy:

„Qui de nous n'a pas éprouvé cent fois le besoin de rentrer dans un azyle sacré, d'y chercher du secours contre les maux de la vie, souvent même contre la fatigue de ses pénibles jouissances. Ce n'est pas non plus en se livrant aux chimères de l'ambition, aux illusions de l'amour-propre, aux spéculations de la cupidité, au tumulte des fêtes que l'homme apprend le bonheur d'être utile à ses semblables.“

O! nie zamykaj więcej, piękna Kasztelanowo, na miśterną klódkę tych wymownych kartek, co twoje pióro skreśliło! Dzieło wznoszone przez ciebie, czy my je nazwiemy tylko płodem fantazyi lub mody, czy artystycznym prawdziwie tworem szlachetniejszej myśli, w tym wieku, którego płochość może i ciebie owiała, bronić cię będzie od gorszego zepsucia, a pamięci twych czynów wróci lepszą sławę!

¹⁾ „O da me più d'ogni altra amata e cara
Più d'ogn' altra gentil terra d'Arcadia
Che col pie tocco e con la mente inchino.“

III.

Kilka śmierci w rodzinie Kasztelana. — Krótka biografia ks. Marcina. — Krajeżyna. — Pobyt pierwszy w Petersburgu. — Powrót do Nieborowa, odwiedziny księżnej Lubomirskiej i księżnej Sapieżyny. — Wiersz polityczny. — Sposób myślenia ks. Kasztelana. — Król popiera handel, fabryka wyrobów żelaznych w Wieruszowie. — Lady Harris, jej list o Polsce. — Król na Litwie, wróżba o sejmie 1784 r. — Dalsze roboty w Arkadyi. — Porównanie działalności Kasztelanowej z tem, co stworzyć miała w Puławach ks. Izabella. — Wypadek księżnej. — Wodociąg, przybytek gotycki, pustelnia. — „O Klindze“ przez ks. Württembergską. — Trzęsienie ziemi, list księdza Ossowskiego. — Księżna wśród dzieci. — Zabawy i spiski w Siedleach 1786 r. — Trochę faktów historycznych. — Pogrzeb w Nieświeżu ks. Hieronima i matki jego. —
Ostatni potomek linii Nieświezkiej. —

Od czterech lat ponosił książę Kasztelan w rodzinie swojej bolesne straty. Umarł mu był syn Karol, potem brat Antoni, kanonik wileński i Referendarz koronny. Obecnie umierał ojciec.

Marcin I-szy, syn Jana XVII-go ordynata kleckiego i Henryki Przebendowskiej, starosta Pokrzywnicki i Grabowski, Krajeży wielk. Ks. Lit., „od najrańszej młodości, mówi „Kotlubaj, okazywał dziwną ochotę i zdolność do nauk, mianowicie przyrodzonych. Usuwając się od senatorskich godności, któremi chciał go obdarzać król August II gi, stronił on od dworu, aby ulubionym studjom poświęcać czas wolny. Dla nich to wyjeżdżał za granicę, zwiedzał znakomitsze akademie, obcował z uczonymi swego czasu. Nader biegły w medycynie i chemii, wierzył nawet alchemii i bawił się w pięknem laboratorium, które założył, szukaniem kamienia filozoficznego. Lecz coraz bardziej zatapiając się w ab-

„strakeyjne badania metafizyczne, dostał obłąkania. Szał jego „przyjął powoli dążność religijną. Przejawszy się z początku „wiarą staroświeckich ludów, uwierzywszy w metempsykozę „Egipcyan, chciał wreszcie pozostać żydem.“ Dziwy opowiadano o szaleństwie księcia Marcina; wybudował był bóżnicę, do której zlatywały się uczone rabiny na szabas; wtenczas książę w łapserdaku, na którym order Św. Huberta był przewieszony, kiwał się z nimi i krzyczał pospołu. Niezemby nie były jednak owe szabasy i koszery, gdyby nie wiara w Żydów, którym na łup prawdziwy oddawał majątki. Uzyskano wreszcie nad nim wyrok opieki i książę Marcin przeniesiony do Słucka, pod okiem ks. Hieronima Floryana, Chorażego W. K. L., zamieszkiwał tam do śmierci. Przy wielkim zjeździe obywatelstwa i rodziny, oddawał Kasztelan ojcu ostatnią posługę, przewożąc zwłoki jego do grobów rodzinnych w Nieświeżu. Pozostających braci Dominika i Jakóba dzielił majątkiem, regulował interesa Czarnaweczykie, któremi się miał odtąd zajmować, a księżną Martę dla lepszego doglądania jej zdrowia i potrzeb, przywoził do Warszawy. Odtąd mało się czem kłopotać będzie księżna Krajezyna. W długim dyaryuszu zapisuje tylko najróżniejsze okoliczności roku, — dziwnie miesząc z wypadkami politycznymi własny expens kuchenny.... „dziś był barszcz z uszkami, szczupak ze śledziem, karpik sadzony etc.; nazajutrz ożenił się powtórnie J. O. książę Józef Radziwiłł z panną Ostroróg, odbyło się to wesele u księżnej Marszałkowej w Warszawie;“ dalej, „cukru Rafinady głowa jedna; Potocki wojewodzie wołyński począł się starać o przyjaźń pewnej damy; 26 maja, przysłał król pазia, zapraszając na obiad; byłam u dworu z J. W. Bielską Kasztelanową Halicką, z ksienią Marywilską Komorowską, z Sańdecką Kasztelaną Zakrzewską. J. O. książę Kasztelan Wil. syn mój sprzedał zboża mego trzy statki w Gdańsku, laszt po zł. 170, a poczeiwa pani Włodkowa przysłała mi blado-różowego tureckiego prosa i powidel z bzowych jagód.“

Typ księżnej Krajezyny należy do wybitnych ówczesnego wieku. Jestto matrona, jak je wszędzie niemal na wsi spotykano jeszcze w tym czasie, gotowa rozdać za życia dochody największych majątków, aby okupić spokój sta-

rości, zapewnić wygodki i potrzeby wieku. „Miałam zapisane na siebie połowę intrat corocznych z majątków J. O. księcia męża mego Czarnawczyckich i Cimkowieckich, takowe chętnie Michasieńkowi odstępuję, tylko pamiętajcie, że jadać bez korzeni nie smaczno.“ To, co sobie zostawuje grosza, pójdzie dla panien Sakramentek, lub Wizytek, w zakonie których dwie księżniczki Radziwiłłówny są przełożonymi. Bo księżna jest z liczby bardzo nabożnych, co nie przeszkadza wcale zabobonnej wierze w Cagliostro i jemu podobnych. Zbiera też księżna wszelkie recepty, przepisy. Jak ongi markizanka Strozzi, żona ks. Aleksandra, Wojew. połockiego, nie rozdzielająca się ze spisana przez siebie książeczką *Secreti maravigliosissimi*, z którą nigdy umrzeć nie myślała, tak teraz Krajczyzna silnie jest przekonana, że „kamień hiacynt noszony na szyi, odpędza największe powietrze, uszanowanie u ludzi sprawuje pomniejszych, u monarchów pomyślność w proźbach zanesionych; że od wodnych lilii koltun odpada; że szmaragd chroni od wielkiej choroby, a że nawet są pewne środki, — lecz jakże oryginalne doprawdy, — aby utulić męża zazdrośnego i miłość w kobiecie obudzić.“

Epoka, w której się spotyka wyrafinowany, prawie nadto wykształcony typ ks. Kasztelanowej, jest także i jednocześnie wiekiem wielkiej naiwności kobiecej. Podano do wiadomości, iż wielbny ksiądz Wichępt „po różnych miejscach świętych peregrynujący, wiele różnych relikwii i ciekawości nazbierał, które dnia *praesentis*, wszystkim one widzieć pragnącym, pokazywać będzie. Cena pierwszego miesiąca, talar bity; ezwartego, jeden tyńf tylko; a piątego, dwa szóstaki;“ ma się rozumieć, że ks. Krajczyzna będzie jedną z pierwszych do zwiedzenia pobożnego zbioru. Śród ciekawych exemplarzy tejże kolekcji, „Szpony orła jednego z tych, które ciała Św. Stanisława pilnowały. Kropla wody, którą Mieczysława ochrzczono. Łyżka skrzywiona dla wygody Bolesława Krzywoustego zrobiona itd.“ zadziwią tylko i zaciekawią Krajczynę, ale prawdziwej pobożności uczuciem przejmie ją widok „ampulki wiatru w stajence Betleemskiej wiejącego; Ikra jedna ryby Tobiaszowej, lub partykutka gnoju, na którym leżał Hiob.“ A wieleż to innych z ks. Krajczyzną pobożnych i na-

iwnych matron naszych uwierzy w autentyczność zbioru ku-glarza!

Dość ciężkie dźwigał na barkach sprawy książę Kasztelan, kiedy dla ulżenia onym jechać musiał z żoną aż do Petersburga. Spostrzegł się był książę, że w trudniejszych rzeczach spryt i wdzięk niewieści pomagał mu wiele. Poznać stolicę Rosyi, gdzie ją poprzedzała światowa sława, miało także urok dla księżnej. W Petersburgu, jak w Warszawie nie oparto się długo czarującym wpływom Kasztelanowej, zwłaszcza kiedy zwróciła na siebie uwagę samej Carowej i jej otoczenia. Wymagająca, o ile byстрыm rozumem przodowała innym, Katarzyna II znalazła się na ludziach. Wyróżniających się z tłumu szczególniejszą uwzględniała uwagę. Ks. Helena gdy wracała z Rosyi, zostawiała w Petersburgu za sobą wielu wielbicieli i wielu życzliwych, a wywoziła jednocześnie dla swojej Arkadyi, całą kopalnię brązów i marmurów, któremi rozpoczęte dzieło dalej zdobić miała.

Na wracającą z Petersburga świat czyhał skwapliwie. Kiedy minęła Warszawę, aby się rychlej dostać do Arkadyi, tłum wszystkich znajomych podążył do Nieborowa. Maj się zielenił, fiołki rozkwitały, a nadechodzący dzień imienin księżnej tłómaczył skwapliwość ciekawych chcących ją powitać. Oprócz rodziny i bliższych, zjechała też była Marszałkowa Lubomirska, której mąż, dawniej jeden z przywódców partyi austryackiej przeciw królowi, znękanym wiekiem, teraz usuwał się z politycznej areny. Księżna Marszałkowa rada była jeszcze utrzymać upadające z mężowskiej dłoni berło opozycyi; przyjeżdżała na zwiady, w nadziei, że z ust światowej Kasztelanowej dowiędzie się, jak się zapatrywano w Petersburgu na sprawę krajową i jakiego Stackelberg u Carowej używał rozgłosu. Przyjeżdżała też jednocześnie prawie, inna o wiele czynniejsza agitatorka opinii, która od roku w nielase u króla, jawnie przeciw niemu działała. Była to sławna a smutnej pamięci siostra hetmana Ksawerego Branickiego, księżna Elżbieta Sapieżyna, własnego syna Kazimierza podniecająca przeciw królowi. Właśnie w tym czasie krążył po Warszawie wiersz na nią, wiersz straszny, którego w całości pióro wdryga się powtarzać. Była to prośba

do tej „co miała serce z żelaza i czoło miedziane,“ aby Polakom nie mięszala rządów.

Niedość miechów niezgody dęłaś twojem życiem,
Zawsze jak wąż pod kwiaty, pod enoty ukryciem,
Ty godna Katylinów i siostra i matka,
Wichrzyłaś z niemi razem rzeczy do ostatka!

.

Z prośbą do cię pokorną idziemy Rodacy,
Niech rząd mają, nierządni tak długo Polacy!
Niech dojdzie skołatana łódź szczęśliwie lądu...

Księżna jednak z ulubionego toru intryg schodzić nie myślała, a jak się było pokazało, po śmierci ks. Augusta Czartoryskiego, zmarłego rok przedtem w Warszawie, istotnego wodza oponentów, Branicki i jego siostra byli rzeczywście dla króla, w ezasie sejmu 1782 r. najniebezpieczniejszymi wrogami. Nie lubiła ks. Sapieżyny Kasztelanowa. Księżę Michał należał zresztą do wiernych królowi, wierzył w Stackelberga, a nowo odbyta podróż do Rosyi, ujmujące przyjęcie Carowej, może ścieśniały sympatyczny węzeł co go zbliżał do północnych wpływów. To też Stanisław August zaliczał Kasztelana w poczet najżyczliwszych, najwierniejszych przyjaciół. Na sejmie, na radzie liczył na głos jego, tak jak polegał na Chreptowiczach i Tyszkiewiczach na Litwie, z którymi zresztą przez żonę księżę był spokrewniony. Kasztelan nie był też z liczby owych zawziętych, zaciekłych stronników tej lub innej frakcyi; głos jego jasny, dobitny, gdzie chodziło o dyskusyę prawną, o wykazanie administracyjnych potrzeb lub wydatków, miewał śród politycznych krzykliwych rozsterek. W dyplomatycznym, łagodnym ze wszystkimi człowieku, każdy mógł myśleć, że znajdzie własnych przekonań stronnika, lecz w duchu wierzący w Rosyę jedynie, Kasztelan był oddany królowi, z którym zapatrywania podzielał. Matka księcia Michała zachęcała go nieraz do tego, pisząc doń podczas burzliwych chwil sejmu. „Mój Michasiętku, zasługuj się ty u króla, by wiedział, żeś ty mu wierny.“

Tak, jakby chciał był usłuchać tych słów macierzyń-

skich, Kasztelan, zakładał właśnie w tym roku w Sieradzkim hutę wyrobów żelaznych. Na poprzednim sejmie przemawiał był w rzeczy samej Stanisław August o potrzebie dla kraju poszukiwania kruszców. Czul z Tyzenhauzem, iż na drodze przemysłu i handlu było wiele u nas do zrobienia i przynaglał dobrze myślących obywateli do zakładania rękodzielni i fabryk. Sam zresztą pierwszy zachęcał przykładem. Jeżeli się niepowiodło uformowanej przez króla kompanii manufaktur wełnianych, tak, że już z rokiem 1771 istnieć przestała, widzimy go jednakże, zakładającego hamernię i fabrykę broni w Kozienicach, a opuszczone natenczas kopalnie Wieliczki jemu nowe życie zawdzięczają; z jego rozkazu inspektor generalny fabryk, malarz Bacciarelli urządza w Dębniku, na gruncie do Karmelitów Bosych klasztoru Czerniańskiego należącym, kopalnię marmurów, która niejedną ozdobę dostarczyła rotundowej sali w Łazienkach, a ks. Helenie piękny do Arkadyi grobowiec, 7,200 złp. zapłacony przez króla. Wreszcie i Belweder słynny ze swoich fajansów, dziś o tyle nawet u nas rzadszych, że były bardzo kuche i nietrwale, wyrabiający także tak zwany fajans „Pallie“ i naczynia Herkulańskie, zawdzięczał istnienie królowi, a może Baronowej Schitter, pięknej Greczynce, a żonie dyrektora Niemca, kochance króla. Lecz oprócz Stanisława Augusta wielu magnatów polskich zakładało rękodzielnie w kraju, jak Stanisław Załuski, biskup krakowski; następnie Soltyk, Jan Nałęcz Malachowski, kanclerz W. K., ojciec Stanisława, — jego syn Jacek, Michał i Stanisław Poniatowscy, ks. Stolnik Józef Czartoryski, Prot Potocki, Chreptowicz i Jacek Jeziński; ale ze wszystkich rodzin polskich najwięcej popierającą może narodowy handel, była rodzina Radziwiłłowska. W Nalibokach wyroby szklanne, w Janowiecach kamienne, w Urzeczu zwierciadlane, w Smolkowie gliniane, w Koreliczach gobelinowe słynęły na całą Litwę, a tych pięć fabryk zawdzięczano Kancl. W. Lit. księżnie Annie z Sanguszków Radziwiłłowej; w Nieświeżu założona przez ks. Michała ojca ks. „Panie Kochanku“ fabryka dywanów, a w Slucku perskich pasów Małdzarskiego a następnie Paschalisa, były niemalym pożytkiem dla kraju. Kopyl wyrabiał srebrne naczynia, Łachwa

słynęła z wyrobów stolarskich, w Połoneczce pracowali stolarze, ślusarze i mosiężnicy ¹⁾).

Kasztelan Ks. odmówiwszy poprzednio nabycia Szydłowca, którego kopalniami zachęcała go własna rodzina, założył był pod dyrekcją endzoziemca p. Lassowa, fabrykę odlewów żelaznych w Wieruszowie. Na uroczystość odlania pierwszej gęsi, zaprosił wiele osób z Warszawy, chcąc nadać obrządkowi temu doniosłość ważnego przemysłowego wypadku i charakter narodowy. W dniu tym na publicznym obiedzie król wznosił zdrowie u Kasztelana stołu.

Tą z pewnością, tą jedynie drogą, nie torem politycznych intryg, mógł urósć naród w potęgę. Z radością w sercu spoglądał Stanisław August na to wszystko, co dla handlu pomyślnem być mogło. Rokowania o Gdańsk zdawały się wchodzić także na łatwiejszą drogę.

Lady Harris Malmesbury, żona ambassadora angielskiego w Berlinie i Petersburgu, który następnie w 1783 r. podczas zaburzeń w Holandyi, przyczynił się głównie do wskrzeszenia sztachuderatu, dziwną sympatyę odczuła dla Polski, po krótkim swym pobycie w Warszawie. Z Polek, ks. Kasztelanowa zaskarbiła sobie była najwięcej jej przyjacielskiego uczucia. Z Polaków, wydał się jej najgodniejszym politowania sam nieszczęśliwy monarcha. Lady Harris opuszczając ziemie polskie, zatrzymać się chciała w Arkadyi, o której zewsząd zaczynało mówić, i oto co już z Londynu pisała do Kasztelanowej ta nowa jej wielbicielka, o Polsee i Gdańsku: „La Pologne et tout ce qu'elle contient, me seront toujours ehers. Elle a droit à ma reconnaissance pour avoir produit ceux, qui m'ont comblé de bontés, mais l'affection ne dépend point d'elle. Elle a besoin d'autres motifs pour naître et jamais je n'en ai trouvé de plus puissants qu'à Varsovie. Je suis bien heureuse de voir que cette affaire de Dantzig se terminera probablement à l'amiable. C'était un chagrin de plus pour celui qui n'en a eu que trop et qui n'en mérite aucun, pour ce pauvre prince, le meilleur, le plus aimable qui fut ou sera jamais! Je retrouvais l'autre jour dans mon

¹⁾ Wewnętrzne Dzieje Polski za St. Augusta przez Tad. Korzona. Tom II, p. 213.

portefeuille une liste des routes de la Pologne et je vous assure que le souvenir des beaux moments que j'y ai passés me serra le coeur et que je le remis bien soigneusement dans l'espérance d'être dans le cas de m'en servir un jour. Adieu bien chere Princesse. Vous surtout et votre Arcadie seront toujours presents à ma pensée. Bâissez-y un tombeau pour moi et mettez: „et celle-ci vit aussi mon Arcadie.“ Croyez-moi pour la vie votre toute affectionnée, II. M. Harris.“

Choć długo jeszcze z Prusami o Gdańsk wojować miano, aby go wreszcie utracić, handel krajowy zdawał się wywalczać sobie nowe drogi przez Cherson i Rygę; jakaś przytem nadzieja zaczęła przyświecać, że się byt narodowy polepszy, iż kraj zbliży się więcej do swego monarchy, że się stronnictwa pogodzą i złączą. Wstępowała Polska w jakąś spokojniejszą erę. Król odbywał po Litwie popularną podróż, która mu jednała stronników i rokowała sejm cichszy. Kasztelan towarzyszący królowi opisywał matce wspaniałe przyjęcie w Nieświeżu i udane zwłaszcza „wzięcie Gibraltaru“¹⁾, a o sejmie w Grodnie tak się wyrażał: „z nowin nie nie „przybyło, prócz elekeyi prymasa (Michał Jerzy Poniatowski), „której pewny byłem. W Grodnie jedzą, piją, niespokojnie „śpia, bo i tam intrygują, ale sejm spokojny będzie“ (6 okt. 1784). Pod tą szczęśliwą wróżbą skwapliwiej oddawano się na wsi temu, co przy politycznej krajowej niemocy i bezskutecznych wysiłkach mogło być choć w oddalonej przyszłości pożytecznem dla kraju. Kasztelanowa z całym zamilowaniem wracała do swoich zajęć w Arkadyi.

Obudzenie narodowego ducha, zachęcanie Polek do przyozdabiania rodzinnego gniazda, drukowane rozprawy o zakładaniu ogrodów, policzono księżnej Izabelli Czartoryskiej za istotną krajową usługę. A jednak posłannictwu temu oddała się księżna po swoim powrocie z Warszawy dopiero, gdy dla intryg Ugriumowej pobyt w stolicy stał się był dla „familli“ nadto drażliwym. Wolno nam przeto przypuścić, iż o ile założycielka Arkadyi mogła była zkądinąd szlachetne zacerpnąć natchnienie, o tyle Arkadya sama, już głośna i podziwiana, pobudzająco wpłynęła na działalność ks. Izabelli

¹⁾ Obacz: Dyaryusz podróży króla po Litwie.

w Puławach. Między twórczynią Arkadyi a ozdobieličką Puław zawiązały się były niemal codzienne listowne najserdeczniejsze stosunki. Jedna wiedziała co robiła druga, u nich współzawodnictwa w sztuce nie widać, owszem, w działalności dwóch przyjaciółek — co za różnica! Księżna Izabella o sześć lat starsza od ks. Heleny, przychodziła niemal do gotowego. Założony już przed nią ogród puławski przez ks. wojewodzinę ruską Augustową Czartoryską, w prześlicznym położeniu nad Wisłą, wśród czarującej i majestatycznej przyrody, był tłem do dzieła. Z pomocą całego areopagu artystów, z nadzwyczajnym rozgłosem, przy licznych zgromadzeniach gości przystąpiła księżna do budowania owej świątyni Sybilli, miejsca pamiątek krajowych, dla której w przyszłości złupione groby królów dostarczać będą bogatego plonu. Światu polskiemu Sybilla otworzy podwoje — muza poetów, stronniczy dwór książąt wynosić będą pod gwiazdy szczytne zasługi kobiece, które może polityce zawdzięczyć trochę należy. Księżna Helena buduje sama, w tajemnicy przed światem, którego tu bezwzględnie zapraszać nie myśli; buduje wśród dzikiego ustronia, z upodobania dla sztuki, nie dla popularnych i politycznych widoków; poeci przyjdą po skończonym dziele; w gronie rzemieślników stoi nad pracą, do której zagrzewa; oto przy rozebraniu jakiejś wiejskiej chałupy, której nie olimpijski widok raził oko wśród krainy bogów, upadający pułap zaledwo wróżki o śmierć nie przyprawia. Wesoly śmiech księżnej z tej artystycznej przygody obja się aż o mury Strasburga, z którego l'abbé Dufresne jej pisze:

„J'ai su le danger que vous avez couru et j'en ai frémi. Ce n'est pas qu'avec la façon de penser que je vous connais; ce n'eut été un sort glorieux à vos yeux d'être enterrée sous des ruines — mais il aurait fallu qu'elles fussent d'un oraire plus distingué et d'une antiquité plus respectable, telle que celle d'une pyramide, d'un cirque, d'un aqueduc — et non d'ignobles masures, des décombres abjects, plus propres à avilir qu'à illustrer le lieu qu'elles couvrent.“

O postępach Arkadyi tensam list obszernie nas uczy,

¹⁾ Pani Tarnowska mówi, że były już tam ciekawe rysunki Lessueura, Orłowskiego, Norblina, Płońskiego i innych.

bo literat francuski, przyjaciel i towarzysz Delilla, w górno-
lotnych wyrazach zapytuje księżnę, jakie już u niej ukoń-
czono prace, jak wygląda kaskada z rzymskim wodociągiem,
czy się zieleńią trawniki, czy ukończono nareszcie świątynię
i te cudowne gotyckie ruiny, „ces beaux et magiques débris,
aux quels vos mains sans le secours de celles du temps ont
su imprimer le caractère imposant d'une vénérable vétusté?“

„Arkadyę całą, jak mówił Niemcewicz, nazwać można
poematem.“ U księżnej zapalona fantazyja tworzyła ciągle,
po czasach złotego wieku, po świątyni greckiej Minerwy,
wzniosły się były cyrk rzymski i wodociągi; następowała
teraz, w rozwoju myśli chrześcijańskiej, pustelnia anachorety
i przybytek gocki. „Co znaczy gotycki budynek wśród Arka-
dów ziemi,“ zapytuje hr. Tarnowska, opisująca w dalszym
ciągu Arkadyę? — Niewłaściwość oryginalnego pomysłu kla-
dziono na karb bujnej fantazyi Kasztelanowej. — Wyrastać
się zdawał wśród skał olbrzymich i strzelał lukiem do góry,
tak jak modlitwa chrześcijańskiego wieku, a za nim długa
galeryja niby korytarz dawnego zakonu, napół w ruinie, pro-
wadziła przez całą epopeję ostrołukowego stulecia do coraz
nowszych budowli. O tymto gotyckim przybytku pisał Du-
fresne, chwając księżnę, że użyć kazała do wystawienia
onego napotykanych wśród wilgotnych wybrzeży Skierniewki
brył żelaznej rudy, które dodawały nowoczesnym murom od-
cień starożytny. Zatem księżna wyobrazić pragnęła bieg
czasu i przewrót dziejów, a niebawem też i późniejsze od
gotycyzmu wieki przedstawiać zaczęła. Tu, w oknach świecą
szczątki średniowiecznych szyb kolorowych oprawnych w olów,
ale przybytek stoi otworem, bo wyszedł z niego żelazny ry-
cerz na boje i dotąd nie wrócił... a zanim odniesie w te
progi wawrzyn skrwawiony, Kasztelanowa daje tu tymcza-
sowo schronienie przejeżdżającym przez Arkadyę artystom,
którzy muszą za goścień opłacać utworem ołówka i pendzla;
wiszące wokół murów ramy z przygotowanemi w tym celu
plótnami dowodzą, iż księżna na licznych gości liczyła ¹⁾
Wprost wejścia do gotyckiego przybytku wznosi się ołtarz
z płaskorzeźbą z białego marmuru, wyobrażającą świętą Ro-
dzinę, podobno dłuta Staggiego, a pod opieką tych gotyckich
ruin, w jaskini, na skrócie ścieżki, którą schodziłeś, odkry-

waleś nagle skalistą pustelnię, na ścianach której nabożna ręka skreśliła była zatarte już wiekiem wyrazy¹⁾. Rozpowszechnioną jest w Polsce rycina Bergmanna, odbita w 1818 roku w Genewie, wyobrażająca ową pustelnię Arkadyi. Dziś jeszcze wchodzi się do niej przez rozwaliny ciemnej jaskini, utworzonej niemal w całości zaledwo kilku odlamami granitu. Małe światelko, wpadające z góry przez szczeliny groty, pozwala dostrzedz jej skaliste ściany i napis wyryty w kamieniu. Jestto ślad rzekłbyś w dzikim ustroniu życia ludzkiego, dni eichych i już przebrzmiałych w milczeniu pokuty.

Różnie od pani Tarnowskiej, zacytowana już przez nas córka ks. Izabelli, autorka „Malwiny,” w Arkadyi, tylko Grecyę i wiek złoty widzi; w jej oczach pustelnia anachorety weale pokucie przeznaczoną nie była, ale spoczynkowi pasterzów z nimfami leśnymi. Jakieniebądź w cieniu swoim ukrywała jaskinia tajniki życia ludzkiego, podaje nam księżna Würtemberska w katalogu domku gotyckiego w Puławach opis budowy tejże pieczary i szczegół, który charakter ks. Kasztelanowej maluje. Tym klassycznym polskim językiem, którym ją Niemcewicz władać nauczył, tak się księżna Würtemberska wyraża:

„Xiężna Helena ogromne Głazy na bliskiey niwie od wieków zapomniane, przypomniała sobie i niemi Grotę swoją kształcić umyśla, — dokonywa szczęśliwie przewóz tych urwisk skalistych, lecz do przewiezienia ieden ieszcze został, który będąc naywiększym nie łatwo mógł być ruszonym; by tedy do pracy tej zachęcić, Xiężna sama iey chciała bydyż przytomną. Po długiey robocie wydobyli nareszcie ów głaz ogromny od wiekopomnych czasów nienaruszony. Zwalając go na bok, odkryto pod nim czerepę glinianą napelnioną popiołami, żelazną klingą otoczoną dokoła, a przy niey Nożyce do strzyżenia owiec leżały. — Popioły w czerepie świadczyły iako za czasów ieszcze pogaństwa tam były zakopa-

1) „Oh! let me seek out some desolate shade
And there weep my sad bosom empty.“
(O pozwól mi wyszukać jakie odludne zacisze
I tam oplakiwać smutną czezość mego serca).

ne, a klinga i nożyce: że te popioły dusza niegdyś pasterza woiownika ożywiła!“

„Wieleż wieków upłynęło, — zmian niezliczonych minęło! wieluz Panom ta ziemia służyła, — wieleż wojen okropnych, bitw może zażartych wkoło tych głazów osierociale popioły kryjących odbyło się, póki ten granit tyle potężnych przetrwawszy kolei, uledz musiał nareszcie lekkiej woli kobiecej i dla iey mamiących zabawek odwieczne swoje porzucić siedlisko! — Zdarzenie te pustą nawet Helenę zastanowiło; — mimowolnie rozmyślać zaczęła i lzy rozrzewnienia z niebieskich iey oczu rześisto na te martwe padły popioły, lecz utwierdzić ie nie mogły. — Czerepa się rozsypała a wietrzyk powstawszy, snadnie rozwiął to co tyle wieków uchowało! tehem iednym rozwiane w przestrzeni znikły popioły póty, póki ręka Wszecmocności kiedyś zebrać ie nie zdoła.

„Należytość ostatnią mieszkańca tej śliwy, klingę i nożyce zabrawszy, Helena dumając do Arkadyi wracała, chcąc ie zakopać pod ową Urną białą, na której napis: „*Et in Arcadia Ego.* — I ia kiedyś żyłem w Arkadyi,“ tyle do okoliczności był stosowny, — lecz z młodości w ścisley żyjąc przyjaźni z Panią Puław i Fundatorką Świątyni Pamiątek, umyśliła Helena i te pamiątki po tak dawno, a może takż w obronie kraiu zmarłym Polaku, złożyć w Sybilli, czyniąc z nich podwójną ofiarę: Oyczyźnie i Przyjaźni.

Marya z Czartoryskich Würtemberska“ (m. p.)

Lecz dość nateraz tych różnych budowli, trzęsienie ziemi odczute w Arkadyi, mogłoby nieustalone mury obalić. Oto co ksiądz kanonik Ossowski pisze z Krakowa: „zgadzają się wszyscy, że ten consensus ziemi szedł od Wiednia; co się tam stało, jeszcze nie wiemy; z Berna i z Ołomuńca wiadomo, że tam i po innych okolicach domy i kamienice to trzęsienie ziemi poobalało; tu za Krakowem Wieliczka cierpiała, Tyniec, Lipowiec, Krzeszowice, Kaszów, Morawica, Babice, zkad ludzie z chałup uciekli w pole; Pleszów, gdzie się ziemia porozstępowała...“ W Arkadyi ocalało wszystko; i oto gdy przeszło niebezpieczeństwo, jak głos słowika po burzy, odzywa się śpiew wesoly księżnej w przybytku har-

monii; śpiewa może dedykowaną jej dopieroco przez głośną wtedy śpiewaczkę piosnkę, co jej z tym listem przysłano: „il existe au monde une certaine Bonafinetta qui vous est dévouée, attachée plus qu'elle ne saurait jamais le dire. Agréez ce rondeau et croyez qu'aussi longtemps que je vivrai je ne cesserai de vous aimer, de vous admirer, chef d'oeuvre de la nature!“ — Być nawet od obcych kochaną, jestto zaiste miłem dla ludzkiego serca, a cóż dopiero od rodzonych dzieci; tułą się teraz do niej, kiedy organów dotyka, a Ludwiś w extazie pisze na Litwę do ojca: „combien Maman est d'une gaité charmante! elle nous a si bien chanté sur le phare et la lune!“

O tymże czasie bawiono się także u wujenki księżnej w Siedleach, gdzie pod pozorem obchodzenia familijnych imienin intrygowano w najlepsze przeciw królowi. Nie byłoby gody tak huczne, jak lat cztery przedtem, gdy ks. Ogińska przyjmowała króla, do którego nieprzyjaciólek już wtedy się liczyła; a jednak nowe przyjęcia w Siedleach cały miesiąc trwały, a z wielkim kosztem urządzone przedstawienia powtarzały się za przybyciem każdego nowego gościa. „W dzień imienin matki księżnej, JO. ks. Kanclerzyny W. X. L., ogłoszonym zrana setnym z harmat wystrzeleniem, na środku sali cyfra E O ks. Kanclerzyny kwiatami uwieńczoną została, pod nią siadły damy pięknie ubrane, poczem po bokach sali, w oknach wystawione sklepiki rzemieślnicze otworzono, w których za zbliżeniem się do nich JW. Hetmanowej śpiewano przy muzyce wierszowane „*kupleciki*.“ Ks. Konstanty Czartoryski z kasztelanką Gostyńską, jako kowal w kuźni, ks. Adam z panną Narbuttówną jako garncarz przy toczydle, Śpiewała szambelanowa Włodkowa wraz z synem w sklepiku stolarza; u bednarza Dawnorowiczowa sędzina, szewcem była pani starościna Brzozowska, a panna Niezabytowska kapitańcówna z p. Kurdwanowskim starszym nucili piosieczkę w sklepiku blacharza...“ Ale czyż na tem koniec! Niedaleko cyfry był domek żniwiarów, gdzie na brogu z żyta siedziała JO. księżna Generalowa za parobka ubrana i tak śpiewała:

„Pani obchodzi dzisiaj, mój Sobku,
Święto swej matki imienia;

Pójdę i powiem, ile w tym snopku,
Tyle jej składam życzenia,"

na co z przyległej kawiarni (z kawo-domu) wybiegała JW. Stempkowska za kucyka przebrana, i trzymając szklanę śpiewała:

Sobku, piję do waści,
Tę szklanę pełną naści.
Wypijemy w szczerości
Zdrowie matki Jejmości.

Chór pochwytywał:

Wypijmy dzban spory,
Zdrowie Eleonory!...

Jeszcze dalej śpiewał, lulkę pałacy księżę:

I ja się z wami łączę,
Moi mili Panowie,
Wypiję za jej zdrowie,
Tylko lulki dokończę!...

W to wszystko wpadał Bacchus na wózku wieziony przez lamparty, muzyka janczarska z kozą, w koszu z kwiatów uplecionym jakiś zefir zmordowany, Kozaki i Turki, Przyjaźń i Nadzieja, poczem księżna oblewała się łzami wdzięczności i tańce rozpoczynano ¹⁾). Tym podobne sielankowe zabawy, powtarzające się w dzień imienin i w oktawę i w oktawę oktawy, dawały Siedlcom rozgłos artystycznej i gościnnej siedziby, w której tymczasem przed nadechodzącym sejmem księżna Hetmanowa przygotowywała królowi cały zastęp przeciwników.

Podczas gdy się agitowało w Siedleach stronnictwo austriackie: ks. Adamowa Czartoryska licząca na to, że jej

¹⁾ Opis tych siedleckich zabaw o wiele skrócony, przepisa-
liśmy z rękopisu nadesłanego z Siedlec ks. Kasztelanowej,
którą jeśli nie intrygi wujenki, to jej teatralne i sielanko-
we zabawy zawsze zajmowały.

zić ks. Württembergski byłby może także kandydatem do tronu, Ignacy i Stanisław Potocey, Kossakowska kasztelanowa kamińska, Sapieżyna i Branicki, — kiedy się po kraju burzyła jak zwykle szlachta, a sejmiki się rozdwajały, Buchholtz pracował nad utworzeniem stronnictwa pruskiego przeciwnego Rosyi, a Fryderyk W. umierał.

W roku następnym, po zwycięskim dla króla sejmie, podążał Stanisław August na spotkanie Wielkiej Katarzyny, a co było ambitnych w Polsce, jechało do Kijowa dobijając się orderów i względów. Mniszechowie w Wiśniowcu, Szczęsny Potocki w Tulezynie, przyjmowali monarchę; dwór Katarzyny składali pierwsi magnaci polscy i cudzoziemców było niemało: ów ks. de Nassau niedawno indygenatem polskim zaszczycony, ks. de Ligne najsprytniejszy, najprzyjemniejszy z dworaków, znany ze swoich dowcipnych portretów, kawaler Littlepage i inni. Ale wśród ogólnych zabaw, wesołej nadziei króla na przyszłość, pomyslnych zjazdów z Katarzyną i Józefem II, Kasztelana nie było. Bo cóżto znowu za żalobne dzwony odezwały się na Litwie, nad wielkim ementarzem Radziwiłłów?

„Książę Karol, wojewoda wileński, utraciwszy w poprzednim roku brata Hieronima, podkom. lit., dla krótkiego przed seymem zeszłym czasu, pogrzeb do roku był odłożył. Mając niepogrzebaną także zmarłą podczas Rewolucyi krajowych matkę tego brata a swoją macochę, wojewodzinę wih. hetmanową W. W. X. L., Mycielską z domu, postanowił był i tej z synem żalobną w przyzwoitej wspaniałości odprawić Ceremonię.“

Niedawno tu także przyjmowano króla, błonia nieświeckie lśniły się od wesołych pochodów wojska, okazała a wesoła gościnność Wojewody przekazywała historia potomności jako najokazalszy występ Radziwiłłów. Pogrzeb ks. Hieronima miano policzyć do najwspanialszych pogrzebów.

„20 czerwca książę Wojewoda wyjechał z rodziną swoją o mil dwie od Nieświeża do Użanki, gdzie sprowadzone z Drezna zwłoki księżnej Wojewodziny leżały. Maszerowała 100-konna chorągiew Towarzystwa, kilka tysięcy włościan, dalej 800 strzelców z jarzącymi pochodniami; duchowieństwa *Ritus Greci* od 500, zakonników: Bernardynów, Dominikanów, Fran-

ciszkanów, Karmelitanów, Bazylianów, Benedyktynów 400, — wszyscy ze świecami; po nich następowały cechy, z kilku miast książęcych zgromadzone; za temi jechał konno J. P. Kamiński, koniuszy książęcy, w aksamitnej karmazynowej kapie, na dzielnym pod takąż kapą koniu, od dwóch masztelarzy równie przybranych, prowadzonym. Za nim szedł karawan ośmiokonny kapiący od złota, z trumną wspaniale ozdobną, której płaszcz aksamitny 24 ludzi dźwigać musiało; 1800 łokci aksamitu ze złotemi frendzlami ozdabiała drogę. Mowy zatrzymywały konwój po drodze, X. Katembryng egzjezuita mówił z tych słów Pisma: „Miej w poszanowaniu matkę twoją żyjącą, a gdy dokończy dni swoich, pochowaj ją wedle mnie.“ — Ale o wiele wspanialej jeszcze chowano ks. Hieronima w kilka dni potem, kiedy sam Nuncyusz papięski *cum collegio episcopali et clero, pontificaliter* przybrany kondukt prowadził, a wraz z nim ośmiu biskupów. Odznaczał się przytem chorąży Radziszewski na czele grenadyerów, korpus kanonierów z ciężką artyleryą. X. Janowski, kanonik smoleński, przemawiał z Pisma św.: „Upadł Xiążę Wielki,“ a na iluminowanej Słuckiej bramie wisiał kolos pochylony, z napisem z jednej strony: „Upadłem do-czesnie, niemasz ktoby mnie dźwignął;“ z drugiej: „Karolu, dźwigaj mnie wiecznie.“ — Te smutne uroczystości przy biciu ciąglem dzwonów i armat 7 dni trwały, po 300 osób dziennie siadało do stołu, dla wygody zaś gości chodziło ciągle książęcych 6-konnych karet trzydzieści sześć, a parokonych czterdzieści.

Młody brat ks. Karola umarł był z gorączki w Nieświeżu; sławny doktor Schlenmer nie mógł być uratować 27-letniego podkomorzego, który żonaty z księżniczką Tour et Taxis, zostawił po sobie ośmioniedzielnego syna. Na tym synie, Dominiku, miała zgasnąć niedługo najstarsza linia męska ordynatów Nieświezkich.

STUDYA NAD POZYTYWIZMEM.

2. Emil Littré i jego szkoła.

W literaturze nowożytnej jest Littré zjawiskiem nadzwyczajnym. Niższy od wielu współczesnych, gdy zważysz oryginalność pomysłów, wielkość intuicji lub świetność stylu, przewyższa prawie wszystkich erudycją wszechstronną, pracowitością bez granic, łatwem a zawsze świeżem produkowaniem. Aby znaleźć mu równego, trzeba cofnąć się aż do Benedyktynów francuskich, nie ustępujących mu co do wytrwałości w pracy, lub słynnych polihistorów, co, jak Leibnitz, uprawiają naraz nieprzejrzane obszary wiedzy. Był lekarzem, przyrodnikiem, historykiem, filologiem, literatem, a w każdym z tych charakterów zdobył sobie wawrzyny niewiedniejące. W połowie zaś życia, *nel mezzo del cammin di nostra vita*, kiedy już wielkiego zażywał znaczenia, przeszedł do nauki nowej, oddał się w szkołę filozofowi, a przekonany, że znalazł prawdę, resztę życia służbie jej poświęcił. Ten stosunek odsłonił wszystkie przymioty jego pięknej duszy, a głównie jedną uwydatnił cnotę, której zwykle szukamy napróżno u filozofów. Wielu szczyliło się tem, że byli sławnego myśliciela uczniami, bo to przynosiło im chlubę, rozgłos, znaczenie; ale takich, którzy zaparli się własnej osobistości, całe szczęście swoje pokładali w wywyższaniu mistrza, dzieje filozofii ledwo kilku wymieniają. Są to *rari nantes in gurgite vasto*. Emil Littré był jednym z tych nielicznych, a to stanowi jego sławę najpiękniejszą. Jeszcze

wiele lat po śmierci mistrza, który często płacił mu grubą niewdzięcznością, a wkońcu odepchnął, napisał słowa szlachetne: „Uznaję, że zawdzięczam jemu moje istnienie filozoficzne, ową naukę, która mnie tesame usługi oddaje, jakie dotąd światu oddawała teologia lub metafizyka, naukę, która wszystkie korzenie swoje ma w wiedzy pozytywnej, bo tylko tę za panią moję uznać potrafię. Poddaję się więc przodowaniu Comt'a, a przyjmując to położenie, jak prawda rzeczy i własne moje uczucie mi nakazują, głoszę nieodwołalnie stały zamiar wywyższenia człowieka, pod którym się stawiam“¹⁾. Tej obietnicy pozostał wiernym aż do śmierci.

I.

Emil Littré pochodził z dzielnej rasy²⁾. Ojciec był rodem z *Avranches* w Normandyi, a w młodości bil się po różnych morzach przeciw Anglikom. Jako najcenniejszą pamiątkę z owych wypraw chował szpadę honorową, którą za odwagę szaloną ofiarowała mu ludność wyspy *Ile-de-France*. Dobral sobie żonę równego hartu, która będąc młodziutką panną, wyruszyła z oddziałem chłopów zbrojnych na pomoc republikanom oblegającym Lion, aby przyspieszyć oswobodzenie ojca z więzienia. Niedługo po małżeństwie przenieśli się do Paryża, gdzie urodził się 1 lutego r. 1801 Emil, najstarsze ich dzie-

¹⁾ Auguste Comte et la philosophie positive, p. 663.

²⁾ Najlepszą biografię filozofa napisał *Sainte-Beuve* w r. 1863 w trzech numerach *Constitutionnel'a*, a przedrukowaną w *Nouveaux Lundis*. Paris 1866. Tome V, p. 200—256. Wiadomości do lat późniejszych znajdują się w dziele: *Auguste Comte et la philosophie positive*, gdzie często mówi autor o stosunkach swoich z mistrzem; potem w przedmowie do nowego wydania *Cours de philosophie positive*; także w dziele: *Études et Glanures*. Paris 1880; w drugim wydaniu książki: *Conservation, Révolution, Positivisme*, która przypomina Retraktacye ś. Augustyna; nareszcie w kilku artykułach czasopisma *La Philosophie positive*. Monografia: *M. Littré et le positivisme* par E. Caro, Paris 1883, nie ma żadnej wartości. U nas napisał o nim artykuł bardzo udatny p. Ignacy Skrochowski w *Przeglądzie Powszechnym* r. 1884 (kwiecień).

eko. Po ojcu odziedziczył atletyczną siłę, po matce gorące serce, po obu razem nadzwyczajną prawość charakteru i miłość zasad republikańskich. Chodząc do kolegium *Louis-le-Grand*, był zawsze pierwszym w klasach, a przy końcu roku zabierał prawie wszystkie nagrody, niekiedy sto tomów i więcej. Szczęściem wielkiem, mieszkał zawsze przy rodzicach, bo nie masz instytucji szkodliwszej dla moralności lub rozwoju indywidualnego chłopców nad internaty francuskie. W dniach wakacyjnych spraszał do siebie zdolniejszych kolegów i ugaszczwał w ogródku, a często ojciec jego, podówczas szef biura administracji skarbowej, należał do zabawy lub mądrą rozmową wzniecał zapal do nauki. Miał bowiem stary marynarz niezwykle wykształcenie. Odebrawszy bardzo niedostateczne wychowanie, uzupełniał braki jego z tąsamą żelazną energią, z którą niegdyś bił Anglików po morzu Indyjskiem. Każdą wolną od zajęć biurowych chwilę poświęcał językom. Nauczył się po grecku, a nawet po sanskrycku, co było na owe czasy czemś fenomenalnym, był także członkiem czynnym stowarzyszenia azyatyckiego *Société, asiatique*. Mając taki wzór przed oczami, a ciągle zagrzewany do pracy, Emil nie tylko w wysokim stopniu poznał łacinę i greczyznę, lecz wyuczył się prywatnie niemieckiego, angielskiego i włoskiego języka, niezbędnych szczebli do jego późniejszych powodzeń.

Gdy miał lat ośmnaście, zaczął przygotowywać się do szkoły politechnicznej, ale chwilowe kalectwo, którego nabił się przy pływaniu, odwiodło go od zamiaru. Dopiero w r. 1821 mógł oddać się nanowo studjom, a tym razem obrał medycynę. Zdawało się, że na tem polu zostanie niełada znakomitością, bo z zadziwiającym zapalem odbył wszystkie kursa, ale gdy w r. 1827 stanąć miał do egzaminu doktorskiego, śmierć ojca nadała zwrot nowy jego życiu. W przedmowie do *Médecine et Médecins* powiada o sobie: „Pisałem dużo o medycynie: artykuły do dzienników, artykuły do Encyklopedyi, monografią o cholery, wydanie Hippokratesa; żyłem w szpitalach dziesięć lat jako externista i jako internista, towarzyszyłem pilnie jako uczeń Rayer'owi w jego wizytach, a jednak nie złożyłem żadnego egzaminu, nie mam żadnego tytułu medycznego i nie jestem lekarzem.“

Majątku żadnego nie było, a Emil jedyną nadzieją matki i młodszego brata. Zdawało się jemu, że niepewna karyera początkującego lekarza nie daje rękojmi utrzymania, a tak odstąpiwszy od egzaminu, daniem lekcyj opędzał potrzeby własne i rodziny. Przyjaciele, których to nadzwyczaj koreciło, zapoznali go z Armandem Carrel, naczelnikiem wpływowego podówczas dziennika *National*, ale ten nie poznał się na nim odrazu i przez lat kilka do tłumaczeń używał. Dopiero w r. 1835 przypadek zrządził, że polecono mu streścić głośną rozprawę John Herschell'a „o *studjowaniu filozofii przyrodzonej*“¹⁾). Littré wywiązał się z zadania z taką znajomością rzeczy i z takim talentem, że Carrel przeczytawszy artykuł, wpadł do sali wspólnej, gdzie przy długim stole razem z innymi siedział pokorny tłumacz, i zawołał: „To nie twoje miejsce, będziesz odtąd jednym z redaktorów.“ Z polepszenia swego materialnego skorzystał Littré, aby znowu oddawać się medycynie ulubionej. Przez sześć lat wszystkie chwile wolne przepędzał w szpitalu *la Charité*, pomagając słynnemu Rayer, a jego prace *O cholercze, O wielkich epidemiach* itp. zjednały mu uznanie powag fachowych. Od r. 1837 do 1846 wydawał czasopismo lekarskie: *L'Expérience*; później, w roku 1851 przełożył „*Podręcznik fizjologii*“ Müllera²⁾), a z Karolem Robin'em w r. 1854 sporządził nowe, zupełnie przerobione wydanie Dykeyonarza medycyny i chirurgii Piotra Nysten'a³⁾). Jego siła

¹⁾ *Preliminary discourse on the study of natural philosophy.* London 1830.

²⁾ *Manuel de Physiologie.* Paris 1851. 2 voll. Baillièrè.

³⁾ *Dictionnaire de médecine, de chirurgie, de pharmacie, des sciences accessoires et de l'art vétérinaire par Pierre Nysten, 10ième édition, entièrement refondue* par. E. Littré et Ch. Robin. Paris 1855. Baillièrè. Słownik wydany po raz pierwszy przez Capuron'a, udoskonalony przez Nysten'a, doczekał się dziewięciu edycji. Littré w części przez skromność, w części przez cześć dla Nysten'a, zachował jego nazwisko na tytule 10tej i 11tej edycji, wyrokiem jednak trybunału w r. 1866 zmuszony został do opuszczenia nazwiska, gdyż wdowa po zmarłym lekarzu oskarżyła Littré'go o wprowadzenie zasad do książki, których mąż jej nie podzielał.

produkcyjna była podówczas tak wielka, że znakomity artykuł „o sercu“ podyktował w jednej nocy. Szczytem zaś i koroną tych prac literacko-medycznych pozostanie nazawsze wydanie i przekład Hippokratesa. Już w r. 1834 księgarz Baillière zachęcał go do tej pracy, ale tyle wypadło zwyciężać przeszkód, że pierwszy tom nie prędzej ukazał się, jak w r. 1839, a dziesiąty i ostatni dopiero w r. 1862. Zaraz pierwszy tom wywołał podziw zasłużony, a uczucie to rosło z każdym tomem następnym. Tylko filolog może należycie ocenić ogrom tych trudów, towarzyszących takiemu zadaniu. Dzieła Hippokratesa leżały oddawna nietknięte, a o nim samym nie prawie nie wiedzano, choć tyle napisał i taki wpływ wywarł potężny na ruch umysłowy wieku Peryklesowego. Kolosalna ta postać była zapomniana, jak posąg jaki grecki zasypany piaskiem. Wszyscy czuli potrzebę nowego wydania, domagali się jej lekarze, filozofowie, literaci. Ale wydanie dzieł ojca medycyny należy do rzędu zadań, które wszystkich odstrasza. Aby je rozwiązać, trzeba być helenistą gruntownym a zarazem uczonym lekarzem, a taka kombinacya przytrafia się raz na sto lat. Littré był jednym i drugim i dlatego bez wahania, choć doskonale widział trudności, zabrał się do pracy. Zapewne filolog wytknie różne usterki w metodzie, jakiej trzymał się w ustaleniu tekstu, ale zważywszy, że po raz pierwszy musiał porównywać mnóstwo niezbadanych rękopismów, a za ich pomocą ułożyć tekst jakiś czytelny i że genialnie go oddał po francusku, należy uznać, że co wówczas w warunkach mógł zrobić jeden człowiek, to zrobił z całą sumiennością. A wstęp do pierwszego tomu, wzór dobrze udanego studium historyczno-krytycznego, jest najlepszą monografią, jaką mamy o Hippokratesie i długo mieć będziemy ¹⁾. Wieje z niej duch potężny cywilizacji helleńskiej, miłość gorąca wolności, zrozumienie szerokie sytuacji politycznej, wśród której działał i pisał ojciec greckiej me-

¹⁾ *Oeuvres complètes d'Hippocrate. Traduction nouvelle avec le texte grec en regard, collationné sur les manuscrits et toutes les éditions, accompagnée d'une introduction, de commentaires médicaux, de variantes et de notes philologiques, suivie d'une table générale des matières*, par E. Littré. Paris 1839—1861. Baillière. 10 voll.

dycyny. Przytoczę choć jeden ustęp, jako próbę stylu i metody, z którą francuski medyk-literat traktował przedmiot odległy, a napozór wcale nie nadający się do górnego polotu, do wznioślejszych uwag:

„Hippokrates kwitnął w epoce najświetniejszej cywilizacji greckiej, w wieku Peryklesa, który zostawił pamiątki nieśmiertelne. Żył razem z Sokratesem, Fidyaszem, Sofoklesem, Eurypidesem, Tucydidesem, Arystofanesem, a nie był niegodnym tego towarzystwa wysokiego. On także podzielał uczucie, które podówczas przenikało Helenów, dumnych z wolności, zapalonych zwycięstwami, zachwyconych utworami piękniemi w sztukach, literaturze i naukach. Zobaczcie w rozprawie „o powietrzu, wodach i miejscach,“ z jaką dumą Grek tryumfuje nad barbarzyńcem, człowiek wolny nad poddanym, mającym pana, Europejczyk zwycięzca nad Azyatą, wszędzie zwyciężonym na lądzie i na morzu. Czyż znaleźć można uczucie narodowe, z większą dumą wyrażone, nad tę wyższość rasy, którą lekarz z Kos przypisuje rodakom swoim? Im głębiej wnikamy w sens pism Hippokratesa, im dokładniej przejmujemy się treścią i formą jego myśli, tem lepiej się rozumiemy pokrewieństwo jego z wielkimi umysłami społecznymi, tem silniej jest się przekonany, że on także jak oni, nosi na sobie piętno greckiego geniusza.“

Po ukazaniu się pierwszego tomu, Akademia *des Inscriptions et Belles-Lettres* (jedna z pięciu, z których składa się Instytut francuski) postanowiła autora zamianować członkiem swoim, ale wprzód musiała pokora jego przebyć ciężką próbę. Istnieje we Francji śmieszny acz starodawny zwyczaj, że kto chce do Akademii należeć, musi sam postawić kandydaturę swoją i ubiegać się o głosy. Oczywiście Littré, pomimo nalegań przyjaciół, nie byłby zdecydował się na taki krok upokarzający, gdyby nie prośby starej matki, której się to zdawało potrzebnem dla szczęścia syna. Odbył więc prawem przepisane wizyty, a towarzyszył mu przyjaciel od serca Barthélemy Saint-Hilaire, znany już podówczas z przekładu *Polityki Arystotelesowej*. Bywało, że który z akademików przerażał się, widząc aż dwóch przybywających kandydatów, ale Saint-Hilaire prędko uśmierzał

obawy, mówiąc: Nie Arystoteles przychodzi po wasze głosy, lecz Hippokrates.

Gdy wszedł do Akademii, otwarło się przed nim szerokie pole do pracy. Wybrano go do komisji, układającej „Historią literacką Francji“ (*Histoire littéraire de la France*), a w tym charakterze napisał dużo sprawozdań i notatek do trzech tomów (XXI—XXIII) olbrzymiego wydawnictwa. Opracował medycynę średniowieczną, glosaryusze, poezye starofrancuskie itd., a tak coraz gruntowniej poznawał język i literaturę najdawniejszą Francji. Nie był zresztą nowicyuszem w tych studiach, bo już od r. 1836 umieszczał w *Revue des deux mondes* bardzo wykwintne studia o tych samych przedmiotach, zwłaszcza o trubadurach, a że miał bardzo praktyczny zwyczaj pisania w języku, którego się uczył, mniemając, że tak lepiej pozna jego formę i ducha, przetłumaczył jedną pieśń Iliady i całe „Piekło“ Danta na francuszczyznę XIV wieku. Przekłady te, niedostateczne pod względem poezji, wielką odznaczały się znajomością gramatyczną dawno umarłego języka. Poezyę zresztą zawsze lubił, a w młodości sam pisywał wiersze i wierszem przekładał poezye Szyllera ¹⁾). Nie należy oczywiście zbyt surowej miary przykładać do utworów młodzieńca, któremu Bóg odmówił prawdziwego natchnienia, a dał pragnienie wielowiedzy; ale z ćwiczeń owych wyniósł nie tylko gust formy pięknej, lecz i znajomość mechaniki języka. W ogóle miał namiętność do tłumaczenia, której aż do śmierci folgował. W tym samym roku, w którym wszedł do Akademii, przełożył „Żywot Jezusa“ doktora Strauss'a ²⁾), praca również tru-

¹⁾ Ukazały się w *Revue germanique*, a samodzielne poezye w *Littérature et histoire*. Paris 1875. W dziele tem przedrukował także autor szereg artykułów, rozrzuconych po dziennikach. Obszerniejsze artykuły z wyżej wymienionych czasopismów weszły do dwóch innych dzieł: *Etudes sur les barbares et le moyen âge*. Paris 1867. Didier. *Histoire de la langue française. Etudes sur les origines, l'etymologie, la grammaire, les dialectes, la versification et les lettres au moyen âge*. 2 voll. Paris 1862.

²⁾ *Vie de Jésus ou examen critique de son histoire par le docteur David Frédéric Strauss. Traduite de l'allemand sur la dernière édition*, par E. Littré. Paris 1839—1840.

dna, jak niewdzięczna, gdy się zważy ciemność oryginału i ujemność jego rezultatów. W r. 1848 w zbiorze łacińskich autorów Nisard'a, wydał z przekładem całą „Historię naturalną“ Pliniusza ¹⁾, robota gładka, pilna ale powszednia, bo też nie mógł jej poświęcić dwudziestu pięciu lat, jak Hipokratesowi. Kto zresztą może poszczycić się, że zrozumiał lub dokładnie wyłożył tysiące miejsc ciemnych w olbrzymim dziele admirała rzymskiego, którego umysł ciekawy, badawczy, zajmował się *omnibus rebus et quibusdam aliis*.

Od r. 1852 często pisywał do *Journal des Débats*, a w 1855 zaproszony na stałego współpracownika do *Journal des Savants*, regularnie w nim umieszczał artykuły filologicznej lub historycznej treści. A jak gdyby tych zajęć nie dosyć było, Littré, którego zapał się wzmagał, z przybywaniem pracy postanowił wykonać zamiar, o którym marzył oddawna. Już koło r. 1840 mówił o potrzebie nowego słownika, bo tak zwany *Dictionnaire de l'Académie* nie odpowiadał potrzebom czasu, ale przerażała go wielkość przedsięwzięcia. Myśl jednak uparta wracała, a może na serwo nigdy jej nie porzucił. Nalegał także przyjaciel z lat szkolnych, zasłużony księgarz Hachette, ofiarując wszelką pomoc materialną. Tak nareszcie w 1856, po nocy bezsennej, gorączkowej, w której odważył resztę sił, które mu pozostały, a długość pracy, do której się zabierał, podpisał kontrakt. Nikt lepiej od niego nie był przygotowany do podobnego dzieła. Studyami nad gramatyką i literaturą starofrancuską zebrał sobie obszerny materiał, a znajomość niemieckich prac na polu lingwistyki porównawczej, zwłaszcza romańskiej, ułatwiła mu wynalezienie nowej, poprawnej metody. Postanowił oprócz słów zawartych w Dykeyonarzu Akademii, zebrać ile się dało neologizmów i archaizmów, a przy każdym słowie podać, oprócz wymowy, główne właściwości gramatyczne, potem definicyą i różne znaczenia, stwierdzone przykładami

4 voll. Ladrance. Nowa edycja z r. 1856 w dwóch tomach, poprzedzona jest przedmową obszerną, o której później zrobimy wzmiankę osobną.

¹⁾ *Histoire naturelle de Pline*, traduite par Littré, avec le texte en regard. Paris 1848—1850. 2 voll. Édition de Nisard.

z autorów trzech ostatnich wieków, a nadto historią każdego słowa u dawniejszych autorów i jego etymologią. Oczywiście tak obszerny plan nie zawsze dal się przeprowadzić w zupełności, ale mając go ciągle przed oczami, zdołał autor stworzyć słownik, rzeczywiście historyczny, uwzględniający, o ile to zrobić się dało, rozwój każdego słowa od początku literatury francuskiej do naszych czasów. Jak nie odrazu Rzym zbudowano, tak i ten plan genialny dojrzewał powoli, ulegał różnym modyfikacyom. „Ten, kto patrzy na moje cztery tomy, powiada autor, i na ich tysiące stronnic o trzech kolumnach, zapewne sądzi, że na to wszystko wiele czasu potrzeba było, ale nie domyśla się, ile czasu, bez żadnego śladu, pogrzebano w poszukiwaniach próżnych i bezowoenych, gdy wypadało cofać się wtył, przerabiać, zaczynać nanowo.“ Księgarz dostarczył ludzi wykształconych, którzy na karteczkach spisywali pod każdym słowem odnośne zwroty i sposoby mówienia. Sam Littré zebrał ich wiele, a żona i córka pomagały skrętnie. Karteczek sypało się bez liku, jak platy śniegu w zimie. I nowa powstała trudność, żeby wybrnąć z tej zawieji. „Przy rozmiarach, jakie zamyslałem nadać Słownikowi byłbym bez ratunku zginął w czasie i przestrzeni, gdybym by lw każdym z działów chciał uledz pokusie, żeby być kompletnym. Należało koniecznie zdobyć się na ofiarę, pamiętając na całość, a zabraniając sobie ostatecznego wykończenia części. Nie pożałowałem tego postanowienia. Całość się zrobiła, a o nią głównie chodziło, bo w wielu razach całość rozstrzyga o częściach ostatecznie.“ Dzięki tej przezornej metodzie, już w r. 1859 było kilka arkuszy gotowych do druku, ale autor nie chciał ich oddać, dopóki cały manuskrypt nie będzie ukończony. Księgarz przeciwnie, pragnął zaraz druk rozpocząć, przewidując słusznie, że bez tego przymusu moralnego Littré nigdy nie skończy dzieła, tyle zawsze lubił poprawiać i uzupełniać. Po długich układach a wielkiej walce wewnętrznej, filozof wkońcu ustąpił. Już 27 września 1859 składano pierwszy arkusz, a 4 lipca 1872 odbito ostatni. Druk olbrzymiego dzieła trwał lat trzynaście, z jedną tylko przerwą, kiedy najazd pruski, a po nim straszne dni komuny ubezwładniły wszelką pracę umysłową w Paryżu. Wtedy, jak każdy prawy Francuz, Littré, pogrążony w ponurej

apatyi, czuł się niezdolnym do pracy jakiegokolwiek; zresztą, nie miał nawet skryptów swoich i karteczek pod ręką, bo na pierwszą wieść o nadejściu Prusaków, kazał je w ośmiu skrzyniach pochować w piwnicach Hachett'a. Tam spoczywały nietknięte aż do czerwca r. 1871. Gdy 4 lipca roku następnego odbito arkusz ostatni, radość jego nie znała granic. Nie przypuszczał nigdy, że potrafi dokończyć dzieła, którego kolumny dodane do siebie tworzyłyby pas 37 kilometrów długi¹⁾.

Wydaje się prawie niepodobnem, że Littré, zajęty tyłu innemi pracami, umiał znaleźć dosyć czasu na tak męczącą i suchą robotę, która przez lata całe z przerażającą jednostajnością powtarzała się. Jednakże Littré był mistrzem w korzystaniu z czasu, a chociaż nie zamykał się hermetycznie przed ludźmi, umiał jednak większą część dnia zachować dla siebie. Opowiada autor swój sposób życia w bardzo zajmującej pogadance: *Comment j'ai fait mon dictionnaire de la langue française*:

„Urządziłem się tak, że wyrzekłszy się każdej rzeczy niepotrzebnej, pozwoliłem sobie jednak zbytek dwóch mieszkań, jednego na wsi, a drugiego w mieście. Mieszkanie wiejskie było w *Mesnil-le-Roi*, z małym starym domkiem i ogrodem. Ogród miał trzecią część hektaru, był dobrze utrzymywany, wydawał owoce i jarzyny, słowem, jak starcowi u Wirgiliusza: *dapibus mensas onerabat inemptis*. Tam prawie na samotności, mogłem łatwo rozrządzać godzinami. Wstawałem o ósmej z rana. Powiesz może, czytelniku, że to bardzo późno dla człowieka, który miał tyle do roboty. Pocekkaj. Gdy robiono porządek w sypialni, która była zarazem pracownią moją (powiedziałem już, że dom był stary i mały), schodziłem do parteru, zabierając ze sobą jakąś robotę; tam np. między innemi rzeczami, napisałem przedmowę do mego Słownika. Nauczył mnie kanclerz d'Aguessau, żeby nie lekceważyć chwil, które wydają się bez wartości; on, który

¹⁾ *Dictionnaire de la langue française*, par E. Littré, stanowi dwa ogromne tomy, podzielony każdy na dwie części, wielkiego formatu in 4to. Pierwszy tom, oprócz przedmowy (str. LIX), ma stron 2080, drugi 2628. Każda strona drukowana drobnym drukiem w trzech kolumnach.

miał żonę tak nieregularną, że zawsze spóźniała się do stołu. Pewnego razu ofiarował jej nową książkę, z słowami: „Oto owoc chwil, które czekałem na panią przed obiadem.“ O dziewiętej wracałem do mego pokoju i aż do śniadania przeglądałem korektę, która była tymczasem nadeszła. O pierwszej siadałem znowu za biurkiem i aż do trzeciej popołudniu załatwiałem prace dla *Journal des Savants*, któremu należała się odemnie regularna kontrybucya, skoro wybrał mnie w r. 1855 współpracownikiem. Od czwartej do szóstej siedziałem nad Słownikiem. O szóstej schodziłem na obiad, który zawsze był gotów, bo żona moja nie naśladowała pani d'A g u e s s a u. Godzina mniej-więcej wystarczała. Polecają przepis nibyto higieniczny, żeby nie siadać do pracy zaraz po jedzeniu. Ja regularnie nie przestrzegałem tej rady, odkąd przekonałem się, że mi to nie szkodziło, a tyle zyskałem czasu, ile go urywałem potrzebom ciała. Wróciwszy do siebie o siódmej, zabierałem się nanowo do Słownika i już więcej go nie rzucałem. Jeżeli nie miałem gości, to pierwszy przestanek był o dwunastej, drugi o trzeciej. Wtedy *pensum* codzienne zwykle było skończone; w przeciwnym razie czuwałem dalej, a nieraz, gdy dni były długie, gasiłem światło i kontynuowałem przy jasnym brzasku porannym.“

Nieprawda, że trudno wypełniać lepiej dzień boży! A przy tym sposobie życia nie był filozof odludkiem. Miał nieraz przyjaciół na obiedzie i lubił z nimi dyskutować; często odwiedzał ubogich, których leczył zadarmo, a czasem nawet na nich kwestował. Nie zaniedbywał spacerów, a ileżto razy widywano go w żywej rozmowie z proboszczem lub wikarym. Najtrudniej jednak było namówić go do nowej pracy, bo zdawało mu się absolutnem niepodobieństwem, żeby mógł obok Słownika jeszcze znaleźć czas na cośkolwiek. Mimo to zdarzało się, że uległ, a niepodobieństwo stawało się podobnem. Tak powstała gruba książka: *Auguste Comte et la philosophie positive*. Opowiada jej początek w tych słowach:

„W chwili, kiedy zaczynałem być jak najbardziej zajęty moją pracą (w r. 1861), wdowa po Auguste Comte prosiła mnie, abym napisał żywot jej męża, twierdząc, że ja tylko, zważywszy wszystkie okoliczności, mogłem napisać go na podstawie najlepszych informacji. Oddawała mi zarazem

wszystkie jego pamiętniki i papiery. Długo się wymawiałem, dowodząc, że Słownik mnie pochłaniał całego. Wzamian przyrzekałem, że jak tylko będzie skończony, zabiorę się do pracy żądanej, bo poczuwałem się do tego obowiązku, który zmarłemu mistrzowi należał się od ucznia żyjącego. Pani Comte z większą racją, niż przypuszczałem podówczas, twierdziła, że zbyt daleko odkładałam wykonanie obietnicy mojej. Dyskusye nasze co do tego punktu były gwałtowne, bo czułem, jak trudno mi było ją zadowolnić, a lada chwilę zagrażało zerwanie. Wkońcu upartością swoją zwyciężyła moję. Przerzywałem o północy pracę nad Słownikiem, a od północy do trzeciej zajmowałem się życiem Augusta Comte. Te trzy godziny poranne, regularnie bez przerwy, w ciągu jednego roku zabierane a dodane do chwil, które mogłem tu lub tam przydybać, wystarczyły. W r. 1863 tom był gotów.“

Wzmianka o Auguste Comte każe nam spieszyć dalej. Zatrzymanie się przydłuższe nad uczonym i literatem, który przecież był czemś więcej jeszcze, bo filozofem, ten może względ usprawiedliwi, że dobrze jest polskim czytelnikom stawiać przed oczy obraz pracy potężnej i wszechstronnej. Tylko taka praca bogatopłodna może nam wrócić miejsce przynależne w umysłowości europejskiej, utracone przed trzema wiekami. Ta jednak działalność świetna i zdumiewająca a tak obszerna, że wystarczałyby na zapełnienie dwóch żywotów ludzkich, bo czy Littré byłby ograniczył się do prac medycznych i przekładu Hippokratesa, czy poprzestał na studyach filozoficznych i Słowniku, zawsze miałby zapewnioną pamięć zaszczytną w literaturze, otóż ta działalność jest tylko jedną stroną jego życia pracowitego, a nie tłómaczy ani rozgłosu, którego używał za granicą, ani wpływu, który wywierał w ojczyźnie. Jeżeli w ostatnich dwudziestu latach tak często o nim pisały gazety, to nie dlatego, że studyował Danta, układał Słownik lub objaśniał Hippokratesa, lecz dla jego opinij filozoficznych i politycznych. Imię jego stało się hasłem, pod którem stawali we Francji wszyscy nieprzyjaciele religij, wszyscy stronnicy demokracji niewierzący, wszyscy wielbiciele nowej filozofii, zrywającej naraz z przeszłością narodową, z wiarą teologiczną, z dogmatem metafizycznym. A za granicami Francji wszyscy tak zwani

pozytywiści patrzali z ezią i dumą na człowieka, który przez długie lata był najwytrwalszym, najwymowniejszym, najsympatyczniejszym flómaczem nowej nauki. Większość od niego dopiero dowiedziała się, co to pozytywizm, a jeżeli Comte po śmierci stał się sławniejszym, niż za życia, to jedynie jemu zawdzięcza apoteozę swoją. Zanim przejdziemy do tej najważniejszej fazy w jego życiu, wypada nam jednak cofnąć się o lat kilkanaście.

II

W r. 1835 Littré się ożenił. Zdziwiło to wszystkich znających jego usposobienie, bo mniemali, że zostanie starym kawalerem. W istocie był trapiiony wielkim niepokojem, miewał chwile zwątpienia, myślał nawet o samobójstwie. Walce wewnętrznej konieć położyła matka, wyszukawszy mu żonę dobrą i zącą, a bez oporu z rąk jej przyjął towarzyszkę życia. Małżeństwo było szczęśliwe i wzorowe, bez chmurki najmniejszej przeszły długie lata. Zastanawia to bardzo przy braku zupełnym wspólnych przekonań. Matka protestantka, żona katoliczka, a on w nie nie wierzył. Mimowoli nasuwa się porównanie z małżeństwem Comt'a, które pod koniec zmieniło się w piekło domowe, a tutaj troje osób, o wyobrażeniach różnych, żyło razem szczęśliwie. Był to w części sługa Littré'go, który nikomu nie narzuczał swoich poglądów, a w części żony, która przez życie całe modliła się o nawrócenie męża, ale nigdy nie wszczyniała dyskusyj, przynoszących uszczerbek miłości. Sam też filozof pod tym względem był niezrównanej delikatności. Gdy mu narodziła się córka, pozwalał żonie wychowywać ją po katolicku. Gdy podrosła, dawał jej leky, ale o religii nigdy nie mówił. Raz tylko silną miał pokusę, aby powiedzieć jej wszystko i kazać wybierać między filozofią swoją a religią matki, ale na myśl samą, że to matce rozedrze serce, cofnął się przerażony. „Niech stoicy ateizmu mnie potępią, zawołał, ale próba ta nie warta lez, które gotowe popłynąć.“

Kilka dni przed śmiercią, konającą już ręką, napisał ostatnią pracę: *Pour la dernière fois* dla swego przeglądu:

La philosophie positive ¹⁾, a tam wyklada obszernie przekonania swoje religijne. Między innymi rzeczami wspomina także o przygodzie, którą miała pani Augustowa Craven, córka hr. de la Ferronnais w zamku Palmerstona. Tam pewnego razu Karol Greville pożyczył jej książkę, pełną wycieczek przeciw religii; ona zaś, przejrawszy parę stronnic, zwróciła mu ją z wielkiem niezadowoleniem. Wtedy niedowiarek przeproszał ją serdecznie: „Nie przypuszczałem, żeby pani mogła książka ta zaszkodzić, bo za nic w świecie nie chciałbym pani zachwiać w wierze. Och! niech mnie Bóg od tego strzeże! Zabrałbym pani coś wielkiego, a nie miałbym nie do dania w zamianę.“ Nad tem zdarzeniem robi autor taką uwagę:

„Karol Greville grubo zawinił, dawszy pani Augustowej Craven książkę, przeciwną jej teologicznym przekonaniom. Uczul to i przyspieszył błąd naprawić oświadczeniem że nie miał zamiaru zamieszać pokoju duszy, którego pan, owa używała. Pokój taki jest rzeczywiście dobrem wielce cennem dla tych, którzy go posiadają, a zasługuje bardzo na to, aby był szanowany przez innych. Ja zawsze szanowałem go uważnie.“

Dowodził często, że pozytywizm powinien odznaczać się najwyższą tolerancją, na co jednak ani mistrz jego nigdy się nie zgodził, ani większość jego kolegów. Widać to było po wielkiem nieukontentowaniu liberalnego stronnictwa, gdy w r. 1877 podczas głośnych rozpraw o wolnem nauczaniu brał w obronę Jezuitów.

Nie odrazu jednak został niewierzącym. Ojciec jego, człowiek najzaciejszy i pełen wielkich cnót przyrodzonych, nie był chrześcijaninem, ale wolteryanizmu nie cierpiał. Gdy podraszały dzieci, poczuwał się nawet do obowiązku oświecenia ich i siebie w wierze, ale, jak syn zaręcza, nigdy, pomimo najlepszej chęci, do wiary nie doszedł. Matka protestantka, miała jakieś pojęcie o chrześcijaństwie, ale syna katechizmu nigdy nie nauczyła, a co gorsza, nawet ochrzcić nie dala. Zdarzało się to dosyć często we Francyi podczas ery rewolucyjnej. Modliła się jednak czasem, a ztąd syn wnosil słu-

¹⁾ Juillet-août 1881, p. 12—28.

sznie, że w coś wierzyła. „Gdy w r. 1811 mała siostra moja na krup umierała, uklękła matka, a mnie przykazała to samo zrobić i modlić się do Boga o wyzdrowienie jej córki. Podczas choroby okrutnej, która w r. 1838 zabrała brata mego, znowu uklękła, ale tym razem już nie modliłem się przy jej boku. Aby się modlić, trzeba wierzyć w cud, a ja wtedy już nie wierzyłem. Na matce mojej pozostał ślad jakiś wychowania protestanckiego.“

„Wierzyłem, opowiada o sobie ¹⁾, w to, w co zwykle wierzą dzieci, w Boga, w duszę i życie wieczne. Wiarę tę bez żadnej nauki dogmatycznej wyniosłem z otoczenia mego. Pewnego wieczora, siedząc w pokoiku moim, gdzie po powrocie ze szkoły zabierałem się do książki, ni ztąd ni zowąd zadałem sobie pytanie: Na jakiej podstawie wierzysz w to, co wierzysz? Wielce się zdziwiłem, a nawet trochę przeraziłem, gdy odpowiedziałem sobie, że wiara moja polega na argumentach gorzej lub lepiej wyrozumowanych, ale nie ma za sobą faktu obiektywnego, któryby jej użyczał rzeczywistej pewności. Byłto cios niespodziany, który uderzył głęboko.“
 Od owej chwili porzucił nazawsze to, co nazywał religią przyrodzoną. Każdy widzi, że młodzieniec źle kwestyę postawił. Pojęcia, które miał, nie były żadną wiarą, lecz syllogizmami. Poganie także rozumowali o Bogu lub duszy, a jednak nie wierzyli. Wiara odnosi się do objawienia pozytywnego, bo dopóki Bóg nie przemówi, nie wiemy ani w co wierzyć, ani komu. Littré zaś objawienia chrześcijańskiego nie znał, ani wiedział, dlaczego chrześcijanie wierzą. Pojęcia jego teologiczne nie były owocem wiary religijnej, nie były wyrte w sercu pismem niezniszczalnem, lecz zapisane w pamięci. Jakiemi popierał je dowodami, nie powiedział; znać nie były bardzo silne, skoro pierwsze zwątpienie, jak gąbka litery na tablicy, zatarło je bez śladu. Wiary nie można uzyskać rozumowaniem, trzeba ją sobie uprosić modlitwą. A Littré modlić się nie umiał, nawet nie był wodą chrztu św. wcielony do Kościoła. W starości zrozumiał, że gdy się niema wiary,

¹⁾ W artykule: *De la situation théologique du monde*. Zob. *La Philosophie positive*, année 1877. Juillet-août p. 168.

to najlepiej o nią się pomodlić. W artykule „*Pour la dernière fois*,” z którego przytoczyłem wyjątek, zastanawia się nad drogą, na której Olivaint doszedł do wiary. Świątobliwy Jezuita, zamordowany podczas komuny w 1871, w młodości był w podobnym położeniu. On także w nie nie wierzył. Pragnąc oświecić się, przyszedł do księdza Ravignau, aby z nim dyskutować o wierze. Ten przyrzekł, że będzie dyskutował ale dopiero wtedy, gdy się wypowiada; a gdy poszedł za radą, nawrócił się bez dyskusji. Dodaje Littré: „Mnie także usiłowano kiedyś nawrócić, a zaczęto od tego, że proponowano, jak Ojcu Olivaint, abym naprzód zrobił akt wiary. Zdziwiło mnie to podówczas, ale później przekonałem się, że księża mają wielkie doświadczenie, jak w danym razie postępować z duszami. Przykład Ojca Olivaint dowodzi tego w sposób znamienity.“

Littré, choć nie zdecydował się na środek podobny, nie miał jednak ochoty poprzestać na samej negacyi. Jego natura szlachetna szukała jakiegoś gruntu niewzruszonego, na którym stanąwszy, mogłaby ukochać prawdę i nabrać pewność, że dla niej żyje i pracuje. Długo jednak szukał na próżno, bo rozrywany licznymi studjami, nie mającemi nic wspólnego z teologią, rzadko z nią się spotykał i tylko mimochodem. Wtedy Niemcy odbrzmiewały rozgłosem książki Straussa: *Das Leben Jesu*. Widocznie zrobiła na nim wielkie wrażenie, skoro ją przetłumaczył, ale będąc owocem krytyki negacyjnej, nie mogła wypełnić próżni jego duszy. Szesnaście lat później, gdy drugie wydanie ogłosił, w przedmowie taką zrobił uwagę: „Gdyby mnie zapytano, dlaczego zaraz do pierwszej edycyi nie dodałem tej przedmowy, odpowiem, że dla mnie także czas, nie bez korzyści, posunął się naprzód. Dziesięć lub dwanaście lat temu, było niepodobieństwem, abym napisał to, co teraz piszę, tak jak teraz nie potrafiłbym napisać nic innego. Przekonania pozytywne obrały sobie siedzibę we mnie, a kto wyobrazi sobie powszechny zamęt duchów, większy od zamętu politycznego, na całym Zachodzie, ten zrozumie, jak wielkie dobrodziejstwo one ze sobą przynoszą“¹⁾.

¹⁾ *Vie de Jésus* itd. Tom I, str. II. Wydanie z r. 1856.

Przypadek zrządził, że w r. 1840 przyjaciel pożyczył mu „System filozofii pozytywnej.“ Comte dowiedziawszy się o tem, posłał mu egzemplarz. „Nie zawiódł się na tym pierwszym kroku. Książka jego mnie podbiła. Powstała w umyśle moim walka między dawnymi mniemaniami a nowemi. Te tryumfowały tem bezpieczniej, że ukazując mi przeszłość moją jako bagno, nie wywołały we mnie zerwania lub kontradykcyi, lecz rozszerzenie i rozwój. Stałem się od chwili owej uczniem filozofii pozytywnej i pozostałem nim, bez żadnych innych zmian, prócz tych, które nakazywało mi nieustające pragnienie, aby przy innych zajęciach zresztą obowiązkowych pracować, o ile ona dopuszczała tego, nad jej *sprostowaniem i powiększeniem*“¹⁾). Ten zamiar miał dziesięć lat później poróżnić ucznia z mistrzem, ale w r. 1840 nie zapowiadało takiego końca. Littré całą duszą przyłgnął do niego, a pokochawszy, oddawał się jemu bez zastrzeżenia, z ufnością dziecka. Wdzięczność jego nie знаła granic, bo tyle lat, z wielkiem niepokojem ducha, szukałszy prawdy, sądził, że teraz ją znalazł, a z nią szczęście zupełne. Pomijając tę iluzję, wspólną wszystkim neofitom, gdy dostają się pod wpływ potężnej osobistości, nie trudno dostrzedz, że przyjaźń ta była *un vrai partage de lion*, a korzyść cała po stronie mistrza. Comte był podówczas mało znany. Jego „Kurs filozofii pozytywnej“ przeszedł prawie niespostrzeżony, a „przedmowa osobista,“ w której rzucił wyzwanie wszystkim szkółom i stronnictwom zgotowała mu mniej-więcej położenie biblijnego Izmaela, którego ręce także były przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciwko niemu. Było więc zyskiem nieobliczonym dla jego sprawy, że nagle znalazł ucznia zdolnego, który ubolewając nad jego położeniem, wszystkie siły gorącej duszy poświęcił popularyzowaniu i obronie jego systemu. Zasiadając w redakcyi *National'u*, bez trudności do niego wprowadził nową filozofię. W r. 1844 wyłożył ją w sześciu obszernych artykułach, czem nietylko sprawił wielką radość mistrzowi, lecz w szerszych kolach obudził dla niego żywe zajęcie²⁾). Odtąd każdą chwilę wolną poświęcał apo-

¹⁾ *Auguste Comte et la philosophie positive. Préface.*

²⁾ Artykuły te wyszły w roku następnym w Paryżu i w Ut-

stołowaniu na rzecz nowej nauki. W r. 1849 ogłosił: *Application de la philosophie positive au gouvernement des sociétés*, a w tymże roku w *Revue des deux mondes* z powodu Logiki Mill'a: *Du développement historique de la Logique*.

Gdy po wybuchu rewolucyi lutowej Comte założył stowarzyszenie pozytywistyczne, aby za jego pomocą idee swoje czynnie wprowadzić do życia społecznego, Littré należał do różnych komisyj, wypracował nawet projekt nowego rządu, według którego władza najwyższa miała na czas nieograniczony być oddaną trzem proletaryuszom, z czego w latach późniejszych śmiał się serdecznie, twierdząc, że projekt jego zawierał same niemożliwości. Nie tał zresztą, że przyjął na siebie odpowiedzialność za myśli obce, których nie podzielał; dowód wymowny, jak był przywiązany do mistrza, skoro wyrzekał się nawet własnej indywidualności. „Comte mnie oskarżał, gdy od niego się oddzieliłem, że nie byłem uległy. Teraz, zmuszony odwołać to, co wówczas napisałem, znajduję, że uległość moja była zbyt wielka. Błąd mój, którego ani mogę ani nie chcę zmniejszyć, był w tem, że przyjąłem bez rozbioru idee, które po rozbiorze odrzucam. Wyznaję bez ogródki, że to wielka dla mnie porażka umysłowa, a jako taką, ją zapisuję. Jedyne wynagrodzeniem, które w niej znajduję, a nie pozbawionem wartości, jest naprzód lekcy pokory, a potem słuszna przestroga: jedna dla mnie, abym niedowierzał sobie, druga dla moich czytelników, aby nie widzieli we mnie przewodnika bezwzględnie pewnego, chyba gdzie idzie o dobrą wolę moją.“ Piękną tę retraktacyą, napisał w r. 1863 ¹⁾).

Przyszła jednak chwila, w której musiał zerwać z ubóstwianym mistrzem. Wiedzano, że ten oddawna pracował nad wielkiem dziełem, które miało być uwieńczeniem jego systemu. Pewnego razu przyniósł manuskrypt na posiedzenie pozytywistów, a oświadczywszy z góry, że nie dopuści żadnej dyskusyi, nawet żadnej uwagi, zaczął czytać. Littré słuchał

recheie pod tytułem: *Analyse raisonnée du cours de philosophie positive de M. Auguste Comte*.

¹⁾ *Auguste Comte et la philosophie positive* p. 601.

z natężoną uwagą. Spodziewał się nowej rewelacji politycznej, większej jeszcze od filozofii pozytywnej. Ale „pozostałem zimny, żadne światło nie zabłysło w mojej głowie; słowa odbijały się o moje uszy, ale nie towarzyszyło im żadne jasne przeświadczenie. Nie chwytalem związku między zasadami a wynikami, skutkiem czego wyniki zdawały mi się być niespodziankami“¹⁾. Takie było pierwsze wrażenie, które zrobiła na nim religia pozytywna. Od tej chwili czuł, że mistrz wszedł na nowe tory, dla niego nieprzystępne. Nie myślał jednak o zerwaniu, przeciwnie, z wrodzoną sobie szlachetnością oskarżał siebie, że nie rozumie nowych myśli. „Taka była przewaga, jaką miał Comte nademną, że w tem zdarzeniu nie obwiniałem ani jego, ani jego książki nowej, lecz siebie. Przypuszczałem, że tego rodzaju teorye były zbyt oderwane i zbyt trudne, aby można je zrozumieć, raz jeden usłyszawszy. Przyjąłem tymczasem nieudolność moją, a pod naciskiem okoliczności szedłem za twierdzeniami, które mi podawano; podejrzewając jednak, że czytanie rozważne, po ukazaniu się tomów, może zmodyfikować moje przyzwolenie. Przeczytałem je rzeczywiście później raz i drugi, a teraz po dojrzałem zastanowieniu przekonałem się, że powinienem cofnąć chwilowe zgodzenie się, bo istnieje tu błąd przeciw metodzie“²⁾.

Przy budzącej się opozycji w uczniu a znanym despotyzmie mistrza, zerwanie stało się nieuniknionem. Nastąpiło jednak prędzej, niż obaj przypuszczali, a nawet przed całkowitem ukończeniem „Systemu polityki pozytywnej.“ Im bardziej Comte przejmował się rolą arcykapłana, tem większy czuł wstręt do rzeczypospolitej, a najwygórowańsze nadzieje pokładał w Napoleonie. Gdy ten nareszcie zrzuciwszy maskę, zamachem stanu torował sobie bez skrupułów drogę do korony cesarskiej, Comte nie posiadał się z radości, a biorąc za dobrą monetę kilka frazesów grzecznych Vieillard'a, dawnego guwernera Ludwika Napoleona, oddawał się iluzji naiwnej, że Napoleon pracuje nad zwycięstwem pozytywizmu, a skończywszy gruntownie z anarchią rewolucyjną,

¹⁾ Tamże str. 527.

²⁾ Tamże str. 528.

dobrowolnie w jego ręce złoży najwyższą władzę. Littré przeciwnie, uważał zamach 2 grudnia za to, czem był w istocie, za zbrodnię niesłychaną, a Napoleona za wiarołomcę. „Przysięga została złamaną, a rzeczpospolita zniszczoną przez tego, który przyjął na siebie obowiązek, być jej pierwszym urzędnikiem“¹⁾. Oczywiście, dwaj ludzie, z których jeden pozbawiony był zmysłu moralności, drugi samą prawością, nie mogli dłużej iść razem. Littré do tego stopnia brzydził się jakąkolwiek nieuczciwością, że nawet tryumfu filozofii pozytywnej nie byłby chciał okupić najmniejszą podłością polityczną. Aż do śmierci nie mógł przeboleć, że jego ziomkowie głosami swemi uprawnili krzywoprzysięstwo Napoleona III. „Tym razem, jak dawniej, głosowanie powszechnie uświęciło wszystko: złamanie przysięgi i cesarstwo. Zaczęto myśleć, że przysięga polityczna to ofiara, którą należy zabijać na cześć naszych rewolucyj“²⁾. I z sercem rozdartem napisał w starości te słowa: „Gdy oddawano głosy na człowieka, który nieuczciwie złamawszy przysięgę, nazajutrz żądał, aby jemu przysięgano na wierność, urąganie niepotrzebne, jakiemu nie można znaleźć drugiego, chyba że do cesarów rzymskich się cofniemy, wtedy trzeba było wyznać, że Francya miała rząd, na jaki zasługiwała“³⁾.

Odstąpił Littré mistrza, bo nie można było pomyśleć o wypełnieniu przepaści, która rozwarła się między nimi. Warto jednak podnieść, że Comte żegnał ucznia z nienawiścią w sercu, a ten mu pozostał wdzięcznym aż do grobu. Z troskliwością delikatną i wyszukaną nie przestawał czuwać nad jego losem, urządzał składki publiczne, zapewniające mu życie wygodne; szerzył, choć odepchnięty i prześladowany, teorię pozytywistyczną według metody jej pierwotnej, a błędy jej twórcy jak mógł uniewinniał. A robił to wszystko, idąc jedynie za głosem serca wdzięcznego. W roku 1855

¹⁾ *Fragments de Philosophie positive et de Sociologie contemporaine* p. 370.

²⁾ Tamże p. 370.

³⁾ *La Philosophie positive*. Année 1875. Septembre—Octobre p. 256.

umieścił w *Revue du XIX Siècle* znakomitą rozprawę: *Du progrès de la science et de la philosophie depuis le commencement du siècle*. W r. 1859 napisał dla *Revue des deux mondes* rozprawę: *Du progrès dans les sociétés et dans l'État*, a nadto wydał broszurę: *Paroles de philosophie positive*. Najtrwalszy zaś pomnik wystawił mistrzowi w r. 1863 w obszernej monografii: *Auguste Comte et la philosophie positive*, teńnącej od początku do końca przywiązaniem i czcią dla tego, któremu, jak mawiał, zawdzięczał „pokój swej duszy.”

„Czego kilka lat temu nie wahałem się wypowiedzieć, pisze gdzieś ¹⁾, gdy ogłosiłem się uczniem Comt'a, nie waham się teraz powtórzyć: bez niego druga połowa życia mego nie byłaby tem, czem jest. Nie przeczę, że mnie wciągnął w różne błędy, które w sumieniu obowiązany jestem wyznać, oskarżając się już to o pośpiech zbytni, już to o zbytnią uległość lub brak przezorności. Ale błędy te za nie sobie ważę w porównaniu z niezmiernem światłem, które jemu zawdzięczam. Gdybym nie był poznał nauk, zawartych w jego dziełach, byłbym pozostał w położeniu ujemnem, bo taka jest natura mego ducha i studyów moich. Z jednej bowiem strony, po częstych usiłowaniach, przekonałem się, że nie mogłem przyjąć żadnej filozofii teologicznej lub metafizycznej, z drugiej strony nabrałem przeświadczenia, że o własnych siłach nie potrafię wznieść się do poglądu uniwersalnego, któryby mi zastępował metafizykę lub teologię. Ten pogląd dał mi Comte. Przez niego usposobienie duchowe moje zostało głęboko zmodyfikowanem, duch mój stal się spokojnym i znalazłem pogodę. Nawet prace moje najspeycjalniejsze doznały tego wpływu. To też wdzięczność moja jest szczerą i trwałą.“ Tak pisał w r. 1863, a słowa te ciekawe, wyjaśniające tyle zagadek w jego rozwoju umysłowym, dowodzą niewątpliwie, że zawsze uważał siebie za wiernego ucznia Comt'a, a pozytywizm za prawdę najwyższą, do której dojść może umysł ludzki.

¹⁾ *Auguste Comte et la philosophie positive* p. 529.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dr. Stefan Pawlicki.

Kronika literacka.

— x —

— A. Racinet: *Le Costume historique*. — Cinq cents planches: trois cent en couleurs etc. — avec notes explicatives — (Paris, 1876—1885. Librairie de Firmin-Didot et Cie.) 1—17 Livraisons. — Pragnęło się zawsze poznawać cudze światy, skoro o nich doszła wiadomość, że istnieją, lub gdy się przeczuwało, że być muszą. Poznanie obyczaju sąsiadów, ich strojów i sposobów życia, odmiennych od własnych, zaciekawiało do poznania dalszych ludów, — tych mniej wyraźnie rysujących się światów, w miarę większego oddalenia zjawisk niemal mglistych, zagadkowych, — prawie bajecznych. Ciekawość ludzka granic w tym względzie nie miała, a wędrownik przynoszący w domowe progi wiadomości o ludach obcych, słuchanym był zawsze z niemalym podziwem. Na relacyach niejednego z nich długi czas spoczywała cała wiedza o dalekich krajach i ich mieszkańcach, — niejedna bląkała się dziwaczna opowieść o stworzeniach ludzkich na ziemi osiadłych. Plastyczna strona obyczaju, strój, sposób życia i oddawania czci bogom i bóstwom, wszystko to, co uderza obcego przybysza w nieznanym sobie kraju, — źle dojrzone, bo w przelocie, urasta w fantastyczne obrazy, które sztuka, choćby w pieluchach będąca, powtarza formą i kolorem, ilustrując bajeczne wyobrażenia o ludach daleko mieszkających. Świadczą o tem zabytki sztuki, tak dobrze klasycznej starożytności ze swemi centaurami i pigmeami, jak średniowieczna rzeźba i miniatury, w których erudytmnich, rzeźbiarz lub illuminator, popisuje się swą znajomością obcego świata. Fantazya artystyczna lubuje się zawsze w tem, co zagadkowe, a natura plastyki bajkę w realność przemienia, wystarczającą dla naiwnych pokoleń, ale nie dla nas, dzisiaj żyjących. Za dni naszych prawie nie istnieje już tajemnicza zasłona, niemi poetyczności tkana, o towarzyszach naszych, zamieszkujących ziemię; — złudzeniami nie powoduje się odważny wykształcony podróżny, idący w ślady swych licznych poprzedni-

ków, sprawdzający na miejscu to, co tamci opowiedzieli, a przynoszący nam obrazek wierny plastycznej strony życia ludowego, promieniem słońca odbity, jasny, o konturach pewnych, jakim jest fotografia, na miejscu z natury zdjęta lub akwarella dziełnego malarza. Zbliżyły się do nas końce świata całego ze swemi ludami, ich obyczajem i strojem. Tłum ilustracji wszelkiego rodzaju w barwnych odbiciach chromolitografii ciśnie się w oczy nasze na każdym kroku: w ozdobnej książce, na jaką zdobył się wiek XIX, w piśmie peryodycznym obrazkowym, — zapełnia stronicie książki szkolnej lub wydawnictwa Missyi katolickich. Wystawy etnograficzne, urządzone przez Stowarzyszenia geograficzne, muzea etnograficzne i kolonialne stolic europejskich, czynią przystępnem ogółowi poznanie ludów świata całego, z ich najdrobniejszymi odcieniami w stroju, w domowym pożyciu, w zabawie i wojennem rzemiośle; — towarzyszymy obrędom ich religijnym, schodząc aż do sposobu grzebania umarłych. Bez wydalania się z miejsca pobytu, obucjemy prawie z odległemi ludami.

Jeżeli jednak przestrzeń nie zaciemnia nam więcej znajomości o dzisiejszych mieszkańcach globu ziemskiego, to tężsamą miarę zapragnęło się także od niedawna przykładać do przeszłości, do tej odległości czasu w tył poza nami, która doprowadza znów w mglistość i w zagadkę — bajeczność. Żądamy ilustracji historii z równą ciekawością, próbując odtworzyć plastycznie obyczaj dawny i najdawniejszy żyjących i zmarłych ludów, — wywiedzieć się, jakie odmiany przechodziły tym razem w naszej starej Europie i pogranicznem sąsiedztwie strój i uzbrojenie w różnych fazach kultury. W stosunku odwrotnym do zacierających się dziś różnie narodowego stroju w wyższych warstwach społecznych Europy, pragnieniem jest poszukiwać charakterystyki kostiumów w przeszłości, objawiającej narodowości odrębne. Znaczny stopień w badaniach naukowych tego rodzaju opiera się na miłości rzeczy ojczystych, a dokonywują się one na podstawie kapitału zebranego w pomnikach sztuki i zapisach archiwalnych. Jeżeli w dążności do odtworzenia plastycznej szaty przeszłości na tle faktów dziejowych, każdy cywilizowany naród zyskał swe malarstwo historyczne, ów główny kierunek dzisiejszego rozwoju sztuki, to niesłychanie rozwój ten ułatwiły badania, dążące do rozpoznania warunków plastycznych, w jakich się przedstawiały zewnętrznie w danych epokach odrębne ludy Europy, i ich wybitne jednostki. Umysły naukowe pierwszorzędne zajmują się w naszych czasach więcej niż kiedykolwiek badaniami tego rodzaju, a pod nazwą *historii kultury* powstała nowa umiejętność, ciesząca każdego, komu droga narodowość i wspólna europejska cywilizacja.

Badania te opierają się przeważnie na świadectwach, które sztuka każdej epoki zanotowała; czy zawsze dosyć wyraźnie, by obeszło się bez domysłu, tego nie powiemy; ale też właśnie ścisłość obserwacji i metoda porównawcza, zdolne są z drobnych ko-

rzystać wskazówek i dać obraz kompletny stroju, uzbrojenia, sprzętów każdej danej chwili dziejów. Dziwnie z tem schodzą się ważne dzisiejsze odkrycia zabytków sztuki: z wykopalisk codzień niemal wydobywają się nam na jaw nowe świadectwa prawdy lub fałszów dotychczasowych w sprawie, o którą nam idzie. Z pod powłoki wapna odkrywamy stare freski w kościołach i średnio-wiecznych zamkach; zapyłone księgi miniaturowe występują na światło, — wystawy retrospektywne, od czasu do czasu urządzane, gromadzą materiał bogaty dla studyów historii kultury. Ztąd to mnóstwo pracowników, specjalnie obrabiających ten lub ów dział w sprawie owej historii; ztąd te liczne muzea narodowe, pełne zabytków kultury, i ztąd cenne publikacye, — specjalne traktaty o strojach tej lub owej epoki, owoc niemalnych trudów i dochodzeń, których uczoność odstrasza nieraz zwykłego czytelnika. W sprawie historii ubiorów i uzbrojenia, szczególniejszej epoki średnio-wiecznej, świecą imiona Violet le Duca, Hefnera-Altenecka, Pawła Dubois, Quicherata, Demmina, którzy równie, jak uczoney Weiss, autor dzieła: *Costumekunde*, z pierwszych czerpali źródła; — inni starają się spożytkować ich badania w popularnych edycjach, w sposób dostępny i pojętny. Jeżeli do tego dodamy dzisiejsze szczególniejsze zamilowanie do badań nad produkcją artystyczną w rękodzielnach i przemyśle, jak ona się przedstawia w przeszłości, by na podstawie zabytków nagromadzonych po muzeach sztuki stósowanej, otworzyć pole dla dzisiejszych twórczości, — to znów spotkamy się z czynnością uczonych i z wspaniałemi publikacyami, idącemi w parze z rosnącą codzień miłością społeczeństwa do tego kierunku zajęć. — Przeczytać to wszystko, co świat napisał o ubiorach i obyczajach dzisiejszych ludów — poznać ten kalejdoskop ciągle zmiennych strojów europejskich w ciągu tylu wieków — rozpoznać się w tym nagromadzonym materiale owoców sztuki zastosowanej do życia, — każdemu, którego to obchodzi, byłoby niepodobieństwem, gdyby nie znaleźli się dobrodziejcie, co streszczając cały ten ogrom pracy ludzkiej, umieją nam w niewielkiej a pojętnej obrazkami książce ułatwić to zadanie. Do takich właśnie należy publikacya Racineta, nakładem paryzkiej firmy Firmin-Didota od roku 1876 wychodząca, a łącząca w sobie warunki, o których wspomnieliśmy. Pod skromnym tytułem: *Le Costume historique*, mieści ona zarówno dzieje ubiorów, strojów i uzbrojenia, stawiając je przed oczy czytelnika, a nie wyluczając żadnej epoki i narodowości, — jak obeznaje z obyczajami i okryciem wszystkich ludów kuli ziemskiej, a nie pomija też charakterystyki stylowej sprzętów i kosztowności, jakie przyniosły wieki. Praca ta nowa Racineta dopełnia, że tak powiemy, dawniejszą jego publikacyę o *Ornamentacji kolorystycznej*, równie jak obecna bogatej w ilustracye, a pożytecznej o tyle, że bez niej żaden zakład artystyczny dziś obejść się nie może. Pojawia się też podobnie w zeszytach, mniej więcej peryodycznie,

o ile kosztowne wykonanie chromolitografii nie natrafi na nieprzewidziane opóźnienie, i zachowuje tensam obyczaj gromadzenia obrazkowego materyalu, bezwzględnie na chronologicie lub narodowości w pojedynczych zeszytach, aby następnie po ukończeniu wydawnictwa, każdy mógł sobie całość swęj myśli uporządkować. Tekst nie ma paginacyi, ale odnosi się do tablicy chromolitografowanej, z którą wspólny znak go wiąże.

Przedewszystkiem publikacya to świetna niezmierną liczbą kosztownych chromolitografii z zastosowaniem złoceń i srebrzeń, w czem nie ustępuje wcale powszechnie uznanej doskonałości tablic dzieła *l'Ornement polychrome*. Wiemy, jak trudną rzeczą zmienić rzemieślniczy charakter kolorowych odbić na artystyczną prawdziwie produkcyę, a jednak takimi są obrazki naszej publikacyi. Wszystko, co mogło zapewnić zupełne podobieństwo do oryginalnych miniatur indyjskich — fresków średniowiecznych, portretów XVI, XVII i XVIII wieku, kopij z obrazów, użytęm zostało, aby publikacyi nadać ten charakter niezwyklej staranności, którą podziwiać każdy jest zmuszony. A jednak pomimo tego wszystkiego, sam autor zrozumiał, że potrzeba czegoś dokładniejszego i ściślejszego, gdy chodzi o subtelny rysunek sprzętów i przedmiotów sztuki, o powtórzenie współczesnej ryciny, i dlatego to w znacznej też liczbie użył także rylcowych, bezbarwnych lub dwu-tonowych litografij. Słusznem to i pod względem estetycznym, gdyż ten blask świetnych kolorowych obrazków, błyszczących złotem i srebrem, wymaga odpoczynku oczom i jakiegoś przeciwstawienia wspaniałości kolorystycznej: każdy więc zeszyt zawiera obok 15 chromolitografij, dziesięć odbić niekolorowych. Mamy też właśnie przed sobą najświeższy zeszyt; jest on w porządku wydawnictwa siedemnastym, a do skończenia potrzebuje autor jeszcze czterech, aby uzupełnić liczbę zapowiedzianych pięćdziesiąt tablic obrazkowych z odpowiednią liczbą tekstów.

Dotychczas podnieśliśmy tylko w uwagach naszych stronę obrazkową; nie ona jednak stanowi o ważności publikacyi — ale tekst objaśniający. Sąd, o ile autor wyczerpie nim przedmiot całkowicie, naturalnie o tyle, aby zachować mu charakter dzieła popularnego, nie może być wydany, aż po skończeniu i uporządkowaniu publikacyi. W tym układzie, jaki jest danym, samo rozpoznanie się w nagromadzonym materyale, jest trudnem. Szereg to rozprawek większych i mniejszych — to schodzących do prostego objaśnienia ryciny, to zapuszczających się w głębsze poglądy — których związać z sobą niepodobna, dopóki zgromadzone razem nie uszykują się w właściwe podziały. Co więcej, autor w miarę rozwijającej się publikacyi, zdaje się więcej dbać o rozwinięcie tekstów, niż w pierwszych zeszytach — zapal ten rośnie u niego, co tem więcej utrudnia ostateczny wyrok o architektonice całego dzieła. Tak naprzykład w ostatnim zeszycie pomieścił obszernością przechodzącą miarę innych rozprawek, rzecz

o przedhistorycznej kulturze i typach, jak nazywa kopalnych, o ludziach z epok kamienia, brązu i żelaza — typach nawodnych budowli — ich broni i ubiorach — która właściwie przechodzi granicę popularnej książki, a jest oschłą i niekoniecznie dobrze objaśnioną rysunkami przypuszczalności. Jakże bowiem smutnie obok tego wyglądają postacie tych ludzi w chromolitografii — bez energii i siły muskularnej, przypominające przebrane dzisiejsze lice indywidua w surdutach lub frakach.

Pozwolimy sobie uporządkować wydawnictwo, może zbyt wczesnie, ale z konieczności zdania czytelnikowi sprawy z bogactwa przedmiotów, jakie obejmuje, a pragnąc przytem podnieść niektóre strony, bliżej nas obchodzące. Przedewszystkiem rozdzielmy sobie szeregi tablic tekstów w owe trzy główne części — odnośnie do etnografii, właściwej sprawy historii kostiumów i uzbrojenia, a nakoniec sprzętów i wyrobów artystycznych dawniejszych epok. — W pierwszym dziale fotografia oddaje p. Racinetowi przysługi niemałe. To też tablice odnośne do Japonii, Chin, Indyi, Persyi uderzają szczególną wiernością i wchodzą w szczegóły, np. toalety dam japońskich, tak wyczerpująco jak nigdzie dotąd każdą jej fazę zaznaczając. Tekst objaśniający, wzięty tu z najnowszych podróży, budzi interes, i o szczegółach stroju i nazwach miejscowych uczy czytelnika. Tożsamo powiedzieć można o ludach Ameryki i Afryki, o Eskimosach i Lapończykach, z wyjątkiem, że tu nie zawsze autor posługuje się fotografiami, ale poprzestaje na rysunkach z drugiej ręki wziętych. Ubiory ludowe europejskie, nie powiemy, iżby dotąd wszystkie zarówno dobrze były przedstawione. Przeważnie autor wyczerpuje malowniczość ludu francuzkiego, gdzie ona się jeszcze zachowała, jak w Bretanii, Auwernii, Normandyi; zajmują go też ubiory szwajcarskie, wzięte z fotografii, — a przedewszystkiem Szwecya dobrze jest opracowana. Tutaj obok doskonałego tekstu i tablic, na podstawie typów fotografowanych wykonanych, autor pomieszcza szczegóły ludowej ornamentacyi, czego przy innych nie czyni. Naturalnie że u pana Racineta wszystko zależy od źródeł, jakie ma pod ręką, i w miarę tego tekst i tablice zyskują więcej lub mniej doskonałości. Z tego też względu Rosssa i jej ludy lepiej wyszła, niżeli ubiór malowniczy naszego polskiego wieśniaka. Wprawdzie p. Racinet powołuje się na wydawnictwa Zienkowieza i Gersona, ale publikacyi Colberga nie zna i widać nie postarał się o fotografie, którychby mu nasi fotografowie byli chętnie dostarczyli. Za całe źródło artystyczne dla ludu polskiego ma rysunki zeszlowieczne Norblina, pobieżnie szkicowane, dające dalekie odbicie prawdy stroju, ale jako typ nie znaczące. Bawi nas np. szczerze ów góral karpacki i owe krakowianki, pomieszczone na tablicach oznaczonych: *Pologne*, w zeszytach pierwszym i trzecim, — ale to już co prawda wina nasza, żeśmy panu Racinetowi lepszych rysunków lub fotografii nie dostarczyli. Zdaje się, że sprawy naszej bronil u wydawców braci Firmin-Didôt ich

bibliotekarz, pan Gustaw Pawłowicz, członek Instytutu, i że jemu zawdzięczamy, że narodowość nasza pominięta nie została w publikacji tej, tak jak narodowości, Niemców, Węgrów, Czechów i wielu innych. A jednak dziwna, że Racinet nie posłużył się doskonałym dziełem Kretschmera o ludowych ubiorach Niemców, wyszłem w Lipsku 1870 r., skoro umiał odnaleźć dość rzadkie album fotograficzne ludowe ruskie, ogłoszone w Odessie, dając szczegóły ubioru głów rossyjskich kobiet z różnych stron państwa rossyjskiego, gdzie nie pominął i Rusinki. Wyraźnie tu sympatyte powodowały wydawcę. Wspomnimy też jeszcze o tablicach z ubiorami ludowymi hiszpańskimi, szczególniej toreadorów, — zarówno jak typy tureckie wzięte z fotografii, które niezwykłą odznaczają się prawdą. W ogólności jednak od Europy lepiej jest przedstawioną i bogaciej Azja, a z szczególną predylekcyą Japonia i Indye.

Dział właściwie odpowiadający zatytułowaniu publikacji, mianowicie *historyczny* najbogatszym jest, jak łatwo domysleć się, co do rodzinnego kraju autora i wydawców, to jest co do Francyi. I nie dziwnego, bo aparat, którym się posługiwano, bądź cobydź był tu niezmiernie bogatym. Sprawą kostiumów zajmowali się uczeni francuscy oddawna, już to w osobnych specjalnych dziełach, już w monografiach. Prace Pawła Dubois spopularyzowały wszelkie poszukiwania archeologiczne. Violet-le-Duc w swym *Dictionnaire du mobilier* wskazał co może sumienna, metodyczna praca badawcza źródeł archiwalnych i artystycznych w sprawie ubiorów, a z dziwną bystrością p. Demmin użył pieczęci średniowiecznych do odtworzenia ubioru rycerza. P. Racinet dodaje do tego wiele własnych poszukiwań, występując pierwszy jeżeli się nie mylimy z szeregiem bardzo ciekawych portretów historycznych znakomitości francuzkich. Od XIV wieku przynosi nowe szczegóły do historii ubiorów, obeznaje nas z freskami zamku St. Floret w Auwernii, przedstawiającemi rycerzy z XIIgo wieku i ich walki, a niemalą liczbą dotąd nieogłoszonych miniatur z bogactwa naukę. Historia uzbrojenia średniowiecznego wyczerpująco jest obrobianą, z szeregami szczegółów mało znanych, a przenosi się w ubiory wojsk z bliższych czasów. Uderzyła nas w tekście zeszytu 11 wiadomość o żołnierstwie polskiem w służbie francuzkiej za czasów Marszałka de Saxe. Byli to tak zwani *pacolets* czyli pacholki, rodzaj dragonów, towarzyszy ulanów wolontaryuszów szlachty. Ułani ubrani byli z tatarska, a ich towarzysze więcej z francuska, z futrem jednak wilczem na ramionach. Po śmierci Marszałka de Saxe, ulani wrócili do Polski, ale tak zwani *pacolets* długo pozostali we Francyi i przerobili się w końcu w dragonów. Racinet czerpie wiele swych wzorów z *Museum Artyleryji* w Paryżu i z rycin współczesnych, które powtarza z całą ścisłością, z zabytków architektury w rysunkach wnetrz pałaców w Pierrefonds, w Fontainebleau i innych; — daje rysunki peruk fran-

cuzkich z naszego Chodowieckiego, — karoc i lektyk, a Callot, Bouchardon, Cochin służą mu niejednokrotnie co do typów ubiorów XVII i XVIII wieku. Oto słów kilka tylko o francuzkim odziale, choć godziłoby nam się jeszcze zwrócić uwagę na kołnierze francuski, przedstawiony w zeszycie trzecim, ze sceną bogatą w postaci z czasów Ludwika XIV, a przedstawiającą kardynała Chigi w imieniu papieża dającego satysfakcyę królowi, która zdaje nam się nigdy dotąd publikowaną nie była.

Egipt starożytny, Grecya, Rzym, tak dobrze już zbadane i tak bogato ilustrowane, nie dziw, że i w niniejszej publikacyi z szczególną obrobioną są dokładnością. Prawda, że co do Grecyi liczne tablice uprzytomniają nam dobrze odmiany kostiumów, ale mimo tego tekst ogranicza się więcej do nazw różnych części stroju, aniżeli daje tak dokładne wyobrażenie o jego kroju i układzie, iżby mógł posłużyć dla pragnącego wiernie ubrać się w ten lub ów sposób. Pod tym względem współcześnie wychodząca publikacya niemiecka Hottenrotha jest o wiele pożyteczniejszą, dając dokładne wzory kroju, i tłómacząc układ na czlowieku każdego rodzaju greckiej szaty. Piękne i wyczerpujące są też u Racinet rozprawy o uzbrojeniu greckiem i rzymskiem, a odznaczają się jasnym uporządkowaniem rzeczy i ścisłością, opartą na malowaniach waz i na innych zabytkach muzealnych z dobrem zrozumieniem rzeczy. Autor korzystał tutaj z pracy p. Villemain: *Costumes des peuples de l'antiquité*, a cytuje często traktat Filostrata o gimnastyce i Tucydysesa o wojnie peloponezkiej. Artykuł o domach pompejańskich, oparł autor na najnowszych pracach; daje plan domu w tekście i wspaniałą chromolitografią pełnego barwności *atrium*. Pomijamy milezeniem ubiory barbarzyńców, jako rzeczy raczej domysłu, niż ścisłości, odpowiedniej książce popularnej, ale nie możemy darować, że tak mało zajął się p. Racinet strojem Longobardów i Gotów, do czego tyle źródłowych prac jest już przygotowanych. Za to celtyckie zabytki, skandynewskie wyroby i stroje, zwracają naszą uwagę jako ściśle zebrane i opracowane, a tożsamo powiedzieć można o gallickich i frankońskich ubiorach.

Historya kostiumów w Anglii odnosi się co najwięcej do epok bliższych jak wiek XV, z szczególniejszą zaś predylekcyą zajmuje się tu autor ostatnią epoką, do czego ma bogate źródło w rycinach współczesnych, w malowaniach Hogartowskich i w malowniej Anglii W. H. Pynego z r. 1808. Epoka Odrodzenia włoskiego przedstawioną jest na podstawie miniatur, malowań ściennych, a spotykamy tutaj prześliczną chromolitografię, grupę dam włoskich z Pawła z Werony. Naturalnem bardzo, że kostiumy zebrane przez Veccellego niemalą liczbę tablic tego działu zapelniają. Tekst tutaj nie dorównuje jednak użytemu co do strojów francuzkich, i stanowi słabszą stronę dzieła. Jedynie gdy mu przyjdzie pisać o gondolierach weneckich, wtedy p. Racinet przy-

nosi nam pewne ciepło w opowiadaniu, którego gdzieindziej nie spotkamy. — O Niemcach długi czas autor zapomniał. Wprawdzie tablice zatytułowane: Europa, XVI, XVII wiek, zwykle odnoszą się do Niemiec, ale pomimo to dopiero w późniejszych zeszytach otwarcie o nich się mówi. Hollara: »Aula Veneris« z roku 1644, Josta Ammona: Źbiory z końca XVI wieku — Bneyna dzieło z r. 1578, służą mu za podstawę w rysowaniu tablic, a Weiss, Hefner-Alteneck i inni używają tekstu. Dobrze opracowaną jest Hollandya, choć jedynie co do XVII wieku; i nie w ten dziwnego, gdyż to nietrudna rzecz pisać o ubiorach tej epoki w kraju, który tak znakomicie opisanym został pędzlem swych wielkich artystów. Kostium historyczny rossyjski przedstawia się dość skromnie, a tu szkoda, że p. Racinet nie znalazł znakomitej publikacyi pp. Strekalowa i Kostomarowa, wprawdzie o ile wiemy niedokończonyj, ale co do systemu użytego, pierwszorzędnej. — Nie sięga też publikacya Racineta co do rossyjskiej przeszłości w tak odległe, jak tamta czasy, i daje po największej części wzory kostiumów z XVII i XVIII wieku. Za zasługę główną publikacyi Strekalowa poczytujemy rozwiązanie pytania, w jaki sposób należy publikować historję kostiumów; jedni bowiem, i słusznie twierdzą, że należy archaicznie przedstawiające się źródła kostiumów plastyczne, przetłómaczyć w warunkach dzisiejszej sztuki — inni pragną poprzestać na wydaniu w oryginałach, zostawiając każdemu domysłenie się, co ta lub owa kreska ma oznaczać. Tą ostatnią drogą poszedł Hefner-Alteneck; inni obierają pierwszą, przez co, jeżeli smak zostaje zadowolonym — rzecz traci nieraz na ścisłości. Wydawcy zaś rossyjscy dają w swej pracy obok przerobienia artystycznego, oryginalne zarazem źródło w całej swej naiwności. I taki też sposób pragnęlibyśmy mieć zastosowany do przyszłej historii kostiumu w Polsce, dzieła, którego naprózno wyczekujemy od tak dawna. Od czasu książki Łukasza Gołębiowskiego, nie skończonego dotąd się u nas, prócz cennych rysunków Matejki nie pojawiło. Czy Racinet mógł próżnię tę zapełnić? podobno do niego o to pretensyi mieć nie możemy, a owszem należy mu się wdzięczność, że poświęcił kilka tablic swego wydawnictwa i parę stronnic tekstu dla zanotowania naszej narodowej przeszłości. Cztery tablice kostiumów polskich mieszczą ostatnie zeszyty publikacyi naszej. Główny tekst przyłączono do rysunku zaznaczonego literą L, ukoronowaną, resztę rozłożono na trzy inne — piszemy rozłożono, gdyż całość dostarczona została Racinetowi przez pp. Gersona i Łaszczyńskiego, artystów z Warszawy, a pod redakcyą wyżej wspomnianego pana Pawłowskiego przeszła do dzieła tego zapewne w znacznem skróceniu. Bogata kolekcya ubiorów, używanych w Polsce od XI do XVIII wieku znalazła się gotową w rysunkach Matejki, wydanych przed laty na 10 tablicach folio sposobem autograficznym. Wiemy, że mistrz na zgłoszenia się autora, posłał mu kolorowany egzemplarz. Pan

Racinet wybrał z tego zasobu niemałego, prawie całkowicie opar- tego na studyum pieczęci i pomników sztuki — pewną tylko liczbę postaci monarchów z epoki średniowiecza, rycerstwa i szla- chty, i kilka też osób z XVI, XVII i XVIII wieku, kierując się zapewne zasadą użycia tego, co ma typ odmienny od powsze- chnie na zachodzie panującego w stroju. Innych źródeł ponad tablice Matejki wyraźnie autor nie miał pod ręką, lub mając, z nich nie korzystał dotąd, choć przecież i Hollar i Bruyn dają typy polskie XVII wieku. Nie znał też miniatur *legendy o św. Jadwidze*, tyle ważnej dla strojów XIII wieku, ile *Liber geneos Szajdłowieckich* dla XVI wieku, a mógł korzystać także więcej z pu- blikacyi Przedziwieckiego i Rastawieckiego, — że nie cytujemy mniej rozpowszechnionych innych polskich wydawnictw. Wprawdzie wiele z tych rzeczy znajduje się powtórzonych w Ubiorach Matejki; taki jednakże badacz, jak Racinet, umiałby może w źródłach odnaleźć pewne strony, które malarza mniej interesowały, a idąc metodą porównawczą, wskazać nam, co za właściwość stroju polskiego w każdej z epok tak uważać mamy, jak kontusz i żupan, delia i opończę itp., przynależne do XVII i XVIII wieku. Dawno już przed panem Racinetem badacze francuzcy zwrócili uwagę na niektóre rodzaje uzbrojeń i ubiorów nóg, jako pochodzące z Pol- ski, twierząc, że przez kraj nasz z Bizancjum posuwała się kul- tura na zachód, — że zatem niejedna właściwość nasza tą drogą do Francyi się dostala. Więc ów pancerz skórzany, naszywany kólkami lub tabliczkami ze stali, znany w XII i XIII wieku jako Broigne (broń), więc owe trzewiki Cracows — à la Poulaine czyli Pologne, wszystko to ma pochodzić z Polski. Autor publikacyi najnowszej nic o tem wiedzieć nie chce, i nie umiał sam od sie- bie czegoś nowego nam przedstawić, trudniąc się specjalnie prze- cież sprawą kostiumów historycznych. Mieliśmy jednakże prawo wy- magać jako od tego, któremu łatwiej było spotkać się z rzadkimi dziś publikacyami XVI XVII wieku, gdzie występują ubiory pol- skie, aby w obrobie tekstu nadesłanego więcej staranności było, skoro sam szeczył się, że go musiał zmieniać »selon les lois de la critique moderne.« Zobaczymy więc dla przykładu, co to jest ta krytyka; oto autor mówiąc o kostiumach polskich w tekście, dołączonych do jednych z pięciu tablic zatytułowanych »Pologne«, rozpoczyna poglądem na Słowiańszczyznę; — uczy o podziale Słowian na zachodnich i wschodnich, do których zalicza Rosyę, przechodzi do spraw kostiumów słowiańskich, wskazując na źródła tego rodzaju jak posąg Światowida i rzeźby kolumny Trajana. Ale to mniejsza. Dowiedziawszy się, że kobiety nasze używały ubioru zwanego *przyjaciółka*, nie pytając się, że przestał on u nas istnieć w XVIII wieku (pamiętnik Kitowicza), twierdzi, że to za- bytek starosłowiański, gdyż Rzymianki nosiły z cudzoziemska skrojoną szatę, zwaną *amicula barbarica*.

Wolelibyśmy, aby zamiast takich dowodów uczoności, dał

nam on raczej wytlómaczenie zagadki co do zawiązki pod szyję u Polaków XIII wieku, jakiejs właściwości, którą zanotował miniaturzysta kodeksu św. Jadwigi szląskiej, przechowanego w Schlangenwerth, a której dotąd zrozumieć nie możemy; — wolelibyśmy, aby nam wykazał związek ubioru rycerskiego na pieczęciach polskich z uzbrojeniem sąsiadów wschodnich lub zachodnich itp. inne kwestye. Tekst p. Racineta, co do Polski, wystarczającym dla nikogo być nie może; zbyt pobieżny, nie rachuje się z chronologią, a z tablicami wziętymi z »Ubiarów« Matejki prawie w żadnym nie stoi związku. Wymienia nazwy żupana, delii, szuby, kontusza, kreśli bardzo ogólnikowo historię ich przemian — a jednak nie jest tyle skrzętnym, aby godząc tekst z rycinami, mógł nas pouczyć o stroju Stefana Batorego — o wdzięcznym a tak polskim bardzo ubiorze córki Sebastjana Lubomirskiego na krzeszowieckim portrecie itp. Ale autora nie godzi się nam o to winić. Z prac mętnych, jakimi są dotychczasowe polskie studia nad historią ubiorów i uzbrojenia w Polsce — powiedzmy lepiej — z próżni panującej w tym kierunku w naszej literaturze obecnej epoki, nie lepszego nie mogło powstać pod piórem cudzoziemca. Obwiniać się raczej sami powinniśmy, że nie przysłużyliśmy się historii kultury europejskiej — rozdziałem o Polsce przez nas opracowanym, na którym oprzećby się mogli w wydaniach popularnych cudzoziemscy autorowie. Praca taka byłaby wdzięczną i na czasie, ale zbyt trudną, aby ją ktoś jeden przedsięwziąć zamierzył; poprzedzić ją muszą opracowania w monografiach ubiorów w Polsce w pewnych epokach, na podstawie krytycznego osądzenia źródeł artystycznych, o ile one wyrosły pod wpływem otoczenia polskiego, co do średniowiecza, — o ile zgodne są z zapisami archiwalnymi odnośnie do nazw i kroju. Nie wąpimy też, iż gdy pojawiają się u nas wyczerpujące a poważne traktaty z dziejów ubioru polskiego, przyszły wydawca będzie mógł lepiej od p. Racineta przedstawić przeszłość naszą.

Kończąc te nasze uwagi, radzibyśmy jeszcze wspomnieć o trzecim oddziale tablic, odnoszących się do mebli, narzędzi i sprzętów, wyrobów z metalu i klejnotów, szczególnie pięknie rysowanych i dobrym opatrzonych tekstem; lecz że publikacya nieskończona niezbyt obfity daje materyał historyczny w tym kierunku, zdanie sprawy z tego działu odkładamy raczej do czasu, w którym pragnęlibyśmy tę publikacyę francuzką Racineta porównać z podobną w Niemczech teraz wychodzącą, mianowicie Hottenrotha: *Trachten, Haus- Feld- und Kriegsgewerthschaften der Völker alter und neuer Zeit*, nakładem G. Weissa w Stuttgarcie wydawaną.

W. Łuszczkiewicz.

— Piękną, wcale ciekawą i wyczerpującą, jeżeli co, to niemal aż zanadto w szczegółach gubiącą się i drobiazgową mo-

nografią historyczną obdarzył czytającą naszą publiczność w ostatnich minionych miesiącach p. Ludwik Zarewicz, znany już chlubnie skrzętny badacz archiwów krakowskich, i autor kilku mniejszych ale ważnych swą treścią rozpraw, jak »Andrzej Bobola podkomorzy kor.«, jak monografia o starostwie Dobczyckiem, któreto wszystkie prace rzetelną źródłową odznaczają się wartością. Najnowsza z nich, w ozdobnem wydaniu, z udatnemi rysunkami, przedstawiającemi w różnych epokach zamek, jakiemu całe opowiadanie poświęcone, przynosi nam treściwie zebraną i pełną zarazem nowych a ciekawych szczegółów historię Lanckorońskiego zamku i starostwa p. t. »Lanckorona. Monografia historyczna. Według źródeł archiwalnych.« (W Krakowie — w drukarni »Czasu« — 1885 — str. 113). — Główny i najcenniejszy materiał do swej pracy zaczerpnął autor z aktów ziemskich i grodzkich dawnego krakowskiego archiwum, na podstawie których od wieku XIV aż po najnowsze czasy, krok za krokiem dzieje ruina już dziś zupełną będącego, tak świetnie przez wieki XV, XVI i XVII błyszczącego i potężnego grodu, wysledził i spisał. Ciekawe to dzieje i zmienne losy zamczyska, które z góry wysokiej, jak dawniej tak i dziś jeszcze lasami pokrytej, jako jedna z najdalej na południe wysuniętych czat Rzpłtej, ponuro ku Węgierskiej spoglądało granicy, potężne i obronne, od początku XVII dziś wieku z »Kałwaryą« Zebrzydowskiego u swych stóp rozłożoną, nieme świadectwo, jednym tylko złomem muru mówiące o panach z Brzezia, o Olbrachta Łaskiego bezprawiu, o Szwedach w r. 1655 w Krakowie, o Pułaskim wreszcie i Barskiej konfederacyi. I nie też rzeczywiście pożyteczniejszego, jak dzieje takie sumiennie opracowane starych u nas historycznych zamków, które zwykle wyobrażenia turysty zapelnia fałszywemi wskutek własnej niewiedomości marami, często zaś i powieściopisarza opowiadania paczą niedokładne ich ruin dzieje. Żeby tu tylko przytoczyć ze względu na Lanckoronę właśnie przykład jeden, dosyć wymienić »Stefana Czarnieckiego« Czajkowskiego i od lat dziecinnych przez śliczną tę i pełną fantazyi powieść utrwalone w wielu przekonanie, że rzeczywiście w czasie szwedzkiego »Potopu« lanckoroński zamek do hetmana poln. kor. Stanisława Lanckorońskiego należał i że w jego murach bohaterka romansu Joasia przesiadywała, kochała Kozaka Teterę a drżała przed Gnoińskim. A tymczasem choć od dawna wiemy, że Joasi naprawdę nie było nigdy, dziś dowiadujemy się już napewne, że nawet Lanckorona sama przez cały XVII wiek do Lanckorońskich wcale nie należała, ale że od końca stulecia XVI aż do r. 1676 w posiadaniu rodziny Zebrzydowskich zostawała. Dzieje jej od początku XIV wieku roztacza dziś przed nami P. Zarewicz dokładnie i treściwie, i na każde słowo ich wierzyć mu można, bo każde albo jakimś aktem ziemskim albo z ksiąg Inskrypcyi lub Relacyi zaczerpniętym poparte, Osada to naprzód niemiecka, jak samo świadczy nazwisko,

jako wieś już w początku wieku XIV istniejąca. Kazimierz W. funduje tam r. 1336 kościół, 1361 daje przywilej na założenie miasta, 1366 uposaża prawem magdeburkiem młodą »Lanckoronę«. Już i zamek istnieje wtedy, gdyż niejaki Orzeszko, jego burgrabia, na przywileju lokacyjnym podpisany. Poluje w jej okolicach Jagiello r. 1393, a 1410 r. przechodzi cała w posiadanie »Panów z Brzezia«, którzy niebawem i nazwisko swe od niej wziąć mają i dzierżyć ją przez cały wiek następny. Władysław Jagiello bowiem dnia 29 maja tegoż roku nadaje zamek i miasto Lanckoronę Zbigniewowi z Brzezia herbu Zadora marsz. kor. za jego zasługi dla państwa w 200 i 800 grzywnach groszy pragskich na tak długo, dopóki tenże 1000 grzywien nie odbierze z posiadanej tym sposobem królewskiej, którą z tem samem zastrzeżeniem i potomkowie jego dziedziczyć mają. Przez cały więc wiek XV dzierżą od tej chwili tenetę lanckorońska głośni w dziejach stulecia panowie z Brzezia, którzy zrazu tylko z Władysława się pisząc, w r. 1476 występują dopiero po raz pierwszy w osobie Stanisława marsz. nadw. jako »Łanszkorunsky de Brzesye«. Dzieje ich wraz z dziejami starostwa i zamku rozwija autor przez ciąg cały tego ich najgłośniejszego w dziejach stulecia, od marszałka Zbigniewa († 1424), jego synów Mikołaja i Jana marszałków także, wnuków Stanisława i Jana marszałków nadw., aż do prawnuków: Mikołaja, Stanisława wojew. sandom. (1533) i głośnego w historii kresowej Przeclawa. Wiek cały coraz to bogatsza i nowemi wsiami pomnażana teneta lanckorońska z ojca na syna w zasłużonym dla Jagiellonów rodzie panów z Brzezia dziedzicznie przechodzi, i dopiero r. 1512 wykupuje ją od owego awanturniczego ukraińskiego wojownika Przeclawa, Spytek z Jarosławia kaszt. krak. (1500 — 1520). I od tej chwili bogata królewszczyzna staje się prawdziwym złotem jabłkiem, o które się członkowie senatu Rzpltej chętnie ubiegają i na którym też nieraz majątki swe pomnażają. A przez to też przez cały wiek XVI nader często zmienia ona swych panów, lecz już nigdy w ręce Lanckorońskich nie wraca. Przechodząc jej dzieje, wraz z niemi i historyę posiadających ją rodów autor opowiada i na niejednym punkcie nowemi dokumentami rozświeca. Tylko lat 16 zostaje starostwo w ręku ostatniego z Jarosławskich. W 1527 r. już ją dzierży Mikołaj z Woli, r. 1535 kaszt. sandomierski, pierwsza znana w historii osobistość z rodziny Wolskich z Podhaje. Po nim trzech jego i Anny z Glinków synowie, Stanisław kaszt. sandom. marsz. nadw. kor. († 1566), Mikołaj biskup kujawski († 1567) i Zygmunt kaszt. czerski, byli tenetariuszami Lanckorony, w końcu zaś tylko ostatni z nich († 1574), ożeniony z Barbarą Hlebowiczówną wojew. wileńską która, po jego śmierci miała na całem starostwie zapewnione dożywocie. I na ten to czas przypada pierwszy głośny w dziejach Rzpltej o Lanckoronę zatarg, znany dobrze i dokładnie z ostatnich nad dwuleciem »Po ucieczce Henryka« badań, zatarg między zajmującym siłą zbrojną konfero-

wane mu przez Walezego starostwo Olbrachtem Laskim a między wdową po Zygmuncie Wolskim. Autor na podstawie aktów krakowskiego archiwum, jakie do całej tej sprawy streszcza, przedstawia sumiennie jej przebieg, nie wyprowadzając jednak na szersze dziejowe pole swego bezstronnego opowiadania, które kończy zdobyciem zamku 22 maja 1576 przez wyprawione za energicznym Batorego rozkazem zaraz po jego na tron wstąpieniu oblężnicze hufce Górki i Banffiego. Ale niedługo Barbara Wolska trzymając potem przypadła jej po mężu tenutę, o którą tyle skarg daremnych przez dwa lata przeszło do krakowskiego grodu wносиła. Już w 1578 r. widzimy lanckorońskim starostą tę niedosyć znaną dotąd, sympatyczną, rycerską z Batorego wojen osobistość, owego Węgra Kaspra Bekiesza de Korniat, którego wdowa Anna de Sarcandy wraz z synami po jego śmierci w r. 1579 tenutę dziedziczy i jeszcze wraz z drugim swym mężem Franciszkiem Wesselenym de Hadat aż po rok 1590 dzierży. Z rąk tych uczciwych, rycerskich Węgrów, przechodzi starostwo w samym końcu XVI stulecia do rodziny polskiej znowuż, możnowładczej i smutno głośniejszej na zbliżającym się rozdrożu dwóch wieków, a której nazwisko co najmniej z Lanckoroną tak blisko jak Lanckorońskich związane, do mających ją znowuż przez całe sto lat blisko dzierżyć Zebrzydowskich herbu Radwan. W r. 1590 odstepuje bowiem tenutę Pani Wesseleniowa ówczesnemu krak. staroście a lubels. dotąd jeszcze wojewodzie Mikołajowi Zebrzydowskiemu, który ją aż do swej śmierci trzymając, synowi ceduje i upiększa wspaniale, zakładając pod koniec swego na dewocyjną spędzonego smutnej pamięci żywota ową uroczą Kalwaryę, która dziś główną jej stanowi ozdobę. Zwyczajnie, a surowo i słusznie w kilku rysach przechodzi autor przy tej sposobności dzieje dumnego oligarchy, po tych zaś opowiada mało znaną, ale sympatyczną, łagodną historję jego syna Jana miecznika w. kor. i wnuka, Michała wojew. krak. (+1667). Za jego to posiadania przypada zdobycie Krakowa przez Szwedów w r. 1655 i zajęcie przez nich, Lanckorony także i dnia 19 września pod wodzą generała Roberta Duglasy. Zniszczone przez szwedzki najazd zameczysko dziedziczy po mężu i aż po r. 1676 dzierży wdowa po Michałku Zebrzydowskim, sroga dla swych okolicznych poddanych, Maryanna ze Stadnickich, po jej zaś śmierci ostatnia rodu Zebrzydowskich dziedziczka, córka jej Anna, która wychodząc za mąż za Jana Karola ks. Czartoryskiego podkom. krak., w inny znowu dom po stuleciu niespełna bogatą wnosi tenutę. Brat prymasa Floryana i Michała, protoplasty dziś kwitnących Czartoryskich, był ks. Jan Karol założycielem wygasłej linii Czartoryskich na Koreu. Po śmierci Anny Zebrzydowskiej poślubił on Magdalenę z Konopackich kasztelanekę elbląską, wdowę po srogo przez skonfederowane wojska zabitym hetmanie poln. lit. Wincentym Gąsiewskim, i ta to, poważna już wówczas i bogobojna matrona, odziedziczyła po mężu w r. 1680 i starostwo lanckorońskie także, które po jej w r. 1694 śmierci

z rąk do rąk szybko po sobie przekazywane, dziwne zrazu przechodziło koleje. Z pierwszego swego małżeństwa z Gasiewskim miała Magdalena Czartoryska córkę Teresę, która poślubiła Józefa Bogusława Słuszkę kaszt. wil. hetm. poln. lit. Temu to zięciowi zmarłej wykupioną przez nią od reszty współsukcessorów tenetę konferował r. 1594 Jan III., a ten dopiero ustąpił ją na rok przed śmiercią w r. 1701 przyrodniej siostrze swej żony, Helenie z Czartoryskich i mężowi jej Józefowi Myszkowskiemu kaszt. sandom. Ale znowu niedługo w rękę nowych posiadaczy miała coraz to bogatsza pozostać królewszczyzna, Józef Myszkowski bowiem, to znowu ostatni swego rodu, ostatni ordynat i margrabia na Mirowie, umierający 1727 r. bezdzietnie. To też za życia jeszcze wyrabia on u Augusta II. wraz z żoną swą, sukcesyę Lanckorony w r. 1703 dla Franciszka Wielopolskiego, podówczas krak. star., który po jego śmierci odziedziczył i całą ordynacyę Myszkowską, jako potomek po kądzieli fundatora takowej Zygmunta marsz. w. kor., choć córka przedostatniego ordynata Anastazyja z Myszkowskich Jordanowa wojewodzina braclawska słusznie do całej sukcesyi rościła sobie prawa. Proces jednak wygrał w końcu nowy lanckoroński starosta, syn głońskiego z czasów Sobieskiego kanclerza Jana, z Krystyny Komorowskiej urodzony, w końcu krak. wojewoda. I z nim też ostatnie to już polskie nazwisko z tenetą lanckorońską związane, — Wielopolscy ostatnimi starostami Rzpłtej, na zamczysku XV wiecznych panów z Brzezia siedzącymi. Po Franciszku syn jego Jan na Suchy Wielopolski wojew. sandom. dziedziczy Lanckoronę, po nim zaś jego syn Józef jest już ostatnim lanckorońskim starostą, choć bowiem zmarły r. 1774 miał z Teresy z ks. Sulkowskich trzech synów, mogących bogate wziąć po nim dziedzictwo już jednak wówczas zamek i liczne należące doń włości pod austryackie po pierwszym rozbiorze przeszły panowanie.

I na te to ostatnie pod polskim rządem Lanckorony lata przypada najświetniejsza jej może w historii karta, od r. 1768 do 1772, związana ona bowiem tak ściśle z romantycznymi, szlachetnymi dziejami Barskiej konfederacyi. Żywo i udatnie wplata też autor w swe opowiadanie cały ten smutny, bohaterski epizod, od chwili gdy generalność konfederacka w Muszynie podkarpackiej na wiosnę r. 1769 się zgromadziła, przez Pułaskiego zwyciężką partyzantkę, ale i zarazem przez błędy jego nie do darowania, przez Dumourieza fortyfikowanie zamku i organizowanie konfederackiej armii, aż do owej krwawej 22 czerwca 1771 pod Lanckoroną przegranej, zakończonej w końcu poddaniem się zamku Austryakom 8 czerwca 1772. Smutne to, aż nadto dobrze znane dzieje, ale choć krótko i zwięźle, choć surowo i słusznie, nie mniej jednak z prawdziwym ciepłem przez autora opowiedziane, urozmaicone zaś nader ciekawym ekskursem o romansowym bohaterze, przez chwilę z tym dziejowym epizodem związanym, o głośnym, legendowym niemal awanturniku, Maurycem hr. Beniowszkym,

którego historya streszczona tu sumiennie na podstawie najnowszego o nim wspomnienia w dziele francuskim p. Henryka d'Escaup: »Histoire et géographie de Madagascar«. (Paris, 1884). Na tym to bohaterskim ustępie kończy autor polskie Lanckorony dzieje — i w końcu podaje tylko jeszcze opis miasteczka i zamku, jak się one dziś przedstawiają oku turysty, który z dodanych tu planów ruin i dawnych zamku wizerunków może go sobie dziś wcale wyrazić w wyobraźni odtworzyć. Po pierwszym rozbiorze, już w r. 1777 została część Lanckorony wraz z Myślenicami sprzedaną przez rząd austriacki Franciszce z Krasińskich księżnie Karolowej Kurlandzkiej, a przez nią przeszła w r. 1788 na jej córkę Maryę ks. de Carignan, po której śmierci odziedziczyli ją dzieci z drugiego jej małżeństwa, Maurycy i Augusta księstwo Montléart. Drugą część starostwa kupił w r. 1839 Feliks hr. St. Genois. — Oto w krótkości tylko streszczone ciekawe Lanckorony dzieje, po szczególności do których odsyłamy do tej sumiennej monografii p. Zarewicza. Błędów w niej nie spotkaliśmy prawie żadnych (falszywo tylko Drzewiecką nazwana Barbara, żona Stanisława Tarnowskiego podsk. w. kor., wojewod. sandm., a matka Barbary z Tarnowskich Stanisławowej Wolskiej; była ona z domu Drzewiecka z Drzewicy herbu Ciołek, stolnikówna krak., synowica Macieja prymasa); — całość zaś napisana tak sympatycznie, z takim ciepłem, a tak przytem starannie i z takim wytrawnym a zdrowym i prawdziwym historycznym sądem, że ją każdemu szczerze do przeczytania zalecamy, i że nam też nie zdaje się zbyt długą tą sprawozdawczą notatką o książeczce 114 stron tylko liczącej. J. M.

— *Polska poezya kościelna* od najdawniejszych czasów aż do wieku XVI. Napisał Dr. Mikołaj Bobowski. (Warszawa, 1885, str. 138). — We wstępie stara się autor dowieść, że przed w. XV pojawia się u nas polski śpiew religijny tylko poza kościołem, i to rzadko; w w. XV doznaje on skromnego zastosowania w kościele przynajmniej w większe święta, a dopiero w w. XVI jest już »nieledwie równouprawniony z łacińskim.« Następnie zajmuje się p. B. krytyką tekstu wszelkich dotychczas znanych pieśni kościelnych polskich z w. XV. Większą część tej pracy zajmują »pieśni o Matce Boskiej«, których autor naliczył dziewiętnaście; z niektórych jednak są tylko urywki. Cała ta część znana nam jest już z dySSERTACJI doktorskiej tegoż autora p. t. *Die alt-polsche Dichtung des XV Jahrhunderts: I. Marienlieder.* (Breslau, 1883). Dalej następują uwagi o trzech pieśniach na Boże Narodzenie, 4 na Wielki Post, 2 na wielkanocnych, 2 na Zielone Świątki, 3 na Boże Ciało; wreszcie omawia p. B. legendę o św. Aleksym, pieśń o św. Stanisławie i rymowane dekalogi. Autor śledzi pilnie związek naszych pieśni z podobnymi pieśniami czeskiemi, niemieckimi i łacińskimi, i dochodzi do podobnych, jakkolwiek nie zawsze tak wyraźnych rezultatów, jak p. W. Bruchnalski w malej swej

pracy p. t. *O źródłach niektórych utworów poetyckich polskich XV i XVI wieku.* (Kraków, 1884). J. H.

— *Kartezyusz*: Rozmyślenia nad zasadami filozofii, dowodzące istnienia Boga i różnicy pomiędzy duszą ludzką i ciałem. Przełożył z łacińskiego Ignacy Karol Dworzaczek. Pod redakcją Henryka Struvego. (Warszawa, 1885). — Z przedmowy do niniejszego przekładu, podpisanej przez Henryka Struvego, dowiadujemy się, że zasłużony profesor warszawski postanowił wydać cały szereg przekładów najważniejszych dzieł filozoficznych Platona, Arystotelesa, Kartezyusza, Spinozy, Leibniza, Kanta i innych znakomych myślicieli. Trudności materialne usunął Komitet kasy imienia ś. p. Mianowskiego, który tak wielką położył już zasługę przez wydawnictwo „Biblioteki matematyczno-fizycznej.“ Nie potrzeba rozwódzić się, iż przedsięwzięcie prof. Struvego, jeśli tylko pomyślnie da się przeprowadzić, mogłoby bardzo skutecznie wpłynąć na ożywienie u nas ruchu filozoficznego i podniesienie poważniejszych studiów filozoficznych. W naszej literaturze filozoficznej czuć się daje bardzo dotkliwy brak prac historycznych i umiejętności przekładów dzieł klasycznych z zakresu filozofii, która to okoliczność rzuca wielkie światło na zjawisko, że nawet istotnie uwagi godne usiłowania swojskich myślicieli nie budzą u nas w szerszych kołach najmniejszego zajęcia, że niema u nas prawie żadnego ruchu filozoficznego, a jeśli jest, to tak popularny i powierzchowny, jak np. około r. 1870. Ale żądadź wziąć się ma gruntowniejsza, szkolna znajomość filozofii, skoro nie mamy ani ogólnej historii filozofii, ani historycznych monografii, ani wreszcie umiejętności przekładów klasyków? — Dlatego witamy z radością wydawnictwo prof. Struvego, i życzymy mu, aby przekłady „Biblioteki filozoficznej“ wyróżniały się korzystnie od dotychczasowych warszawskich przekładów z dziedziny filozofii. Przekład „Rozmyślań“ Kartezyusza, dokonany przez p. Dworzaczka, poprawny, jasny, i często zbliżający się do prostoty oryginału, dobrze inauguruje wydawnictwo. Najważniejszą usterką, którą spostrzegliśmy, jest tłumaczenie kartezyuszowego „idea“, przez „pojęcie“, zamiast „wyobrażenie.“ Ze wszechmiar pożądanem by było, aby w tomach następnych zwrócono jeszcze pilniejszą uwagę na terminologią, i nie szcędzono przypisków, które w dziełach filozoficznych nigdy nie są zbędne. Wstęp tłumacza, krótki, ogólnikowy, nie podaje charakterystyki filozofii Kartezyusza, ani nawet charakterystyki „Rozmyślań“, nie odpowiada więc swojemu zadaniu. L. P.

— *Prace filologiczne*, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom I, zeszyt 1. (Warszawa, 1885, str. 268). — Prawdziwą niespodzianką będzie zapewne dla naszej publiczności wiadomość o ukazaniu się polskiego czasopisma filologicznego. Nie poprzedziły go bowiem ani ogłoszenia i prospekty, ani też

żadne reklamy, miejsce programu zaś zastępuje krótka tylko notatka treści następującej: »Prace filologiczne« obejmować będą: rozprawy z językoznawstwa ogólnego, badania z dziedziny języków słowiańskich a języka polskiego w szczególności. tudzież rozprawy z piśmiennictwa staropolskiego, materyały do historii języka i piśmiennictwa polskiego, oraz wiadomości bibliograficzne, rozbiory i sprawozdania z prac w tymże zakresie.« Oto wszystko, co czytamy na czele zeszytu pierwszego. Nie wiemy wprawdzie, jak często takie zeszyty będą się pojawiać; dość, że jest czasopismo, i że jak z pierwszego już widać zeszytu, pewnie nie zrobi wstydu nauce polskiej. — Dotychczas była nasza literatura filologiczna ograniczona głównie na wydawnictwa Akademii Um., t. j. na »Rozprawy wydziału filolog.«, »Pamiętnik Ak. Um. i »Sprawozdania komisji.« W publikacjach tych mamy obok filologii słowiańskiej, także klasyczną i niemiecką, a nadto prace odnoszące się po historii sztuki. Obecnie przybywa nam nowy organ ze ścieśnionym zakresem o tyle, że filologia klasyczna, niemiecka i historia sztuki w »Pracach filol.« miejsca nie znajdują. Można więc powiedzieć, że będzie to czasopismo poświęcone gramatyce porównawczej i filologii słow., a zwłaszcza polskiej. Takie przynajmniej wrażenie robi leżący właśnie przed nami zeszyt pierwszy. Wecale pokazny to »zeszyt« już co do swej *objętości*, a imiona wydawców, znane już tak zaszczytnie w literaturze naukowej u nas i za granicą, każą się domyślać, że *treść* »Prac filol.« będzie zupełnie na wysokości dzisiejszej nauki. Trzy czwarte niemal tego zeszytu mieszczą prace samych wydawców. Prof. Baudouin de Courtenay z Dorpatu umieścił obszerną i nader ciekawą rozprawę p. t. »Z patologii i embryologii języka.« Jestto mianowicie opis zбочeń językowych częściowego niemowy Władka M., którego prof. B. badał przez lat kilka. W następnym zeszycie ma być umieszczony słowniczek tego młodzieutkiego półafatyka. Praca ta będzie niezawodnie ciekawą także dla przyrodników i lekarzy. — Dr Jan Karłowicz z Heidelberga podaje »projekt terminologii językoznawczej polskiej.« Sprawa to nader ważna i prawie piekająca; to też dobrzeby było, gdyby projekt ten mógł wywołać jak najwyższą dyskusyą szczegółową między powołanymi. Lamy »Prac filolog.« nadawałyby się ku temu najlepiej, a sankcją nowej terminologii mógłby udzielić jaki przyszły kongres naszych filologów. Nadto znajdujemy tu parę krótszych artykułów gramatycznych pana K., wiadomość o rękopiśmiennym przekładzie hiszpańskim jednego rozdziału z dzieła Frycza Modrzewskiego (De republica emendanda), i polemikę z pewnym młodym uczonym niemieckim o pochodzenie nazwy »Wisła.« — Prof. Ad. Ant. Kryński z Warszawy, podaje tekst trzech najstarszych druków polskich, mianowicie: Ojciec nasz, Zdrowaś i Wierzę z r. 1475, pieśń Bogarodzica z r. 1506, wreszcie pewne formułki kościelne i powieść o papieżu Urbanie z r. 1514. Ten ostatni tekst staropolski

opatrzył pan Kr. wybornym komentarzem gramatycznym. Nadto mamy tu dwa dodatki tegoż autora do artykułów gramatycznych p. Karłowicza. — Prof. Lucyjan Malinowski z Krakowa ogłasza nader ciekawe »studya nad etymologią ludową« głównie w zakresie świata roślinnego i zwierzęcego, dalej tłumaczy »niektóre wyrazy polskie litewskiego pochodzenia«, a wreszcie podaje nam cały szereg »drobiazgów gramatycznych«, głównie z zakresu języka polskiego. — Prócz wydawców zasilili ten zeszyt swemi pracami i inni badacze. Prof. Wl. Nehring z Wrocławia, wyklada tu stosunek polskich wyrazów, jak baré, czart, cirpieć, pierś, pelzać, żółty, wilk, dlubać itp. do odpowiednich form prasłowiańskich; prof. J. Przyborowski z Warszawy ogłasza urywek kazań łacińskich z głosami polskimi z w. XV; prof. M. Kruszewski z Kazania podaje wyciąg z jednej pracy Osthoffa (Morphol. Untersuch. IV) jako » przyczynek do historii pierwotnych samogłosek długich«; p. St. Windakiewicz z Krakowa ogłasza nieznanne szczegóły o rodzinie Kochanowskich, znalezione w archiwach krakowskich, a wreszcie Dr Jan Hanusz z Wiednia pisze o pochodzeniu nazw »Vistula, Wisła, Weichsel« ze stanowiska gramatyki porównawczej. Tenże podaje »rozbiory i sprawozdania« z sześciu nowszych publikacji lingwistycznych, które zamyka pan Kryński oceną dwu nowszych prac gramatycznych polskich. — Oto jest treść zeszytu pierwszego nowego specjalnego czasopisma polskiego. Śmiało powiedzieć możemy, że tak co do wartości artykułów, jak i co do swej strony zewnętrznej, weale nie ustępuje nasze czasopismo i pierwszym tego rodzaju publikacyom zagranicznym. To też możemy mu tylko życzyć jak najlepszego powodzenia.

J. H.

— Praca historyczna narodów Europy całej, w zbiorach papieskich od lat kilku rozpoczęta, jaką staraliśmy się naszkicować w zakończeniu naszych uwag o »Otwarcie watykańskiego archiwum« w zeszycie lutowym *Przeglądu*, postępuje dzień niemał za dniem coraz to raźniejszym krokiem naprzód, a skarby rękopiśmienne, jakie z tych olbrzymich materyalów w coraz to liczniejszych ukazują się wydawnictwach, są nieustającym dowodem doniosłości faktu, jakiśmy przed kilku miesiącami zaznaczyli. I nowa też znowu publikacja niezbyt właśnie dawno ujrziała światło dzienne, a bogactwo materyalu ważnego, jakie w sobie mieści, wymaga znowu, byśmy jej kilka słów sprawozdawczych poświęcili, tem więcej, że i do naszej także historii w znacznej się ona odnosi części. — W ślad za powszechno-europejskim ruchem naukowym do Watykanu od lat kilku skierowanym, poszli odrazu, i to nie ostatni weale, Węgierscy uczeni, a impuls i środki do pracy dało im uczone i hojne duchowieństwo korony Św. Szczepana. Jak dawniej za jego inicjatywą i jego sumptem umożliwionem zostało wydawnictwo

dwutomowe O. Aug. Theinera: *Monumenta vetera historica Hungariam sacram illustrantia* (Romae, 1859, 1860, T. I. II.), do którego przeważnie kościelno-historyczny materiał z archiwów watykańskich zebrany został — tak i dziś dzielny episkopat węgierski, gdy przystęp do zbiorów papieskich ułatwionym został całkowicie, podjął na nowo z podwojonemi siłami tak świetnie przed laty 25 rozpoczęte zadanie. Bogate kapituły węgierskie wraz z kilku biskupami postanowiły jeszcze w r. 1882 wysłać kilku do Rzymu badaczy, w celu poszukiwania tamże i wydania przez publikację Theinera nie objętego całego mnóstwa materiału historycznego, nietylko ściśle do dziejów Kościoła, ale do całej wogóle świeckiej także, węgierskiej odnoszącego się historii. Biskupi i kapituły kilka złożyli fundusz w tym celu — i wybraną też zaraz została kommissya, złożona z Ipolyego biskupa z Neusohl, z uczonego kanonika W. Waradyńskiego Fráknói'a i kanoników Knauza i Dankó z Ostrzychomia, mająca się zająć wybraniem i wydawnictwem dokumentów. Wzięto się raźnie i systematycznie do pracy — i już też oto dziś okazały owoc nauce historii węgierskie duchowieństwo przyniosło w ofierze, znacznych rozmiarów tom, mieszczący w sobie poważną ilość najciekawszego materiału dziejowego a noszący tytuł: »*Monumenta Vaticana historiam regni Hungariae illustrantia.*« Ser. II. Tom I. Relationes oratorum Pontificiorum 1524 — 1526.« (Budapestini, 1884, male fol. CLIII i 472 str.). Wstęp do publikacji tej, wspaniale rozpoczętej, napisany po łacinie i po węgiersku przez biskupa Ipolyego — po którym także w dwóch tych językach następuje krótki szkic politycznego i kościelnego stanu Węgier w ciągu dwóch lat Mochaćką poprzedzających katastrofę, pióra kanonika Fráknói'a. —

Dziwnym znowuż trafem cały ten najpierw wydany, a więc za najważniejszy, za najbardziej chwilowo potrzebny przez węgierskich uczonych osadzony materiał, odnosi się do tej samej zawsze epoki pierwszych lat Reformacji, co wielkie publikacje watykańskie Balana, Hergenröthera, Armelliniego. Widocznie i węgierska historyczna nauka na tem polu najgwałtowniej nowego potrzebuje światła, choć w ruchu religijnym jeszcze w tej chwili dziejowej Węgry najmniejszego udziału nie biorą, ale szamotają się tylko w bezsilnej wewnętrznej politycznej walce stronnictw, w przededniu z zewnątrz nadeciągającej, na całe dwa wieki mającej je zmiażdżyć katastrofy. Trzech lat przeciąg obejmują w sobie w tym pierwszym tomie wydane historyczne materiały, a treść ich, jak z tytułu widać stanowią relacje nuncyuszów Stolicy Apos., przez ten przeciąg czasu z Węgier do Rzymu przesyłane. Jest tych, często bardzo obszernych depeš 135, kardynała Lorenzo Campeggio z 7 miesięcy (od grudnia 1524 do czerwca 1525) i znanego w dziejach tej epoki, watykańskiego, częstego do wschodnich państw Europy posła, barona de Burgio, z całych dwóch lat z górą (1524 — 1526), przez które jako nuncyusz w Węgrzech bawił. Niektóre z tych dokumen-

tów znajdują się już w *Monumentach* Balana, ale tylko przeważnie w skröceniach, uwzględniających dosłownie jedynie materiał do dziejów Reformacji w Niemczech się odnoszący, a pomijających wszystkie inne wiadomości. Te, depesze Campeggia przeważnie, zostały tu po raz pierwszy w całości wydrukowane, i mnóstwo nowego materiału w sobie mieszczą. Owe relacye, prawie wszystkie pisane są z Budy, kilka tylko z Wiednia i innych miast. Najwięcej jest adresowanych do sekretarza państwa kościelnego Jakóba Sadoleta — niektóre do dataryusza Jana Giberti, do arcybiskupa kapuańskiego Mikołaja Schomberga (nie: Schönberga!) i do samego Klemensa VII. Prawie wszystkie pisane po włosku, kilka zaledwo jest w języku niemieckim. Ułożone są chronologicznie, opatrzone nader wyczerpującymi notami, a tekst wydany nadzwyczaj poprawnie i według wszelkich wymagań nowszej nauki. Na trzy przedewszystkiem odłamy co do swej treści można podzielić historyczny materiał, jaki one przynoszą — trzy głównie dziejowe kwestye poruszają w nowy sposób i jaskrawo oświecają. Najważniejsza z nich część do dziejów Węgier się odnosi, do obrony rozdartego wewnątrz królestwa przeciw tureckiemu, wiszącemu nad niem potopowi. Całe garście tu nowego historycznego jaśnieją światła, a ze względu na obraz wewnętrzznego stanu Węgier przez ostatnie dwa lata Mochaćką poprzedzające klęskę, śmiało rzec można, że publikacya ta epokę stanowić będzie. Dowód tu nowy, stanowczo już niezbity, że tylko swej wewnętrznej rozterce zawdzięczają Węgry turecki zalew — choć i brak pomocy z zewnątrz znaczną też winę ostatecznej klęski na sobie nosi. Jeden tylko papież wspiera i ratuje pieniędzmi, radą i wojskiem bliskie upadku królestwo, ale ta pomoc nic niemal nie znaczy wobec wewnętrznego szamotania się stronnictw i wobec braku energii oddanego zabawom i uciechom młodego króla Ludwika Jagiellończyka, który ginie wraz ze swemi rycerskimi ale bezsilnemi wojskami w Mochaćkich bagnach. Obok tego pierwszorzędnego, najobfitszego materiału do dziejów węgierskich z dwóch lat zamykających epokę ich niezależnego politycznego bytu — nader ważne też znajdują się w tej publikacyi nowe akta do całego sporu polsko-pruskiego, którego nieszczęsne zalatwienie na rok 1525 właśnie przypada i tak głośno w Rzymie odrznięwa, — i do zjednoczenia czeskich Kalikstynów z rzymskim Kościołem. Taką jest krótko tylko i jedynie najogólniej zebrana treść cennego, nowego z archiwów watykańskich wydawnictwa, do którego nieraz i naszym historykom zaglądać przyjdzie, tem łatwiej, że w powszechnym europejskim naukowym języku publikacya ta dokonana. A jeżeli dla naszej historii, dla faktu sekularyzacyi Prus niejedną nową rzecz z tego bogatego materiału się wydobędzie — tak iż doprawdy, że warto by na nowo, na podstawie tego całego mnóstwa z Watykanu pochodzących nowych wiadomości, zbadać i opracować tę tyle ważną dla naszych dziejów kwestye, do której same publikacye Balana i ta

nowa węgierska najciekawszy następcą naukowy substrat — to węgierska nauka już zeń odrazu wycisnęła to, co dla niej najważniejsze, podając w nowem historycznem dziele, ze wszech miar znakomitem i wyczerpującem, nowe rezultaty, jakie w pragmatycznym przedstawieniu z tej cennej publikacji osiągnąć było można. — Praca tą zajął się równocześnie z częściowem ukazywaniem się w druku całego wydawnictwa ks. Dr. Wilhelm Fraknoi, najwięcej dziś warunków i znajomości przedmiotu do niej posiadający, kilku więc też słowami o jego ciekawem dziele te nasze uwagi zakończyć nam wypada.

Napisana po węgiersku (niestety!) — niebawem ma się ukazać niemiecki przekład — nosi książka ta tytuł: *Węgry przed bitwą pod Mohaczem* (»Magyarország a mohácsi vész előtt« — Buda-Pest, 1884, XVI. 304 str.), i zajmuje się przedstawieniem wewnętrznych stosunków państwa w przeciągu trzech lat, złowrogą datę 1526 r. poprzedzających, epoką do której autor, od lat dziesięciu zbierający materyał do napisania wielkich dziejów Węgier od połowy XV. stulecia aż do Mochackiej katastrofy, największe, że się tak wyrazimy, ma prawo, jako najlepiej ze wszystkich dzisiejszych historyków ją znający i najobfitszą ilością źródeł wszelkich i literatury do niej rozporządzając. — To też to nowe jego dzieło, na tej najświeższej publikacji i na całym mnóstwie węgierskich i zagranicznych archiwalnych aktów oparte, zasługuje ze wszech miar na najchwalebniejszą wzmiankę. Trzy lata to tylko, ale lata zwrotne w losach węgierskiego narodu, a i dla dziejów Europy całej w złowrogie skutki brzemiennie, przez usadowienie się po Mochackiem zwycięztwie tureckiej potęgi w samemże już ciele chrześcijańskiej rzeczypospolitej. Najboleśniesz to lata w węgierskich dziejach. »W czasie bowiem, mówi autor, gdy nacisk zewnętrznych losów dopuszczeń gniół kraj coraz to ciężej, zagrażała zarazem żywotną »narodu siłę w najniebezpieczniejszy sposób trucizna obyczajowego »upadku, i katastrofa z pod Mochacza nie tyle jest tragicznym »wynikiem wzbudzającej współczucie walki ile raczej pełnym wstydu »rezultatem egoizmem i walką stronnictw wykarmionej bezsilności.« Z tego wychodząc założenia, przedstawia on obiektywnie fakta na obraz dziejowy tych lat się składające, ale zarazem przez subiektywny, gorący koloryt, jaki im nadaje, ubarwia je i sprawia, że i przedmiotu i autora czytelnik z prawdziwą słucha sympatją. Opowiadanie płynie po prostu, naturalnie, a obraz upadku wewnętrznego państwa jest zaiste przerażający i nauczający zarazem, upadku monarchii, która na lat 30 przed Mochaczem do pierwszorzędnych w Europie należała państwowych organizmów. Wszakże olbrzymie królestwo zmarłego r. 1490 Macieja Korwina było jednym z najpotężniejszych w XV. wieku państw w Europie a narodowy jego król-bohater walczył zwycięzko od zatoki Otranto aż po Wrocław, od czeskich górskich fortec aż po dalmatyńskiego wybrzeża skały. A w 36 lat po jego skonie w dwugodzinnej

bitwie państwo jego w puch zostaje rozbitem i pod pogańskie przechodzi jarzmo. To też książka niniejsza uczy jasno i jaskrawo, co do strasznych rezultatów w tak krótkim czasie ten młody, żywy organizm przywiodło, i jak nie wielu nawet lat potrzeba, ażeby najściślejszy państwowy utwór podkopać i zwalić. We wstępie ma-luje autor wewnętrzne stosunki Węgier za Korwina, a wślad za niemi zaczynający się po jego śmierci, z panowaniem dobrotliwego »Regis bene« Władysława Jagiellończyka upadek. Sam przedmiot dzieli się na 6 ksiąg. W nich przechodzi Dr. Fraknoi całą strasz-ną tę dziejową tragedję aż do nieuniknionej w końcu katastrofy, nie pomijając wśród tego zarazem i zewnętrznych, na wewnętrzną węgierską politykę działających wpływów. — Opór przeciw wa-lającej się jak lawina wschodniej nawale, był w najkorzystniejszych na-wet wewnętrznych warunkach, przy organizmie najsilniejszym nawet, skonsolidowanym w jednego bohaterskiego jakiegoś człowieka ręką, nader trudny, bodaj czy wogóle całkowicie możebny — a tymczasem Węgry pierwszej ćwierci XVI. stulecia tylko najsmutniejszy przed-stawiają wewnętrzną dezorganizacyi obraz. Na czele państwa mło-dziutki, niedoświadczony i lekkomyślny król, zostający pod wpływem młodej, pięknej żony, cesarskiej siostry Maryi, a opanowany przez całą zgraję zmieniających się ciągle, chciwych władzy i zysku dworaków i doradców. W narodzie samym walka zacięta stronniectw, narodowego i austriackiego, zażarty bój massy drobniejszej szlachty z potężną dumną oligarchią. Obok tego ogólne zepsucie obyczajów, całkowity upadek moralny, wszelki brak patriotyzmu wobec nie-odzwonnie wiszącej nad państwem zagłady, ubóstwo powszechne, brak pieniędzy w skarbie a wojska pod jednym wodzem, któregooby wszyscy słuchali. Oto smutny, tragiczny obraz pięknego, przed ćwiercią stulecia kwitnącego i bogatego, potężnego i zwycięzkiego państwa, które w rodzaj oblędu popadło, a którego utylitarny ów-czesny europejski duch epoki Odrodzenia ratować nie myśli. Udają wyprawdzie dobre chęci ościenne, najbardziej zagrożone królestwa: Ferdynand austriacki obiecuje ciągle posilki, a potężny Ludwika stryj na polskim tronie krząta się niby to około dania pomocy bratankowi. W gruncie jeden papież daje materyalne subsydy a i wzywa Europę całą do ratowania dotychczasowego przedmurza chrześcijaństwa. Ale własnemi wojnami zajęta chrześcijańska rzecz-pospolita nawoływań tych nie słucha, a samejże Stolicy Apostol-skiej pieniądze i wojska nie wystarczają na ratunek leżącego do ruiny państwa. Gina one zresztą w otchłani podmytego wewnę-trznym rozstrojem organizmu, którego fundamenta się chwieją i za pierwszym podmuchem potężnej wschodniej burzy muszą runąć od jednego zamachu.

Oto w kilku rysach streszczony, ogólny rezultat z cennej pracy Fraknoia, ustalającej raz na zawsze sąd historyi o przededniu Mochackiego zwycięztwa, a oparty przeważnie na nowej pu-blikaeyi z aktów watykańskiego archiwum, jaka w ostatnim mie-

siącu roku przeszłego ze zdwojoną przez ostatnie wydawnictwa ciekawością od badaczy dziejów węgierskich a zarazem i przez całą naukowy historyczny świat Europy powitana została.

J. M.

— M. Guyau: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*. (Paris, Felix Meau 1885). — Im mniej na świecie prawdziwej moralności, tem więcej zajmują się filozofowie zagadnieniami moralnemi. Dowodem tego najlepszym obecny ruch na polu filozofii, nigdy bowiem nie pisano i nie drukowano więcej o rzeczach moralnych! — Szczególnie koryfeusze tak zwanej filozofii pozytywnej z wielkiem zamięłowaniem oddają się badaniom etycznym. Chodzi im o rzecz niemałej wagi, bo o zburzenie ostatniej twierdzy, w której broni się jeszcze filozofia idealna. Gdyby się udało wykazać, że objawy moralne to także tylko wynik przyrodniczej ewolucyi, w takim razie znikłaby najważniejsza zapora nie dopuszczająca jeszcze do tego czasu zupełnego zrównania człowieka z przyrodą, — teoria Darwina i oparta na niej filozofia odniosłoby tryumf ostateczny. Siłą się więc filozofowie, aby dowieść, że moralność u człowieka nie jest czemś co do istoty swojej odrębnem, ale że jest ona tylko jednym z tych środków budzących się w świadomości jednostek, a to w celu zapewnienia, czy to sobie samym, czy całemu gatunkowi ludzkiemu jak największych w walce o byt korzyści. Do tego czasu jednak nie bardzo udaje się im takie zrównanie objawów moralnych z przyrodniczymi. Najlepszym zaś tego dowodem książka, której tytuł powyżej przytaczamy. Autor jej jest jednym z najzdolniejszych współczesnych pisarzy francuzkich na polu filozofii, a wszystkie jego dzieła pełne nowych i oryginalnych myśli. Jest on także zwolennikiem teorii ewolucyi, i opartego na niej filozoficznego kierunku, którybyśmy pozytywizmem Spencera nazwać mogli. Ostatnie jego dzieło, będące szkicem nowej etyki, odznacza się także niezwykłą w dzisiejszych czasach oryginalnością, ale w wynikach swoich zaiste niezbyt jest dla ewolucyjnej moralności pocieszające. O cóż to chodzi panu Guyau? O to ni mniej ni więcej, tylko o konstrukcyę moralności takiej, któraby żadnego nie znała zobowiązania, żadnej nie potrzebowała sankcyi. Ma to być teoria moralności z wykluczeniem pojęcia obowiązku, dla którego nowa filozofia miejsca u siebie znaleźć nie może. I nie dziwnego! Jakżeż tu bowiem pogodzić głos sumienia i obowiązku z pojęciem korzyści, choćby najsubtelniej wykręconem? Pan Guyau uznaje, że jest to poprostu rzeczą niemożliwą. Mylą się według niego szkoły tak hedonistów, jak utylitarystów, które w rozkoszy lub w pragnieniu korzyści, upatrują jedyne źródło obowiązku. Obowiązek powiada pan Guyau, to nie idea, to skłonność raczej, to jakaś nieokreślona w człowieku tajemnicza siła, której źródło tkwi w najgłębszych tajnikach życia.

Jedynym i ostatecznym celem wszelkiego życia, może być

tylko życie samo, a więc i moralność nie może mieć innego przed sobą celu; możnaby przeto określić etykę, jako umiejętność, której przedmiotem wszelkie środki mające na celu zachowanie i spotęgowanie życia, czy to w kierunku materialnym, czy umysłowym. Wszelkie życie pragnie rozszerzać się i mnożyć, dąży do jak największej produkeyi. Otóż obowiązek jest poprostu zbytciem, obfitością życia, które pragnie urzeczywistniać się, wcielać się i podawać na zewnątrz. Mózg działać, znaczy być do działania zobowiązanym. Oto jest nowa zasada, oto nowe pojęcie obowiązku w miejsce wszystkich dotychczasowych teorii. Człowiek żyjąc, pragnie jak najwięcej życia około siebie rozmnożyć, produkuje więc życie fizycznie i moralnie: otóż obowiązek ma być dlań tym bodźcem do coraz energiczniejszego pomnażania życia. Jednak pan Guyau myli się, przypuszczając, że jego teoria jest tak nową. Należy ona do dosyć już starych, wszakże nikt jej lepiej nie sformułował od Hobbesa. On to postawił zasadę, że najwyższem dobrem jest życie. Ale on wyciągnął także wszystkie z tej zasady wnioski, prowadzące do zupełnej anarchii, a w dalszym ciągu do terroryzmu. Jeżeli życie najwyższem jest i jedynem dobrem, to w takim razie moralnem jest wszystko, co życiu służy i co go potęguje; każda więc jednostka ma prawo do wszystkiego, i pragnie wszystko zagarnąć. Owocem tak pojętej moralności jest wojna wszystkich przeciwko wszystkim, czyli stan najzupełniejszej anarchii, grożący wszystkim utratą życia. Z teorii pana Guyau dadzą się zupełnie tesame wyprowadzić wnioski; to też postawiona przez niego zasada jest poprostu abdykacją z wszelkiej moralności. Uznaje to do pewnego stopnia sam autor. Pisze bowiem, iż wcale nie chce zalecać teorii swojej jako najlepszej ze wszystkich; niechaj każdy ma swoją; im więcej człowiek będzie miał doktryn do wyboru, tem lepiej i wygodniej dla niego. Piękna to więc moralność umiejętna, która w miejsce jakiegokolwiek choćby najgorszej zasady stawia brak wszelkich zasad i zupełną w rzeczach moralnych dowolność. Niedoleństwa zresztą tej nowej, nibyto umiejętnej zasady dowodzą najlepiej następujące słowa: „teoria moralna, oparta na podstawach wyłącznie umiętnych, nie może w sposób ostateczny i zupełny rozwiązać zagadnienia obowiązku.“ Słowa te napisał sam pan Guyau i w ten sposób sam najlepszy o swoich usiłowaniach wydał wyrok. Czuje on więc doskonale, że teoria jego, mająca wypełnić braki moralności utylitarnej, jest wszelkiej pozbawiona ścisłości i prowadzi do moralnej anarchii. Niektórzy więc tylko wybrańcy, ludzie wyżsi nad przesady niechaj hołdują jego zasadzie, ogół niechaj wzrasta w przesądzie, że istnieje jakaś wyższa dla moralności sankcyja, aby tylko rozwijały się, mnożyły warunki sprzyjające mnożeniu się życia. Dzieło pana Guyau jest istotnie ciekawem w obecnym umysłowym ruchu zjawiskiem, stwierdza bowiem w sposób niezbity, iż na podstawach wyłącznie

przyrodniczych nie może powstać prawdziwie filozoficzna i umiejętna etyka.

M. St.

— Émile Deschanel: *Le Romantisme des classiques* (Paris, Calman Lévy, in 18^o.) I. Série: Corneille, Molière 1 vol. (1883). II. Série: Racine. 2 vol. (1884). III. Série: Pascal. La Rochefoucauld. Bossuet, 1 vol. (1885). — Aby nowe obudzić zajęcie dla studium nad dawnymi pisarzami XVII-go wieku we Francyi, wynalazł p. Deschanel teorią i tytuł: *Romantyzm klasyków*. Mając w przyszłości zamiar przedstawić swym słuchaczom w *Collège de France* dzieje romantyzmu, cofa on się w głąb stulecia Ludwika XIV-go, szukając w dziełach jego pisarzy zawiązków tego literackiego kierunku. Romantykiem jest zaś dla naszego autora każdy, kto wywołuje przewrót w piśmiennictwie; jeżeli zdola wywalczyć prawo bytu dla swych poglądów, zapanuje on nad położeniem, pociągnie za sobą naśladowców i zostanie z kolei klasykiem. Corneille, Molière, Saint-Simon, Pascal, Racine, Bossuet, nawet Boileau byli niegdyś romantykami. Przyszłość pokaże, ilu klasyków wydał wiek XIX: pewien znaczny przeciąg czasu jest pierwszym warunkiem tej literackiej kanonizacyi. Szereg wyżej wymienionych nazwisk, dowodzi dostatecznie, jak niedokładną, żeby nie powiedzieć fałszywą, jest teoria autora. — Wykłady swoje, zaczęte w 1881 r., ogłasza p. Deschanel drukiem. Mamy już przed sobą cztery tomy, pisane lekko, swobodnie, lecz bez planu. Nie wiedzieć, co było zamiarem autora: praca historyczno-literacka, czy teoretyczne studium nad istotą romantyzmu? Ustępy interesujące i trafne stykają się tu z dziwnie powierzchownymi. Teoria jest zresztą jedyną nowością tej książki, nie opartej na żadnym nieznanym rękopisie, na żadnym niewydanym dokumencie. Nie myślimy robić jej z tego zarzutu. Umieć tylko ugrupować obfity materiał, uwzględnić nowe wyborne wydania pisarzy, literackie i historyczne monografie i ze znajomością obcych literatur, ze zrozumieniem ducha epoki odbudować całokształt francuzkiego piśmiennictwa XVII-go wieku, byłoby wielką, bardzo wielką zasługą. Pisarzom, co by się o taką chwałę chcieli pokusić, nie zagroził p. Deschanel drogi. Nie podjął całej tej przygotowawczej pracy, nie zgłębił pojęć ludzi, których osądził, nie zstąpił ze swego antireligijnego stanowiska, mając mówić o Pascal'u i Bossuetcie. Jak o nich mówi, odgadnąć łatwo: uważa ich za wielkich mistrzów stylu, którzy marnują swój talent na wyrażanie pierwszy chorobliwych uczuć, drugi myśli oklepanych i ciasnych. Pierwszego zbywa się, powtarzając nietylko uczone uwagi pana Havet, ale i jego inwektywy na Jezuitów, o drugim dowodzi się na dwustu stronicach, że używa dziwnie prostych, w prostocie swej śmiałych wyrazów i zwrotów. Wiedzano o tem dawno; pierwszy p. Deschanel dostrzegł w tym fackie objawów romantyzmu.

Do zwykłych zalet francuskiej krytyki, nie zalicza się znajomość obcych piśmiennictw, szeroki literacki horyzont. P. Deschanel pragnie złemu zapobiedz: nie identyfikuje pojęcia „starożytność“ z pojęciem „Roma,“ — jest on autorem książki o Aristofanie, — lęka się „parafrańszczyzny Paryża“ (tom I, str. 32), i powołuje przed swój trybunał pisarzy wszystkich niemal epok i krajów, ale czy zawsze się utrzymuje na wysokości międzynarodowego sędziego? Nie bardziej dłań błahego i banalnego, jak owa Graetchen, którą Goethe stworzył; Ary Scheffer i Gounod otoczyli ją dopiero blaskiem (tom I, str. 334). Ifigenia Goethego przypomina naszemu autorowi Lotte, a Orestes Werther'a; nie pojmuje on, jak mogła kapłanka znieść ludzkie ofiary: „*c'est comme si un pape supprimait la messe*“ (tom III, str. 38). Osobliwszy sposób podnoszenia Racine'a!

Ale ze wszystkiego najgorszy jest ów „Romantyzm klasyków.“ Jeżeli są to tylko ramy (tom II, str. 46), to przygniatają obraz. O „Cydzie“ Corneille'a mówi p. Deschanel swobodnie i szczerliwie, owa nieszczęsna teoria jest mu bowiem tym razem pomocą, nie zawadą. Usunąwszy ją na ostatni plan w wykładach o Racinie, dowodzi autor, że umiē być i trafnym krytykiem i biegłym historykiem literatury. Jakkolwiek mówiąc o autorze „Andromaki,“ jest może p. Deschanel niezupełnie sprawiedliwym dla człowieka, w poecie zaś za silny kładzie nacisk na malarza dworu Ludwika XIV, ogółem przedstawia z talentem podwójne usiłowanie Racine'a: z jednej strony poszanowanie tradycji w wyborze starożytnych tematów, z drugiej chęć wprowadzenia obcych stosunków, postaci i pojęć na klasyczną, naśladowaną z Eurypides'a scenę. Przeciwnie zaś ustępuje profesor zbyt często miejsca feuilletoniście, ile razy wypadnie usprawiedliwiać tytuł, zapuścić się na pole literatury porównawczej, śledzić np. dziejów Don Juana w poezji, lub szukać śladów romantyzmu w Bossuetcie. Pomimo nowości jego wyrażen, lepiej może było wielkiego kaznodzieję w szeregu romantyków opuścić, niż zastępować rozbiór jego dzieł cytatami, charakterystykę epoki szczegółami, które się w każdym wydaniu mów pogrzebowych znajdują i żądać od biskupa, aby w pismach swoich nie był katolikiem, a od współczesnego Ludwika XIV, aby miał dzisiejsze historyozoficzne poglądy.

Jakkolwiek często tak powierzchowne, zasługuje jednak dzieło p. Deschanel'a na uwagę: posiada ono cenne ustępy i świadczy o stosunku dzisiejszej Francji do swych pisarzy XVII-go wieku. Dowodzi ono, że dla ogółu publiczności potrzeba ramy, pretekstu, aby jeszcze mówić o Racinie, że trzeba w nim wynaleźć podobieństwo do Wiktora Hugo, aby dlań słuchaczy pozyskać. Książka ta nie jest zupełnie odosobnionym faktem. Pisarze stulecia Ludwika XIV tak bardzo, przynajmniej nazewnątrz, religijni i monarchiczni, nie obudzają dziś powszechnej sympatii.

Z drugiej strony od czasu romantycznych walk, — mówimy o epoce „Hernani’ego“ nie zaś „Cyda“ — pozostała jeszcze pewna wroga literaturze XVII-go wieku tendeneya. Zdyskredytowano nieco w oczach Francyi ten najczystszy wytwór jej ducha; zapragnęła szerszego, wszechświatowego widnokregu. Dzisiejsze pokolenia nie rozumieją już Racine’a jak go poprzednie rozumiały, ale czy się za to obce pojęcia przyjęły na francuskiej ziemi? Książka p. Deschanel’a i sądy jego Goethem pozwalająby wątpić o głębokości i powadze tego ruchu.

K. G.

— *Real-Encyclopaedie der christlichen Alterthümer unter Mitwirkung mehrerer Fachgenossen bearbeitet und herausgegeben von F. X. Kraus.* (Freiburg im Breisgau, 1885, Herder), 11-te Lieferung. p. 289—384. — Mówiliśmy już o ważnej tej publikacyi, postępującej bardzo powoli dla niewielkiej liczby współpracowników. W tym roku wyszedł dopiero zeszyt jeden, czwarty drugiego tomu, a jedenasty całego dzieła, obejmujący artykuły od *Lectionarium* do *Medaillen*. Z licznych przedmiotów, podnosimy rozprawę o *liturgii* (*Liturgie* p. 309—327) napisaną, jak wszystko, co wychodzi z pod pióra uczonego profesora Bickell’a, z erudycją ogromną. Wartość szczególną nadaje jej uwzględnienie „*Nauki Apostołów*,” wyjaśniającej tyle punktów spornych co do liturgii pierwotnej. Następuje rzecz również gruntownie opracowana przez Schill’a o *liturgiach łacińskich* (*lateinische Liturgien*, p. 327—338). Uczony Münz dostarczył kilka krótkich, ale udatnych rzeczy, n. p. o „*świętle i ciemności*“ (*Licht und Finsterniss*), odgrywających rolę bardzo wybitną w symbolice staro-chrześcijańskiej, o św. Łukaszu i jego rzekomych obrazach (*Lucas und Lucasbilder*) i t. d. Heuser na podstawie badań najnowszych opracował szereg artykułów, odnoszących się do męczenników: *Martyrer*, *Martyrerblut*, *Martyrerfeste* i t. d. Nareszcie Kraus, główny wydawca, jest także głównym współpracownikiem dzieła. Dał do tego zeszytu mnóstwo drobnych a bardzo ciekawych rzeczy, jak: *Legio fulminatrix*, *Leier*, *Leuchter*, *Löffel* i t. d.; potem dwa artykuły dłuższe: o *biesiadach* (*Mahle*) i o *obrazach Najsw. Panny* (*Marienbilder*), zasługujące ze wszęch miar na wyszczególnienie. Resztę pomijamy, a kończymy życzeniem, aby u nas także książka ta znalazła licznych czytelników.

S. P.

— *Gesammelte Abhandlungen von Jacob Bernays.* Herausgegeben von H. Usener. (Berlin, 1885, Hertz. 8-o: Erster Band pp. XXVI, 356. Zweiter Band pp. 396). — Potrzebę zebrania pism drobniejszych Bernays’a objawiali zarówno filolodzy, jak historycy i filozofowie. Bernays zajmował tak wyjątkowe stanowisko wśród filologów nowożytnych, tyle wiedział, tyle kwestyi areytrudnych rozwiązał, a tak nadobnie umiał pisać nawet o przedmiotach suchych, że zaraz po śmierci jego w r. 1881 powstał zamiar zebrania razem wszystkich artykułów, rozproszo-

nych po przeglądach, lub jeżeli drukowanych oddzielnie, już od dawnego czasu nieprzystępnych. Prof. U s e n e r, kolega zmarłego, spełnił to zadanie z równą znajomością rzeczy, jak miłością. W obu tomach razem jest 32 rozpraw, a 39 krótkich notatek. W *pierwszym* tomie filozof każdy z sercem wdzięcznym powita pięć rozpraw, odnośnych do Heraklita (p. 1—109), a ośm do Arystotelesa (p. 130—192), które głównie przyczyniły się do sławy szerokiej autora. W *drugim* tomie filolog znajdzie obfitą dla ciekawości swojej paszę w owych trzydziestu dziewięciu „Miscellen“ (p. 276—368), które prawie wszystkie zajmują się naprawą tekstów starożytnych. Jedna o fragmentach Trogusa Pompeiusa, wymierzona przeciw A. Bielowskiemu, któremu zdawało się, że odkrył resztki zatraconego dzieła rzymskiego historyka. A jak zajmującą rozprawka o Żydach w Juwenalu (*Die Gottesfürchtigen bei Juvenal*), jedna z owych pięknych robot filigranowych, w których lubował się żydowski filolog! Zapomnieliśmy na wstępie powiedzieć, że Bernays był Żydem, co mu długo przeszkadzało w karierze uniwersyteckiej. W Prusiech bowiem do r. 1860 Żyd nie mógł zostać profesorem, choć pozwalano mu wykładać za darmo. Ale będąc Żydem, Bernays interesował się mnóstwem rzeczy, o których zwykli filolodzy nie nie wiedzą. Znał dobrze stary i nowy testament, a nawet ojców Kościoła, zwłaszcza greckich. Inaczej nie byłby potrafił napisać uzonej rozprawy o Focylidesie (*Ueber das Phokylideische Gedicht, I*, p. 192—262), w której dowiódł niezbitemi argumentami, że autor nie był Grekiem, lecz Żydem z II-go wieku przed Chr., skoro śliczne zwroty starobiblijne naśladował w swoich wierszach. Jeżeli to odkrycie jest arcydziełem, to nierównie ważniejsze jest studjum o „kronice Sulpicjusza Sewera“ (*Ueber die Chronik des Sulpicius Severus, II*, p. 81—201), studjum klasyczne, pełne nowych spostrzeżeń o teologii, literaturze i historii kościelnej pierwszych wieków. A co powiemy o monografii poświęconej Gibbonowi (*Edward Gibbon's Geschichtswerk, II*, p. 206—254), niestety niewykończony, bo śmierć przedwczesna wytrąciła pióro z ręki autorowi! Jest to skarbnica pełna uwag głębokich, a poglądów wyższych, z których czerpać można pełną garścią. Mogą zadziwić te pochwały, tych, którzy nigdy nie słyszeli o Bernaysie, nam wydają się za skąpe, zważywszy wielkość człowieka. W każdym razie spełniam miły obowiązek, wspomniawszy zaszczytnie o nauczycielu moim. Niegdyś bowiem między rokiem 1858 a 1862, kiedy był docentem w Wrocławiu, słuchałem jego wykładów, a miał szczególny dar mówienia o wszystkim w sposób wykwintny i zajmujący. Czy wykladał o poetyce Arystotelesa, czy o poemacie Lukrecjusza, czy o listach Cyncerona, zawsze mówił z werwą, dowcipnie, a żywe oczy, po przez okulary błyszczące, wlewały zapal w licznych słuchaczy. S. P.

— Gustaw Meyer: *Essays und Studien zur Sprachgeschichte und Volkskunde*. (Berlin, 1885.) — Sławny lingwista, profesor uniwersytetu w Gracu, autor najlepszej dziś gramatyki greckiej podaje nam tu szereg mniejszych, popularyzujących rozpraw, pisanych czasem w stylu odcinkowym, dosyć niesmacznym, ale niemniej ciekawych. Jest tu i sprawa naszych praocjów aryjskich i rozbiór badań nad Etruszczyzną, która dzisiaj do aryjskiego przybytku znowu się zbliża; znajdujemy dalej dużo wiadomości z zakresu baśni i podań ludowych, a wreszcie najciekawszy może z wszystkich artykuł pod tytułem: *Ueber Sprache und Literatur der Albanesen*, mówmy najciekawszy, bo pochodzi z pod pióra specjalisty w tym względzie. Dzisiejsi Albańczycy są zapewne potomkami starożytnego illiryjskiego plemienia, które niektórzy uważali za pierwotnych mieszkańców Grecyi i Italii, identyfikowali nawet z zagadkowymi Pelazgami. Meyer z pewnym sceptycyzmem o tych teoriach się wyraża. Mówią oni z pewnością aryjskim językiem, ale ściślejsza klasyfikacya tej mowy w szeregu innych indoeuropejskich dotąd się nie udała. Panowanie Rzymian naniósł do języka starych Illyrów dużo rzymskich wyrazów, a następne słowiańskie wędrówki i inwazyje wprowadziły wiele słowiańskich wyrazów. Tureckie panowanie także nie pozostało bez wpływu na język, a greckie są siedztwo wprowadziło doń nową, obcą przymieszkę. W samejże Grecyi mieszka około 200,000 Albańczyków, a ludność wiejska Attyki jest przeważnie Albańska. Ciekawszemi jeszcze są szczegóły, dotyczące Albańczyków w dzisiejszych Włoszech: jest ich tu około 100,000, w Kalabryi, Terra d'Otranto i na Sycylii, a napływ ten sięga zapewne XV wieku. Zachowali swój język, pomnożony licznymi wtrętami włoskimi, zachowali pewien szczepowy patriotyzm i grecko-katolickie wyznanie. Wykształceni wśród nich biorą udział w życiu publicznem Włoch, ale nie zapierają się swej narodowej odrębności. Do nich należy np. sławny i osławiony exminister Crispi. Co więcej, istnieje tu i kwitnie samodzielna, albańska literatura. Żyje dziś jeszcze najznakomitszy poeta albański Italii, Girolamo de Rada z Kalabryi, autor „Rapsody albańskiego poematu“, czerpiący natchnienia do swych erotycznych utworów splecionych z epickimi opowieściami, z ludowych pieśni swego szczepu. — Następnie opowiada sam autor, jak w tureckiej Albanii mnożą się objawy dążące do rozbudzenia jedności narodowej, i przypomina działanie sławnego księcia Janiny Alego Paszy. Nie oderwał on Albanii od Turcyi, ale rozbudził świadomość narodową w swym kraju; to też kwestya albańska należy dziś do tych tak licznych kwestyi narodowych, wnikających sprawę wschodnią, i domagających się rozwiązania.

K. M.

— *The American Journal of Philology*, edited by Basil L. Gildersleeve. (Baltimore). — Zaatlantyckie czasopisma specjalne nader rzadko się niestety spotykają w naszych czytelnikach

i bibliotekach. By mieć pojęcie, jak Amerykanie traktują n. p. filologią i lingwistykę, zajrzyjmy do ostatnich roczników jednego z głównych ich w tym fachu czasopism. Co nas tu przedewszystkiem uderza, to mieszanie filologii klasycznej z orientalną, starej z nową, a filologii w ogóle z lingwistyką a nawet z historią sztuki. W tomie IV. (r. 1883.) n. p. obok pracy Thomasa R. Price o systemie barw u Wirgilego, pisze Edward W. Hopkins o wyrazach oznaczających barwy w *Rigwedzie*, dalej o stychometrii w literaturze *greckiej* i w tekstach *biblijnych* pisze R. Harris, a obok pracy o *angielskiej* deklinacji zaimków osobowych (Gummere), mamy rzecz o »Nocach attyckich« Gelliusa (Henry Nettleship). Co do jakości tych prac, nie można powiedzieć, żeby były gorsze niż prace Europejskich uczonych; i owszem są one nieraz nawet bardzo dzielne. Z europejskiej literatury naukowej, a zwłaszcza z książek niemieckich, angielskich i francuskich korzystają uczeni amerykańscy bardzo sumiennie, tem bardziej, że wielu z nich odbywało swe studia w uniwersytetach Europy. Najlepsze prace lingwistyczne umieszcza tu Maurycy Bloomfield, wychowaniec uniwersytetu lipskiego. Już w I. tomie tego czasopisma streścił on nader zręcznie zdobycze nowszej szkoły gramatycznej, obecnie zaś w tomie IV. podaje wcale piękną, jakkolwiek nie wyczerpującą pracę o akcencie greckim ze stanowiska gramatyki porównawczej. Sam wydawca, Bazyli L. Gildersleeve, profesor greki »in the Johns Hopkins University« pisze tu o syntaksie u Pindara, i o zdaniach celowych u Homera, Hezyoda, liryków i dramatyków greckich, a wreszcie u jońskich prozaików. Studya etymologiczne, głównie w zakresie łaciny, podaje J. Postgate; Ch. Short pisze o nowej rewizyi »of king James Revision of the New-Testament« a Harrison wylicza słowa nieregularne w epopei anglosaskiej Beowulf. Nawet archeolodzy i historycy sztuki znajdą tu coś dla siebie n. p. w pracy Thom. Ludlow'a »The Harbors of ancient Athens« (o portach Faleron, Munichii i Pireju) i w krótkim artykule Alfr. Emersona p. t. »The Dying Alexander of the Uffizi Gallery and the Gigantomachia of Pergamum«. — Tomu V. nie mamy jeszcze przed sobą w całości, zwracamy jednakże uwagę tych, którzy się interesują nowszym ruchem w lingwistyce, na pesymistyczny nieco artykuł A. W. Easton'a p. t. »Analogy and Uniformity« (str. 164 — 177) i na odpowiedź wymienionego już wyżej M. Bloomfielda p. t. »On the probability of the existence of phonetic law« (str. 178 — 185) Czytamy tu między innemi wyraźnie, że mówiąc o »prawach głosowych«, wyrażenie »prawo« należy rozumieć metaforycznie. Ładny też jest artykuł znanego już dziś powszechnie w Europie autora najlepszej gramatyki sanskryckiej W. D. Whitney'a, p. t. »The Study of Hindu-Grammar and the Study of Sanskrit« (str. 278 — 297). Zwraca on na to uwagę, że co innego jest nauka sanskryta, a całkiem co innego studyum starych gramatyków indyjskich. — Z filologii klasycznej wymieniamy artykuł Robinsona Ellis'a o ele-

giach Maximiana, Morris'a »The Jurisdiction of the Athenians over their Allies« i Perrin'a o Lukanie jako źródle historycznym dla Appiana. Zresztą i romaniści i germaniści mają tu co czytać, a artykuł Frothingham'a »Historical sketch of Syriac literature and culture« zająłby może i szerszą wykształconą publiczność. J. H.

— *John Bull's Womankind* by Max O'Rell. (London — Field and Tuer). -- Dobrą napisać książkę, wielką jest zasługą, tem większą, że się zwykle nagrodę za nią na tamtym świecie dopiero otrzymuje; ale napisać książkę niezmiernie zabawną, dowcipną, lekką nawet, nie obrażającą wszakże ani religii, ani moralności, jest w swoim rodzaju także zasługą. Do nieba po wynagrodzenie za swoje dziełko p. Max O'Rell sięgać wprawdzie nie będzie potrzebował, ale na tym padole leżący śmiertelnicy wdzięczni mu będą za każdy rozdział o »John Bulla niewieścim rodzcie.«

Francuz z urodzenia, choć z nazwiska zdawałoby się, że Irlandczyk czystej krwi, autor, szczery lubo nie zaślepiony, wielbiciel cór Albionu, tak się do nich odzywa. »Kobieta jest *un objet d'art* (definicja napisana po francusku, śnać nie znalazł P. O'Rell ekwiwalentu w języku angielskim, choć nim włada wymiennie), z którym się bardzo ostrożnie obchodzić trzeba. Mając, owemu z rąk Boskich najdoskonalszemu stworzeniu kilka nagich prawd do udzielenia, zabieram się do dzieła z największą delikatnością i Mrs. John Bull upraszam pokornie, aby zawczasu brwi nie marszczyła i nie wołała *Shoking!* za nim wszystkiego nie wyczyta. Wszak ja przedewszystkiem litanie wielkich cnót jej śpiewać będę.« Tej ostatniej obietnicy, autor, prawdę powiedziawszy, niekoniecznie dotrzymuje, bo jakkolwiek znaczna część książki jest hołdem oddanym Angielkom, krytyka nie na tem nie traci, owszem, dobitniej jeszcze w tej grze światłocieniów występuje.

Na jakimś monumentalnym londyńskim bankiecie, Lord Derby wnosząc zdrowie dam, tak swój toast zaczął: »Zanim się na jakiegokolwiek wyższe stanowisko Anglika wybiera, pytają się wyborcy przedewszystkiem, jaką ma żonę, *what kind of wife he has?* Pierwsza bowiem w ich oczach zaleta dla człowieka wstępującego na arenę życia publicznego, jest dyskrecya i poczucie własnej siły. Jeśli pan X nie jest w stanie żony i domu w ryzyce utrzymać, jakżeż potrafi tysiącem ludzi rządzić! Albo pan Z, jeśli jest pod pantoflęm małżonki, to wówczas nie na pana, ale na panią Z. bezwiednie głosujemy.« Z tej anegdoty assumpt biorąc, p. O'Rell pozwala sobie radzić kochanej Mrs. John Bull, aby, zamiast trudnić się polityką, starała się mężowi tak życie domowe uprzyjemnić, aby przy niej zapominał o walkach, trudnościach, rozczarowaniach publicznego zawodu; aby się przy ognisku domowym uspokajał, odświeżał i na dalszą drogę wzmacniał. Niech żona umie niezrównaną, a tylko w Anglii znaną gościnnością (dla czego tylko w Anglii? zapraszamy p. O'Rell do Polski) przyspa-

rzać mężowi przyjaciół. Niech miłością i poświęceniem wypełnia tem piękniejszą, że napozór, ale tylko napozór, rolę podrzędną.

Po tyle obiecującym wstępie, przechodzi autor różne po kolei warstwy kobiecego świata, do różnych eleganckich zacierając kryjówek. Przyłączmy się do tej wielce ciekawej pielgrzymki, choćbyśmy nawet nie wszędzie z p. O'Rell wstępowali, bo bądź co bądź, nie wszędzie wstępować można. Pierwszy rozdział poświęcony historyzofii *flirtu*. Angielscy i nie angielscy powieściopisarze tyle się już narozpisywali o *flircie*, że miłej doznaje się niespodzianki, spotykając się z całkiem nowem zapatrywaniem się na ten czysto brytański rodzaj kokieteryi. Nazywa ją p. O'Rell »attention without intention.« Ztąd więc owo zalecanie się młodego człowieka, które w innym kraju uważaneby było za deklaracyą, wiodącą wprost na matrymonialny kobierzec, a umizganie się panny za przyjęcie wyznania gorących afektów kawalera *pour le bon motif*, nie jest w Anglii niczem innym, tylko ulubionem zajęciem młodzieży obojej płci, odgrywaniem *con amore* komedyi miłości, z większym lub mniejszym artyzmem. Każda okolicość, każda miejscowość, każda godzina dnia lub wieczoru, ma swój odrębny rodzaj *flirtu*: inaczej się *flirtuje* w salonie, inaczej w teatrze, na koniu, w powozie; zupełnie inaczej w parkach, gdzie policemanowi powierzonom jest »to protect the sweethearts.«

Zdaniem p. O'Rell »dobre czasy« dla Francuzki rozpoczynają się od dnia ślubu; dla Angielki zaś z dniem ślubu się kończą, ale się kończą po długiem, swobodnem, wesolem używaniu panieńskiej wolności, wolności dochodzącej od czasu do czasu do sekretnego małżeństwa przed tradycyjonalnym kowalem w Gr^{at}na-Green. — Najzabawniejszy ustęp książki odnosi się do sposobu *żywienia* się Angielek, ustęp oparty na opowiadaniu Lady Manners, jednej z pierwszych dam arystokracji Wielkiej Brytanii. Owoż więc, zanim jeszcze panie z łóżek wstały, przynoszą im na tacy w ślicznej porcelanie herbatę i niezliczoną moc tartynek. Kolo godziny 10tej schodzą się wszyscy na pierwsze śniadanie (tamtó śniadanie, spożyte incognito w łóżku, całkiem się nie liczy) składające się zwykle z kilku ciepłych potraw, mnóstwa zimnych mięs, herbaty, kawy, różnych ciast, owoców i czerwonego wina, *claret*. To śniadanie przeciąga się czasem i do południa. O godzinie 2giej jest tak zwany *lunch*. Znów występuje ogrom mięsa różnego rodzaju, zwierzyzna, dzikie i swojskie ptactwo, jarzyny, pudingi bez miary, ciasta i wino w kilku gatunkach. Po czarnej kawie przychodzi chwila wyjazdu panów, zwykle i kilku pań, na polowanie. Temu wyjazdowi towarzyszą norwęgskie piece zaopatrzone we dwie lub trzy gorące potrawy. O 5tej, pozostałe w domu panie schodzą się na gawędkę i herbatę do budoiru de la *châtelaine*, przy której to herbacie występują tradycyjonalne *muffinsy* i misterne *tea-cakes*. Obiad ma miejsce między 5mą a 9tą; siedzi się przy nim co najmniej półtory godziny, co daje miarę ilości dań.

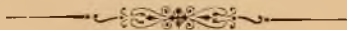
Po odejściu dam, mężczyźni dyskutują o polityce, popijając wino, likwory i czarną kawę. Ale nie na tem koniecu; jeszcze będzie herbata, gdy panowie do salonu powrócą! Dziwić się tu teraz, że Opatrzność istnemi mięsożernemi klami zaopatrzyła całe angielskie plemię; gdyby nie ta Boska przezorność, naródby wkrótce na ogólną niestrawność marnie wymarł! Tej to nigdy nieprzerwanej ciężkiej pracy organów trawienia, przypisuje p. O'Rell czerwone nosy, spuchnięte dziąsła, wypukłe oczy ślicznych ongi, a dziś w dojrzałym będącym wieku Angielek. Cudzoziemcowi chcącemu widzieć mnogo ładnych, świeżych, ożywionych twarzyczek, radzi autor udawać się o wczesnej godzinie do parków londyńskich; później zaś, to jest od 3ciej lub 4tej popołudniu, każdy Anglik, każda Angielka przypomina potrochu *boa*, który pożarł wolu, lub co najmniej spore cielęc, i jest trawieniem takowego zajety. O świecie zwanym dziś we Francyi »le monde où l'on s'amuse« rozpisuje się autor tylko pobieżnie, i na chwałę Anglików nazywa go w Londynie »le monde où l'on se cache.«

Do kobiet wzdychających za równouprawieniem politycznem, tak się p. O'Rell odzywa: »Moje panie łaskawe, czego właściwie żądacie? Czy być na równi z mężczyznami? dla czegoż, kiedy macie wyższość nad nami we wszystkim. Pragniecie głębszej nauki? ależ nauka wam jest wrodzona. Chcecie być wolne? alboż nie jesteśmy wszyscy waszemi niewolnikami? Chciałybyście prawa pisać? pochoż? kiedy każde wasze życzenie jest najświętszem dla nas prawem. Żądacie dla siebie więcej władzy, więcej znaczenia, szerszego pola działalności? Maloż wam tego, że powodem całego rodu ludzkiego upadku była kobieta; że od wojny trojańskiej do wojny francusko-pruskiej, wszelka katastrofa kobiecą ręką spowodowana była?« Największego uznania godne poszanowanie narodu dla swej monarchini, p. O'Rell ocenia w następujący sposób: »Powiedz angielskiemu konserwatyście, że Gladstone jest urwisz, a Chamberlain niebezpieczny radykał, odrzeknie, że wielką masz słuszość. Powiedz liberalowi, że Salisbury jest warchoł, Stafford Northcote baba, a Randolph Churchill polityczny pajac, powie ci: święta prawda! Ale pozwól sobie choćby najniewinniejszego żartu na królową, każdy Anglik jakiegokolwiek on będzie politycznej barwy, rzuci się na ciebie, jak wściekły bull-dog.« Kawalerom mającym zamiar żenić się, polecamy dyalog Francuza z Anglikiem: wyspiarz daje tam przyjacielowi rady, jak ma sobie z żoną postąpić, [żeby mu się z pod władzy nie wymknęła. Drugi dyalog dwóch mężatek tychże równie narodowości, bardzo zabawny, trochę tylko nadto może przypomina »Monsieur, Madame et Bébé.«

Pelen sarkastycznej fantazyi rozdział o przeróżnych kościołach, kongregacyach, sektach, sekcikach, kończy się monstrualną apoteozą cór John Bulla w niebie. Dopieroż rozpoczynają się na wielką skalę (może dlatego, że na wieczną skalę) meetingi, dys-

kusye, mowy, toasty. Żaden ziemski parlament nie dorównał dotąd zaciekłością i wrzawą tym niebieskim sessyom. Św. Piotr, któremu prezydenturę gwałtem nałożyli, nie mogąc sobie dać rady, ma już parlament rozwiązać, gdy pobożna jakaś dusza przychodzi na pomysł, żeby do samego Boga się odnieść z prośbą, aby raczył udzielić swojego zdania. Podana do głosowania poprawka, znaczną większością przyjęta!

Na tem kończy się książka, o której podajemy tę krótką wiadomość, bo treść jej udatna na to zasługuje, a dowcip i prawdziwa sól attycka zjednały jej należyty rozgłos w ojczyźnie bohaterek jej przedmiotu i autora samego. *A. M. L.*



Przegląd polityczny.

Kraków, w maju 1885 r.

Ruch przedwyborczy zapanował w bieżącym miesiącu niemal wszechwładnie na polu wewnętrznej polityki w Przedlitawii. Manifesty wyborcze rozmaitych stronnictw politycznych, mowy kandydackie, opisy zgromadzeń przedwyborczych, zapępniały codziennie szpalty dzienników austriackich. Agitacya wre jeszcze we wszystkich krajach koronnych, a wybory do przyszłej Rady państwa zakończą się dopiero 13go czerwca. W chwili, gdy to piszemy, przystąpiły już do urny wyborczej gminy wiejskie w dolnej Austrii i w Saleburgu. W Galicyi wybierają reprezentanci mniejszej własności w dniu 2 czerwca, miasta 8go czerwca, Izby handlowe 10go czerwca, a kurya wielkiej własności 11go czerwca.

Wyborami naszego kraju kierują dwa komitety centralne we Lwowie i w Krakowie, utworzone na zasadzie uchwalonego przez Koło sejmowe regulaminu. O ile z dotychczasowej agitacyi wyborczej, a niemniej z zatwierdzonych już przez komitety centralne kandydatur, wnosić można, nie zajdą radykalne zmiany w gronie naszej delegacyi, a temsamem przewodni kierunek i zasadnicza myśl, jaka przyświecała naszym posłom w parlamencie wiedeńskim, nie zostanie skrzywioną, lecz Koło polskie i w nowym swym składzie pod znakomitym kierunkiem swego sędziwego, wytrawnego i doświadczonego przewodnika, dalej działać będzie w duchu dawnej tradycyi, nacechowanej wyższym rozumem politycznym, umiar-

kowaniem, taktem, konsekwencyą i wytrwałością. Wśród gorączkowej agitacji wyborczej, odzywały się wprawdzie tu i owdzie głosy, uderzające na dotychczasową taktykę parlamentarną Koła polskiego, ale wychodziły one od ludzi, którzy albo znani są oddawna ze swych tromtadratycznych i bałamutnych wystąpień, albo też w życiu publicznem nie brali nigdy udziału, a przeto tem łatwiej mogli pójść na lep niepoprawnych krzykaczy i frazesowiczów o nieokreślonych aspiracyach politycznych, dyktujących zarozumiale nowe artykuły wiary naszej delegacji. Z przed oczu roznamiętnionych agitatorów znika coraz bardziej głębsze zrozumienie interesu kraju; wśród wiehrzeń frakeyjnych ujawniają się coraz bardziej źle ukrywane dążności egoistyczne, a z programów opozycyjnych, szumnie głoszonych przez t. z. nowych ludzi, nie przebija żadna donioślejsza myśl, żaden wznioślejszy cel. Ta „młoda opozycya“ rekryminacyami i zarzutami bez podstawy krępowała często swobodną inicjatywę Koła, zrażała nieufnością i obarczała podejrzeniami najzasłużeńszych i w zapasach parlamentarnych wypróbowanych posłów, a trudno się dziwić, iż rozważniejsza część naszej społeczności nawet wśród wrzawy agitacyjnej nie da się omamić błyskotliwą frazeologią ludzi nowych, zakreślających nowe tory naszej narodowej polityce, bo już nieraz tacy nowi ludzie nie spełnili ani w drobnej mierze pokładanych w nich nadziei. Tymczasem dotychczasową drogą postępując, delegacja nasza, zaskarbiwszy sobie przedewszystkiem szczególniejsze względy Monarchy, zdołała osiągnąć dla kraju wiele ważnych i żywotnych zdobyczy, a z tej drogi, wskazanej rozumem politycznym i interesem narodowym, nie powinno Kolo polskie i nadal ustępować, lecz przeciwnie, wobec prawdopodobnej zmiany w ukształtowaniu się stronnictw w przyszłym parlamencie, skupić się solidarnie około ludzi politycznie pewnych i wytrwać męsko w dotychczasowym kierunku rozumnym i zbawiennym dla dobra kraju i społeczeństwa polskiego.

Jak ostatecznie w przyszłej Radzie państwa wyglądać będzie to nowe ugrupowanie stronnictw, tego dziś przewidzieć trudno. Już teraz jednak można z wszelkiem prawdopodobieństwem obliczyć, iż w nowych wyborach przynajmniej 25 mandatów utraci „zjednoczona lewica“, której szeregi z dniem

każdym bardziej się chwieją i łamią. Mimo sławionej zgody i jedności, pogrążone jest to stronnictwo w widocznym rozkładzie, a na licznych zebraniach, jakie się w ostatnich tygodniach w rozmaitych odbywały miejscowościach, występują coraz bardziej separatystyczne tendencye, objawiają się najsprzeczniesze prądy i przekonania, wprost niezgodne z hasłami, głoszonymi dotąd przez liberalno-niemiecki obóz. Rozstrój panujący wśród tej partii nie da się przysłonić żadnymi wybiegami, a takie fakta, jak cofnięcie się z areny politycznego życia takich weteranów parlamentarnych, jak Rechbauer i Wolfrum, lub błąkanie się po rozmaitych okręgach kandydatury takiego Herbsta, to zaprawdę bardzo znaczące i charakterystyczne symptomy, mogące posłużyć organom lewicy do smutnych i bolesnych rozmyślań. Jeszcze niedawno tak namiętny agitator niemiecki w Czechach, jak Dr. Schmeikal, uroczyście zapowiadał, iż minęły już czasy półsłówek i łagodnych czynów, a rozpoczyna się żelazny okres bezwzględnej opozycyi, a słowa te dziwnie szorstko odbić się musiały od enuncyacyi, uczynionej w Bernie przez jednego z najwybitniejszych reprezentantów zjednoczonej lewicy. W swojej mowie kandydackiej oświadczył bowiem dość wyraźnie pan Chlumecky, iż polityka skrajnych żywiołów jest szkodliwą, iż narodowo-niemieckie agitacye odbiegają od austriackiej myśli państwowej, iż polityczne namiętności i ultranemieckie aspiracye nie są zdolne nic pozytywnego stworzyć, iż należy działać z umiarkowaniem i wyrozumieniem.

Te wszystkie charakterystyczne objawy pozwalają wróżyć, iż ostateczny rezultat kampanii wyborczej dla zjednoczonej lewicy korzystnym nie będzie. W Tyrolu, gdzie wielka własność wybierała dotąd posłów tej partii, grozi lewicy zupełna utrata mandatów; w dolnej Austrii wypadły wybory prawyborców na niekorzyść dotychczasowych deputowanych z lewicy; w Czechach wskutek zmiany ordynacyi wyborczej, poniesie ona dotkliwe straty szczególnie w grupie Izb handlowych i w kuryi wielkiej własności; w Morawii znany kompromis w kuryi większej posiadłości wprowadzi do parlamentu znacznieszą liczbę konserwatywnych posłów, a w prowincyach niemieckich mało który z okręgów autonomistycznych i konserwatywnych jest naseryo zagrożonym.

Lecz mimo tak bardzo obecnie prawdopodobnej klęski zwolenników zjednoczonej lewicy, nie można się oddawać różowym iluzjom, iż autonomistyczne żywioły znacznie się wzmocnią w przyszłej Radzie państwa. Do nowej Izby wejdzie bowiem krzykliwy, impertynencki i grubiański zastęp tak zwanych ludzi „ostrzejszego tonu,” w guście osławionego Knotza lub Pickerta, domagającego się wyłączenia Galicyi i Dalmacyi ze związku państwowego, a nadto uzyska także kilka mandatów t. z. partya demokratyczna, zrodzona na gruncie czysto wiedeńskim, odznaczająca się pewnym rysem bardziej kosmopolitycznym, niż narodowym, i walcząca przeważnie w imieniu interesów materialnych poszczególnych stanów miejskich i zawodów. O ile te nowe nabytki parlamentarne mogą paraliżować lub utrudniać swobodną akcyę obecnego gabinetu, o tem świeżo wypowiedział zdanie zapewne najkompetentniejszy w tej mierze sędzia, jakim jest sam hr. Taaffe. W ogłoszonej w *Politische Corresp.* rozmowie wiedeńskiego korespondenta *Timesa* z prezesem ministrów, miał tenże wyrazić przekonanie, iż wskutek nowych wyborów większość jego dozna wzmocnienia. Niewątpliwie wzrośnie także kierunek skrajny, reprezentowany przez Knotza, Schönerera itp., jak niemniej antisemityzm, ale znowu nie należy tego uważać za wielkie nieszczęście z tego powodu, że ludzie o krańcowych tendencyach mniej mogą zaszkodzić dobremu rządowi, niż żywioły fluktuacyjne i wahające się, które przechodzą od jednego stronnictwa do drugiego. Hr. Taaffe wyraził wątpliwość, czy różnolite grupy, tworzące zjednoczoną lewicę, jeszcze długo będą się trzymały razem i oświadczył, iż wogóle jest bardzo prawdopodobnem nowe ukształtowanie się stronnictw w przyszłej Radzie państwa. Rządowi chodzi o to, aby miał do rozporządzenia większość, któraby lojalnie popierała go w osiągnięciu jego celu, a tym celem jest wyrównanie narodowościowych różnic przez równomierne uwzględnianie interesów wszystkich narodowości. W kraju, gdzie teorye, mniej zaś uczucia, przesady i materialne interesa dzielą stronnictwa, kompromis jest bardzo trudnym, a najwyższem prawem rządu musi być bezstronność.

Z tej enuncyacji hr. Taaffego wypływa wyraźnie, iż obecny gabinet w myśl intencyj mowy tronowej prowadzi

będzie dalej rozpoczęte dzieło pojednania i nie odstąpi od swego programu tkwiącego w tej zasadzie, iż wszystkim narodowościom, w skład monarchii wchodzącym, należy w równej mierze zabezpieczyć warunki intelektualnego i materialnego rozwoju. Zaznaczone atoli przez hr. Taaffego prawdopodobieństwo nowego ugrupowania się stronnictw parlamentarnych, wskazuje naszej delegacji z góry zajęcie stanowiska ostrożnego i rozważnego, zapewnienie sobie poważnej i wpływowej roli, jaka się wywalcza taktem i wyrozumiałością, a nie puszczanie się na fale awanturnicze, na jakie pragnęliby ją zepchnąć nasi polityczni szowiniści.

W chwili, kiedy w Przedlitawii wre jeszcze z całą namiętną zaciętością agitacya wyborcza, rozpoczęły się w Zalitawii parlamentarne ferye. Po ośmiomiesięcznej wytrwałej działalności, została 26go b. m. zamkniętą pierwsza sesya bieżącego okresu prawodawczego Izby węgierskiej, na której obok długich rozpraw adresowych i budżetowych, załatwiono cały szereg ważnych ustaw, a wśród nich bezsprzecznie najwybitniejsze miejsce zajmuje zmiana węgierskiego parlamentaryzmu, wskutek przeprowadzonej już w zupełności reformy Izby magnatów. Z uchwalonych na ostatniej sesyi przedmiotów, mają dla wewnętrznej administracyi ważne znaczenie ustawy o nowych normach pensyjnych dla urzędników państwowych, o uregulowaniu prawa wodnego, o zaprowadzeniu pocztowych kas oszczędności, o regulacyi górnego Dunaju i rzeki Raby, mającej być przeprowadzoną kosztem przeszło 22 milionów zhr.; o budowie wielu kolei wicynalnych, o przejęciu niektórych linii kolejowych na rachunek państwa, o pomnożeniu sądów powiatowych, a wreszcie o reformie ordynacyi notaryalnej. Niemniej doniosłym aktem Izby był wybór t. z. deputacyi regnikolarnej, która wraz z deputacyą kroacką w najbliższych dniach zbierze się w Peszcie dla zbadania i możliwego usunięcia tych grawaminów, jakie od dłuższego szeregu lat podnoszą ze strony Kroacyi z powodu naruszenia niektórych artykułów ustawy ugodowej z r. 1868. Pomysłne załatwienie tego zatargu prawnopaiństwowego nada korzystny zwrot stosunkom między Węgrami a Kroacyą, w której, dzięki energii i taktowi bana Khuen-Hedervarego,

umiarkowańsze żywiły zaczynają powolnie brać górę, a w miarę tego staje się widocznym postęp w dziedzinie administracji i sądownictwa.

Wśród feryj parlamentarnych, cała uwaga publiczna w Węgrzech skupiła się około otwartej niedawno w sposób uroczysty pierwszej wystawy krajowej w Peszcie, na którą złożyło się przeszło 10.000 wystawców, a pomiędzy tymi wiele pierwszorzędných firm zagranicznych. Wystawa ta napełnia dumą naród węgierski i jest najwymowniejszem świadectwem tego, co może zdziałać naród pracowity, zapobiegliwy i umiejący zręcznie wyzyskać sprzyjające okoliczności. Obecnie ma sposobność zagranica zapoznać się i ocenić bogactwa węgierskiej ziemi, ale i obecnie także sami Węgrzy będą mieli możność stwierdzenia, w jak wysokim stopniu kraj ich przeważnie rolniczy podniósł się w kilkunastu latach pod względem przemysłowym, jak cenne zdobycze poczynił na polu ogólnego odrodzenia i jak szybkim krokiem zdąża za narodami, przodującymi Europie w różnych kierunkach intelektualnego i ekonomicznego życia.

Równocześnie niemal z sejmem węgierskim, zakończył także swoje obrady parlament niemiecki. Obok wprowadzenia w życie potrzebnej dla szerszego rozwoju kolonialnych stosunków instytucji poczt parowcowych, dla których uchwalono przez lat piętnaście subwencyę roczną 5 milionów m., przeprowadził parlament znaczną część projektów, dotyczących reformy socyalno-politycznej i podatkowej. Pierwsza polega w przyjęciu ustawy, ubezpieczającej pewną kategorię robotników na wypadek kalectwa, a druga w zaprowadzeniu podatku giełdowego. Dla ekonomicznych interesów ma pierwszorzędne znaczenie przyjęta w tegorocznej sesji nowela cłowa, podnosząca w szczególności cła od zboża i wprowadzanego do kraju inwentarza żywego. Zaprowadzone cła ochronne dla rolnictwa w Niemczech, są w wysokim stopniu uciążliwymi dla państw sąsiednich, a pierwszą na nie odpowiedzialnością będzie reforma taryfy cłowej, która stanie się niewątpliwie jednym z najpierwszych przedmiotów obrad parlamentu austriackiego.

O działalności sejmu prukiego szczegółowo mówić nie potrzebujemy. Zapisał się on dla nas pamiętnie z powodu

znanej interpelacyi w sprawie wydalania wychodźców polskich zaboru rosyjskiego z Prus zachodnich i wschodnich, popartej przez wszystkich Polaków i przez katolickie centrum. Rozporządzeniem ministeryalnym rozkazano bowiem Polakom nie będącym poddanymi pruskimi, a zamieszkałym w zachodnich i wschodnich Prusach, opuścić natychmiast Pruskie państwo, nawet choćby byli związani długotrwałymi kontraktami służbowymi, choćby zajmowali się przemysłem, byli właścicielami posiadłości ziemskiej lub wreszcie służyli w wojsku niemieckim. Uzasadniając powyższą interpelację, wykazał dowodnie poseł Spahn, iż pomiędzy wydalonymi z kraju Polakami z zaboru rosyjskiego, znajduje się przynajmniej 32 takich, którzy naturalizowani zostali w Prusach i są w wieku od 70 do 80 lat. Reskrypt ministeryalny, wydany jakby pod natchnieniem zgubnych doktryn Hartmanna, sam w sobie gwałtowny, nieludzki, sprzeciwiający się zasadom międzynarodowej gościnności, przynoszący dotkliwą szkodę ekonomiczną obydwom prowincjom, stał się dla Polaków tem boleśniejszym i wywołać musiał tem głębsze oburzenie w powodu motywów, jakimi minister Putkammer z prawdziwie krzyżacką impertynencją i brutalnością usiłował to rozporządzenie usprawiedliwić. Z ohydłą arogancją wielbił minister dobrodziejstwa germańskiej kultury, która te prowincje wyrwała „z polskiego barbarzyństwa i polskiej nędzy,“ wskazując zarazem, iż stateczny przyrost polskiej ludności w Prusach zachodnich i wschodnich staje się groźnym dla cywilizacji niemieckiej niebezpieczeństwem, a dla zapobieżenia temu wydało się koniecznym gwałtowne wypieranie rozrastającego się żywiołu polskiego z granic terytorium pruskiego. Jestto nowy *sui generis Kulturkampf*.

Co do *Kulturkampfu* w Prusach, wikłają się sprawy coraz bardziej i coraz niepomyślniej dla Poznańskiego. Już nadmieniono w przeszłym zeszycie, że na arcybiskupstwo kolońskie ma być przeniesiony X. Kremenzen, biskup warmiński, i równocześnie z uregulowaniem stosunków kościelnych tejsze archidiecezyi miało nastąpić i w Poznańskim uporządkowanie dotychczasowego odmetu. Tymczasem, jak nas pewne w tej mierze dochodzą wiadomości, zmienia się znowu ten projekt; archidiecezyja kolońska ma być zupełnie osobno

traktowana i podług *Moniteur de Rome*, w osobie wymienionego biskupa dostać swego pasterza, a sprawa archidiecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej odłożona *ad calendas graecas*. Arcybiskup Melchers dostał już wezwanie od Ojca ś. przybycia do Rzymu.

Gdyby to miało nastąpić, a wszystko zdaje się za tem przemawiać, uczuliby katolicy W. Ks. Poznańskiego podwójną i tem dotkliwszą boleść, bo doznawaliby wspólnego z wszystkimi katolikami państwa ucisku, a prócz tego udręczenia za to, że są Polakami. To odosobnienie sprawy Kościoła w Poznańskim od ogólnej Kościoła katolickiego w Prusach, jest rzeczą najboleśniejszą i najgroźniejszą. Na Niemców katolików czyli na centrum nie możemy się żalić; przy każdej bowiem danej sposobności bronili nas dzielnie, wytrwale, a nawet po bohatersku, bo z oczywistem narażeniem się na podejrzenia swego niemieckiego patryotyzmu, jednym słowem zrobili wszystko, co tylko było w ich mocy. Nie ich przeto winą, że się rządowi udało za pomocą równie zręcznej jak podstępnej dyplomacyi odosobnić Poznańskie mimo tego, że swego arcybiskupa ma przy boku Papieża. Czyja w tem głównie winą, nie dziś pora roztrząsać, chociażby nam wszystkie ukryte dotąd fakta były znane. Tyle tylko jest niewątpliwem, że katolicka prasa poznańska niemal się do tego przyczyniła przez brak wszelkiego taktu politycznego, przez częste a niepotrzebne drażnienie, przez krzykliwe, czasami do śmieszności i znudzenia posunięte wynoszenie godności prymicyjalnej itp.

Teraz, kiedy się sprawy coraz smutniej rozwijają, pisze *Kuryer Poznański* w nr. 113 z d. 20 b. m.: „Ściśle rzeczy biorąc, przyjdzie każdy do przekonania, że dopóki rząd pruski nie zdecyduje się przystąpić do organicznej rewizyi ustaw majowych, przywrócenie regularnego zarządu archidiecezyi nie rokuje Kościołowi zbyt wiele korzyści — a mogłoby w danym razie tylko przyczynić się, jakto mówią, do zabagnienia walki kulturalnej. Biskupi nie mający seminaryów, nie mogący obsadzać probostw, widzący nad sobą grozę ustaw majowych, są prawdziwie „biskupami w więzach.“ Cóż z tych słów wynika? Oczywiście nic innego, jak że lepszy zamęt obecny, niż rządy biskupie ograniczone. Czy to *Kuryer Poznański*

naseryo tak mówi? Czy to jedyna pociecha, jaką przynosi opuszczonym archidiecezyjom? Czyż nie trzeba było już dawniej „ściśle brać rzeczy?“ O tem można było mówić, nim Stolica Apostolska pierwsze biskupstwo w Trewirze wśród tych okoliczności obsadziła, ale dziś już zapóźno tem się pocieszać. Na tem miejscu w owym czasie, lubo delikatnie, kilkakrotnie jednak tego przedmiotu dotykano.

To częste przedstawianie i odrzucanie kandydatów na stolicę arcybiskupią gnieźnieńską, nie zapowiada przy obecnem usposobieniu rządu pruskiego pomyślnego skutku, a zwłaszcza powadze Stolicy Apostolskiej, i naraża wysoką godność hierarchiczną arcybiskupa na sponiewieranie. Co już kilkakrotnie tu nadmieniano, a p. Windhorst bez ogródki w Izbie deputowanych wypowiedział, najwłaściwszem i prawie jedynem z tej trudności wyjściem było i jest odwołać się w tej mierze do wyboru kapitul. Chociażby ten środek żadnej innej nie był przyniósł korzyści, to jednak dwie następujące były niewątpliwe. Odrzucanie najpierw przez rząd kandydatów nie byłoby dotykało Ojca św., ale kapituły, i dlatego nie byłoby tak przykrem, a powtóre, nie byłyby wypłynęły na wierzch kandydatury, które conajmniej zdradzały lekceważenie tego wysokiego, ważnego, a w obecnych czasach nader trudnego urzędowania. Kapituły nie byłyby zdolne dopuścić się takich pomyłek i budzić w duchowieństwie nieufność i zdziwienie. A gdyby się ostatecznie nie zgodzono na wybór arcybiskupa, byłoby się może udało wybrać administratora, bo tymczasowy zarząd nie wiąże tak ściśle ani rządu, ani Kościoła, łatwiej go zatem było uskuteczyć. Jaki teraz ta sprawa weźmie obrót, nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Ze względu na Prusy dotknąć jeszcze mamy kwestyi sukcesyi tronu brunszwickiego, wprowadzonej w nową fazę, z powodu przewidywanej oddawna interwencji pruskiej. Rząd pruski, opierając się bowiem na 76 artykule konstytucyi Rzeszy, według którego spory między różnymi rządami związku niemieckiego ma rozstrzygnąć niemiecka Rada związkowa, przedłożył też pismo, zwracając w niem uwagę Rady związkowej na to, że między Prusami a Brunszwikiem musiałoby przyjść do nieporozumień, gdyby książę Cumberland miał

zostać księciem brunszwickim. Zapewnione Prusom ustawą Rzeszy posiadanie Hanoweru zaczął ojciec księcia Cumberlanda. Oświadczeniem swoim z r. 1878 zajął ksiązę Cumberland stanowisko ojca swego. Skutki szerokiej agitacyi w Hanowerze są tak znaczące, że dziś i zrzeczenie się księcia Cumberlanda praw swych do tronu hanowerskiego nie zdołałoby już złamać usiłowań Welfów. Obwody, które stałych reprezentantów zabiegów welfickich do parlamentu wysyłają, leżą właśnie nad granicą Brunszwiku. Ksiązę Cumberland, gdyby miał panować w Brunszwiku, nie zdołałby się oprzeć ich naciskowi, a Brunszwik stałby się musiał areną zabiegów, sprzecznych z duchem konstytucyi niemieckiej. Argument Welfów, że dążą do swych celów na legalnej drodze, nie może mieć żadnego znaczenia. Chociażby więc prawa sukcesyjne księcia Cumberlanda do tronu brunszwickiego miały być niezaprzeczonemi, przemawiają przeciw ich spełnieniu ważne polityczne względy, na spokoju i bezpieczeństwie Rzeszy oparte. Wobec takiego stanu rzeczy, żąda tedy król pruski, aby rządy związkowe wyraźnie orzekły, iż panowanie księcia Cumberlanda w Brunszwiku nie dałoby się pogodzić z wewnętrznym spokojem i bezpieczeństwem Rzeszy, i zawiadomiły o tem rząd krajowy brunszwicki.

Według dzienników berlińskich, czyniono już od kilku miesięcy wszelkie możliwe zabiegi, aby doprowadzić do porozumienia między Prusami a księciem Cumberlandem na podstawie zrzeczenia się przez tegoż wszelkich praw do Hanoweru. W tym kierunku byli podobno czynni król saski i wielki ksiązę oldenburski. Przez pewien czas zdawało się nawet, iż zabiegi te pomyślnym zostaną uwieńczone skutkiem, gdy nagle rozbiły się rokowania o opór księcia, który nie chciał podpisać formalnego zrzeczenia się. Z tego powodu domaga się rząd pruski od Rady związkowej wykluczenia księcia Cumberlanda od tronu brunszwickiego. W jaki zaś sposób zostaną ostatecznie uporządkowane prawno-polityczne stosunki w Brunszwiku po wykluczeniu ks. Cumberlanda od sukcesyi, tego dotąd niewiadomo. Tyle pewna, iż ksiązę miał wystosować do dworów europejskich okólnik, protestujący przeciw wnioskowi pruskiemu i nazywający go naruszeniem prawa międzynarodowego.

Nie ostateczne pomyślne załatwienie wlokących się od dłuższego czasu chińsko-francuskich układów pokojowych, nie świeża klęska, jaką poniósł gabinet p. Brissona w senacie, z powodu odrzucenia artykułu nowej reformy wyborczej, pragnącego usunąć cudzoziemców z liczby ludności departamentalnej, służącej za podstawę do wybierania deputowanych, ale wyłącznie manifestacyjne przygotowania do pogrzebu Wiktora Hugo i krwawe wybryki komunardów, zajmują obecnie całą uwagę Paryża, a z nim i Rzeczypospolitej francuzkiej. W patetycznych deklamacjach unoszą się dzienniki nad wielkością poety, prześcigają się w objawach apoteozy i ubóstwienia, a zastanawiając się nad jego znaczeniem politycznym, stawiają go republikańskiemu stronnictwu za wzór niepokalanego charakteru. Nawet parlament nie oswobodził się od podobnej przesady, nie bacząc na to, iż zagorzali zapaleńcy z pogrzebu narodowego wieszczą pragną uczynić wielką polityczną demonstraeyę, która może przybrać jeszcze rozleglejsze rozmiary, aniżeli świeże excesa podczas obchodu rocznicy komuny, które dowiodły, iż anarchiczny kierunek głęboko się zakorzenił we Francyi i ma dziś na usługi już bardzo potężną armię.

Krwawe starcie między anarchistami i policyą, wspieraną przez żandarmów i żołnierzy, wykazuje najwymowniej, iż Rzeczpospolita z p. Grevym na czele nie zdołała rozwiązać trudnego problemu rozbrojenia anarchistów, dostrzegających zawsze jeszcze w paryskiej komunie urzeczywistnienie swoich socyalno-politycznych ideałów. Pod gładką powierzchnią pozornego ładu, ukrywa się wulkan anarehistycznych i rewolucyjnych prądów, których widowym objawem były krwawe sceny, jakie się rozegrały w ostatnich dniach na ulicach Paryża. Czerwony ten ruch wstrząsając podwalinami społecznego porządku, zagraża w wysokim stopniu także exystencyi samej republiki, okazuje jej niedołęztwo i słabość, wzbudza nieufność w klasach zamożniejszych, pozbawionych skutecznej opieki rządu, a same dzieje Francyi pouczają, iż na ruinach wewnętrznych wstrząśnieniami złamanej republiki, święci często swój tryumf silna dłoń monarchiczna.

Również w niezbyt różowem świetle przychodzi nam przedstawić obecne stosunki we Włoszech. Niedawno była

mowa o stanowczym zamiarze Manciniego podania się do dymisji, z powodu znanego skreślenia 10,000 fr. z budżetu spraw zagranicznych, a jakkolwiek powiodło się Depretisowi odwieść go od tego zamiaru, to jednak jeszcze ostatnie depesze z Rzymu utrzymują, iż ewentualność częściowej zmiany w gabinecie została tylko odwleczoną. Łatwo też sobie wytłumaczyć pobudki, dla których pragnie Mancini obecnie jeszcze z honorem wycofać się z areny, nie chcąc się narazić na sromotniejszą katastrofę. Okazało się bowiem, iż konsystujące w Massawie wojska, którym wysłano niedawno posiłki, znajdują się w niebezpiecznym, ba nawet rozpaczliwym położeniu, iż Abissynia nietylko nie da się nagiąć do znaczniejszych koncesyj, ale przeciwnie zajmuje wyraźnie nieprzyjazne względem Włoch stanowisko, a dodawszy do tego, iż wogóle w kraju uważają politykę kolonialną włoską w południowej części morza Czerwonego za przedsięwzięcie zachwiane, nie trudno będzie pojąć, dla czego Manciniemu tak pilno było z wniesieniem dymisji.

Równie jak gwiazda Manciniego, tak zaćmiewać się zaczyna także gwiazda ministra skarbu Maglianiego i to właśnie w chwili, gdy przez przeprowadzenie konwersji renty stanął on pozornie u szczytu swych finansowych sukcesów. Ta sztucznie wzniesiona budowla, rozpadła się pod wpływem angielsko-rosyjskich zawikłań, a budzą się też poważne obawy, aby i inne sztuczne dzieła Maglianiego, jak mianowicie równowaga w budżecie państwa i regulacja waluty, podobnie smutnego nie doznały losu. Sprawozdanie komisji budżetowej o zamknięciach rachunków na r. 1884/5, wykazało bez ogródek rzeczywisty stosunek wydatków do dochodów. Skoro się odrzuci złudne, a z finansowym sprytem przeprowadzone przez ministra ugrupowanie cyfr, przedstawi się w budżecie ubiegłego roku nadwyżka rozchodów nad dochodami w sumie 26½ milionów. Nadzwyczajne koszta, spowodowane cholera i przedsięwzięciami kolonialnymi, wynoszą tylko 12 milionów. To weale nieświetne rezultaty finansowej polityki, a niepowodzenia i na tem polu mogą jeszcze bardziej wzmożyć Manciniego w postanowieniu usunięcia się od kierownictwa sprawami publicznymi.

Nie zostało także do tej pory stanowczo zażegnanem

presilenie w łonie gabinetu angielskiego, powstałe bezpośrednio nie tyle z powodu polityki zagranicznej, na którą niedawno temu większość parlamentu się zgodziła, ile raczej wskutek zasadniczych różnic w zapatrywaniach na sprawy irlandzkie. Radykalni członkowie rządu pp. Dilke, Chamberlain i Lefevre, są stanowczo przeciwni przedłużeniu wprowadzonych w Irlandyi praw wyjątkowych, za któremi ze względu na utrzymanie spokoju na wyspie obstawała reszta członków gabinetu. Wystąpienie wymienionych powyżej trzech ministrów pozbawiłoby gabinet Gladstona poparcia ze strony radykalnej frakcyi parlamentu, a wtedy może nawet bez walki mogliby ster rządu ująć w swe ręce torysi, jeżeli tego naseryo zapragną. Upowszechniać się zaczyna coraz bardziej opinia, iż gabinet Gladstona już się zużył, iż brak mu stanowczości i wytrwałości, brak energii w zarządzaniu środków, potrzebnych dla zabezpieczenia interesów angielskich. Niedawno na dorocznem zgromadzeniu konserwatywnego stowarzyszenia wystąpił lord Salisbury z bardzo ciężkimi dla konstytucyjnego ministerstwa zarzutami, które następnie uzupełniła konserwatywna prasa szczegółowem wyliczeniem dyplomatycznych niepowodzeń gabinetu, rozpoczynających się zupełnym odwrotem w Egipcie, a zakończonych abdykacją w kwestyi Afganistanu.

Pewną jest jednak rzeczą, iż zmiana rządu obecnie mogłaby szkodliwie oddziaływać na tok rokowań angielsko-rosyjskich. Przebieg tych rokowań jest nadzwyczaj powolny i nie obiecuje szybkiego załatwienia. O ile doniesieniom z Petersburga wierzyć można, nastąpiła w kwestyi afgańskiej zgoda co do dwóch najważniejszych punktów, a mianowicie, że Zulfikar zatrzyma Afganistan, Pendze zaś dostanie się Rosyi. Rozehodziłoby się już tylko o wytknięcie stałej granicy, czem się będzie musiała zająć mieszana komisya angielsko-rosyjska. Z doświadczenia atoli wiadomo, że układy o granicę zwykle długo trwają i rozbijają się często o drobiazgi. Na trudności te wskazuje słusznie londyński korespondent do *Gazety Kolońskiej*. Jedna kreska — pisze on — wystarcza do nakreślenia teoretycznej granicy, ale wypracowanie szczegółów wymaga całych potoków atramentu. Sposób prowadzenia układów znacznie je przedłuża, a przyczynia się do tego

obawa, aby przez nadanie pewnym wyrazom zbyt obszerne-
go lub zbyt ścisłego znaczenia nie przyjąć na siebie bezwie-
dnie jakichś zobowiązań. W sprawach środkowo-azyatyckich
nie dowierzają sobie Anglicy i Rosyanie i starają się wzaj-
mnie przewyższyć w unikaniu wszelkich ustępstw, któreby
ich krępowały na przyszłość. Zdarza się nieraz, iż pełnomo-
cniey suszą sobie przez dni kilka głowę nad jednym wyra-
zem, a jeżeli osiągną wreszcie porozumienie, wówczas trzeba
koniecznie posyłać sprawozdanie do Petersburga, gdzie znowu
całą sprawę na złotych ważkach odważają. Rosyanie znaj-
dują się o tyle w korzystniejszym położeniu, iż Lessar jest
znakomitym pracownikiem, a przytem powagą w kwestyach
geograficznych, podczas gdy reprezentanci Anglii, lord Kim-
berley i kuzyn jego Filip Currie, orientują się trudno i dla-
tego podejrzliwie zastanawiają się nad każdą grudką piasku,
którą im przychodzi odstąpić lub przyjąć.

Wobec takiego stanu rzeczy, rokowania w sprawie
granicy afgańskiej potrwać dłużej, chyba, że ks. Bismarek, tak
płodny w przygotowywaniu rozmaitego rodzaju dyplomaty-
cznych niespodzianek i w tej kwestyi z jaką niespodzianką
wystąpi. Wolno to przypuszczać tem bardziej, że do tej
pory faktycznie osłonięnym jest jeszcze tajemnicą świeży
pobyt lorda Rosebery w Berlinie, a zwrócić musiało także
uwagę, iż równocześnie pojawił się tam dawny poseł rosyjski
w Londynie hr. Szuwałów i miał długą naradę z ks. Bismar-
kiem. Znany korespondent paryski *Timesa* streścił natych-
miast rezultat konferencyj Bismarcka z dyplomata zagrani-
cznym w ten sposób: Rozwijając wobec lorda Rosebery
program polityczny miał oświadczyć ks. Bismarek, iż Sudan
musi być odłączony od Egiptu i pozostawiony bądź Włochom,
bądź Turcyi. Należy się starać o to, aby Egipt uwolnić raz
nazawsze od niebezpieczeństwa zagrażającego mu ze strony
Sudaanu, zneutralizować go i postawić pod władzę popular-
nego chedywa. Co się zaś tyczy sprawy Afganistanu, to pra-
gnie ks. Bismarek nakłonić Rosyę, aby pozostała w obrębie
dotychczasowych pozycyj aż do czasu, gdy Anglia obwa-
ruje i zabezpieczy należyście granice indyjskie. W zamian
za to Rosya nie powinna być zbytńo krępowaną w swojej
środkowo-azyatyckiej akcyi. W końcu Anglia nie powinna

dążyć do wyrządzenia szkód handlowi niemieckiemu, a jeśli się na to wszystko zgodzi, w takim razie książę przywróci na nowo dobre porozumienie pomiędzy nią a Niemcami.

Że p. Blowitz mimo znanego sprytu reporterskiego nie mógł się tak szczegółowo dowiedzieć o tajnych planach ks. Bismarcka, to rzecz pewna, ale być może, że udało się mu zręcznie odgadnąć i sformułować skryte myśli żelaznego kanclerza. W każdym razie przybycie do Berlina lorda Rosebery nie miało na celu oddanie prywatnej wizyty hr. Herbertowi Bismarckowi, a już częste jego konferencye z ks. Bismarckiem i hr. Hatzfeldem wskazują, iż chodziło tu o kwestye, dotyczące polityki zagranicznej. Pierwotnie rozeszła się pogłoska, iż lord Rosebery ma skłonić niemieckiego cesarza do przyjęcia godności sędziego polubownego w sporze afgańskim, ale wkrótce przekonano się, iż ani w Petersburgu, ani w Londynie do wyroku sądu polubownego nie przywiązują żadnego znaczenia. W tym kierunku zrobiono tylko tyle, iż jeszcze z początkiem maja zapytywano ze strony Rosyi, bardzo poufnie króla duńskiego, czyby przyjął wybór na sędziego polubownego, poczem już kwestyi tej wcale nie poruszano. Od owego zaś czasu zajście nad Kuszkiem nie wchodzi wcale w rachubę, Lumsdena odwołano, a generał Komarow otrzymał od Cara złotą szablę wysadzaną dyamentami i 100,000 rubli w nagrodę.

Prawdopodobniejszem jest przypuszczenie, iż kwestya ratyfikacji konwencji egipskiej, dotyczącej finansów, stanowiła dyplomatyczny cel podróży do Berlina lorda Rosebery, a jak niektóre dzienniki zapewniają, nie otrzymał on w tej mierze od ks. Bismarcka żadnych stanowczych przyrzeczeń, lecz tylko ogólnikowe wskazówki. Być także może, iż obok tego poruszano jeszcze na owych konferencyach dyplomatycznych sprawę neutralizacji kanału sueskiego, a to tem więcej, skoro opracowany pod tym względem projekt przez wydział komisji kanału sueskiego niezupełnie odpowiada interesom i życzeniom Anglii. Projekt ten obejmujący 14 artykułów, określa szczegółowo przeznaczenie pomienionego kanału dla żeglugi powszechnej, zabezpiecza jego neutralność na wypadek wojny, a wreszcie oznacza dokładnie nadzór nad postanowieniami wspólnej ugody. Ten ostatni punkt stał się

właśnie spornym. Projekt ze strony Francyi postawiony, zaleca ustanowienie osobnej komisji nadzorczej pod przewodnictwem reprezentanta tureckiego. Anglia zaś wysuwająca naprzód Egipt, by się nim zasłonić, pragnie, ażeby wszystkie środki, mające na celu zapewnienie wykonania traktatu, pozostawiono rządowi egipskiemu, któryby w takim tylko razie odwoływał się do mocarstw na traktacie podpisanych, gdyby siły jego nie wystarczyły do rozwiązania powierzonego mu zadania. Delegaci Włoch w końcu wystąpili z pośredniczącym wnioskiem, według którego reprezentanci mocarstw, podpisujących traktat, rezydujący w Egipcie, czuwać będą nad dopełnieniem jego postanowień i zawiadomią bezzwłocznie swe rządy o każdym zaszlem naruszeniu granic lub o grożącym niebezpieczeństwie. Jeśli wybuchnie wojna, albo bezpieczeństwo kanału narażonem będzie przez wybuch zaburzeń w Egipcie, zbiorą się wymienieni reprezentanci pod przewodnictwem delegata tureckiego, przypuszczają do grona swego delegowanego Egiptu z głosem doradczym, a porozumiawszy się co do regulaminu żegluznego i policyjnego z Towarzystwem kanału sueskiego, wydadzą stosowne rozporządzenia.

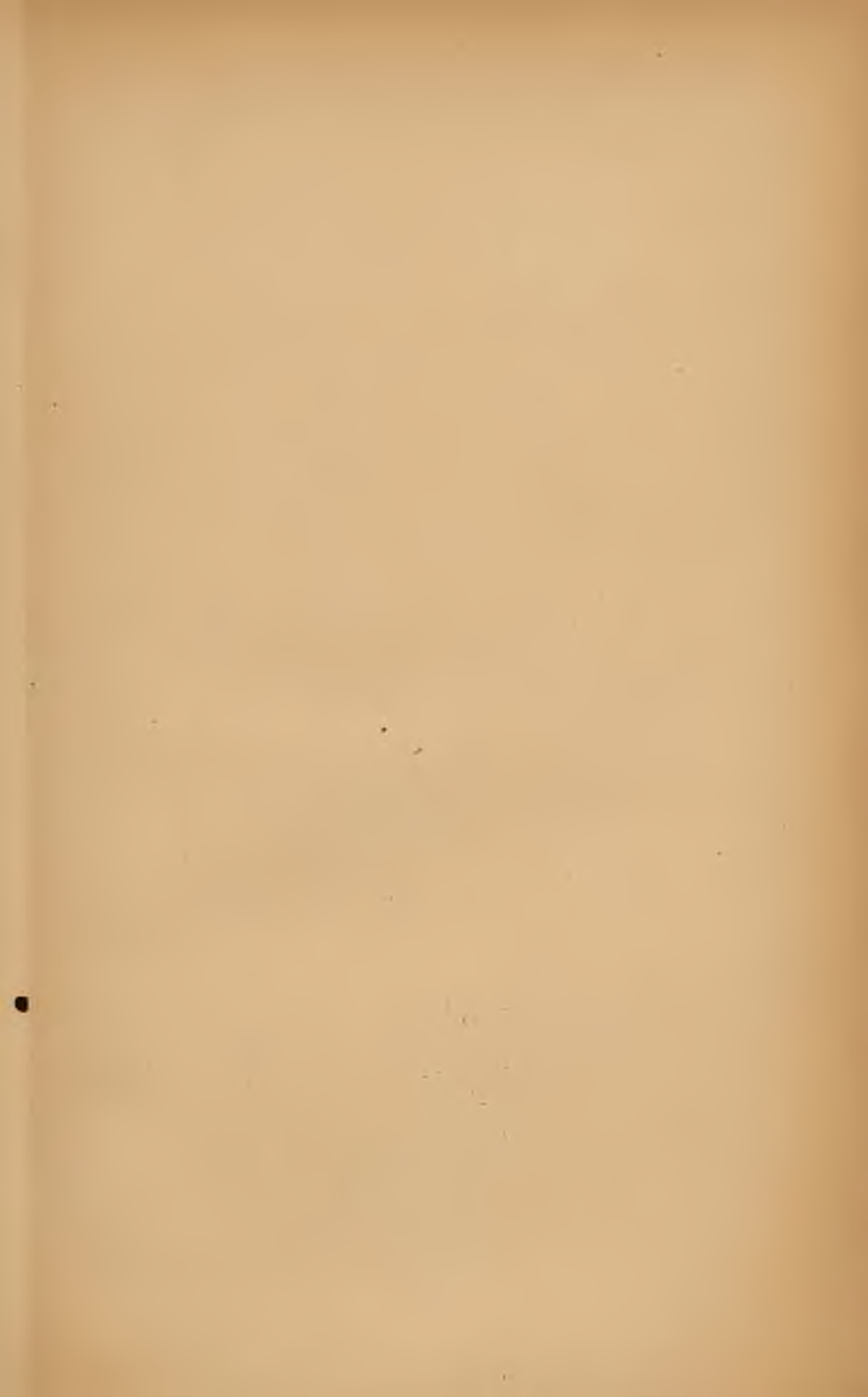
W tym punkcie nie zdołano się dotąd porozumieć, a usunięcie powstałych trudności, pozostawiono przyszłemu plenar-nemu posiedzeniu komisji, które ma już w tych dniach zwołać prezes p. Barrère. Z tą też sprawą miała także pozostawać w związku podróż lorda Rosebery do Berlina, a według informacji p. Blowitza, miał oświadczyć ks. Bismarck, iż opiekę nad kanałem sueskim należy poruczyć rządowi egipskiemu wspólnie z rządami innych państw interesowanych. Anglia utrzyma preponderancyę w Egipcie przez czuwanie i bronienie wolności kanału sueskiego.

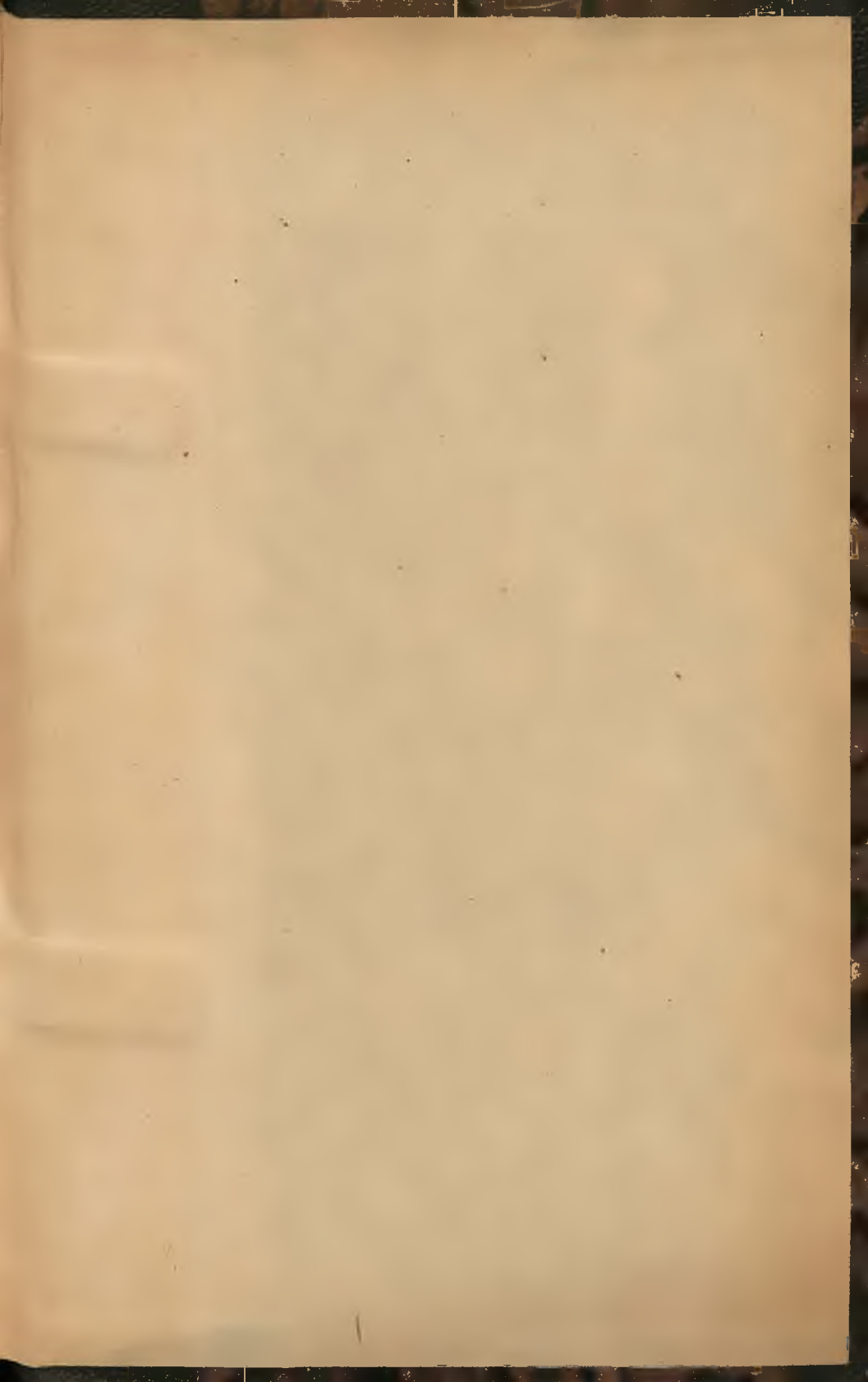
W ogóle czem raz wyraźniej się okazuje, iż punkt rokowań dyplomatycznych w najdrażliwszych kwestiach międzynarodowych przenosi się obecnie do Berlina, ztąd wychodzi inicjatywa, tu nawiązują się nici sekretnych akcyj dyplomatycznych. Z właściwą sobie bystrością, a zarazem podejrzliwością śledzi niemiecki kanclerz każdy ruch na polu zagranicznej polityki, bada zręcznie opinię gabinetów, a udając z początku pewną obojętność, zachowując zagadkowe stano-

wisko w wielu sprawach pierwszorzędnych, występuje nagle, jakby znienacka z ostatecznym do ich rozwiązania projektem. I jeżeli dziś w kołach europejskiej dyplomacyi godzić się już zaczynają z myślą, iż nie gdzieindziej, tylko w stolicy Niemiec rozegrają się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa losy zatargu angielsko-rosyjskiego, tudzież sprawa uregulowania finansów egipskich i żeglugi na kanale Sueskim, to z niemiejszą także pewnością przypuszczają, iż w Berlinie rozwiązana zostanie ostatecznie tak żywo w ostatnich szczególnie czasach poruszana kwestya cieśnin morskich i silniejszego obwarowania Dardaneli i Bosforu. Pod okiem kanclerza wypracowuje się podobno projekt neutralizacyi cieśnin, a najbardziej spornym w tej mierze punktem jest, czy ma być pozostawionem zamknięcie cieśnin pod wyłączną opieką Turcyi, jak dotąd, czy też pod zbiorową rękojmią Europy. Za ostatnią myślą oświadcza się Rosya i Francya, przeciw zaś Turcyja, dopatrująca w podobnem zarządzeniu ujemy dla praw sultana, i Anglia, obawiająca się, aby w razie wojny nie zostało zamknięte dla jej okrętów morze Czarne. W każdym razie jestto sprawa trudna i zawila, mogąca stanowić nateraz przedmiot do poufnej dyskusyi dyplomatycznej, ale nie dojrzała jeszcze do rychłego i merytorycznego załatwienia. Wraz z wielu innemi kwestyami, dotyczącemi międzynarodowej polityki, będzie i ona niewątpliwie poruszona na zjeździe trzech cesarzy, który, jak zapewniają, odbędzie się w lecie „wśród bardzo poważnych okoliczności.“

M. Chyliński.







Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030002008780



II 4501/19/4/1885